

PAVEL
KOHOUT

KACICA

Przełożył
JÓZEF WACZKÓW

MUZA SA
WARSZAWA 1995



Tytuł oryginału: *Katyně*

Projekt okładki: *Maciej Sadowski*

Redakcja: *Małgorzata Pacek*

Redakcja graficzno-techniczna: *Mariusz Jaśtak*

Korekta: *Lidia Wrzosek*

© Pavel Kohout, 1978

© for the Polish translation by Józef Waczków

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 1995

ISBN 83-7079-340-1

MUZA SA

Warszawa 1995

Jürgenowi i Lizie Braunschweigerom z Lucerny,
którzy tak długo mnie przekonywali,
że ta książka powinna zostać napisana,
aż w końcu ją napisałem,

oraz

Ludwikowi Vaculikowi,
ojcu i niewolnikowi powielaczowej
biblioteki Pętlice,
którego uważam za pierwszego wydawcę
tej książki

PK

Osoby, miejsca i akcja tej książki powstały, niestety, całkowicie zmyślone, natomiast historyczne odniesienia, informacje rzeczowe i cytowana literatura fachowa są, na szczęście, absolutnie autentyczne.

Żyjemy w świecie, w którym niemal już wyginął koń Przewalskiego. Coraz częściej widzimy, jak monopolizacja po jednej a kolektywizacja po drugiej stronie świata niszczą nie tylko drobnych przedsiębiorców, ale i wolne profesje, wraz z którymi często umiera jedyne w swoim rodzaju doświadczenie ludzkości.

Pragnę swoim skromnym udziałem przyczynić się do tego, byśmy pewnego ranka nie obudzili się w świecie bez egzekutorów.

AUTOR

Spis treści

Spis treści	5
I	8
1.....	8
2.....	11
3.....	15
4.....	17
5.....	19
6.....	22
7.....	28
8.....	29
9.....	37
II.....	38
10.....	38
11.....	39
12.....	41
13.....	43
14.....	54
15.....	56
16.....	61
17.....	70
18.....	89
19.....	92
III.....	93
20.....	93
21.....	96
22.....	98
23.....	104
24.....	106
25.....	118

26.....	126
27.....	129
28.....	133
29.....	135
IV	136
30.....	136
31.....	139
32.....	147
33.....	151
34.....	153
35.....	156
36.....	163
37.....	179
38.....	183
39.....	192
40.....	198
V.....	199
41.....	199
42.....	206
43.....	215
44.....	220
45.....	228
46.....	233
47.....	240
48.....	244
49.....	253
VI.....	254
50.....	254
51.....	256
52.....	258
53.....	261
54.....	272
55.....	276
56.....	282

57.....	290
58.....	301
59.....	306
60.....	313
61.....	317
62.....	333
63.....	335
64.....	335

I

W Wielki Czwartek wyszło na jaw, że Lizinka Tacheci nie zdała egzaminu do liceum dramatycznego.

Przewodniczący komisji, znany aktor, z nieudawanym żalem oświadczył jej matce, pani Łucji, że odmowna decyzja zapadła w wyniku burzliwej dyskusji, kiedy kolejne próby wykazały, że jej córka ma naturę introwertyczną i pełniej mogłaby wykorzystać swoje zdolności jako lekarka, uczona czy też beletrystka.

W Wielki Piątek okazało się, że Lizince nie powiodło się również na egzaminie do gimnazjum klasycznego, które w formularzu zgłoszeniowym umieściła na drugim miejscu.

Dyrektor szkoły, wybitny pedagog, z niekłamanym smutkiem oznajmił matce, że odmowna decyzja była wynikiem zażartych sporów grona profesorskiego, a powtórzone testy potwierdziły, że jej córka ze względu na swoją aparycję z pewnością znacznie korzystniej wystartowałaby jako fotomodelka czy też

1

aktorka.

Kiedy doktor fil. Tacheci wrócił z pracy, zastał w domu jedynie córkę. Siedziała w narożnym saloniku przed telewizorem i zmieniała obrazy trzymanym w rękę pilotem. Kiedy musnęła jeden przycisk, na ekranie dwaj mężczyźni zaciekle okładali się pięściami, po dotknięciu przycisku następnego chór dziecięcy śpiewał pieśni ludowe. Gdy nacisnęła oba równocześnie, pojawiła się biała szemrząca płaszczyna.

- Jak ci poszło? - zapytał doktor Tacheci.

Lizinka nie przerywając zabawy wzruszyła ramionkami.

- Gdzie mama? - zapytał doktor Tacheci.

Lizinka wskazała głową sypialnię.

Doktor Tacheci wyszedł do przedpokoju i lekko nacisnął klamkę. Po chwili cicho zapukał. Nie spotkało się to z żadnym odzewem. Po dłuższym wahaniu nieśmiało przez drzwi zadał swojej połowicy pytanie, czy przypadkiem nie chce herbaty albo czegoś innego.

W odpowiedzi pani Łucja wybiegła z sypialni wołając, że przede wszystkim nie chce żyć z człowiekiem, który swojej jedynej córce nie potrafi zapewnić możliwości dalszej nauki. Po czym z płaczem zamknęła się w łazience.

Doktor Tacheci swojej jedynej córce usmażył jedyne nie pomalowane jeszcze na Wielkanoc jajko, po czym posłał ją do łóżka, by jej, kruchej i wrażliwej, oszczędzić uczestnictwa w dalszych wypadkach. Następnie jął pukać w drzwi łazienki i wypowiadać słowa perswazji. Panująca w środku cisza napawała go coraz większą zgrozą. Nie wiedział, gdzie zakręca się gaz, natomiast dobrze wiedział, że w łazience są żyletki i cała apteczka proszków. Przeszedł do telefonu i z uczuciem rozterki począł wertować spis numerów; z rodziną nie utrzymywał stosunków, przyjaciół nie miał, a milicji się bał; pod naporem okoliczności zdecydował się zasięgnąć rady Telefonu Zaufania.

Pełniący dyżur psychiatra wysłuchał jego nieskładnej opowieści i spytał:

- Jak długo tam siedzi?

- Ze dwie godziny - odparł doktor Tacheci.

- Często to robi?

- Nie - powiedział doktor Tacheci - zazwyczaj zamyka się w sypialni.

- A gdzie pan wtedy śpi? - zapytał psychiatra.

- Zazwyczaj w łazience - odparł doktor Tacheci.

- No to dzisiaj niech pan śpi w sypialni - powiedział psychiatra - przynajmniej trochę pan sobie użyje.

- Przepraszam - powiedział doktor Tacheci - ale ja mam uzasadnione obawy...

- Przepraszam - powiedział psychiatra - ale ja mam dyżur już trzecią noc z rzędu, ja bym zgodził się i na tę łazienkę. Myśli pan, że podeszłaby do telefonu?

- Myślę, że nie - powiedział doktor Tacheci. - Myślałem, że może pan by tu do nas...

- Niestety - powiedział psychiatra - muszę być pod telefonem, w tych dniach wielu rodziców chodzi po ścianach. Nie ma pan mesła?

- Co to takiego? - zapytał doktor Tacheci.

- Jest pan filozofem?

- Filologiem.

- Aha - powiedział psychiatra - to wie pan co? Może by jej pan powiedział, że chce z nią rozmawiać inspektor szkolny?...

- Bardzo mi przykro - odparł doktor Tacheci - ale ja z zasady nie kłamię...

- Panie doktorze - powiedział psychiatra - być może właśnie teraz dzwoni do mnie ktoś, komu naprawdę mógłbym pomóc. Skoro może pan sobie jeszcze pozwolić na zasady, to

sprawa nie wygląda beznadziejnie.

Doktor Tacheci powoli odłożył słuchawkę. W tym czasie z łazienki wyszła jego żona. Była odświeżnie uczesana i mocno umalowana, jakby wybierała się na dancing. Nie zwracając uwagi na małżonka wyjęła z torebki złoty notesik, podeszła do telefonu, wykręciła numer i czekała, postukując obcasem w podłogę. Po czym zapytała dźwięcznym głosem:

- Oskar?

- Tak - powiedział Oskar. - Kto mówi?

- Lucy - powiedziała pani Łucja.

- Jaka Lucy? - zapytał Oskar.

- Łucja Alexander - powiedziała Łucja Tacheci.

Doktor Tacheci przy drzwiach łazienki przełknął ślinę.

- Łucja Alexander! - powiedział Oskar. - Bomba! Lucy!

- Co u ciebie, Osku? - zapytała pani Łucja. - Ciągłe wolny?

- Jakżeby inaczej - powiedział Oskar. - A ty ciągle zameżna?

- Jakżeby inaczej - powiedziała pani Łucja. - Przyszła mi ochota, żeby znowu wpaść do ciebie na drinka.

Doktor Tacheci, nadal tkwiąc pod drzwiami łazienki, powiedział:

- Łucjo...

- No, to byłaby bomba! - powiedział Oskar. - Tyle że...

- Nie jesteś sam - powiedziała pani Łucja.

- Jakżeby inaczej - powiedział Oskar.

- Odłóżmy więc tę przyjemność na kiedy indziej - powiedziała pani Łucja - dzisiaj zresztą bardziej mi zależy na twojej radzie.

- Chcesz przydział na samochód? - zapytał Oskar. - A może na mieszkanie?

- Nie - powiedziała pani Łucja. - Mam córkę.

- No to gratuluję - powiedział Oskar. - Chodzi o złobek?

- Jest już piętnastoletnia - powiedziała pani Łucja.

- Co? Aa, wybacz. Ha, więc to już piętnaście lat?... To bomba!

- Nie dostała się do szkoły średniej - powiedziała pani Łucja. - Dla jednych jest za ładna, dla innych znowu za inteligentna.

- No to po co jej szkoła średnia? - zapytał Oskar.

- Chcę, żeby w życiu do czegoś doszła - powiedziała pani Łucja. - Nie tak jak ja.

- Łucjo... - powiedział znowu spod drzwi łazienki doktor Tacheci.

- Szkoła średnia - powiedział Oskar - jasny gwint, kto by to... kto mi to... czekaj, od

tego jest przecież jakaś komisja... chwileczkę, laluniu...

- Dawno już tak do mnie nie mówiłeś - powiedziała pani Łucja.

- Co? Aa, wybacz, to nie było do ciebie.

- Szkoda - powiedziała pani Łucja.

- Możesz z tym tydzień poczekać - zapytał Oskar - aż wrócę z gór? Załatwilibyśmy wszystko za jednym zamachem.

- Nie przypominasz sobie chociaż, co to za komisja?

- Aha - powiedział Oskar - już wiem. Miejska Komisja do Spraw Pomocy Młodzieży przy Wyborze Zawodu. Nazwiska przewodniczącego nie pamiętam, ale spokojnie powołaj się na mnie, zawdzięcza mi przydział na łajbę mieszkalną.

- No to na razie dziękuję, Osku - powiedziała pani Łucja. - I kończmy, bo się przeziębisz.

- Więc się domyśliłaś? - zapytał Oskar.

- Jakżeby inaczej - powiedziała pani Łucja. - Powiedz laluni, że dzwoniła ciotka. Wesołych świąt wielkanocnych, Osku!

Odłożyła słuchawkę. A wraz z nią rozanielony wyraz twarzy. Spod drzwi łazienki doktor Tacheci rzucił pytanie:

- Łucjo, kto to był?

- Pewien mężczyzna - powiedziała pani Łucja - który swego czasu proponował mi małżeństwo. Przepuścisz mnie?

Jej mąż odsunął się, żeby ponownie mogła wejść do łazienki.

- Dlaczego telefonujesz właśnie do niego? - zapytał.

- Bo - powiedziała jego żona - gdybym przed szesnastu laty nie była głupia jak but, ojcem Lizinki byłby

2

on!

- To możliwe, tak, to nawet bardzo prawdopodobne - powiedział oschle przewodniczący Komisji do Spraw Pomocy Młodzieży przy Wyborze Zawodu - i chyba właśnie przez tę łajbę mój poprzednik musiał się z piątku na sobotę zrzec swojej funkcji w naszej komisji.

Dla pani Tacheci był to ostateczny dowód, że Lizince nie przyświeca szczęśliwa

gwiazda. Już we wtorek po świętach wielkanocnych wstrząsnęła nią wiadomość, że zostaną przyjęte przez komisję dopiero we czwartek, według kolejności. Oskar byczył się w górach, do męża z tym pójść nie mogła, położyła się więc do łóżka i udawała wyczerpanie nerwowe. Przy jej temperamencie wymagało to takiego opanowania, że we środę omal się nie załamała. Tylko miłość do Lizinki i świadomość, że doktor Tacheci zachowuje się wobec urzędników jak złapany na gorącym uczynku zbrodniarz, zaprowadziły ją ponownie we czwartek na niesympatyczny korytarz przed pomieszczenie, z którego dochodził płacz pechowych uczniów i podniesione głosy urażonych rodziców.

Doświadczenie i obyczaj kazały jej się dobrze zastanowić, jak się mają obie z Lizinką najstosowniej ubrać. Rozsądek doradzał zrezygnować z wszelkich ekstrawagancji i zmierzać do celu w niewymyślnych a chędogich szatkach, jak zawsze, gdy trzeba było raczej prosić niż żądać, a zdecydowanie zawsze, kiedy pertraktowało się z kobietą. Partnerem jednakże miał być mężczyzna, a przy tym przyjaciel mężczyzny, który - jak wiedziała - niemal chorobliwie ubóstwiał kobiecą urodę. Postawiła zatem na najmocniejszą kartę.

Miała na sobie obcisłą sukienkę w barwny deseń, uszytą według najnowszych wzorów francuskich, podkreślającą jej szczupłą talię, wydatny biust i długą szyję. Dla Lizinki wybrała białą mini bez rękawów, w odcieniu przypominającym śnieg przed wschodem słońca.

Teraz ze zgrozą stwierdziła, że wskazane byłyby raczej zakonne habity.

Przewodniczącym komisji był człowiek, który przez lata przystosował się do niewdzięcznych funkcji, jak średniowieczny rycerz do zbroi. Jego brodaty łeb, utrzymujący się jak gdyby bez szyi na masywnym korpusie, umacniał wrażenie, że facet jest nietykalny. Jego białe palce pozwalały pani Łucji domyślać się, że to człowiek niepalący, a lekko stęchły zapach ubrania - że jest starym kawalerem. Zrozumiała, że nie mają do niego dostępu żadne namiętności, że łapówek nie potrzebuje, a kobiet się boi.

Siedząca obok niego starszawa koścista kobieta, sekretarz komisji, ostro zlustrowała obie petentki, po czym z obrzydzeniem odwróciła oczy i zaczęła zapępiać notes krzyżykami. Z tego wszystkiego pani Tacheci wywnioskowała, że babsztyl leczy się tu z własnej kłęski życiowej widokiem porażek bliźnich, wydatnie się do nich przyczyniając.

Przewodniczący w ogóle nie podniósł wzroku. Widział już tyle przygnębionych twarzy, że już ich nie rozróżniał; podczas masowej ciachaniny nie mógł sobie zresztą pozwolić na luksus zaangażowania. Toteż, pogrzebawszy jednym zdaniem swojego poprzednika, grzbietem dłoni wskazał wolne krzesło, otworzył teczkę Lizinki i odmownie potrząsnął głową.

- Liceum dramatyczne, pewnie... gimnazjum, pewnie, pewnie - powiedział niemal z

wyrzutem w głosie - słowem, matura za wszelką cenę, bez względu na to, czy nas na nią stać czy nie. Krótko i węzłowato, droga pani: ze szkół dających maturę pozostała nam już tylko średnia muzyczna dla młodzieży z wadami wzroku, ale takowych, jak wynika z zaświadczenia lekarskiego, ona niestety nie posiada. A zatem z maturą, droga pani, po prostu trzeba się pożegnać i dziękować za to Bogu! A jeżeli -

ciągnął przewodniczący komisji

- naprawdę ją pani kocha, to proszę jej zapewnić wykształcenie zawodowe, póki jeszcze czas. Rzemiosło wciąż jeszcze jest żyłą złota i dostać się do liceum dramatycznego, droga pani, to fraszka wobec trudności z dostaniem się do szkoły zawodowej stewardes lub fryzjerek. Toteż najlepiej o tym po prostu zapomnieć i po zmartwieniu! Po cóż taka młoda i zdrowa dziewczyna -

ciągnął przewodniczący komisji nie podnosząc wzroku

- miałyby przeszastać życie w ondulacjach lub gdzieś tam w obłokach, skoro dajmy na to taka zawodowa szkoła ogrodnicza oferuje jej pewny grunt pod nogami i świeże powietrze przez cały rok. Co pani na to?

- Kiedy z niej... taki zmarzluch - powiedziała pani Tacheci.

Nieoczekiwanie przyparta do muru, nie zdołała wymyślić nic lepszego.

- Pewnie - powiedział przewodniczący wyrozumiale - no cóż, trudno! Ale są jeszcze ciekawsze zajęcia niż sadzenie i okopywanie kalarepy w deszczu i błocie. Jeśli jest po prostu ciepłolubna, to nie znam nic lepszego niż zawodowa szkoła piekarska. Co pani na to?

- Ach - powiedziała pani Łucja, dobita ostatecznie - ona również nie znosi gorąca...

- Pewnie, pewnie - powiedział przewodniczący z zadowoleniem, gdyż zbliżał się do celu - nic nie szkodzi! A po cóż by jeszcze zimą i latem miała za tych parę marnych groszy zrywać się o trzeciej nad ranem, skoro taka na przykład zawodowa szkoła rolnicza, a zwłaszcza jej specjalizacja: wielkie fermy hodowlane, proponuje jej pracę zautomatyzowaną w wyrównanej łagodnej temperaturze. A w przypadku, gdy zaraz po szkole pojedzie na wieś - także dom i wyprawę ślubną, czyli praktycznie i pana młodego. No więc jak, zgoda?

Odruchowo wyciągnął do pani sekretarz kciuk i palec wskazujący, a ona równie machinalnie wetknęła mu między nie formularz.

- Boże święty - powiedziała pani Tacheci niemal mdlejąc - Boże święty, czyż o n a może iść do prosiąt...?

Gdyby krzyczała, groziła lub płakała, nawet by tego nie zauważył, ale że szeptała, i to na osobliwym jakimś przydechu, jak gdyby Wszechmogący, do którego się zwracała, siedział wraz z nimi w tym gabinecie, przewodniczący mimo woli podniósł oczy i... zobaczył Lizinkę.

Lizinka przez cały czas obserwowała ołówek urzędniczek. Kiedy przewodniczący mówił „pewnie”, ta stawiała kropkę. Jak tylko nabierało się jej pięć kresek lub kropek, łączyła je linią prostą i dorysowywała kolejny krzyżyk. Teraz czubek ołówka tkwił ponad kartką i Lizinka czekała, kiedy pójdzie w ruch.

Ale przewodniczący patrzył na jej szczuplutkie łokcie i kolanka, na jej ciągle jeszcze dziecienną i niemal przezroczystą buźkę, tonącą w powodzi złotych kędziorów, i naraz poczuł, jak silny poryw uczuć i wspomnień wytrąca go z tego siedliska biurokracji, wyzwala z zatechłych ciuchów i zaśniedziałych przyzwyczajzeń i niesie przeciwko prądowi stanowisk i posiedzeń do krainy pierwotnej niewinności, i oto ni stąd, ni zowąd usłyszał również głos, o którym myślał, że dawno w nim już przebrzmiał na zawsze: „Madonna! - znowu powiedziała jego matka na Świętym Kopeczku, gdzie właśnie dotarli z procesją - Honziczku, klękni, to jest Najświętsza Paniienka!”

Pozwolił opaść dłoni ze zgłoszeniem do szkół rolniczych, choć werbunek do nich szedł mu opornie, i zwrócił się do siedzącej z nim urzędniczki:

- Proszę mi podać teczkę PST!

Koścista kobieta oderwała wzrok od swoich krzyżyków i ponownie spojrzała na Lizinkę, tym razem z lękiem. Znała swojego zwierzchnika i nie pojmowała, co wpłynęło na tak nagły zwrot w jego zachowaniu. Niechętnie odłożyła ołówek, podeszła do sejfu i podała przewodniczącemu teczkę z napisem PRZYSPOSOBIENIE SŁUŻB TAJNYCH. Zawierała wykaz specjalnych szkół zawodowych, prowadzonych na potrzeby niektórych instytucji centralnych. Wykaz opatrzone był w krótkie, ale rzeczowe informacje, czego wymaga się od adeptów poszczególnych specjalności.

Jako człowiek uczciwy, który sprzeniewierzył się swojemu sumieniu tylko raz, kiedy musiał wyrzec się Boga, aby móc służyć państwu, przewodniczący rzecz jasna również i w tej wyjątkowej sytuacji nie zamierzał uczynić nic, co by przyniosło państwu jakikolwiek uszczerbek. Przeglądając specjalności, przeznaczone dla chłopców i dziewcząt, skrupulatnie pominął wszystkie, do których Lizince brak było predyspozycji, przygotowania lub właściwego pochodzenia społecznego, jak kurier dyplomatyczny, ambasador czy prokurator. Zatrzymał się na dłużej dopiero przy kontrwywiadzie, który od zaraz reflektował na trzech uczniach. W głowie mignęło mu wspomnienie delikatnej Grety Garbo w roli Maty Hari. Film w jednej chwili mu się urwał, kiedy rzuciwszy okiem na rubrykę PŁEĆ, ujrzał M. Odwrócił stronę. Z miejsca spostrzegł w rubryce PŁEĆ literkę K, której towarzyszyła następująca charakterystyka:

SPEC. HUM. Z MAT.: ABSOLW. SZK. PODST. /K/ - WZBUD. ZAUFANIE -

ZDOL. DO WYST. PUBL. - USPOSÓB. FLEGM. - B. ATRAKC. WYGL. Po tym następował nawias, jedyny tego typu w teczce PST: (JAKĄ BY CZŁOWIEK CHĘTNIE SPOTKAŁ U DENTYSTY!!!)

Przewodniczący uniósł ponownie oczy. Nawet najsurowszy sędzia w nim tkwiący nie mógł zaprzeczyć, że Lizinka w pełni odpowiada powyższym wymaganiom. Ba, nigdy nie widział twarzy, na którą chętniej patrzyłby z fotela dentystycznego, gdzie doznał już tylu uderk. Z reguły bardzo szybko się decydował, gdy tylko dochodził do wniosku, że postępuje zgodnie z interesem społecznym.

- Panienko - spytał bezpośrednio Lizinkę - nie chciałaby pani zostać wykonatorką?

- Co to takiego? - zapytała matka, szybko odzyskując przytomność.

Przewodniczący Komisji do Spraw Pomocy Młodzieży przy Wyborze Zawodu zagłębił się w lekturze odpowiedniego akapitu.

- Specjalność humanistyczna z maturą - powiedział po krótkiej chwili.

- Ale jaka plus minus? - spytała matka nader łagodnie, żeby nie zdmuchnąć płomyka nadziei.

Przewodniczący dopiero teraz zauważył, że informacji towarzyszy dopisek: kand. ust. wst. egz. ust. z prof. Vlkiem tel. - 61460!

- Kandydat - wyjaśniał - powinien ustalić wstępny egzamin ustny z profesorem Vlkiem telefonicznie, numer tu jest. Z tego wynika po prostu, że szczegółowych informacji udzieli pani wymieniony przedstawiciel szkoły. Ja powinienem tylko rzecz jasna wiedzieć, czy w zasadzie zgadza się pani na to, żebym wypisał jej do niego skierowanie. Tak więc -

powiedział podniesionym głosem zniecierpliwiony przewodniczący, gdyż z wyrazu twarzy pani sekretarz wywnioskował, że naraził na szwank swoją reputację

- ogrodniczka, piekarka, karmicielka trzody czy...

- Zdecydowanie - krzyknęła pani Tacheci - zdecydowanie

3

wykonatorka!

- Co to takiego? - spytał dr Tacheci, kiedy jego żona skończyła swoje sprawozdanie.

Siedzieli w saloniku, pochyleni nad zupą. Lizinka obserwowała ciemną powierzchnię zawieszony, w której odbijała się jej twarz. Ilekroć zanurzała w niej łyżkę, twarz marszczyła fale, ilekroć łyżkę wyjmowała, twarz rozpląwała się na całą powierzchnię.

- To, co najważniejsze - odparła pani Tacheci - specjalność humanistyczna z maturą.

- Ale jaka, chociażby z grubsza? - nalegał doktor Tacheci bez cienia zaczepności, żeby nie rozniecać pożaru nowej kłótni.

Wstał, podszedł do regału i zaczął kartkować podręczny słownik języka czeskiego.

- Wykonatorki tu w ogóle nie ma - powiedział po chwili - jest tylko „wykonawstwo, wykonawstwa, neutrum, inaczej wykonanie, wykonywanie - czynność, dawniej - władza wykonawcza, sprawowanie ważnej funkcji”.

- No to będzie funkcjonariuszką na szczeblu, phi! - zareagowała pani Tacheci. - Tym lepiej!

- Tylko że - zauważył doktor Tacheci - ta charakterystyka wskazuje bardziej na wyrafinowaną w swoich metodach niewolenia mężczyzn odaliskę.

- Lizinko - powiedziała pani Tacheci - raz-dwa, córeńko, zjedz zupkę i lulu-pa, jutro czeka cię szkoła!

Ledwo córka pocałowała ich na dobranoc i zamknęła za sobą drzwi, zabrała głos matka; mówiła bez krzyku i łez, co nadawało jej słowom tym większą wagę.

- Jedyne, co kiedykolwiek zrobiłeś dla swojej córki - powiedziała - sprowadza się do tego, że przed szesnastoma laty, nadużywając mojego zaufania, przewróciłeś mnie w koniczynę jak jakąś służącą. Nie przypuszczałam, że człowiek z tytułem uniwersyteckim, z miejsca, na łapu-capu, zrobi mi dziecko, a przede wszystkim wierzyłam, że się o nie przynajmniej zatroszczy. Tylko że ty -

mówiła coraz bardziej rzeczowo, tak że doktor Tacheci szybko się połapał, że sytuacja staje się coraz bardziej krytyczna

- wstydzisz się bodaj pisać, kiedy ci konduktor w tramwaju nie wyda reszty z setki, a co dopiero dać normalną łapówkę po to, żeby twoja córka zdała egzamin. Kiedy jej przyszłość legła w gruzach, jedyną rzeczą, którą mi zaproponowałeś, była herbata. A kiedy zamiast ciebie postarałam się dla niej o ostatnią szansę, ażeby nie musiała paść krów, śmiesz twierdzić, że robię z niej kurwę? Ja -

podniosła co nieco głos obalając jak gdyby zarzut, którego doktor Tacheci nie odważyłby się w tej chwili nawet w myśli naszkicować

- nie wiem, co to znaczy wykonatorka, i nie muszę, mnie wystarczy, że dziecko będzie mieć maturę, a potem będzie mogło sobie pójść, gdzie tylko zechce. A jeśli zależy ci na tym, żeby Lizinka nadal mówiła ci „tato”, to jutro zadzwonisz do Vlka i umówisz się z nim na spotkanie. I jak każdy przyzwoity ojciec pójdziesz na nie z butelką koniaku, a gdy wyczujesz w rozmowie telefonicznej jakieś wahanie, to i z dwiema, no bo jeśli -

dodała pani Tacheci, a on ze zgrozą ujrzał na jej twarzy promienny uśmiech

- nie zrobisz tego ty, pójdę do niego ja i zaproponuję mu wszystko, co tylko może zaproponować matka i

4

kobieta.

W piątek rano, gdy tylko doktor Tacheci zasiadł za swoim biurkiem w Poradni Językowej Akademii Nauk, natychmiast wykręcił numer 61460.

- Słucham - odezwał się głos po drugiej stronie.

- Halo - odpowiedział głos po tej stronie - bardzo przepraszam, czy mógłbym rozmawiać z profesorem Vlkiem?

- A kto mówi? - spytał głos po tamtej stronie.

- Doktor Tacheci - powiedział doktor Tacheci.

- Nie znam - powiedział głos po tamtej stronie.

Doktor Tacheci poczuł, jak się rumieni. Podobnie władcze głosy sprawiały, że dawał się wymijać w kolejkach i oszukiwać na wadze, że bez protestu zjadał gęsią czerninę, którą mu serwowano zamiast gęsiich wątróbek, i bez sprzeciwu płacił za landrynki, które mu wtykano zamiast pralinek. Już, już miał wyjąkać przeprosiny i odłożyć słuchawkę, ale przejmująca świadomość, że właśnie temu głosowi wydałby na pastwę swoją ubóstwianą żonę, rozbudziła w nim niebywałą odwagę.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział - dzwonię w sprawie córki.

- Jakiej córki? - spytał głos po tamtej stronie.

- W sprawie mojej córki Lizinki - ciągnął doktor Tacheci zamykając przy tym oczy, jakby skakał w głębinę - moja żona była z nią wczoraj na komisji i otrzymały ten numer telefonu.

- A jaki jest pański? - spytał głos z tamtej strony.

- 271425 - poinformował posłusznie doktor Tacheci - wewnętrzny 15.

- Proszę odłożyć słuchawkę - powiedział głos z tamtej strony - oddzwonię do pana.

Z tamtej strony stuknęły widelki. Na to doktor Tacheci również odłożył słuchawkę; siedział przez chwilę bez ruchu, porażony własnym męstwem. Niebawem otworzył oczy uświadamiając sobie, że nie tylko nic nie załatwił, ale nawet nie wie, kiedy tamten zadzwoni, tak że pomimo sukcesu nie ma co powiedzieć w domu. Telefon milczał. Pozostawało jedynie

znowu zadzwonić, co było ponad jego siły. Ale w mózgu doktora nauk, funkcjonującym na zasadzie przetwarzania wyłącznie sprawdzonych faktów, wyklął się nagle żywy obraz: jego żona, naga i ponętna, osuwa się w trawę, tyle że tym razem pod naporem cudzego uwodzicielskiego ciała. Natychmiast sięgnął po słuchawkę. Aparat wszakże już dzwonił.

- Mówi profesor Vlk - powiedział znajomy głos; brzmiał teraz uprzejmie, niemal przyjaźnie. - Przepraszam, musiałem to sprawdzić. A zatem ma pan córkę. Czy mógłby pan powiedzieć, że budzi zaufanie?

- Sądzę, że tak - odparł doktor Tacheci. - Co roku brano ją do sprzedaży choinek, gdyż umiała przekonywać klientów do wyboru takiego, a nie innego drzewka na Boże Narodzenie.

- Ma żyłkę do publicznego występowania? - spytał profesor Vlk.

- Sądzę, że tak - powiedział doktor Tacheci. - W szkolnych przedstawieniach grywała Śpiącą Królową.

- Mogę więc z tego wnosić, że ma przyjemną powierzchowność? - spytał profesor Vlk.

- Sądzę, że tak - powiedział doktor Tacheci.

- I że ma raczej usposobienie flegmatyczne? - spytał profesor Vlk.

- Sądzę, że tak - powiedział doktor Tacheci.

- A czy jest to, panie doktorze, dziewczyna - spytał profesor Vlk - jaką by człowiek chętnie spotkał w nieprzyjemnej sytuacji, powiedzmy u dentysty?

- Tego to nie wiem - powiedział doktor Tacheci zgodnie z prawdą.

- Sądzi pan, że nie? - zapytał z niepokojem profesor Vlk.

- Nie, po prostu nie wiem - powtórzył doktor Tacheci. - Ja nigdy nie byłem u dentysty.

- No, to gratuluję panu - zaśmiał się profesor Vlk z ulgą.

- Dentyści są gorsi od morderców, z wyjątkiem mojego, na szczęście! Więc nie wyklucza pan, że córeczka oddziaływałaby u dentysty uspokajająco?

- Absolutnie nie wykluczam - powiedział doktor Tacheci.

- No to wspaniale - powiedział profesor Vlk. - To wspaniale!

- Niestety - powiedział doktor Tacheci - niezbyt orientujemy się, o jaką profesję tu chodzi. I dlatego żona prosiła mnie, żebym się z panem spotkał.

- Spotkać się musimy przede wszystkim z pańską córką - powiedział profesor Vlk - żeby ją przeegzaminować.

- Czy wolno wiedzieć z czego? - spytał doktor Tacheci.

- Byłoby dobrze, żeby się co nieco przygotowała...

- Nie trzeba - powiedział profesor Vlk. - To będzie jedynie test psychotechniczny.

- Gdzie mamy się z nią stawić? - spytał doktor Tacheci.

- Macie państwo w domu łazienkę? - spytał profesor Vlk.

- Sądzę, że tak - ze zdziwieniem powiedział doktor Tacheci i zaraz się poprawił - ależ tak, mamy!

- Wobec tego przyjdziemy raczej do państwa - powiedział profesor Vlk. - W domu córka będzie się lepiej czuła i będziemy mogli w spokoju się dogadać. Odpowiada panu jutro o 14.30?

- Jutro jest sobota - powiedział doktor Tacheci.

- My pracujemy przede wszystkim w soboty - powiedział profesor Vlk. - Niech pan łaskawie powie o naszych ustaleniach szanownej małżonce, a córeczka niech śpi spokojnie. Jeśli jest normalną młodą i zdrową dziewczyną, z całym tym egzaminem upora się za jednym

5

zamachem.

- A jeśli przyjdzie ich dwóch? - spytała pani Tacheci. - Jak podzielisz butelkę?

- No to wypiją ją razem tutaj - podsunął rozwiązanie jej mąż.

- Masz nie z tej ziemi wyobrażenia o łapówkach - powiedziała jego żona.

Siedzieli w narożnym saloniku, skazani na bierne czekanie. Pani Tacheci nerwowo paliła papierosa i co jakiś czas posypywała babkę marmurkową nową porcją cukru pudru. Doktor Tacheci przeglądał swoje klasery i co chwila starannie czyścił lupę. Lizinka obserwowała muchę na szybie okiennej. Kiedy zamknęła prawe oko, mucha wdrapywała się na transformator. Kiedy zamknęła lewe oko, mucha lazła po polnej drodze. Kiedy oczu nie zamykała i odpowiednio pochylała głowę, widziała dwie muchy, natomiast transformator i droga rozplywały się.

- Kiedy mi ktoś mówi „przyjdziemy”, to pytam się, kto przyjdzie! - powiedziała pani Tacheci.

- Sądziłem, że to *pluralis maiestatis* - powiedział jej mąż.

- O święta naiwności! - powiedziała jego żona. - Rany boskie, nie raczyłbyś już zostawić tych idiotycznych znaczków?

Po doświadczeniach z czwartku miała na sobie luźną popielatą suknię własnoręcznej roboty, dającą słabe pojęcie o jej talii, biuście i szyi.

- Wybacz - powiedział ze zdziwieniem jej mąż - nie wiedziałem, że to ci działa na nerwy.

Miał na sobie angielski garnitur, odziedziczony po ojcu i oczywiście przerobiony, który wkładał na sobotnie herbatki.

- Działa mi na nerwy dopiero od jakichś piętnastu lat - powiedziała jego żona. - Lizinko, nie zezuj!

Lizinka przestała patrzeć na muchę. Miała na sobie długą spódnicę w kolorze swoich włosów i białą bluzkę, która wzruszająco wydymała się na drobnych piersiach.

Pani Tacheci posypała babkę cukrem pudrem i zapaliła nowego papierosa.

- Czy nie powinnaś mniej palić? - troskliwie zapytał doktor Tacheci.

- To jedyny luksus, na jaki twoja żona może sobie pozwolić - powiedziała pani Tacheci.

- Przyszło mi tylko do głowy, że mógłby to być przypadkiem ktoś niepalący - usprawiedliwiał się mąż.

- Myślisz? - przestraszyła się, zdusiła papierosa w popielniczce, po czym otworzyła obie połowy okna i rękoma rozpraszała dym.

Spojrzała przy tym na zegarek.

- Jest minuta po wpół - powiedziała z niepokojem.

- Jest za minutę wpół - uspokajał ją.

W tym momencie gdzieś za oknem rozległ się sygnał czasu i jednocześnie dzwonek do drzwi. Pani Tacheci złapała popielniczkę i wysypała z niej niedopałki i popiół za okno.

Na klatce schodowej stali trzej mężczyźni. Mieli na sobie niemal identyczne czarne raglany, czarne kapelusze o klasycznym kroju i białe rękawiczki. Pierwszy trzymał bukiet czerwonych róż. Drugi - ozdobne pudło w kształcie walca. Trzeci - blaszaną bańkę i sporą walizkę.

- Jestem profesor Vlk - powiedział pierwszy zdejmując kapelusz i rękawiczki. - Czy pozwoli szanowna pani, że ucałuję jej rączki i złożę ten drobny wyraz szacunku?

Był to krzepki sześćdziesięciolatek o głęboko osadzonych oczach, z lekko siwiejącą grzywą czarnych włosów i o krzaczastych, zrosniętych ze sobą brwiach. Przywodził na myśl świątłych prowincjonalnych lekarzy, wywodzących się ze zubożałych rodów szlacheckich.

- Miło mi pana poznać - powiedziała pani Tacheci czarującym głosem, takim samym jakim przed laty po raz pierwszy przywitała doktora Tacheciego.

Powąchała róże i zrobiło się jej żal, że nie włożyła tej samej sukni co w czwartek. Mimo woli zaczęła zazdrościć Lizince.

- Pani pozwoli - powiedział profesor Vlk - że jej przedstawię swojego zastępcę, docenta Šimse.

- Docent Šimsa - powiedział docent Šimsa kłaniając się i podając doktorowi Tacheciemu obły przedmiot - doszliśmy do wniosku, że pan będzie wolał butelkę koniaku!

Był to rówieśnik pani Tacheci, niski, ale zwinny mężczyzna atletycznej budowy, którą podkreślały krótko podstrzyżone włosy. Zmarszczki w kącikach oczu świadczyły, że często i chętnie się śmieje.

- Nie było to konieczne - cichym głosem powiedział doktor Tacheci, zupełnie zбитy z pantałyku.

Z miejsca poczuł, że jest o docenta zazdrosny. Aby ukryć swoje uczucia, odłożył prezent na podłogę i rzucił się w stronę trzeciego mężczyzny chcąc go uwolnić od ciężaru.

- Proszę pozwolić, że panu pomogę, panie... panie...

Był to otyły mężczyzna w nieokreślonym wieku. W mięsistej twarzy niemal nie widać było oczu, natomiast sterczał z niej ostry grzbiet złamanego nosa. Całość przypominała od lat nietkniętą ręką ludzką pobojuwiska, w jakie zmieniają się twarze byłych bokserów.

- To Karlik - powiedział profesor Vlk - nasz pomocnik i szofer. - Mógłby pan go łaskawie zaprowadzić do łazienki?

- Tak - powiedział doktor Tacheci - oczywiście, niewątpliwie, naturalnie...

Otworzył odpowiednie drzwi i przekreślił kontakt. Mężczyzna zwany Karlikiem uprzejmie poczekał, aż doktor wyjdzie, po czym przyniesione rzeczy położył obok wanny. Wychodząc zdjął wreszcie kapelusz i w przedpokoju zabłysła łysina. Usłużnie podniósł i podał doktorowi Tacheciemu jego butelkę.

- Karliku - powiedział profesor Vlk - jeśli nie przyjdziemy za piętnaście minut, odwieź narzędzia, skocz do domu i przyjedź po nas punktualnie o piątej.

- Rozkaz, szefie - powiedział Karlik, ale stał dalej nie spuszczać z profesora pełnego oddania wzroku.

- Trzydzieści kawałków możesz sobie odciąć z mojego - powiedział profesor Vlk łaskawie.

- Dzięki, szefie - z wyraźną wdzięcznością powiedział Karlik, po czym zwrócił się do pozostałych: - Moje uszanowanie, całuję rączki szanownej pani.

Włożył kapelusz i zaszalutował. Jego olbrzymia dłoń zafalowała jak ucho słonia.

- Możemy się rozpląszczyć? - spytał profesor Vlk.

- Boże, Emilu - powiedziała pani Tacheci - no, pomóżże panom!

Doktor Tacheci ponownie postawił prezent na podłodze, ale profesor i docent byli szybsi. Pod raglanami mieli karmazynowe marynarki tego samego kroju. Na prawym rękawie i lewej piersi widniało godło państwa. Wyglądali jak trenerzy reprezentacji olimpijskiej, co

uspokoiło panią Tacheci.

- Proszę nam wybaczyć, łaskawa pani - powiedział profesor Vlk - przychodzimy prosto z pracy. Ale gdzie właściwie jest szanowna córeczka państwa?

Docent Šimsa uprzejmie podniósł i podał doktorowi Tacheciemu butelkę. Pani Tacheci znowu odzyskała pewność siebie.

- Czeka w pokoju - powiedziała z usprawiedliwiającym uśmiechem matki - ma tremę. Nie dziwcie się, panowie. To jeszcze dziecko.

- Jeśli się wdała w szanowną panią - powiedział profesor Vlk - nie ma się czego obawiać w życiu. Mogłaby pani łaskawie przedstawić nas sobie?

- Lizinko! - zawołała pani Tacheci.

Drzwi do pokoju otworzyły się. Lizinka stojąc w ich ramie wyglądała jak uroczy stary obraz.

- To jest nasza Lizinka - powiedziała pani Tacheci nie bez radosnej dumy. - Lizinko, to jest pan profesor Vlk i pan docent Šimsa.

Lizinka grzecznie dygnęła. Profesor Vlk i docent Šimsa spojrzeli po sobie z nieukrywanym wyrazem przejęcia. Wyglądali jak kaperownicy z profesjonalnego klubu, co doktora Tacheciego zaniepokoiło.

- Emilu - powiedziała pani Tacheci - zaproszę panów do pokoju!

Doktor Tacheci postawił prezent na podłodze.

- Nie, nie - powiedział profesor Vlk - pozwólcie nam państwo łaskawie najpierw z córeczką zająć

6

do łazienki.

- Co oni tam z nią robią? - spytał doktor Tacheci już po raz trzeci.

- Proszę cię, uspokój się - po raz trzeci powiedziała jego żona - sam mówiłeś, że musi zdać egzamin.

- Od kiedy to egzaminy zdaje się w łazience? - powiedział jej mąż.

- W każdym razie zdaje się je bez rodziców - powiedziała jego żona.

- To mogliśmy się usunąć do kuchni - powiedział jej mąż.

- Po prostu nie chcieli nam przeszkadzać. Ten profesor jest jak lord angielski.

- Za to ten docent to goguś.

- I ty tak samo wyglądałaś, kiedy cię poznałam.

- Ale tylko wyglądałem! - powiedział jej mąż.

- Niestety! - powiedziała jego żona.

Przez dwoje drzwi było słychać, że w łazience leje się woda.

- Napelniają wannę - powiedział doktor Tacheci.

- Robią jakiś eksperyment - powiedziała jego żona.

- W wannie? - zapytał jej mąż.

- Was nie uczono tego prawa? - spytała jego żona. - O tym, że waga wody równa się wadze ciała?

- Uczono nas, ale inaczej. Nie w wannie.

- Czyżbyś sądził, że ją tam kąpią, czy co?

- Zbyt to bym się nie zdziwił.

- Do ciebie w ogóle chyba nie dociera - powiedziała jego żona - że mogą być mężczyźni, którzy od razu nie przewracają dziewczyny w koniczynę.

- Chciałbym ci raz jeszcze przypomnieć - powiedział jej mąż - że to był angielski trawnik i że najpierw poprosiłem cię o pozwolenie.

Przez dwoje drzwi dobiegł z łazienki przytłumiony stuk.

- Czym tak wałą? - spytał doktor Tacheci.

- Coś im upadło - powiedziała jego żona.

- To było uderzenie - powiedział jej mąż.

- Widać coś tam przybijają - powiedziała jego żona.

- Czy ty kiedyś przybijałaś coś w cudzej łazience?

Przez dwoje drzwi dobiegł z łazienki niesamowity dźwięk.

- A to co znowu? - spytał doktor Tacheci.

- Ktoś się śmieje - powiedziała jego żona.

- Ktoś krzyczy! - powiedział jej mąż. - Ja tam idę!

- No wiesz, nie ośmieszaj się!

Dźwięk się nasilił.

- To przecież kura! - powiedział doktor Tacheci.

- Ty naprawdę zwariowałaś! - powiedziała jego żona.

Dźwięk ustał jak ucięty.

- Mów co chcesz - powiedział doktor Tacheci - to była kura!

- Na litość boską, co w naszej łazience robiłaby kura! - spytała jego żona.

- No właśnie, pytam o to!

- Wiesz co, mój drogi, już ty lepiej pooglądaj sobie te swoje znaczki! Lizinka postawiła wszystko na jedną kartę, a ty nic, tylko się wygłupiasz!

- Proszę bardzo - powiedział jej mąż - ale jeśli ona to wszystko w naszej łazience straci, wściekaj się potem tylko na siebie. Ja umyвам ręce.

- Odkąd cię znam, nic innego nie robisz - powiedziała jego żona. - Piłat przy tobie był flejtuchem.

W tym momencie usłyszeli, że drzwi od łazienki się otwierają. Rozległy się męskie głosy, a niebawem otworzyły się także drzwi do pokoju. Na progu stali profesor Vlk i docent Šimsa. W łazience szumiał prysznic.

- Panowie, wytłumaczcie nam wreszcie - powiedział doktor Tacheci. - Gotowiśmy nawet wychylić kielich...

- Właśnie, w tym cały problem - przerwał mu profesor Vlk ze strąpioną miną.

Pani Tacheci zbladła.

- Na śmierć bowiem zapomnieliśmy o szampanie! - powiedział z uśmiechem docent Šimsa.

Pani Tacheci się rozpromieniła. Profesor Vlk podszedł do rodziców i ceremonialnie uścisnął im ręce.

- Gratuluję. Gratuluję. Wasza Lizinka zdała celująco. No, cóż robić, opijemy to koniakiem.

Docent Šimsa zdążył już rozpakować przyniesioną butelkę; wyjął z kieszeni wielofunkcyjny scyzoryk.

- Serce matki to wiedziało - powiedziała pani Tacheci przezwyciężając wzruszenie. - Emilu, mówiłam ci to, prawda?

- Panowie - nieustępliwie powtórzył doktor Tacheci - czy dowiemy się wreszcie...

- Przecież po to przyszliśmy, panie doktorze - powiedział profesor kładąc mu po przyjacielsku rękę na ramieniu. - Ale czy nie powinniśmy poczekać na nią?

- A gdzie ona jest?? - spytał doktor Tacheci.

- Myje wannę - powiedział profesor Vlk. - No, ale napić się możemy bez niej, na to ma jeszcze czasu a czasu.

Pani Tacheci wyjęła tymczasem z serwantki odświeżone kryształowe kielichy, które docent Šimsa napełnił aż po brzegi courvoisierem. Profesor Vlk wzniosł czaszę tak pewną ręką, że powierzchnia nawet nie drgnęła.

- Życie - powiedział - odmówiło mi pańskiego szczęścia, panie doktorze. Nie mam dzieci. Moja praca pozwoliła mi jednak wiele zrozumieć. Toteż potrafię wczuć się w sytuację

rodziców, których jedyna córka stoi właśnie na pierwszym i tak decydującym rozdrożu. Piję za to, żeby droga, na którą właśnie wstępuje, przyniosła jej wiele twórczych sukcesów i zadowolenia z dokonań!

Razem z docentem wyprężyli się, skinęli głowami, po czym wychylili kielichy do dna. Wzruszona pani Tacheci spontanicznie przyłączyła się do nich. Doktor Tacheci poszedł za ich przykładem, chociaż kłóciło się to z jego zwyczajami.

- Czy łaskawa pani zgodzi się, żebyśmy usiedli? - spytał profesor Vlk. - Jesteśmy na nogach od wpół do piątej rano.

Pani Tacheci zatrwożyła się.

- Rany boskie, Emilu! - powiedziała. - Zaproś panów do stołu! Powiedzcie, panowie, czy w ogóle coś jedliście?

- Dziękujemy za troskę - powiedział profesor siadając przy stole. - Jedzenia i picia aż nadto, ale pracy dwa razy tyle. No cóż, stara śpiewka, że brak nam ludzi!

- Ale pan im to prosto w oczy powiedział! - powiedział docent z podziwem.

- Powiedziałem im - powiedział profesor - że to zupełnie tak samo, jakby od kogoś oczekiwali, że będzie grał Hamleta i zarazem ustawiał dekoracje.

- I jeszcze strzygł włosy! - dodał docent.

- No właśnie - powiedział profesor z największym niesmakiem. - Mróz człowieka przechodzi aż do szpiku kości, kiedy sobie uświadomi, jak łatwo paru biurokratów i pomyleńców mogłoby pozbawić ludzkość jej najstarszych tradycji. Na całe szczęście w porę - ciągnął już znowu spokojnie, dawszy docentowi znak, żeby nalał

- znaleźli się porządni i wpływowi ludzie, którzy to zrozumieli. Zanim Lizinka skończy naukę, zostanie z tej smutnej historii tylko przykry akapit w skryptach.

- Mielicie panowie - spytała pani Tacheci - jakąś próbę?

- Próbę generalną, premierę i ostatnie przedstawienie - powiedział docent Šimsa.

- I to się opłaca?

- Zależy komu - powiedział docent Šimsa wyszczerzając w uśmiechu zęby. - Nam trzem się opłacało, dwóm nie. No to za nich!

Nie było wątpliwości, że z niego dowcipniś co się zowie. Profesor Vlk i pani Tacheci śmiali się razem z nim. Doktor Tacheci, który też miał już pusty kielich, dopiero w ostatniej chwili spostrzegł, że docent Šimsa znowu mu nalewa.

- Panowie - powiedział po raz trzeci.

Miał zamiar wystąpić nader kategorycznie, ale z ust wyrwał mu się jedynie szept.

- Macie państwo piękne mieszkanie - z uznaniem powiedział profesor podchodząc do

okien. - Tylko okolica trochę nieprzyjemna.

Z jednego okna widać było jedynie okna stojących naprzeciw domów, z drugiego - pole poza osiedlem, gdzie rzucało się w oczy wysypisko śmieci, z góry wyglądające jak rozprute materace.

- W nieskończoność powtarzam mężowi - powiedziała pani Tacheci nie spuszczać z profesora zachwyconego spojrzenia - dopóki Lizinka była dzieckiem, miało to swoje dobre strony, ale teraz, kiedy dojrzeła, człowieka po prostu oblatuje strach.

- Kobieta umie się bronić lepiej niż mężczyzna - powiedział docent. - Mężczyźni to tchórze. Na kobietę potrzeba czasem aż czterech.

- No a jak jest ich czterech?

- To może się jeszcze modlić - uśmiechnął się docent Šimsa.

- Ja - powiedziała pani Tacheci - kazałabym ich żywcem obdrzeć ze skóry!

Profesor Vlk nachmurzył się.

- Ale, ale! - powiedział surowo. - I byłoby to sprawiedliwe?

Pani Tacheci zamarła.

- Jak to? - zapytała z wyraźną konsternacją. - Czyżby po to matka rodziła i hołubiła swoją córkę, żeby potem bezkarnie zgwałciło ją czterech chuliganów?

- Ach tak! - powiedział profesor i jego twarz zaraz się rozpogodziła. - Nie zrozumiałem w pierwszej chwili, kogo ma pani na myśli. W tym przypadku ma pani oczywiście rację. Kara obdzierania ze skóry została u nas nawet wprowadzona, przez króla Władysława w szesnastym stuleciu.

- No to za króla Władysława - powiedziała pani Tacheci, wdzięczna za obrócenie w żart chwilowego nieporozumienia.

- Za króla Władysława! - z radością podchwycił toast profesor Vlk i wstał, żeby stuknąć się kieliszkiem z nią i jej mężem.

Doktor Tacheci machinalnie wypił, a docent Šimsa nalał mu ponownie z konfidencjonalnie pochwalnym mrugnięciem.

- Król Władysław - ciągnął profesor - był w ogóle ciekawym człowiekiem. W roku 1509 skazał pewnego przestępcę na wystrzelenie z armaty. Niestety ani jedna, ani druga kara nie przyjęła się u nas.

- Ja - powiedziała pani Tacheci z zapalem - wprowadziłabym je i dziś przeciw takim typom.

Piła równie rzadko jak jej mąż i oto stwierdzała, że wiele traciła. Alkohol pomnażał radość z sukcesu córki, a towarzystwo obu mężczyzn wyzwalało myśli, które u boku doktora

Tacheciegi pozostawały niewypowiedziane.

- Ja - kontynuowała - obdzierałabym ich żywcem ze skóry osobiście i wszystkie matki całowałyby mnie za to po rękach. Szkoda, że nie jestem mężczyzną!

Jej mąż w proteście wznosił nieśmiało rękę. Przypadkiem trzymał w niej kielich. Profesor natychmiast podniósł swój i szkło zadzwoniło o szkło.

- Słusznie, panie doktorze! - powiedział z podziwem. - To się aż prosi o toast za zdrowie pańskiej małżonki.

Doktor Tacheci wstał, wypił i usiadł, chociaż nie bardzo wiedział, dlaczego to robi. Pozostałe trzy osoby stały nadal.

- Łaskawa pani - powiedział profesor Vlk - podobnie zapewne myśli każda normalna kobieta, ale rzadko która ma odwagę to wypowiedzieć. Któż inny, jeśli nie kobiety tworzyły doborową kadrę stałej publiczności pod gilotyną, jak świadczą o tym ryciny z epoki. Ale nawet rewolucja francuska, która podniosła egzekucję do rangi uroczystości państwowej, nie wyrugowała największej niesprawiedliwości: równouprawnienie ominęło jedną jedyną dziedzinę ludzkiej aktywności, i to właśnie tę, podczas której człowiek najpełniej jest człowiekiem. Następnie przez bite dwieście lat -

profesor Vlk wyzbył się swojej powściągliwości i zaczął przypominać raczej romantycznego wieszacza

- aż do dzisiaj przywilej czynienia zadość najsurowszym rozstrzygnięciom prawa pozostał, bez logicznego uzasadnienia, w rękach mężczyzn. Przez te wszystkie lata wykonywanie wyroków pozbawione było kobiecej zimnej krwi i błyskotliwości, ba, nawet wtedy, kiedy same niewiasty musiały dać gardło, nie miały prawa przyjąć śmierci z kobiecej ręki. Jakaż niesprawiedliwość i -

profesor Vlk przez moment szukał odpowiedniego słowa

- zacofanie w czasach, kiedy kobiety kierują statkami kosmicznymi i stojąc na czele państw prowadzą wojny. Tym większa nasza radość, że to właśnie nas czworo, a nie kto inny, tak, my jako pierwsi możemy powitać dopełnienie się czasów nowożytnych. Dzięki oświeconym jednostkom, które tej idei poświęciły całe życie...

- Dzięki panu, profesorze! - przerwał mu z podziwem docent Šimsa.

- Nie, nie, kolego - powiedział profesor Vlk nie bez wzruszenia, ale kategorycznie - my jesteśmy tylko marynarzami umarłych kapitanów, oni wytknęli cel, a my możemy z bocianich gniazd zawołać: Ziemia! Nasz fach po raz pierwszy w swej historii otrzymał odpowiednie miejsce, gdzie może się rozwijać w warunkach podobnych tym, w jakich rozwijają się profesje o wiele, wiele młodsze. Co więcej: jeśli 21 stycznia 1790 roku

upamiętnił się jako dzień, w którym francuskie zgromadzenie narodowe ogłosiło równość wobec egzekucji, to dzień dzisiejszy przejdzie do historii jako dzień, kiedy zapanowała równość egzekutorów. Oto i ona! -

wykrzyknął serdecznie, gdy otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Lizinka, której bladą cerę leciutko zaróżowiło przeżyte napięcie.

- Oto ona, nasza przyszła pierwsza wykonatorka i z największym prawdopodobieństwem również pierwsza

7

kacica świata.

Ostatnich słów pani Tacheci już nie słyszała, bo też nie musiała ich słyszeć. Przytłoczona wrażeniami, podeszła do córki, objęła ją i przycisnęła jej drobną twarz do swoich pełnych piersi.

- Lizinko moja! - powiedziała przez łzy. - Dziewuszkco moja złota, nawet nie wiesz, jaka jestem szczęśliwa!

Profesor Vlk skinął na docenta Šimse, żeby ponownie napełnił kieliszki.

- No, panie doktorze - powiedział - to przecież dobry powód, żeby się napić!

Doktor Tacheci parsknął śmiechem.

- To dobre! - powiedział. - To się panu udało! A to się panu udało! A to dopiero się panu udało!!

Śmiał się coraz głośniej, aż dostał czkawki. Chociaż wyraz jego twarzy się nie zmienił, wyglądało to, jakby płakał.

Docent podeszedł do niego z nieskrywanym zamiarem trzepnięcia go w plecy. Ale profesor był szybszy. Chwycił go za rękę i powiedział ostrzegawczo:

- Nie, kolego, lepiej nie...!

Šimsa spojrział mimo woli na swoją dłoń, której ostre kanty zdradzały rzetelny trening karate, i przepaszająco kiwnął głową. Doktor Tacheci krztusił się i płakał ze śmiechu. W końcu zorientował się, że grozi mu uduszenie, i spróbował wstać. Poczekał, aż rozhuśtany pokój się uspokoi, po czym skoncentrował się, żeby przez prześwit między dwiema karmazynowymi marynarkami przedrzeć się do przedpokoju.

Na chwilę się stropił widząc, że znalazł się w zimowym krajobrazie pełnym saneczkujących dzieci, ale szybko zdał sobie sprawę, że opiera się czołem o ramę obrazu.

Zamknął oczy i przesuwał głowę, aż dotknęła ściany przedpokoju, która niczym tor kolejowy doprowadziła go do łazienki.

Tam zdjął marynarkę i powiesił ją tuż przy wieszaku. Następnie skrupulatnie przesunął krawat aż na plecy, żeby go nie zamoczyć, pochylił się nad wanną i po omacku odkręcił kurek prysznic. Kiedy zimny strumień orzeźwił mu potylicę, otworzył oczy. Przed sobą miał kolejny obraz, tym razem martwą naturę z kurą i karpem. Podczas gdy woda po krawacie spływała mu do spodni, usiłował sobie przypomnieć, kto to namalował i jak się dostało do wanny. W końcu dotarło do niego, że to nie obraz, ale naprawdę

8

martwy karp i kura z poderżniętym gardłem.

- Wynocha! - zawołał doktor Tacheci, kiedy znowu zjawił się na progu pokoju. Z włosów, koszuli i spodni ściekała mu woda, ale poza tym wyglądał nadspodziewanie trzeźwo. Lizinka grzecznie siedziała na krześle matki, która rozłożyła właśnie na stole ich ślubny serwis do kawy i zabierała się do krojenia babki marmurkowej.

- Rany boskie, Emilu - powiedziała pani Tacheci z przerażeniem. - Jakże ty... no nie, co ty masz w ręku??

- Kurę - powiedział jej mąż - a ty milcz! Pan jest profesorem? - spytał Vlk.

- Owszem, panie doktorze - powiedział Vlk.

- Profesorem czego? - spytał doktor Tacheci.

- Jestem profesorem nauk egzekutorskich Vlk, a to jest docent nauk egzekutorskich Šimsa.

- Jesteście kaci! - powiedział doktor Tacheci mściwie.

- Nasze dyplomy, panie doktorze - powiedział profesor Vlk z godnością - są równie dobre jak pański.

- Jesteście kaci! - zawołał doktor Tacheci. - Przyszliście prosto z pracy!

- Emilu, opamiętaj się! - zawołała jego żona.

- Cicho bądź! - krzyknął jej mąż. - I pan śmie mi proponować, żeby moja córka mordowała ludzi??

Profesor Vlk wstał. Nie przypominał już ani wiejskiego lekarza, ani romantycznego wieszacza. Barwa jego marynarki zapachniała krwią. Zdawało się, że lada chwila wybuchnie, a godło państwowe nadawało jego gniewowi ponadindywidualny wymiar.

Doktor Tacheci nie przestraszył się jednak. W krytycznej chwili dorósł wreszcie do roli ojca, a obrona własnego maleństwa dodaje więcej sił niż interes państwa. Choć nigdy w życiu się nie bił, był gotów uderzyć przeciwnika martwą kurą.

Vlk był zbyt dobrym psychologiem, żeby umknęło to jego uwagi. Zmienił zamiar i podszedł do regału z książkami.

- Pozwolą państwo? - spytał zwięźle i nie czekając na odpowiedź wyjął drugi z ośmiu tomów, których grzbiety tworzyły z daleka widoczną całość.

- Mógłbym tu cytować cały szereg wybitnych w swojej specjalności umysłów - powiedział - ale ograniczę się do zdania tych, których i pan uznaje, panie doktorze. Aleksandra Dumasa bez wątpienia nie oskarżyłby pan o to, że usiłuje zawładnąć duszą pańskiej córki. Przekonajmy się zatem, co on mówi na stronie 281 drugiego tomu *Trzech muszkieterów*:

„Gdy znaleźli się nad brzegiem rzeki, kat podszedł do Milady i związał jej ręce i nogi. Wówczas przerwała ciszę i zawołała:

- Jesteście nikczemni, jesteście nędzni mordercy, w dziesięciu zabijacie jedną kobietę.

- Nie jesteś kobietą - rzekł zimno Atos. - Nie należysz do rodzaju ludzkiego, jesteś demonem, który uciekł z piekieł i którego odeślemy do piekieł z powrotem.

- Ach, cnotliwi panowie! - rzekła Milady. - Zważcie, że ten, kto dotknie włosa na mej głowie, sam stanie się mordercą.

- Kat może zabijać nie stając się mordercą, pani - rzekł mężczyzna w czerwonym płaszczu, uderzając ręką po szerokim mieczu. - To ostatni sędzia, to -

profesor Vlk zamknął tom i odłożył go na półkę

- wszystko¹. Pan wszelako jest teoretykiem, panie doktorze, i może pan zauważyć, że postać powieściowa wyraża jedynie poglądy autora. Ale wobec tego niech pan odłoży emocje na stronę i uda się ze mną na pole nauki. Użył pan terminu „kat”, żeby dać wyraz swojej pogardzie. A przecież właśnie ów termin i właśnie dla pana winien być dowodem na to, że kat wchodzi w nasze dzieje jako wysłannik dużo wcześniejszych, dawnych kultur. Przecież raptem dwa ze wszystkich słowników etymologicznych usiłują zaledwie odgadywać pochodzenie tego słowa. Wacławowi Machekowi wydaje się, że słowo „kat” jest tożsame z rosyjskim „chwat”, czyli jest to „człowiek bystry, zręczny, śmiały”. Józef Holub i Franciszek Kopečný sądzą nawet, że kat pochodzi z niemieckiego „Gatte” - „współtowarzysz, przyjaciel”, a dla porównania przywołują termin „Ehegatte” -

¹ Przełożyła Joanna Guze.

ciągnął profesor Vlk

- czyli „małżonek”. Nowożytną genezę tych funkcji zapewne najlepiej naświetla dzieło pod tytułem *Początki katów i oprawców*, autor Rudolf Rauscher, pierwsza drukarnia Lwów 1930, gdzie mówi się, cytuję: „...początki rzemiosła egzekutorskiego sięgają u nas XIII stulecia. Egzekutorzy byli to *accusatores publici*, ustanowieni przez króla Otakara II, wywodzący się wyłącznie z rodów szlacheckich, którzy stopniowo stali się i sędziami, i wykonawcami wyroków”. Z pewnością nie uszło pańskiej uwagi, panie doktorze, że w trój-jedyniej postaci reprezentują oni cały wymiar sprawiedliwości, a dopiero w sto lat później pierwszą szkołę wyższą opuści pierwszy doktor praw. Jeśli chce pan dowodu jeszcze bardziej przekonującego, to proszę przewertować *Majestas Carolina*, gdzie w artykule 90 mówi się, co następuje:

„Querimoniam contra procuratores nostros sive provinciarum iustitarios, qui vulgariter dicuntur -

tu profesor Vlk powiedział z naciskiem

- o p r a w c z o n e s”. Dla pana wszakże, podobnie jak dla zbrodniczej Milady, kat, oprawca czy, mówiąc urzędowo, wykonator pozostał po prostu mordercą. Jakże odmienną postawę zajmuje pański kolega Joseph de Maistre, kiedy w swoich *Soirées de Saint Petersbourg ou Entretiens sur le gouvernement temporel de la Providence* już w roku 1921 prezentuje słynne studium o kacie, którego bodaj urywek zacytuję:

„...wypadkową tej strasznej prerogatywy...”, prerogatywa to -

tłumaczył profesor Vlk zwracając się do Lizinki

- wyłączny przywilej władcy, wykluczający współdecydowanie ludu, na przykład prawo karania przestępców, no więc jej wypadkową, cytuję dalej, „jest konieczność istnienia człowieka, którego zadaniem byłoby osiągnąć zbrodni karami określonymi przez ludzką sprawiedliwość; i człowieka takiego rzeczywiście spotykamy wszędzie, choć nie potrafilibyśmy wyjaśnić, jak to jest możliwe; rozum bowiem nie znajduje w naturze człowieka żadnego motywu, który mógłby go skłonić do wyboru tego fachu. Czym jest więc ta niepojęta istota, która od wszelkich zatrudnień przyjemnych, popłatnych, uczciwych, a nawet zaszczytnych stawia wyżej zajęcie polegające na męczeniu i uśmiercaniu bliźnich? Czy głowę, serce ma takie same jak my? Czy może jest w niej coś szczególnego, obcego naszej naturze? Co do mnie, nie wątpię o tym. Zewnętrznie istota ta niczym się od nas nie różni; przychodzi na świat tak jak my; ale jest to istota wyjątkowa, która w rodzinie ludzkiej musi pełnić szczególną funkcję. Stworzona została jak -

ciągnął profesor Vlk

- świat", koniec cytatu. Proszę mi nie brać za złe ewentualnych drobnych niedokładności, które zresztą mogą dotyczyć co najwyżej składni, ponieważ właśnie z tego tematu się habilitowałem, a niebawem powinienem wyklądać go -

tu zwrócił się do pani Tacheci

- pani córce. Wyjątkowo pięknie sformułowany został w tym dziele fragment przedstawiający stosunek egzekutora do pracy. Cytuję: „...przychodzi na plac publiczny, zapelniony po brzegi stłoczonym i coraz bardziej podniecającym się tłumem. Rzucają mu truciciela, ojcobójcę, bluźniercę; chwyta go, rozciąga jego ciało, przywiązuje do krzyża, pozostającego jeszcze w pozycji horyzontalnej, po czym wznosi dłoń: nastaje straszna cisza, nic nie słyhać oprócz krzyku kości trzaskających pod drągiem i jęków ofiary... Skończył: serce mu bije, ale z radości; gratuluje sobie w duchu: Nikt nie łamie kołem lepiej -

ciągnął profesor Vlk

- ode mnie". Po tym sugestywnym opisie układu de Maistre słynną na cały świat apoteozę, która powinna stanowić credo życiowe każdego kata i wobec tego jej znajomość będzie obowiązywać na egzaminie -

powiedział profesor Vlk zwracając się do Lizinki

- na pamięć i na wrywki. Cytuję: „...wszelka wielkość, wszelka władza, wszelka subordynacja świata opiera się na kacie; jest on grozą i spoiwem społeczności ludzkiej. Usunięcie ze świata ten niepojęty czynnik; z miejsca ład przemieni się w chaos, runą trony, znikną społeczeństwa. Bóg, który jest autorem suwerenności, jest też twórcą kary: umieścił naszą ziemię na tych dwu biegunach i na nich każe obracać się światu". Pan -

powiedział profesor Vlk zwracając się do doktora Tacheciego bez cienia wyrzutu czy drwiny

- panie doktorze, jest z pewnością, jak można z pańskiej postawy wnosić, zwolennikiem tezy Jana Jakuba Rousseau: „człowiek z natury jest dobry, demoralizuje go społeczeństwo", na której to tezie został zbudowany cały tak zwany humanizm europejski. Nie przypadkiem już w roku 1764, czyli ledwo w dwa lata po wydaniu *Umowy społecznej* Jana Jakuba, wychodzi w Monaco sławetny pamflet Cesarego Beccarii *Dei delitti e delle pene*, czyli -

tłumaczył profesor Vlk zwracając się do pani Tacheci

- o *przestępstwach i karach*, dowodzący za pomocą skleconych na siłę konstrukcji logicznych, że ludzkie życie nie należy do dóbr, którymi wolno dysponować społeczeństwu, i jako pierwszy wysuwający postulat zniesienia kary śmierci. Aliści, jak powiada Goethe, „grau, teurer Freund, ist alle Theorie und grün des Lebens goldner Baum", czyli -

tłumaczył profesor Vlk zwracając się do Lizinki

- „szara jest wszelka teoria, zielone zaś życia złote drzewo"! La Révolution, urzeczywistniając Janajakubową teorię nowego społeczeństwa obeszła się kolejno bez Dantona i Robespierre'a, jak też - tak jest - i bez samego Jana Jakuba, ale nie obeszła się bez człowieka, który stuletnie społeczeństwo zlikwidował praktycznie w ciągu trzech lat, a był to citoyen Charles Sanson, kat rewolucyjnego Paryża. To on jest bohaterem słynnych *Mémoires pour servir à l'histoire de la révolution française*, które nawet podpisał jako autor; i dopiero później się okazało, że użył swego szyldu początkującemu literatowi o nic nie mówiącym nazwisku -

ciągnął profesor Vlk

- Honoré de Balzac. Od niego zaczyna się wspaniała galeria portretów egzekutorów, którą wzbogaca swoimi arcydziełami zarówno Szkot Walter Scott, jak i Czech Karel Hynek Mácha, którego powieściowy fragment *Kat* ukazuje bohatera wręcz jako ostatniego potomka królewskiego rodu Przemyślidów. „Był wysoki, szczupły - pisze Mácha - czarne kędzierzawe włosy, żadną czapką nie opięte, kryły całe czoło, aż po gęste brwi, pod którymi z głębi orbit płomiennie iskrzyło się dwoje oczu; także resztę twarzy czarny włos zarastał. Nad czarnym przyodziewkiem powiewał czerwony płaszcz, a przez plecy miał na ukos przewieszony -

cytował profesor Vlk, a pani Tacheci się zdawało, że opisuje swoją fotografię z lat studenckich

- szeroki miecz z długą rękojeścią". Nawiasem mówiąc myślę, iż Karel Krejčí myli się w swoim studium *Symbol kata i skazańca w dziele Máchy* uznając zbliżenie typu króla z typem kata za objaw zakłóconego porządku społecznego. Wręcz przeciwnie: w obosiecznym oksymoronie ich wzajemnego tytułowania się - „Królu kacie!" i „Kacie królu!" - pobrzmiewa znana nam z de Maistre'a biegunowość obu podstawowych funkcji społecznych. Taką postawę prezentują odpowiedzialni artyści, zwłaszcza Franz Kafka i Pär Fabian Lagerkvist w swoich genialnych dziełach, w przypadku tego ostatniego najzupełniej logicznie nagrodzonych Noblem. Taki jest prawdziwy obraz kata, a jeżeli nawet znalazły się jednostki, które okazały się niegodne tego wizerunku, to jeszcze nie upoważnia to pana jako uczonego do potępiania w czambuł ogromnej pracy, jaką tysiące solidnych katów w ciągu całych pokoleń wykonały dla ojczyzny i ludzkości. Przecież, z ręką -

ciągnął profesor Vlk zwracając się do doktora Tacheciego, a w jego głosie po raz pierwszy zabrzmiała subtelna ironia

- na sercu, nie każdy absolwent wydziału filozofii zostanie Schopenhauerem, nieprawdaż, panie doktorze? A już niejeden z nich jak najśluszej skończył właśnie w rękach

kata, którego znaczenia nie pomija żaden poważniejszy słownik encyklopedyczny. Zacytuje bodaj jeden z nich, *Meyers Neues Lexikon*, Leipzig 1964, hasło Scharfrichter: „Osoba z racji swojego zawodu wykonująca na skazańcach wydane przez sąd wyroki śmierci w formie ustanowionej przez prawo”. To, i tylko to, miałyby wykonywać również pańska córka. Nie chodziło więc o -

ciągnął profesor Vlk zwracając się do doktora Tacheciego, a w jego głosie po raz pierwszy zabrzmiał lekki wyrzut

- mordowanie ludzi, lecz o to, żeby otworzyła się przed nią najbardziej być może rozwinięta, a w każdym razie najpopularniejsza dziedzina działalności ludzkiej, o wiele starsza niż medycyna czy prawo, nie mówiąc już o filozofii. Ja, obecny tu kolega -

ciągnął profesor Vlk zwracając się do docenta Šimsy

- i inni pedagogowie zamierzaliśmy przekazać jej bogate wiadomości, które - na co zwróciłem już uwagę w swojej małej improwizacji - stanowią jeden z fundamentów cywilizacji. Chcieliśmy jej też przekazać swoje bogate doświadczenie praktyczne, ażeby *capital punishment*, jak słusznie mówią Anglicy, „absolutna kara” nie stała się fachem dyletantów, ale ponownie domeną najlepszych synów, a teraz i najlepszych córek swojego stulecia. Jeżeli jest pan -

ciągnął profesor Vlk zwracając się do doktora Tacheciego

- panie doktorze, prawdziwym humanistą, to nie wolno panu zamykać oczu na fakt, że podczas każdej większej akcji, czy jest to rewolucja lokalna, czy wojna światowa, mnóstwo ludzi traci życie i odbierają im je osoby, dla których wieszać znaczy po prostu wieszać. Tylko że - proszę mi wierzyć! - to dosyć duża różnica, czy stryczek z miejsca złamie panu kark, czy też przez kwadrans powoli pana stranguluje, tak że może się pan zameczyć na śmierć. Dzisiaj na przykład kolega Šimsa pracował tak zręcznie, że lekarz mógł urzędowo stwierdzić zgon jego podopiecznego po dwudziestu ośmiu sekundach.

- Pan był o trzy sekundy lepszy! - powiedział docent Šimsa z podziwem.

- Zresztą nigdzie - szybko ciągnął dalej profesor Vlk z dżentelmenerią człowieka, któremu obca jest wszelka próżność - nie jest powiedziane, że musi wykonywać wyroki. Może się po maturze poświęcić teorii. Ale nawet gdyby została czynną kacią, nikt od niej nie może wymagać, ażeby kogoś dajmy na to rwała kleszczami czy łamała kołem. Będzie egzekwować jedynie kary, które w dzisiejszym cywilizowanym świecie przewiduje prawo. Jeżeli pominąć rozstrzeliwanie, tradycyjnie już zarezerwowane dla wojskowych, stosujemy dzisiaj w Europie tylko garotę, gilotynę i sznur. Ameryka pierwsza wyszła naprzeciw kaciom, wprowadzając egzekucje za pomocą elektryczności i gazu, do których kobiety są -

ciągnął profesor Vlk zwracając się do pani Tacheci

- przyzwyczajone w każdej nowoczesnej kuchni. Można powiedzieć, że kat oddaje dziś ubranie robocze do pralni o wiele rzadziej niż robotnik swój kombinezon. To wszystko -

ciągnął profesor Vlk zwracając się do doktora Tacheciego

- co chciałem powiedzieć w związku z pańską uwagą, teraz -

powiedział zwracając się do docenta Šimsy i spoglądając na zegarek, który wskazywał piątą za pięć

- już pójdziemy. Nie, nie, łaskawa pani -

dodał jeszcze, kiedy zauważył, że matka Lizinki nabiera powietrza, ażeby opowiedzieć się po jego stronie, w sposób z pewnością dużo mniej fachowy, ale za to dużo bardziej płomienny

- pani małżonek ma święte prawo w spokoju rozważyć moje argumenty i uznać je albo za tak błahę, że nie są warte naukowej dysputy, albo przeciwnie - za tak ważne, że o przyjęcie waszej córeczki poprosi nas pisemnie. My bowiem, panie doktorze, też mamy święte prawo do wybrania tych spośród ubiegających się o przyjęcie, którym nie będzie brakować również odpowiedniego zaplecza domowego. Wielu zasłużonych katów nie wiem co dałoby za to, żebyśmy przyjęli ich latorośle. Jeżeli chcemy skończyć definitywnie z przewyciężoną już tradycją rodzinnego rzemiosła i dajemy szansę także dzieciom językoznawców, to musimy mieć pewność, że ta koncepcja w pełni się obroni praktycznymi rezultatami. Stanowczo nie możemy ryzykować, że właśnie pierwsza kacica świata będzie narażona na niezrozumienie ze strony własnego ojca. Gdyby miała mieć jeszcze i takie problemy, to każdy delikwent pięknie by jej podziękował. Tak więc proszę pozwolić nam się teraz -

profesor Vlk pocałował panią Tacheci w rękę i zachęcająco uśmiechnął się Lizinki

- pożegnać.

Potem przyjaźnie wyciągnął dłoń do doktora Tacheciego.

- Ach, przepraszam - powiedział.

Wziął z jego prawicy martwą kurę i podał ją pani Tacheci.

- Po takim napięciu - powiedział - obfita kolacja z pewnością będzie państwu smakować. Przystawkę znajdziecie w wannie.

- Przecież - powiedziała pani Tacheci rwącym się głosem - przy tym wszystkim nie będziecie panowie jeszcze ponosić wydatków!

- Ależ, jakie tam wydatki - powiedział profesor Vlk - łaskawa pani! Jest taka piękna stara tradycja, że ostatni posiłek zamawiają skazańcy u katów; po niemiecku trafnie nazywa

się to *Henkersmahlzeit*. Za to my mamy prawo do wszystkiego, co zostaje.

- A oni z reguły zjedliby oczyma wszystko - powiedział wesoło docent Šimsa - a że w dodatku jest to gratis, więc każą sobie zastawić cały stół, tylko że potem zawsze apetyt im przechodzi. Pozwoli pani, że zabiorę z łazienki nasze naczynia i walizeczki?

Doktor Tacheci, zupełnie zgnębiony, widział jak przez mgłę, że jego żona pomaga profesorowi Vlkowi włożyć raglan. Docent Šimsa dziękując za oferowaną pomoc ubrał się sam. Obaj goście nietaktowne zachowanie gospodarza skwitowali pełnym zrozumienia uśmiechem. Profesor ceremonialnie się uklonił.

- Nie mamy zwyczaju mówić do widzenia - powiedział - ale w tym przypadku nie możemy bodaj nie powiedzieć: do szybkiej współpracy!

- Wybaczcie, panowie - powiedziała pani Tacheci - ale mężowi to się tak tylko powiedziało.

Lizinka grzecznie dygnęła.

- Aha - powiedział docent Šimsa, który już trzymał bagaże - jeszcze momencik!

Postawił blaszaną bańkę, ukląkł nad walizką i otworzył ją. Pośród klamer, młotków i rzemieni leżał skręcony sznur konopny. Swoim szczególnym scyzorykiem odciął jakieś trzydzieści centymetrów i podał panience, jak gdyby wręczał jej kwiat.

- Na szczęście, panno Lizinko! - powiedział dwornie. - Jeszcze ciepły!

Jego gest był tak sugestywny, że Lizinkaomal prezentu nie powąchała.

Potem obaj goście przytknęli białe rękawiczki do czarnych kapeluszy i wyszli.

Jeszcze nim przebrzmiały na schodach ich kroki - a zatem i oni musieli słyszeć dobiegające z mieszkania dźwięki - pani Tacheci z kurą w ręku weszła do sypialni, trzasnęła drzwiami i przekreśliła klucz w zamku. Doktor Tacheci został sam z córką.

Miał ją więc teraz całkowicie w sferze swojego oddziaływania intelektualnego, ale siła, która jeszcze przed chwilą pozwoliłaby mu po raz pierwszy w życiu walczyć choćby i fizycznie, wyparowała gdzieś bez reszty. Zdobył się tylko na jedno: ujął Lizinkę pod brodę i uniósł ku sobie jej dziecięce oczy.

- Lizinko - szepnął z żarem - my dwoje zawsze byliśmy sprzymierzeńcami i nigdyśmy siebie nie okłamywali. Powiedz mi więc teraz, ale szczerze, czy rzeczywiście mogłabys uśmiercać ludzi?

Lizinka szczerze wzruszyła wątlými ramionkami.

- Lizinko - powiedział doktor Tacheci zdruzgotany - czy ty, moja córeczka, wolałabys być kacimą niż dajmy na to uczciwą piekarką lub ogrodniczką?

Lizinka szczerze

kiwnęła ponętą główką.

II

Pierwszego września, za kwadrans ósma rano doktor Tacheci, siedzący z przodu, zamknął oczy i usiłował sobie wmówić, że portal, do którego zbliża się taksówka, należy do wydziału filozoficznego.

Pani Tacheci oczyma duszy widziała siebie idącą po raz pierwszy do szkoły dla dziewcząt: na głowie miała trwałą, na nogach szpilki, na biodrach wąską kraciastą spódniczkę, a ramiona i piersi opinał jej czerwony sweterek, uwydatniający ich kobiecą dojrzałość. Musiała wszakże przyznać, że córka, choć zupełnie do niej niepodobna, ma równie wiele uroku. Usiłowała wczuć się w jej myśli i zapanować nad wzruszeniem.

Lizinka

10

obserwowała taksówkarza.

Ilekoć skręcał w lewo, do końca nie zdejmował prawej ręki z kierownicy krzyżując ją tym samym z ręką lewą. Przy skręcie w prawo przerzucał lewą rękę do prawej i ciągnął kierownicę oburącz. Kiedy jechał prosto, prawą rękę trzymał na górze, a lewą na dole kierownicy.

Wrzesień był suchy, wonny i słoneczny, wszystko niosło jeszcze tchnienie wakacji. Budynek z poprzecinanymi kratą oknami i pancerną bramą, która otwierała się jak harmonijka, wnosił w ten nastrój wyraźny zgrzyt. Taksówkarz przez całą drogę nie odrywał wzroku od lusterka wstecznego i nagle włączył światła, gdyż zawładnęło nim przekonanie, iż wiezie księżniczkę. Kiedy zatrzymał się przed więzieniem, zapytał z konsternacją:

- Państwo tu kogoś macie?

- Biorą nam tu córkę - powiedziała pani Tacheci z dumą.

Facet ponownie spojrzął na Lizinkę i spytał z przerażeniem:

- Na ile?

- Na rok - powiedziała pani Tacheci wyniośle, zaraz jednak zatrwożyła ją własna niedyskrecja i umilkła.

- A to ścierwa! - powiedział taksówkarz. - Toż to jeszcze dziecko!

Po czym zląkł się własnej odwagi i szybko odjechał. Strażnik długo studiował dowód osobisty Lizinki i przepustkę. Po czym powiedział:

- A wy dwoje?

- My jesteśmy jej rodzicami - powiedział doktor Tacheci - i myśleliśmy...

- To się odzwyczajcie - powiedział strażnik tonem, w którym brzmiała raczej długoletnia rutyna niż osobista wrogość - i zróbcie w tył zwrot!

Po czym nacisnął guzik dzwonka i bębnił palcami o kolbę pistoletu. Doktor Tacheci pomyślał, że teraz powinien wziąć córkę za rękę i pospieszyć z nią co sił na przystanek tramwajowy. Ale zaraz przypomniał sobie własny podpis na podaniu o przyjęcie do szkoły i zwiesił głowę.

- Lizinko! - powiedziała pani Tacheci uroczyście. - Idź, córeczko i ucz się, żebyśmy mieli z ciebie pociechę.

Przypomniała jej się własna matka na progu szkoły dla dziewcząt i na czole Lizinki zrobiła krzyżyk. Również strażnik poczuł rzewny podmuch dzieciństwa i odwrócił się. Lizinka nadstawiła buzię i doktor Tacheci pocałował ją lekko.

- Niech cię wszyscy święci - powiedział

11

ładny, ale dziwnie blady chłopak. Zeskoczył z parapetu okiennego i patrzył na nią ze zdziwieniem i zainteresowaniem.

- Ty jesteś tą dziewczyną - spytał - co ma chodzić z nami?

Lizinka kiwnęła głową.

- To ci dopiero! - powiedział zdumiony.

Przebiegł przez korytarz, otworzył ostatnie drzwi i zawołał:

- Panowie, już jest!

W obszernym pokoju z tablicą, siedmioma biurkami, szkieletem ludzkim i gablotami, który od pracowni biologicznej odróżniały jedynie kraty w oknach, pięciu chłopców grało w salonowca. Dwoma złączonymi palcami czterech na przemian waliło po tyłku piątego, który wspierał się łokciami o kolana i jak na razie bezskutecznie usiłował zgadnąć, kto właśnie go uderzył, co spowodowałoby wymianę bitego. Wzajemne poznanie się przebiegło jak wśród rówieśników.

- Cześć! - powiedział grubasek wyglądający dobrodusznie, a zarazem komicznie, gdyż na dzinsach, w kroku i nad biodrami, naszyte miał łaty w kwiatki.

- Cześć! - powiedzieli równocześnie dwaj chłopcy. - Jesteśmy Piotr i Paweł.

Były to bliźniaki, bracia podobni do siebie z wyglądu i ubrania jak dwie krople wody; różnili się tylko przedziałkami w gładkich czarnych włosach.

- Cześć! - powiedział czwarty. - Mam na imię Albert.

Wspaniałe kasztanowe włosy, które mu spływały aż na ramiona, i wielkie, niemal sarnie oczy sprawiały, że ludzie z początku nie zauważali jego ułomności: miał garb.

Piąty uczeń wciąż jeszcze pozostawał odwrócony do nich tyłem: oczekując w kucki na dalsze uderzenia sapał z irytacji i nie zwracał uwagi na ich rozmowę.

- No, dalej - powiedział niecierpliwie. - Na co czekacie, do jasnej Anielki?

- Szymon, wystawiasz dupę na damę - powiedział Franek. - Cóż, przynajmniej pozna cię z tej lepszej strony.

Chłopiec się odwrócił. Był to dryblas z nedorzecznie małą głową; ostrzyżona na pałę przypominała piłkę tenisową nieco większą od normalnej. Ujrawszy Lizinkę, Szymon wybałuszył oczy i rozdziawił gębę.

- Módl się, Szymon! - wymamrotał Albert nieoczekiwanie niskim głosem. - Anioł Pański przyszedł cię ukarać za wszystkie koty, które załatwiłeś!

Osilek z hukiem runął na kolana i zakrył twarz dłońmi większymi niż głowa.

- Litości...! - wykrzyknął rwącym się głosem.

Odpowiedział mu młody śmiech wyrywający się z pięciu gardeł.

- Z ciebie to kawał durnia! - powiedzieli Piotr i Paweł.

Szymon rozcapierzył palce i zażawionymi oczyma z niedowierzaniem patrzył na Lizinkę.

- A ja jestem Ryszard - powiedział chłopak, który ją przyprowadził. - Cześć!

Jego ujmująco bladą twarz, jaką mógłby mieć pasterz z sielankowych gobelinów, zabarwił rumieniec, pierwszy - zdał sobie z tego sprawę - którym nie stemplowała go podstępna choroba, ale całkiem zwyczajny wstyd, co oznaczało, że wraca do niego zdrowie, szczęście, radość młodości...

W tym momencie otworzył drzwi docent Šimsa i zaraz ustąpił miejsca profesorowi Vlkowi, który wszedł pierwszy.

- Skręć kark! - szepnął mu wesoło docent Šimsa.

Vlk splunął w dłoń i zabrał się do dzieła. Pierwszych trzech powiesił sam, ale w miarę jak padały

eks-stanowiska państwowe, rósł opór pozostałych. Czwórkę już musieli trzymać trzej pomocnicy, a mimo to dopiero za trzecim zamachem powiodło mu się rup-chrup. Rzecz jasna, nikt by nie miał do niego pretensji, gdyby właśnie t y m po dawnemu zarzucił pętlę i skazał ich na samouduszenie. On wszelako zaczął już w tym czasie systematyczne studia nad osiągnięciem perfekcji w uprawianym zawodzie i jego ekscerpcje z literatury fachowej zapępniały już piąty zeszyt; obowiązki egzekutorskie, którymi coraz częściej go obarczano w takich ilościach, że nawet najwyższy kunszt musiał przeradzać się w rzemiosło, właśnie dlatego stawały się jego losem.

Kiedy stojak z Czwórką odwożono do trumniarni, gdzie klienci dojrzewali - mówiąc profesjonalnym żargonem, który powstał, jak w każdym innym zawodzie - do lekarskich oględzin z urzędu, wcale przy tym nie czyniąc zatoru w ciągu egzekucyjnym, a do wykańczalni z powrotem wieziono Jedynekę, zwolnioną przez lekarza, Vlk nawiązał rozmowę z młodzieńskim pomocnikiem; już niejedną raz wykazał największą, po Karliku, zręczność, a poza tym ani na chwilę nie opuszczał go błyskotliwy humor, którego na miejscach straceń było na ogół tyle, co kot napłakał. Właśnie przed paru minutami, kiedy Numer Cztery nadludzkim wysiłkiem po raz drugi wyswobodził swoją grdykę i mimo knebla wydawał nieprzyjemne skrzeki, wówczas ten chłopak, który trzymał rozpracowywanego klienta za włosy, szarpnął go za głowę i huknął mu w ucho:

- Nie marudź, synu!

Vlk ujrzał z bliska, jak na ułamek sekundy śmiertelna trwoga w oczach klienta ustąpiła miejsca dziecięcemu zdumieniu; na ten moment zwiotczała również szyja, a to Vlkowi wystarczyło; zręcznymi palcami wymacał właściwe miejsce i zastosował chwyt, na który Numer Cztery odpowiedział już tylko rozluźnieniem wnętrzości. Vlk zrozumiał, że młodzieniec wykazał się większym wyczuciem psychologii niż on, któremu już się zdawało, że współzawodniczy z największymi katami w dziejach cywilizacji. I widać zadał sobie swego rodzaju pokutę, skoro w chwili, gdy naczelnik wywoływał Piątkę, zwrócił się do niego z zapytaniem:

- Chcesz go załatwić?

W wesołych oczach mignęło niedowierzanie, ale zaraz zajaśniały wdzięcznością i szczęściem. Chłopak klepnął się prawą ręką po lewym bicepsie i powiedział radosnym głosem:

- Z przyjemnością, mistrzu. Czy wolno mi jednak będzie zastosować własne szlingle²?
- Nie lepiej go szarpnąć? - spytał Vlk sceptycznie. Już już wycofywał się z propozycji.
- To by nie było wobec niego fair - powiedział chłopak ku jego zaskoczeniu - no bo nikt nie ma lepszego rup-chrup niż pan, mistrzu. Ale ja za swój podwójny węzeł mogę ręczyć.
- A co to takiego? - spytał niedomyślnie Vlk.
- Szlingle Šimsa - powiedział chłopak i wyszczerzył zęby. - Tak się bowiem nazywam.
- Dzisiaj nie możemy eksperymentować - powiedział Vlk surowo. - To pierwszy garnitur, gdyby ci się urwał, ktoś by mógł zrobić chryję.
- Mistrzu - nalegał Šimsa - po kryjomu trenowałem obok na załatwionych, szło jak po maśle.

Ta szczerść przekonywała, a poza tym Numer Pięć, którego raczej niesiono niż prowadzono, był wyraźnie w szoku apatycznym. A Vlk przekroczył już swój Rubikon i choć nie zdawał sobie jeszcze z tego sprawy, przeobrażał się w prawdziwego mistrza: stał się pedagogiem. Było zatem w pełni zrozumiałe, że mimo woli posłużył się klasycznym poleceniem:

- Załatwiał!

Po czym przyglądał się, jak młodzian zwinnie mierzy palcami wzrost Numeru Pięć, by umiejscowiwszy ostatni dysk kręgosłupa błyskawicznie zawiązać z konopnego sznura niezwykłą pętlę z ekscentrycznym węzłem.

- Hej rup, na podest go! - wesoło zagrzewał pomocników.

Zanim go ustawili w pozycji wertykalnej, zręcznie zarzucił mu stryczek na szyję i lekko zacisnął, tak że węzeł sterczał nad lewym uchem jak gruba kokarda.

- No, jazda! - dodał i kopnął trójnóg.

Rozległ się trzask, jak gdyby pękła linijka. Numer Pięć wydał jedynie głośne pierdnięcie, a kiedy stos pacierzowy się rozluźnił, osunął się niemal na ziemię; już teraz bez drgawek lekko poddawał się skrętom sznura.

W grupie świadków rozległy się pojedyncze brawa. Vlk spostrzegł kątem oka, że klaszcze również Doktor. Wrodzoną wielkoduszność przemógł w nim gorzki smak zawiści i zdał sobie sprawę: ten zdolniacha musi na zawsze zostać przy nim, ażeby nigdy nie mógł wystąpić przeciwko niemu.

Zbudził go intensywny, piekący ból w kroczu i zaraz potem, kiedy zorientował się, która wybiła godzina, musiał się całą siłą woli powstrzymać, ażeby tej

² Z niemieckiego *Schlinge* - pętla, węzeł.

kurwy nie ukatrupić, Bóg raczy wiedzieć skąd je na te wieczorki przywożono, coraz to inne podniecone twarze, i właśnie on - nie wiadomo jak wyczuły instynktownie jego profesję - rajcował je aż do nieprzytomności. Im bardziej był nieczuły i wręcz wobec nich impertynencki - a zdawał sobie sprawę, że jego monogamia ma cechy mocno patologiczne, ale nie umiał z tym się uporać - tym usilniej go prześladowały. A ta nie zawahała się do niego włamać, ażeby go osiąść nawet bez jego świadomości, i był pewien, że gdyby ją stłukł, sprawiłby jej dodatkową rozkosz. Toteż jedynie ją wyrzucił.

Rzucił okiem na rokokowy stolik nocny, gdzie obok zdjęcia żony stał budzik. Było dopiero wpół do drugiej, mimo to wiedział, że już nie zaśnie. Wyszedł zatem na taras. Łąka schodziła spod zameczku myśliwskiego aż po sam brzeg jeziora, gdzie jeszcze płonęło ognisko i rozbrzmiewały głosy. Bez trudu je rozpoznał i oto postanowił zabrać się do tego, na co wieczorem był nazbyt zmęczony.

To Vlk wpadł na pomysł, ażeby załatwianki, przeprowadzane dotychczas z nieefektywną żywiołowością, koncentrować w jeden lub co najwyżej dwa seanse w ciągu tygodnia i przeplatać je dniami relaksu nie tylko dla kata, ale i dla sędziów, prokuratorów, obrońców z urzędu i innych funkcjonariuszy, którzy w ramach swoich obowiązków zawodowych uczestniczyli w egzekucjach. Wspomogło go, rzecz jasna, aktywne poparcie wielu zainteresowanych, a na szczęście także Doktora, chociaż później właśnie on - Vlk tłumaczył to sobie jego nazbyt wysoką pozycją - nigdy się tutaj nie pokazał. Wkrótce znaleziono także odpowiedni obiekt: były zameczek myśliwski, a później ekskluzywny hotel burżuazji, po wojnie przejęty przez państwo po pewnym zdrajcy stanu, właśnie niedawno wysprzątany przez jakąś specjalną grupę. Był idealnie usytuowany: niemalże u bram metropolii, a przy tym na terenie strzeżonym przez wojsko. Przeprowadziwszy akcję „Zameczek”, Vlk doszedł do wniosku, że jest nie tylko organizatorem z iskrą bożą, ale i urodzonym dyplomata: zyskał sympatię wielu osób i przede wszystkim pewność, że w razie czego może liczyć na pomoc wszystkich, których będzie potrzebował.

Toteż i teraz, kiedy w polu widzenia pojawił się pierwszy poważny konkurent, mógł odbywać tę nocną przechadzkę po łące z poczuciem gracza, który ma w ręce royal flash. Sierpniowe powietrze było dosyć chłodne, ale jemu, wówczas ledwo czterdziestoletniemu mężczyźnie, pełnemu sił fizycznych i intelektualnych, było raczej gorąco. A więc szedł bosy, przez skórę stóp czując rozkosz najświeższej rosy, i nagi, jedynie z ręcznikiem wokół bioder,

nie z powodu pruderii, ale dlatego, że wiedział, jak nagość wyraźnie pozbawia ostatniej krzty dostojeństwa nawet najwybitniejszego człowieka. Dlatego też jako największą porażkę odczuwał okoliczność, że nawet w najbardziej sprzyjającym okresie nie udało mu się przeforsować projektu, żeby do egzekucji wiązano skazańców rozebranych do naga. Jakiś idiota z Instytutu Prawa napisał przeciwko niemu całą encyklikę, popartą dokumentacją z kronik i rycin, w której dowodził, że granica między barbarzyństwem a cywilizacją materializuje się właśnie w tym kawałku szmaty, który podczas egzekucji zakrywa narządy płciowe. Niestety! Miał ochotę wtedy wykrzyknąć, że jest także granica między mężczyznami a zasańcami, którzy wprawdzie temu i owemu wlepią stryczek, ale potem mdleją, kiedy wisielec pierdnie!... Nie wypowiedział tych słów, rzecz jasna; dojrzał już do filozoficznej konstatacji, że lepiej czuć się obrażonym, ale dokonywać egzekucji niż na odwrót. Wieształ zatem skazańców nadal obleczonych w lniane habity, mając nieprzyjemne uczucie, że w tym odzieniu przypominają bardziej niż powinni ludzkie istoty. Przeworsował jedynie, że nie przedstawiano mu ich po nazwisku, lecz jako kolejne numery, a on bez ceregieli raz-dwa dobierał się im do karku i zaraz potem stawali się dla niego powietrzem. Zyskał w ten sposób renomę fantastycznego specy, on jednak, jako że nigdy się nie okłamywał, dobrze wiedział, że ma też piętę Achillesa. A kiedy patrzył, jak ten młodzian Šimsa wiąże na swój skomplikowany sposób pętlę i jak okiem rzeźnika lustruje klienta od stóp do głowy niczym wieprza, mówił sobie w duchu z całą otwartością: oto mój Parys napinający łuk!

Vlkowi była wstrętą cała ta niby humanistyczna kultura helleńska, która wprowadziła jako swój numer galowy samoegzekucję przez wypicie cykuty. Więc tym bardziej nie był skory brać nogi za pas przed pierwszym lepszym młokosem tylko dlatego, że przypadkiem zna lepszy węzeł. Jego doskonale funkcjonujący umysł natychmiast obmyślił plan, który teraz jął wprowadzać w życie.

Przezucie go nie zawiodło. Nad wodą na dwóch składanych krzeselkach siedzieli, trzymając się za ręce, dwaj mężczyźni, których podziwiała cała opinia publiczna: prokurator i obrońca z urzędu, prominenci wielkich procesów politycznych, które w skali historycznej wysuwały naszą epokę na czołowe miejsce. Mężczyźni ci, żelaznych zasad jako obywatele, mieli też swoją słabą stronę, która ich ucłowieczała. Byli kochankami i łączyła ich tak głęboka miłość, że obrońca, wpatrzony w oczy przyjaciela, już chyba ze trzy razy wystąpił z propozycją kary śmierci wcześniej niż prokurator.

Również dzisiaj zostawili innym piękne kurtyzany w zamian za romantyczne sam na sam nad jeziorem. Vlk im nie przeszkadzał, wręcz przeciwnie, cenili tego atletycznego mężczyznę, który tak precyzyjnie wieńczył ich wspólne dzieło, a poza tym raz po raz

zaskakiwał ich swoim intelektem. Choć poznali go w okolicznościach nader dla niego niesprzyjających, jako pierwsi objawili wtedy jego zalety. Od tamtej pory czuli do niego coś więcej niż zwykłą sympatię, tak, usiłowali go kiedyś nawet pozyskać dla swoich preferencji uczuciowych i zaproponować mu mocną pozycję w ich towarzystwie. Vlk, który niezależnie od swojej monogamii był typem męskim aż do szpiku kości, i dlatego wszystko co niemoralne budziło w nim wstręt, zdążył już w życiu schytrzeć na tyle, żeby nie oponować od razu. Posłużwszy się formą pseudoszczerych wyznań, które podniecająco tchnęły tajemnicą, zasugerował obu swoim rozmówcom, że jak wielu katów cierpi na dewiację seksualną; i chociaż na zewnątrz ze zrozumiałych powodów się maskuje - nie powiedział, że tak jak oni, ale w pełni to akceptowali - w rzeczywistości obywa się bez partnera zarówno płci żeńskiej, jak i męskiej: każda egzekucja jest dla niego aktem seksualnym, bo przecież jego klienci - widzieliby to, gdyby nie owe idiotyczne habity, w które ich się stroi - mobilizują w ostatniej chwili wszystkie swoje siły witalne, również eo ipso seksualne. Ich szczytowanie, dodał poufale, i jego doprowadza do szczytowej przyjemności.

Niesamowicie ich to zainteresowało, od tamtej nocy zwracali się do niego per ty i nigdy już mu nie składali intymnych propozycji, a mimo wszystko lubili go nadal. I teraz też na jego widok uśmiechali się przyjaźnie, właściwie przed nim jedynym nie musieli udawać kogo innego niż byli, co było tym bardziej przyjemne, że w gruncie rzeczy nawet najdziwniejsza miłość pragnie, by ją widziano i jej zazdrozczono.

- Witaj, Fryderyku - powiedział prokurator. - Piękną mamy noc, nieprawdaż?

- Poczęstujesz się francuskim koniakiem? - spytał obrońca i podniósł się, żeby mu nalać.

- Nie fatygujcie się - powiedział Vlk.

Wiedział, że będą mu wdzięczni również za to jego niewielkie ugrzecznienie. Schylił się po butelkę, która pośród turzyc przypominała egzotyczny kwiat, i łyknął sobie prosto z niej. Po czym rozważnie, ale niewzruszenie jął przeprowadzać swój plan.

- Począwszy od następnej egzekucji - powiedział - będzie mi potrzebny jeszcze jeden pokój. Da się to załatwić?

- Chcesz brać z sobą mamusię? - zaśmiał się obrońca.

- Nie, tego młodziana - powiedział Vlk.

O mało nie zlecieli z krzeselek.

- Ty masz... - wyjąkał obrońca.

- Ty chcesz... w egzekutorni... - wyjąkał prokurator.

- Kto to jest? - spytali obaj niecierpliwie.

- Ten z tym węzłem - powiedział Vlk. - Myślę, że wam też się spodobał.

Choć spodziewał się ich reakcji, był zaskoczony jej gwałtownością.

- Ten z tą kurczącą głową? - wykrzyknął obrońca.

- Widziałeś, jaką ma cerę? - wykrzyknął prokurator.

- Zachciewa ci się żółtodziobów?? - wykrzyknęli obaj tonem nieskrywanej nienawiści.

- Kochani - powiedział Vlk z miłym uśmiechem - ten Šimsa nie jest mi potrzebny do łóżka, ale do wykonatorstwa.

Napięcie prysnęło, ale pozostały resztki niedowierzania.

- Mówiłeś, że go chcesz wziąć tutaj - powiedział obrońca.

- Tak - powiedział Vlk - i mam ku temu istotne powody. Sami powiedzcie, moi drodzy, czy sądzicie, że nasza walka się już kończy i wkrótce przestaniemy być społeczeństwu potrzebni?

- Co też ci strzeliło do głowy? - zdziwił się prokurator. - Z każdym dniem wykrywalność rośnie, i gdybym nie bał się popaść w banał, powiedziałbym, że na każdym skręconym przez ciebie karku wyrasta dziewięć nowych głów. Nie wiem jak ty, Mirku -

ciągnął prokurator zwracając się do obrońcy

- ale ja jestem przekonany, że knowania przeciwko pokojowym wysiłkom naszego ludu przypominają lodowiec, widać tylko czubek, ledwo dziesiątą część, i nawet z nią nie zdołaliśmy się jeszcze uporać, z czego -

ciągnął prokurator zwracając się do Vlka

- logicznie wynika, że właściwie jesteśmy na początku drogi, toteż będziesz mógł, Frycku, uważać za szczęśliwy traf, jeśli kiedykolwiek pozwolą ci odejść na emeryturę, widzę, że Mirek się ze mną zgadza, i gdyby tylko Wilek -

ciągnął prokurator zwracając się w stronę wciąż jeszcze jaśniejącego światłem okna, skąd niczym krzyk nocnego ptaka dochodziły miłosne jęki sędziego i mocniej ściskając rękę obrońcy

- nie musiał bez przerwy udowadniać, że starcza mu wigoru, by przelecieć te wszystkie spocone nimfetki, i zdecydował się jak my na cichą grę zmysłów i intelektu, też by to potwierdził!

Vlk przez cały czas w zamyśleniu obracał palcami butelkę z koniakiem; po jej zielonym szkle pełgały miniaturowe poblaski dogasającego z wolna ogniska, a wokół warg profesora nie przestawał igrać lekki uśmiech.

- A co będzie - spytał - jeśli zachoruję na grypę?

- Ty? - zawołał obrońca. - Prędzej wól dostanie zawału!

W półmroku błysnęły w uśmiechu zęby prokuratora, któremu podobało się porównanie, jakim posłużył się jego przyjaciel. Ale Vlk, z reguły nad wyraz towarzyski, tym razem nie podzielił wesołości swoich rozmówców.

- Ja pytam całkiem serio - powiedział.

- Serio? - spytał prokurator. - Więc i ja odpowiadam serio. Po prostu poczekamy, aż wyzdrowiejesz. Twoi klienci nam to wybaczą, a jak wiem, przynajmniej na razie żaden z nich cię nie ponagla!

Teraz z kolei obrońca mógł się cieszyć z błyskotliwości swego przyjaciela.

- Mam nadzieję - powiedział Vlk - że nie posądzicie mnie o nieskromną chęć pouczenia was, jeśli przypomnę pewne zdarzenie z przeszłości. Jesienią roku 1899 nagle przestało bić serce niejakiego Selingera, mieszkańca Wiednia. Historia przeszłaby nad tym do porządku dziennego, gdyby nie alarmująca okoliczność: to zapchanie się tętnicy wieńcowej sprawiło, że najpotężniejsze wówczas państwo Europy zostało -

ciągnął Vlk patrząc wymownie na prokuratora

- bez kata. Szkoda była tym bardziej dotkliwa, że niedługo przedtem skazano na śmierć kilku delikwentów, a według obowiązujących wówczas pseudohumanitarnych praw niewykonanie egzekucji w terminie groziło zamianą kary na dożywotnie więzienie; zresztą nie było tajemnicą, że częste korzystanie z prawa łaski przez sklerotycznego monarchę Franciszka Józefa podkopało zdrowie Selingera. W związku z niecierpiącą zwłoki potrzebą załatwienia Juliany Hummelowej, dzieciobójczyni, został w nowym roku 1900 powołany na opustoszały stolec najpoważniejszy wówczas kandydat, sławetny praski kat Wohlschläger. Atoli za jego sprawą nowe stulecie, rozbłyskujące nadzieją przywrócenia urzędowi egzekutorskiemu państwowej powagi i zyskania sympatii mas ludowych, zaczęło się -

ciągnął Vlk patrząc wymownie na obrońcę

- wstrząsającym skandalem. Wohlschläger przywiózł ze sobą do Wiednia tak zwaną *Delinquententoilette*, jak ochrzcił swój skomplikowany system rzemieni, w którym Hummelowa tkwiła jak w uprzęży, ba, oplatały ją nawet między nogami! „Była - cytuję ówczesne świadectwo - obwiązana jak zwierzę ofiarne i już sam jej widok niezwykle urągał godności sądownictwa”. Zarozumiały Wohlschläger pragnąc wykazać, że jego wynalazek daje spore oszczędności, był podczas tej egzekucji jedynym wykonatorem, a zgon miał nastąpić pod wpływem ciężaru samej Hummelowej. Okazała się jednak zbyt lekka i doszło do niebywałej sytuacji, w której mimo otwartej zapadni nie nastąpiło rup-chrup i żeby klientkę załatwić ostatecznie, trzeba ją było pociągnąć za nogi. „Hummelowa - cytuję ówczesną prasę - nieludzko charczała pośród drgawek i tak dusiła się przez około 45 minut, toteż wielu

świadców z urzędu zemdłało. Byliśmy obecni - woła autor - nie przy egzekucji, ale przy rzeźnickim uboju". Wohlschläger musiał czym prędzej wyjechać, a najwyższy wymiar kary przeżywał swą czarną godzinę, kiedy nawet cenzorzy puszczały artykuły, w których żądano, by natychmiast znieść karę śmierci. Na szczęście -

ciągnął Vlk patrząc teraz wymownie na obu

- w tym fatalnym momencie uśmiechnęło się do niej szczęście, gdyż zupełnie niespodziewanie zgłosił się właściciel kawiarni, Józef Lang, zamieszkały przy Geyststrasse 5 w Simmeringu, którego światły ojciec zaprowadził w roku 1868 na ostatnią publiczną egzekucję w Wiedniu. Pogodny dzień, mnóstwo świątecznie wystrojonej publiczności, pełno sprzedawców serdelków, kataryniarzy i animatorów innych atrakcji, uroczysta ceremonia, a przede wszystkim sama egzekucja na bandyckim mordercy Ratkayu, przeprowadzona jeszcze w sposób klasyczny - przez wykopanie spod nóg wysokiej drabiny - to wszystko pozostawiło w trzynastoletnim chłopcu niezatarte wrażenie; już wtedy czuł, że jest predestynowany do wypełniania tej właśnie podniosłej misji. Kiedy później, 27 lutego 1900, już jako dojrzały mężczyzna otrzymuje dekret, którym zostaje mianowany c.k. katem na „die Erzherzogtümer Österreich ob und unter der Enns, die Herzogtümer Salzburg und Steiermark, die gefürstete Grafschaft Tirol mit Vorarlberg, die Herzogtümer Kärnten und Krain, die Markgrafschaft Götz und Istrien mit Triest, das Herzogtum Schlesien, das Königreich Dalmatien, das Königreich Galizien und Lodomerien mit dem Grossherzogtum Krakau, sowie das Königreich Kroatien und Slawonien", czuje taki sam ciężar odpowiedzialności jak jego władca. A kiedy 3 marca 1900 przystępuje do swojej pierwszej egzekucji na Cyganie Heldzie, myśli przede wszystkim o obecnej na miejscu komisji znawców z profesorem Haberdą na czele, któremu nerwowo tik policzka wciąż jeszcze nie pozwala zapomnieć o śmiertelnych drgawkach Hummelowej. „Życzę sobie, Lang - powiedział mu kategorycznie poprzedniego wieczoru - ażebyś go załatwił w ciągu minuty!" Literatura jest skażona opisami ostatnich nocy skazańców, każdy adept pióra roni łzy nad indywidualiami usuniętymi poza nawias ludzkiej społeczności, ale gdzie -

zawołał Vlk patrząc jasnovidząco przed siebie

- jest nowy Szekspir, który by opisał pierwszą noc kata? Jak niezmordowanie wraz z pomocnikami wypróbowuje ten czy ów chwyt, z jaką zawziętością przebiega w pamięci wszystkie sławne niepowodzenia, chociażby owo praskie faux-pas, kiedy pod niejakim Wacławem Słepičką otwarto zapadnię zapominając przedtem założyć mu stryczek, tak że złamał sobie obydwie nogi i mógł być powieszony dopiero po wyleczeniu. Nie ma takich autorów i w końcu ten temat musi podjąć sam kat, choćby właśnie Lang, który po latach

napisał - cytuję według Dorflera i Zettela - te oto mądre słowa: „Kiedyś miałem w ręku książkę, był w niej przedstawiony człowiek jak najbardziej kolorowo, ale zarazem tak, że dało się go przejrzeć na wylot, można było obejrzyć i mięśnie, i wnętrzności, i żołądek, i układ oddechowy, i tym podobne. Tutaj dopiero widać, co to za dzieło sztuki ten człowiek, jaka mądra jest natura, że tak złożony stwór może sprawnie funkcjonować. I przyszła mi do głowy myśl: widzisz, Pepi, a ty, ty masz prawo, władzę i zdolność taki cud natury pozbawić życia!” A potem następuje ranek, ponury dla Cygana Helda, ale promienny dla Józefa Langa, albowiem może stanąć przed profesorem Haberdą, stwierdzić, że wyrok został wykonany, i skromnie dodać: „W ciągu czterdziestu pięciu sekund”. Wówczas nawet surowemu Haberdzie nie pozostaje nic innego jak poklepać kata po ramieniu i powiedzieć: „Brawo, Lang!”; nawet przez myśl mu nie przechodzi, że już niedługo Józef Lang załatwi w Roverecie czterokrotnego mordercę, Grossrubatschera, w ciągu czterdziestu dwu sekund, a niebawem we Lwowie Teodora Bibierskiego w ciągu czterdziestu sekund jak ułał, co długie lata stanowić będzie rekord europejski, który pobije dopiero nowa generacja oprawców. Nie zaginie jednak pamięć człowieka i dopiero -

ciągnął Vlk równie skromnym tonem

- nowa generacja oprawców zaćmi ten rekord swoimi wyczynami. Nie zaćmi jednak pamięci człowieka, który na miedzianej wizytówce na drzwiach mieszkania kazał sobie wygrawerować obok nazwiska również swój fach honorowy, a wkrótce potem kandydował także w wyborach komunalnych z rekomendacją, że „cieszy się sympatią całego obwodu XI i w dodatku dysponuje potrzebnym czasem. Tę historię opowiedziałem, przyjaciele, po to, by wam uprzytomnić -

powiedział Vlk patrząc teraz w niebo, gdzie z wolna, ale nieubłaganie przesuwała się ze wschodu na zachód granatowa mapa letniego firmamentu

- że zawał nie omija także katów. A gdyby pewnego pięknego dnia zapukał i do mnie, co się ostatecznie z waszych najpiękniejszych planów?

- W odwodzie mamy Karlika... - powiedział niezbyt pewnie prokurator.

- Karlik - powiedział Vlk bardziej z politowaniem niż z pogardą - to typ, który spóźnił się na swój pociąg o całe pięć wieków. Potrafię go sobie wyobrazić jako prowincjonalnego kata, który klienta skazanego na ścięcie po prostu zatłucze. Nie, nie, to -

ciągnął Vlk wstając, żeby nadać swoim słowom większą wagę

- nie jest żadne rozwiązanie rzeczywistego problemu, a przecież nie biorę pod uwagę sytuacji, w której nasz lodowiec nagle by się wynurzył. Co poczniemy, kiedy wojewódzki i powiatowy wymiar sprawiedliwości zechce mieć również prawo skazywania na śmierć, no a

wtedy kto się z tymi wszystkimi egzekucjami upora? Dacie ogłoszenia w prasie o pilnej potrzebie zatrudnienia dodatkowych katów? Na jakim byliby poziomie? Co na to powiedziałyby zagranica?

Zapanowała cisza, którą mąciły jedynie pohukiwania pójdzki i pojękiwania konkubin sędziego, raz po raz udających, że zostały doprowadzone do orgazmu. Vlk z dokładnością aptekarza ważył słowa, wiedząc, że każda dodatkowa sylaba tylko osłabiłaby jego komunikat. Pociągnął jeszcze jeden długi łyk koniaku, pustą butelkę odstawił z powrotem między badyle turzyc i uprzejmiem dodał:

- Dobranoc.

- Chwileczkę! - prokurator zareagował dokładnie tak, jak Vlk przypuszczał. - Skoro powiedziałeś „a”, to powiedz także „b”! Wiadomo, jeśli byś kipnął, to ten facecik nas nie ratuje, wolałbym nie widzieć, jak by to wszystko wyglądało!

- Nie tylko uczoney - odparł Vlk znów z aptekarską dokładnością dawkując ironię - ale i kat nikomu nie spada z nieba. Uczyć Karlika najprymitywniejszych pojęć z fizjologii, nie mówiąc o psychologii, to rzucać grochem o ścianę. Natomiast tamten -

ciągnął Vlk wskazując palcem gdzieś za jezioro, gdzie nad lasem jak słaby opar unosił się poblask pobliskiej metropolii

- chłopak w pełni zasługuje na to, by już dzisiaj mieć doświadczonego nauczyciela, no bo trzeba wreszcie zapobiec temu, żeby nasi następcy nie musieli, tak jak my, zaczynać od zera.

- Jeśli się nie mylę - zaśmiał się obrońca - to ty zaczynałeś od latarni.

Ostatni pelgający płomyk zgasł, ognisko tliło się już tylko ciemnym żarem, a połyskujący nad parkiem pałacowym księżyc wyglądał jak turecki miecz katowski; nawet w tej mętnej poświacie było widać, jak Vlk pobladł.

- Mirku - powiedział szybko prokurator wpijając w dłoń obrońcy paznokcie tak, że ten cicho jęknął - nie gniewaj się, mój kochany, ale teraz nie czas na żarty. Jak sobie to -

ciągnął z dyplomatyczną gorliwością prokurator zwracając się do Vlka

- Fryderyku, wyobrażasz praktycznie?

Umiejętność przełknięcia zniewagi, choćby wołającej o pomstę do nieba, należy do fundamentalnych zasad osobowości, które postanowiły ulepszyć ten świat. Gdyby nie bezprzykładna cierpliwość nieznanego mnicha hiszpańskiego, zwykłego lekarza francuskiego i słynnego amerykańskiego wynalazcy, świat byłby do dzisiaj bez garoty, gilotyny i krzesła elektrycznego. Tę umiejętność Vlk miał w małym palcu. Wybuch jego niesamowitej wściekłości pozostał utajony, podobnie jak tętno, które niewidocznie pulsuje pod skórą. Z

lodowatą rozkoszą wyobraził sobie jedynie, że kapryśna pani Historia któregoś dnia dostarczy mu tych dwóch pedryli w postaci foremnych pakunków, z daleka już dających znać o sobie nie wonią drogich perfum, lecz smrodem ekskrementów i uryny, tym niewidzialnym sztandarem, jaki na ludzkim ciele zatyka strach; kto by mógł później mieć za złe katowi światowej rangi, że w dwóch przypadkach ze względów eksperymentalnych powstrzymał się od swojego litościwego rup-chrup czy od działających błyskawicznie Šimsowych szlingli, a w zamian za to powiesił ich ostrożnie i lekko jak choinkowe cacka, ażeby w niekończącym się ciągu sekund, kiedy powoli będą się majtać w te i wewte z wybałuszonymi oczyma i z szybko puchnącym językiem, który wprawdzie będzie wciąż jeszcze przepuszczał powietrze, ale już w żadnym razie nie pozwoli wypsnąć się najmniejszemu dźwiękowi, mogli sobie *con sordino* przypomnieć doprowadzonymi do granic wytrzymałości zmysłami tę małą debatę przy ognisku i dowcipas o latarni.

- Praktycznie - powiedział Vlk tonem niezmiennie uprzejmym - wyobrażam to sobie tak, że odstąpimy od zapraszania go dwa razy w tygodniu na zasadzie umowy o dzieło, natychmiast zatrudnimy go na pełny etat.

- A nie wiesz przypadkiem - spytał prokurator tonem odmowy - co robiłby przez pozostałe dni w tygodniu?

- Przypominasz mi - odparł Vlk dozując złośliwość z niezwykłą ostrożnością - Oldrzychu, ludzi, którzy pytają aktora, co robi w ciągu dnia. Przed trzema laty wydawało się zupełnie normalne, że naczelny kat państwa figuruje na liście płac jako szofer, a za egzekucje płaci mu się według przelicznika jak za przejechany kilometr. I właśnie dopiero wasze gremium sięgając wzrokiem dalej niż czubek własnego nosa przyznało mi status samodzielnego referenta z nadzwyczajnymi premiami. Rzecz jasna, żaden tytuł biurokratyczny w niczym nie zmieni faktu, że jestem i pozostanę katem, a mój tak zwany sekretarz - moim pomocnikiem lub, jeśli wolicie, parobkiem, no bo tylko dozorczy każą się nazywać gospodarzami domu, a strażnicy pożarnikami, my nigdy dla nikogo nie będziemy śmieszni. No więc teraz i wy powiedzcie „b” i zgódźcie się na posiadanie przeze mnie ucznia, skoro nie brak go było w żadnej katowni, gdyż wykonatorstwo to nie rzemiosło w rodzaju rzeźnictwa, ale nauka, ma swoje prawa i odgałęzienia, swoich klasyków i wynalazców, a także swoją literaturę.

- Myślisz powiedzmy o *Tajemnicach szafotu* Henri Sansona? - spytał skwapliwie obrońca. - Czytałem to.

- Memuary francuskich kolegów - powiedział Vlk pobłażliwie - podobnie jak czeskie *Pamiętniki katowskiej rodziny Mydlařów* wstyd by mi było podsuwać Šimsie; tak samo jak

nie odważyłbym się proponować studentowi filozofii elementarza. Studia Šimsy, a mówię tylko -

ciągnął Vlk, będący już całkowicie panem sytuacji

- o dziedzinie literatury, pomijam jurysdykcję, medycynę i przedmioty podstawowe, powinny, rzecz jasna, zacząć się od dzieł encyklopedycznych w rodzaju fundamentalnej pracy Cesare Beccarii z końca osiemnastego wieku *O przestępstwach i karach* czy dwóch tomów współczesnych *Die Strafe*, dzieła von Hentiga, ewangelii dzisiejszej generacji, po czym nastąpiłby szereg prac tematycznych jak *Wbijanie na pal* Siegmunda Stiassnego, *La Guillotine* Kershawa czy *Hanged by the Neck* Rolpha, ale najważniejsze byłyby dzieła ściśle naukowe, specjalistyczne, jak na przykład *Archeologiczeskoje obsledowanie dwuch trupow iz balot* Szlabowa. Samodzielną linię studiów tworzyłby rozbiór krytyczny książek, które ironicznie nazywam „libri anti-kati”, takich moralnie upośledzonych grafomanów jak Albert Camus i inni przeciwnicy kary śmierci.

Dla przykładu wystarczy otworzyć *Marię Stuart* pana Stefana Zweiga, aby z miejsca natknąć się na tekst amoralny, gwałtowny, cyniczny, bezczelny, jednym słowem zawierający cały alfabet -

ciągnął Vlk przytykając oczy, ażby mu pamięć fotograficzna wyraźniej wyświetlała cytowany pasaż

- żydowszczyzny: „Nigdy nie będzie - i kłamią książki i świadkowie, którzy mówią co innego - śmierć skazańca romantyczna i tylko porywająca. Zawsze śmierć topora katowskiego będzie ohydą, okropnością, nikczemną rzezią. Pierwsze uderzenie siepacza było niecelne, trafiło nie w kark, lecz w potylicę. Rzeźnienie, jęk wydobywa się z ust męczennicy, jęk zduszony, niegłośny. Drugi cios spada głęboko w kark, krew tryska wysoko. A potem dzieje się coś bardzo szpetnego: gdy kat chce podnieść głowę i pokazać ją obecnym, okazuje się, że chwycił tylko za perukę, głowa spada i toczy się jak kula do kręgli, pozostawiając strugę krwi na deskach; gdy kat chwyta ją wreszcie i podnosi po raz drugi, ukazuje się - niesamowity to widok! - głowa starej kobiety o siwych, krótko strzyżonych włosach... Jeszcze przez cały kwadrans drgają konwulsyjnie wargi, które z nadludzką siłą tłumili w sobie strach, właściwy każdemu stworzeniu, i szczękają zęby. Aby złagodzić grozę tego widoku, słudzy zarzucają szybko czarną chustę na tułów i na tę głowę Meduzy. Już wśród głuchego milczenia zabierają się pachołkowie do wyniesienia ponurego ciężaru, gdy wtem pewien drobny incydent rozładowuje pełne przerażenia napięcie: coś zaczyna się ruszać pod sukniemi. To ulubiony mały piesek królowej nie spostrzeżony przez nikogo wślizgnął się pod jej szaty i jak gdyby nękany obawą o jej los, przyłgnął do ciała, a teraz wyskoczył zbryzgany, cały mokry od

przelanej krwi. Szczeka i gryzie, warczy i szczyrzy zęby, nie chce odstąpić trupa. Siepacze próbują oderwać go siłą. Ale on nie pozwala się dotknąć ani się nie daje przywabić; jak wściekły rzuca się na te ogromne, czarne bestie, które tak boleśnie zboczyły go krwią ukochanej pani. Namiętniej niż wszyscy ludzie, goręcej niż jej własny syn i niż tysiące tych, którzy przysięgali jej wierność, walczyła psina o swoją -

kończąc cytować Vlk otworzył oczy

- Panią"³. Podobne pamflety, które uzyskujemy dzięki konfiskatom w publicznych i prywatnych bibliotekach, mój uczeń dokładnie by przestudiował, potem w sposób naukowy uzasadniłby ich niesłuszność, a na koniec fachowo by je -

ciągnął Vlk czując, jak jego żarliwość udziela się słuchaczom

- spalił, jak to czynili w ramach swoich etatowych obowiązków wszyscy kaci. W programie nauczania nie brakowałyby również potraktowanej relaksowo literatury pięknej, której autorzy, choćby nawet marginalnie, ale z właściwego punktu widzenia, poruszają tematy przewidziane w planie zajęć; na przykład Biblia, gdzie nieźle opisano szereg klasycznych egzekucji. I tak -

ciągnął Vlk, z trudem powstrzymując się od przepelniającego go wzruszenia, pilnując się, żeby jego stalowy głos nawet nie drgnął

- zostałby definitywnie przewyciężony wąski profil i newralgiczny punkt naszego wymiaru sprawiedliwości, a poza tym sprawilibyśmy, że dziedzina ludzkiej działalności, którą średniowiecze w sposób urągający wszelkiej kulturze wydało poza mury miejskie i której nawet u nas nie wolno reklamować czy choćby darzyć sympatią, jaką cieszy się pierwszy lepszy -

ciągnął Vlk nie mogąc mimo wszystko poskromić bicia swojego, zahartowanego przeciw serca, bicia na szczęście nie zauważalnego na zewnątrz

- pajac, wróciła między swoich najbliższych: do rodziny nauk humanistycznych.

- Przyjacielu, Frycku - powiedział prokurator niemal szeptem, tak go zafrapowała głębia, rozległość i waga tej koncepcji - toż ty tu właściwie proponujesz studia uniwersyteckie...!

Z mrowia Perseid, zwanych także Łzami Świętego Wawrzyńca, właśnie w tej sekundzie oderwała się jakaś cząstka, wyczerpana kosmicznym lotem, i długo umierała tchnąc blaskiem oślepiającym, Vlk uzmysłowił sobie, że ten obrzydliwy pedał równie błyskotliwie sformułował jego *idée fixe* i że wobec tego się spełni.

³ Przełożyła Maria Wisłowska.

klasy. W tym ułamku sekundy czas jakby się zatrzymał, a on w trakcie robienia kroku jakby został wciągnięty w głąb żywego obrazu wokół Lizinki; sunął, sam wciąż jeszcze niewidoczny, przesuwając przenikliwe spojrzenie z twarzy na twarz, przypominając sobie imiona, biografie i rysy charakteru swoich przyszłych uczniów.

Franciszek (15), równie prostoduszny jak gruby, iloraz inteligencji (IQ) - blisko dolnej granicy przeciętności, mimo otyłości - zdolny, hobby: podnoszenie ciężarów, ojciec: powszechnie lubiany dozorca więzienny, dzięki któremu kryminal był dla recydywistów „ziemią obiecaną”; kilkakrotnie przyprowadzał Vlkowi do wykańczalni klientów i sam go poprosił o przyjęcie syna do szkoły, tak jak i on uważając, że jest to specjalność jak każda inna i wymaga wykształcenia; przyjęcie stanowiło zatem swoiste wyróżnienie moralnego idealizmu ojca, który uwzględniał nie tylko interes swojego dziecka, lecz i społeczeństwa.

Bliźniacy (15), jednojajowi i różniący się tylko przedziałkiem, który wymusili nauczyciele w dziewięciolatce, iloraz inteligencji w połowie normy, hobby: taternictwo i jachting, czyli prace z liną i węzłami, ojcowie: sędzia powiatowy w K. (de iure) i prokurator powiatowy w K. (de facto); Paweł i Piotr, których wytypował docent Šimsa, kierując się jakąś tam życzliwością, na egzaminie wstępnym przeprowadzili wiwisekcję żywego psa, niefachowo wprawdzie, ale z takim entuzjazmem, że Vlk nie mógł powiedzieć „nie”.

Albert (16), w przeciwieństwie do tych dwu był jego faworytem; ojciec: sadystyczny morderca, którego Vlk załatwił na miesiąc przed urodzeniem chłopca, matka: jako jedyna z jego ofiar przeżyła zgwałcenie, a że była świętoszkowatą, prowincjonalną dziewczyną, nie zgodziła się na przerwanie ciąży, kiedy jednak dziecko urodziło się z garbem, porzuciła je i w więzieniu podcięła sobie żyły. Vlk z reguły nie mieszał się do życia swoich klientów, poza tymi kilkoma sekundami, w których im je odbierał, ale w tym przypadku zrobił wyjątek, który potwierdził jego pedagogiczny talent; obserwował z dystansu, jak chłopiec w domu dziecka dzielnie zmagają się ze swoim losem: próbując naprawić złośliwy kaprys natury z prawdziwym samozaparciem poświęcił się gimnastyce; garb mu się wprawdzie nie zmniejszył, ale niebawem już nikt nie odważył się z niego kpić: garbusek miał mięśnie jak z żelaza; kiedy wkrótce potem Vlk poznał jego iloraz inteligencji (przewyższający znacznie przeciętną) i hobby (szermierka i historiozofia), zdecydował się na określony plan i przyjął

Alberta praktycznie bez egzaminu.

Ci czterej byli mniej więcej w wieku Lizinki. Pozostali jeszcze dwaj starsi.

Szymon (19) dlatego, że w klasie szóstej, siódmej i ósmej (iloraz inteligencji nieokreślony) repetował; klasy dziewiątej nie powtarzał dzięki interwencjom i protestom; protestowali nauczyciele, którym za otrzymane dwóje wieszał na klamkach uduszone koty, interweniowali wpływowi przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości, ale też i historiografii: Szymon był jedynym potomkiem rodziny katowskiej; zasłynął w niej jego pradziad, Karl Huss (drugie „s” dodał sobie, żeby nie łączono go z reformacją; jego wnuki je skreśliły, żeby z kolei uniknąć epitetu pachołków kontrreformacji), który po nieszczęsnym dekrete Józefa II stał się felczerem i kustoszem zbiorów antycznych księcia Metternicha; do jego przyjaciół należał i J.W. von Goethe, który rozmawiał z nim przede wszystkim o jego pierwszej profesji; w przeciwieństwie do przodków ojciec z początku nie przysłużył się Szymonowi, no bo swoją funkcję, którą powierzył mu jeszcze rząd demokratyczny, sprawował również (posługując się nazwiskiem z dwoma „s”) za hitlerowców, za co po okupacji był nawet sądzony; jego również uratował sławny przodek - ministrem sprawiedliwości był historyk - a także czytany adwokat, który przedłożył zapis kata Mydlań, prawowiernego Czecha i protestanta, dokonany przed egzekucją dwudziestu siedmiu czeskich arystokratów protestanckich w roku 1621: „I gdybym odmówił wykonania swojej krwawej powinności, czy nie znalazłoby się dziesięciu innych mistrzów profesji egzekutorskiej, którzy by zamiast mnie bez namysłu tę pracę wykonali? Ani o godzinę nie byłoby odroczone przeprowadzenie egzekucji, a mimo to, kto wie, jak okrutnie obchodziliby się obcy kaci z nieszczęsnymi panami czeskimi i swoją nieumiejętnością zatruli im ostatnią chwilę życia”. Na przykładzie doktora Jesseniusa, który jako intelektualista został skazany dodatkowo na obcięcie języka przed ścięciem, co Mydlań przeprowadził niemal bezboleśnie, obrońca dowiódł, jakim błogosławieństwem w podobnej sytuacji jest udział współziomka i współwyznawcy; mimo to jego mocodawca otrzymał dożywocie i musiał odsiedzieć bez mała pięć lat, zanim go dzięki którejś tam amnestii wypuszczono na emeryturę (z jednym tylko „s”, ale ze wszystkimi członkami i prawami obywatelskimi); przyjmując obecnie Szymona na podstawie oceny strangulowanych kotów, Vlk z całą dyskrecją naprawiał krzywdę wyrządzoną całemu egzekutorstwu: nawet narody barbarzyńskie nie karały człowieka, który nie przypadkiem był nazywany ramieniem sprawiedliwości; najwyżej ucinały głowę, która dawała rozkazy ramieniu. Poza tym Vlk miał także ważny powód osobisty!

Ostatni z chłopców, Ryszard (17) - stracił dwa lata w sanatorium, ale był już w pełnej formie - miał niemal same zalety: przyzwoity iloraz inteligencji, wszechstronne

zainteresowania, wysoką, smukłą i wytrenowaną sylwetkę, zupełnie jakby jego matkę zapłodnił dyskobol, a do tego wszystkiego był synem rzeźnika! Jednakże właśnie on został przyjęty tylko i wyłącznie ze względu na

15

Lizinkę Tacheci.

Przypadek, ten reżyser dziejów i losów, był również autorem spotkania, do którego doszło w wiele lat po nocnej rozmowie przy dogasającym ognisku koło zameczku myśliwskiego. Klienci, których poprzedniego wieczora załatwił Vlk, dawno już zostali uznani za niewinnych i otrzymali pośmiertne zadośćuczynienie. Słusznie licząc na to, że załatwi i tych, którzy dopuścili się błędu, Vlk zawiódł się boleśnie; po prostu wszyscy zniknęli jak kamfora i nikt - może oprócz rodzin nieboszczyków - zbytnio ich nie szukał. Świat - jak wskazywały również doniesienia z zagranicy - naraz miał wręcz nadgorliwie ciasne horyzonty, o karze śmierci zaczęto mówić tonem identycznym jak mawia się o chorobie wenerycznej; człowiek musiałby zatłuc żonę i dzieci cepem, a w powiecie z tego powodu musiałby grozić wybuch powstania ludzi pracy, ażeby winnemu zaciągnięto na szyi krawat z konopi. Vlk z Šimsą i Karlikiem pracowali czasem tylko raz na kwartał, a to, że w ogóle zachowali swoje etaty, zawdzięczali jedynie poparciu tajnych sympatyków w aparacie bezpieczeństwa i w wymiarze sprawiedliwości. Ale jak długo jeszcze? Przed oczyma mieli świeżą abdykację Alberta Pierrepointa, który kiedyś - jako dwudziestoczerolatek! - stał się po ojcu i stryju katem Wielkiej Brytanii. Chociaż miał na swoim koncie 433 klientów i 17 klientek - w tej liczbie dwudziestu siedmiu zbrodniarzy wojennych, których załatwił w ciągu jednego dnia - przed dymisją musiał poddać się hańbiącemu zawieszeniu, jakie ustanawiała przygotowywana ustawa o zniesieniu kary śmierci. Było czymś deprymującym dowiadywać się z prasy, że ten gigant, „uśmiechnięty gentleman”, który odkładał cygaro jedynie na czas egzekucji i który wieszał Johna Haigha, ośmiokrotnego mordercę, nagle oświadcza, że „Kara śmierci nikogo nie odstrasza” i „Wewnętrzny głos, głos z wysokości, który mi kiedyś kazał wykonywać tę pracę, teraz powiada mi - dosyć!”

O tym wszystkim myślał Vlk w tramwaju, który wiozł go do jednego z najwierniejszych przyjaciół. Nie wiedział, kim jest ani jak się nazywa, facet przychodził wszakże przez całe lata do wykańczalni ze specjalnym pozwoleniem, choć bez specjalnej misji, i to świadczyło o wadze i stałości jego stanowiska. Vlk z zasady nie dociekał spraw,

które życzyły sobie pozostać utajone; jego ręka dusiła już niejednego tylko za to, że nadmiernie paplał. Osobiście przypuszczał, że człowiek, przez wszystkich zwany Doktorem, jest sekretarzem znaczącej osobistości, czyli że więcej znaczy od niej, gdyż osobistości w tych czasach przesuwały się jak figurki w zegarze na staromiejskim ratuszu, podczas gdy on pozostawał. Wstęp na egzekucje często załatwiali sobie przez protekcję lub za łapówki potencjalni nekrofile. Od czasu pewnej rozmowy Vlk zaczął patrzeć na Doktora innymi oczyma.

- Wie pan, maestro - zwrócił się do niego Doktor - ja jestem za postępem i dlatego popieram czystą strangulację; szlingle Šimsy mają według mnie równie elementarne znaczenie, jak dla komunikacji miała maszyna parowa. Ale pański rup-chrup jest tak prosty i genialny jak samo koło!

Takich słów naturalnie nie można było pozostawić bez odpowiedzi. Ilekroć pojawił się Doktor, klienci mogli być pewni, że to Vlk ich obsłuży i że będzie po wszystkim zanim się zorientują, co się z nimi dzieje. Doktor nie skąpił Vlkowi podziwu i więź obu mężczyzn pogłębiała się coraz bardziej. Šimsa, sportowiec ciałem i duszą, zdawał sobie na szczęście sprawę, że w katowni, tak jak na meczu piłki nożnej, czekanie na ławce rezerwowych nie przynosi ujmy, zwłaszcza jeśli „numer jeden” jest formatu Vlka, któremu poza tym tyle zawdzięczał. To on kiedyś wyciągnął go z tłumu bezimiennych wyrostków, to on bezinteresownie przeforsował, żeby mu z urzędu powierzono szkolenie i doszkalanie młodego adepta wykonatorstwa; z zadania tego wywiązywał się z taką erudycją, że pilny uczeń bardzo szybko, jak z dziecięcej kurtki, wyrósł z psychologii prymitywnego kata - którym omal się nie stał, zanim spotkał Vlka - i osiągnął horyzonty myślenia otwierające przed nim rozległy świat duchowy prawdziwych, godnych tego miana egzekutorów. Zrozumiał, że powiesić człowieka lepiej lub gorzej może prawie każdy, pewnie z wyjątkiem kilku intelektualistów; sztuką jest powiesić go tak, aby w tym akcie zawrzeć całą historię cywilizacyjną ludzkości aż po rewolucję naukowo-techniczną, gdyż w przeciwnym razie klient mógłby całkiem słusznie zapytać, czemu go za karę po prostu nie usmażą i nie pożrą.

Niebawem okazało się, że Doktor swoją rozległą erudycją dorównuje Vlkowi. Brak mu było, rzecz jasna, ogromnej praktyki tego ostatniego, równoważył ją wszakże dokładną znajomością statystyk penologicznych, której nie powstydziliby się nawet komputer. Vlk, który musiał powtarzać sobie głośno każdą datę, ażeby mu wreszcie utkwiała w pamięci, podziwiał Doktora i szczerze mu zazdrościł brawury, z jaką ten zamasyście pisząc wiecznym piórem, wyrzucał z siebie, niczym dalekopis, liczby i procenty.

- We Francji - dyktował i wypisywał Doktor, kiedy dyskutowali o tym, jak często

popyt na katów wyprzedza podaż, stwarzając dyletantom pole do spekulacji teoretycznych - wyłącznie w roku 1944 dokonano egzekucji za kolaborację na 10519 osobach, z czego na 8348 bez sądu. Dane z oświadczenia ministra sprawiedliwości Martinauda-Delplasa.

- Straszne - powiedział wówczas Vlk - ale wypada nadmienić, że taka potrzeba rozbudza także talenty, które w przeciwnym razie pozostałyby ukryte...

- W USA - dyktował i pisał Doktor, kiedy dyskutowali o tym, jak w krajach, gdzie liczba egzekutorów jest wystarczająca, rośnie dyscyplina obywatelska - na ogólną liczbę egzekucji w pierwszym dziesięcioleciu naszego wieku przypadało 92,5 procent linczów, ale w następnych dziesięcioleciach procent ten wydatnie malał. Niemniej jednak przekroje historyczne podają, że w latach 1900-1944 zlinczowano w Stanach Zjednoczonych niemal tyle samo osób, ile zostało straconych na podstawie wyroków sądowych przez wyszkolony profesjonalnie personel. Dane z dzieła Hentiga *The criminal and his victims*, New Haven 1948.

- Ohyda - powiedział wówczas Vlk - zwłaszcza kiedy człowiek uzmysłowi sobie, że ten „wyszkolony profesjonalnie” personel po prostu przekreśla kontakt. Chciałbym ich zobaczyć w sytuacji, gdy wyłączą im prąd.

- Pewnie - powiedział wówczas Doktor z ożywieniem. - Tylko czy zagadnienia nie należy odwrócić? Czy nie dlatego uciekli się do tak prymitywnego wykonatorstwa, że nawet na bazie masowych linczów nie wykształciły się talenty porównywalne z pańskim? Do licha, cóż to za poziom, skoro nowojorski Elliot mierzy przed egzekucją napięcie w ten sposób, że piecze na krześle elektrycznym polec wołowiny? Patrz jego *Pamiętniki*, strona 42!

Jedynie w dziedzinie literatury pięknej o charakterze penologicznym wiadomości obu rozmówców, rozległe aż do granic ludzkich możliwości, były mniej więcej takie same. Nieco później, kiedy w tych spotkaniach towarzyskich uczestniczył także Šimsa, za każdym razem żałował, że nie może tego wszystkiego nagrywać: większość ich pojedynków słownych mogłaby być ozdobą każdego quizu telewizyjnego, zastępując śmiertelnie nudną paplaninę o perłach architektury lub słynnych ariach.

- „Oto - cytuje Doktor z pamięci, rzecz jasna - miejsce kaźni. Nogi ma słabe i odrętwiałe i jest mu niedobrze. Dookoła jak okiem sięgnąć ludzie. Krzyk i harmider. Tysiące twarzy i oczu. Wszystko to musi znosić, a zwłaszcza natrętną myśl: są tu tysiące osób, które nie zostaną uśmiercone, a ty zostaniesz stracony”. Autor, dzieło i bohater?

- Jakże - odpowiada Vlk z uśmiechem - nie pamiętać autora, który miał piekielne szczęście podobną scenę przeżyć osobiście, chociaż nie do końca: Dostojewski, *Idiota*, książkę Myszkin.

- *Touché!* - woła Doktor.

- A który - pyta Vlk - laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury uchwycił wierszem przebieg egzekucji w Indiach?

- „They - recytuje Doktor z uśmiechem - are hanging Danny Deever, they are marchin' of im round, they «ave» alted Danny Deever by 'is coffin on the ground!" Któż by nie znał laureata z roku 1907, autora *Księgi dżungli*, Rudyarda Kiplinga?

- *Touché!* - woła Vlk.

Nieraz pytania są tak wyrafinowane, a mimo to padają tak ścisłe odpowiedzi, że młodzieniec zapytuje samego siebie, jak elew teatralny patrzący z bliska na Sir Laurence'a Oliviera: czy nie powinienem raczej iść pracować na pocztę?

- Co to jest - pyta Vlk podstępnie - szwedzki trunek?

- Pańskie pytanie - powiada Doktor z uśmiechem - mógłbym zakwestionować wskazując, że to, co wyczyniała soldateska szwedzkiego generała Banéra, grasująca po Europie w roku 1638, nie miało nic wspólnego z dziedziną egzekucji. Ale że szwedzki trunek w późniejszym okresie procesów czarownic wchodzi do arsenału tortur, więc niech odpowie panu kronikarz: „Związali -

cytuje Doktor i jak zwykle pisze, tym razem palcem w powietrzu

- bowiem nędzarzy, od których chcieli wyłudzić ich ukryte pieniądze, a położywszy ich na wznak na ziemi, lali im w usta przez lejek gnojówkę, tak że wielu się zadławiło i poniosło straszliwą śmierć".

- *Touché!* - woła Vlk.

- *Exempla* - dodaje Doktor jako skromną dygresję - *trahunt*: Pośród werdyktów miasta Nymburka znajdujemy w roku 1606 nieprawdopodobną karę, którą „poniósł człowiek Jan Špička, dlatego że chędożył kobyły", czego bliżej nie wyjaśniono. Za to został „żywcem wypatroszony, jądrami wychlastano mu głowę, wszystkie wnętrzności związane w koszulę i na szubienicy z resztą ciała powieszono". Prosty czytelnik może temu przyklasnąć, ale uczone nie może się nie zdziwić, skąd u ludzi, w takiej dziurze jak Nymburk, wzięła się taka fantazyjna pomysłowość; po czym czyta *Geschichte des deutschen Volkes* Janssena i w tomie II na stronicy 506 naraz znajduje: o dwa lata wcześniej także kara dosięgła w Brunszwiku prawnika Brabanta, oskarżonego o to, że paktuje z diabłem. Musiał tamtędy wówczas przejeżdżać jakiś nie w ciemną bity facet z Nymburka i w dwa lata później wyskoczył z tym pomysłem przy cytowanej przeze mnie sprawie. Ale -

pyta chytrze Doktor

- w którym z dzieł klasyków znajdziemy najdziwniejsze ostatnie życzenie klienta

przed egzekucją?

- Plutarch w *Sulli* pisze o wodzu rzymskim Carbonie, którego Pompejusz skazał na ścięcie. Kat już unosił miecz, kiedy Carbon poprosił o pozwolenie mu przed śmiercią na szybkie oddanie -

mówi Vlk odsłaniając w uśmiechu swoje piękne zęby

- mocz.

Tymi pokrzepiającymi wspomnieniami usiłował Vlk rozproszyć swoją złość. Był wściekły, że spędza letnią upalną niedzielę w mieście, no bo w zameczku najpierw urządzono najzwyklejsze sanatorium, a potem ekskluzywny rządowy hotelik myśliwski, i że musi telepać się nagrzanym tramwajem, gdyż do samochodu miał prawo tylko w dniu egzekucji i w ciągu nocy po niej. Jedyne, co mu trochę poprawiało humor, to fakt, że po dłuższej przerwie Doktor zaprosił ich na projekcję filmów animowanych, które - zapewne z tytułu swojej funkcji - mógł od czasu do czasu pożyczać na niedzielę.

Czuąc klepięcie w ramię natychmiast uzmysłowił sobie, że zapomniał kupić bilet. To była przysłowiowa kropla przelewająca się przez brzeg kielicha goryczy, ogarnęła go depresja. Ku jego zdumieniu stał przed nim łysy, bezzębny starzec w przepoconej koszuli, zupełnie niepodobny do kontrolera.

- Psepraszam - spytał mocno sepleniąc - czy pan to psypadkiem nie Frycek?

- Tak, to ja - odparł Vlk, zbity z tropu.

Zaraz jednak ochłonął i pragnął odciąć się od tej poufałości, ale facet już nie dał mu szansy.

- Frycku - wołał obejmując go serdecznie - jak się mas, stary??

Pozostali pasażerowie, półzywi ze spiekoty, prawie nie zwracali na nich uwagi, ale Vlk mimo to czuł się tak, jak gdyby został wyciągnięty na scenę rozświetloną reflektorami. Deprymowało go również, iż nie jest w stanie tego człowieka nigdzie przyporządkować. Były kolega szkolny? Kumpel z wojska?

- Jak żyjes? - spytał facet.

Musiał jeszcze raz powtórzyć to pytanie, gdyż Vlk nie mógł od razu się połapać, że chodzi tu o słowo „żyjesz”.

- Dziękuję - odparł Vlk ostrożnie - jakoś leci. A ty?

- Ja jus jestem na emerytuze - odpowiedział facet. - A ty nie?

- Niestety - odrzekł Vlk ogólnikowo - brakuje mi sporo lat.

- Jak to? - zdziwił się facet. - Chyba ci się licy podwójnie, no nie? Czyby jus te świnię zniosły?

- No wiesz - odparł Vlk niekonkretnie.

Wiedział już, że facet zna jego profesję. Klawisz? Musiałby go pamiętać. Pewnie trumniarz, na nich nigdy nie zwracał zbytnej uwagi.

- Jak tam żona? - zapytał usiłując wycofać się z tego cienkiego lodu.

- Ta kurwa? - spytał facet. - Wyzuciłem ją na zbity pysk. Ale za to Bozenka wdała się we mnie.

- Kto? - spytał Vlk.

- Moja córka - seplenił facet twardo. - Już po matuzie. I dostała się na wyższą uczelnię.

- Gdzie? - spytał Vlk.

- Na prawo! - seplenił facet radośnie, podczas gdy tramwaj hamował ze zgrzytem. - Zycylałyby sobie być sędzią, no, może dla niej psyjdą lepsze casy. A ty jak to widzisz?

- Ja już niestety wysiadam - powiedział Vlk, zdecydowawszy, że pozostałe dwa przystanki przejdzie raczej piechotą.

- Skoda! - powiedział facet z żalem. - Bóg racy wiedzieć, cy się jesse spotkamy. Dali ci psynajmniej tę szkołę?

- Jaką szkołę? - zawołał Vlk czując nagle, że świta mu w głowie.

- No, tę katowską! - wołał facet, ale tramwaj już ruszył z przystanku.

W jednej chwili Vlk ujrzał na jego łysej czaszce ciemne, tłuste włosy, zapadłe policzki wypełniła drapieżna szczęka, a między wargami, zmysłowymi jak niegdyś, zatrzepotał zaborczy język, który tak hojnie rozdawał miłość i śmierć.

- Wilhelmie! - zawołał Vlk, ale były sędzia już go nie słyszał.

- *Quidquid agis, prudenter agas* - powiedział Doktor lejąc mu black

16

label na kostki lodu, które głośno pękały - innymi słowy. „Cokolwiek czynisz, czyń rozważnie”. Ci chłopcy trochę przesadzili i mają na sumieniu wiele naszych problemów. Kto im kazał robić sznury jak jakie różgi? I w tym wypadku sprawdza się przysłowie: mniej jest czasem więcej.

Sportowiec Šimsa piechotą przygnał ze swojego domku letniskowego; było to niecałe dwadzieścia kilometrów drogi i jego puls i oddech szybko doszły do normy.

- Kiedy sobie przypomnę - powiedział cicho, gdyż w tym towarzystwie nigdy nie wyzbył się nieśmiałości - jaki z niego był elegant, robi mi się smutno. Czemu go raczej nie

kazano załatwić? Co to daje, że chodzi między nami jak półtora nieszczęścia? Czy młoda generacja zechce się w równym stopniu angażować, kiedy widzi, jak świat za to płaci?

- Lepszy sędzia bezzębny - powiedział Doktor lejąc sok grejpfrutowy na pokruszony lód, który cicho trzaskał - niż bezgłowy. Gdyby on i jeszcze inni mieli wbrew ogólnemu rozgoryczeniu, ale w interesie państwa, pozostać na dowód, że *ius regit aut errant*, czyli że rządzi prawo, chociaż się -

ciągnął Doktor, nasypawszy do wgłębienia między nasadą prawego kciuka i palca wskazującego szczyptę soli i świeżo mielonego pieprzu

- myli, musiałyby istnieć pewność, że dojdą dalej niż do pierwszej latarni, co nie jest - zastrzegł się szybko, rzuciwszy Vlkwowi przeprasające spojrzenie

- żadną aluzją. Wzięło się tedy za podstawę naukową konstatację, że najwyraźniejszym rysem charakteru naszego narodu jest mieszanina zawiści i sentymentalizmu. Równało się to otwarciu im dostępu do wszystkiego, co przekraczało możliwości warstw słabych socjalnie, a zatem do samochodu niewspółmiernie dobrej marki czy do kochanki w niewspółmiernie młodym wieku. W ten sposób eliminuje się czynnik zawiści i *eo ipso* ewokuje dobrotliwe współczucie, jakim u nas darzy się upadki i degrengolady -

ciągnął Doktor, wycisnąwszy na pieprz i sól parę kropel świeżo przeciętej cytryny

- wszelkiego rodzaju. Chirurgia plastyczna, która zazwyczaj przeistacza szkarady w pięknościów, działa tu w kierunku odwrotnym po to, żeby umocnić końcowe wrażenie. Idę o zakład, że łysinę pańskiego przyjaciela co tydzień odnawia fryzjer, a zęby kazał sobie wyłamać sztucznie, obnosząc się z piękną protezą jedynie w specjalnych -

ciągnął Doktor, lewą ręką nalewając sobie do jednej szklaneczki tequili, a do drugiej sangrittu

- pomieszczeniach hotelowych, gdzie podobnie szykanowanym refunduje się raz czy dwa razy w roku odebrane uposażenie pod płaszczykiem hospitalizacji. Zresztą, czy nie jest wystarczającą odpowiedzią na pańskie pytanie sam fakt, że jego córka ma przejąć urząd po ojcu? Na zdrowie! -

dodał, zlizął z ręki mieszaninę cytryny, soli i pieprzu, popił to łykami kolejno z obu szklaneczek, po czym miksował wieloskładnikowy trunek meksykański w ustach.

- Tylko że - nieśmiało wtrącił się Šimsa - ubóstwo i wyniszczenie fizyczne, choćby sztuczne, to jednak kara za gorliwość służbową. Czy nauczona przykładem ojca córeczka nie wypisze na swojej tarczy „wszystko mi jedno”? Czy nie to aby jest powodem, że chyba niedługo nie będziemy mieli już nic do załatwienia?

- Mój drogi - odparł Doktor, wciąż jeszcze nie przestając się delectować smakami i

zapachami przesycającymi mu podniebienie - nic nie szkodzi, że panienka będzie na razie traktować obowiązki sędziowskie jak przedszkolanka, no bo mamy taką sytuację, sytuację międzynarodową, która niestety każe uwzględniać różne okoliczności łagodzące, i dlatego jeszcze przez jakiś czas trzeba będzie zachowywać pozory. Ale bądźmy dobrej myśli, kiedyś się wreszcie sprawę postawi na ostrzu noża, a wtedy i nasza panienka zacznie tak ochoczo rozdawać dożywocie i stryczki, że tatuńcio pęknie z dumy, jeśli nie ze -

dodał Doktor częstując cygarem marki Winston Churchill, co Vlk przyjął z podziękowaniem, a Šimsa z podziękowaniem odrzucił

- złości.

Šimsa rzucił się do podawania ognia Doktorowi, a następnie Vlkowi z zapalniczką, którą jedynie w tym celu sobie sprawił. Podczas tej czynności jak gdyby się ośmielił:

- No, a jeśli nie będzie chcieć? Ta dzisiejsza młodzież ma pełną gębę mądrości, a w dzisiejszych czasach nie wolno nawet w dobrej sprawie stosować przemocy! W jaki więc sposób będzie można osiągnąć właściwy skutek?

- Pewien Rosjanin - powiedział Doktor - przywoity pisarz i nawet noblista, ale taki zagorzały przeciwnik kary śmierci, że już ze złości zapomniałem, jak się nazywa, wypowiedział zdanie, które powinno stać się podstawową maksymą każdej nowoczesnej władzy: „Dawniej nas torturowano rozpalonym żelazem, a obecnie -

cytował Doktor wypisując jak gdyby w powietrzu te słowa żarzącym się końcem cygara

- zimnym bilonem". Jeśli pokolenie ojców, nieważne, czy z wewnętrznego przekonania, czy ze strachu, odegrało rolę żelaznej miotły, w myśl zasady, że kto nie wymiata, sam będzie wymieciony, to pokolenie synów i córek, które na skutek odmiennej sytuacji ani w nic nie wierzy, ani też niczego się nie boi, podejmie się tej samej roli za wyższe uposażenie lub mniejsze podatki, za większe mieszkanie lub mniejsze kłopoty z ulokowaniem dzieci na uczelniach czy tym podobne, najważniejsze, że przy wszystkich demokratyzacjach i liberalizacjach kierownictwo państwa przewidująco zostawiło sobie - choć na razie nie kłuje nią w oczy rozjątrzonej opinii publicznej - pewną furtkę, a jest nią -

uśmiechnął się Doktor

- szubienica, ale nie chcę was zanudzać wykładami, skoro po dłuższej przerwie udało mi się zdobyć dwa unikalne filmy - jest rzeczą znamionną, że znowu nas objęła dystrybucja - które was jako fachowców z pewnością -

dodał Doktor przytkając palcami, co z reguły było znakiem dla operatora, że może zaczynać

- zainteresują.

Przez moment słycać było w ciemności warkot motorka odsuwającego kurtynę sprzed ekranu, po czym z kabiny projekcyjnej wystrzelił snop światła. Pełen przyjemnego napięcia, tym bardziej że już i whisky zrobiła swoje, Vlk poczuł, jak gorycz ostatnich miesięcy ustępuje w nim pewnej nadziei. On i Šimsa pokładali w tej projekcji niejedno PF, a skrót ten nie oznaczał dla nich jedynie *pour féliciter*, co wielu Europejczyków pisze na życzeniach noworocznych, lecz także *penologic films* - filmy o wyrokach. Doktor miał dostęp do archiwów i prezentował swoim dwóm przyjaciołom wszystko, co mogło mieć dla nich znaczenie praktyczne albo stanowić podnetę do rozważań teoretycznych. Były to filmy o bardzo różnym poziomie, zarówno z punktu widzenia penologicznego, jak i fotograficznego. Kamera operowali przeważnie amatorzy, którzy zresztą pracowali po kryjomu, spod poły marynarki czy z teczki, toteż ujęcia były często niedo- lub przeeksponowane, nieostre i oczywiście nieme. Pewien stary obrazek z Chin czy Japonii, na którym półnagi mężczyzna z warkoczem zręcznie ścina głowy jakichś żołnierzy lub kulisów, kładzionych na drewnianym koźle niczym szczapy, był nakręcony na zwolnionych obrotach kamery, toteż podczas projekcji wykonawcy poruszali się tak szybko, że Doktor i jego goście puszczali go sobie po kilka razy zamiast groteski.

Smutniejszą rzeczą było widzieć amatorów również przed kamerą. Jakże zapomnieć obraz z Konga, gdzie jakiś poczciwiec ucina swoim ziomkom głowy apatycznie i niemrawo, a w dodatku piłą z powyłamywanymi zębami, nie dbając, jak na tym wyjdą ci, którzy ich przytrzymują; Vlk uzmysłowił sobie wówczas, że krajom rozwijającym się trzeba pomagać i w tej dziedzinie. Nierówny poziom filmów nie zmieniał w niczym faktu, że projekcje przynosiły znaczące impulsy. Podziwiali czystą i dokładną, chyba nawet zbyt pedantyczną, pracę kolegów w reportażach ze znakiem TS-NT (Top Secret - Nuremberg Trial), porządnym haustem musieli przypieczętować „dzieło” anonimowego fuszera spod Pirenejów: stojąc z głupkowskim uśmiechem za swoim, notabene, nie zasłoniętym klientem przykręcał śrubę garoty w tempie milimetr na minutę po to tylko, żeby dłużej być filmowanym, podczas gdy klientowi język zwisał już na brzuch jak krawat. Widzieli bardzo kontrowersyjną egzekucję na krześle elektrycznym wykonaną na Alice Ferris, która długo nie poddawała się coraz silniejszym dawkom prądu i dopiero przy 25000 woltów w jednej chwili zmieniła się w Murzynkę, oraz słynną publiczną strangulację niemieckiego prezydenta miasta Pragi, Pfitznera, podczas której tysiące Czechów brały na barana swoje dzieci, aby na własne oczy widziały ponowne narodziny humanizmu. I teraz zatem czekali z zainteresowaniem, czym ich zaskoczy wysoko postawiony przyjaciel.

Na ekranie zjawił się emblemat: DIE DEUTSCHE WOCHENSCHAU.

- To - powiedział Doktor, a w głosie jego brzmiała duma odkrywcy - jest niema kopia, co wcale nie umniejsza jej niesamowitej wartości. Oryginał posiadał najprawdopodobniej komentarz Fritza Hipplera, filmowego intendenta Rzeszy, który kazał wyprodukować ten film na rozkaz samego Führera.

Po czołówce następowało ujęcie stolika, na którym stała butelka koniaku i kilka kieliszków.

- Czas akcji - ciągnął Doktor, a w jego głosie brzmiała radość narratora - sierpień 1944, miejsce akcji to, jak się wydaje na pierwszy rzut oka, gabinecik w przytulnej winiarence i -

ciągnął Doktor, a tymczasem po ujęciu stolika nastąpiło ujęcie podsufitowych szyn z ruchomymi hakami

- zakątek w zakładzie rzeźnickim, de facto jednak centralna wykańczalnia w berlińskim więzieniu Plötzensee.

Po ujęciu z hakami nastąpiło ujęcie małych drzwi, przez które weszło kilku mężczyzn w togach, mundurach i ubraniach cywilnych; zatrzymali się przed kamerą, wyrzucili w górę prawe ramiona i coś wykrzyknęli.

- Heil Hitler! - zawołał równocześnie Doktor z patosem wykonawcy dubbingu, podczas gdy jego goście nalali sobie koniaku, wzniesli w górę kielichy, trzasnęli obcasami i wypili duszkiem - nic innego nie mogli wykrzykiwać wybrańcy, uhonorowani obecnością przy finalnych czynnościach po zamachu z 21 lipca i wiedzący, że jeszcze tego wieczora Führer wszystko sobie obejrzy w salce projekcyjnej. Toż był to jego twórczy pomysł, który tak ujął - patrz *Ein Drama des Gewissens*, Herder Bücherei, zeszyt 96 - w rozkazyte wydanytm katu: „Chcę, żeby wisieli jak bydło!”

Mężczyźni na ekranie nagle się obejrzeni. Natychmiastowy szwenk kamery zdążył pokazać drzwi, w które wszedł chwiejnym krokiem, poganiany przez dozorcę, nagi mężczyzna w średnim wieku, którego ręce były przywiązane drutem do ciała.

- Brakujący komentarz - ciągnął Doktor, teraz już ściśle i rzeczowo - uniemożliwia nam, niestety, poznanie nazwiska tego bohatera -

Doktor mówił o cywilu, który nagusa przejął chwytem, zdradzającym od razu kata z dużą praktyką.

- ale jego wykonatorstwo wznosi mu pomnik trwalszy od spiżu.

Vlk i Šimsa sami zaraz się zorientowali, że mają zaszczyt oglądać prawdziwego artystę, jakiego nie chcieliby mieć za konkurenta. Niczym czarodziej zawiązał na konopnym

sznurze przyczepne i dławiące oko, niczym dyrygent nadał właściwy rytm czynnościom pomocników, ażeby Numer Jeden szybko stanął na stołku i zarazem poczuł na gardle dławiące oko pętli, zamocowanej już na haku, i wreszcie niczym rzeźbiarz zaczął modelować jego pośmiertną maskę w ten sposób, że z dokładnością automatu usuwał stołek milimetr po milimetrze, ażeby sznur przejmował ciężar ciała gram po gramie, a tym samym nagi klient był zmuszony zademonstrować prominentnemu widzowi tego filmu swój koniec od A do Z, wraz z reakcjami fizjologicznymi, dzięki czemu można było uchwycić moment zgonu gołym okiem. Po czym wykonator całym swoim ciałem oparł się o załatwionego i posłał go razem z hakiem po szynie na drugą stronę pomieszczenia. Następnie wypił kieliszek koniaku, który podał mu młodszy pomocnik, i zaokrąglił w ciup wargi, na co Doktor zareagował wymownym gwizdnięciem; w drzwi wprowadzono nagiego Numer Dwa. Teraz Doktor powstrzymywał się od komentarza wykazując wyczucie rasowego reportera telewizyjnego, który wie, kiedy widzom coś podpowiedzieć, a kiedy pozwolić przemawiać samemu obrazowi: jedynie szum aparatu akompaniował kolejnemu ciągowi obrazów, kręconych jako jedno nieprzerwanie sugestywne ujęcie. Vlk i Šimsa, którzy już dwukrotnie sami posługiwali się dziesięciomilimetrową kamerą, musieli w duchu schylić czoła przed perfekcją tego reportażu. Nie mogąc co prawda bez ścieżki dźwiękowej ocenić poziomu żartów, które rozweselały również świadków, widzieli, jak z niewyczerpanym humorem realizatorzy filmu pokazywali kolejno wszystkie twarze, by niemal w tym samym tempie powtórzyły się na nich wszystkie groteskowe symptomy duszenia. Podobnie ku ostatniej salwie żywotności podnosił się kutas za kutasem, a kiedy bezsilnie opadał zwiastując *exitus*, jego właściciel zostawał po szynie odsyłany w dal, jak wózek z urobkiem węglowym, by zatrzymać się na zwłokach poprzednika. Każdy numer zamykał kieliszek koniaku, co w żadnym razie nie wpływało na zmniejszenie tempa czy precyzji wykonatorstwa. Nic zatem dziwnego, że Vlk, Šimsa, a nawet Doktor, który film już widział wcześniej, byli przejęci, co się zdarza uczestnikom naprawdę wielkich koncertów: mieli wrażenie, że to wciąż trwa, choć finałowy obraz ośmiu wiszących sztuk ludzkiego bydła, które pomocnicy czym prędzej obracali bokiem do kamery, ażeby nie wywalały na Führera wystającego z ust języka, a tym bardziej nie wypinały zafajdanego tyłka, dawno się już zaćmił i przed nimi jaśniała biała płaszczyzna.

- Osiem - powiedział na koniec Doktor podsuwając im przed oczy tarczę ręcznego zegarka - strangulacji i zmieściły się w jednej kasecie! I tylko ten chronometr świadczy, że numer nie trwał trzydziestu minut, jakby się zdawało, ale ledwo trzydzieści sekund. Jeśli się wie, że naprawdę była to zgodnie z przepisami nader brutalna i powolna rzeź, to wizja tego slowhangu okazuje się odważną grą artystyczną, a wszystkie te obsceniczości są jej

niezbywalną częścią; twórca tego widowiska był po stronie swoich klientów jak kiedyś wasz faworyt Mydlań, a skoro nie ma jego nazwiska w archiwach, powinien wejść do podręczników za przykładem wielkich osobistości sztuk pięknych jako Nieznany -

dodał Doktor spiesznie, na ekranie bowiem zjawił się emblemat z inicjałami I.R.T.C.

- Mistrz; ale zostawmy oceny na później, gdyż telerekordingowy zapis z Bagdadu jest odstrasającym pendantem poprzedniego filmu.

Po napisie nastąpiło ujęcie trzech krzeseł różnego wieku, rodzaju tudzież przeznaczenia.

- Czas akcji - powiedział Doktor, a w jego głosie brzmiało przejęcie fachowca - zima 1963, miejsce akcji na pierwszy rzut oka może wydać się dekoracją do sztuki Eugene Ionesco *Krzeseła* lub -

ciągnął Doktor, a tymczasem po ujęciu krzeseł nastąpiło ujęcie pulpitych nutowych, na których spoczywały pistolety automatyczne różnego kalibru i produkcji

- do innego widowiska jakiegoś innego absurdalisty, w rzeczywistości zaś jest to studio muzyczne Irak Radio Television Corporation.

Po obrazie pulpitych nastąpiło ujęcie grupy mężczyzn w mundurach wojskowych, którzy brnąc wśród instrumentów i stosów kabli podchodzą przed kamerę, zatrzymują się trzaskając obcasami i wydając okrzyk.

- Zwycięstwo! - zawołał jednocześnie Doktor; tymczasem mężczyźni wyszli z zasięgu kamery, poza jednym, który nerwowo zaczął odczytywać jakiś tekst w niezrozumiałym gardłowym języku - cóż innego mogli wykrzykiwać ci wybrani dopiero wodzowie rewolucji, którzy rozprawiali się właśnie z dawnymi wodzami rewolucji, i to ze świadomością, że ich bohaterstwo dzięki telewizji zostanie natychmiast docenione przez cały naród.

Mężczyzna na ekranie dokończył czytania i rzucił spojrzenie w bok. Szybki szwenk kamery ukazał krzeseła: byli już do nich przywiązani kablem elektrycznym trzej spuchnięci mężczyźni w porwanych mundurach; ich oczy, zapadłe pośród ogromnych jak górskie jeziora sińców, były wprawdzie otwarte, ale wpatrywały się już w coś daleko, hen, poza tym światem.

- Odczytywany właśnie wyrok - ciągnął Doktor, a w głosie jego ponownie brzmiała trzeźwość historyka - pozwala nam zorientować się *who is who*, toteż moglibyśmy wraz z widzami bezpośredniej transmisji cieszyć się, że naocznie przekonamy się, jak sobie w czarnej godzinie radzą Wielki i Jedyne Wódz rewolucji irackiej Abd-Al Karim Kasim, jego sławny współbojownik, przewodniczący Najwyższego Sądu Wojskowego, pułkownik Mahdavi oraz znakomity żołnierz i patriota, naczelnik wydziału operacyjnego, szejkh Taha.

Tylko że człowiek tak, a głupcy siak!

Rozległ się dźwięk przypominający wielkanocne kołatki. Trzej mężczyźni wsparli brody na obojczykach. Gdyby nie opóźniona kula, która przebiła czaszkę Tahy i ubroczyła ją struzką krwi, nawet Vlk z Šimsą nie zrozumieliby, co właściwie się stało.

- Mieć taką literalnie historyczną okazję i tak ją, za przeproszeniem - zawołał Doktor, a w jego głosie brzmiała irytacja zawiedzionego kibica - zasrać! Załatwić ich wszystkich naraz, bez komendy czy przynajmniej głośnego uprzedzenia, zrezygnować z salwy plutonu egzekucyjnego, wymyśleć tak atrakcyjne tło, a potem tak ich zdrutować, że ani drgną, spaprać nawet dźwięk źle ukierunkowanymi mikrofonami i nie wykorzystać tricku, bez którego nie obejdzie się dzisiaj byle transmisja made A.C. Kozia Wólka versus F.C. Zadupie, czyli bez -

ciągnął Doktor, wzniosłszy w smudze światła nad głową skrzyżowane dłonie, dając w ten sposób znak operatorowi, że jest już wolny

- replayu, to wręcz skandaliczne zlekceważenie zarówno telewizji, jak i wykonatorstwa. I jak tu się później dziwić, że ten twórczy eksperyment nie został już nigdy powtórzony, mimo że dzisiaj światowe stacje telewizyjne płacą bająńskie sumy za różne pseudoartystyczne namiastki, jak dajmy na to gilotynaż w filmie Leloucha *La vie, l'amour, la mort*. Czyli -

ciągnął Doktor nalewając Vlkowi jeszcze jedną whisky

- dochodzimy do paradoksu, że przed świetnym dziełem filmowej wytwórni dokumentalnej, które zrobiłoby rekordową kasę i zebrało wszelkie możliwe nagrody międzynarodowe, drzwi są zamknięte na siedem spustów, podczas gdy za pośrednictwem Eurowizji obiega świat dyletancki knot. Oto woda na młyn tych wszystkich, którzy ustawicznie zatrują powietrze wołaniem o nieskuteczności najwyższego wymiaru kary, spuszczać w ten sposób z uwięzi najniższe popędy, które często powodują jej zakaz, co -

ciągnął Doktor, nalewając Šimsie soku

- summa summarum może nas mierzić, ale w żadnym razie deprymować, jeśli rozumiemy, że wraz z błędami rodzi się tu coś zupełnie nowego, co nas kiedyś poruszy, tak jak pierwszy samochód czy pierwszy gramofon!...

Nastała cisza, w której słychać było jedynie motorek kurtyny z powrotem zasłaniającej ekran. Doktor jednak wciąż patrzył przed siebie, jakby zafascynowany widowiskiem, które widział tylko on.

- Ale - nadmienił Vlk - cóż może wskórać paru osamotnionych zawadiaków, kiedy po Europie krąży widmo humanizmu? Cóż mogą wskórać oświecone, ale izolowane elity, skoro po niespełna roku kolejny rząd ustępuje przed terrorem moralnym pisarzy i innych

zdeklasowanych elementów i znosi najwyższą karę, choć właśnie ona jest siłą motoryczną dziejów i bez niej nawet najbardziej rozwinięte narody łączyłyby dotychczas po drzewach razem z małpami?

- Nie traćmy jednak - ożywił się Doktor, a tym samym zamyślony filozof w jednej chwili stał się na powrót zapalonym dyskutantem i niezmordowanym organizatorem - świadomości związków sprawczych, a przede wszystkim wiary w odradzającą siłę nieskażonych wspólnot! I cóż z tego, że kilka zdegradowanych rządów posyła przedwcześnie na emeryturę swoich najlepszych katów, skoro w tym samym czasie nowy rząd w niezbyt jeszcze rozwiniętym, ale jak widać postępowym kraju, wykańcza swoich poprzedników na oczach rzesz telewizyjnych widzów? Skoro inny rząd w znacznie mniej rozwiniętym, ale jak widać w znacznie bardziej postępowym regionie każe za jednym zamachem załatwić dwa miliony naznaczonych winą obywateli, choć, fakt, cokolwiek, prymitywnym systemem *kill as kill can!* Proszę, *ex Oriente lux*, które rozjaśnia europejskie mroki. A my powinniśmy dzisiaj zrobić wszystko, ażeby jutro móc, dzięki swoim doświadczeniom, podnosić w tych krajach kulturę egzekucji!

- Jak w tej mizerii, kiedy sami gonimy resztkami - spytał Vlk niedomyślnie - możemy ulepszać stosunki na drugim końcu świata?

- Piwo - powiedział Doktor z uśmiechem.

Vlk i Šimsa spojrzeli na niego z nieukrywanym lękiem.

- Piwo - powtórzył Doktor najspokojniej w świecie, dając tym samym do zrozumienia, że z jego władzami umysłowymi wszystko jest w jak najlepszym porządku - było przez całe stulecia tradycyjnym produktem dwóch narodów Europy. I jeśli dzisiaj jest ono napojem buszmenów i Eskimosów, to nie mają w tym żadnej zasługi jakiegokolwiek rządu czy ONZ, ale kilku czeskich i bawarskich piwowarów, którzy swoją miłość do piwa, swój talent i swoje siły oddali w służbę złąknionej ludzkości. Cóż, macie dziś mało klientów. Ale tym więcej czasu i energii! Nuże, oddajcie się tymczasem wielkiemu dziełu oświaty! Jesteśmy dumni z ziomeków, którzy rozsławili w świecie nasze kryształki i oszczyпки. Ale nasza ojczyzna jest przede wszystkim kolebką pedagogiki. Czemuż by w dziedzinie wychowania wykonatorskiego nie mieli znowu zasłynąć nasi ludzie, ludzie wolni i na tyle przygotowani zarówno profesjonalnie, jak i ideowo, że o ich *know-how* będą się dobijać przywódcy czarnych, żółtych, a choćby i cętkowanych rewolucji ze wszystkich kontynentów! Kto zechce nas nazywać narodem muzyków jeszcze dzisiaj, kiedy festiwale muzyczne odbywają się w każdym, z przeproszeniem -

zawołał Doktor, a w jego głosie brzmiał entuzjazm fanatyka -

- zapieżdziu? Ale czemuż by nas nie mogli nazywać narodem najelegantszych, najoświeceńszych i najhumanistyczniejszych katów??

- Ale w takim razie - wyszeptał Vlk i musiał się po raz pierwszy od wielu lat hamować, żeby z powodu rosnącego w nim gniewu nie zawiódł go jego spiżowy głos - musielibyśmy otworzyć szkołę...

- No, a dlaczego by - zapytał Doktor, jakby już im przekazywał klucze od budynku szkolnego

17

- nie?

- Boże - powiedział nagle Šimsa - Boże, popatrz tylko na to!

- Boże - powtórzył za nim Vlk - gdzie się toto wylęło?

Prosto na nich sunęła czarnulka owej szczególnej południowej proveniencji, nie pozwalającej jednoznacznie określić, czy to piętnasto- czy może trzydziestolatka. Mimo że ledwo stajał ostatni śnieg, a słońce z trudem nakłaniało drzewa do wypuszczania pierwszych pąków, miała na sobie letnią sukienkę z drukowanego lnu, która odsłaniała co się tylko dało: długie, mocne nogi bez pończoch, opalone ramiona i przede wszystkim świetnie utoczone piersi; przez obcisłą tkaninę wyraźnie odznaczał się również trójkąt kibici. Tuż za nią z chrypliwym skwirem kreśliły koła skrzydła mew i zdawało się, że to nadchodzi sama wiosna.

Było wczesne przedpołudnie, ale Vlk z Šimsą siedzieli już niemal trzecią godzinę przy swoim ulubionym stoliku w kawiarni Sparta. I niemal trzy lata upłynęły od letniego wieczora w dusznej salce projekcyjnej, kiedy to Doktor postawił historyczne pytanie. Jego przypuszczenia, oparte rzecz jasna na dobrze poinformowanych źródłach, niebawem zaczęły się potwierdzać. Złote czasy masowych egzekucji wprawdzie nie powróciły, gdyż stale jeszcze panował pruderyjny wstręt do procesów politycznych, przewyciężono wszelako punkt krytyczny kryzysu, a przejawem rosnącej stabilizacji było surowsze osądzanie deliktów kryminalnych. Odpowiedzialni funkcjonariusze - Vlk z Šimsą czuli, że kryje się za tym mrówcza inspiratorska praca Doktora - nareszcie zrozumieli, że egzekucje zdrowo oddziałują na społeczeństwo: prosty obywatel czuje mocną rękę władzy i poznaje wartość swojej nienaganności; opozycja polityczna, choćby najlegalniejsza, nie może przy całej inteligencji nie wiedzieć, że dopóki kara śmierci ma oparcie w paragrafach, o jej stosowaniu decyduje władza, która w ten sposób dyktuje cenę lojalności.

Ożywienie w branży niosło za sobą również liczne inne przywileje. Wraz ze wzrostem liczby klientów ubywało kłótni o premie, samochód służbowy, pozostałości z ostatnich wieczerzy czy choćby o tradycyjne prawo sprzedawania po kawałku wisielczego sznura. Byłoby rzeczą nad wyraz naturalną, gdyby Vlk i Šimsa po tylu latach chudych otwarli szeroko ramiona wszelkim radościom życia. Dziewięćdziesięciu dziewięciu ze stu ich kolegów z pewnością by to zrobiło. Ale nie oni! Prawdziwy stosunek Vlka do zawodu krystalizował się niemal przez ćwierćwiecze; zaprowadził go na wyżyny profesjonalizmu, a także w głębie filozofii. Šimsa był wprawdzie znacznie młodszy, ale nie na darmo uważał się za jego ucznia.

Vlk nie miał dzieci. Jedyna kobieta, jaką kiedykolwiek kochał, i z którą pragnął je mieć, poroniła w chwili, kiedy w zamian za wyjawioną mu słodką tajemnicę zdradził jej sekret swojego życia; od tamtej pory Małgorzata była bezpłodna. Nie ma co się dziwić, że swoją niespełnioną miłość ojcowską przeniósł niebawem właśnie na Šimsę. I nie ma co się też dziwić, że sierota Šimsa, który zaznał jedynie bezosobowej opiekuńczości domów dziecka i tym podobnych, odwzajemniał mu się uczuciem, które nie ustępowało w niczym miłości synowskiej, tym intensywniejszej, że nie osłabiały jej normalne rodzinne niesnaski i że żywił głęboki podziw dla sztuki i projektów Vlka.

Dla tych projektów, które niegdyś zakiełkowały podczas upadku Perseid, a wraz z nimi również na jakiś czas zanikły, zapłonęło oto zielone światło. Z olbrzymią szansą wiązała się oczywiście nie mniejsza odpowiedzialność. Vlk od dawien dawna wyznawał odszczepieńczy pogląd, że tak entuzjastycznie rozslawiana gilotyna w rzeczywistości dewaluuje profesję. Ten rozwydrzony nóż do szatkowania kapusty mógł obsługiwać pierwszy lepszy prymityw, i tacy właśnie w najlepsze się nim posługiwali. Czyż nie jest symptomatyczne, że Francuzi z tym swoim patentem nie przebili się dalej niż na własne terytorium południowoamerykańskie koło skolonizowanej Gujany, czyli na Wyspę Diabelską? Że nawet faszyści, w swojej bajkowej rzeszy dzielący obywateli na katów i ich klientów, woleli topór i pień, póki nie zaczął im doskwierać straszliwy brak zdolnych kadr? O ile wspanialszy od martwej maszynierii był projekt żywej szkoły, i to nie kursu uczniowskiego produkującego seryjnie rzemieślników, ale prawdziwej alma mater oprawczonorum, której absolwent będzie wyposażony w całą wiedzę o wszystkim, co dało ludzkości wykonatorstwo wszystkich epok i kontynentów, a poza tym nauczy się rozwijać całą swoją indywidualność twórczą! Tylko takie rozwiązanie - według Vlka - mogło być poprzeczką, którą trzeba było przeskoczyć, ażeby móc sprostać chwalebny tradycjom, a także rosnącym potrzebom chwili.

Niebawem powzięto podstawową decyzję. Już u schyłku jesieni mógł Doktor przekazać swoim przyjaciołom wiadomość, która miała dla nich równie epokowe znaczenie jak niegdyś dla fizyków amerykańskich zgoda na produkcję Bomby. Byli wystarczająco inteligentni, żeby nie pytać, kto to zaakceptował, tym bardziej że potrafili się zorientować, kto ma po temu kompetencje, możliwości finansowe, a także władzę, by tę nową instytucję zataić zarówno wobec góry, jak i dołów; to było bowiem pierwsze *conditio sine qua non*, z którym oczywiście światły Vlk się liczył i o czym potrafił przekonać ambitnego Šimsę.

Owego wieczoru zaprosił go po raz pierwszy do domu, gdzie nigdy nikogo nie przyprowadzał, jako że do ogniska domowego nie powinna dochodzić wrzawa świata; jakże żałował, że kiedyś nie był konsekwentny: jego córeczka - embriion bowiem był w tym stadium, w którym rozróżniało się już płeć - na jego oczach przeżywałaby właśnie cud przemiany w pannicę. Pani Vlkova, kobieta jeszcze stale atrakcyjna, choć wiek i niespełnione macierzyństwo zostawiły swoje ślady na jej twarzy, przygotowała dla nich mały poczęstunek. Trochę tańczyli, niemało wypili i było im razem dobrze; Vlk nawet zaproponował Šimsie, ażeby poza miejscami publicznymi zwracali się do siebie per ty.

Po świętach przychodzą dni powszednie. Były one o tyle smutne, że drugi warunek pokrzyżował pierwotne plany. Nieznany decydent wysokiego szczebla - przywykli z Doktorem mówić o nim Inwestor - kategorycznie odrzucił status wyższej uczelni, a poza tym uparł się, żeby szkoła była jednoroczna. Przez kilka dni Vlk przeżywał kryzys i był już niemal gotów zrezygnować z przemiany pięknego marzenia w kaleką rzeczywistość; z kryzysu pomógł mu wyjść zupełnie niespodziewanie Šimsa. Toż moja edukacja, argumentował, trwała niespełna trzy lata i w dodatku odbywała się dosłownie na kolanie, a pomoce naukowe ograniczały się do paru zaledwie książek, a potem już były zajęcia praktyczne z klientami! Wystarczy przecież, dowodził z ołówkiem w rękę, gdyż nauczył się tego od Doktora, znieść wszystkie wolne soboty i zorganizować intensywną naukę od pierwszego września do trzydziestego czerwca, od rana do wieczora, ale głównie od dzwonka do dzwonka, ażeby efektywność w porównaniu z innymi szkołami zwiększyła się w trójnasób.

- Zgoda! - powiedział pewnego dnia Vlk.

Od razu poczuł, że bez reszty opuszczają go wątpliwości, natomiast zaraz przepelnia go właściwa mu wiara w siebie, ta niez mordowana inspiratorka radosnej aktywności. Do tej decyzji przyczyniły się i obietnice, którymi Inwestor swoje restrykcje kompensował. Przyrzekł przede wszystkim, że oprócz niezbędnych środków na pensje, stypendia i pomoce naukowe technikum otrzyma przyzwoity dach nad głową przy jakimś większym kompleksie instytucjonalnym, ażeby, jak wyrażał się Doktor, zniknęli w tłumie. Przyrzekł też, a była to

obietnica nie mniej ważna, iż mimo jednorocznego programu nauczania, notabene poza zasięgiem ministerstwa oświaty, uczniowie po otrzymaniu absolutorium i zdaniu egzaminu na tytuł mistrza zostaną wyposażeni nie tylko w świadectwo czeladnicze, ale i maturalne.

Vlk z Šimsą zdawali sobie sprawę, że również za to powinni być wdzięczni Doktorowi. Podczas gdy z jednej strony cierpliwą argumentacją nadawał kierunek ich postulatom, z drugiej - niewątpliwie niezmordowanie przekonywał wszystkich, bez których błogosławieństwa i pieniędzy projekt nie mógłby być zrealizowany. Toteż mimo wszelkich ograniczeń i zastrzeżeń rezultatem tych starań nie były żałosne ochłapy, lecz godny szacunku i obiecujący kompromis, który pozostawiał otwarte drzwi dalszemu rozwojowi. Odzyskawszy wiarę we własne siły, Vlk był teraz pewien, że sukces pierwszego, a właściwie zerowego rocznika przełamie sceptycyzm Inwestora i otworzy drogę do celu, który pozostawał niezmienny. Toteż i hasło, które miało widnieć na szyldzie szkoły, wybrał takie, żeby mogło później zdobić wielką aulę uniwersytetu:

WIEDZA CAŁEGO ŚWIATA UCZYNI Z CIEBIE KATA!

W tamtym okresie rozegrał się epizod, który w annałach szkoły znaczył o wiele mniej niż drobna potyczka w dzienniku bitewnym okrętu wojennego, zadokumentował jednak, jak bardzo odpowiedzialnie obaj ojcowie duchowi traktują każdy szczegół, a w konsekwencji, jaki typ absolwentów pragną zapewnić społeczeństwu. Również tym razem właśnie Vlk wpadł na pomysł, że przyszła alma mater oprawczonorum musi mieć, logicznie rozumując, jakąś przewodnią maksymę sformułowaną w magicznym języku ludzi wykształconych.

- Raczej nie robiłbym niewolniczego przekładu z czeszczyzny - powiedział Doktorowi - posłużyłbym się jakimś znanym powiedzeniem, które dla naszych celów lekko by się przemodelowało. Powiedzmy „Najpierw żyć, potem filozofować!” można by za pomocą słów „uczyć się” i „wieszać” doskonale przekształcić na nasz użytek w taki oto sposób: PRIMUM EST DISCERE, DEINDE STRANGULARE!

- Niezłe - powiedział Doktor, było jednak po nim widać, że myśli zagłębiają mu się niby fale radaru w owe zwoje mózgowo, gdzie od studenckich lat przechowywał komórki z zasobami łaciny - naprawdę niezłe, czy jednak nie lepiej by się nam nadawał wzór „Co zasiejesz, to skosisz”? UT DISCERIS, ITA STRANGULARIS!

- Fantastyczne - ucieszył się Vlk, ale już i jego umysł pracował na pełnych obrotach - absolutnie fantastyczne! Tylko że przyszła mi właśnie do głowy znana mądrość „Chcesz pokoju, gotuj wojnę!"; stracimy co prawda słowa *para bellum*, które stały się również marką słynnych pistoletów wojskowych, ale wariacja stanie się tym bardziej przebojowa: SI VIS STRANGULARE, DISCE!

- Brawo! Gratuluję! - przyklasnął Doktor i jeśli kontynuował pojedynek, to nie z próżności, a tylko dlatego, że jak pies myśliwski nie mógł się powstrzymać od gonitwy za cwałującą myślą, póki problem, jak sam powiadał, nie został „wyszczekany” - a skorośmy już wstąpili na szlak lapidarnej apostroficzności, czemu nie stworzyć czegoś à la „Dziel i rządź!”, albo „Wiedz i wieszaj!”, a zatem „DISCE UT STRANGULARES!”?

Vlk mógł już tylko z przekonaniem kiwnąć głową; wiedział, że propozycja jest fenomenalna.

W ostatnich dniach wiosny Doktor mógł powiadomić Inwestora, że obydwaj warunki zostały przyjęte, i w efekcie przyniósł Vlkowi radosną wieść: do końca zimy należy złożyć plan nauczania roku próbnego, projekt etatyzacji pedagogów, skład klasy i wstępny budżet. Dlatego właśnie przesiadywali codziennie oprócz niedziel za panoramicznym oknem kawiarni Sparta, którą przed rokiem celowo wybrali na miejsce spotkań, żeby w swojej dobrowolnej klauzurze zbyt dojmująco nie odczuwać izolacji od świata. Atoli, pogrążeni w swojej pracy, nie zwracali uwagi na letnie ulewy, jesienne szarugi i kolejne śniegi zimy, a także na tysiące tramwajów, setki tysięcy samochodów i miliony twarzy, które przez cały ten czas defilowały przed ich oczami na olbrzymim zodiakalnym okręgu życia. Obwarowani stertami książek i notatek, uzbrojeni w linijki, gumki i ołówki najprzeróżniejszych kolorów, pochylali się nad grubymi arkuszami i układali program zajęć i ćwiczeń, który, jak w skrytości ducha przypuszczali, tryumfalnie wejdzie kiedyś do czytanek szkolnych.

Personel kawiarni początkowo uważał ich za pedagogów sąsiedniej szkoły teatralnej i według tego ich tytułował: Vlka - panie profesorze, Šimsę - panie docencie; w dużej mierze z zabobonności przenieśli obie funkcje do wykazu etatów. Później, kiedy kelnerzy połapali się, że siedzą od rana do wieczora przy jednej kawie nie tyle ze skąpstwa, ile z obsesyjnej pracowitości, to wdając się w jakiś spór, to z zapamiętaniem pisząc konspekty, sami zaczęli o nich dbać; najpierw jak o ekscentryków, później jak o bywalców, a w końcu jak o kogoś z rodziny. Zmiany starały się im urozmaicić jadłospis, a zdarzało się, że kelnerki podawały im również smakołyki, które upiekły w domu.

Dzięki niesamowitej samodyscyplinie jeszcze przed nastaniem zimy wykrzesali z mgieł i mroków - toż nie mieli żadnych wzorów! - pierwszą koncepcję, a potem już pospieszali naprzód siedmiomilowymi krokami. Nastąpiło to, kiedy zdali sobie sprawę, że grzech śmiertelny pedagogiki ma na imię Bezbrzeżność, i wtedy postanowili swój gmach zbudować na czterech nośnych kolumnach:

Pierwszą z nich miało być klasyczne wykonatorstwo. Ten w dużej mierze teoretyczny przedmiot został uwzględniony nie tylko dlatego, że pobrzmiwała w nim idea instytutu

naukowego, ale i dlatego, że bez jego znajomości żaden kat zdaniem Vlka nie może osiągnąć pełni profesjonalizmu i człowieczeństwa. On też, jak milcząco przyjmowali, miał go wykładać. Nawiązywać miało do niego wykonatorstwo nowoczesne, wykładane przez Šimsę, również raczej teoretyczne, obejmujące wprawdzie egzekucje współczesne, ale stosowne w innych rejonach świata; przedmiot mógłby dać solidne podstawy uczniom, którzy - jak o tym marzył Doktor - byłiby w ramach międzypaństwowych wymian kulturalnych towarem eksportowym. Pozostałe dwa główne przedmioty to wieszanie i tortury. W tym względzie adepci mieli przechodzić wszechstronne szkolenie, ażeby byli zdolni wykonać wszystkie choćby najbardziej skomplikowane zadania, jakie postawi przed nimi społeczeństwo. Ze względu na swoje bogate doświadczenia wieszanie pragnął wykładać Vlk. Natomiast o tortury zupełnie niespodziewanie poprosił sam Šimsa. Szybko dogadali się, że w ramach podnoszenia poziomu nauczania Vlk u Šimsy wyłoży torturoznawstwo klasyczne, a Šimsa u Vlka strangulację, czyli obsadzą swoje najulubieńsze dziedziny.

W sylwestra po południu ujrzał światło dzienne „Plankonspekt całorocznego nauczania”. W krzyżówce szkolnych miesięcy i przedmiotów ujawnił się jak pod rentgenem ideowy kościec całego projektu. Fachowcowi wystarczyłby rzut oka, żeby stwierdzić, że mimo niechęci Vlka do kultury helleńskiej - w dziedzinie wykonatorstwa była okresem ciemnoty! - kościec ten wyrasta z ideału kalokagatii, dążącego do osiągnięcia harmonii między ciałem i duszą. Vlk postanowił prowadzić walkę z prostackim fachmaństwem, do jakiego zapewne ograniczano się w katowniach przeszłości, co uniemożliwiałoby tym samym przeniknięcie do tej profesji amatorom, a które później stało się zakłębieniem konserwatystów: toż największy krzyk przeciwko wykształconym wykonatorom nowego typu podnosili nieucy, którzy nigdy się nie nauczyli porządnie przetrącić karku. Vlk i oczywiście Šimsa chcieli, żeby uczniowie zdawali sobie sprawę, że nic im nie da sama znajomość, nawet najdokładniejsza, dzieł Hentiga (*Die Strafe, Henkersmahlzeit, Der Gangster*), jeśli nie będą umieli wieszać śpiewająco, ale i wręcz przeciwnie, że przy doskonałym wykonatorstwie lepszy stopień ze strangulacji, a zatem i lepsze skierowanie do pracy otrzyma ten, kto zna całego Hentiga jak tabliczkę mnożenia. Dlatego też cztery przedmioty podstawowe zostały dopełnione ośmioma pomocniczymi i w ten sposób kościec ideowy szkoły został obudowany systemami nerwowymi i gastrycznymi, słowem szkoła stała się żywym organizmem.

Plan roczny, choć wymagał najwięcej pracy, był zarazem najbardziej zwięzły. Najwyższy stopień złożoności prezentowały „miesięczne plankonspekty nauczania”, w sumie dziesięć, do których zabrali się zaraz w pierwszym dniu nowego roku, gdyż mieli terminy doprawdy szubieniczne. Teraz nie wystarczyło już wpisać dajmy na to w kratkę leżącą na

przecięciu MARZEC/WYKONATORSTWO KLASYCZNE wyłącznie EGZEKUCJE SPECJALNE II.-EXOTICA, ale trzeba było całe pensum podzielić na cztery bloki, aby następnie można było układać plany tygodniowe. Siłą rzeczy należało zdecydować, czy „exotica” obejmą po prostu inne terytoria kulturalne, czy też będą oznaczać problematykę krajów mniej rozwiniętych.

- Jeśli przyjmiemy możliwość pierwszą - zastanawiał się w tamtych dniach Vlk, podczas gdy przy sąsiednim stoliku studentki szkoły teatralnej w podnieconej rozmowie przed egzaminami dociekały, którego z egzaminatorów dałoby się najłatwiej uwieść - pojęcie „kulturalny” będzie musiało objąć również formy zupełnie prymitywne, na przykład egzekucja za pomocą tak zwanego drzewa straceń, o którym w *Zahradnickych listach* z roku 1907 Karel Petržilka powiada: „Jeśli ktoś zostaje skazany -

cytował Vlk, podczas gdy przy sąsiednim stoliku emeryci zamawiali wodę mineralną, żeby móc gratis przeczytać codzienną prasę

- na karę śmierci, sędzia go pyta, czy chce umrzeć z ręki kata, czy też woli zebrać trochę soku z trującego drzewa upas. Skazany z reguły wybiera drugą możliwość licząc na ocalenie. Atoli dziewięć na dziesięć osób, choć stosują najdalej idące środki ostrożności, przy pierwszym zetknięciu z liściem tego drzewa pada -

ciągnął Vlk, podczas gdy przy sąsiednim stoliku kelnerka wypraszała starszych panów, bo chciała tam usadowić pedagogów ze szkoły teatralnej

- martwych”. Dla kulturalnego człowieka nie do pomyślenia jest wybór pomiędzy doświadczonym katem a obrzydliwą, lepką rośliną. Jeśli wszakże przyjmiemy możliwość numer -

ciągnął Vlk, podczas gdy przy sąsiednim stoliku pedagodzy sprzeczali się, która z egzaminowanych studentek dałaby się łatwo poderwać

- dwa, przejdą uczniom koło nosa rzeczywiste *exotica* dojrzałych cywilizacji, które poświęciły szlifowaniu egzekucyjnych finezji tyleż uwagi co gastronomii, że wyrwykowo przytoczę słynną egzekucję cesarską w Chinach przeprowadzoną za pomocą wody kapiącej w regularnych odstępach czasu na unieruchomioną potylicę klienta, czy też -

ciągnął Vlk, podczas gdy przy sąsiednim stoliku starsze panie zamawiały wodę sodową, żeby móc tanim kosztem porozmawiać o swoich chorobach

- sławetną multiegzekucję Azteków, podczas której Hiszpanie stali w kolejkach do ołtarza, gdzie im za pomocą kamiennego noża żywcem wycinano serce, czy też -

ciągnął Vlk, podczas gdy przy sąsiednim stoliku kelner wypraszał starsze panie, chcąc przy nim usadowić wesołe towarzystwo obojga płci ze szkoły teatralnej

- żeby nie zabrakło i naszego stulecia, korzystającego z osiągnięć rewolucji technicznej, ulubioną japońską egzekucję za pomocą lokomotywy, do której paleniska wraz z węglem dorzucano -

- kończył Vlk wielogodzinny wykład, podczas gdy na stoliku obok piętrzyły się już do góry nogami krzesła, a pedagodzy i studenci wychodzili parami, żeby się przekonać o słuszności swoich wyborów

- bolszewików.

Wszelako ani Vlk, ani Šimsa nie byli gadułami. Każdy ich spór, stanowiący zresztą zarodek skryptów, rozlewał się po całej problematyce jak rzeka monsunowa, następnie jednak posłusznie wracał w koryto planu. Dylemat zdążyli rozstrzygnąć przed zapłaceniem rachunku: aby zaznaczyć granice między etapami rozwojowymi, trzy pierwsze tygodnie marca poświęcą na rzeczywiste *exotica* z innych rejonów cywilizacyjnych, natomiast w tygodniu ostatnim rozpatrzy się „anomalia”; Vlk tym słowem dyplomatycznie zastąpił określenie „primitiva”. W ten sposób uczniowie mieli się dowiedzieć zarówno o niezwykle trudnym azjatyckim obdzieraniu ze skóry, która musiała pozostać bez najmniejszej skazy, jak też o prostych afrykańskich egzekucjach za pomocą słonia, termitów, rozkurczającej się z impetem palmy czy kurczącego się schnącego bambusu.

Przy tak dokładnej specyfikacji na opracowanie każdego planu miesięcznego Vlk i Šimsa potrzebowali kilku dni, a przy tym najmniejsze opóźnienie z ich strony oznaczałoby, że start opóźni się o cały rok szkolny. Toteż byli szczerze zdesperowani, kiedy z końcem stycznia dostali zlecenie na dwóch aż klientów. Wówczas Vlk po raz pierwszy skorzystał z tajnego numeru i zadzwonił wieczorem do Doktora. Choć było już po godzinach urzędowania, w słuchawce odezwała się bardzo surowa sekretarka i Vlk musiał przestawić się na umówiony kod „tu przewodniczący”, żeby dostać połączenie. Jeśli Doktor będzie tak łaskaw załatwić, żeby ci dwaj poczekali - powiedział tonem nagłym - aż dokończą planowanie zajęć szkolnych, on i Šimsa gotowi są zapłacić za ich przedłużony pobyt w celi śmierci z własnej kieszeni. Tak bezinteresownej propozycji Doktor nie mógł odrzucić i dzięki temu miesięczne plany zostały dokończone nawet cokolwiek wcześniej niż zakładali: już dwudziestego lutego.

Za to „Plankonspekty nauczania tygodniowego”, których bali się najbardziej, poszły jak po maśle. Umożliwił to bezbłędny rozkład tematów, starannie opracowany na poprzednich etapach. Idea szkoły i metodyka nauczania w niej stanowiły już monolityczną konstrukcję, którą obciążać można było różnymi okazałymi przedmiotami bez obawy, że się zawali. Lekko i przyjemnie wypełniało im się arkusze zajęć tygodniowych, ponumerowane od

jednego do czterdziestu trzech. Arkusz numer siedemnaście pozostał czysty, ponieważ Vlk wspaniałomyślnie przeznaczył ten tydzień na ferie gwiazdkowe, przekonany przez Šimsę, że sprawie wyjdzie tylko na dobre, jeśli dzieci, jak już je poufale nazywali, choć przecież jeszcze ich nie znali, będą mogły, tak jak ich rówieśnicy, odprężyć się podczas tego pięknego święta ludzkości. Doszli zresztą wspólnie do wniosku, że najlepiej będzie zorganizować dla całego kolektynu uczniów i pedagogów, może też wspólnie z jakąś normalną szkołą, sylwestrową wycieczkę w góry. Tak, z jakąś inną szkołą. Bo czyż nie należy eliminować w ich właśnie środowisku poczucia wyższości, z jakim obnoszą się studenci szkoły teatralnej? Czyż nie należy raczej rozwijać u ich podopiecznych poczucia przynależności pokoleniowej, aby lepiej rozumieli swoich przyszłych klientów?

Pomysł był Šimsy, ale Vlk szybko na niego przystał po części dlatego, że ucieszyła go psychiczna przynależność młodszego kolegi do generacji jego i Doktora, ale przede wszystkim dlatego, że podczas układania planów tygodniowych wyszły na jaw pewne, i to dość znaczne, rezerwy czasowe. Toteż zdumiał Šimsę propozycją, by już w piątkowym bloku zaplanować powtórki materiału tygodniowego, a soboty zarezerwować na wycieczki. Studyjne, dodał z uśmiechem widząc, jak Šimsie oczy wychodzą na wierzch, i przedstawił mu swoją koncepcję: pojedzie się na jedno z wielu u nas miejsc, związanych z przerabianym tematem, czy to będzie sławna góra szubieniczna, czy nowoczesna katownia wojewódzkiego zakładu karnego, czy też inny obiekt lokalny. Na takiej wycieczce poza tym można wygospodarować czas na zajęcia sportowe, a pedagogom da się sposobność, by poznać dzieci również z innej perspektywy niż ex cathedra. Šimsa był zachwycony, a jego stosunek do Vlka stał się jeszcze gorętszy, choć oczywiście nie przekroczył granic, które dyktował mu zarówno szacunek, jak i rygor podległości.

Te późne dni lutowe były po prostu owocne i szczęśliwe. Czuł to również personel kawiarni, który od dawna już wiedział, że ci pracownicy panowie nie mają nic wspólnego z wałkoniami ze szkoły teatralnej, i uznał ich za czołowych reprezentantów sąsiedniej Akademii Nauk, toteż robił wszystko, żeby im nie przeszkadzano. Od dłuższego czasu na sąsiednich stolikach widniały tabliczki z napisem RESERVÉ, co było równie wzruszające, jak zbyteczne: od dawna nie zwracali uwagi na świat, który ich otaczał; wszystkimi swoimi zmysłami przebywali w świecie, który miał dopiero powstać z tych zapisanych papierzysek. Planowali wycieczki, kłócili się o wyposażenie gabinetów, wymyślali przedsięwzięcia kulturalne i sportowe, natknęli się na problem ostatniej przerwy, a zatem i stołówki, rozstrzygali tysiąc i jedną kwestię, ale mieli już uczucie, że dobijają do brzegu. Ostatni plan tygodniowy pachniał sianem przyszłego lata i miał nagłówek EGZAMINY MATURALNE I

MISTRZOWSKIE. Parafowali go pierwszego marca.

Zaraz się zabrali do „Plankonspektu nauczania codziennego”. Nawet kiedy odliczyli wycieczki, niedziele, ferie gwiazdkowe i okresy egzaminów, pozostawało 279 dni nauki i dokładnie dziesięć razy tyle godzin nauczania; każdą z nich trzeba było wypełnić ściśle dozowaną treścią i zapewnić jej pomyślny przebieg. Oznaczało to dwa tysiące siedemset dziewięćdziesiąt razy odpowiedzieć na pytanie o charakterze niemal detektywistycznym: co, jak, kto i gdzie, skąd, dokąd, a także z kim. Było to wprawdzie zadanie mechaniczne, wymagające, jak to ładnie ujął Vlk, raczej wytrzymałego siedzenia niż pomysłowej głowy, ale także bardziej złożone, gdyż do projektu wchodziły pierwsze niewiadome: współpracownicy zewnętrzni.

Już wcześniej Doktor zaakceptował i przeforsował u Inwestora ich propozycję, ażeby pewne marginalne przedmioty specjalistyczne mogły być studiowane pozaszkolnie. Pozwalało to na nierozszerzanie kręgu wtajemniczonych, gdyż pedagodzy odpowiednich szkół zawodowych dawaliby w wolnym czasie dodatkowe lekcje na swoim własnym terenie i za tę rutynową pracę otrzymywaliby godziwą zapłatę, a kto ich naprawdę zatrudnia, nie miałby wielkiej szansy się dowiedzieć. Zapadła już bowiem decyzja, że warunkiem przyjęcia do Średniej Szkoły Umiejętności Katowskich - jak ostatecznie nazwano technikum - będzie pisemne zobowiązanie zachowania tajemnicy przez uczniów i rodziców, za którego złamanie groziłaby nader surowa kara. Wszelako towarzyszyć temu musiały i zabezpieczenia formalno-biurokratyczne; obok niedyskrecji groźne mogło być bowiem zwykłe niedopatrzenie. Toteż nazwa szkoły została wymyślona w taki sposób, ażeby skrót ŚRESZKUK mógł wobec niepowołanych znaczyć Średnia Szkoła Upraw i Kultur. Również z punktu widzenia tej kryptonazwy do planu nauczania wkalkulowane zostały różne przedmioty drugorzędne, ułatwiające uczniom swobodne

DOKUMENTY:

CPN	/ CAŁOROCZNY PLAN NAUCZANIA /				WIEŚNIANIE	Anatomia	Psychologia	Mediologia	Literatura	Języki	Sport	Kultura	Wycieczki	Inne zajęcia
	EGZEKLAS	EGZENO	TORTURY	MIESTANIE										
wrzesień	wykonatorstwo za pomocą ziemi, wody i ognia	garota	tortury zeznaniowe I	teoria wieszania										
październik	J.W. za pomocą kamienia, pała, krzyża	gilotyna	tortury egzekucyjne	węzeł a kark										
listopad	J.W. za pomocą sznurka, struny i druta	rozstrzelanie	tortury prewencyjne	przygotowanie zespołu egz.										
grudzień	J.W. za pomocą koła	krzesło elektryczne	tortury zeznaniowe II	przygotowanie szubienicy										
styczeń	J.W. za pomocą miecza	komora gazowa I /indywidualna/	tortury wychowawcze /wieloletnie/	przygotowanie skazanego										
luty	wykonatorstwo specjalne I	komora gazowa II /masowa/	tortury represyjne /wojenne/	rup-chrup										
marzec	wykonatorstwo spec. II - egzotica, anomalia	egzekucje w krajach rozwijających się	tortury w krajach rozwijających się	strangulacja										
kwiecień	hist. obowiązków, prawa i płace wykonatorów	nowoczn. obowiązków, prawa i płace wykonatorów	tortury a problemy prawne	przeplisy i zwycięstwo u nas i za granicą										
maj	uzupełnienie i powtórka całego materiału /wg aktualnego stanu potrzeb/				ew. strata przy egz.									
czerwiec	egzaminy maturalne i mistrzowskie													

Wykoncyrowano na podstawie z góry przygotowanych tematów i rozpracowano w planach naukowych - mieszanych, tygodniowych i dziennejch.

MPN IV /grudzień/		/ M I E S I E C Z N Y P L A N N A U C Z A N I A /												
EGZERCIAS	EGZENO	TORTURY	WIESZANIE	ANAT.	PSYCH.	WĘZLO- LOGIA	LITERA- TURA	JĘZYKI	SPORT	KUL- TURA	MY- CIECZKI	INNE		
14 tydzień	3-8 XII	wstęp do łama- nia kolan, literatura, dokumenty /przefroca/ /przefroca/ historii i problematyki elektroterapii	EGZENO a/ podstawowe informacje o elektrycz- ności b/ wstęp do historii i problematyki elektroterapii	TORTURY tortury policyjne, rozwód i znaczenie form /z fragm. filmowymi/	WIESZANIE montaż /i ew. wyrób/ urządzeń do wieszania w różnych okolicznościach /plany, makiety, modele/	ANAT. anatomia kolan i łokci	PSYCH. znaczenie taru podczas egzekucji	WĘZLO- LOGIA węzły marnarskie	LITERA- TURA Melster Franz Schmidt Nachrichters zu Nürnberg all sein Richten	JĘZYKI angielska rosyjska	SPORT podnoszenie cięż. i boks	KUL- TURA Teatr: Śmierć Dantona	MY- CIECZKI Krematorium	INNE minimum stołar- skie i elektro- montaż
15 tydzień	10-15 XII	różne tech- niki łamania kolan /+ ćwiczenia praktyczne na manekinach/	EGZENO a/ podstawowe informacje o wysokim napięciu prądu b/ typy krzesł elektrycznych /przefroca/	TORTURY najskutecz- niejsze formy tortur policyjnych /ćwiczenia na kolegach/	WIESZANIE instalowanie i weryfikacja urządzeń do wieszania /na szafocie ćwiczebnym/	ANAT. anatomia klatki piersi.	PSYCH. jak uzyskać zaufanie torturowanego	WĘZLO- LOGIA węzły marnarskie	LITERA- TURA Squiret Sing- Sling Doctor	JĘZYKI niemiecka	SPORT piłka nożna i siatkówka	KUL- TURA kolędownie pod choinka	MY- CIECZKI średniowieczna katorż	INNE nauka kolęd
16 tydzień	17-22 XII	wplatanie w koło i wyjmowanie z koła /ćwiczenia na manekinach/	EGZENO obliczanie wołaży wg. obu szkół /przygotowa- nie i wery- fikacja krze- sła elek- trycznego na symula- torze/	TORTURY j.w. /ciąg dalszy/ + ćwiczenia praktyczne na manekinach	WIESZANIE demontaż urządzeń do wieszania /ich maga- zynowanie i konserwa- cja/	ANAT. złuczenie w moździerzu wanili i pieprzu, zapłatanie struceli świątecznych	PSYCH. zalecić uczniom trening kondycyjny w warunkach domowych	WĘZLO- LOGIA pracę z elementarną kuchenką obserwowanie reakcji	LITERA- TURA złuczenie wanili i pieprzu, zapłatanie struceli świątecznych	JĘZYKI angielska	SPORT piłka nożna i siatkówka	KUL- TURA w sobotę czas wojny na zaku- py świąteczne	MY- CIECZKI nauka kolęd	INNE nauka kolęd
17 tydzień	24-29 XII /w domu/	złuczenie w moździerzu wanili i pieprzu, zapłatanie struceli świątecznych	EGZENO pracę z elementarną kuchenką obserwowanie reakcji	TORTURY zabijanie śniętego karpia, obserwowanie reakcji	WIESZANIE strojenie choinki /ćwiczenie węzłów/	ANAT. złuczenie w moździerzu wanili i pieprzu, zapłatanie struceli świątecznych	PSYCH. przygotowanie rodziców do matury	WĘZLO- LOGIA obwiązywanie prezentów	LITERA- TURA egzekucja Braci Grimm	JĘZYKI niemiecka	SPORT piłka nożna i siatkówka	KUL- TURA kolędownie pod choinka	MY- CIECZKI w sobotę czas wojny na zaku- py świąteczne	INNE nauka kolęd
30 XII	30 XII	30 XII odjazd w góry wspólnie z inną szkołą zawodową /pod kryptonazwą Średnia Szkoła Upraw i Kultury/, kurs żywiarstwa/ wspólnie Sylwester /wypożyczyć kostiumy ogrodników// powrót 2.1.: od 3.1.- nauka.-												

TFN		/ TYGODNIOWY PLAN NAUCZANIA /											
nr 15 /10-15.XII/		8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19
85 dzień poniedziałek 10.XII	Przygotowanie spec. do łamania kolem PAMUZ			EGZEKLAS: łamanie kolem I	seminarium				EGZENO: prąd o wysokim napięciu		WEZIOLOGIA: Mezły marynarskie /ciąg delaży/ zebranie klasowe		
86 dzień wtorek 11.XII	ANATOMIA: ziarnia kolanowe i łokciowe TEZDROM			WIESZANIE: instalowanie maszynozii	ćwiczenia praktyczne			TORTURY: przesłuchania z użyciem wody			SPORT: kregle CIKUSTRA		
87 dzień środa 12.XII	Język angielski SZKOLIJ			EGZEKLAS: łamanie kolem II	seminarium			EGZENO: konstrukcyjne ulepszenie krzesła elektrycznego			FILM: /tytuł do ustalenia/ PROSZKOL	KONSUL- TACJE z PSDA- GOGAMI /do uz- godnienia/	
88 dzień czwartek 13.XII	PSYCHOLOGIA: o zaufaniu STUCIEL			WIESZANIE: sprawdzanie urządzeń	ćwiczenia praktyczne			TORTURY: zaciskanie jader			SPORT: biliar CIKUSTRA		
89 dzień piątek 14.XII	LITERATURA: Meister Frenntz			WIZYTA na WYSTAWIE SZTUKI GOTICKIEJ - temat: Starzy mistrzowie a tortury i egzekucje									
90 dzień sobota 15.XII													

połączona ze zwiedzaniem średniowiecznej sali tortur oraz z jazdą na łyżwach;
8.00-18.00 wycieczka klasowa na zamek Recht,
iżny i wikt należy zabrać ze sobą!

DPN

/ DZIENNY PLAN NAUCZANIA /

Poniedziałek
10.XII.
/dzień 85-ty/

PRZEDMIOT	MATERIAL	PEDAGOG	MIEJSCE	POMOCE NAUKOWE
8.30 EGZEKLAS /przygotowanie spec./	miócenie cepem /prototyp franc. łamania drabim/	NIETYCZ /umowa o dzieło/	PAMUZ	cepy z magazynu PAMUZ /za rekompens./
9.00				
9.30				
10.00	Przerwa związana z przyjazdem uczniów z PAMUZ do ŚRESZKUK			
10.30 EGZEKLAS	łamanie kołem "von oben auf"	VOKS	GAKLAS	koła, drągi, manekiny, projektor przesroczy
11.00				
11.30				
12.00				
12.30 EGZEKLAS /seminarium/	+ ćwiczenia praktyczne	WITAS /za dopłatą/	GAKLAS	jak wyżej
13.00				
13.30	Wielka przerwa połączona z obiadem /KASTRA/ i przejazdem			
14.00				
14.30 EGZENO	wstęp do zagadnień elektryczności o wysokim napięciu	NIETYCZ /umowa o dzieło/	TELEKT	przyniesić własne zeszyty
15.00				
15.30				
16.00	Przerwa na przejazd uczniów z TELEKT do ŚRESZKUK			
16.30				
17.00 WĘZŁOLOGIA	wzity marynarskie, 3 generacja	SMERT	sala ŚRESZKUK	sznuzy używane w wykonatorstwie
17.30				
18.00	Cotygodniowe zebranie klasowe /plan zajęć pozaszkolnych i ocena wyników w nauce/			

!!DO UŻYTKU WEWNĘTRZNEGO!!			!!DO UŻYTKU
WEWNĘTRZNEGO!!			Symbol do
grupa	skrót	wytłumaczenie skrótu	komputera
I	ŚRESZKUK	Średnia Szkoła Umiejętności Katow.	0001
		/PRO DOMO SUA!!/ Średnia Szk.Upraw i Kultur /KRYPTONAZWA/	0002
II	NESTOR	Inwestor	1001
	KORD	Doktor	1002
III	VOKS	Profesor Vlk	2001
	SMENT	Docent Šimsa	2002
	WITAS	Wozny i asystent	2003
	TAJAL	Wtajemniczony współpracownik spec.	2004 i nast.
IV	NIETYCZ	Nie wtajemniczony współprac. spec.	3001 i nast.
V	GAKLAS	Gabinet Egzekutorstwa Klasycznego	4001
	GANOW	Gabinet Egzekutorstwa Nowoczesnego	4002
	PROSZKOL	Projekcja szkolna	4003
	KAISTRA	Kantyna straży więziennej	4004
	CIKUSTRA	Kącik kulturalny straży więziennej	4005
	CENTOR	Centralna wykonatornia	4006
	MAŚROPOM	Magazyn środków pomoc. przy wieszaniu	4007
	INSŁUG	Inne urzędnicy służące egzekucji	4008 i nast.
	VI	SZKOKIJ	Szkoła nauki języków
TEMED		Technikum medyczne	5002
TELEKT		Technikum elektroniczne	5003
STUCIEL		Studium nauczycielskie	5004
INWSPUSZ		Inna współpracująca szkoła	5005 i nast.
VII	PAMUZ	Państwowe Muzeum Wojskowe	6001
	MUKRYM	Muzeum Kryminalistyki	6002
	MUKLASTOR	Muzeum Klasycz. Straceń i Tortur	6003
	BITUM	Biblioteka Uniwersytecka	6004
INDOWIEB	Inne odwiedzane obiekty	6005 i nast.	
VIII	EGZEKLAS	Egzekutorstwo klasyczne	7001
	EGZENO	Egzekutorstwo nowoczesne	7002
	TORWO	Tortury wodne	7003
	INRZESZKO	Inne przedmioty szkolne	7004 i nast.
IX	REZEDA	Rezerwa na dalsze terminy	8001

kontakty z krewnymi, znajomkami i urzędami cywilnymi. Przewidujący Doktor liczył się i z tym, że wcześniej czy później adepci szkoły będą musieli wykazać się umiejętnościami ogrodniczymi, toteż życzył sobie, ażeby pośród „innych zajęć” Vlk zaplanował również minimum warzywniczo-kulinarne.

Wyłonił się kolejny problem. Jeżeli Vlk i Šimsa mieli ponosić prawną i materialną odpowiedzialność za cały instytut, nauczać po dwa podstawowe przedmioty, a przy tym nie zaprzestać uprawiania zawodu, ażeby nie podzielić losu uczonych, którzy utracili kontakt z życiem, nie mogli do tego wszystkiego osobiście nosić z gabinetów pomocy naukowych czy zamykać budynku. Dzielne plany musiał zatem bezwzględnie dostawać choćby tylko woźny, a następnie wtajemniczeni współpracownicy specjalistyczni. Tu już czaiła się realna groźba przewidywalnych szkód, spowodowanych choćby przez siłę wyższą. Żeby temu zapobiec, należało posłużyć się szyframi. Zaczęli od słowa „doktor”, Šimsa wziął ołówek i litera za literą ułożyły mu się w anagramowy ROK, a następnie w KORD. Po długich tygodniach wyczerpującej harówki intelektualnej zjawiała się spontaniczna reakcja: Šimsa roześmiał się jak dziecko, a Vlk mu radośnie zawtórował. Wystraszony kelner, przynoszący im w równomiernych odstępach czasu kawę lub grenadinę - ich klauzura zakładała również abstynencję - podszedł z zapytaniem, czy panowie czegoś sobie życzą.

Zażyczyli sobie koniak francuski, zarówno teraz, jak i w przyszłości, zamiast tej ohydnej różowej wody, toteż personel doszedł do wniosku, że właśnie dokonali jakiegoś odkrycia, za które dostaną nagrodę państwową. W momencie tym ukończyli jak gdyby męczący etap pieszy i oto wzlatywali na skrzydłach sukcesu. Pośród salw śmiechu dokończyli listę skrótów, równie precyzyjnych jak błyskotliwych, i zabrali się do rozkładu zajęć⁴. Aczkolwiek nie było łatwo związać w logiczną i sprawnie działającą całość wszystkie przedmioty, przejazdy z jednego na drugie miejsce oraz translokacje pedagogów i pomocy naukowych, bez trudu udawało im się w ciągu dnia zaplanować trzydzieści dni, tak że dwudziestego marca w południe mieli przed sobą na stole dokładny „rozkład kolejowy”, który był gwarancją, że wraz ze swoimi uczniami punktualnie co do sekundy dotrą na stację końcową.

Jak biegacze, którym radość zwycięstwa każe mimo wyczerpania przebiec jeszcze jedno okrążenie, natychmiast zaczęli zastanawiać się nad ostatnią kwestią: KOGO właściwie będą uczyć i SKĄD tych uczniów wezmą. Czuli, że przeżywają jeden z tych wyjątkowych dni w życiu, kiedy malarze nie odkładają pędzla, a poeci pióra, żeby nie obrazić Boga. Zgodzili

⁴ Patrz dokumenty.

się już wcześniej, że nie chodzi im o produkcję seryjną, lecz o indywidualnie modelowane osobowości. Siedem, dodali obecnie. Liczba ani za mała, ani za duża, a poza tym niosąca z sobą jakąś magiczną tradycję, określała kolektyw łatwy do utrzymania w ryzach, jeśli nie siedmio-, to przynajmniej pięcioosobowy. W myśl tych założeń zabrali się do kompletowania rocznika zerowego, konfrontując konkretnego kandydata z ideałem ucznia ich szkoły.

Na pierwszy ogień poszedł Albert. Jego wybór Vlk argumentował wyglądem przyszłego wykonatora, który powinien w hardych klientach budzić grozę. Być może przejmie od niego kiedyś pałeczkę sztafetową już jako, powiedzmy, szef uniwersyteckiej katedry egzekutorstwa klasycznego. Oczywiście Šimsa wiedział o przywiązaniu Vlka do tego chłopca, i po cichu był zazdrosny. Wszelako nie po raz pierwszy zdał sobie mądrze sprawę ze swojej przewagi i zgodził się tym gorliwiej, iż w ten sposób wytwarzał przychylną aurę dla swoich kandydatów. Było ich bowiem dwóch.

Jest rzeczą zdecydowanie niehumanitarną - stwierdził Šimsa - jeśli podczas wspólnej egzekucji za ten sam czyn jeden z dwóch klientów zostaje załatwiony albo wcześniej, czym skraca mu się szansę na ulaskawienie, albo później i wówczas jego trwoga trwa dłużej, jak wykazuje Truman Capote w książce *Z zimną krwią*. Czyż nie mogliby obydwaj - pyta Šimsa - zostać załatwieni równolegle przez dwóch wykonatorów-bliźniaków? Ten oryginalny pomysł zainteresował Vlka, natychmiast wszakże nasunęły mu się wątpliwości: częste anonsy w gazetach świadczą o tym, jak trudno znaleźć zdolnych bliźniaków do najgłępszego choćby filmu! Na to Šimsa wyciągnął atu: dwóch takich rokujących nadzieje chłopców zna, a nawet wysondował ich matkę z rezultatem pozytywnym. W szczególności raczej wolał się nie wdawać, gdyż sfera życia uczuciowego była jedyną dziedziną, w której on, epikurejczyk, i moralista Vlk mieli często przeciwstawne poglądy. Niepodobna było Vlkowi opowiadać o spalającym go pożądaniu do czarnowłosej kobiety, która mimo jego nalegań od lat pozostawała wierna nie tylko swojemu mężowi, ale i kochankowi.

Czwarty kandydat wyłonił się z pamięci Vlka, kiedy zgodzili się, że każdemu z nich odpowiadałby typ wykonatora-intelektualisty. A jako że wypadało mieć na oku główny postulat Korda i Nestora - jak ich już nazywali - i uwzględnić potrzebę eksportu w rejony o wielkiej egzekucyjności, kolejne miejsce rezerwowali dla reprezentującego „silny nieemocjonalny typ z niższym ilorazem inteligencji, zdolny do nieprzerwanej aktywności”. Kandydata na razie nie mieli, ale wierzyli, że otworzy się przed nimi cały szereg poprawczaków i szkół pomocniczych. Po chwili Vlk wpadł na pomysł, żeby sprawdzić, co się stało z ostatnim potomkiem Karela Husa.

Kolejne miejsce przeznaczili dla odmiany „wykonatora o usposobieniu wesołym i

towarzyskim" przeznaczonego dla klientów cierpiących na stany lękowe. I w tym przypadku nie nasuwała im się żadna konkretna twarz, wszelako ufali, że znajdą kogoś takiego wśród synalków pracowników wymiaru sprawiedliwości, więziennictwa czy tym podobnych instytucji.

Propozycja następna, bodaj szósta, była dowodem, że w pojmowaniu swojego zadania nie okazali się starymi pedantami o ograniczonych horyzontach, ale wręcz przeciwnie, postępowymi technokratami. Biorąc pod uwagę trend cywilizacyjny postanowili przyjąć przynajmniej jednego ucznia ze wstępnym wykształceniem w dziedzinie chemii (gaz) i fizyki (prąd o wysokim natężeniu). W tym względzie nie liczyli na żadne koneksje osobiste, toteż zamierzali poprzez Korda zwrócić się do Komisji do Spraw Pomocy Młodzieży przy Wyborze Zawodu. Z miejsca wystylizowali tekst, który miał wzbudzić nieodzowne zainteresowanie nie odsłaniając wszystkiego do końca:

SPEC. HUM. Z MAT.: ABSOLW. SZK. PODST. KIER. CHEM. - FIZ. (M) - SPOLEGL. I ENERGI.: - ZDOL. DO WYST. PUBL. - MOCN. NERW. Pod spodem dodali jeszcze w nawiasie: (KTÓRY LUBI ZAPACH MIGDAŁÓW I SPALONEJ PIECZENI!!!)

I w ten sposób wyczerpali, zdawało się, źródło inspiracji do ostatniej kropli, a poilo ich ono długie miesiące; tak więc precyzując ostatnie miejsce nie wyszli poza cyfrę 7. Za panoramicznym oknem zegar elektryczny zakreślał koło za kołem, a tymczasem niezapisany arkusz papieru leżący przed dwoma mężczyznami był wierną kopią ich mózgow. Zrozumieli, że święto się skończyło i przeżywają jeden z niezliczonych powszednich dni, kiedy malarze łamią pędzle, a poeci pióra, ponieważ Bóg ich opuścił. Rzuciwszy ponownie zrozpaczone spojrzenie na nabrzeże, pragnąc chwycić jakąś myśl jak tonący chwyta haust powietrza, w jednej chwili Šimsa kompletnie zmarł.

- Boże - powiedział - Boże, popatrz tylko na to!

- Boże - powtórzył za nim Vlk - gdzie się toto wylęgło?

Przestały dla nich istnieć cyfry i plankonspekty, nie czuli już radości ani męki twórczej, nie słyszeli krzyku mew ani kelnerów, postrzegali jedynie czarne włosy i przede wszystkim kibić, wyzywającą nawet przez obcisłą tkaninę. Z uśmiechem Mony Lisy, ale krokiem wygłodniałej samicy stąpała ulicą i zbliżała się do nich wiosna, zrywając z nich pancerz intelektu i obnażając ich czystą i radosną męskość, o której z powodu mnóstwa problemów dawno zapomnieli. Celibat zrobił swoje.

- Kacica! - mimo woli bąknął Vlk.

W ciągu długich lat małżeństwa po raz pierwszy zapragnął innej niż własna żona kobiety.

- Ach, tak trafić w siódemkę! - wypalił bezwolnie Šimsa.

Po wielu miesiącach pracy po raz pierwszy zapragnął mieć wszystkie czarnulki, jakie kiedykolwiek obściskał.

- Co?? - zawołali obaj unisono, zorientowawszy się równocześnie, co mają na myśli.

Patrzyli na siebie bystro i nieprzytomnie zarazem, zwycięsko i ze zdumieniem, jak ludzie, którzy właśnie odkryli stary obraz czy nową kometę i boją się w to uwierzyć.

- Ależ to - wyszeptał Šimsa, bardzo tym razem starając się, żeby go nie zdradził młodzieńczo pewny siebie głos - to przecież byłaby jedyna na świecie...

- No, a dlaczego - spytał Vlk uroczyście, jak gdyby już jej wręczał świadectwo maturalne i dyplom mistrzowski - by nie??

Wychylił za próg środek ciężkości ciała, postąpił do przodu prawą nogą i wreszcie był w

18

klasie. Czuł za sobą niecierpliwy oddech Šimsy, ale nie chciał zepsuć powabu tej chwili. Spoglądał na nich, podczas gdy oni bez przerwy patrzyli na Lizinkę, przejęci, podnieceni lub przynajmniej stropieni jak każdy, kto ją po raz pierwszy ujrzał.

Franciszek niemal fizycznie odczuł swoją bezkształtność i wstyd mu było za dzinsy z łątami, którymi dotychczas się chlubił. Bliźniakom nagle zaświtało, że doskonałe podobieństwo to nie przewaga, ale handicap, który każdego z nich pozbawia indywidualności. Albert po latach pewności siebie oklapł pod ciężarem garbu: zrozumiał, że bicepsy potrafią wymusić respekt, ale nie miłość. Szymon nie był obdarzony inteligencją ani wrażliwością uczuciową, ale jego zwierzęcy instynkt podpowiadał mu, że jeśli nie ma przed sobą anioła, to w każdym razie coś równie niezwykłego. Ryszard zaś zdał sobie sprawę, co objawiło się rumieńcem, że się zakochał od pierwszego wejrzenia.

Po chwili Šimsa chrząknął znacząco i wszyscy łącznie z dziewczyną spojrzeli ku drzwiom. Próg właśnie przekroczyli majestatyczny profesor i żyłasty docent - obaj w karmazynowych marynarkach dla podkreślenia wagi chwili - a za nimi szedł Karlik w niebieskim płaszczu WITASA, niosąc ładnie oprawiony dziennik klasowy. Przyszli uczniowie z zainteresowaniem obserwowali przyszłych nauczycieli, których widzieli tylko podczas egzaminu wstępnego, a w ich oczach, tych ostrożnych i tych ufnych, widniały wyraziste pytania: Kim jesteście? Jacy będziecie? Dokąd nas zaprowadzicie?

Pedant i perfekcjonista, jakim Vlk był, nie zdał oczywiście tej chwili na los szczęścia. Napisał sobie przemówienie inauguracyjne, ba, nauczył się go na pamięć pragnąc zademonstrować, jaką wagę będzie się tu przykładać do samodzielnego i spontanicznego myślenia. A że prezentacji planu zajęć i przeprowadzenia wyboru przewodniczącego klasy podjął się Šimsa, mógł w swoim wystąpieniu skoncentrować się na pryncypiach. Kilkoma sugestywnymi zdaniami, które sięgały głębiej w istotę rzeczy niż odpowiednie pasáže u de Maistre'a, zamierzał nakreślić ogólny portret mężczyzny („z którego żebra - jak błyskotliwie mówiło się w tekście, a miało to być skierowane w stronę Lizinki - dopiero dzisiaj została stworzona kobieta”), wkraczającego w dzieje ludzkości z mrocznej prehistorii, ażeby bez względu na swoją nierzadko upokarzającą sytuację stać się prawdziwym władcą (w tekście trafnie zwrócono uwagę na etymologiczną bliskość słów „egzekucja” i „egzekutywa”) ludzkich żywotów, bowiem on jedyny będzie mógł je prawomocnie odbierać. (W tekście piękny pasaż o panujących, niesłusznie nazywanych katami, gdy tymczasem ich katom nigdy nie przyznano tytułu panujących). Następnie zamyślał przejść do spraw samej profesji. Pragnąc wykazać, że jest bardziej sztuką niż rzemiosłem i że z wyobraźnią przeprowadzona egzekucja zostaje doceniona przez samego klienta, przytoczył fascynujący opis z pamiętników rodziny Sansonów, dotyczący Françoisa Roberta Damiensa, załatwionego 28 marca 1757 na placu Grève za próbę zamordowania Ludwika XV:

„Ramiona były mocno przywiązane do belki, tak że dłoń wystawała poza deski szafotu. Gabriel Sanson przystawił patelnię, na której płonęła siarka zmieszana z żarzącymi się węglami. Kiedy Damiens poczuł błękitny płomień, który zżerał ciało, wydał z siebie straszliwy krzyk zwijając się w swoich pętach. Kiedy minął pierwszy przyływ bólu, uniósł głowę i patrzył, jak mu płoną ręce. Swojemu cierpieniu dawał wyraz już tylko głośnym zgrzytaniem zębów. Ta wstępna część egzekucji trwała trzy minuty. Następnie pacholek André Legris zaczął skazańcowi rwać cęgami ramiona, piersi i uda. Straszna żelazna szczęka zaciskając się, urywała za każdym razem kawał ciała, po czym do otwartej rany Legris lał na przemian wrzący olej, płonącą smołę, rozpuszczoną siarkę i ołów. Był to widok trudny do wyrażenia językiem i do pojęcia rozumem, coś, co nie ma nic sobie równego, chyba że w piekle. Damiens z niesamowicie wytrzeszczonymi oczyma, zjeżonymi włosami i wykrzywionymi wargami ponaglał swoich oprawców, naigrywał się z ich tortur i domagał się nowych i straszliwych mąk. Jego głos mieszał się ze skwierczeniem jego ciała, oblewanego płonącymi płynami, a głos ten, w którym nie czuło się już nic ludzkiego, darł się: «Jeszcze! Jeszcze! Jeszcze!» A było to wciąż wprowadzenie do egzekucji. Uniesiono Damiensa w górę i złożono na belce w kształcie krzyża świętego Andrzeja. Następnie do wszystkich jego

członków przywiązano końskie postronki. Przy każdym koniu stało dwóch pomocników, jeden go trzymał za uzdę, a drugi z biczem w garści znajdował się z tyłu. Charles Henri Sanson stał na szafocie kierując swoimi ludźmi. Na jego skinienie cztery konie ruszyły przed siebie, ciągnąc z siłą tak straszliwą, że jeden koń upadł. Wszelako mięśnie i nerwy ludzkiego ciała ten wstrząs wytrzymały. Trzy razy konie rwały przed siebie, poganiane krzykiem i biczem, i trzy razy opór mocnego ciała ściągał je z powrotem. Było widać, jak skazańcowi niezwykle się naprężyły ramiona i nogi. Ale on wciąż jeszcze żył i było słychać jego dyszący oddech, niczym sapanie miecha kowalskiego. Mistrzowie sztuki katowskiej byli wyraźnie wstrząśnięci. Proboszcz od Świętego Pawła zemdłał. Pisarz sądowy zasłonił sobie togą oczy, a tłum kołysał się z pomrukiem, który bywa zwiastunem burzy. Wówczas lekarz, pan Boyer, pobiegł do ratusza i oznajmił sędziom, że konie nie rozerwą ciała, jeśli nie pomoże im się przez nacięcie ścięgien Damiensa. Otrzymał przyzwolenie. Nie było pod ręką noża. André Legris posłużył się toporem. Konie dziko się zerwały. Oderwała się jedna noga, potem druga, a potem jedno ramię. Damiens jeszcze dychał. Dopiero kiedy konie szarpnęły za drugie ramię, uniósł powieki, jego oczy zwróciły się ku niebu i bezwładny tułów skonał".

Komentując powyższy opis Vlk zwracał uwagę uczniom na mozolność egzekucji osiemnastowiecznej tudzież na konieczność wykazania się tężyzną fizyczną, co wbrew pozorom dotyczy i dnia dzisiejszego, ponieważ nawet przy pełnej mechanizacji praca wykonatora wymaga dobrej kondycji fizycznej i o tym nie należy zapominać. Społeczeństwo, mówił, nie szczędzi środków na wprowadzenie osiągnięć najnowocześniejszej techniki również w wykańczalni, ale najwyższej jakości sznur i najsprawniejsze urządzenie szubieniczne nie mogą zmienić faktu, że klient z reguły się opiera. (W tekście lapidarnie: „Kat zwycięża, ale jest to harówka!") Teraz już przeszedł Vlk do spraw konkretnych: pozycji i zadań wykonatorów na świecie w ogóle, a w naszym społeczeństwie w szczególności. Państwo, podkreślał, pamięta o nich zarówno w wieku produkcyjnym (dyskrecja, premie - tak zwane „karkowe”, wczasy, ubezpieczenia społeczne), jak i na starość (urzędowa zmiana nazwiska i ponadprzeciętna emerytura, obliczona na podstawie karkowego). Kończąc, chciał Vlk apelować, ażeby jego pierwsi uczniowie zdali sobie sprawę, że kiedy już złożą ślubowanie (podobne do przysięgi Hipokratesa), w którym zobowiążą się do załatwienia każdego dostarczonego im klienta bez różnicy płci, języka, wyznania, poglądów i stanowiska, staną się strażnikami najlepszej tradycji zawodu i będą ją sami rozwijać i wzbogacać twórczymi inicjatywami. Tekst kończył się wezwaniem, ażeby nigdy nie zapominali, że są wykonatorami nowego typu, którzy mają wytyczać jasną perspektywę całemu, niestety wciąż jeszcze podzielonemu, światu.

Była to mowa mądra, rozumna, wnikliwa, sugestywna. A mimo to nie została wygłoszona.

Stał przed nimi niezdolny do wypowiedzenia słowa, jak gdyby nagle ogarnięty zmęczeniem całej bezkresnej drogi, która zaczęła się, tak, sam się do tego uczciwie przyznawał, pod tą latarnią ze smażącym się ciałem, w tej chwili - on, który nie doznawał najmniejszych emocji, kiedy łamał kark płaczącym ślicznotkom - poczuł się wzruszony tym, że widzi ich po raz pierwszy razem, już nie siedem nieznanych i nic nieznaczących stworzeń z banalnymi na różny sposób losami, ale teraz już s w o j ą s z k o ł ę , czyn, który go koniec końców przeżyje, no bo świadków pozostałych swoich czynów - taki to niewdzięczny zawód! - własną ręką musiał unicestwić, i kiedy zdał sobie z tego wszystkiego sprawę, podniósł rękę i nie zwracając uwagi na zdumioną twarz Šimsy dał znak uczniom, żeby zajęli swoje miejsca.

- A więc - powiedział niezwykle przyjaźnie, niemal czule, skinieniem ręki zachęcając Šimse, żeby z miejsca przeszedł do spraw organizacyjnych - a więc -

powtórzył chrząkając, żeby zataić przed wszystkimi, że przyczyną zmiany programu inauguracji jest jego wzruszenie

- dzieci moje,

zaczynamy!

III

W piątek dwudziestego pierwszego grudnia na Koziorożcu przyjechała zima. Jeszcze w czwartek rano zdawało się, że niezwykle błotnista, słotna i dokuczliwa jesień nie skończy się w tym roku. Ale pod wieczór przestało padać, w nocy słupek rtęci opadł dwie kreski poniżej zera i świt dał o sobie znać syrenami karetek pogotowia, które odwoziły pierwsze fraktury. Około jedenastej zaczął padać śnieg, najpierw w postaci puchu, potem w postaci gołębic i na koniec gęsich piór.

Kiedy klasa wracała z Kastrы - była zupa rybna, indyk i po pół strucli na podwieczorek - można było już bawić się kulami śniegowymi. Musieli jednak obejść się smakiem, gdyż od drugiej prowadził zajęcia Vlk, który niepunktualności nie puszczał płazem. Nigdy nie karał od razu, ale spóźnialski mógł być spokojny, że podczas ćwiczeń z narzędziami tortur profesor jemu każe występować w roli męczonego i będzie się musiał poddać „rachowaniu kości”, „przymiarce” buta hiszpańskiego, „wplataniu w koło”, czy zmiennemu prądowi w „telefonie algierskim” i, mimo że wszystko jest udawane, zawsze jakoś ucierpi ponad „szkolną normę”. Spiesząc zatem na zajęcia zadowolili się ślizganiem po zamarzłych kałużach wzbijając za sobą śnieżne gejzery podobne do trąb wodnych wypiętrzających się za statkami.

Przed rozpoczęciem lekcji Lizinka stała pod oknem Gaklasu pogryzając struclę, którą w zamyśleniu trzymała przy ustach niczym olbrzymi lizak. W takiej pozie przydybał ją

Ryszard. Chociaż widział ją przed kilkoma minutami, kiedy w pilotce nasadzonej na kędziory biegła u jego boku przez wirujący śnieg niczym smukły giermek, poczuł bolesne ukłucie pod sercem i z trudem łapał powietrze niedawno dopiero wyleczonymi płucami. Każde zetknięcie z nią przeżywał tak intensywnie, że starał się jak najrzadziej z nią rozstawać. Z rana czekał na nią koło przystanku trolejbusu, którym przyjeżdżała, skryty w bramie, ażeby bez świadków przewyciężyć przyspieszoną czynność serca i szok tlenowy. Przez kontrolę przy wejściu i korytarz wartowniczy szedł za nią w takiej odległości, żeby nie stracić jej z pola widzenia i doganiał ją dopiero na schodach między drugim a trzecim

piętrem, wystarczająco wysoko, aby móc maskować swoje rozdygotanie wewnętrzne wysiłkiem fizycznym.

- Cześć - mówił za każdym razem.

I życie tego dnia zaczynało się dla niego w chwili, gdy odpowiadała mu nieśmiałym uśmiechem; po czym starał się już tylko nie stracić jej z oczu i nie musieć wszystkiego zaczynać od nowa. Wszelako dziś przed obiadem Šimsa przerabiał z nimi Torwo i Ryszardowi przypadło statystowanie. Egzaminowany Szymon tak obficie napił go wodą, że w drodze z obiadu Ryszard musiał iść za potrzebą i oto ujrzał Lizinkę po raz drugi.

Lizinka obserwowała przez okno więźniów, którzy byli na spaceru. Musieli się gimnastykować naśladując strażnika, który o jeden ruch ich wyprzedzał: on - ramiona w przód, oni - ramiona w górę, on - ramiona w bok, oni - ramiona w dół, on - ramiona w bok. Kto się pomylił, musiał kucnąć z ramionami wyciągniętymi do tyłu, a pozostali ze śmiechem kopali go w zadek.

Widok jej nieskazitelnej twarzy, który od czterech miesięcy zapierał mu dech i ścisnął serce, odbierał mowę i wywoływał rumieniec, naraz z niewiadomego powodu, równie tajemniczego jak sama miłość, zaowocował czymś wręcz odwrotnym. Choć wszyscy tu byli kolegami - Albert jako przewodniczący klasy sprawdzał na przewidzianej do ćwiczeń atrapie karku pomoce naukowe, a reszta grała w ulubionego salonowca, którego pedagogzy tolerowali, gdyż widzieli w nim elementy karate - podszedł do niej niby jakiś szaleniec i objął ją za szyję. Ten gest, którego nawet zapatrzona w okno nie zauważyła, podziałał na niego jak krótkie spięcie. W panice rozejrzał się wokół i już-już miał od niej odskoczyć, ale o sekundę wcześniej zdumiała go niesamowita łatwość, z jaką udało mu się jej dotknąć. Natychmiast uświadomił sobie, że w końcu nikt tutaj, nawet ona, nie przyjmuje tego inaczej niż jako spontaniczny odruch koleżeński i postanowił tę słodką chwilę przedłużyć i nasilić. Przynurzył się do dziewczyny i wbił zęby w jej struclę z drugiej strony. Tak ich zastał Vlk.

Chociaż był to dziewięćdziesiąty piąty dzień nauczania, profesor przyłapał się na tym, że ma takie wrażenie, jak gdyby Lizinkę po raz pierwszy zobaczył: czuł i zaskoczenie, że coś tak pięknego w ogóle istnieje, i wzruszenie, że dane mu jest ją spotykać, i lęk, że za nią ponosi odpowiedzialność.

Propozycja, żeby w siódemce uczniów znalazła się jedna dziewczyna, zdumiała Korda i Nestora, ale nic poza tym. Należeli do tych niewidzialnych, a mimo to decydujących apostołów postępu, którzy wprawdzie sami nigdy nie wymyślili tacek, piorunochronu, wiosła, lejka czy pasztetu, ale te wynalazki istnieją w dużej mierze dzięki nim dlatego, że ich nie zakazali. Ich milczenie oznaczało zgodę i błogosławieństwo, a zarazem następczo trudny

problem wyboru.

Vlk i Šimsa nie byli wyznawcami sztuki dla sztuki, toteż nie wprowadziliby do swojej szkoły kobiety dla samej kobiecości. Uwieńczenie i w tym zawodzie stuletniego procesu emancypacji będzie kiedyś świetnym sloganem do czytanek, ale im przyświecał ważniejszy cel. Jako mistrzowie w swojej profesji, słusznie szcycący się swymi wynikami, z zazdrością patrzyli na szczęśliwszych kolegów, którym pozwolono w salce projekcyjnej Korda pracować pod okiem kamery. Odczuwali jako krzywdzący fakt, że w sercu cywilizacji, która potrafi przekazać zdjęcia odwrotnej strony Księżyca, muszą dzielić los słynnych aktorów z przełomu stuleci: nigdy nie zostaną należycie ocenieni, ponieważ ich dzieło nie jest udokumentowane. Gotowi byli zrzec się miesięcznych poborów, gdyby zaproszono ich do filmu lub telewizji, gdzie mogliby popisać się swoim kunsztem. Jako ludzie inteligentni i niepozbawieni samokrytycyzmu, którzy - jak podkreślał Vlk - „nie miłowali siebie w rzemiosło, lecz rzemiosło w sobie”, zdawali sobie jednak bardzo dobrze sprawę, że przesądów, jakie przeciwko temu rzemiosłu w różnych kryzysowych czasach rozpleniono, nie rozproszą dwaj profesjonalisci, po których widać, że niezależnie od ich uroku osobistego nazbyt często słyszeli śmiertelne rżenie. Dużo prędzej mogło się to powieść kobiecie!

A zatem kiedy w jakiś czas później otworzyły się przed nimi drzwi narożnego saloniku, odsłaniając pastelowy obraz Lizinki, obaj od razu pomyśleli: ta dziewczyna mogłaby na oczach widzów grzebać skazańców, choćby żywcem - a rzesze wpatrzone w ekran łąłyby łzy na samą myśl, że może sobie przy tym nadwreżyć paluszki. Stała się mocnym atutem w ich planach, a także maskotką, która bez przerwy ich upewniała, że gwiazdy są im życzliwe.

Od tamtej pory Vlk wiele razy spotykał swoją uczennicę, ale zawsze doznawał uczucia, którego nie umiał zdefiniować, wiedział jedynie, że to ono w pełni decyduje o jego stosunku do niej. Kiedy oto wszedł do Gaklasu - w przerwie obiadowej kupił w towarzystwie żony choinkę, w duchu już słyszał srebrne dzwonięcie bombek, postanowił omówić z dziećmi zasady zabawy w szkołę ogrodniczą na wycieczce sylwestrowej i puścić je do domu - i ujrzał Ryszarda z ręką poufale złożoną na szyjce Lizinki, stanął jak wryty. Jak gdyby otworzyła mu się w duszy jakaś trzynasta komnata, do której nigdy przedtem nie wstępował, jego uczucie rozszyfrowało to, czego dotychczas nie umiał rozgryźć swoim potężnym intelektem: to cudowne stworzenie, zrodzone po to, ażeby uwieńczyć dzieło jego życia, było tylko przez niedopatrzenie natury córką mięczakowatego filozofa. Ani metryka urodzenia, ani nawet nasienie, które jej energiczna matka tak czy owak potrafiła sobie załatwić, w niczym nie mogą zmienić faktu, że jej prawdziwym ojcem, który ją wymodeluje na swój obraz i

podobieństwo, że jej Pigmalionem będzie on, Fryderyk Vlk.

W tym momencie w jego skali wartości Lizinka zajęła kolejne miejsce tuż po Małgorzacie, daleko przed Albertem i Šimsą. W tym momencie również zaznał słodkiej goryczy i ognistej febry przeciwstawnych strumieni myśli, jakie znają wyłącznie ojcowie dorastających pięknych córek: dumę z faktu, że się podoba, i zarazem wściekłość wobec tego, komu się podoba.

- Nuże, Mašin - powiedział lodowatym głosem - zabierz się do niej!

Ryszard zerwał z dziewczyny sukienkę, podciął jej nogi i z całej siły skrępował ją tak, że jej członki były przywiązane do drewnianego pomostu poza miejscami, gdzie miały zostać złamane kości, ażeby w ten sposób ułatwić wplecenie w koło. Następnie przypasował ręce do ciężko okutego koła z dwunastoma dzwonami, podźwignął je na wysokość czoła i upuścił w dół z taką precyzją, że dosięgnęło klatki piersiowej dokładnie pomiędzy piersiami. Po klasie poszedł pochwalny pomruk, a Ryszard ponownie uniósł koło po to, ażeby zacząć jej kaleczyć lewą nogę.

- Źle - powiedział oschle profesor Vlk - siadaj, wpisuję ci -

21

- niedostatecznie!

Po klasie powtórnie poszedł pomruk, tym razem ze zdumienia.

- Albercie - zwrócił się Vlk do swojego pupila, wsadziwszy ołówek między kartki notesu klasyfikacyjnego - na czym polega błąd Mašina?

- Mašin - powiedział szybko garbusek - dopuścił się błędu dlatego, że pierwszy cios zadał w pierś, chociaż w wyroku, który mu pan profesor przeczytał, sposób łamania nie został wyraźnie określony. W tym przypadku automatycznie nabierało mocy prawnej postanowienie Kodeksu Carolina, który uznaje pierwszy cios w pierś za złagodzenie kary, toteż, jeśli wyrok dokładnie nie określa łamania „von oben auf lub „z góry w dół”, zakazuje jego zastosowania. Mašin powinien był zatem łamać „von unten auf czy też „z dołu w górę”, co oznacza: nogi pod kolanami, ręce pod łokciami, nogi nad kolanami, ręce nad łokciami, a dopiero potem, za dziewiątym uderzeniem, pierś bądź kark, co do tego wykonator ma wolny wybór.

- A ty co byś wybrał? - spytał profesor Vlk.

- Pierś, panie profesorze - powiedział Albert.

Tymczasem Ryszard stale jeszcze stał z kołem w rękach na pomoście szafotu niczym

pomnik niepowodzenia.

- Cios w kark - kontynuował Albert - jest w stu procentach śmiertelny i jeśli kara ma mieć działanie wychowawcze, powinno się klientce dać jakąś szansę. Tym bardziej że według powszechnie stosowanego prawa, cytuję, „kto wpleciony w koło przetrwa trzy wschody słońca, może być zdjęty i wyleczony”.

- Zdarzyło się to kiedyś? - spytał profesor Vlk.

- Tak, proszę pana - powiedział Albert - w Bordeaux, w roku 1777, kiedy to klienta wyleczył miejscowy felczer, który czwartego dnia ukraść niby to martwe ciało na potrzeby anatomii. Nikczemnik potwierdził swoją degrengoladę robiąc donos na swojego wybawcę, albowiem przywłaszczanie zwłok przez uczonych stało się tak powszechne, że wyznaczano nagrody za wskazanie przestępcy. „Die Obrigkeit” - pisze ówczesna „Vossische Zeitung” - „über den Anblick einer solchen abscheulichen Undankbarkeit ganz vom Schauer überfallen, befahl dem Wundarzt, die Stadt zu räumen; der verfluchte Anbringer aber wurde eine zweite Hinrichtung auszustehen verurtheilt”, innymi słowy: „władze, wprawione w zdumienie tak ohydną niewdzięcznością, nakazały lekarzowi opuścić miasto; przeklęty donosiciel został po raz drugi poddany egzekucji”.

- Wystarczy, Albercie - powiedział profesor Vlk otwierając ponownie notes - wpisuję ci piątkę. Tak, Mašin -

ciągnął zwracając się w stronę Ryszarda, który odstawił już koło i czerwieniąc się ze wstydu rozwiązywał ćwiczebną kukłę niewiasty, skonstruowaną specjalnie dla wprawiania się w łamaniu kości kołem, w odróżnieniu od innych kukieł obojga płci, które służyły do ćwiczeń we wbijaniu na pal, krzyżowaniu, topieniu, ścinaniu, wieszaniu, czy też do ćwiczeń w torturowaniu i które po większej części reagowały na ogień, wodę i uderzenia szlochaniem i nieludzkim krzykiem

- tak - powtórzył Vlk zamykając notes na znak, że już przepytwać nie będzie - na twoim miejscu poświęciłbym ferie gwiazdkowe na powtórkę wiadomości, w których masz poważne braki, i darowałbym sobie inne zajęcia, gdzie wyraźnie mógłbyś się popisywać, no bo musisz się przygotować do profesji, w której nie ma się do czynienia z wieprzkami, co zniosą każde dziabnięcie, ale, o czym widać zapomniałeś, z żywymi -

dodał profesor Vlk z nieskrywaną pogrózką w głosie

- ludźmi.

Wzrokiem ojca, którym przed chwilą się poczuł, patrzył, jak Ryszard z upokorzoną miną opuszcza szafot, i po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy on i Šimsa mieli w tym przypadku szczęśliwą rękę.

- Rozbieraj się! - powiedział docent Šimsa.

Ryszard zdjął wiatrówkę, koszulkę, spodnie i skarpetki, sztuka za sztuką starannie wieszając na oparciu krzesła.

- Majtki też! - powiedział profesor Vlk.

Wyraźne wahanie świadczyło, że się wstydzi. Zaraz jednak posłuchał. Trzymając slipy w ręce, jak gdyby się bał, że odkładając je na krzesło pozbędzie się swojej godności, stał przed całą klasą nagi w snopie światła, które jak na scenie rzucało przez otwarte okno zachodzące słońce. Działo się to u schyłku

22

lata, tuż przed wejściem do sali przyszłego GAKLASU skazańców-cieśli, mających według projektu NIETYCZA z Instytutu Teatralnego (zadanie: podium do przedstawień pasywnych) zbudować jedną z dwóch szkolnych wykonatori. Z pomieszczenia przyszłego GANOWA po drugiej stronie korytarza dobiegał koncert wiertarek udarowych; kończono tam komorę gazową według projektu innych Nietyczów (zadanie: kabina ciśnieniowa do ćwiczeń nurków), a także komorę do elektrokcji (zadanie: fotel dentystyczny dla statku kosmicznego), a przede wszystkim urządzenie zwane po dawnemu szubienicą, urzędowo zaś „stojak do wieszania”, który Vlk poetycko nazwał wieszczyn (zadania: a. - statyw do zawieszania olbrzymiej kuli do zbijania kręgli, b. - sceniczna zapadnia uruchamiana na zasadzie dźwigni). Jedyne meble były tu na razie nieliczne krzeselka i katedra, przy której siedzieli Vlk i Šimsa, postanowiwszy zamknąć ostateczną listę przyjęć na pierwszy rocznik.

Owej soboty, kiedy Karlik wioził ich z mieszkania państwa Tachecich, ich wyobraźnia pracowała na pełnych obrotach. Osobowość Lizinki - po rozmowie z panią Tacheci przewidywali, że doktor Tacheci złoży pisemną prośbę o przyjęcie córki - kazała im dopracować teraz całą koncepcję do końca. Dać jej maturę z dyplomem mistrzowskim i puścić ją na mętne wody jako tuzinkową nauczycielkę czy pielęgniarkę byłoby czymś niewłaściwym i niemądrym. Ze środowiskiem wojewódzkich egzekutori, w których dotychczas wielu pomocników rekrutuje się z szeregów szumowin społecznych, często z trudem dawały sobie radę takie otrzaskane wygi jak oni dwaj; łatwo sobie wyobrazić, jak takie środowisko obeszloby się z niedoświadczoną dziewczyną. Mogłoby ją w razie czego osobiście wspierać, ale za jaką cenę? Zaraz by poszedł hyr, że ŚRESZKUK wypuszcza

adeptów, których profesorowie muszą prowadzić za rączkę aż do wieszczyna...

Na rozwiązanie wpadli niebawem, toż zawierało się ono w Šimsowym pomysle „double-hangmenów”: stworzyć na początek dwuosobowe, kontrastowo dobrane teamy i posyłać je na egzekucje dwóch lub więcej klientów. Sęk był tylko w tym, kogo dać za partnera Lizince. Nie pasował do niej ani garbaty Albert ani mongoloidalny Szymon czy też otyły Franciszek, każda z tych kombinacji byłaby przykrym zgrzytem. Vlk jako miłośnik teatru ujął to obrazowo: ona i Albert to archaiczny romantyzm typu *Dzwonnik z Nôtre-Dame*, ona i Szymon - alegoria poetycka à la *Piękna i bestia*, a ona i Franciszek - niby to komiczny kabaret. Bliźniaków z wiadomych powodów nie chcieli rozdzielać, a gdyby przydzielić do nich Lizinkę, głośno zastanawiał się Vlk, nawet bez cekinów wyglądałoby na trio cyrkowe. W końcu postanowili odstąpić od doboru par na zasadzie gaz-elektryczność i rozejrzeć się, jak Vlk się wyraził, za Julią i Romeem. Przypadek, ten wspaniały brat sukcesu, pozostał im nadal przychylny.

Z początkiem czerwca, kiedy przygotowania praktyczne rozkręciły się na dobre, tak że mogli odrabiać nawet zaległości pozastoleczne, załatwili wiejskiego listonosza, który stracił ze skały osamotnioną dozorczynię schroniska górskiego. Daremnie bronił się przed sądem opowieścią, że dzień w dzień sama wysyłała do siebie widokówki po to, żeby on musiał wdrapywać się do niej na halę, gdzie coraz bezwstydniej i bezskuteczniej go uwodziła i w końcu sama rzuciła się w przepaść, ażeby się zemścić. O tym wszystkim dowiedzieli się od naczelnika więzienia, jednej z tych gaduł, które budziły w nich pogardę, ale na wszelki wypadek zachowywali pozory zainteresowania jako ewentualni przyszli chlebobawcy jego latorośli. Wkrótce się okazało, że swoim gadulstwem chciał się im przypodobać po to, ażeby przedłożyć im swoją prośbę: czy nie mogliby - mają przecież opinię szybkołapów - skrócić czasu przygotowań na tyle, ażeby tego „brifregera”, jak go dobrodusznie określał, załatwić już rano zamiast po południu? Jemu już wszystko jedno, mówił, a on by chciał zdążyć na świniobicie do szwagra, na które i ich serdecznie zaprasza, no bo cała rodzina od dawna pragnie ich poznać.

Spełnili jego prośbę, ale nie najlepiej na tym wyszli. Nie starczyło czasu, żeby wcześniej rzucić okiem na listonosza, i w efekcie poczuli się niemile zaskoczeni, kiedy w celi śmierci wyfasowali chudzielca, który nie miał nawet czterdziestu pięciu kilogramów wagi. Wiedzieli, że swoim ciężarem może pomóc sobie tyle co kot napłakał, a że głowa wyrastała mu prosto z ramion, nie zdałby się tu na nic nawet rup-chrup, toteż musieli się uciec do przastarego sposobu: uwiesili się mu u nóg i ciągnęli. Tak więc rzeźił i wypróżniał się dłużej niż minutę, co im zupełnie popsło nastrój, chociaż nikt nie czynił żadnych wyrzutów; na

świniobicie byli zaproszeni i sędzia, i prokurator.

Po drodze - wioził ich sam naczelnik i na szczęście przez cały czas wyjaśniał, jak się przyrządza galaretkę - milczeli i byli jak struci, a przyjęli niemal jako karę bożą to, że kiedy wysiedli z samochodu, nie przywitał ich zapach świeżych skwarków, ale radośnie porchający nad korytem z gorącą wodą wieprz.

- Antosiu! - zawołał do naczelnika szwagier, biegnący im na spotkanie - straszna kompromitacja, nie zjawił się rzeźnik!

- Gdzie jest - zapytał naczelnik wyraźnie blednąc - ten gnojek? Daj mi adres, a Ludwik - kontynuował naczelnik zwracając się do prokuratora - pokaże mu, gdzie raki zimują!

- Tylko że ten bydlak - powiedział zdruzgotanym głosem szwagier - jest w szpitalu...!

Świadomość, że żadna ludzka siła nie jest zdolna zmienić fatalnej sytuacji, do tego stopnia zdeprymowała obecnych, że zapanowała cisza. Po chwili zabrzmiał w niej słaby głos spoza płotu oddzielającego podwórze od sąsiedniego obejścia:

- Ja - powiedział niczym deus ex machina w dramacie antycznym smukły i bardzo blady chłopak w spranych dżinsach - mógłbym wam tego wieprza dziabnąć...!

- A ty - zapytał szwagier z nadzieją i niedowierzaniem w głosie - jesteś rzeźnik?

- On - odezwał się zamiast chłopca mężczyzna z wąsikami, sąsiad Wacek, jak się okazało - to nie, ale mój brat, niby jego ojciec to i owszem. Chłopak nie ma wyglądu, ale to złota rączka.

- My - stwierdził szwagier desperacko - nie mamy niestety pistoletu.

- Wystarczy - powiedział chłopak - jak mi go przytrzymacie, a ja go skutecznie dziabnę. Albo jeszcze lepiej, jak -

kontynuował czerwieniąc się jednocześnie, jak gdyby zbity z tropu skupioną na sobie powszechną uwagą

- macie pałkę, to go palnę i będzie po wszystkim.

Nie czekając na odpowiedź prawą ręką złapał za sztachtetę i płynnie przesadził płot, choć cokolwiek się przy tym zadyszał. Od tej chwili zaczął Vlka i Šimsę interesować: istny Romeo, brak mu tylko renesansowego kostiumu. A zainteresował ich jeszcze bardziej, kiedy z pałką w ręku stanął na środku podwórza i bez niczyjej pomocy, niby podczas korridy, jednym czystym ciosem złożył przebiegającego wieprza - Šimsa aż zadrzał, do tego stopnia przypomniało mu to jego własną przeszłość - u swoich stóp. Zaraz odrzucił pałkę, wyciągnął długi nóż, który przedtem wetknął sobie za rzemienny pas, i zakłuł zwierzę tak akuratnie, że ani kropla krwi nie pociekła.

W dwie godziny później topiły się w domu półcie słoniny, a towarzystwo,

podochocone destylatami, śpiewało pieśni ludowe. Vlk odpowiadał na takie same jak zwykle pytania w rodzaju: „Czy dzielniejsi są mężczyźni czy kobiety?” lub: „Czy to bardziej boli niż zęby?” albo: „Czy to prawda, że przy tym się robi po nogach?”, złożył dzieciom w pamiętnikach autografy, najbardziej zainteresowane panie zostawił z Šimsą i podszedł do Ryszarda, który robił wątrobianki.

- Uczyłeś się - zapytał - tego?

Nie spodziewał się reakcji, jaką wywołał: chłopak rzucił strzykawkę na stertę farszu i oburącz mocno oparł się o stół, żeby zataić, że cały dygoce. Zdradziły go jednak czerwone plamy, które wystąpiły mu na policzkach.

- No cóż - jęknął - czyż w biedzie nie trzeba ludziom pomagać??

Niebawem wszystko było jasne. Ryszard, jedyny syn rzeźnika, przejawiał od dziecka niezwykły pociąg do ojcowskiej profesji. Jego najulubieńszymi zabawkami były kości cielejące, jako dziesięciolatek potrafił na podstawie skrawka mięsa określić, z jakiego rodzaju tuszy i z której jej części zostało wycięte. Stawało się jasne, że wyrasta na Pana Rzeźnika na poziomie biegłego sądowego, kiedy nagle banalna choroba, według prasy dawno zwalczona, przekreśliła wszystkie rachuby. W sanatorium gruźliczym dołączyło się do niej dojrzwianie płciowe i chłopiec dziwnie się zmienił: najulubieńszą rozrywką stało się dla niego modelarstwo i czytanie; wkrótce potrafił na podstawie jednego dwuwiersza określić autora i tomik. Po dwóch latach powrócił do domu z zaświadczeniem, że jest zdrow jak ryba, jednakowoż - co za sprzeczność! - nie wolno mu do końca życia pracować w sklepach spożywczych i zakładach żywienia zbiorowego. Dzięki nowym zainteresowaniom zniósł ten cios zwycięsko, mimo że pognębiła go pierwsza i od razu nieszczęśliwa miłość; z nią zaś uporał się za pomocą sportu. W zdrowym powietrzu podgórskiej wioski chciał w ciągu lata spokojnie się zastanowić, co robić dalej. Właśnie tam, nie wiedząc nawet o tym, zdał egzamin wstępny do ŚRESZKOKU i otrzymał zaproszenie na rozmowę, która miała zdecydować, czy stanie się partnerem Lizinki Tacheci.

Kiedy tak oto stał przed nimi w przyszyłym GAKLASIE, kurczowo zaciskając w lewej dłoni białe spodenki, Vlk i Šimsa patrząc na jego delikatną, bladą twarz gruźlika i opalone, gładkie ciało greckiego boga odnosili wrażenie, iż nie tyle przyjmują ucznia, co kupują dzieło sztuki. Esteta Vlk wyobrażał sobie ich dwoje, Afrodytę Tacheci i Apolla Mašina, nagich i namaszczonej oliwą, jak na różowym tle à la Modigliani tworzą młodą i piękną parę. Egzaminatorzy raz-dwa i bez większego zainteresowania wyczerpali zwyczajne pytania o pochodzenie, życiorys, poglądy i zamiłowania, po czym przeszli do spraw, które ich w danym przypadku interesowały najbardziej.

- Miałeś już kiedyś kobietę? - spytał profesor Vlk.

- Nie, proszę pana - odparł Ryszard.

- A dlaczego nie? - spytał profesor Vlk.

- Jestem nieżonaty - odparł Ryszard.

Vlk i Šimsa z zakłopotaniem spojrzeli na siebie.

- Kopulowałeś już kiedyś? - spytał profesor Vlk.

- Ja, proszę pana... nie wiem... - odparł Ryszard niepewnie.

- Jak to, nie wiesz? - spytał profesor Vlk.

- Ja, proszę pana... nie wiem, co to jest - powiedział Ryszard.

- Czy już kiedyś pieprzyłeś? - zapytał docent Šimsa.

Chłopiec był wyraźnie speszony.

- Teraz też nie wiesz, co to jest? - spytał docent Šimsa.

- Wiem, proszę pana - odparł Ryszard.

- A więc nie pieprzyłeś! - powiedział docent Šimsa.

- Nie, proszę pana - powiedział Ryszard.

- Nie nie pieprzyłeś czy też nie pieprzyłeś? - spytał Šimsa niecierpliwie.

- Przecież - powiedział Ryszard - mówiłem, że nie jestem żonaty...

Vlk i Šimsa wymienili zdumione spojrzenia.

- Nigdy nie kochałeś kobiety? - spytał Vlk, który w tych sprawach był szczególnie staromodny.

- Tak, proszę pana - odparł Ryszard.

- A mimo to jej nie przeleciałeś? - spytał Šimsa, w tej materii nader niekonwencjonalny.

- Nie, proszę pana - odparł Ryszard.

- Czy tobie to nic nie mówi? - spytał profesor Vlk, mający co do tego wątpliwości.

- Tak, proszę pana - odparł Ryszard.

- Tak mówi czy też tak nie mówi? - spytał profesor Vlk.

- Mówi, proszę pana - odparł Ryszard.

- Więc czemuście się nie pobrali? - spytał profesor Vlk.

- Ona - powiedział Ryszard - mnie nie chciała.

Obaj panowie spojrzeli po sobie pytająco.

- Kto to był? - spytał w końcu Vlk, ażeby kontynuować rozmowę.

- Siostra, proszę pana - odparł Ryszard.

- Tyś chciał - spytał profesor Vlk ze zdziwieniem - ożenić się ze swoją siostrą?

- Ona była siostrą w tym sanatorium, proszę pana - odparł Ryszard. - Obiecałem, że z nią będę żył, jeśli wyjdzie za mnie, ale ona chciała tylko tych rzeczy.

To wyznanie jak gdyby go zmęczyło. Zwiesił głowę i tępo wpatrywał się w podłogę.

- Jesteś wierzący? - spytał Vlk z nową nadzieją.

- Nie, proszę pana - odparł Ryszard.

Obaj pedagodzy byli zupełnie bezradni. Wreszcie Vlkowi coś zaświtało.

- Lubisz poezję? - zapytał.

- Tak, proszę pana - odparł Ryszard i po raz pierwszy odpowiedź zabrzmiała radośnie.

- Nie piszesz przypadkiem sam? - zapytał Vlk idąc odkrytym tropem jak pies myśliwski. - Albo może jestem w błędzie?

- Tak, piszę - odparł Ryszard oblewając się pąsem.

- To na pewno znasz jakiś swój wiersz na pamięć - powiedział Vlk.

- Znam, proszę pana - powiedział Ryszard tak cicho, że wyczytali to raczej z jego warg.

- To świetnie - powiedział profesor Vlk triumfalnie - w takim razie zarecytuj nam coś!

Nagi bóg posłusznie kiwnął głową, opuścił ramiona wzdłuż ciała, sztywno się uklonił i zaczął deklamować monotonna jak przedszkolak.

*Kochanie moje, ach, kochanie,
na swoje wabisz mnie posłanie,
ale, kochanie, klnę się Bogiem:
na kocią łapę żyć nie mogę.*

Głos mu drżał, a twarz płonęła jednym wielkim ogniem. Ale recytował dalej:

*Księżycu, spraw, by moja miła
twym światłem w sobie chuć tłumila,
przez, okno mów jej o wysokości:
Miłość to także powinności!*

Stopniowo przewycięzał tremę, oddech mu się uspokajał, a głos nasilał:

Zostań, kochana, moją żoną!

*Będziemy wtedy łono w łono
kochać się mocno, zawsze, wszędzie...
A świat... niech sędzią naszym będzie!*

Podkreślił apostrofę ruchem ręki, w której trzymał białe slipy. Po czym znowu się uklonił i zamilkł. Jego policzki z wolna nabierały dawnej bladości.

- Możesz iść - powiedział Vlk po chwili - decyzję naszą dostaniesz na piśmie.

Chłopiec uklonił się jeszcze raz i wyszedł.

- Sądzę - powiedział Vlk, ale przerwało mu nieśmiałe pukanie.

- Co tam znowu? - zareagował nieuprzejmie Šimsa.

Drzwi się otwarły, do środka zajrzał Ryszard.

- Co chcesz? - zawołał profesor Vlk. - Czy nie słyszałeś, że do ciebie napiszemy?

- Ja, proszę pana - powiedział nagi Ryszard - chciałbym wziąć swoje ubranie...!

Musieli się bardzo powstrzymywać, żeby zachować powagę, dopóki nie wyjdzie ze swoimi ciuchami. Dopiero wtedy wybuchnęli śmiechem.

- Ja też sądzą - powiedział Šimsa - że go spokojnie możemy wziąć do pary dla niej, on jej nam nie napompuje!

Chociaż w zasadzie się nie pomylili, niemniej jednak popełnili błąd, który miał mieć fatalne następstwa.

Weszła matka Ryszarda z dymiącą wazą. Energicznymi ruchami - kiedyś pięścią potrafiła zamroczyć cielę - naląła obu mężczyznom zupy.

- Rybna? - powiedział starszy. - Myślałem, że to będą flaki...?

- Pocałuj mnie w dupę! - powiedziała matka i usiadła przy

23

świętecznym stole. Ryszard schylił głowę nad talerzem i usiłował nie słyszeć ordynarnych słów, którymi ojciec odpowiadał matce. Mój Boże, pomyślał, znów ta stara śpiewka.

Rodzice w gruncie rzeczy nie byli złymi ludźmi, a jego, jedyńka, po prostu ubóstwiali, ale ich szorstki sposób bycia sprawił, że nigdy nie poznał choćby na odległość tego, co mu literatura piękna przedstawiała jako *home, sweet home*. Jego wydelikacenie

przypisywano, odwołując się do tradycji rodzinnej, pewnemu gruzińskiemu szlachcicowi, który podczas pierwszej wojny światowej został przysłany babci do pomocy z obozu jenieckiego. W jego genach, które się post mortem ocknęły dopiero we wnuku, była najprawdopodobniej zakodowana zarówno choroba Ryszarda, jak i jego miłość do poezji. Z pewnością tylko błękitnej krwi, która rozpuszcza tłuszcz, mógł zawdzięczać, że po wszystkich głowiznach, bocznych, skwarkach i kuprach, które mu rodzice podawali nawet na śniadanie, nie przemienił się w górę sadła. Aczkolwiek rzeźnictwo rodzinne pożarli świętujący zwycięstwo komuniści, to, ledwo minęło parę lat, rodzice znowu stali za ladą, kiedy im w końcu partyjni śmieciarze i praczki dali jak najlepszą rekomendację, mając już powyżej uszu ich psioczenia i szkalującej gadaniny. W gigantycznej sieci handlu uspołecznionego otrzymali co prawda marny sklepik w zapadłym zaułku, ale jakież ma znaczenie usytuowanie i rozmiar kopalni, skoro dorwał się człowiek do żyły złota. Była to żyła śmierdząca, ale nieustannie dająca się eksploatować. Ryszard żył w komforcie - przecież podczas każdego kryzysu rzeźnik z proboszczem stają się puklerzem nadziei - i atmosferze opiekuńczości; jakież ogromne stado wieprzów zeżarli choćby tylko jego nauczyciele i lekarze! Co wieczór sobie mówił, że musi się za to rodzicom odwdziżyć serdecznością, ale rano wystarczyło pierwsze „gówno”, które wypowiedzieli zamiast przywitania, a żeby zamykał się znów w swojej skorupie.

Również teraz, zając się rybą zupełnie, duchem był gdzie indziej. Wyobrażał sobie pokój bez tych pretensjonalnych serwantek z połączonym szkłem, a mimo to wspanialszy, gdyż tchnący cichym urokiem, jaki wokół siebie roztaczała Ona. Czy znalazła już mój... myślał z przejęciem; przed niespełna dwiema godzinami, wypuściwszy się na miasto, kiedy zjeżdżały do zajezdni ostatnie tramwaje i zapalały się pierwsze świece, zawiesił na klamce Jej drzwi mały prezent.

- Gdzie się gapisz? - ofuknęła go matka. - Żryj, bo z tej zupy zrobią ci się psie szczyny!

Wiedział, że to ze strony matki swoisty przejaw troskliwości, a mimo to wszystko się w nim zagotowało. Otoczony najbliższymi przy stole pełnym smakołyków, obok choinki, na której matka zamiast cacek nawieszała biżuterii i innych drogocенności, „by się przynajmniej raz w roku przeluftowały”, a pod którą leżały sterty luksusowych prezentów

- zegarki szwajcarskie, karakułowe czapki rosyjskie i amerykańskie walizkowe aparaty do elektrowstrząsów, wymyślone przez psychiatrów, ale używane głównie przez jednostki wojskowe specjalnego przeznaczenia, Zielone Berety

- uświadomił sobie ostatecznie, że tutaj nigdy nie będzie miał ogniska domowego,

musi zatem szybko stworzyć sobie własne. Przymierzał się do tego już w sanatorium, ale siostra szpitalna, do której Ignął całą spragnioną duszą, okazała się, niestety, jedynie inną wersją jego matki; jak tamta gromadziła rzeczy dla poczucia, że je posiada, tak ta kolekcjonowała kochanków, i gdyby już za pierwszym razem nie stanął okoniem, co jakiś czas kazałaby mu się u siebie rozebrać, „żeby go przewietrzyć”. Dostał od niej nauczkę, która uprzytomniła mu, że kruchość gruzińskich przodków, z której jest utkany, może złożyć jedynie w ręce kogoś, kto jeszcze nie stał się gruboskórny od dziesiątków miłosnych dotyków. A taki ktoś chyba właśnie rozpakowywał jego gwiazdkowy...

W jednej chwili jego stołek zmienił się w krzesło elektryczne i siedzący na nim przekonał się, co to za uczucie, kiedy ludzką istotę przenikają tysiące woltów: a j e ś l i k t o ś t o u k r a d ł??

Jedli szybko, żeby w spokoju ducha delektować się telewizyjną dobranocką. Mówiła o tym, jak zwierzątka niosły dary do szopki betlejemskiej i tylko chomik szedł z pustymi rękoma; budził powszechny śmiech, dopóki się nie okazało, że ma torby policzkowe pełne ziarna: wtedy dopiero on się zaczął śmiać najprawdziej w myśl zasady: „ten się śmieje, kto się śmieje ostatni”. Po dobranocce matka zapaliła świece na choince, a ojciec otworzył dziewiętnastowieczny egzemplarz Biblii, żeby jak co roku przeczytać ustęp o Dzieciątku, które się narodziło z Dziewicy. Tekst uzmysłowił mu, że i on ma dziecię, i zrobiło mu się żal, że nie jest tak młody jak przed rokiem, ażeby móc swojej latorośli zgotować lepszy los.

Lizinka

24

śledziła migotanie świeczek, które dawały świadectwo istnienia skądinąd niewidzialnych prądów powietrza. Płomienie świeczek z dolnej części choinki przechylały się od strony kuchni w stronę sypialni. Płomienie świeczek z góry nakierowały się od przedpokoju ku oknom. Płomyki świec na środkowych gałęziach były proste jak świece.

Kiedy doktor Tacheci przeczytał odpowiedni ustęp z Biblii, jego żona jak co roku zaśpiewała kolędę o Trzech Królach przywożących skarby do szopy betlejemskiej. Ciepły mezzosopran uzmysłowił jej, jaką ofiarę złożyła temu małżeństwu, zapragnęła więc stać się starsza o pół roku, ażeby przynajmniej móc cieszyć się maturą córki. Po czym przyszła pora na prezenty.

W paczusce od małżonki znalazł doktor Tacheci nowy komplet chusteczek,

rękawiczek i szalików, jak zawsze w ilości, jaką w ciągu roku zgubił. W paczusce od Lizinki znalazł papierosy i zapalki, co go zaskoczyło.

W paczusce od męża pani Tacheci już tradycyjnie znalazła kolekcję wód kolońskich i kremów odpowiadającą kwantum, które w kończącym się roku zużyła. W paczusce od Lizinki znalazła pęsetę, lupę i katalog znaczków, co ją zdziwiło.

Okazało się, że Lizinka odwrotnie wypisała imiona i cała trójka serdecznie się z tego śmiała.

W sporej paczce od ojca Lizinka znalazła pięciotomowy *Cours de langue et de civilisation françaises* Maugera, *Etymologiczeskij słowar ruskogo jazyka* w trzech tomach, dwuczęściowe dzieło *The English Idioms* i cenne niemieckie wydanie *Fausta* Goethego z roku 1840. Z dołączonego bileciku emanowała nadzieja ojca, że Lizinka po przeczytaniu tych dzieł podda się urokowi filologii i że nie przeciwstawi się temu jej matka.

W małej paczusce od matki Lizinka znalazła wspaniały barokowy krzyżyk z łańcuszkiem na szyję, który podziwiała swego czasu na wystawie u jubilera. Na bileciku matka wyraziła przekonanie, że Lizinka założy naszyjnik na egzamin dojrzałości i że ojciec kupi jej do kompletu sukienkę, pantofle, torebkę i płaszcz.

Pod choinką obok szopki z tektury pozostał jeszcze jeden prezent, który miał zadziwiającą historię: przed wigilią zadzwoniła do nich sąsiadka informując, że mają urwaną klamkę. Najwyraźniej odpadła pod ciężarem pudła, które poniewierało się teraz pod drzwiami. Klamkę naprawiła pani Łucja, pudełko położył pod choinkę jej mąż; brak było na nim adresata.

Doktorowi Tacheciemu cokolwiek niedorzecznie wydawało się, że teść posyła mu na pojednanie *Etymologicum Gudianum* - Edition Sturz, Leipzig 1819 - które odziedziczył przed szesnastoma laty i pragnąc spieniężyć anonsował w gazetach, ale kiedy doktor Tacheci oferował mu dwakroć żadaną zapłatę, ubzdurał sobie, że posiada rzecz bezcenną i wolał oddać zainteresowanemu rękę swojej córki.

Pani Tacheci bardzo niedorzecznie wydawało się, że Oskar posyła jej na pojednanie drogocenne kamienie, którymi obrzuciła go przed szesnastoma laty, kiedy ją wyprowadził z równowagi, olśnił i w końcu zdeflorował, podczas gdy nazajutrz udało się jej przydybać go ze swoimi aż dwiema naraz koleżankami, co ją tak rozwścieczyło, że z miejsca uwiodła doktora Tacheciego.

Lizince nie wydawało się zupełnie nic, gdyż właśnie liczyła okna w domach po drugiej stronie ulicy. Czterdzieści jeden okien jaśniało różowym odbłaskiem świeczek, dwadzieścia osiem - błękitną poświatą ekranów telewizyjnych. Jedno okno płonęło jasną czerwienią, a

rodzina w środku gasiła choinkę syfonem.

Doktor Tacheci zaczął pieczołowicie rozsupływać węzłki, ale małżonka wzięła wielki nóż do porcjowania. Kiedy odkroiła wieko, ze środka wypadło dziesięć takich samych paczuszek w folii i jedenasta, o wiele lżejsza, w bibułce ze świąteczną gwiazdką. Pani Tacheci rozwijała jedną po drugiej i jej zdumienie nie miało końca. Znalazła: kilo polędwicy, kilo sznycłówki wieprzowej, kilo udźca cielęcego, kilo wędzonej karkówki, kilo udźca baraniego, kilo wątroby wołowej, kilo wieprzowej i kilo cielęcej, kilo salami i kilo szynki. W jedenastej paczusce była artystyczna kompozycja z białej modeliny, utwardzonej w gorącej kąpieli. Przedstawiała chłopca jedynie z opaską na biodrach, leżącego na krzyżu św. Andrzeja, i dziewczynę w długiej szacie, trzymającą nad jego torsem koło. Nie wszystkie proporcje mogłyby zadowolić wybredne gusty, ale jedno nie budziło żadnych wątpliwości: dziewczyna miała twarz Lizinki.

Patrzyli na przemian na mięso i na kompozycję. Doktor Tacheci był naukowcem: brak logicznego związku między tymi rzeczami sprawiał, że coraz bardziej pograżał się w mroku domysłów. Pani Tacheci była kobietą: nedorzecznosc prezentów podsunęła jej rozwiązanie zagadki. Podeszła do choinki i w blasku świecy obejrzała sobie głowę chłopca: mimo groźnej sytuacji miał minę szczęśliwą. W tym momencie rozległo się u drzwi wejściowych ciche bim-bam - ze względu na częste migreny pani Łucja wolała to zamiast dzwonka - toteż wyszła do przedpokoju.

Kiedy otworzyła drzwi, przestraszyli się oboje. Ryszard nie słysząc dzwonka sądził, że nie działa i nie spodziewał się otwarcia, a ją przeraził widok chłopca z modeliny. Zaczerwienił się i komicznie otwierał i zamykał usta nie mogąc wymówić ani słowa, mimo to wyglądał ładnie, a prezenty świadczyły dobrze o jego zamiarach i możliwościach.

- Dobry wieczór - powiedziała pani Tacheci uprzejmie. - Przyszedłeś do Lizinki, prawda?

Ryszard wydał z siebie dźwięk, którym się chciał usprawiedliwić i pożegnać.

- No, chodź dalej, Lizinka ucieszy się, tędy - powiedziała pani Tacheci z matczyną czułością.

Przez wiele lat wyobrażała sobie, jak powinien wyglądać pierwszy chłopiec, który przyjdzie do jej córki, i ten ładny i elegancki młodzian w czarnym garniturze - sprawili mu go rodzice na wszelki wypadek, kiedy było z nim krucho - który im najpierw jako wizytówkę przysłał pokarm dla ciała i ducha, który sądząc po ubraniu przyjechał taksówką, a teraz się nawet rumieni, zadowalał ją jako dobrze zapowiadający się początek. Ujęła go pod ramię i zaprowadziła do pokoju.

- To - powiedziała do Ryszarda wskazując doktora Tacheciego, który właśnie także przyglądał się z bliska twarzy chłopca na krzyżu - mój małżonek, doktor -

dodała, by wymienić jedyną wartość, jaką zyskała swoim zamążpójściem

- Tacheci, a to Emilu, pan?...

- Mašin... - powiedział Ryszard i ukłonił się.

Ukłonił się również doktor Tacheci; niedowierzającymi oczyma patrzył badawczo na powiększony oryginał oglądanej przed chwilą twarzy.

- Lizince cię chyba przedstawiać nie muszę - powiedziała pani Tacheci z pobłażliwym uśmiechem.

- Cześć - bąknął Ryszard usiłując się też uśmiechnąć. Uśmiechnęła się i Lizinka.

Doktor Tacheci był pewien, że nie jest taki głupi, jak uważa jego żona. To prawda, że interesował go przede wszystkim miękki jer w alfabecie rosyjskim i nad nim ostatnio rozmyślał, ilekroć jednak cokolwiek zaczynało mieć bliski związek z jego córką, dawał mu o tym znać, tak jak w tej chwili, jego wewnętrzny niezawodny radar. Stwierdził, że ten młodzian nie przyszedł do niego ani do żony, ale do Lizinki. Zanalizował go sobie z tego punktu widzenia i nie zanotował zbyt jaskrawych wad w jego powierzchowności i zachowaniu: młodzian przypominał mu studentów literatury, tyle że w podartych dżinsach, którzy do niego przychodzili w Akademii. Jeszcze rok temu oszalałby chyba, gdyby w pobliżu jego dziecięcia pojawił się obcy mężczyzna. Teraz jednak, kiedy jej los wymknął mu się z rąk, w osobie chłopca zobaczył nagle ratunek dla siebie. Pani Tacheci byłaby zdumiona, gdyby się domyślała, że jej mąż myśli jak stręczyciel. Roztropny, przyzwoity i przystojny młodzik, rozważał jego uczony umysł, musi wziąć górę nad najenergiczniejszą matką. Postanowił ten układ popierać, ażeby z jego pomocą zdobyć twierdzę, której sam nie umiał dotychczas sobie podporządkować. Oczywiście chciał się przede wszystkim upewnić, że stawia na właściwego konia.

- Czym się pan zajmuje? - spytał Ryszarda, który wciąż jeszcze mobilizował w sobie wszystkie siły, żeby jakoś oswoić się z tą niespodziewaną wizytą u Lizinki.

- Nie poprosisz pana Mašina, żeby usiadł? - spytała pani Tacheci; zgadywała odpowiedź i wiedziała, jakie może mieć następstwa.

- Przepraszam - powiedział doktor Tacheci. - Niech pan łaskawie zajmie miejsce.

Ryszard usiadł i zaraz zrobiło mu się lżej.

- Czym się pan zajmuje? - powtórzył doktor Tacheci.

- Nie napije się pan kawy? - spytała pani Tacheci.

- Nie, dziękuję - powiedział Ryszard. - Ja kawy nie piję.

- Czym się pan zajmuje? - spytał doktor Tacheci po raz trzeci.

- Więc może winka? - spytała pani Tacheci.

- Nie, dziękuję - powiedział Ryszard. - Jestem abstynentem.

- Czy się pan zajmuje? - nieubłaganie pytał doktor Tacheci.

- Studiuję - odparł Ryszard.

- Papierosa? - spytała pani Tacheci. - Dostałam je w prezencie od Lizinki. Lizinko, poczęstuj pana Mašina!

- Nie, dziękuję - powiedział Ryszard. - Jestem niepalący.

- Medycynę? - spytał niecierpliwie doktor Tacheci, rzuciwszy małżonce tak wymowne spojrzenie, że zamilkła. - A może prawo? Lub powiedzmy filozofię?

- Nie, dziękuję - odparł machinalnie Ryszard. Zreflektował się jednak natychmiast i tak jak codziennie kładziono mu do głowy, aż mu to weszło w krew do tego stopnia, że nic innego nie przyszło mu na myśl nawet w mieszkaniu koleżanki, szybko poprawił się: - Studiuję ogrodnictwo.

Pani Tacheci poczuła ulgę i sama zapaliła papierosa. Doktor Tacheci, wprost przeciwnie, poczuł się zawiedziony i sięgnął ręką do talerzyka z migdałami. Rozgryziony migdał okazał się gorzki, ale on był zbyt dobrze wychowany, żeby wypluć go przy gościu. Połknął go zatem i w miarę jak jego posmak ulatniał się z języka, mijało również jego rozgoryczenie duchowe. Ogrodnictwo, mówił sobie w duchu - studium Lizinki bojkotował tak niewzruszenie, że dawno zapomniał o swoim zobowiązaniu zachowania dyskretnego milczenia - a czemużby nie? Ojciec i dziad mieli także tytuły doktorskie, i co z tego? Żyli zamknięci w swoim świecie, a kiedy zaskoczyło ich coś z zewnątrz, czuli się jak małe dzieci w wielkiej wodzie, która je zalewa. Przeniósł się w duchu o dziesiątki lat wprzód i ujrzał przy tym samym stole wigilijnym swoją córkę, nie kacicę bynajmniej, ale czułą mamę trzech rozkosznych pociech, którym on opowiada o wpływie jera na rozwój ligatury, po czym jego zięć, pan doktor Mašin, informuje ich o nowościach w uprawie warzyw. Ta wizja przypadła mu do gustu.

- Ogrodnictwo - powiedział na głos - to oczywiście ważna dziedzina, nie chciałbym, żeby pan pomyślał, panie Mašin, że należę do fanatyków, którzy uważają filologię za pepepek -

ciągnął doktor Tacheci patrząc na Ryszarda z przyjemnością, przypomniał sobie bowiem, że studenci literatury bez wyjątku palą papierosy i często od nich jedzie rumem, podczas gdy ten chłopiec to niemal asceta

- świata, dobrze wiem, że i ogrodnictwo jest potrzebne, zwłaszcza dzisiaj, kiedy jesteśmy świadkami eksplozji demograficznej, która wyprzedza rozwój zbiorowego żywienia,

ogrodnictwo wraz z filologią staje się problemem numer jeden, my już próbowaliśmy rozwiązać problem porozumienia się wprowadzając esperanto i inne sztuczne języki, a jak ze sztucznym warzywnictwem wyglądacie wy?

- Warzywnictwo warzywnictwem - powiedziała pospiesznie pani Tacheci - ale nasz młody przyjaciel świetnie zna się również na mięsie. Tak smakowite kawałki mógł wybrać jedynie ktoś, kto ma w tej mierze rozeznanie i wyczucie.

- To mięso jest od pana Mašina? - ze zdziwieniem zapytał doktor Tacheci.

- Ależ oczywiście - powiedziała pani Tacheci z wyższością w głosie - że od pana Mašina, od kogóż innego mogłoby być?

- Tego nie wiedziałem - powiedział doktor Tacheci, zbity z tropu. - W jaki sposób mógłbym się zorientować, że to od pana Mašina?

- Małżonek - powiedziała pani Tacheci do Ryszarda tonem usprawiedliwienia - zna się jak mało kto na związkach między zdaniem, ale związki między ludźmi i rzeczami umykają jego uwadze.

- To mięso - odezwał się Ryszard w poczuciu winy, że to on wywołał spór - jest właściwie od mojego ojczulka...

- Boże! - powiedziała pani Tacheci. - To bardzo miłe z jego strony! Proszę mu w naszym imieniu gorąco podziękować!

- Podziękować? - zawołał doktor Tacheci spiesząc do biblioteki. - Nie możemy tak lekko tego potraktować. Sądzę, że wypada czymś się pańskiemu ojcu zrewanżować, czymś, co sprawi mu radość, mam tu wspaniałe studium o dwóch funkcjach języka jako instrumentu mowy i narządu smakowego, czy pański ojciec czyta -

zapytał doktor Tacheci wracając z biblioteki z cienką odbitką

- po włosku?

- Nie - odparł Ryszard ze wstydem.

- Nie szkodzi! - zawołał doktor Tacheci, zdając sobie sprawę, że zachował się nietaktownie, i wrócił do biblioteki, by wymienić jedną odbitkę na drugą. - Po niemiecku z pewnością pański ojciec rozumie!

- Nie - powiedział Ryszard czując się upokorzony.

- Nie szkodzi, nie szkodzi - wykrzykiwał doktor Tacheci, tym razem wracając do stołu już bez żadnej książeczki, zrozumiał bowiem, że zachowuje się jak gbur - toż znajdziemy coś innego. Kim właściwie jest pański ojciec w dziedzinie mięsnej? Teoretykiem? Uczonym? Badaczem? Czy może eksporterem?

- Rzeźnikiem - powiedział Ryszard ze wstydem.

Dopiero teraz, twarzą w twarz z tym oświeconym intelektualistą, który dał życie jego wybrance, uświadomił sobie, że kilka kropelek błękitnej krwi to za mało, by zneutralizować smród mięsa i kości, jaki się niesie od jego drzewa genealogicznego.

Doktor Tacheci usiadł i wziął kolejny migdał. Natomiast pani Tacheci zgasła papierosa i z zachwytem klasnęła w dłonie.

- Rzeźnikiem? - zawołała entuzjastycznie. - Emilu, słyszysz? Jego ojczulek jest rzeźnikiem!

Celowo trochę przesadzała, ale to rzemiosło naprawdę jej imponowało, albowiem nie postrzegala go węchem, ale słuchem: brzęczało gotówką. Migdały tym razem pikantnie rozplýwały się na języku, toteż doktor Tacheci szybko doszedł do siebie. Rzeźnik, mówił sobie w duchu - a dlaczegoż by nie? Ojciec i dziad również upowszechniali mowę, złotą skarbnicę narodu, i co z tego? Ilekroć zaskoczyła ich klęska życiowa, stawiali jej czoła z pustą kieszenią. Powrócił w duchu kilka dziesiątków lat wstecz i ujrzał pośród wesołych wód i urodzajnych łąnów twierdzą, o której mu jego biedny ojciec mówił, że był w niej panem pradziad, nie filozof bynajmniej, ale młynarz. Spojrzał na Ryszarda i odgadł, co ten chłopiec musi czuć. Zrobiło mu się przykro, że go uraził, i sam poczuł kompleks, jakiego doznają niepraktyczni intelektualiści wobec ludzi pracy ręcznej. Rzeźnik - powtarzał w duchu - a proszę! Ma przyzwoitego syna, który się zajmuje problemem wyżywienia głodującej ludzkości, podczas gdy jego Lizinka, córka doktora filologii... Skorygował swój plan w tym względzie, że przestał Ryszarda traktować jako instrument manipulacyjny, a uczynił go podmiotem ludzkim, który też ma prawo do szczęścia. Chciał go zapewnić o swojej sympatii.

- Rzeźnik - powiedział głośno - to oczywiście bardzo ważna profesja, chciałbym, żeby pan wiedział, panie Mašin, że należę do inteligencji, która się narodziła pod wiejską strzechą, jeszcze mój pradziad był prostym młynarzem i sądzę, że gdyby ludzkość miała wybrać trzy profesje, zdolne wytworzyć nową cywilizację, byłyby to: młynarz, rzeźnik i filolog, toteż -

ciągnął doktor Tacheci spiesząc znowu do biblioteki, podczas gdy Ryszard odżywał jak krajobraz po deszczu

- tym bardziej serdecznie pana u nas witam, niech pan przekaże ojcu z moją rekomendacją ten przyjemny mongolski arkusik z motywami -

ciągnął doktor Tacheci wracając z biblioteki z teczką cennych duplikatów

- rogatego bydła i proszę mi powiedzieć, co mógłbym zrobić, żeby sprawić przyjemność panu.

- Jutro się kopnąć na lód - powiedział spontanicznie Ryszard, ośmielony jego propozycją.

- ...Kopnąć... lud...? - usiłował powtórzyć zbity z tropu doktor Tacheci.
- Pan Mašin - powiedziała pani Tacheci ze spokojem
- prosi cię, Emilu, żebyś mu pozwolił jutro iść z Lizinką na lodowisko pojeździć na łyżwach.

- Jej mokro! - ciągnął Ryszard, zachęcony pomocą pani Tacheci.

- Pan Mašin - kontynuowała pani Tacheci - wie, że ona ma na to wielką ochotę.

Doktor Tacheci jedynie popatrywał na nich w milczącym zdumieniu.

- Tyły z mrozem! - ciągnął Ryszard, ośmielony własną odwagą.

- Pan Mašin - dodała pani Tacheci - wyraża, Emilu, obawę, że mróz może niedługo się skończyć.

Doktor Tacheci otrząsnął się z odrętwienia.

- Wszystko się zgadza? - zapytał z niedowierzaniem Ryszarda. - Skąd ty to wiesz? - zapytał ze zbaraniałą miną małżonkę.

Jego żona uśmiechnęła się wyrozumiale. Nie zdziwiło jej, że już zapomniała jak kiedyś podobnie musiała przekładać rodzicom jego prośbę o rękę. Ryszard tylko słabo kiwnął głową.

- A ty - powiedział doktor Tacheci zwracając się do córki - chciałybyś?

Lizinka jadła czereśnie z kompotu. Chciała się przekonać, ile ziarna mógł nieść chomik w torbach policzkowych. Kiedy mówiono o warzywnictwie, układała pestki pod lewym policzkiem. Kiedy mówiono o rzeźniku, układała je po drugiej stronie. Miała ich właśnie w ustach dwadzieścia sześć i jedną przez pomyłkę połknęła; wyglądało to, jak gdyby kiwnęła głową.

Doktor Tacheci doszedł do przekonania, że jego prośba została przez niebiosy wysłuchana, i postanowił swój plan doprowadzić do końca.

- Idźcie - powiedział uroczyście - i ślizgajcie się! Pewnego dnia nadejdzie nieuchronna chwila, kiedy młody człowiek musi sam wstąpić na lód życia, a rodzice mogą tylko z trwogą się temu przyglądać. Cieszę się, że w takiej chwili moja córka może znaleźć w panu pokoleniowe oparcie po to, by nie powinęła się jej noga, i cieszyłbym się jeszcze bardziej, gdyby jej pan towarzyszył i do bibliotek, i do galerii, i do muzeów po to, żeby zrozumiała, że świat ma niejedną twarz, a człowiek nieustającą możliwość nowego -

ciągnął doktor Tacheci z uporem

- wyboru, a najbardziej bym się cieszył, gdyby jej pan jako utalentowany syn prostego człowieka wyjaśnił, o ile więcej dłużna jest światu córka człowieka wykształconego. W podziękę za to będą u nas przed panem zawsze stały drzwi -

dodał w transie, machinalnie otwierając drzwi do przedpokoju

- otworem!

Pani Tacheci połapała się w jego skrytych zamiarach i zdała sobie sprawę, że jest większym głupcem niż sądziła. To prawda, że ilekroć coś się działo wokół jego córki, dawał mu o tym znać jakiś wewnętrzny radar, ale miękki jer w alfabecie rosyjskim, nad którym przemyślał coraz częściej, musiał powodować jakieś trwałe w nim zakłócenia, jak magnes zakłóca pracę kompasu. Doszła do wniosku, że nastąpiła psychologicznie najodpowiedniejsza chwila, ażeby trojański koń małżonka ukazał swoje prawdziwe zęby.

- I ja, drogi panie Mašin - powiedziała i zastanowiła się. - Jak właściwie pan ma na imię?

- Ryszard - wychrypiał Ryszard.

- I ja, drogi Rysiu - ciągnęła pani Tacheci biorąc go za ramię i przyjaźnie prowadząc koło doktora Tacheciego, który wciąż jeszcze trzymał w dłoni klamkę otwartych drzwi - dołączam się do podziękowań, życzeń i obietnic małżonka, który jest już, jak widzisz, zmęczony, i zapraszam cię również w jego imieniu na jutrzejszy obiad, po którym pójdziecie z Lizinką na łyżwy, a tymczasem życzę ci dobrej nocy i wraz z małżonkiem cieszę się, że Lizinka ma tak miłego i grzecznego -

dodała otwierając drzwi na schody i podając rękę do pocałowania

- kolegę.

- Cześć - powiedział całkiem zbaraniały Ryszard, pocałował ją w rękę i chwiejnym krokiem wyszedł.

Pani Tacheci zamknęła za nim drzwi, przeszła koło męża wracając do pokoju, porozumiewawczo mrugnęła do córki i zaczęła sprzątać ze stołu.

- Chwileczkę - zawołał doktor Tacheci i rzucił się ku drzwiom wyjściowym.

Po krótkim szarpaniu się z klamką zrozumiał, że drzwi są zamknięte na klucz, więc wbiegł z powrotem do jadalni.

- Gdzie jest klucz? - krzyknął do żony.

- Jaki klucz? - zapytała małżonka układając jeden na drugim głębokie, płytkie i deserowe talerze w cebulowy wzorek.

- Klucz od drzwi! - krzyczał jej mąż.

- Nie ma go w drzwiach? - spytała małżonka.

- Nie ma! - krzyczał jej mąż.

- Dobrze patrzyłeś? - spytała małżonka.

- Patrzyłem! - krzyczał jej mąż.

- To popatrz jeszcze raz - powiedziała małżonka, ostrożnie niosąc cenny serwis do kuchni.

- Nie ma! - krzyknął do żony.

- Kogo? - spytała małżonka.

- Tego klucza! - krzyczał jej mąż.

- Nie wypadł z zamka? - spytała małżonka.

- Nie wypadł - krzyknął jej mąż.

- A dobrze patrzyłeś? - spytała małżonka.

- Dobrze! - krzyczał jej mąż.

- No to zapal światło i ponownie popatrz - powiedziała małżonka, ostrożnie wkładając cenny serwis do zlewu.

- Nie ma! - krzyknął do żony, kiedy ponownie sprawdził.

- Czego? - spytała małżonka.

- Klucza! - krzyczał jej mąż. - Klucza od drzwi, od drzwi wejściowych!

- Ach, tak!... - powiedziała małżonka słuchając, jak przed domem zatrzymuje się i ponownie rusza samochód - a nie leży przypadkiem na stole w jadalni?

- A cóż by robił na stole w jadalni? - krzyczał jej mąż.

Pani Łucja weszła do pokoju i bez słowa wskazała palcem stół. Była na nim już tylko kompozycja z modeliny, którą wcześniej położył tam doktor Tacheci.

- Widzisz - krzyczał - że tu nic nie leży!

Pani Łucja uniosła kompozycję w górę. Pod nią leżał klucz.

- Kto chce coś znaleźć - powiedziała chłodno - nie może tego szukać tyłkiem.

Dopiero po dobrej chwili udało mu się roztrzęsionymi rękoma otworzyć drzwi. Kiedy wybiegł z domu, nigdzie nie było widać żywej duszy. Na chodnikach i jezdni połyskiwał białą śnieg. Długie szeregi oświetlonych okien zlewały się z jasnymi gwiazdami. Skądś przyjemnie płynęła kolęda. Doktor Tacheci zadygotał na mrozie i kichnął. Wbiegł z powrotem do domu. Energia gniewu pozwalała mu brać po dwa schodki naraz. Kolega! - skandował w duchu - ja wam dam kolegę! Wiedział, że sił mu nie starczy na długo, toteż chciał zrobić porządek w rodzinie natychmiast, za wszelką cenę i raz na zawsze.

U drzwi mieszkania stwierdził, że klucz zostawił w zamku od środka. Nacisnął na guzik. Cisza. Przeklinał dzień, w którym dał się namówić na zakup jakiegoś głupiego patentu zamiast porządnego dzwonka. Zapukał. Cisza. Załomotał. Żadnej reakcji. W przypiływie wściekłości zaczął walić w drzwi obiema pięściami.

Niemal jednocześnie otworzyły się wszystkie drzwi na korytarzu i na progach pojawili

się sąsiedzi i ich dzieci. Ze zdumieniem patrzyli, jak pan doktor grzmoci do własnych drzwi, wściekle dysząc i sapiąc. W tym momencie otworzyła również pani Tacheci.

- Przynajmniej w Wigilię - powiedziała z przyganą - mógłbyś pozostać z rodziną, ach - kontynuowała, jak gdyby dopiero teraz ujrzała zbiegowisko na korytarzu
- dobry wieczór, małżonek wychodził, żeby się trochę przelecieć!...

Doktor Tacheci się rozejrzył. W oczach dzieci czytał żywe zainteresowanie, w oczach mężczyzn zdziwienie i zawiść. Chciał się zaśmiać, żeby zbagatelizować sytuację. Równocześnie jednak ponownie kichnął i oba dźwięki zlały się w skowyt. Chciał przynajmniej przepaszająco pomachać ręką, ale następne kichnięcie wytrąciło go z równowagi i zataczając się wpadł do przedpokoju.

- Przepraszam - powiedziała do sąsiadów pani Tacheci z męznym dostojeństwem, powoli zamykając drzwi - wesołych świąt!

Oczy żon przesyłały jej depesze współczucia.

Doktor Tacheci ponownie stał w narożnym saloniku. Na pierwszy rzut oka nic się tu nie zmieniło. Na choince płonęły świece. Pod choinką malowniczo piętrzyły się prezenty. Na stole spokojnie spoczywały talerze w kolorowe paski, a pośród nich kompozycja plastyczna z modeliny. Zrozumiał wreszcie, jaką scenę przedstawia, i złapał drugi oddech. Gniew, wstręt i upokorzenie, wszystko to złączyło się w jedną rozpaloną masę, która dojrzewiała do wybuchu.

- A więc - powiedział cicho doktor Tacheci, ale szczęki mu dygotały - dosyć! To mięso zostanie zwrócone, ten obiad się odwoła, łyżwy zamknij na klucz, a dziewczyna nie wyściubi -

ciągnął głośno, a żyły na szyi nabiegały mu krwią

- nosa z domu! Jeżeli chwilowo dałem się przymusić, ażeby studiowała w tej potwornej szkole, którą teraz też wezmę pod lupę, to nie pozwolę ani przez moment, ażeby mi tu przychodził katowski -

darł się doktor Tacheci mając coraz bardziej przekrwione białka oczu

- pacholek!

Chwyił kompozycję z modeliny i walnął nią o podłogę z taką siłą, że odskoczywszy, rozbiła dwie bombki i wylądowała w szopce betlejemskiej, gdzie przygniotła świętą parę, wołu i osła. Dziwnym trafem, sama nie doznała uszczerbku, zyskała jeszcze na wyrazie: dziewczyna mierzyła teraz kołem w Jezuska, a chłopcu nogi wystawały spod żłobka jak leżącemu pod autem mechanikowi samochodowemu.

Doktor Tacheci obserwował swoje dzieło, głucho coś mrucał i niecierpliwie czekał,

kto mu się sprzeciwi. Swojej żonie w tej chwili niemal się podobał. Gdyby taki był zawsze, pomyślała, załatwiłby córce choćby tę szkołę dramatyczną, a w ogóle wszystko wzięłoby inny obrót. Ale obawiała się, że w tym stanie długo nie wytrwa. Lizinka sadziła pestki. Ośmioma obsadziła pelargonie, ośmioma figus, a kolejnymi ośmioma gwiazdę bożonarodzeniową. Pozostałe zasadziła przy kaktusie, ażeby w przyszłym roku nazrywać jak najwięcej czereśni.

- Lizinko - powiedziała matka - myć się i spać! Jutro czekają cię łyżwy.

Kiedy córka całowała go na dobranoc, prysnęła cała nagromadzona nienawiść. Korzystając z tego, małżonka zabrała głos.

- Ten - powiedziała jakby od niechcienia, ale z tym większym naciskiem - kto nazywa pacholkiem przyzwoitego chłopca zapraszającego dziewczynę na łyżwy, chociaż sam zbecześcił jej matkę w pierwszej lepszej -

ciągnęła, z brzękiem składając jeden na drugim głębokie, płytkie i deserowe talerze w kolorowe paski

- koniczynie, kto jej zrobił dziecko, żeby ją zmusić do zamążpójścia i wycyganic od teścia drogocenne książki, kto nie raczy ubrudzić sobie rączek butelką koniaku i w konsekwencji nie może załatwić córce porządnej szkoły, ale za to w wieczór wigilijny wywołuje skandal na całą -

ciągnęła, z góry wiedząc, że przez roztargnienie nie spyta, czemu znowu jest na stole serwis z porcelany, i czemu tym razem nie jest to cenny serwis w cebulowy wzorek

- kamienicę, kto bardziej kocha jakiś idiotyczny jer od swojej rodziny, ten nie ma moralnego -

ciągnęła pani Tacheci sprawdzając jeszcze raz, czy rzeczywiście trzyma serwis, który na podobną okazję zakupiła już dawno w sklepie z przecenionymi towarami

- prawa zniszczyć w tym domu choćby - dodała pani Tacheci podnosząc głos i serwis - wykałaczkii!!!

Po czym upuściła stos talerzy u jego stóp i zamknęła się w sypialni. Doktor Tacheci stał po łydki w skorupach i wsłuchiwał się w kolędy, które w sąsiednich domach puszczano na pełny regulator, żeby ich idylliczne tony zagłuszały odgłosy prawdziwego życia różnych Tachecich, na których słuchanie dzieci miały jeszcze dość czasu. Euforia oczyszczała pole depresji; krytyczny duch uczonego, skory niemiłosiernie odsłaniać prawdę i odrzucać omyłki, zwrócił się oto przeciw samemu sobie. Abstrahując od niedokładności, zawinionych przez jej emocję, medytował, czyż nie jest prawdą, niezależnie czy to ważne, czy nie, że przed szesnastu laty poznał dziewczynę jedynie dla cennego druku, wydanego przez Sturza?

Czyż nie jest prawdą, że tę dziewczynę, w koniczynie czy gdzie indziej, za jej zgodą

czy bez, uczynił kobietą, a potem żoną?

Czyż nie jest prawdą, że tej żonie nie zapewnił, choćby z tak wzniosłych przyczyn, jak powiedzmy jej, tego co zapewniliby jej pewnie inni mężczyźni?

Czyż nie jest prawdą, że wywołał, mimo że z pobudek tak ludzkich, jak gniew i poczucie krzywdy, publiczne zgorszenie w domu, obraził chłopca, który mu się podobał, i zepsuł córce i żonie wieczór wigilijny?

I czyż nie jest prawdą, że jedynie z tego powodu jego żona rozbiła swój ukochany serwis?

Doktor Tacheci bardzo ostrożnie wyszedł ze skorup, starannie je pozbierał i każdy kawałek owinął świąteczną bibułą, aby je można było złożyć i pozlepieć. Pogasił świece, szczycił z dywanów wosk, wybierał skorupki po bombkach i naprawił szopkę betlejemską. Paczki z mięsem włożył do lodówki. Zawahał się nad kompozycją, postawił ją jednak na stole. Potem cicho i długo pukał do drzwi sypialni powtarzając słowa przeprosin. Koło północy z foteli zdjął poduszki, by się na nich położyć, a ze stołu poplamiony obrus, by się nim przykryć, i z nosem na kwintę poszedł przenocować

25

w wannie.

Odwrócił głowę do tyłu i zamknął oczy. W głowie zaczęła mu szumieć krew. Zamarł w chwiejnym położeniu, kiedy całą wagę ciała podtrzymywały tylko mięśnie wyprężonych do tyłu rąk, podczas gdy nogi na gładkich nartach ścigały go w stromą przepaść. Oparł się jeszcze mocniej na kijkach, aby narty uczynić bardziej stabilnymi i móc w czasie, który mu pozostawał, zbilansować miłość dojrzewającą do spełnienia.

Ryszard miał po rzeźnikach silny organizm i mocną wolę. Przypominał Alberta w tym, że jak on przełamywał swoje słabości. Tyle że Albert absolutnie nie mógł się wyzbyć swojego garbu, toteż gromadził siły przeciwko światu. Ryszard chorobę swoją przewyciężył i świeżo skumulowaną siłę wręcz rozrzutnie proponował całej ludzkości. Gdyby sąsiadów stryjka nie zawiódł rzeźnik, pewnie by ją rozdał polom jako rolnik czy uczniom jako nauczyciel; a tak całą swoją istotą przylgnął do Niej. Jednakże zakodowana w nim wrażliwość szlacheckiego przodka wystarczyła, by spowodować wypadek niczym samochód, który włącza się do ruchu z przeciwnego kierunku. Konsekwencją było rozdarcie wewnętrzne, właściwe dzieciom nieślubnym. Był za bardzo szlachcicem, żeby rosnące w nim uczucie miłosne neutralizować

piwem czy jeszcze prościej - orgazmem. I był za bardzo rzeźnikiem, żeby umieć w sposób kulturalny wyznać swojej ukochanej, co do niej czuje. Po głowie chodziły mu pomysły nowych wierszy, serce przepełniała mu czułość, ale twarz, cała w pasach, ledwo skłaniała się do uśmiechu, a usta jęklonie wypowiadały pozdrowienie.

Nikt mu nigdy nie podpowiedział, jak przemówić do dziewczyny, a kiedy się do niej już przemówi, co jej powiedzieć potem, jak ją w końcu pożegnać i zaprosić na przyszły raz, o czym z nią poza tym rozmawiać, skoro wszystko co najważniejsze - jak się nazywają, czym się zajmują - jest im wiadome, i w dodatku powiedzieli już sobie, co lubią czytać i co im nie smakuje, jak zatem jej wyznać miłość i tej miłości dać szansę. Siostra w sanatorium sama była pełna inicjatywy, uwiodła go, wykorzystała i zostawiła; to doświadczenie nic mu nie dawało. I choć w wyobraźni dawno już obcałował Lizinkę od stóp do głów, i wziął ją za żonę, i przeżył z nią tysiąc i jedną noc miłosną, to w rzeczywistości jeszcze do niej nie przemówił, ba, zdobył się jedynie na to, by w milczeniu objąć ją za szyję i odgryźć kęs świątecznej strucli.

Oczywiście nawet początkujący psychiatra wyjaśniłby mu przyczyny jego kłopotów, gdyby tylko mimochodem stwierdził rodzinną anamnezę: chorobliwe zawstydzenie Ryszarda miało swoje źródło w instynktownej obawie, że wyrażając najgorętsze wyznanie mimo woli wypowie jakieś słowo w rodzaju „dupa” czy „gówno”, które go otaczały na co dzień. Tyle że Ryszard nie miał o psychoanalizie nawet zielonego pojęcia, toteż zamulał go mętny osad goryczy.

Kiedy łyżka wypadła mu z ręki wprost do zupy rybnej i bez pożegnania wyszedł z domu, był przekonany, że opuszcza go na zawsze. Rodzice zapewne go kochali, ale także ta ich miłość była jakaś rzeźnicka, zamiast pocałunków dostawał od nich serdelki, zamiast rad ciosy pięścią; nie miał złudzeń, jak by go przywitali po tej ucieczce z domu. Jadąc taksówką przez puste ulice, gdzie we wszystkich oknach rozbłyskały domowe fajerwerki, zdał sobie z goryczą sprawę, że tej nocy każdy jest z kimś bliskim, z którym zaczyna właśnie coś nowego, podczas gdy on, samotny i zbyt czyny, jedzie naprzeciw własnemu kresowi. A kiedy przed Jej domem oddał kierowcy swoje ostatnie pieniądze, a w zamian spotkał się z kaskadą życzeń noworocznych, znał swój los do ostatniego tchnienia.

Raz jeszcze podejdzie do Jej drzwi, by dotknąć dotykanej przez Nią klamki. Po czym wyjdzie na pole rozpościerające się za Jej domem, które śnieg przeobraził w jedno wielkie białe łożo. Na nim zamierzał się ułożyć, żeby patrzeć w Jej okno, które odnalazł przed południem, póki go nie zasypią gęsto lecące płatki. Za kilka miesięcy, w ciągu których zapewne rodzice będą go szukać, wiosenne słońce roztopi śniegową trumnę i Ona patrząc z

okna ujrzy jego twarz, którą zabalsamuje mróz: będzie piękna, spokojna i pełna miłości.

Powoli kroczył po schodach w rytmie marsza żałobnego, jaki mu grała podniecona wyobraźnia. Na klamce nic nie wisiało. Muzyka ucichła i ogarnęła go bezradna wściekłość na prymitywnych złodziei, którzy nie wzdragają się nawet przed wyciągnięciem ręki po gwiazdkowy prezent dla Niej. Przebłysk zdrowego rozsądku podszeptał mu jednak zaraz, że równie dobrze Ona może teraz trzymać jego dzieło - ze wstydu nie dołączył doń nawet słowa, całe szczęście, że sam zestaw form był wymowny - w swoich łaskawych dłoniach! Może umiała wyczuć w nich tę czułość, której on dotychczas nie potrafił jej wyrazić? Może właśnie pragnie ujrzeć jego twarz żywą, a tymczasem on po masce z modeliny zaproponuje jej maskę śmierci? Ogarnęły go wątpliwości.

Co począć? Odejść i umrzeć? Czy też żyć i zadzwonić? A co potem? Przejść obok jej rodziców i zabrać im córkę? Ale dokąd? I wówczas, jako że przycisk wygrywającego anielską muzykę gongu, który mimowolnie gładził, reagował na najłżejszy dotyk, drzwi otworzyła pani Tacheci. Proces dojrzewania, który u ludzi trwa całe lata, chyba że go odbywają na froncie lub przy śmiertelnym łożu kogoś bardzo bliskiego, w przypadku Ryszarda skrócił się do pół godziny, pachnącej igliwem i woskiem. Do mieszkania wszedł chłopiec, opuścił je mężczyzna.

To mężczyzna zastąpił drogę taksówkarzowi, spieszącemu się do rodziny, i na drugim końcu miasta pokazał mu puste kieszenie ze słowami: „Przyjedź tu jutro”; taksówkarz to zrozumiał i odjechał szczęśliwy, że ten oprych nie zażądał od niego utargu. To mężczyzna zbudził rodziców pytaniem, czy w tym bajzlu znajdzie się coś do żarcia w kuchni; matka to z miejsca zrozumiała i poszła mu podgrzać kolację; zrozumiał to również ojciec i pozostał w łóżku. To mężczyzna nazajutrz przy obiedzie wyjaśnił panu Tacheciemu zasadę łamania kołem tak autorytatywnie, że ojciec Lizinki wprawdzie nie skończył obiadu, ale nie odważył się mu przerwać.

Niestety, ledwo został sam na sam z jego córką, znowu stał się chłopcem.

Stary problem - kiedy, gdzie, jak i o czym rozmawiać z dziewczyną - stanął przed nim jeszcze ostrzej niż dotychczas. Kiedy przechodzili przez jezdnię, zawołał trwożnie:

- Uwaga, samochód!

Lizinka kiwnęła głową. Był temu autu wdzięczny, że właśnie tędy przejechało. Kiedy obok nich w tramwaju bezceremonialnie przepychała się jakaś baba, która o mały włos przegapiłaby swój przystanek, zapytał troskliwie:

- Boli?

Lizinka potrząsnęła przecząco głową. Czuł się wobec tej baby bardzo zobowiązany, że

właśnie ją potrafiła.

Kiedy przyszli pod kasę stadionu, powiedział z rozpaczą:

- Ale tu ludu!

Lizinka wzruszyła ramionami. Ogarniała go do tych ludzi nienawiść, że nie poszli sobie gdzie indziej; kolejka posuwała się w ślimaczym tempie, milczenie stawało się coraz bardziej nieznośne. Im wyraźniej czuł, że dziewczyna chciałaby, żeby się do niej odezwał, tym głębiej pograżał się ze wstydem w swojej pomarańczowej wiatrówce.

Lizinkę zainteresowała kasjerka. Kiedy płacił ktoś dorosły, dawała mu bilet niebieski. Kiedy płacił żołnierz, dawała mu żółty. Kiedy płaciło dziecko, nie dawała mu nic, tylko mrugała do biletera, żeby je wpuścił; pewnie tym zyskiem później się z nim dzieliła.

Ryszard był tak zdeprimowany, że w pierwszej chwili poprosił o dwa bilety dziecięce, a potem długo musiał się tłumaczyć, żeby ich w ogóle wpuścili. W końcu z całą hurmą przypominającą stado olbrzymich kaczek wykolebali się z szatni i sunęli na łyżwach po betonie ku lodowej tafli, a tu już był w swoim żywiole!

Jak Anteusz, który był nie do pokonania, póki dotykał Matki-Ziemi, tak Ryszard stawał się królem w każdym stanie skupienia wody. Kiedy go bowiem opuściła ostra forma choroby, miał za radą ordynatora hartować się w odkrytym basenie. A że równocześnie opuściła go także lekkomyślna pielęgniarka, przyjął tę radę jako świetny pomysł samozniszczenia. Basen znajdował się w ustronnym miejscu i pod koniec lata świecił pustkami. Chłopak rzucał się rano ze skały do zimnej wody górskiej i niestrudzenie pływał aż do wieczora w nadziei, że osłabione płuca nie wytrzymają obciążenia i któryś z kolejnych wymachów ramion sprawi, że on udusi się słodko w łagodnych objęciach wody. Po wielu godzinach, kiedy na próżno będą go szukać, być może Ona przyjdzie na brzeg basenu i ujrzy na dnie jego twarz niby obraz pod szkłem: szlachetną, spokojną i pełną miłości. Tymczasem stało się tylko jedno: Ryszard wspaniale opanował wszystkie style pływania i całkowicie zniknęły jego stany podgorączkowe. Mijała słotna jesień. Co wieczór słyszał przez drzwi, jak bezwstydnie obcasiki prowadzą Ją to do tego, to do owego kochanka. Płakał na samą myśl, że tu marnuje się prawdziwe ludzkie uczucie, podczas gdy tam czeka Ją jedynie samcze pożądanie. Pewnego ranka natknął się w basenie na igielki lodu. Był przekonany, że będzie to jego kąpiel ostatnia. Zamiast tego nazajutrz po raz pierwszy obudził się bez kaszlu. Niebawem chwyciły silne mrozy, więc wziął się na sposób. Napisał do rodziców, a kiedy mu przysłali łyżwy - kanadyjskie ze szwedzkimi butami - całymi dniami krążył po basenie jedynie w koszuli, ażeby nabawić się zapalenia płuc. Zamiast tego brawurowo opanował technikę jazdy i proste skoki. Zasypiał jak zabity, ale budził się z niesamowitym uczuciem, że

jest coraz zdrowszy. Napadało śniegu, więc przez dwa dni daremnie walczył skrobakiem o przestrzeń do umierania. Nawet wtedy nie skapitulował. Napisał do rodziców, a kiedy mu przysłali narty - austriackie ze szwajcarskimi wiązaniami i włoskimi butami - poprosił ordynatora, żeby mu pozwolił zjeżdżać z najbliższego zbocza. Ordynator wyraził zgodę; od dawna potajemnie śledził walkę tego chłopca o powrót do zdrowia i chciał o tym napisać pracę naukową. Ryszard wszakże nie ograniczył się do najbliższego zbocza, wspinał się w góry, trawersował, docierał na wierzchołki, skąd zjeżdżał po karkołomnych stokach pośród krętych rozpadlin w nadziei, że się roztrzaska o zaśnieżony występ skalny lub runie w jakiś wykrot. Zamiast tego wyćwiczył refleks i szybko zdobył kondycję pierwszorzędnego zawodnika, gdyż nie był zdolny pozwolić sobie na jakiegokolwiek wahanie czy błąd techniczny, do jakich prowadzi instynkt samozachowawczy. Kto wie, jak potoczyłby się jego los, gdyby przed Vlkiem spotkał go doświadczony trener. Któregoś dnia ordynator oświadczył mu, że jego bezprzykładowy wysiłek uwieńczony został przykładowym sukcesem: jest całkowicie zdrowy i stoją przed nim otworem wszystkie dziedziny życia, z wyjątkiem oczywiście tych, w których wyrabia się lub sprzedaje mięso...

Kiedy zatem teraz, po upływie roku, znowu wjechał na znajomą śliską płaszczyznę, od razu poczuł pewny grunt pod nogami. Z powrotem stawał się mężczyzną, kiedy podawał ramię swojej dziewczynie, a ona mu się odwzajemniała. Jeździła na łyżwach przez trzy sezony, a jej matka już postanowiła uczynić z niej mistrzynię świata w jeździe figurowej na lodzie; skończyło się na pierwszych zawodach, kiedy jury poradziło matce, aby uczyniła z niej mistrzynię świata w czymkolwiek innym. Gdzie klęskę ponieśli płatni trenerzy, zwyciężało teraz bezinteresowne uczucie. Jak każdy, kto ślepo kocha, Ryszard przypisywał Lizince talent i dobrą passę, ta ufność wydawała się ją uskrzydlać. Z początku prowadził ją powoli, ale w miarę rozjeżdżania się, coraz odważniej, zaznając podwójnego szczęścia: że może ją na oczach wszystkich trzymać za rękę i że przy tym nie musi mówić. Po kilku okrążeniach obrócił się tyłem do kierunku jazdy, ujął ją również za drugą rękę i jadąc przed nią doznawał kolejnej rozkoszy - mógł jej patrzeć w oczy. Skutek był tak hipnotyczny, że po kilku okrążeniach dziewczyna zaczęła opanowywać wariacje kroków, a niebawem i proste figury. Pozostali łyżwiarze coraz chętniej schodzili im z drogi, a potem zupełnie spontanicznie zostawili im wolny środek tafli: stadion po prostu uległ urokowi tej pary, która jak gdyby uosabiała piękno i zdolności rodzaju ludzkiego. Szkoda, że nie było tu Vlka z Šimsą, by mogli się przekonać o słuszności swoich przypuszczeń! W pewnej chwili emocja udzieliła się również dźwiękowcowi w kabinie, zawieszona jak gniazdo pod konstrukcją dachu: zatrzymał krzykliwą orkiestrę dętą i puścił z innej taśmy słynny walc z *Doktora*

Żywago.

Tłum łyżwiarzy przeszedł słodki dreszcz i nawet ci najmniej muzykalni wyczuli trzytaktowy rytm. Jedyne Ryszard, wręcz przeciwnie, zupełnie jakby doznał wstrząsu elektrycznego, wypadł z rytmu i zatrzymał się niemal ze zgrozą. Kiedy ochłonął, chwycił rękę Lizinki tak mocno, aż ją to zabolalo, i szybkimi ślizgami skierował się wraz z nią ku szatniom. W jego moralnym kodeksie taniec był bowiem rozpustą numer jeden, brzydził się nim, nienawidził go tak, że gotów był mordować.

Nawet początkujący psychiatra wyjaśniłby mu przesłanki jego odruchu, gdyby tylko poznał jego doświadczenie miłosne: obrzydzenie Ryszarda wynikało z bolesnego wspomnienia, że sanatoryjna pielęgniarzka określała swoich przyszłych kochanków za pomocą tańca. Ale Ryszardowi nigdy nie przyszło do głowy, że byłby mu potrzebny psychiatra, a zatem gromadził się w nim samowychodzący dynamit nienawiści, i to nawet teraz, skoro sam sobie nie pozwolił na objęcie swojej ukochanej.

Tak też - na przemian w euforii i depresji - przeżył pięć dni ferii świątecznych. O szkole nawet nie pomyślał. Każdego popołudnia wyróżniali się z Lizinką na ślizgawkach - gdyby pozostawali wciąż na tej samej i zwróciłby na nich uwagę jakiś przezorny funkcjonariusz, kto wie, jakby się potoczyły ich losy; ale zagadnął ich jedynie jakiś pomyłony starzec, który twierdził, że napisze o nich do gazety. Na lodzie rozumieli się doskonale, ale mimo to Ryszard dwa razy dziennie przebywał u jej boku drogą krzyżową, czując się jak imbecyl, a podczas bezsennych nocy daremnie wysiłał się na wymyślanie zwrotów konwersacyjnych, ażeby jej wreszcie zaimponować również swoim intelektem. Cierpiał na jakąś impotencję duchową i pod koniec piątego dnia ferii poczuł rozpaczliwą beznadziejność.

Jutro, mówił sobie w duchu myśląc o sylwestrowej wycieczce, między nas ponownie wejdą profesorowie, koledzy i jacyś durnie ze STUCIELU. Jak pośród nich się wyróżnię, skoro zmarnowałem pięć dni, w ciągu których miałem ją tylko dla siebie? W tępo łoskoczącym tramwaju obserwował jej wzruszający profil, przypominający cichą taflę jeziora, która zakrywa zagadkowe ruchy wód w głębinie. A co mógłbym jej zaofiarować, pomyślał naraz rozpaczliwie, jako równowartość czekającego mnie ewentualnie z jej strony szczęścia, że zgodzi się, bym spędził życie u jej boku? Kim właściwie jestem, żeby sobie aż tak pozwalać? Bękartem, który ma w sobie kropelkę błękitnej krwi na całą beczkę świńskiej juchy! Jego wewnętrzny kryzys kulminował. Postanowił zrezygnować z daremnej walki, przeprosić rodziców i wprowadzić bez miłości, ale pozostać w środowisku, w które rzucił go los. I właśnie w owej chwili Lizinka dała mu pierwszy dowód swojej przychylności.

Jakiś podпиты facet z cieplarnianą różą w klapie, który przepychał się między nimi

podczas wsiadania, ażeby jako pierwszy dopaść do miejsca dla inwalidy, teraz od wstrząsów tramwaju cokolwiek otrzeźwiał i zaczął im się przyglądać. Lizinka właśnie wpadła na pomysł pewnej zabawy i postanowiła spróbować rozegrać ją sama ze sobą. Sylabizowała oczyma *Regulamin Jazdy* nalepiony nad oknem. Ilekroć doszła do „i”, wpisywała sobie jako Liz jeden punkt na lewej dłoni. Ilekroć natrafiła na „y”, wpisywała sobie jako Inka punkt na prawej dłoni. Do końca tekstu pozostawały jeszcze tylko dwa słowa, Inka prowadziła przed Liz jednym punktem - 74:73.

Zarówno Ryszard, który nie umiał inaczej myśleć, jak i Lizinka, która inaczej nie umiała liczyć, poruszali bezgłośnie wargami. Podpity mężczyzna był intelektualistą i tak mu się zrobiło wstyd, że wstał i obojgu zaoferował swoje miejsce.

- Przepraszam - powiedział na głos wymawiając wyraziście każdą głoskę, ażeby można było czytać mu z ruchu warg - nie wiedziałem, że jesteście głuchoniemi, życzę wam w Nowym Roku więcej szczęścia.

Podał Lizince różę z klapy i chwiejnym krokiem wysiadł. Lizinka właśnie kończyła zabawę. Postanowiła, że róża będzie nagrodą dla zwyciężczyni. Przedostatnie słowo było WARUNKI, toteż Liz wyrównała na 74:74. Ostatnie słowo było KOMUNIKACYJNE. Najpierw Liz, a potem Inka zarobiły po punkcie i skończyło się remisem. W tej sytuacji Lizinka wręczyła kwiat Ryszardowi.

Nie wiedział, jak ją odprowadził pod dom, ani którędy wracał do siebie. Znalazłszy się w swoim pokoiku, usadził różę na mokrej wacie i chwycił za pióro. Wstyd, gorycz, nienawiść, wszystko z niego opadło jak płatki okwiatu, aż w końcu otworzyła się w nim nieskrępowana niczym dusza i nastreczyła mu skarbiec myśli i słów, których niedostatek tak bardzo odczuwał w codziennym życiu. Niezle się nabiedził, zanim je ułożył w wiersze, które nabiorą wartości dopiero wtedy, gdy Ona je zaakceptuje.

Ten z dłoni twej czerwony kwiat...

głosiła pierwsza linijka utworu zarysowującego się dopiero późnym wieczorem

...niech z próby wyjdzie cało...

brzmiał ósmy rząd liter w rytmie zegara wybijającego północ

...to symbol mej młodości!

zaklinał się ostatni ciąg słów, kiedy już na światło lampy stołowej przypuścił atak świt. Ryszard zgasił lampę i wyciągnął się na gołej podłodze, wyczerpany w sposób dobrze znany artystom, kiedy wystarczy zamknąć oczy, żeby czująca ulgę dusza uniosła ciało pod sam sufit. Ten duchowy widok z góry tudzież zwycięskie spiętrzenie ciągu poetyckich figur, wspierane salwami rymów, sprawiły, że Ryszard myślał teraz o postępach swojej znajomości z Lizinką jak zawołany strateg.

Całą operację - była właśnie 6.00 - zaplanował na dwadzieścia cztery godziny. Już za dwie godziny w autokarze, gdzie oczywiście usiądą obok siebie, opowie jej, jak się obronił przed chorobą płuc i chorobą miłości, ażeby być zdrowym i czystym, kiedy spotka się z nią. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że tym razem nie zabraknie mu słów; rwały się w nim do biegu jak pełnokrwiste konie w boksie startowym. Podczas wspólnej jazdy dwusiodłkowym wyciągiem krzeselkowym, na przykładzie przesuwanego się krajobrazu uzmysłowi jej, że oddalają się od przeszłości i razem spieszą w stronę życia jeszcze niezapisanego jak białe hale nad nimi. Popołudnie spędzi skromnie wśród całej grupy, która będzie próbować zjazdów na oślej łączce; chciał, żeby jego kunszt narciarski tym bardziej wszystkich zaskoczył w kluczowym momencie. Również przy stole, rzecz jasna, usiądzie obok niej. Bliźniacy będą paplać o sporcie, Franciszek poczęstuje ich paroma niewybrednymi dowcipami, kujon Albert niechybnie przejmie się rolą ucznia technikum ogrodniczego i będzie popisował się wykutymi na blachę tekstami o sadzeniu buraków, a Szymon zaserwuje zwykły u niego repertuar mlaskań i beknięć; wtedy ją cicho poprosi, ażeby po kolacji, kiedy wszyscy inni wyjdą na papierosa, ukradkiem przyszła pod pierwszą kosodrzewinę, gdzie będzie na nią czekał. Gdzieś poniżej ich stóp zamigoczą nikłe ogniki papierosów, a nad głowami zapłoną im bezkresne światła ciał niebieskich. Dziewczyna z drzeniem czekać będzie na pierwszy pocałunek, ale on jej znowu robi niespodziankę. Na wspaniałej naturalnej scenie, okolonej dekoracjami przedstawiającymi postrzępione szczyty górskie, zarecytuje jej swój wiersz, w którym urzekająco będzie pachnieć otrzymana od niej róża.

Ten z dłoni twej czerwony kwiat...

Po recytacji poda jej rękę i sprowadzi ją na dół, by dotarł do niej sens tego poetyckiego komunikatu. W głupich zabawach towarzyskich oczywiście także nie weźmie udziału. Kiedy

jadalnia będzie trząść się od cielecego śmiechu, on zejdzie do narciarni ze swoim walizczkowym urządzeniem, wyposażonym - ażeby oprócz psychiatrów i Zielonych Beretów mogli je wykorzystywać również lekarze skórni do usuwania grudek tłuszczowych - w komplet igieł z zasilaniem bateryjnym, i wypali swój wiersz na ślizgowej stronie jej nart jako podarunek zaręczynowy.

Rano nie udał się na planowaną wycieczkę, chciał bowiem zaraz po obiedzie wypuścić się możliwie najkrótszą trasą na szczyt ponad schroniskiem. Godzinę wspinał się, godzinę trawersował i godzinę wdrapywał się po stromej ścianie. W końcu znalazł się na wierzchołku, przypiął narty i obrócił się. I choć oczekiwał tego widoku, zadrżał; była to przestrzeń raczej dla lotnika niż dla zjazdowca. Po chwili jednak zobaczył, jak głęboko pod nim do schroniska zbliża się turystyczną drogą szkolna wycieczka. Usiłował wyobrazić sobie, co się musiało dziać, kiedy na górze w synklinie wetknęli narty w śnieg. Czy pierwsza wypatrzyła jego strofy? Czy może odkrył je ktoś inny? Jakie wrażenie to otwarte przesłanie miłosne zrobiło na przyszłych katach i na przyszłych nauczycielach? Jaka była ich reakcja? Zazdrość? Kpiny? A może głęboki podziw? Aby go jeszcze spotęgować, uruchamiał oto swoją tajną broń. Przez moment jeszcze czekał, ażeby we właściwym czasie wejść w ich pole widzenia. Po czym jak pradawny łowca wydał dziki krzyk i ruszył w dół. Ujrzeni go, kiedy występ skalny pośrodku góry katapultował go co najmniej pięćdziesięciometrowym wyrzutem z cienia w światło. Pomarańczowa wiatrówka zajaśniała jak lecąca pochodnia i właśnie po niej go poznali. Teraz oni wydali krzyk, lecz natychmiast oniemieli, kiedy zniknął w muldzie, i wyobrazili sobie trzask desek i kości, aż tu Ryszard wyłonił się w kolejnym skoku nad pasmem niskiej kosodrzewiny, zlądował we wspaniałym telemarku i ostro przyhamował kantem nart. Podniósł się kłąb śniegu i z wolna opadał na ziemię. Odsłonił Ryszarda. Stał i cicho się uśmiechał.

- Kochanie!... - zawołała Lizinka.

Rzuciła się do niego i bez zażenowania okrywała jego twarz pocałunkami.

Przed północą sam profesor Vlk zamówił butelkę szampana i czekał na bicie zegara, żeby w imieniu wszystkich życzyć im szczęścia. Rozległo się jedyne uderzenie. Ryszard ze zdziwieniem uniósł głowę i spojrzał na cyferblat. Było wpół do

ósmej rano. Jak szalony zerwał się z podłogi, powrzucał do torby, co mu wpadło w

rękę, ściągnął z wieszaka pomarańczową wiatrówkę, złapał narty i zbiegł po schodach. Nie dostał się do nabitego tramwaju, a czekanie na następny uznał za zbyt ryzykowne. Biegł skrajem jezdni machając na każdy pojazd; z otwartą torbą i niezwiązanymi nartami robił jednak wrażenie niebezpiecznego szaleńca. Przebiegł zatem pół miasta piechotą i na miejsce zbiórki dotarł bliski omdlenia. Czekano już tylko na niego.

- No właśnie - powiedział z ironią docent Šimsa - pan Mašin!

Dał znak do odjazdu. Mętym wzrokiem Ryszard wypatrywał swojej ukochanej i nie trzymał się. Mikrobus ostro ruszył i chłopak upadł. Z chłopięcych gardeł wyrwał się śmiech. Kiedy udało mu się wstać i przytrzymać półki, śmiech rozległ się ponownie. Lizinkę ujrzał na samym przodzie. Siedział z nią profesor Vlk.

Jeszcze nigdy minuty i kilometry nie dłużyły mu się tak niesamowicie. Przeżyć pozwalała mu jedynie świadomość, że potem już u jej boku będzie wchodził na wyżyny miłości. Kiedy mikrobus stanął, opuścił go tak niecierpliwie, że zapomniał zabrać narty i torbę. Musiał więc czekać, aż wszyscy pozostali wyjdą ze swoimi klamotami. Kiedy dostał się znowu do środka, zatrzasnęły się automatyczne drzwi i musiał kilka minut walić w szybę, zanim zwrócił uwagę kierowcy, który w pobliskim kiosku posilał się kawą przed drogą powrotną. Ponownie musiał nadrabiać spóźnienie zaciętym biegiem i cały spływał potem. Krzeselka już jechały. Tym razem czekał na niego sam szef.

- No właśnie - powiedział profesor Vlk lodowato. - Znowu pan Mašin!

Z obu stron wsiedli na wyciąg i chwiejnie wylecieli ponad drzewa. Krajobraz zaczął uciekać w dół, a białe hale nadciągać, tak jak to sobie wyobrażał, tylko w jakich okolicznościach? Jak okiem sięgnąć nie widział nic poza nachmurzonym profesorem. Dopiero kiedy unieśli się jakieś sto metrów wzwyż, ujrzał wysoko w oddali, przed sobą jasną aureolkę włosów Lizinki. Towarzyszył jej docent Šimsa.

Pechowy dzień trwał nadal. Kiedy rozległ się dźwięk gongu i jadalnię z hałasem zapelnili młodzi nauczyciele, którzy przyjechali przed nimi, i młodzi kaci, występujący oczywiście jako adepci upraw i kultur, Ryszard szybko zajął dwa miejsca. Po czym zrobiło mu się ciemno w oczach. Kierownictwa obydwu grup szkolnych postanowiły usadowić się wspólnie przy głównym stole, biorąc do niego symbolicznie po uczniu i uczennicy z każdej strony. ŚRESZKUK reprezentowali Albert i Lizinka.

Zupy Ryszard niemal nie tknął, mięso tylko pokroił. Nie odrywał spojrzenia od głównego stołu. Lizinka jadła w milczeniu, a kiedy pochylała głowę nad talerzem, jej włosy tworzyły jakiś złoty parawan, który osłaniał ją przed natrętnymi spojrzeniami. Ryszard był jej za to wdzięczny tym bardziej, że nie uszło jego uwagi, jak często i bezceremonialnie zaczepia

ją oczyma uczeń STUCIELU, siedzący obok swojej kierowniczkę. Jego kościane okulary, zaokrąglone plecy, cieniutkie i wyraźnie rzadziejące włosy oraz rzucająca się w oczy skłonność do tycia, wszystko to Ryszarda uspokajało. Tuż przed końcem obiadu - leguminę oddał Szymonowi - uchwycił wreszcie spojrzenie Lizinki. Byłby przysiągł, że się do niego lekko uśmiechnęła. Szybko powracał mu dobry humor. Cieszył się na chwilę, w której odniesie zwycięstwo.

Po południu nie wypuścił się z zaawansowanymi na trasę zjazdową, ale tak jak miał w planie, pozostał z większością na oślej łączce. Nie udawał dyletanta, ale też nie odkrywał kart. Bolało go, kiedy Lizince zdarzyło się przewrócić, ale też z satysfakcją oglądał każdy upadek tego głupca w okularach, który jadł z nią przy jednym stole obiad. Dziewczyna ich sobie porówna, w to mu graj! A kiedy w narciarni składali uzbrojenie, udało mu się najważniejsze: szepnął jej słówko.

- Zaraz po kolacji, przy pierwszej kosodrzewinie w prawo nad schroniskiem, przyjdź koniecznie, coś ci dam!

Wieczorem z jadalni wyszedł jako pierwszy, zbiegł do narciarni i bocznym wyjściem wyszedł prosto w stronę prawego stoku. Wspinając się po zboczu powtarzał sobie w rytm kroków:

- Ten z dłoni twej czerwony kwiat...

Również przy kosodrzewinie był pierwszy. Po chwili zamigotały w dole ogniki papierosów. Nad głową płonęły mu światła superśłońc. Wszedł już także księżyc i oświetlił naturalną scenę z przepiękną dekoracją gór.

- Jakie to piękne... - Ryszard powtórzył szeptem sformułowanie ze swojego wiersza i zdumiał się, jak potrafił przeczuć w intymnym zaciszu swojego pokoju atmosferę tej oto chwili.

Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że wokół schroniska jest znowu cisza i pustka. Rozejrzał się. Nikt nie nadchodził. Nadstawił uszu. Śnieg nawet cicho nie zaskrzypiał. Zbiegł parę kroków w dół, ażeby się przekonać czy nie wyszła dopiero z narciarni. Słaba żarówka oświetlała puste wgłębienie wyjścia. Spojrzał na przeciwległe zbocze za schroniskiem, gdzie również ciemniała kosodrzewina, i zatrwożył się. Powiedział jej „w prawo”, a przecież zależy to od okoliczności, w którą stronę jesteśmy zwróceni... Zbiegł pod schronisko, nie mógł już sobie pozwolić na obchodzenie go od tyłu, rzucił się biegiem przez betonowy występ przed głównym wejściem, przypominający zamrożone klepisko z jasnymi plamami światła padających z okien jadalni, i już wspinał się na przeciwległe zbocze. Było bardziej strome, układało się w liczne tarasy ze śnieżnymi zaspami, w które niekiedy zapadał się po kolana i

ogarniała go rozpacz, że Lizinkę tu ciągał.

Na gorze jej nie było. Ani teraz, ani przedtem. Wokół niego iskrzył się gładziusieńki pas śniegu, naruszony jedynie jego stopami. Doszedł do wniosku, że po prostu się spóźniła i czeka na niego po drugiej stronie. Obrócił się i pobiegł z powrotem. Biegł już po raz trzeci tego wieczoru. W dół szło mu jeszcze gorzej niż pod górę, przewracał się i zapadał w śnieg jak pies. Znowu przed frontem schroniska. Znowu pod górę. Był zlany potem i mokry od śniegu. Wtem uzmysłowił sobie, że podczas gdy on niedorzecznie wdrapywał się na przeciwległy stok, miała dosyć czasu, żeby wspiąć się tutaj, nie znaleźć go i wrócić do schroniska. Właśnie rozległ się w nim gramofon i ryczące decybele wpiły się w niezmaconą ciszę górskiej nocy jak młot pneumatyczny. Wyobraził sobie, że w dymie i huku siedzi tam smutnie Lizinka i również nie pojmuje, co się stało. Chwiejnym krokiem ruszył w dół.

Kiedy otworzył drzwi jadalni, nie mógł w pierwszej chwili zrozumieć, co się tu dzieje. Stoły zostały odsunięte pod ściany, a na środku wśród ogłuszającej muzyki odbywały się walki par. Ryszard ujrzał Lizinkę. Ten grubawy łamaga w okularach trzymał ją w talii i usiłował podstawić jej nogę. Już, już na niego się rzucał, kiedy w ostatnim ułamku sekundy zaświtało mu z całą jasnością: oni tańczyli. Ryszard

27

zemdlał.

- Dzień doberek - powiedział Albert.

Siedział na drugim łóżku pod skośnym sufitem, gryzł jabłko i chłonał Plutarcha.

- Co?... - powiedział cicho Ryszard. - Gdzie?... Która?...

- Trochę cię wczoraj dziabnęło to górskie powietrze - powiedział Albert, który mimo kultury literackiej posługiwał się językiem sierocińców i ulicy, ponieważ dzięki swojej inteligencji rozumiał, że ludowość jest solą epoki, gdy tymczasem wykształcenie pachnie kryminałem - miejscowy felczer pierdyknął ci coś na kimę, tak że chrapałeś pełną japą.

Refleks wyrzucił Ryszarda z łóżka w stronę krzesła, założonego jego ciuchami; zaraz jednak opadł z sił. Chłopak, wciąż jeszcze odurzony snem i barbituranem, miał wrażenie, że jest w stanie nieważkości. Chwiejne ruchy nie nadążały za myślą, a przedmioty, których chciał dotknąć, jakby odpływały.

- Co się wydurniasz? - spytał Albert odkładając książkę.

- Jeśli chcesz szamy, to się kropnę.

Od pierwszej chwili miał tego przystojniaka powyżej uszu i stał się kujonem głównie po to, żeby w oczach klasyfikujących wysuwać się przed Ryszarda. W jednym go wszakże nigdy nie mógł wyprzedzić: nawet ciężka choroba nie szkodziła jego męskiej urodzie, wręcz przeciwnie, uduchowiała go i szanse Alberta malały jeszcze bardziej. Jego niespodziewane samarytaństwo wobec Ryszarda miało na celu przedłużenie jeszcze o jakiś czas osiągniętej nad nim przewagi. Szóstym zmysłem urodzonych intrygantów on jeden jedyny spostrzegł, że omdlenie Ryszarda spowodował raczej stan umysłu niż ciała. Chciał się dokładniej w tym zorientować, gdyż w razie konfliktu z Ryszardem mógł polegać jedynie na arsenale kompromitujących informacji.

Pośród półprzytomnej macaniny Ryszard nagle stropił się. Zaczęła mu wracać pamięć.

- Jest jeszcze - spytał niecierpliwie, ale zaraz się poprawił, ponieważ wraz z pamięcią odzyskiwał również roztropność - są jeszcze na wyprawie w góry?

- Nie, SMENT i ten gimnastyk ze STUCIELU - powiedział Albert, ściśle przestrzegający zasad tajnego kodu - zrobili im rozgrzewkę na łące - no bo radio zapowiadało burzę. Natomiast VOKS zostawił mnie z tobą, więc spoko, balanga zaczyna się dopiero o siódmej!

Ryszard z przyjemnością powrócił do łóżka. Tego kaleki nie cierpiał od pierwszego wejrzenia i wręcz przesadzał w swej dbałości o wygląd zewnętrzny po to, żeby systematycznie zmuszać Alberta do patrzenia w lustro oczyma wyobraźni. W jednym tylko Ryszard nigdy nie potrafił mu dorównać; garb nie osłabił w Albercie żelaznej pewności siebie, wręcz przeciwnie, obnosił się z nim tak, jak gdyby to właśnie on zapewniał mu uprzywilejowaną pozycję. Właśnie teraz Ryszard miał zamiar użyć przeciwko niemu jego własnej broni - chytrności. Wyostrzonymi zmysłami człowieka w depresji pojął, że właśnie Albert może albo pokrzyżować mu plany, albo dostarczyć mu niezbędnych informacji.

- Kim - zapytał jakby od niechcenia - jest ten chłopak?

- Który? - spytał Albert.

- Ten, co jada z wami - powiedział Ryszard i jak gdyby ze zmęczenia przymknął powieki, spod których jeszcze baczniej obserwował rozmówcę.

- To ty nie znasz - powiedział Albert, a po twarzy mu przemknął przeblysk szacunku - Michała Dujki?

- A czemuż to - spytał Ryszard tonem jak największej pogardy - miałbym go znać?

- No bo - powiedział Albert - zna go i VOKS. To poeta, podobno wydał zbiorek.

- Poeta! - wykrzyknął Ryszard. - W życiu nic tego faceta nie czytałem!

- Więc po co się o niego pytasz? - zaczął węszyć Albert.

- Tą łysiną i kałdunem kogoś mi przypomina - powiedział Ryszard pośpiesznie, po czym dodał słownikiem rozmówcy: - Kropniesz się więc dla mnie po szamę?

Ledwo zamknęły się drzwi za garbusem, Ryszard ponownie wyskoczył z łóżka i zrobił parę kroków. Wracał do formy. Spróbował zrobić kilka przysiadów. Bez problemu. Teraz ostry bieg w miejscu. Nie zadyszał się. Chwycił dłońmi za brzeg stołu i wywinął się w górę do stójki. Ramiona ani drgnęły. Starannie zebrał ekwipunek narciarski, wyjął z torby szczelnie zatrzaśniętą walizeczkę, upewnił się, że kluczyk do niej ma na szyi i przez korytarz pobiegł do łazienki. Prysznic leciwego schroniska funkcjonował raczej jak sitko, ale mimo to dziewięć ostrych strużek lodowatej wody zrobiło swoje. Umysł Ryszarda był znowu zdolny jasno widzieć przeszłość i przyszłość.

Tańczyła, pomyślał. No więc co?? Czy to jej wina, że w tamtej chwili nie było go przy niej? Sama nie umiała się sprzeciwić. Wywołał z pamięci ostatni obraz, jaki zarejestrował na siatkówce: okularnik ekstatycznie skanduje melodię i klaszcze spoconymi rękoma, a tymczasem ona kręci się przed nim jak kukielka, choć twarz ma posepniejszą niż kiedykolwiek przedtem. Dujka. A więc Dujka! - powtarzał w duchu. I coś takiego odważa się pisać wiersze! Toż musi z nich na kilometr tchnąć jego chamstwo! Trzymana w ryzach jedynie biczem wody rośła w nim po raz pierwszy dzika i ukierunkowana nienawiść. Niewidzialnymi kopytami wierzgała w powietrzu coraz bliżej głowy Dujki.

Do pokoju nie wrócił, nie chciał już ryzykować. Ubrawszy się, zbiegł z walizeczką do narciarni. Może gdyby tam stały jej deski, byłby się zabrał do wypalania na nich wiersza i znalazłby w tym wentyl bezpieczeństwa. Ale nie było ich, więc twardo postanowił: albo przeczyta dziewczynie wiersz osobiście, kiedy go będzie na oczach wszystkich całować za zwycięstwo w zjeździe narciarskim, albo go sobie przeczyta wieczorem sama, na skórze. Na skórze! Kiedy chował walizeczkę pod rupieciami, wybuchnął śmiechem. I w tym kamiennym bunkrze bez okien, gdzie na drugiej stronie poniewierały się jak w średniowiecznej katowni koła wozów drabiniastych, łańcuchy, styliska kos i inne narzędzia potrzebne podczas letnich sianokosów, ten jego śmiech wydawał się niemal szalony.

Z narciarni ostro skręcił za schronisko, tak że z oślej łączki nikt nie zdążył go zobaczyć. Stąd możliwie najkrótszą drogą wdrapywał się na szczyt. Planowany czas podejścia bez trudu skracał, był wypoczęty i przede wszystkim niecierpliw. Pół godziny się wspinał, pół godziny trawersował i pół godziny podchodził pieszo z nartami na ramieniu. Kiedy przypiął je sobie na szczycie i obrócił się, został nagrodzony widokiem jak z samolotu: słońce, które na przekór złej prognozie właśnie dzisiaj nie trafiło ani na nawisy mgieł, ani na rewiowe zasłony obłoków, iluminowało niemal cały środek rozpościerającego się w dolinie

kraju, scenę jego życia, na której się urodził, dorastał, gdzie się ożeni, zabierze do uczciwej pracy jako kat u boku swojej najdroższej żony, wychowa dzieci, przekaże im pałeczkę sztafety i pewnego dnia umrze ze świadomością, że żył wspaniale i pożytecznie.

Rzucił okiem na widok u swoich stóp i chociaż był nań przygotowany, zachwiał się. Przed pudełkiem zapalek poruszały się maciupęńkie robaczki. Odwrócił głowę do tyłu i zamknął oczy. W tej niestatycznej pozycji, kiedy ciało, zdane jedynie na mięśnie rąk, znoszone było przez narty w przepaść, przypomniał sobie twarz Lizinki i znowu złapał równowagę.

O mały figiel nie wytrącił go z niej poryw wiatru. Otworzył oczy i obejrzał się. Wierzchołek szczytu zniknął. Z szybkością wielkiej wody sunął nad górami mętny i huczący front atmosferyczny. Zgadli! - zaświtało mu w głowie. Nie było już na nic czasu, za moment zerwie się burza śnieżna i ci w dole będą szukać schronienia. Musi tam być wcześniej. Miłość albo śmierć! - zdążył jeszcze pomyśleć. Po czym potężnie się odbił.

W pierwszej połowie zjazdu postrzegał jedynie swoje niemal swobodne spadanie. Dopiero kiedy występ skalny katapultował go i zmusił do co najmniej trzydziestometrowego skoku z cienia w światło, zarejestrował chaotyczny ruch przed schroniskiem, który niebawem jakby zastygł: pewnie poznali jego wiatrówkę. Znikli mu, kiedy zagłębił się w muldzie. Musiał się piekielnie skoncentrować, żeby przedostać się zygżakiem przez rzadką kosodrzewinę, a zwłaszcza w porę się odbić na drugim występie skalnym. Oblediał go strach, kiedy przed nim jak na strzelnicy wyskoczyła olbrzymia sylwetka schroniska, zarazem jednak niemal odruchowo zarywszy szpicami nart w śniegu, wywinął, aż rozległ się trzask ślizgów, wzorcowy telemark, ostro zahamował kantem desek i zastygł w miejscu, podczas gdy wokół niego z wolna opadała ku ziemi eksplozja śniegowej pokrywy. Udało mu się. Wystarczył jeden rzut oka, by się przekonać, że zwyciężył.

Chociaż mętna lawa chmur była tuż nad kosodrzewiną i stłumiony ryk obwieszczał białe piekło, tutaj panowała martwa cisza żywego obrazu. Na śniegu, w pokojach i w oknach jadalni przesuwały się przed nim twarze pełne zgrozy, zdumienia, ulgi i szacunku.

Po czym rozległ się śmiech. Śmiech, którego nie znał, ponieważ nigdy wcześniej go nie słyszał. Odwrócił się.

Od kosodrzewiny, która daremnie czekała wczoraj na muzykę jego wiersza, zbiegała z zarumienionymi policzkami i z czapką w ręce Lizinka, goniona przez Dujkę. Dujka rzucał w nią śnieżkami. Lizinka się

śmiała.

Był to udany, wesoły, pod każdym względem dobrze urządzony sylwester, mimo że na dworze szalała burza, jakiej nie pamiętał nawet kierownik schroniska. Wicher zerwał przewody elektryczne. Nawet to nikomu nie przeszkadzało. Obfitość ciepła, świec, muzyki, a przede wszystkim wina - pedagogowie postanowili tego dnia patrzeć przez palce - sprawiła, że nastrój był znakomity. Do pełni szczęścia brakowało im tylko Ryszarda.

Ledwo przyjechał, zniknął. Szukano go daremnie. Ponieważ jednak bal był maskowy - kostiumy rodem ze starej szkoły lub tradycyjnej szklarni - nikt nie wątpił, że od dawna jest już między nimi i w przebraniu rozkoszuje się swoim zwycięstwem.

Kiedy wznoszono na jego cześć owacje, również Vlk musiał to docenić. Rzecz jasna, wszystko chłopakowi wybaczył. Gimnastyk STUCIELU nie przestawał powtarzać, że taki wyczyn byłby ozdobą najpoważniejszych nawet mistrzostw i Ryszard na pewno upiększyłby sztandar szkoły złotym medalem. Sztandar! - zaświtało Vlkowi - musimy mieć sztandar. Przypomniał sobie, że chłopak ma również zdolności plastyczne, i postanowił okazać mu swoją przychylność powierzając mu to honorowe zadanie. Topór w pniu odrzucił, ale gdyby tak porzecz z krwawym polem. Przez sznur konopny rozciętym - uśmiechnął się - który przy odrobinie dobrej woli można wziąć za grzędy czerwonych kwiatów?

Profesor siedział przy stole głównym w ubraniu roboczym agronoma, które mu uszyła małżonka z przydziałowych całunów, jakie przed laty niepotrzebnie fasował, gdyż nie przydały mu się nigdy w jego pracy. Dokoła niego tańczyli wąsaci ogrodnicy, parobkowie, bakałarze i belfrzy wszystkich epok. Cieszyła go wynalazczość jego uczniów; Albert przekształcił swój garb w koszyk z palikami do pomidorów, oczywiście z papieru, a Franciszek przebrał się za ogórek, diabli wiedzą, jak tę konstrukcję z tektury przywiózł w walizce aż tutaj. Najczęściej i z największą przyjemnością obserwował piękną ogrodniczkę, której historyczny kostiumik, podpatrzony na dawnych obrazach, uszyła pani Tacheci ze swojej sukni ślubnej. Nie uszło jego uwagi, że ogrodniczka tańczy przeważnie z lekko otyłym żakiem-prostakiem z Florencji, który podskakując bez przerwy poprawiał sobie czapkę z piórem, sztuczny nos i niestyłowe okulary; jak sobie jednak profesor przypominał, wiersze tego młodzika ziały gorącą miłością do rewolucji i lodowatą nienawiścią do seksu, toteż niezbyt się tą parą kłopotał. Było wszakże po jego myśli, kiedy kierownik schroniska przekazał mu, że ktoś prosi do wyjścia niejakiego Dujkę, i czy on przypadkiem nie wie, który

to jest. Wskazał Florentyńczyka, a kiedy kierownik schroniska wyprowadził go z zaimprovizowanego parkietu tanecznego, przyłapał się na myśli, że byłoby mu przyjemnie, gdyby ogrodniczka poprosiła go do tańca. Ale przyskoczył do niej gimnastyk STUCIELU i Vlk musiał się borykać z dwoma przeciwstawnymi uczuciami: że w ten sposób zachował należyty dystans i że jest tym jednak zawiedziony.

Tuż przed północą wystrzeliły korki szampanów i wtedy wesoły nastrój zakłóciła scena, podczas której Vlkowi zakrzepła krew w żyłach. Między przebierańców weszła z korytarza wysoka postać, zamaskowana czerwonym kapturem. Ażeby nie było wątpliwości, kogo przedstawia, trzymała w ręku koło, z którego kapą krew, tak czerwona, uzmysłowił sobie profesor, jak potrafi być tylko dżem malinowy. „Kat”, witany powszechnymi brawami, podszedł do głównego stołu i złożył koło na pustym krześle Dujki. Po czym uklonił się i zniknął.

Vlkowi wystąpił na czoło zimny pot. Półprzytomnie zachodził w głowę, kto to mógł być i o co mu szło. Spiał się ktoś z ŚRESZKUKU? Wyrzuciłby go, ale by mu ulżyło. No bo jeśli to znaczy, że ktoś ze STUCIELU ich rozgryzł? To byłaby katastrofa. Skorzystał z ogólnego szału, związanego z witaniem Nowego Roku, i jednym susem znalazł się po drugiej stronie stołu. Chciał usunąć przynajmniej to przekłete koło, zanim przedsięwzięcie jakichś dalsze kroki. Chwycił je i wsunął pod stół. Malinowym dżemem poplamiał sobie prawą dłoń. Chusteczkę miał w prawej kieszeni, więc dłoń oblizał. Była to krew.

- Panie profesorze - wychrypiał mu do ucha Albert. - Na dół!

Prymus wyglądał jakby sobie wypacykował twarz mąką, tak był blady. Nic więcej nie zdążył powiedzieć, gdyż rozległ się krzyk, który zmroził wszystkich. Na progu jadalni stała z latarką w ręku żona kierownika, z trudem oddychała i palcem wskazywała na podłogę. Po czym latarka wypadła jej z ręki.

Vlk zjawił się w narciarni pierwszy, ale nie zdążył już zamknąć drzwi przed pozostałymi. Zresztą jeden rzut oka powiedział mu, że tu już święty Boże nie pomoże, uratować ich jeszcze mogą wysocy protektorzy, jeśli oczywiście zechcą.

Na krzyżu świętego Andrzeja, zrobionym z nart, leżał związany łańcuchami, nagi Dujka. Jako fachowiec Vlk w jednej chwili rozpoznał, że przed łamaniem „von unten auf - robota na piątkę, skonstatował profesor - został poddany skomplikowanej torturze za pomocą elektryczności. Trupa natychmiast przykrył leżącą obok pomarańczową wiatrówką, tak że Lizinka nawet teraz nie mogła przeczytać wiersza, który nieszczęsny Ryszard wypalił dla niej najczulszą igłą na szerokich piersiach i grubym brzuchu Dujki:

*Ten z dłoni twej czerwony kwiat
to symbol mej młodości.
Niech tchnie uczuciem naszym świat
i niech go nam zazdrości!
Niechby przez nieba przeszło próg
i dumnie tam jaśniało,
a kiedy spojrzy na nie Bóg,
niech z próby wyjdzie cało!
Jakie to piękne - ty i ja
kochamy się najprościej.
Ten kwiat czerwony, miła ma,
to symbol mej miłości.*

Ryszard Mašin

Autora odnaleziono podczas odwilży w połowie marca. Leżał w koszuli pod pierwszą kosodrzewiną w prawo nad schroniskiem. Jego twarz, którą zabalsamował mróz, była

groźna, przerażająca i pełna nienawiści.

IV

W piątek 21 marca wieczorem, na progu pierwszej nocy nowej wiosny, zadzwonił u Šimsy telefon. Docent leżał na pościelonym po żołniersku tapczanie sam i ubrany. Obserwował grę cieni na suficie, odzwierciedlającą jego wewnętrzny niepokój.

Pierwszego dzwonka nie słyszał, między drugim a piątym powoli, gdyż opierał się temu cały jego organizm, wynurzał się z zamyślenia; przy dzwonku siódmym poczuł niesmak, przy ósmym - złość, przy dziewiątym - wściekłość, a przy dziesiątym - fizyczną wręcz odrazę do dźwięku, ucieleśniającego bezosobowe siły, które manipulowały nim przez całe życie. Przy jedenastym poprzysiął sobie, że już nigdy nie posłucha innego autorytetu poza własnym sercem; zmobilizował całą wolę i powrócił do marzeń, z których został tak brutalnie wyrwany. Przy dzwonku dwunastym polem bitewnym, które się w nim rozpościerało, zawładnął jego odwieczny nieprzyjaciel, który - jak po raz pierwszy sobie uświadomił - zawsze dotychczas pokonywał i obracał wniwecz jego drugie, swobodniejsze ja: był to dryl. W ciągu dwudziestego dzwonka

30

podniósł słuchawkę.

- Odbiór - powiedział, jak od wielu lat przywykł mówić w miejscach ściśle strzeżonych.

- Mówi Vlkowa - powiedział cichy głos po drugiej stronie - z kim mam przyjemność?

- Sment - odparł Šimsa, jak od paru miesięcy odpowiedzialnie odpowiadał na podobne pytania w dobrze utajnionej szkole, po czym zdawszy sobie sprawę, że zwraca się nader oficjalnym tonem do tej jedynej kobiety, którą naprawdę cenił, dodał jak najserdeczniej: - Dobry wieczór!

- Dobry wieczór - powiedziała również Vlkowa - nie spał pan jeszcze, Pawle?

- Nie - kłamał jak najsugestywniej, żeby nie niepokoić jedynej kobiety, która przejawiała o niego bezinteresowną troskę - właśnie skończyłem kolację.

- Szkoda - powiedziała wesoło Vlkowa - kiedy w niedzielę nie znęciłam pana sosem

koperkowym, miałam nadzieję, że się pan nam zakochał.

- Nie - kłamał jak najzdecydowaniej, ażeby zataić swoje drzenie - wciąż jestem sam i pozostanę, póki pani się nie rozwiedzie.

- Ależ Pawle! - powiedziała udając oburzenie, wyraźnie mile połączona - chyba nie życzy pan źle Fryckowi! Pan może mieć kobiety, ile dusza zapagnie, ale gdzie by ten mój apostoł znalazł chociaż jedną, żeby mu robiła okłady? Fryderyk leży.

- Leży? - powtórzył Šimsa z niedowierzaniem. - Fryderyk??

Nie spotkał się z niczym takim, odkąd go znał.

- To postrzał, dziwię się, że pozwolił mu pan - powiedziała Vlkowa z wyrzutem, aczkolwiek to sam Vlk pchał się na boisko, by zająć miejsce Ryszarda - grać w siatkówkę, nie jest już młodzieniaszkiem, no, ale przynajmniej przez jeden weekend będę go miała dla siebie. Dzwonię w jego imieniu, prosi, żeby pan odwołał jutrzejszą wycieczkę.

- Może powinienem go zastąpić? - zapytał Šimsa jedynie przez grzeczność.

Słyszał, jak Vlkowa powtarza to Vlkowi, z góry znał jednak odpowiedź. Jutrzejsza wycieczka miała na celu zwiedzenie pozapraskiego zbioru eksponatów Muzeum Orientalnego, czyli egzotycznych narzędzi tortur. Zbiór ten założył pewien oświecony szlachcic, chcąc pobudzić wyobraźnię krajowych wykonatorów; byli z nich wszakże konserwatyści, nie umieli się wyzwolić od żelaznych rękawic do zaciskania palców, od wbijania na pal i innych przestarzałych sposobów i przyciężkich maszynierii, które zamiast zmuszać do przyznania się z miejsca uśmiercały. Dopiero Vlk, wtedy debiutujący self-made-man bez herbowych paranteli i protekcji, przywrócił rodzajowi ludzkiemu owoce tysiącletniej wynalazczości. Nastąpiło to w krytycznym stadium przygotowań do monstualnych procesów pokazowych, kiedy przesłuchania nie ruszały z miejsca, gdyż klienci byli zawodowymi rewolucjonistami, dla których europejskie tortury nic nie znaczyły. Wtedy właśnie Vlk odwołał się do światowych doświadczeń w mechanizmach tortur i zatriumfował, i choć już potem nigdy więcej nikogo nie torturował i po rehabilitacji klientów, którzy przeżyli, był osobiście zainteresowany, żeby wszelkie ślady tej niepopularnej operacji utonęły w mętnej wodzie zakazów i przekłamań - z pomocą Doktora doprowadził do utajnienia odnośnej dokumentacji - to jednak, Šimsa to rozumiał, z sentymentalnych względów chciał dzieciom sam zaprezentować cały ten arsenał.

- Wie pan, Pawle - odezwała się Vlkowa - Fryderyk chciałby to dzieciom zaprezentować sam.

- Tak myślałem - powiedział uprzejmie Šimsa.

Służbowa tajemnica starej daty do dziś nie pozwalała mu wyznać swojemu

nauczycielowi, że nawet jego mógłby uczyć, jak torturować; miał dobre powody, aby cały ten arsenał uważać za lamus pełen do niczego niezdatnych relikwii. Milczał jednak.

- Ma pan do nich zadzwonić, żeby powtarzali materiał, Fryderyk chce ich w poniedziałek przeegzaminować. Prosi również, żeby pan przeprowadził przygotowania do poniedziałkowej wykończeniówki, ma pan wziąć do pomocy jedno z dzieci, które nie ma jeszcze zaliczenia.

Kiedy jej ciepły głos wybrzmiał, Šimsa nie odłożył słuchawki, ale z miejsca wykręcił utrwalony już w pamięci numer internatu dla studentów krajów rozwijających się, gdzie również mieszkali śreszkukowcy spoza Pragi. Wybór był rozważny i właściwy: cudzoziemcy nie mieli wizyt, a sami nie byli groźni, nawet gdyby wpadły im w ręce zeszyty czy skrypty czeskich kolegów - mozolnie borykali się z niełatwym do opanowania językiem; poza tym znajomość z cudzoziemcami mogła się przydać w przypadku, gdyby dzieci w przyszłości wyjechały do pracy w krajach, do których po studiach wrócą również zagraniczni koledzy, ewentualnie jako ich chlebodawcy, czy też klienci.

Kierowniczka internatu zwróciła mu uwagę, że jest piątek. Było to jedyne wolne popołudnie w ciągu tygodnia i chłopcy się porozłazili, tam gdzie ich ciągnęły upodobania: Albert poszedł na film historyczny, bliźnięta na koszykówkę, a potem do dyskoteki, Franciszek zaś na piwo. Na miejscu był tylko Hus, więc go zawołała. Podszedł do telefonu półprzytomny, wyrwany bowiem został ze snu, jego głos w słuchawce nie budził zaufania, Šimsa zatem podyktował mu wiadomość, kazał ją sobie przeczytać, po czym polecił mu zapoznać z nią pozostałych śreszkukowców jeszcze tego samego dnia, jeśli nie chce narazić się na ryzyko, że któryś jutro nieopatrznie zerwie się na wycieczkę, bo wtedy kara go nie minie. Dzieci przyzwyczyły się już do metody wychowawczej Vlka: porachunki wykładowcy załatwiali z nimi na lekcjach tortur.

Informację trzeba było przekazać również prażanom, Šimsa wykręcił następny numer.

- Tacheci - odezwał się w słuchawce kobiecy głos pełen temperamentu.

Šimsę oszołomiła niespodziewana myśl.

- Halo! Kto dzwoni? - powiedział kobiecy głos niecierpliwie.

Šimsa siedział bez ruchu na tapczanie, ale ta myśl niosła go już z szybkością światła przez zapadającą noc.

- Kto dzwoni?? - powtarzał kobiecy głos nagłaco.

Ta myśl poszybowała z Šimsą na próg jutrzejszego poranka i posadziła go za kierownicą jego sportowego wozu.

- To ty, Pawle?? - spytał kobiecy głos na przydechu.

Ta myśl kazała Šimsie pośród niewielkiego sobotniego ruchu ulicznego wyjechać za miasto aż pod bramę rzeźni. Pod posągiem rzeźnika zamachującego się pałką na posąg cielaka, gdzie zwykle mieli miejsce zbiórki, ujrzał osóbkę daremnie wypatrującą kolegów. Blask jej włosów go oślepił.

- Pawle! - wyszeptał kobiecy głos namiętnie. - Toż ja się nie gnie...

Docent Šimsa rzucił

31

narty na oparcie dwukrzeselkowego wyciągu i zwinnym susem zajął miejsce Vlka, który chciał poczekać na Mašina. Z rozkoszą przyjął pierwszy wymach, którym wyciąg oderwał go od ziemi. Miał wrażenie, że zarazem odrywa się od wszystkich obowiązków, od swojego losu, no i od ziemskiego ciężenia, i płynie wprost ku krainie marzeń.

Takiego uczucia jeszcze nie doświadczał. Od czasu, gdy państwo wyciągnęło go z kubła na śmieci, gdzie go ułożyła kukulcza matka, zrobiło dla niego, co mogło. Jak surowiec w długim procesie produkcyjnym przemieniony w użyteczny wyrób - ulokowało go państwo w swoim sierocińcu, skąd przenieśli go, w celu dokonania ostatecznego montażu, do szkoły wojskowej, z której miał w końcu wyjść, w solidnym mundurze, przepasanym rzemieniem, podoficer zawodowy. Jak zwierzę, przyniesione z mrozu i drzemki głodowej do pełnej miski pod ciepłym piecem, każdym kęsem utwierdzał się w miłości i szacunku do łaskawego, choć bezwzględne go pana, który przypominał Boga: państwo bowiem też nie było widzialne i namacalne, ale za to równie wszechwiedzące i wszechmocne; także ono kontaktowało się z nim za pośrednictwem swoich kapłanów, którym nadawało różne rangi, ale to samo prawo do wymierzania kar. Šimsa przywykł do drylu jak Eskimos do lodu, podporządkował mu się z oddaniem, a nawet z przyjemnością, bo nic innego nie znał. Państwo ocaliło mu życie, więc dzień w dzień składał je państwu w ofierze i zadowolając się tak nieskomplikowaną egzystencją nieustannie w zamian awansował.

Dopiero kiedy wypełniając jakieś zadanie bojowe spędził w luksusowym hotelu górskim parę tygodni, nastąpiła w nim jakaś przemiana, z której początkowo nie zdawał sobie sprawy. Jako asystent Vlka potrzebował często relaksu i zaczął niebawem jeździć nie do zameczku, ale właśnie tutaj, w góry; odkrył przy tym ze zdumieniem, że osłabł w nim kult państwa, przyćmiony kultem natury i kultem seksu. Z każdym rokiem coraz bardziej się cieszył, że zostawia za sobą w dole świat pełen rozkrzyczanych pielęgniarek dziecięcych,

wychowawców, naczelników, a koniec końców i klientów; że w górach wyjdzie na śnieg, nietknięty cywilizacją, i będzie sunął po nim pod prąd dziejów w takie strony, gdzie cała technika ogranicza się do męskich mięśni, a całą kulturę wraz w poezję zastępuje penis.

Nie pamiętał już, ile razy czyhał jak myśliwy na szczycie gór, kiedy kolejka linowa jak olbrzymia wielonaczyniowa koparka bagrowała i wyrzucała u jego stóp niekończące się tłumy kobiet; czekał na dziewczynę, której wyczerałby z oczu taki sam głód, ażeby z nią przejeździć dzień na białych halach, a noc na białym prześcieradle. Rzadko kiedy udało mu się po raz drugi spotkać jedną z tych dziewcząt, choć być może po prostu później ich już nie poznawał; przewinęło się ich wiele i nazbyt były podobne do siebie: pociągały go czarnulki z wydatnym biustem, gdyż jak wkrótce się przekonał były również namiętne i wytrzymałe jak on. Wychowany przez ascetycznego Vlka, bał się nieopanowanych wybuchów namiętności. I to do tego stopnia, że po osiągnięciu orgazmu czym prędzej czmychał od takich partnerek albo nawet je wyganiał. Czasem naturalnie stwierdzał, że to nie on, ale Vlk stanowi odchylenie od normy i że państwo nie jest przeciwne seksowi, jeśli tylko pomaga to jego pracownikom osiągnąć równowagę duchową, dzięki której lepiej wykonują rozkazy; jednakże okres, kiedy swoją witalność brał za rozwiązłość, wstydził się jej i nie ujawniał, pozostawił w nim trwałe piętno: jego stosunek do kobiet został zredukowany do zwierzęcej przyjemności, nieuświęconej łaską uczucia. Nie zasmakował miłości, ale brakowało mu jej w równym stopniu co Eskimosowi róż. Również teraz czuł przyjemne wzruszenie, toż od powstania ŚRESZKUKU po raz pierwszy widział znowu góry. Nie wątpił, że i tym razem znajdzie w kolektywie zaprzyjaźnionej szkoły czy choćby wśród personelu schroniska jakąś czarnowłosą piękność, która chętnie odda mu się w niewolę. Miał wrażenie, że lada chwila wzniesie się nad lśniące szczyty gór i w przyływie dobrego humoru zwróci się do współtowarzyszki jazdy krzeselkowej:

- No więc jak, panno Tacheci, cieszymy się?

Lizinka bawiła się w nową grę. Kiedy mijały ich krzeselka niebieskie, punkt dostawała Liz. Kiedy przejeżdżały czerwone, inkasowała go Inka. Kiedy zielone, punkt przypadał tej, która akurat miała ich mniej. Liz prowadziła 15:14 i Lizinka musiała bardzo uważać, żeby się nie pomylić.

Docent widział, że dziewczyna porusza wargami, ale nic nie słyszał; przypisał to zmianie ciśnienia i czym prędzej odetkał sobie uszy wiercąc w nich palcami.

- Co mi panienka - spytał - mówiła?

Akurat prowadziła Inka 16:15, Lizinka musiała się zatem bardzo koncentrować, żeby żadnej z grających nie skrzywdzić.

Zdał sobie sprawę, że słyszy stalowe tarcie liny, i zrozumiał, że to nie wina jego słuchu. Nie przyszło mu do głowy, że dziewczyna liczy krzeselka, pomyślał, że się modli: krucha istota obok niego, trzymająca w złożonych rękach wełnianą czapkę, z rozwianymi na wietrze złotymi włosami, w tej przestrzeni powietrznej ponad zaśnieżonymi smrekami nader przypominała świętą w trakcie Wniebowstąpienia.

Kiedy ją po raz pierwszy ujrzał u Tachecich, faktycznie przypominała mu obraz, a obrazy nic mu nie mówiły. Pielęgniarki dziecięce, wychowawcy i naczelnicy prowadzili go ścieżkami, które skrętnie omijały krainę sztuki i uczuć niczym leprozorium. Vlk i jego żona, oboje kultywujący życie duchowe, poznali go zbyt późno, żeby w tej mierze wywrzeć na niego zdecydowany wpływ. Poza tym, jeśli chodzi o Lizinkę, to brakowało jej wydatnego biustu, zmysłowych warg, a przede wszystkim, dającej przedsmak rozpustnej nocy, czarnej barwy włosów, żeby go mogła zainteresować jako kobieta. Cenił ją jednak jako uczennicę już od egzaminu wstępnego, kiedy to załatwiła karpia dwoma uderzeniami, a kurę jednym ciachnięciem. Ta poważna i delikatna dziewczyna również materiał szkolny opanowywała w sposób tak zadowalający, że wkrótce prześcignęła wszystkie dzieci z wyjątkiem Alberta. Szybko z Vlkim przywykli do jej zamkniętej w sobie natury, wystarczyło im, że podczas ćwiczeń wykazywała się świetnym przygotowaniem. Siłę zastępowała zręcznością i wyczuciem wykonatorskim, właściwym jedynie kobietom. Tylko jeden raz zauważył, że się zawahała, i wtedy również po raz pierwszy zdał sobie sprawę z jej...

13 grudnia po południu wykładał zaciskanie jąder i pod koniec lekcji przeszedł do pokazu. Stało się zwyczajem, że statyści, wyobrażający klientów, i ćwiczący wykonanie uczniowie regularnie się wymieniali, ażeby ich wyznaczanie nie powodowało przestojów. Zadanie wykonać miała wówczas Lizinka, a klienta „odgrywał” Szymon. Šimsa na chwilę popadł w depresję. Jądro, wyrzucał sobie, dali w planie tylko godzinę, w przyszłym roku muszą dostać więcej, choćby kosztem przypalania papierosem brodawek piersiowych, które opanowali raz-dwa. Dla zyskania na czasie kazał Szymona przygotować, podczas gdy on kończył przy tablicy wykład. Przywiązywanie skórzanymi pasami do specjalnego łóżka, które szkoła wyżebrała z ginekologii więziennej, było zadaniem mechanicznym, toteż wykonując je bliźniacy mogli słuchać wykładu. Tymczasem kiedy Lizinka trzymając w ręku zaciskacz jąder - instrument ten wymyślił Šimsa jeszcze jako debiutant, i to tak doskonale, że mimo rewolucji technicznej pozostał *up to date* - podeszła do Szymona i bezradnie zatrzymała się, całkiem zbita z tropu.

- No - z irytacją ponaglał Šimsa, jako że do dzwonka pozostawało niecałe dziesięć minut - Tacheci, wymagaj mu kule bilardowe!

Szkoła miała nauczyć dzieci również języka przyszłych miejsc pracy. Wszystkie szkolne narzędzia, podobnie jak szpada teatralna, były specjalnie przystosowane do bezpiecznego posługiwania się nimi. Zaciskacz wykonywał tylko częściowe, choć też nieprzyjemne zwarcie; po czym się blokował.

Lizinka ani drgnęła, a Šimsa dopiero wtedy zauważył, że Szymon ma na sobie zielone majtki z satyny i widać mu tylko biały pulchny brzuch; nikt o tym nie pomyślał, ponieważ dotychczas nigdy nie rozbierali się poniżej pasa. Šimsa nie chciał tracić czasu.

- Flajšer - polecił Albertowi wyjmując z gablotki ostry nóż, tradycyjnie nazywany „hauter”, którym się zdzierało skórę - ciachnij mu te reformy, przynajmniej kupi sobie coś eleganckiego.

Albert zręcznym cięciem rozpruł majtki i odsłonił Szymonowe podbrzusze: pod śmiesznie małym prąciem widniała potwornie wielka moszna. Wywołało to ogólny okrzyk rozradowania. Nie śmiali się tylko Lizinka i Ryszard.

- Nawet niewielki kaliber - zawołał Šimsa, który wiedział, że dobry dowcip nie tylko nie przeszkadza w nauczaniu, ale wręcz przeciwnie, może mieć skuteczność celnego ognia, a to dwujędrze u Husa było idealne do ćwiczeń z zaciskaczem - no, Tacheci, do dzieła!

Szymon po koleżeńsku zrobił do niej oko. Po czym przymknął powieki i zaczął swoim zwyczajem posapywać. Ale Lizinka się wahała. Cóż to, coś to takiego? - pytał samego siebie zaskoczony Šimsa, czyżby panienska nie uważała? Trzy i pół miesiąca bez przerwy ją chwalił; przecucie pedagoga podpowiadało mu, że ma nareszcie sposobność, by ją zwymyślać po to, żeby sukcesy nie zawróciły jej w głowie. Już otworzył usta, ale wtedy spostrzegł jej oczy. Nie było w nich niezdecydowania, wyrażały szczerzy podziw. Šimsa zamknął usta, ale tym głośniejszy zakrzyknął w duchu. - Ty idioto!...

Był właśnie świadkiem, jak jego uczennica po raz pierwszy ujrzała najistotniejsze organy męczyzny.

Wybrnął z tego bezbłędnie. Udał, że zauważył defekt zaciskacza w mechanizmie blokującym, i przerwał ćwiczenie błyskotliwą uwagą, że w żadnym razie nie mogą Szymonowi okaleczyć tej części jego męskiego wyposażenia, której może najbardziej potrzebować, choćby po to - dodał przy akompaniamencie pełnego zamierzonej wulgarności ogólnego rechotu, mającego zamaskować naturalną wstydlivość - żeby grać sobie w bilard. Zaraz też podał Lizince mandarynkę, którą jak oni wyfasował na obiad, po czym odebrało mu ponownie mowę, kiedy Lizinka zmiażdżyła mandarynkę tak, że wszystkich ochlapała lepkiem sokiem. Mechanizm blokujący miał rzeczywiście defekt. Szymona przed kalectwem ocalił swego rodzaju cud...

Cud? Šimsa spojrział na dziewczynę u swojego boku. Jej wargi bez przerwy się poruszały, a oczy wpatrywały się w chwiejną linię, opadającą w ich stronę, jak gdyby odczytywała z niej tajemne doniesienia. Nawet teraz nie widział w niej kobiety, ale też nie wydawała mu się uczennicą. Kim ona właściwie jest? Co się w niej dzieje? I czemu ni stąd, ni zowąd tak go zainteresowała?

Zachwyt jego trwał dopóty, dopóki ich wspólnego krzeselka nie rozhuścił ostatni słup, za którym czekała ich twarda ziemia. Šimsa jako sportowiec przejął inicjatywę i musiał zorganizować wiele rzeczy. Przede wszystkim wywalczył dla Vłka jednoosobowy pokój, żeby i on mógł mieszkać solo. Moralista Vlk nie wymagał wprawdzie podobnej samodyscypliny od innych, ale po co go zbyt drażnić? Šimsa miał jak zwykle szczęście. Żona kierownika wypłoszyła z jedyne luksusowego pokoju dyrektorkę STUCIELU fałszywą informacją, że zagnieździł się tam szczur. Šimsie załatwiła dozorcowski pokój za narciarnią; a że miała wydatny biust i krucze włosy, czuł, że nie czekają go już żadne kłopoty. Lizinka mu znowu spłynęła w jedną masę z całą uczniowską hałastrą. Nie przypuszczał, że kiedy się z niej znowu wyłoni to jako osobka, której już nie zapomni aż do śmierci.

Nie uszło jego uwagi zainteresowanie, jakie wzbudziła wśród mężczyzn, którzy ją ujrzeli po raz pierwszy. Dujki nie traktował poważnie, był to żółtodziób, a w dodatku poeta, a takich prawdę mówiąc podejrzewał o impotencję. Gimnastyk STUCIELU był wszakże rówieśnikiem i mężczyzną o podobnych zainteresowaniach co on; przekonał się o tym, kiedy dzielili narciarzy na początkujących i zaawansowanych.

- To po prostu fantazja - powiedział Šimsa patrząc zawistnie w lewo, gdzie hałaśliwie ustawiał się STUCIEL - masz tu w bród czarnych kociaków!...

- Wszystkie te wymęczone kicie - odparł kolega patrząc pożądliwie w prawo, gdzie wrzaskliwie ustawiał się ŠRESZKUK - oddałbym za tego twojego anioła!...

Šimsa zdążył się jeszcze zdziwić, ale potem przez trzydzieści trzy godziny zachwycał się pulchnością śniegu i żony kierownika. Należała do absolutnej czołówki samic, jakie nawet łowcy jego formatu nieczęsto dało się poderwać. Chętnie przystał na jej propozycję, że wstąpi do jego pokoiku zaraz po północy, żeby wspólnie uczcić Nowy Rok fajerwerkami zmysłów. Wsparty o bar, pociągając przez słomkę tonik, czekał jedynie, by złożyć życzenia Vlkowi i dzieciom, kiedy naraz zaniepokoił go natarczywy głos.

- Kolego! - powiedział mu do ucha gimnastyk STUCIELU patrząc przy tym w stronę stołu, skąd mu dawała znaki dyrektorka. - Woła mnie ta krowa, czy mogę jej powiedzieć, że to twoja cizia, ażeby uniknąć obsuwy?

I wcisnęła mu w ramiona swoją tancerkę w kostiumie ogrodniczki. Šimsa natychmiast

ją poznał i miał zamiar odprowadzić ją zaraz do stołu, gdyż wyobrazenie gorącej jaskini, w którą zapadnie się niebawem z rozkoszną ulgą, zohydzało mu taniec z niedojrzałą westalką. Ale przeświadczenie, że pedagog nie może się zachowywać jak grubianin, kazało mu z nią przetańczyć bodaj parę taktów. Gimnastyk odskoczył tak szybko, że dosłownie pchnął ją na niego; czekała jak kukła, ażeby ktoś w nią tchnął życie. Objął ją rutynowym gestem. Po czym doznał czegoś nieznanego dotychczas.

Nie ściskając mu dłoni, nie tuląc się do niego i nie stosując żadnego innego z całej skali tricków, którymi kobieta daje znać mężczyźnie o swojej przychylności, uczyniła coś takiego, że nie mógł wyzbyć się wrażenia, iż go całego przenika sobą bez reszty.

Aż dziw bierze, że Łucja Tacheci, która wierząc w talent córki prezentowała ją trenerom sportów zimowych i letnich, nauczycielom śpiewu, fortepianu i harfy, reżyserom filmowym i teatralnym, zupełnie nie zorientowała się, w jakiej sferze natura obdarzyła jej córkę geniuszem. Gdyby nie zbieg okoliczności, który nastawiał do niej nieprzychylnie komisje rekrutacyjne, nie wyszłoby nigdy na jaw, że w przeciwieństwie do kobiet, których misją jest dawać życie, Lizinka narodziła się po to, żeby życie odbierać. I gdyby nie splot innych przyczyn, począwszy od gestu starzejącej się dyrektorki, zazdrosnej o podległego sobie kochanka, pewnie długo jeszcze nikt by nie wpadł na to, że z Lizinki jest również zawołana tancerka. Jeśliby to odkrył ktoś muzykalniejszy od docenta Šimsy, być może cała jej droga życiowa powiodłaby w innym kierunku. Dla Šimsy taniec był jedynie rodzajem spółkowania. Nie był zdolny rozkoszować się niepowtarzalnością estetyczną ruchowej ekspresji Lizinki, zrozumiał jednak coś znacznie dla niego ważniejszego: że tańczy - z kobietą.

Niebawem nie był zdolny rozeznąć się, czy to on ją, czy ona jego prowadzi, ale nie miał wątpliwości, że doznaje czegoś po raz pierwszy w życiu i że do śmierci o tym nie zapomni. A jeśli wtedy przed laty, pomyślał w nagłym olśnieniu - był przecież młodzieńcem jak ona teraz, oddała mu się tropikalnie rozrośnięta Cyganka, jednej jej piersi nie mógł objąć oburącz, i dopiero kiedy zwróciła się do niego o alimenty, stwierdził z przerażeniem, że ma trzynaście lat - poszedł fałszywym tropem? Bo może właśnie ciała delikatnych blondynek, tak bardzo dalekie od jego ideału, kryją w sobie wulkan, o jakim mu się nie śniło?

Już się nie opanował. Choć tym postępkami sprzeniewierzał się swoim erotycznym zasadom, naruszał nim, co więcej, pierwsze przykazanie Vlka - „Nie uwodź kobiet z własnego domu!” - wykorzystał miłosierny półmrok i przycisnął się do niej w czasie obrotu, by poczuć na sobie jej piersi. A że seks był jego hobby, które mu zastępowało kulturę, podróże i inne zamięłowania, nie był mu obcy żaden niuans cielesności, a więc i sztuka

odczytywania z przelotnego dotyku całej anatomii partnerki, a także jej psychiki. Komunikat przewyższał intensywnością wszystkie poprzednie.

Jak gdyby ktoś wziął ogromną gumkę i wymazał z jego duszy wszystko, co zapisały w niej minione dziesięciolecia, wirował oto już nie w tańcu, ale w jakimś zaczarowanym kole, z którego, jak ze zdumieniem stwierdzał, kiedy go od niej niemal odrzuciła erekcja, prowadziła tylko jedna, dla niego samobójcza droga: czym prędzej ją osiąść po to, żeby utraciła urok wyjątkowości i ustąpiła miejsca tłumowi kolejnych czarnulek... Wtedy właśnie rozległ się krzyk i trzask latarki, którą upuściła jego ostatnia kochanka.

Erekcja nie ustępowała. Ciśnienie w podbrzuszu było tak nieprzyjemne, że musiał coś uczynić. Wskoczył z kapci, ściągnął beżowe spodnie z welwetu i czerwone bawełniane majtki. Ciału to nieco ulżyło, dusza nie poczuła się lepiej. Uświadomił sobie, że tak sam na sam ze swoją obnażoną męskością nie trzymał nocnej warty już grubo ponad dwadzieścia lat. Z onanizowaniem się skończył, kiedy uwiódł Cyganę, nie chciał trwonić sił, których potrzebował w niekończących się miłosnych pojedynkach. Z jakąż złośliwą satysfakcją współczuł rówieśnikom, którym natura poskapiła sex appealu, a skarb państwa odpowiednich uposażeń, by wystarczyło im i na kurwy, kiedy w ciemności różnych domów noclegowych słyszał ich zastępcze postękiwania. Tymczasem teraz w komfortowej garsonierze, którą podobnie jak swój domek letniskowo-wylotowy wyposażył w najprzeróżniejsze kawalersko-erotyczne luksusy, sam sobie wydawał się mizerniejszy od tamtych.

W tych okolicznościach zrodziła się myśl, która mu kazała odłożyć słuchawkę, zanim jeszcze przekazał uczniacy polecenie szefa, myśl tak ryzykowna, szalona, że usiłował ją od siebie odpędzić siłą trzeźwości, całą na jaką mógł się zdobyć.

Miał w życiu niejedną dziewicę. Dopóki jeszcze prowadził dziennik erotyczny, orientował się, że „przeciał” - tak się wówczas mówiło w sierocińcu - ich pół tuzina, a już później, choć dawał pierwszeństwo „przeorany” - jak się mówiło w internacie - z pewnością ponad tuzin. Pomimo tych doświadczeń czuł się teraz jak małe dziecko w wielkiej powodzi. Jak daleko sięgał pamięcią, nie miał nigdy blondynki, nigdy dziewczyny, która ukrywałaby płeć jak motyl w stanie larwalnym, a zwłaszcza: nigdy istoty, która byłaby bodaj cieniem osobowości Lizinki Tacheci.

On, Paweł Šimsa, o którego potencji podstarzałe kobiety opowiadały dorastającym córkom, żeby pochwalić się echem burzy, jakich już dzisiaj się nie spotyka, on, docent nauk katowskich i mimo młodego wieku zasłużony kat, który z podwójnych węzłów splótł sobie drabinę sznurową do podręczników historii, on, dla którego strangulacja i defloracja były tym, czym dla pisarza jest alfabet, znalazł się oto w ślepej uliczce.

Jak można zdobyć taką dziewczynę? Brutalnym atakiem? Rozsądek mu podpowiadał, że tak mógł „rwać” - jak się mówiło w koszarach - swoje napalone panienki, z którymi ona miała tyle wspólnego co śnieg z ogniem. Poezją? Nawet gdyby nie był na nią alergicznie uczulony, odrzęczyłby go od niej los Mašina i Dujki. Jedynie żołnierskie powiedzenie, że w pojedynku pancernia z działem zawsze wygrywa działą, utwierdzał go w wierze, że nawet Lizinka nie jest niezdobyta.

Jak jednak reaguje taka dziewczyna, kiedy ją się zdobędzie? Eksplozją oswobodzonej lubieżności? Tę ewentualność odrzucił, tak się „wypiczały” - jak mawiali pośród jego klientów maniacy seksualni - jedynie kobiety z jego szeregu seryjnego, z którymi miała tyle wspólnego co mewa z królikami. Płaczem? W to nie wierzył, kiedy przypominał sobie jej niezmiennie stoicki spokój. A może po prostu go sypnie? Czy Nestor uznałby to za sprzeniewierzenie się zasadom gry? Przypominał sobie, że kiedyś podpisywał jakieś zobowiązanie, i nogi się pod nim ugięły. W tym momencie znowu zadzwonił telefon: dosłownie wyrwał słuchawkę z widełek, jak gdyby spodziewał się, że mu odpowie na wszystkie dręczące go pytania.

- Šimsa - wyjąkał zapominając o wszystkich przepisach tajności.

- Pawle - powiedział pełen żalu kobiecy głos - ty się gniewasz?

Šimsa milczał.

- Cóż takiego - spytał kobiecy głos, w którym wibrowało poczucie krzywdy - ci uczyniłam, że mnie dręczysz. Siedemdziesiąt siedem wieczorów, tak, Pawle, czekam, że zadzwonisz, a ty z miejsca odkładasz słuchawkę, nie, nie okłamuj mnie, poznałam cię -

ciągnął kobiecy głos, w którym wibrowała pokora

- po oddechu!

Šimsa milczał.

- Pawle mój - powiedział znowu kobiecy głos nie usiłując zatajać bezkresnej miłości - doszłam do takiego stanu zdesperowania, że przetrząsnęłam teczkę córki, żeby w indeksie odnaleźć numer twojego telefonu, dzwonię teraz do ciebie z budki, bo w domu już wszyscy śpią, ach, Pawle, Pawle, podaj mi swój adres, a ja przyjadę zaraz ci się -

dodał kobiecy głos nie usiłując już nawet zatajać bezbrzeżnego bezwstydu

- oddać!

- Łaskawa pani - powiedział Šimsa z uśmiechem, ażeby jej nie spłoszyć - przepraszam, że przeszkadzam w tak nieodpowiedniej porze, ale telegram, w którym wczoraj państwu oznajmił profesor Vlč, że

wycieczka narciarska została przedłużona, nie powiedział wszystkiego.

- Napędził mi pan - powiedziała pani Tacheci wstając od stolika, przy którym dopiero co usiedli - panie docencie, stracha, czy coś się stało naszej -

ciągnęła przyciskając prawą rękę do lewej piersi

- Lizince?

- Ależ, na litość boską - powiedział Šimsa pospiesznie i również wstał - absolutnie nie, nasza -

powtórzył za matką, podświadomie przywłaszczając ją sobie

- Lizinka jest o.k., zapewniam panią, madame, że to przedłużenie ma na celu jedynie ochronę naszego instytutu.

Ton jego głosu, jak również śnieg, który wirował za oknem niczym muślin, przemieniając przedpołudnie w porę zmierzchu, a tym samym stwarzając złudzenie, że cały świat jest cichy i niewinny jak płatki śnieżne, uspokoiły ją. Zanim usiadła z powrotem, wyjęła z serwantki odświętne kieliszki i butelkę courvoisiera, którą przed trzema kwartałami przyniósł właśnie ten mężczyzna, siadający oto naprzeciwko niej w narciarskim stroju, w którym jego wygimnastykowana sylwetka świetnie się prezentowała. Uświadomiła sobie, że chociaż kilkakrotnie już otwierała z mężem butelkę z okazji urodzin wszystkich trojga i Nowego Roku, wciąż jeszcze nie jest ona pusta: odzwierciedlało to stan jej życia towarzyskiego. Kiedy założyła nogę na nogę, aby osiągnąć klasyczną linię - była zadowolona, że ma na sobie tylko gustowny szlafroczek - uniosła kieliszek, w którego kryształowych ściankach odbijały się wirujące śnieżynki, i równocześnie z gościem upiła łyżeczek łagodnego płynu.

- Niech pan mówi - powiedziała wyciągając z kieszeni szlafrocza tabakierkę, wyglądającą jakby ją zdobiły brylanty, choć jak każdy prezent doktora Tacheciego była to ozdoba z kamieni syntetycznych - panie docencie!

- Tak - powiedział Šimsa wyjmując z kieszeni spodni ciężką zapalniczkę, wyglądającą jak z mosiądzu, choć jak każdy dupont była oszlifowaną grudą szczerego złota - madame!

Powtórzył oficjalną wiadomość o sylwestrze w górach, jaką w pierwszej godzinie Nowego Roku wystylizował Vlč i zaraz potem cały ŠRESZKUK; kiedy wszyscy inni byli w nerwowej lub alkoholowej malignie, do rana uczył się jej na pamięć. Nim zjawiała się policja, zadzwonił Kord; dzięki temu dotarła w porę - akurat kiedy śnieżna trąba powietrzna oklapła

jak wyczerpany ogier - specjalna grupa ze stolicy, która sprawę wzięła w swoje ręce. Wciąż jednak wisiał nad nimi miecz Damoklesa, gdyż Nestor za pośrednictwem Korda uczynił ich osobiście odpowiedzialnymi za „wodoszczelność” szkoły. Prowadzący śledztwo poszli im jednak na rękę: chociaż nie mieli wątpliwości, że czynu dopuścił się szalony Mašin, zatrzymali całe schronisko; jedynie docent Šimsa został zaraz rano odwieziony z rozpoznaniem żółtaczką. W rzeczywistości, kiedy nad schroniskiem wisiała flaga kwarantanny, przeprowadzał błyskawicznie wizyty u rodziców.

Cały pierwszy stycznia poświęcił rodzicom Ryszarda. Dodzwonił się do nich dopiero przed samym południem, gdyż z rzeźnickiego sylwestra wrócili późnym ranem. Na zwięzłą informację, że ich syn zamęczył na śmierć młodzieńczego M.D., po czym prawdopodobnie popełnił samobójstwo, zareagowali dość specyficznie.

- Fruwa mać - zaklął ojciec Ryszarda - ładnie się nam zaczyna ten zasrany rok!
- No - powiedziała matka Ryszarda - to wnuków diabli wzięli.

Po czym poszła gotować głowiznę, w kuchni jednakże płakała. Šimsa zatrzymał się u nich do późnego popołudnia, póki nie upewnił się, że z punktu widzenia interesów szkoły są wystarczająco urobieni. Rad nierad dał im do zrozumienia, że każda z ich strony niedyskrecja wywoła surowy odwet: odpowiednie organy mają na przykład dowody, że większość cennych przedmiotów w tym mieszkaniu została pozyskana za pomocą nielegalnych transakcji mięsem. Ojciec Ryszarda spojrział na Šimsę z wyrzutem i wzdargą i stwierdził lapidarnie:

- Po co te gadki! Gdybyśmy wam nawet rozpruli dupę, chłopca nam i tak nie wysracie!...

Trudności kolejnych rozmów były jedynie techniczne: wymagały objechania całego kraju; po raz pierwszy od czasu powstania szkoły rozkoszował się do syta swoim sportowym wozem. Z czarnowłosą matką bliźniaków, która się mu wreszcie zrewanżowała za przyjęcie do szkoły syneczka Piotrusia, zaczął jeszcze w Nowy Rok, a skończył nazajutrz łącząc przyjemne z pożytecznym. Ojciec Szymona nie chciał mieć jakichkolwiek dodatkowych przykrości. Ojciec Franciszka jako pracownik więziennictwa nie stanowił żadnego problemu, sierotę Alberta można było pominąć; noc Šimsa spędził znowu u matki bliźniaków, która tym razem rewanżowała mu się za przyjęcie drugiego synka Pawła. I oto teraz był na ostatniej stacji, popijał doskonały koniak w przytulnym pokoju, niezmiennie pachnącym żywicą, na dworze malowniczo wirował śnieg, a słuchała go pełna temperamentu kobieta w najlepszym wieku i w najcieńszym negliżu, z wilgotnymi wargami, królewskimi piersiami i hebanowymi włosami. Ponadto mógł za godzinę zameldować Kordowi, że ŚRESZKUK nadal jest kuloodporny, nawet gdyby ktoś najął Holmesa. A mimo to był jakiś nieswój.

Jak to możliwe, że w niemal intymnej sytuacji, w bliskości kobiety, odpowiadającej jego parametrom, nie poczuł dotychczas podniecenia? O co tu, do diabła, chodzi? Mówił i jednocześnie, ryzykując, że może zostać uznany za źle wychowanego, wpatrywał się na przemian w jej dekolt i w jej kolana, ażeby zachęcić swój organizm.

Również ona była nie w sosie. Kiedy tylko doszła do wniosku, że sprawa dotyczy jej córki jedynie marginalnie, nadal wprawdzie przejawiała uprzejme zainteresowanie, ale wszystko w niej w środku się burzyło. Nieszczęście chłopaka, którego puściła z córką na łyżwy jedynie na złość mężowi, przyćmiła tragedia kobiety, której wewnętrzny ogień doktor Tacheci zdusił koniczyną jak prowincjonalny strażak. I do wściekłości na niego dołączyła wściekłość wyższego rzędu: oczyszczająca wściekłość na siebie samą. Uświadomiła sobie, że do mieszkania z wygodnymi tapczanami, gdzie spędzała większą część dnia samotnie, w ciągu szesnastu lat poza tym oto mężczyzną przychodził jedynie listonosz i instalator.

Był najwyższy czas, żeby położyć temu kres.

Nie uszło jej uwagi, że podczas opowieści, której wątek dawno zagubiła, Šimsa wpatruje się ukradkiem to w jej dekolt, to w kolana, i wykalkulowała, że co najmniej cztery noce musiał nie mieć kobiety. Decyzja, którą wyzwolił w niej koniak, dojrzewała gwałtownie do czynu, dyktowało ją nie tylko libido wygłodniałej samicy, ale i wdzięczne serce matki. Poza tęsknotą, by zapelnąć straszliwą pustkę w sobie, odczuwała moralny obowiązek nakarmienia swoim ciałem wygłodniałego mężczyzny, który karmił swoim duchem jej dziecko.

Ale jak się zdobywa takiego mężczyznę? Szesnaście lat to mgnienie w dziejach planety, ale wieczność w życiu miłosnym kobiety. Nie mogła mu już zaproponować swojej niewinności jak Oskarowi i doktorowi Tacheciemu, nie mogła mu dać w zamian ani sławy, ani majątku. Deprymowała ją świadomość, że po tych szesnastu latach małżeństwa, kiedy inne kobiety dzięki swoim mężom stawały się gwiazdami filmowymi, medalistkami olimpijskimi, członkiniami akademii naukowych, ba, ministrami czy też znanymi terrorystkami, i kiedy w dodatku jej córka będzie w wieku szesnastu lat pierwszą kacimą na świecie, ona z winy doktora Tacheciego może kochankowi zaproponować ledwo babkę marmurkową. Boże, jęknęła w duchu, jakże wypaliłam się i podupadłam! Ja, Łucja Aleksander - co za upadek sławnego imienia! - chluba rodziny, ozdoba klasy, perła kursów tańca; a dzisiaj łamię sobie głowę, jak się oddać katu!... Przeraziła się, że już zniżyła się do poziomu myślenia małżonka. Wstyd z powodu tej klęski i potrzeba zrekompensowania docentowi obraźliwego epitetu, mimo że niewypowiedzianego na głos, nagle wskazały jej drogę.

Šimsa tymczasem wciąż jeszcze nie uporał się z samym sobą, nie podniecały go nawet najbardziej sugestywne wyobrażenia erotyczne. Zastanawiał się gorączkowo, co się dzieje. W tym momencie pani Tacheci pochyliła się, jak gdyby ujrzała coś dziwnego u swoich stóp, a po chwili zniknęła mu z oczu. Zbity cokolwiek z tropu, przestał referować wypadki i przez moment czekał. Po czym zakasłał. Nie odezwała się. Powiedział: „Proszę pani”. Nie odpowiedziała. W końcu uniósł róg serwety i zajrzał pod stół. Pani Łucja miała zamknięte oczy, leżała na plecach z jedną nogą podkuloną, jak gdyby gdzieś szła, i z ręką za dekoltem, jak gdyby czegoś tam szukała.

Šimsa widział wiele zemdleń, ale wyłącznie w wykańczalni. Należało to do banalnych tricków ze strony klientów na widok zbliżającego się kata z „krawatem”, jak Karolek nazywał po dawnemu stryczek; kiedy Šimsa był jeszcze żółtodziobem, który w każdym, kto miał maturę, widział mędrca, szczerze się dziwił, że doktor nauk czy minister nie wymyśli nic chytrzejszego. Vlk go nauczył, jak się leczy z omdlenia: bierze się szlauch przygotowany do usuwania ekskrementów i polewa klienta, a kiedy to nie pomaga, wymierza mu się parę policzków. Nic z tego nie wchodziło tutaj w grę. W pierwszej chwili, czując się zupełnie bezradny, chciał zadzwonić do doktora Tacheciego, ale zaraz się rozmyślił: zachował mu się w pamięci jako pijaczyna i choleryk, diabli wiedzą, czy by mu uwierzył, że dyskutował z nią o problemach szkoły. Jej strój i zachowanie świadczyły o tym, że tu kochankowie niemal mijają się w drzwiach, i Šimsie nie uśmiechało się za nich wszystkich narażać się wybuchowemu małżonkowi. Działał zatem sam. Ujął panią Łucję za ramiona i pod kolana i udało mu się złożyć ją na tapczanie między oknem a choinką. Pragnąc upewnić się, że żyje, delikatnie wyjął jej dłoń zza dekoltu i wsunął tam swoją. Ucieszył się czując, że bije jej serce. Jego poruszona wyobraźnia podsunęła mu przed oczy zapamiętany kiedyś plakat propagandowy służby zdrowia, na którym ratownik udzielał pierwszej pomocy topielcowi. Šimsa bez namysłu wpił się wargami w wargi pani Łucji i zaczął ją cucić metodą usta usta.

Cały czas oczywiście była przytomna. Atawistycznym instynktem kobiety wyczuła, że skoro nie może zaofiarować kochankowi bogactwa, siły przebiccia czy w ogóle jakiegokolwiek mocy, musi go obdarzyć przynajmniej swoją bezsiłą, stworzyć mu szansę, by ją, Łucję, mógł uratować i utwierdzić się w swojej pewności siebie. Obserwując spod powiek jego poczynania nie wątpiła, że wszystkiego się domyśla, i była ujęta szarmanckością, z jaką przystąpił do gry erotycznej. Bardzo się jej spodobało, że tak niezdecydowanie biega między nią a telefonem, że jak gdyby przypadkiem kładzie ją na tapczanie i niby to sprawdzając jej puls funduje sobie przyjemność dotykania jej piersi. A kiedy ją namiętnie pocałował, oplotła mu szyję ramionami i równie ogniście się odwzajemniła.

Najpierw się przestraszył, ale zaraz poczuł ulgę. W takiej sytuacji umiał się znaleźć. Zwłaszcza że zelektryzowała go tajemna woń. Niedyspozycję miał za sobą.

- Jak - wytchnęła pani Łucja, gdy tymczasem on palcami nawykłymi do rozbierania nawet uporczywie broniących się klientów rozpinał jej szlafroczek - ma pan na imię?

- Paweł - wyszeptał zdejmując jej przy tym stanik.

- Mów mi - wykrztusiła, odważnie zwracając się do niego na ty, podczas gdy on ściągał z niej rajstopy - Lucy!

Posłużyła się cygańsko rozpustnym imieniem, którym ją przed laty pasował na kochankę Oskar. W ten sposób praktycznie unicestwiła przyziemną panią Łucję i nieodwołalnie wyszła z cienia swojego małżeństwa.

Šimsa był w swoim żywiole. Wyrzucił rajstopy pod sufit, jednym szarpnięciem rozwarł suwak swoich elastycznych spodni i pożądliwie do niej przywarł, gdy tymczasem lekka tkanina zatrzymała się na jego udach ma mgnienie, po czym z wolna z nich się osunęła i spłynęła w dół niczym pierwszy fajerwerk miłości.

Doktor Tacheci nie wierzył własnym oczom. W miejscu, które przez szesnaście lat należało wyłącznie do niego, znajdował się obcy mężczyzna i poczynął sobie, jak gdyby tu był w domu, nagle usłyszał jego głos i zwrócił ku niemu twarz.

- Cześć - powiedział

33

inżynier Aleksander. - Dziwisz się?

- Cześć - powiedział doktor Tacheci - to znaczy, dzień dobry, tak, to znaczy nie...

Usilnie zachodził w głowę, czemu jego teść po raz pierwszy w życiu odwiedził go w instytucie. Jedyne logiczne wytłumaczenie, że mu przyniósł *Etymologicum Gudianum*, wydane przez Sturzę, wydało mu się wprost nieprawdopodobne.

- Przyszedłem - powiedział teść składając gazetę, w której rozwiązywał krzyżówkę, i otwierając ją na innej stronie - zapytać cię, co to ma znaczyć!

Na środku strony widniała fotografia pary łyżwiarskiej, wystarczająco wyrazista, żeby nawet doktor Tacheci rozpoznał w dziewczynie swoją córkę, a w jej partnerze Ryszarda Mašina.

- To - powiedział zatem - jest Lizinka...

- A to? - zapytał teść z naciskiem.

Zięć przypuszczał, że wskaże młodzieńca, z pytającą miną, dlaczego córce pozwala na randki w tak młodym wieku.

Zamierzał mu wyjaśnić, że w przeciwieństwie do ojców, którzy - jak inżynier Aleksander - opierają wychowanie na ścisłych zakazach, on je ugruntowuje na wzajemnym zaufaniu. Jednakże ku jego zdziwieniu teść wskazał tytuł pod zdjęciem, który zdawał się nie mieć z nim żadnego związku!

NIE TYLKO BURAKI!

Teść głośno te słowa przeczytał i w pierwszej chwili doktor Tacheci powziął podejrzenie, że starszy pan stracił rozum. Autor artykułu opisywał swoje dzieciństwo w epoce niesprawiedliwości społecznej, kiedy jako syn ogrodnika, pracującego u jaśnie pana, żył w takiej nędzy, że jedynymi jego zabawkami, jak pisał z gorzką dumą, były myszy polne. Następnie szczegółowo przedstawiał swoją odważną działalność w rewolucyjnym ruchu robotników ogrodowych, który kładł fundamenty epoce sprawiedliwości społecznej i otwierał przed młodzieżą z inspektów i szklarni perspektywy, o jakich nawet jemu się nie śniło. Po wyliczeniu rewolucyjnych zdobyczy w środowisku chłopów-robotników podmiejskich opisał wreszcie zdarzenie, które go skłoniło do napisania tego artykułu.

Wówczas doktor Tacheci musiał przyznać, że jego teść nie stracił rozumu.

Podkreśliwszy, że harówka ogrodnicza i walka rewolucyjna uniemożliwiły mu przed laty zajmowanie się sportem, na co mogli sobie pozwolić tylko jaśniepańscy synowie, komunistyczny emeryt jął odmalowywać uroki swojej grudniowej przechadzki na stadion zimowy w towarzystwie wnuczki, której jego syn, sekretarz związku zawodowego ogrodników, mógł już bez najmniejszych wyrzeczeń kupić łyżwy. Na stadionie był świadkiem wspaniałej artystycznie jazdy dwojga łyżwiarzy, którzy okazali się - młodymi ogrodnikami! Sfotografował ich aparatem, który dostał od związku zawodowego ogrodników w uznaniu zasług, i zdjęcie dołącza na dowód, że jego zacięta walka klasowa nie poszła na marne: zrodziła się z niej świetlana przyszłość, w której ogrodnicy nie tylko hodują buraki, ale też jeżdżą na łyżwach jak jaśniepańscy synkowie.

- Jak mi wytłumaczysz - spytał inżynier Aleksander lodowato - żeś córkę mojej córki dał do szkoły ogrodniczej??

Doktor Tacheci błędził oczyma po grzbietach foliałów, które zawierały niemal wszystkie tajemnice mowy ludzkiej, wiedział jednak, że nie znajdzie w nich odpowiedzi. Jego naukowy duch, umiejący rozwiązywać równania filologiczne o wielu niewiadomych, również w tej niezwykle trudnej sytuacji nie zostawił go na lodzie. Podsunął mu wyjście równie skuteczne jak i proste; doktor nawet nie zdawał sobie sprawy, że posłużył się trickiem, jakim

ocala się pogromcę przed rozwścieczonym drapieżcą: poszczuł nań innego drapieżcę. Poczł przy tym nie tyle złośliwą satysfakcję, co raczej nadzieję, że w tym starciu dwojga zwycięży trzeci: on, a wraz z nim ideały humanistyczne.

- Jedźmy - powiedział, zaskoczony własnym sprytem, a także odwagą, tak wielką, że nie lękał się wyjść z instytutu w godzinach pracy - do nas, Lusiu się bardzo ucieszy.

Kiedy już, już osiągał szczyt i zachłystywał się wizją wyzwajającego upadku, podczas którego za każdym razem zrzucał z siebie śmiertelne okowy, rozległ się naraz w jego mózgu pstryk, jakby ktoś przekreślił kontakt, i w tejże chwili opuścił go wigor.

- Pospiesz się, na Boga, pospiesz -

34

zawołała Lucy - już, już wymacując brzeg, na który ostatnio wydostała się przed szesnastoma laty z pozbawionym skrupułów Oskarem.

Ale Šimsa już znieruchomiał, wpatrywał się jedynie w rzecz, którą cały czas miał w polu widzenia, ale dopiero teraz dostrzegł ją we wszystkich aspektach: pod choinką, porzucona zapewne w przypływie radości z zaczynających się ferii, leżała teczka szkolna Lizinki. W jednej chwili zrozumiał, co go tak irytowało: jak gram uranu pod łóżem małżeńskim może spowodować bezpłodność stadła, jak litr kwasu lizergowego w wodociągach publicznych jest zdolny wywołać obłęd całego miasta, tak ten wytarty, cenny wszakże kawał skóry - nie przypadkiem w muzeach gigantów widzimy również ich sztuczne szczęki, ale w żadnym razie teczki szkolne! - sprawił, że jego zaprawiona w drylu i bezbłędnie funkcjonująca osobowość doznała zaburzenia fizjologicznego i moralnego.

Wstrząsnęło nim, że rozpustnie wchodzi w to ciało, z którego wyszło niepokalane ciało Lizinki. Gdyby miał wykształcenie Vlka, uspokoiłaby go świadomość, że dane mu jest przeżyć klasyczny kompleks Edypa w nowej postaci: zachłysnąłby się nim, aczkolwiek spółkowałby z cudzą matką. Ale ze starożytności znał jedynie rozpinanie na krzyżu, toteż sam musiał uporać się ze świadomością, która przygniotła go jak krzyż: jest zakochany w Lizince Tacheci!

- No, chodź! - zawołała pani Łucja. - No, dalej, rznij!...

- Pardon... - powiedział Šimsa.

Wstał, zaciągnął suwak w rozporoku i cicho, jak zwykł podchodzić do „poczekalni”, wyszedł z pokoju i z mieszkania.

Doktor Tacheci niemal na niego wpadł, wysiadając z taksówki, którą wziął, żeby teściowi zaimponować. Coś mu się zdawało, że tego mężczyznę skądś zna, jakiś łyżwiarz, nie, łyżwiarz raczej nie, notabene z tak ekskluzywnym samochodem, dał taksówkarzowi szczodry napiwek i puścił teścia przed sobą w drzwiach domu, mieszkania i pokoju.

Tu obaj szeroko otworzyli oczy.

Kiedy usłyszała suwak i drzwi, Lucy pomyślała, że kochanek musiał wyjść za własną potrzebą. Pomyślała, że teraz się rozbierze, żeby dzieliła ich jedynie skóra. Zrzuc szaty, miła, z nagim obcować może tylko nagie ciało, kiedy miłośnie go obłapia! - szepnęła z przejęciem arabski wiersz. Nie otwierała oczu w obawie, że nagły rumieniec na widok jego nagości zdradzi jej wtórną „dziewiczość”. Chciała udawać rozwiązłość, ażeby on wyzbył się wszelkich hamulców i pomógł jej szybko nadrobić stracony czas. Kiedy znowu szczęknęła klamka, dreszczem przejęła ją siła uczucia i spodziewanej rozkoszy.

- Pawle... - zawołała marzycielsko.

Trwało dziwne milczenie. Otworzyła oczy i wydawało jej się, że śni. Podobni dwóm posągom, którym artysta kazał zastygnąć w pół kroku, na progu stali jej mąż i jej ojciec, a na ich twarzach malowało się niemal dziecięce zdumienie.

Absolutna sytuacja ujawnia względność doświadczenia. Jeśli w ciągu szesnastu lat Lucy przeżyła mniej niż którakolwiek inna kobieta w ciągu dnia, to teraz w ciągu sekundy przemyślała więcej niż wiele kobiet w ciągu szesnastu lat. W jednej chwili zabiła w sobie rozpustnie cygańską Lucy i zastąpiła ją przyziemnie praktyczną panią Tacheci; tylko to ją mogło teraz ocalić w oczach męża i ojca, który mógłby wprawdzie wybaczyć jej niewierność obciążającą konto Tachecich, ale w żadnym razie kompromitację, plamiącą herb Aleksandrów. Błyskawicznie zanalizowała rozgrywaną partię i stwierdziła po pierwsze, że docent Šimsa ma instynkt kota, który zmyka z domu tuż przed trzęsieniem ziemi, po drugie, że jest znawcą psychiki kobiecej, skoro zniknął po angielsku, żeby nie wpadła w panikę, i po trzecie, że teraz ona, i to natychmiast, zanim zaczną im do głowy przychodzić różne przypuszczenia, musi nadać swojemu zachowaniu jednoznacznie pozytywny sens.

- Pawle?... - powtórzył doktor Tacheci, na szczęście wciąż jeszcze zafascynowany alabastrem ukochanego ciała, które w świetle dziennym widział właściwie tylko wtedy na angielskim trawniku.

- Łucja?... - powiedział inżynier Aleksander, który niestety szybko ochłonął, gdyż znalazł na pamięć ten alabaster z czasów, kiedy go ocierał z kupek.

W tym momencie była już przy nich, objęła ojca lewym, a męża prawym ramieniem i do każdego przywierając jednym sutiem wybuchnęła płaczem.

- Szable nie! - wykrzyknęła i powtarzała to niczym błaganie o łaskę. - Szable nie, szable nie, szable nie!

Dali jej pigułkę na uspokojenie, ułożyli na tapczanie przykrywając pledem i kiedy mąż przyniósł szklanekę herbaty, zaczęła im nieskładnie opowiadać, że chwyciła ją jakaś gorączka, która przeistoczyła się w fantasmagoryczny sen: ujrzała męża i ojca, jak zbliżają się do niej z obnażonymi szablami.

Prześcigali się w troskliwym jej utulaniu i różnica fonetyczna między „Pawle” a „szable” poszła w zapomnienie. W końcu doszła do siebie na tyle, że zainteresował ją cel wizyty ojca.

Surowo patrząc na oboje małżonków inżynier Aleksander uznał ich decyzję za katastrofalną, a fakt, że przed nim ją zataili, za niewybaczalny. Doktor Tacheci zastanawiał się, w którym momencie i w jaki sposób poprzeć teścia, i po raz pierwszy od roku zaświtała mu w głowie nader pocieszająca myśl: skoro żona nie może zdradzić prawdziwego charakteru szkoły Lizinki, nie pozostanie jej nic innego, jak razem z nimi oboma poszukać nowego rozwiązania.

W tym momencie pani Łucja oświadczyła, że skoro małżonek zaprosił go w tej sprawie, musi ojcu w końcu bez ogródek powiedzieć to, co musiała dotychczas przed nim ukrywać. Bez żadnych wewnętrznych zahamowań opowiedziała, jak gwiazda Lizinki bladła, zanim pojawił się na horyzoncie ŚRESZKUK, gdzie mimo protestów małżonka - po pierwszym paroksyzmie lęku ucieszył się, że przynajmniej to mu przyznawała - udało jej się ją umieścić. Bez zakłopotania scharakteryzowała program szkoły i perspektywy córki. W takiej kondensacji, a poza tym w ujęciu miłującej matki wszystko to zabrzmiało jeszcze bardziej niesamowicie, co tym razem doktor Tacheci przyjął z zadowoleniem.

Inżynier Aleksander słuchał z rosnącym napięciem. Jego energiczna broda zaczęła drżeć, a władcze oczy nerwowo mrugać; miał taki wygląd, jak gdyby runął któryś z jego mostów. Kiedy pani Łucja skończyła, bez słowa wymknął się do łazienki.

Doktor Tacheci doszedł do wniosku, że nie jest aż takim biedaczyną, jak sądziła jego żona. W momencie jej porażki jednak nie chciał być bezwzględny.

- Myślę, Łucjo - powiedział uspokajająco - że nie musisz być tak zdesperowana, przez resztę roku szkolnego sam się nią zajmę, a w tym czasie coś dla niej -

powiedział dla dodania otuchy żonie

- znajdziemy.

Teść wszedł do pokoju wycierając dłonie w chusteczkę. Zdjął lekkie druciane okulary, których używał podczas pracy, i wyjął z futerału okulary złote, ciężkie, w jakich wypowiadał

swoje pryncypialne sądy.

- Nigdy - powiedział - nie mieszałem się do waszego małżeństwa, chociaż często było mu to potrzebne niczym sól, ale teraz muszę wyjątkowo przyznać rację -

oznajmił inżynier Aleksander z całą prostolinijnością, właściwą technikom

- swojej córce.

Doktor Tacheci otworzył usta i stał tak z opadniętą szczęką. Pani Łucja przekonała się, że z niego znacznie większe biedaczysko niż sądziła. W chwili, gdy poniósł klęskę zapragnęła jednakowoż być miłosierna: kojąco się do niego uśmiechnęła.

- Gdybym - ciągnął inżynier Aleksander - mógł cofnąć czas, również ja bym jej dzisiaj powiedział, że młodej, pięknej i sprytniej dziewczynie z dobrego rodu po stokroć lepiej jest zostać pierwszą kacimą niż ostatnią -

dodał z odrazą

- służącą!

- Kochanie - zaskomliła pani Tacheci napelniając to słowo całą swoją miłością i pożądaniem - no, nie dręcz mnie już i powiedz coś!

- Madame - powiedział

35

Šimsa, przerwawszy wreszcie milczenie - niech pani będzie łaskawa powiedzieć córce, żeby wzięła szczoteczkę do zębów, powrócimy dopiero -

dodał w nagłym natchnieniu

- w niedzielę.

Odłożył słuchawkę, wyłączył telefon z kontaktu i znowu rzucił się plecami na tapczan. Kości zostały rzucone, ale to nie stłumiło rozdygotania ciała i przygnębienia duszy. Nigdy takich uczuć nie doznawał, toteż był zbulwersowany jak ktoś, kogo po raz pierwszy w dojrzałym wieku boli głowa. Co to - pytał sam siebie - się ze mną dzieje?

Wbił wzrok w przeciwległą ścianę. Biała i nieobwieszona obrazami, służyła mu za ekran, na którym czasem w towarzystwie czarnulek wyświetlał filmy. Lubił zwłaszcza groteskowe kreskówki o marynarzu Pepce, a poza tym dokumenty ze wszystkich mistrzostw świata w hokeju; na pierwszych płakał ze śmiechu, na drugich często dostawał chryпки, kiedy jak zwykle niezmiennie dopingował swoich faworytów. Szukał teraz w chaosie uczuć myśli, której mógłby się mocno uchwycić - jakiś zagadkowy przekaźnik włączył mu się w mózgu,

wzrok, widzący daleko naprzód, nabrał ostrości, a wycinek rozwartych ud z prostopadłą sterzącego fallusa przypomniał mu celownik i muszkę pistoletu, który omszył czas. We wspomnieniu ujrzał chłopca Šimsę, już aspiranta szkoły podoficerskiej, jak w przewiewnym roboczym mundurze trzęsie się na przyczepie starej ciężarówki, jęklonie łoskoczącej w lodowatym tunelu nocy. Rano owego dnia spadł śnieg, a także upadł rząd i żołnierze mieli obowiązek zapewnić ciągłość pracy w zakładach zagrożonych strajkiem. Pluton Šimsy poznał swój cel bardziej na niucha niż wzrokiem. Nasilający się smród zepsutej krwi i rozkładającego się mięsa doprowadził ich do rzeźni.

W hali ubojowej przywitali ich cywile w płaszczach gumowych różnych odcieni; zachowanie zdradzało oficerów służb specjalnych. Z zewnątrz dochodził tętent kopyt i wściekłe porykiwania: już trzeci dzień nikt nie karmił zwierząt. Mężczyzna w beżowym płaszczu gumowym zapytał, czy któryś z nich już dokonywał uboju. Cisza. Zapytał więc, kto by się tego zechciał podjąć. Rękę wznosił jedynie Šimsa, sam nie wiedział dlaczego; po prostu zgłaszał się zawsze, choćby ze stugłowego tłumu, ilekroć zwracało się do niego państwo. Koledzy zostali rozdzieleni na drużyny pomocnicze, które miały dostarczać żywe sztuki i zabierać martwe, przewodził im cywil w płaszczu zielonym; stało się już czytelne, że kolory zastępują utajone dystynkcje. Z Šimsą oprócz beżowego został jeszcze czarny płaszcz gumowy, dla którego zabrakło zadania.

- No? - spytał beżowy niecierpliwie. - Zabieramy się do roboty?

- Jest tylko - powiedział Šimsa sprawdzając rzeźnicki pistolet - pewien szkopuł.

- Na żadne szkopuły - bezkompromisowo uciął beżowy - nie ma czasu!

- No właśnie! - powiedział Šimsa. - Ta zabaweczka może tylko zamroczyć, a potem trzeba ciachać. Może byście, towarzyszu, pożyczyci mi swojego nagana...?

- Wy do nich chcecie - zapytał ze zdziwieniem beżowy - strzelać?

- Dla nas będzie tak lepiej - powiedział Šimsa - a dla nich to jeden diabeł.

Beżowy płaszcz spojrział na czarny i Šimsa zrozumiał, że jest to szef przedsięwzięcia. W zimnych niebieskich oczach ujrzał niedowierzanie. Ogarnęła go chłopięcia wściekłość, dzięki której już siedemnasty rok przeciwstawiał się losowi samotnego młodzika. Beżowy wyczarował spod pachy ciężką zdobyczną dziewiątkę, a on chwycił ją z jego ręki i wybiegł na płaszczyznę z kamiennych kwadratów, gdzie wychodził wylot drewnianej rury wypędowej.

To drewno i beton hali nadały tupotowi pierwszego zwierzęcia przeraźliwy wymiar. Šimsa miał chętkę wziąć nogi za pas, wydawało się, że ze zbitego z desek tunelu wypadnie byk i rozdepcze go razem z tym śmiesznym pistoletem na miazgę. Przypomniały mu się wszakże niebieskie oczy i owładnęła nim młodzieńcza pasja hazardu, z jaką jego rówieśnicy

rzucają się na areny korrid. Stał w rozkroku, złożył - był mańkutom - lufę dziewiątki na prawym przedramieniu, przygarbił się jak kot, ażeby mieć oko na poziomie celownika, i odetchnął.

Ucieszył się, kiedy ciemne gardło rury wyrzuciło normalne ciele. Oślepienie światłem przestało biec. Wielki stół ofiarny został wygładzony przez pokolenia poprzedników, toteż nie trafiając na opór jednym ślizgiem zadka dojechało do stóp Šimsy. Przez muszkę widział z bliska olbrzymie oczy, a w nich niemal ludzkie przerażenie. Nie był wrażliwcem i zdążył się już zetknąć ze śmiercią: zadusiła szkarlatyną kolegę na sąsiednim łóżku w sierocińcu, na jego oczach rozerwała świetnego pedagoga ze szkoły podoficerskiej, którego popisowym numerem było odbezpieczyć granat, odlać się na niego i dopiero go rzucić; dotychczas jednak nie trzymał jej w ręku.

Zadrzał, a że ostro postrzegał grot muszki na środku czoła, jakby doń przytwierdzony, zrozumiał, że zadrzała mu dusza. Nagle zdał sobie sprawę, że stoi tu nie pod przysięgą, ale z nieprzymuszonej woli, może zatem spokojnie odejść. Nie mają rzeźnika, to niech sobie sprowadzą - zaświtało mu w roztkliwionej głowie - kata... Ktoś chrząknął. Ten dźwięk zmienił jakby optykę. Z oczu cielecia wyzierała już tylko pusta tępota. Toż jest to jedynie głupie - pomyślał, wewnętrznie już rozluźniony - bydlę - i nacisnął spust.

Strzał go niemal ogłuszył, niezwykła broń wyskoczyła mu niespodziewanie z ręki, lufa zmieniła oś i kulka urwała wielkie ucho, które pacnęło na płytę kamienną jak surowy sznycel. Z miejsca, gdzie się oderwało, ciurknęła czerwona strużka opryskując podłogę jak deszczówka z okapu. Ciele było równie zszokowane jak strzelec. Nie drgnęło, tylko pustka w jego oczach jeszcze bardziej się pogłębiła. Strzelił ponownie. Szarpnęło tym razem w dół: kulka urwała dolną szczękę. Ból rzucił zwierzę na tylne nogi. Chciało ryknąć, ale z obnażonego gardła wyrwał się tylko skrzek. Miał teraz przed sobą rozwścieczone zwierzę, które chciało się na nim przynajmniej zemścić. W tym momencie, jak gdyby jego dusza naraz wyrosła z chłopięcych spodenek, poczuł dziką męską nienawiść. Więc ty mnie, świni - rozsierdził się - chcesz zniszczyć? No to masz, ścierwo!

Kiedy zwierzę skoczyło, on skoczył także, nie bokiem jak torrero, ale frontalnie jak byk, w rękę z pistoletem miał taką siłę, że cienka chrząstka między ślepiami nie wytrzymała starcia. Widział, jak lufa wbija się w łeb cielecia niczym potworny termometr, wiedział też, że zostanie niechybnie rozdeptany, jeśli w porę nie zareaguje. Zareagował. Strzału niemal nie słyszał, natomiast efekt wizualny był nie z tej ziemi. Już po poprzednich strzałach zorientował się, że ma do czynienia ze specjalnymi nabojami; zamknięta przestrzeń czaszki spotęgowała jeszcze działanie kulki. Jak w filmie naukowym pokazywanym w zwolnionym tempie ujrzał,

że jakieś trzy palce nad jej wlotem otwiera się na czole trzecie oko, krater, plujący białą masą. Ta wielorybia fontanna oślepiła go, toteż tylko intuicyjnie zdał sobie sprawę, że konające zwierzę dosięgnęło go salwą swojego mózgu.

Usłyszał kroki, głosy, rozkaz, jęki, trzask zdzieranej skóry i syk wody. Zanim rękawem starł z oczu galaretowatą masę, martwego cielecia już nie było; kolega szkolny szlauchem zmywał resztki krwi do kanalików, drużyna pomocników kłusem toczyła wózek z cieleciem do boksów zamrażalni. Obliznął wargi; na języku poczuł okropny smak surowego mózgu, ale nie splunął, zacisnął zęby. Wytrzymać! - rozkazał samemu sobie w poczuciu rodzącej się w nim właśnie męskiej nieustępliwości. Rura znowu się otworzyła.

Na drugie ciele potrzebował dwóch strzałów, po pierwszym upadło na bok i przebierało kopytami. Chciał trafić w serce, ale spudłował, teraz wybrał ponownie łeb. Lufę tylko przyłożył do skóry, wytrysk jednak się powtórzył. Błyskawicznie strząsnął szarą galaretę, gdyż z przepustu wbiegało na postronku trzecie zwierzę. Począł, aż znajdzie się blisko niego, wykonał wypad jak szermierz, a kiedy lufa dotknęła czoła, nacisnął. Ciele upadło. Starł kolejną warstwę śliskiej masy, przeskoczył przez tułów i jednym zamachem uwolnił zapadkę drzwi wpustowych. Rozległ się tupot i wbiegło czwarte ciele. Pomocnicy już wysprzątali ring, ale on się nie ruszał.

- Co jest?? - warknął beżowy płaszcz.

Z duszy wykluwał się uśmiech. Nie przebił się jeszcze na stwardniałą twarz sieroty i żołnierza, ale - jak celny strzał - otworzył skrytkę nowego zasobu słownego, który od tej chwili miał być dla Šimsy charakterystyczny.

- Zabrakło mi - odparł błyskotliwie - ziarna.

Beżowy wyjął z futerału pod marynarką rezerwowego magazynek. Kiedy uniósł ramię, by mu go rzucić, spoczęła na nim dłoń szefa: dołączył i swój.

Podochociło to Šimse, załadował pistolet i zabijał sztuka za sztuką. W drugiej serii chciał przede wszystkim skończyć z tym ohydny mózgotryskiem. Rozwarł drzwi i stanął w nich. Kiedy ciele weszło, tym razem z wahaniem, gdyż bez rozbiegu, strzelił mu prosto w ucho. Kulka przeleciała szybko przez miękką zawartość czerepu i trzasnęła gdzieś o beton; okaleczyła zmysł równowagi i zwierzę z żalonym porykiwaniem potrząsając łbem okrążyło beton jak w manezu. Šimsa długo musiał odskakiwać jak banderillero, zanim w końcu udało mu się przytknąć pistolet do ciemienia. I wtedy stwierdził: strzał w tył łba wywołał tylko karminowy guziczek, działanie kulki zostało ukryte w pancerzu sklepienia czaszki, za palisadą zębów.

Teraz już wszystko stało się dla niego jasne i polecił, ażeby puszczali mu

nieprzerwanie cielę za cielęciem. Szlifował technikę. Stał obok bramy, żeby jednym susem dopadać ciemienia i umieszczać w nim nabój. Cztery razy poszło jak po maśle. Załadował trzeci magazynek i polecił, żeby przygnano sześć sztuk.

- Dajmy sobie szansę! - zażartował.

Zimne niebieskie oczy nie tały zainteresowania. Zapragnął ujrzeć w nich podziw. Dwadzieścia cztery kopyta zaatakowały bębunki takim tupotem, że większość pomocników zasłoniła uszy dłońmi. Był na ten hałas głuchy. Wsparty prawym ramieniem o ramę drewnianego tunelu, lewą dłonią trzymał dziewiątkę na wysokości oczu. Możliwości spudłowania w ogóle nie brał pod uwagę. Osiem śmierci, które rozdał dwunastoma strzałami, kiedy szukał swojego stylu w wewnętrznych zakamarkach swojej osobowości, w sposób szczególnie dokończyło rzeźbienia jego sylwetki. Już nie był mężczyzną z pistoletem, ale mężczyzną-pistoletem.

Wiodące cielę, zdziczałe od tupotu i ryku doganiających je bydła, wypadło cwałem i minęło Šimsę, wręcz odnosiło się wrażenie, że strzelił za późno. On jeden ujrział, jak na ciemieniu zwierzęcia zabłysnął karminowy sygnał, wiedział zatem, że po płytach kamiennych ślizga się martwa masa. Ale już strzelał do następnego, które bez życia zatrzymało się na tułowiu poprzednika. Trzeci trup padł na nie z taką siłą, że pierwszy jak worek zleciał z betonu na ziemię hali. Pozostałe trzy cielęta ułożyły się w rzeźbiarską kompozycję. W górze mięsa, skóry i zrogowaceń już nic nie drgnęło ani o milimetr.

Zimne niebieskie oczy rozgrzewało uznanie. I Šimsa, którego aż do tej chwili łączyło z ludźmi jedynie prawo subordynacji, poczuł naraz do mężczyzny w czarnym gumowym płaszczu sympatię, czego nigdy jeszcze w swoim życiu nie doświadczył. Szkoda - pomyślał - że się rozstajemy. Kto wie, może bym w nim znalazł... Ofuknął się: jego przyjacielem było całe państwo i chcieć więcej mógł tylko niewdzięcznik. Tymczasem powystrzelał wszystkie sztuki, jakie były do załatwienia, po czym nad ranem niemal zamarzył na przyczepie ciężarówki.

Nie zdążył jeszcze usnąć na swojej pryczy, kiedy zbudzono go na badania lekarskie. Żołnierz zawodowy albo przez całe życie szykanuje, albo jest szykanowany; przemilczał więc fakt, że właśnie dokonał uboju około dwustu sztuk bydła, lewą rękę ma niemal bezwładną i na lewe ucho nie słyszy. Za bramą czekał dżip z płóciennym dachem. Szofer wskazał mu miejsce z tyłu. Kiedy ziewając wgramolił się do środka, drzwiczki zatrzasnęły się z hukiem czołgowej klapy i zapanowała ciemność. Kiedy wóz ruszył, jął macać wokół siebie i zrozumiał: płótno maskowało budę pancerną do przewozu więźniów, na co wyraźnie wskazywały odpowiednio rozmieszczone kajdanki na nogi, ręce i szyję. Nie obleciał go

jednak strach. Radarem osobnika, który od maleńkości sam musi sobie radzić, wyczuwał niebezpieczeństwo na milę. Odnosił wrażenie, że ten transport jest raczej przejawem przychylności. Czas był burzliwy, ale najbardziej nawet bujna fantazja nie podszeptęłaby mu przypuszczenia, że komuś mógłby być solą w oku młokos ze szkoły wojskowej, który napompował parę dziewcząt i wypompował parę cieląt. Ziewnął, jakoś usadowił się między żelaznymi bransoletkami i usnął.

Zbudził go policzek, ale to tylko szofer się przestraszył, że chłopak się po drodze udusił. Wysiadł i zrobił parę przysiadów, ażeby dojść do formy. Przy tym się rozejrzał. Dżip stał pod tarasem jakiegoś pałacyku, na którego fasadzie jaśniały ślady po usuniętych literach HOTEL DIANA, w dół zaś schodziła ku jezioru łąka, kończąca się czarnym kręgiem (nigdy o tym nie powiedział Vlkowi, ale kiedy później ujrzał obiekt, jaki w celach wypoczynkowych ofiarowano wykonatorom, zdecydowanie go unikał) wygasłego ogniska, obramowanym osmalonymi głazami.

W jeleniogłowym saloniku - na stolikach z poroża stały telefony polowe - czekali trzej mężczyźni z rzeźni, tym razem w dobrze skrojonych ubraniach. Właściciel czarnego płaszcza gumowego przedstawił się jako pułkownik Artur, właściciela płaszcza beżowego nazwał majorem Bohdanem, a zielonego kapitanem Cyrylem. Šimsa się domyślił, że są to kryptoimiona, a ich inicjały oznaczają hierarchię. Po czym dowódca otworzył mu oczy.

Jest, zaczął pułkownik Artur, oczywiste, że zwyciężyła rewolucja proletariacka, że reakcja została porażona. Rewolucjoniści, którzy dawniej nie mieli nic do stracenia, dziś stają się wygodni i mniej aktywni, natomiast reakcjoniści nasilają swoje akcje, gdyż teraz oni nie mają nic do stracenia. Z jednej strony rewolucja, z drugiej - reakcja, ale między nimi nie biegnie wyraźny szaniec. I podczas gdy reakcjoniści, którzy utracili, co mieli, mogą dzięki karkołomnej wspinaczce przenikać w szeregi rewolucjonistów, rewolucjoniści, którzy nie osiągnęli tego, do czego dążyli, mogą się staczać między reakcjonistów. Rewolucja znajduje się na fatalnych rozstajach i nie wolno jej do nikogo mieć zaufania.

Gdzie są, ciągnął pułkownik Artur, rozstaje, musi być i organ, który kieruje ruchem i wymierza kary piratom drogowym. Mamy policję i sądy, ale to nie znaczy, że można na nich polegać. Toż w sposób biurokratyczny ścigają rewolucjonistów, którzy w imię sprawy musieli naruszyć prawo, i zarazem dogmatycznie chronią reakcjonistów, którzy z reakcyjną przewrotnością trzymają się litery prawa. Oto przyczyna, dla której rewolucja musi ustanowić kolejny organ, pracujący tajnie po to, ażeby móc ujawniać i karać złe postępowanie. Ten organ to TAWORE.

On jest, ciągnął pułkownik Artur, rękojmnią, że zostaną zdemaskowani nawet

najniebezpieczniejsi reakcjonisci, udajacy rewolucjonistow. Rzecz jasna pod warunkiem, ze kazdy funkcjonariusz Tajnego Wojska Rewolucji bedzie wierny najwyzszemu principium - APASAM. Oto wlasnie probka zlozoności tej sluzby: utajnienie jest poziome i pionowe, rozkazy i meldunki podaje sie szeptem i w cyfrach. Za naruszenie Absolutnego Posluszenstwa, Absolutnej Spolegliwosci i Absolutnego Milczenia grozi oczywiscie absolutna kara.

Tym sie tłumaczy, konczył Artur, ze funkcjonariusze TAWORE, dotrzymujacy APASAM, maja z kolei rozlegle prawa i sa podporzadkowani jedynie najwyzszym reprezentantom panstwa. Jesli tak stanowi prawo rewolucji, nasz funkcjonariusz nie musi uwzgledniac zadnego innego prawa i moze karac reakcjonistow rowniez prewencyjnie, majac przy tym gwarancje wlasnej bezkarnosci. Gorliwosc Šimsy w rzezni sprawila, ze go tutaj sprowadzili. Juz opinia z sierocińca podkrešla jego zdyscyplinowanie, a decydujacy momentem byl fakt, ze nie posiada krewnych: oto bedzie mógł zacząć nowe zycie jako członek wielkiej rodziny TAWORE, gdyz zginął podczas wypadku drogowego. Naturalnie moze tez dzieki temu - niebieskie oczy usmiechnęły sie ironicznie - przestac placic alimenty tej cwanej Cygance, a na przyszłosc byloby lepiej, zeby w takich razach uvažal.

Przy ostatnich słowach rozległ sie krzyk ptaka, który zabrzmiał jak zew nienasyconej miłosci. Šimsa ušwiadomił sobie, czego go pozbawily lata samotności. Namietnie zapragnął spędzić zycie w poblizu tego fantastycznego człowieka, w dodatku na łonie wspanialej natury. Ptak zaśpiewał nową kantylenę miłosną, a w nią wmieszał sie ostry ton dzwonka, który wprowadził w ruch dłoń pułkownika. Otwaryły sie drzwi z mlecznymi obiciami ozdobionymi wypalanymi motywami myśliwskimi, a na progu trzasnęła obcasami blondyn niewiele starszy od Šimsy.

- Powiedziecie im - rozkazał pułkownik cicho - zeby mu zamknęli dziób!

- Rozkaz! - szeptem powiedzial blondyn i znikł.

Šimsa zapłonił sie ze wstydu. Myšlal o ptakach, podczas gdy rewolucje spalał mróz, a zapewne i w tym romantycznym budynku toczy sie walka z reakcjonistami. Ten wstyd przypiał mu ostrogi: liczył, ze lada chwila podejmie niełatwe i niebezpieczne zadanie, azeby sie wykazac swoim przywiązaniem do rewolucji i nienawiścią do reakcji.

- Co wy na to? - spytał pułkownik Artur.

Jego niebieskie oczy promieniowały cieplem przychylności.

Šimsa podszedł bliżej, azeby po raz ostatni przyjrzec sie twarzy mężczyzny, który uczynił z niego człowieka, a potem w nieposkromionej dumie, hardej próżności, ze ściśle egoistycznych pobudek czy nawet dla brudnych pieniędzy sprzedal wlasne człowieczeństwo.

Czy to możliwe, dziwił się, że się w dwóch latach zmieściło tyle zdarzeń? Lewą ręką przytknął masywną lufę dziewiątki tuż nad nasadą nosa, aby droga pocisku zniweczyła całą przestrzeń, w której knuł intrygi ten judaszowski mózg. Dostrzegł zachęcające spojrzenie

36

Siódmego i nacisnął łuk spustu.

Numery zastąpiły nazwiska wkrótce po jego akcesie do TAWORE. Przez niecały miesiąc działał jako starszy strzelec Libor, po czym się stał Trzydziestym Siódmym. Pułkownik Artur, obecnie Pierwszy, podał swoim ludziom zwięzłą, niemniej nader ważną wiadomość: nieprzejednani reakcyjniści usiłują przeniknąć do TAWORE, w którym nie bez słuszności widzą najpotężniejszą tarczę rewolucji; toteż na najwyższym szczeblu powołano do życia Rewolucyjną Policję Tajnego Wojska, w skrócie REPOTA, która stanowi oddział Pierwszego, wydzielony w taki sposób, ażeby formalnie nadal podlegając dowództwu TAWORE w rzeczywistości sprawował nad nim kontrolę.

Te numery miały deprimować przeciwników - jako ciśnieniomierz bezosobowej maszyny, której nie wykiwają cwaniactwem ani zabawą w uczucia - ale i mobilizować funkcjonariuszy - jako wysokościomierz ich pozycji służbowej. Awans jednakowoż w tak precyzyjnie ustalonej kolejności mógł zapewnić jedynie niebywały wyczyn lub tragiczny wypadek; w ciągu pierwszego półrocza Šimsa przesunął się o jeden szczebel, gdyż Trzynasty przez niedopatrzenie nacisnął spust przy własnej skroni, kiedy pokazywał zdradzieckiemu oficerowi TAWORE, jak ma sobie palnąć w łeb. Poza tym większe szanse mieli koledzy starsi, ponieważ to im powierzono przesłuchiwanie reakcyjnych sługusów z TAWORE, od lat znali ich bowiem osobiście i łatwiej mogli wymacać ich pięty Achillesowe. Na szczęście został dokwaterowany na poddasze do blondyna, tego samego, który na początku jego nowej kariery zjawił się na dzwonek pułkownika Artura; ówczesnie plutonowy Oldrzych, a teraz Trzydziesty Pierwszy, świetny aktor, był równie niecierpliwy jak Šimsa. Wpadł na pomysł, ażeby nie poprzestawali na codziennym treningu karate, lecz podwyższali swoje kwalifikacje również w czasie wolnym.

W ostatniej piwnicy pałacyku zostało paru pacjentów, jak nazywali przesłuchiwanym, z poprzedniego sezonu, trzeciorzędnych reakcjonistów, którzy tu kiśli jedynie dlatego, że nie wyśpiewali normalnym organom tajemnic TAWORE czy nawet REPOTY; było niemal pewne, że nigdy nie zostaną wypuszczeni na wolność. Za zgodą Pierwszego, który od

spotkania w rzeźni wyraźnie Šimsę faworyzował, obaj chłopcy zaczęli się w wolnym czasie z powodzeniem doszkalać. Prowadzili kolejnego pacjenta do kafelkowej „przychodni” i przesłuchiwali go na okoliczność, czy zna Franza Mohra. Kiedy zaprzeczał, pracowali nad nim tak długo, aż się przyznał. Dzięki szczęśliwemu pomysłowi wkrótce zakasowali swoich starszych kolegów fachowością. Opanowali technikę przesłuchań za pomocą światła i hałasu, nieustannego budzenia, zmuszania do biegu i związywania w kij, nauczyli się korzystać z wody i elektryczności, nie pomijali również zębów, paznokci i rzęs. A że pracowali bez doradców, często odkrywali Amerykę, ale wpadli też na parę pomysłów nowych; dzięki temu jeszcze po latach, podczas opracowywania planów szkolnych w kawiarni „Sparta”, Šimsa zdumiewał doświadczonego matadora Vlka. Podczas owej pracy, jak to bywa, robili sobie przerwy na zabawne dygresje, i właśnie wówczas Šimsa wyraził żal, że nie jest pisarzem, boby zapisał fantasmagoryczne zeznania, jakie skruszeni wreszcie pacjenci recytowali im jak z nut; dowcip był w tym, że Trzydziesty Pierwszy znał nazwisko Mohra z jakiegoś teatralnego kawałka. Wzniosłe zasady moralne, które im codziennie wszczepiali dowódcy, nie dotyczyły rzecz jasna reakcjonistów; w dalszym ciągu ćwiczebnie wyduszali z nich kłamstwa, ażeby mieć odpowiednie przygotowanie na czas, kiedy rewolucja każe im z takich osobników wydobyć prawdę.

Wolnego czasu naturalnie nie mieli zbyt wiele. Ich służba była bardzo trudna, ponieważ po większej części śledzili doświadczonych kolegów z TAWORE, śledzących reakcjonistów. Kiedy w odległości wystarczającej, by ich widzieć i słyszeć, Šimsa siadywał na trybunach stadionów, przy barach nocnych klubów i w innych obskurnych miejscach, widział, że zachowują się już równie wielkopańsko. Po takich przeżyciach trenował w piwnicy z nowym zapalem, ażeby stanąć na wysokości zadania, kiedy przyjdzie mu się zabrać do funkcjonariuszy z tego pierwszego garnituru.

Doniosłego odkrycia dokonał podczas śledzenia funkcjonariusza TAWORE, śledzącego ogólnokrajowego mistrza narciarskiego, który podejrzenie często spotykał się z mistrzami zagranicznymi. Mistrz przez całą zimę mieszkał w najlepszym hotelu i tajniacy musieli czynić to samo. Po raz pierwszy w życiu Šimsa położył się na miękkim łóżku i doznał uczucia dającego się porównać z miłosnym uniesieniem. Jeśli dotychczas gardził luksusem jako wytworem reakcjonistów, to obecnie zrozumiał, że rewolucja oferuje swoim dzieciom wszystko - również luksus! Był więc zbulwersowany, gdy jego przyjaciel, Trzydziesty Pierwszy, przyjechał go zastąpić. Niebawem jednak wziął się w garść i kiedy zameldował się u Pierwszego, był ponownie gotów poświęcić państwu i rewolucji - te dwie najwyższe instancje były teraz dla niego jakąś wzajem przenikającą się dwujednością, jak dla wierzących

Bóg i Duch Święty - wygody i życie.

Oświadczenie Pierwszego było jak zwykle zwięzłe i bulwersujące: mózg REPOTY miał szczęście odkryć reakcyjny spisek w sercu TAWORE; a że Šimsa nie zna nikogo z zatrzymanych, a zatem nie mogą wyrzucić na niego żadnego nacisku, toteż został przydzielony do grupy śledczej w Cenkrze, jak nazywano centralny bunkier. Gdy się odmeldował, Pierwszy pogratulował mu awansu, gdyż właśnie przestał być Trzydziestym Szóstym, a stał się Dwudziestym Dziewiątym. Od tego przeskoku do trzeciej dziesiątki Šimsie pociemniało przed oczami. Wiązało się z tym otrzymanie pojedynczego, choć jeszcze bez łazienki, pokoju na drugim piętrze pałacyku. Przeprowadził się zaraz, póki Trzydziesty Pierwszy był jeszcze w górach; nie chciał irytować przyjaciela, którego przeskoczył w awansie.

Kolejny rok utrwalił mu się we wspomnieniach jako niekończąca się noc, którą zmieniały w niekończący się dzień tysiącwatowe żarówki w Cenkrze. Już się nie pytał o nieznanego Franza Mohra, ale o sławne osobistości, które wciąż jeszcze grzmiały z trybun głosem rewolucji, a odpowiadali mu często już po pierwszym policzku poskromieni rewolucjoniści, których imiona jeszcze wczoraj budziły w reakjonistach grozę. Šimsa wydatnie przyczynił się do tego, że niebawem oni sami publicznie się zdemaskowali jako wewnętrzni agenci. Po ich straceniu TAWORE zostało tajnie rozwiązane i zastąpione przez REPOTE. Dowiedział się o tym równocześnie z otrzymaniem kolejnego, siódmego, awansu, po którym w ciągu jednego roku stał się Dwudziestym Drugim.

Wieczorem owego dnia wydano bankiet na cześć zwycięstwa. Jadło się i piło we wszystkich pomieszczeniach pałacyku, stoły i lampiony były nawet w Cenkrze, który po dłuższym okresie opustoszał. Šimsa, leciusieńko i przyjemnie pijany, snuł się przez udekorowane pomieszczenia i myślał o tym, jak wiele się zmieniło w tak krótkim czasie. Jedyne liczebny stan REPOTY musiał się co najmniej trzykrotnie zwiększyć. Spotykał dziesiątki młodych twarzy, w których czytał, że ci chłopcy chcą się przebić tak jak on. Czuł się osobliwie zaskoczony spostrzeżeniem, że on, który dotychczas szturmował niebo, obecnie musi go również bronić. Właśnie się zdecydował coś przegryźć, kiedy bezbłędnie wyprężył się przed nim na baczność młodzieniec z opaską dyżurnego; dziecięca twarzyczka zdradzała pełną napięcia troskę, ażeby nic nie zepsuć.

- Melduje się Dziewięćdziesiąty Pierwszy - jękając się wyszeptał, stremowany przepastną różnicą sześćdziesięciu dziewięciu stopni - prosząc Dwudziestego Drugiego o rozmowę!

- Spocznij - powiedział Šimsa niedbale.

- W jeleniogłowym saloniku - powiedział chłopak pospiesznie - oczekuje was...
Pierwszy!

Šimsa nie mógł się w duchu nie uśmiechnąć, widząc z jakim świętym przerażeniem wypowiedział młodzieniec ten numer. Ale kiedy sam prężąc pierś wmaszerował do saloniku, uzmysłowił sobie, że jego respekt wobec Pierwszego jest równie wielki jak przed dwudziestoma miesiącami. Widniała przed nim cała dowódcza siódemka, zatem i zastępca Pierwszego - Czwarty, zastępca Drugiego - Piąty i zastępca Trzeciego - Szósty; każdy z nich to postrach reakcji i kontrrewolucji - a z nimi Siódmy, administrator; nazywano go Atrament i cieszył się poważaniem jedynie wtedy, gdy obchodził pokoje ze staromodną walizeczką, ażeby każdemu z osobna, ze względu na tajność, wypłacić pobory, premie i relutum. Teraz jednak Šimsa patrzył tylko na jednego i przed nim stuknął obcasami.

- Dwudziesty Drugi - powiedział przepisowo teatralnym szeptem - stawia się na wasz rozkaz, towarzyszu Pierwszy!

- Spocznij - powiedział Pierwszy ledwo dosłyszalnie.

Robił wrażenie zmęczonego. W ogóle atmosfera w saloniku ostro kontrastowała z wesołością za drzwiami. Zrozumiał, że zaszło coś niezwykłego, i krew zaczęła w nim żywiej pulsować: dostanie teraz ważne zadanie i będzie miał jedyną szansę dostać się do pierwszej dwudziestki. Niepowodzenia po prostu nie brał pod uwagę.

- Nowotwór - powiedział do niego Pierwszy - jest czasem szybszy od skalpela i wtedy nie pozostaje nic innego, jak stać się dwa razy szybszym od nowotworu. Dostaliśmy anonimową, ale niestety prawdziwą informację, że pewien nasz, nie wiem, czy można o nim jeszcze mówić człowiek, szykował na dzisiejszą noc zamach. To bratobójcze -

ciągnął Pierwszy, a zmęczenie kładło mu się cieniem pod oczyma

- morderstwo, któremu zapobiegło jedynie dokonane w porę aresztowanie, sygnalizuje, że wróg przeniknął również w struktury REPOTY. Trzeba nie tylko wypalić gniazdo kontrrewolucji, ale i sprawdzić, czy nie ma otoczki powiązań. Nasza siódemka postanowiła powierzyć to odpowiedzialne zadanie -

dodał Pierwszy patrząc przenikliwie prosto w oczy Šimsie

- wam.

Jedynie dzięki wyćwiczonej zdolności automatycznego rejestrowania każdej informacji oszołomiony Šimsa mógł po odmeldowaniu się przypomnieć sobie również pozostałe punkty rozkazu: trzeba przesłuchać pacjenta w starej piwnicy, ażeby nie naruszać nastroju i morale REPOTY; należy użyć wszelkich możliwych sposobów, żeby jak najszybciej przyznał się, na kogo zamierzał podnieść swoją morderczą rękę i kto za tym stoi;

ma otrzymać ochronę i przeprowadzić się na pierwsze piętro, gdzie będzie miał spokój i łazienkę; w przesłuchaniach wezmą udział jako obserwatorzy Szósty, Piąty i Czwarty.

O przygotowaniu do całej operacji świadczył fakt, że już za drzwiami saloniku do Šimsy zgłosił się osoroniarz (osobisty ochroniarz). Olbrzym, którego nigdy dotychczas nie widział, zaprowadził go do nowego apartamentu, gdzie już nawet czekały jego rzeczy. Wziął walizeczkę z przyrządami - „przychodnia” była wprawdzie odpowiednio wyposażona, ale on przywykł do własnych narzędzi jak murarz do kielni - włożył do niej czyste robocze ubranie i ruszył do wyjścia. Od drzwi zawrócił i wypróbował łóżko. Było miękkie! Zrozumiał, że tu, na pierwszym piętrze, zaczyna się świat, jaki rewolucja stopniowo otworzy przed każdym, i poczuł się dumny, że wysłużył sobie awans przyspieszony.

Kiedy wszedł do piwnicy, pacjent już leżał na „stole zabiegowym” - później jako docent z nostalgią wspominał to świetne wyposażenie, kiedy to naukę odbywał jedynie na przerobionym fotelu ginekologicznym, ale gdzie są niegdysiejsze śniegi? - a wokół siedzieli obserwatorzy. Kiedy zapinał czerwony igelitowy „pładotor”, jak zwykli nazywać płaszcz do tortur, rzucił okiem na pacjenta i zamarł: był to jego jedyny przyjaciel, niegdysiejszy plutonowy Oldrzych, a potem Trzydziesty Pierwszy; z oczu mu jednak wyzierała nie chytrość ambitnego aktora, ale niemy wyrzut. W pierwszej chwili Šimsa chciał wykrzyknąć: - Nie! To omyłka! Przecież wszystko, co mnie doprowadziło do tego stołu, zawdzięczam wspólnej nauce z tym... Toż to jest moja bratnia du...

Wtem coś mu zaskoczyło w mózgu.

Przecież to właśnie Trzydziesty Pierwszy mu powtarzał, że REPOTA to nie pensjonat dla panienek, ale oddział bojowy, i że dla szczęścia całej ludzkości nie jest zbyt wygórowaną ceną życie paru osób; przypomniał sobie, ilu wytrawniejszych bojowników udawało wierność rewolucji do ostatniej kropli krwi, po czym już przy pierwszym pociągnięciu za język przyznawało się do bazyliżkowej wiarołomności; no tak, a w dodatku ten szpakami karmiony kumpel, który na niego teraz patrzy z wyrzutem, jeszcze nie tak dawno, kiedy przyjechał w góry go zastąpić, nawet się z nim nie przywitał jak przyjaciel z przyjacielem, zachowywał się, jakby był pewien, że z Šimsą już koniec; no cóż, słodkie życie w luksusowym hotelu przyspieszyło rozkład moralny faceta: najpierw zdrada przyjaźni, a potem zdrada ideałów. Ogarnęła go wściekłość. W jednej chwili uświadomił sobie również, że obserwują go doświadczone oczy jego przełożonych, którzy jego wahanie mogą sobie tłumaczyć jako oznakę współuczestnictwa.

Šimsa zapiął ostatni guzik - uporał się z sobą tak szybko, że wyglądało to na kłopot z rozsuptaniem pętelki - i był już w formie. Trwożne spojrzenie mięczaka nabrało wyrazu

pogardy. No chodź - krzyknęły wyzywająco jego oczy - komediancie, zaraz się przyznasz, że to ty jesteś Franz Mohr!

Wkrótce jednak zrozumiał, że trafiła kosa na kamień. REPOTA człowieka wybrała dobrze, a wychowała jeszcze lepiej. W dodatku pacjent znał cały „repertuar”, a sam stanowił materiał, na jakim tutaj jeszcze nikt nie pracował. Po dwudziestu czterech godzinach Šimsa mógł z czystym sumieniem powiedzieć, że uczynił wszystko, co było w ludzkiej mocy. Nawet obserwatorzy wbrew dotychczasowym zwyczajom wychodzili zapalić na korytarz, ażeby się nie zdradzić, że im się robi niedobrze. Obecnie mógł zmierzyć głębię bagna moralnego, z którym własnymi, obdartymi już palcami walczył: skala śledztwa musiała pacjentowi uprzytomnić, że nie ma żadnych szans, nawet jeśli się przyzna; musiał zatem kryć kogoś, kto dokończy nikczemnego dzieła, skoro wybrał nowe przykrości zamiast strzału w ciemność, którego by mu nie odmówił żaden osoroniarz. No bo chyba nie chciał wykazać, że Šimsa to dyletant.

On tymczasem po krótkiej przerwie, podczas której wszystkich ogarnęła mdląca senność, a pacjenta lekarz doprowadził do stanu używalności, mobilizował wszystkie siły i doświadczenia. Po kolejnych dwudziestu czterech godzinach pacjent nie miał już zębów, włosów, paznokci i brodawek piersiowych, ale Šimsa też nie miał zeznania. Groziło mu fiasko. I wtedy po raz pierwszy przysła Šimsie z pomocą wyobraźnia, która niebawem miała mu podsunąć pomysł podwójnego węzła, a jeszcze później pozwoliła mu dokonać kapitalnego wynalazku. Natomiast teraz w przyływie desperacji złapał przyrząd do łupania orzechów, który po niedawnym rzuceniu palenia miał stale przy sobie Szósty, i zabrał się do genitaliów pacjenta. Dotychczas je pomijał, jak gdyby przeczuwając, że są najdoskonalszym dziełem natury, które nad nim samym będzie mieć magiczną władzę. Boże - powiedział błagalnie on, ateista - pomóż mi! Jeszcze porządnie nie zaczął, kiedy stał się cud. Pacjent ochryple zakrzyknął, otworzył bezrzęse powieki i powiedział bezzębnymi dziąsłami cicho, lecz wyraźnie: - Dwufesty... ósmy...

Po czym zemdłał, a Šimsa w zasadzie razem z nim. Jak przez mgłę słyszał entuzjastyczne gratulacje, niewyraźnie czuł, że go osoroniarz raczej niesie niż prowadzi do łóżka, a potem zapadł w miękką ciemność. Przebudził się jako Dwudziesty.

Ale jego wspinanie się po szczeblach awansu dopiero się zaczynało. Na stole już czekał Dwudziesty Ósmy. W odróżnieniu od milkliwego poprzednika, którego brak przytomności, mimo usilnych zabiegów lekarza, skończył się tymczasem zejściem, jego kompan cierpiał na słowną biegunkę. Kaskadą obietnic, przysiąg, a nawet, choć był z niego męski młodzian, również łez, zapewniał ich, że Trzydziesty Pierwszy chciał się na nim

zemścić, bo niedawno ograł go na większą sumę. Jak gdyby Oldrzych był kamieniem, wraz z którym rozpada się cała tama, Dwudziesty Ósmy już po kilku godzinach przyznał się - Šimsa naturalnie dobrał mu się do jąder trochę wcześniej - że został zwerbowany przez Trzydziestego Siódmego w celu usunięcia... kogo, niestety, nie powiedział, ponieważ Šimsa właśnie zmiądzzył mu lewe jądro; prawie w godzinę później, kiedy sprawdzał, czy go ból nie wyrwie z omdlenia, ażeby dokończył zeznawać.

Trzydziestego Siódmego z miejsca aresztowano, ale czekano jeszcze dwa dni, póki żył Dwudziesty Ósmy, choć już nie doszedł do przytomności; właśnie po tym doświadczeniu Šimsa wyposażył „jądrołup”, jak trafnie nazwał przyrząd, w urządzenie blokujące. W tym czasie przyjął go znowu Pierwszy i mianował Osiemnastym; cień depresji się ulotnił, jak niegdyś w rzeźni, buchała z niego zimna energia. Przełożony dodał, że okoliczności są niestety takie, że nie może udzielić mu zasłużonego urlopu, ale pragnie mu to wynagrodzić pewną niespodzianką, którą znajdzie w pokoju. Łaskawa opiekuńczość, na którą Pierwszy nawet w tak trudnej sytuacji znajdował czas, nader Šimsę ujęła. Od małości państwo zastępowało mu matkę, a teraz dopiero poczuł, że ktoś staje się jego ojcem. Powodowany ogromną wdzięcznością, w której mieścił się również synowski szacunek, postanowił ani na jotę nie zawieść człowieka, będącego mu ostoją. Właśnie wtedy zaczęła w nim tykać zegarowa bomba uczucia, którą po dwudziestu latach miała odpalić Lizinka...

Stał się Pierwszemu jeszcze bardziej wdzięczny, kiedy najbliższej nocy nabrzmiewał i pograżał się w łonie wyjątkowej czarnulki, którą zastał, już nagą i pachnącą, w swoim miękkim łóżku. Nigdy o niej nie zapomniał, nie tylko ze względu na najbardziej spiczaste sutki, jakie widział w życiu, ale też dlatego, że go wprowadziła w tajniki kochania się, za które dotychczas uważał pospieszny stosunek na stojaka, z dziewczęcą nogą po żołniersku wsadzoną za pas. Kiedy nazajutrz wieczorem osoroniarz wezwał go na salę, po raz pierwszy nie chciało mu się iść do pracy. Przy rozstaniu wszakże dziewczyna bezbłędnie stanęła na baczność z piersiami sterczącymi jak dwie włócznie i zameldowała się jako Sto Trzecia, przydzielona mu na stałe jako osoługa (osobista obsługa).

Z nowym zapalem zabrał się do Trzydziestego Siódmego. Ten z początku gadał w kółko, że ci dwaj w zamrażalni zakapowali go z zawiści, no bo szybciej od nich awansował. Był to młodzieniec uparty i wytrzymały, ale Šimsa miał już swoje sposoby, w ciągu kilkunastu godzin zrobił milowy krok, jak rysujące dziecko, które wreszcie zrozumie zasady perspektywy. Ci dwaj z zamrażarki nauczyli go, że rewolucjonista, z którego wykluje się reakcjonista, zatracą cechy osobowościowe i zachowuje się jak zwykłe zwierzę. Zrozumiawszy to, całkowicie wyzbył się tremy, o którą go przyprawił nieboszczyk Oldrzych.

Zaskoczył pacjenta tym, że swój wynalazek - Czwarty w raporcie dla Pierwszego entuzjastycznie nazwał go „Soso Pomodoro” - z miejsca mu zaserwował. Trzydziesty Siódmy natomiast zaskoczył go przyznaniem się już w chwili, gdy poczuł na naskórku moszny chłód stalowych szczęk. Zeznał, że został zwerbowany przez Dwudziestego Czwartego i Dwudziestego Trzeciego w celu usunięcia Trzeciego. To oczywiście równało się wybuchowi granatu ręcznego.

Dzięki szybkiemu przyznaniu się Trzydziesty Siódmy wyszedł z przesłuchania tylko z małymi uszczerbkami kosmetycznego charakteru i zaraz mógł występować jako świadek. Kiedy konfrontowani, w sposób żenujący wyliczając swoje bojowe zasługi, obwinili go, że jest agentem TAWORE, który ma zdyskredytować najlepszych synów REPOTY, i że się na nich mści za jakąś dziewczynę, która dała im dwóm, a jemu nie, Šimsa unieszkodliwił ich - tu zakiełkował pomysł double-hangmenów - jednocześnie. Wystarczyło jedno przyciśnięte jądro, żeby zaczęli śpiewać posiadacze wszystkich czterech: przyznali się, że zwerbowali Trzydziestego Siódmego i czym prędzej dodali, że sami zostali zwerbowani przez Piętnastego i Czternastego w celu usunięcia Drugiego.

To oczywiście przypominało wybuch szrapnela, więc nic dziwnego, że w piwnicy zjawili się Trzeci i Drugi osobiście: Pierwszy chciał mieć absolutną jasność, ponieważ oddział pracujący absolutnie tajnie mógł istnieć tylko w atmosferze absolutnego zaufania. Od tej chwili Šimsie nie wolno już było działać w rękawiczkach, cęgi do orzechów zaś mogły świętować: objawiły rozmiary i kierunek zagrożenia.

Podczas wspólnego przesłuchania zatrzymani przyznali się, że zostali zwerbowani przede wszystkim w celu usunięcia Pierwszego. Z ich okrzyków można było zestawić przewrotny plan, wyrafinowany pozorną nierealizowalnością: Pierwszy miał być zadżgany po raporcie w saloniku, a trup zaszyty w skórę wypchanego niedźwiedzia, o porwanie mieli zostać oskarżeni pozostali członkowie siódemki i natychmiast mieli zostać zlikwidowani przez głównych spiskowców, którzy przejęliby kierownictwo: byli to Trzynasty, Dwunasty, Jedenasty, Dziesiąty, Dziewiąty i Ósmy!

To już można było porównać jedynie z wybuchem bomby i zjawił się sam Pierwszy. W atmosferze, która niezbyt odbiegała od hysterii, zachował poczucie rzeczowego obiektywizmu. Rozkazał, ażeby przede wszystkim stanęli przed nim wszyscy, czyli siedmiu, którzy się przyznali. Nikt nie śmiał oponować, więc przyniesiono również tych dwóch z zamrażarki. Pierwszemu nie drgnęła nawet brew. Zaapelował do nich, ażeby mu wyjaśnili, jaka idea, nagroda czy osobistość skłoniła ich do wzgardzenia ideami, nagrodami i osobistościami, które ich zaprowadziły do REPOTY. W odpowiedzi nastąpiła scena jak ze

snu: poza dwoma zamarzniętymi wszyscy przysięgali, że swoje przyznanie i oskarżenie wymyślili i że się prześcigali w niedorzecznościach po to, żeby dowódca się zorientował, nim zostaną okaleczeni lub zabici, że padli ofiarą diabelskiej intrygi.

Šimsa był blady jak ściana. On, który w życiu zabił jedynie parę cieląt, został pośrednio uznany za sadystę, który wykańcza współbojowników! Było to obraźliwe, ale i niebezpieczne w tej aurze podejrzliwości, kiedy wystarczyło, jak był tego świadkiem, jedno słowo i było się załatwionym.

Atoli również teraz Pierwszy go nie zawiódł. Powiedział oschle, że gdyby wszyscy dotrzyмали APASAM jak Siedemnasty - aby uwydatnić znaczenie tego faktu, z miejsca go awansował - nigdy by na REPOTĘ nie padł cień zdrady. Oświadczył, że w tym państwie obowiązuje domniemanie niewinności i że oficer śledczy aż do skończenia śledztwa jest pod jego ochroną. Po czym zarządził, ażeby przesłuchiwanie zostało tymczasem zamknięci czy też spaleni, a tu żeby dostarczono coś do jedzenia, zanim zostaną przeprowadzone nowe aresztowania.

Do zaimprovizowanej uczytu posłużyły dwa ustawione jeden za drugim i przykryte prześcieradłami „stoły zabiegowe”. W jakiś czas później Šimsa zobaczył w jakimś czasopiśmie reprodukcję, która mu ten wieczór przypomniała: Ostatnia Wieczera Pańska. Siedząc pośród swoich pod reflektorem chirurgicznym, który roztaczał nad nim sinawą aureolę, Pierwszy łamał i podawał dalej bułkę paryską. Była to pora doskonałego pokoju, w dodatku z akcentem komicznym: w środku biesiady pojawił się w swoich wąskich okularkach i z doktorską walizką Atrament-Siódmy i meczącym głosem poprosił, żeby byli łaskawi udać się do swoich pokojów po pobory, gdyż musi zrobić rozliczenie finansowe.

- Idź - powiedział mu Pierwszy nieformalnie, bo oprócz Šimsy byli w swoim gronie, twardo wskazując mu krzesło przy stole - do diabła, my tu robimy rozliczenie całego kramu!

Piwnica po raz ostatni rozbrzmiała męskim śmiechem. Po chwili REPOTA zadrżała w posadach. Na progu zjawił się potężny główny osoroniarz, podlegający wyłącznie Pierwszemu, na twarzy jego malowało się zdumienie i wściekłość. Ruszył wzdłuż stołu i trzema szybkimi ciosami zamroczyl Szóstego, Piątego i Czwartego. Po czym położył przed Pierwszym trzy dokumenty.

Na wierzchu leżał rozkaz Szóstego, skierowany do lekarza REPOTY, nakazujący mu natychmiast zaszczepić króliki numer 37, 24,23, 15 i 14; z podanych numerów wynikało, że miał za pomocą iniekcji uśmiercić skazanych więźniów. Chodziło o wszystkich pięciu świadków koronnych! W środkowym dokumencie Piąty rozkazywał dowódcy straży wyprawienie kremówki; znaczyło to, że ma wypuścić wóz pogrzebowy do okręgowego

krematorium. Na spodzie był kolejny rozkaz podpisany przez Czwartego, pozwalający na wyjście cukierników numer 13, 12,11, 10, 9 i 8. Dzięki temu nowo oskarżeni zdołali uciec, i to, jak się okazało, w największej panice, skoro zostawili w pokojach nie dopite alkohole, niedopalone cygara i nie dokochane dziewczęta.

Odzyskawszy przytomność, wszyscy trzej zaczęli krzyczeć unisono, że rozkazy są fałszywe, a podpisy podrobione. Na co Pierwszy oddał ich w ręce Šimsy. Wzorem szarych eminencji, dla których cudze zwłoki są jak ścięty łan zboża, na myśl o własnej śmierci natychmiast się rozkleili; Szósty, kiedy ujrzał jądrolup, przestał panować nawet nad swoimi jelitami i pęcherzem. Jeden przez drugiego przyznawali się do wszystkiego, aż się mdło zrobiło również Šimsie. Przy tym jednakowoż prosili, żeby swoje zeznania mogli powtórzyć przed prominentami najwyższego szczebla. Zamysł był przejrzysty: natychmiast podaliby je w wątpliwość podobnie bezczelnymi oświadczeniami jak ich współnicy. Pierwszy oczywiście tę prośbę odrzucił.

Po czym podziękował Šimsie i polecił Siódmemu wprowadzenie zakazu wychodzenia, wezwanie lekarza ze strzykawką i przyniesienie świecznika; mogło to oznaczać jedynie sąd i egzekucję. Wychodząc z piwnicy Šimsa zobaczył jeszcze, że Pierwszy siada między oboma zastępcami, tworzącymi wraz z nim trybunał. To, co teraz do niego czuł, to już nie był tylko szacunek, ale szczerą miłość synowska. Bardzo żałował, że życie nie nauczyło go słów, przy których pomocy mógłby to wyrazić, toteż przynajmniej przysiągł sobie, że do grobowej deski będzie podporą ojca, z którym połączył go wolny wybór i w którym obecnie widział jedyną rękojmię zagrożonej matki - państwa.

Był tak zmęczony, że kazał osłudze zrobić sobie tylko kąpiel i zasnął, ledwo dotknął głową poduszki. Spał snem sprawiedliwego, póki ręka, która bezskutecznie uderzała go po twarzy, nie ścisnęła mu przyrodzenia.

- Spocznij! - wykrzyknął jeszcze na pół śpiący - szpicocyco!...

W następnej sekundzie, jako że drył wpoił mu zdolność szybkiego przechodzenia z jawy w sen i vice versa, jakby skakał do wody, stał już na baczność obok łóżka, kiedy rozpoznał Siódmego, przypomniał sobie bowiem, że dzisiejszej nocy komiczny administrator wykonuje polecenia Pierwszego.

- Siedemnasty - zawołał już zupełnie cicho - melduje się na rozkaz, towarzyszu Siódmy!

Po czym pomyślał, że chyba jeszcze śni, widząc, jak chudy mężczyzna w okularkach, jakie nosili kiedyś konduktorzy tramwajowi, również sprężył się na baczność razem ze swoją walizką przyciśniętą do prawego ucha, i zawołał jeszcze ciszej:

- Siódmy melduje się do waszej dyspozycji, towarzyszu Drugi!

W tej pełnej zdyscyplinowania pozycji jał zaraz zdumionemu Šimsie przedstawiać wypadki wczorajszego wieczoru: Szósty, Piąty i Czwarty próbowali ratować swoje nędzne egzystencje oświadczeniem, że prawdziwymi przywódcami spisku są Trzeci i Drugi. Ci, zanim ktokolwiek mógł ich unieszkodliwić, trzech denuncjatorów po prostu rozstrzelali, co było równoznaczne z przyznaniem się do winy. Na szczęście, wypróżnili swoje magazynki, toteż można się było spokojnie z nimi rozprawić. Pierwszy nie widział innego wyjścia, jak własną ręką na miejscu ich zastrzelić i uzyskać na najwyższym szczeblu zgodę na wypożyczenie specjalnego komanda, z którym przeprowadziłby w REPOCIE „dezynfekcję”, zanim ją ożywi młoda krew nowej zmiany. Pierwszy jest już w rezerwowym punkcie dowodzenia i posyła mu swój wóz, ażeby odjechał z drugą, dodał nie po żołniersku, gromadką, czym potwierdził, że jego domeną są raczej kuchnie i pralnie. Za to Šimsa, żołnierz w każdym calu, natychmiast się zorientował w sytuacji.

- Więc naprzód marsz - powiedział surowo - Siódmy! Ruszcie dupę!

Błyskawicznie się ubrał i wybiegł z pokoju. Rozumiał, że nie ma czasu na pakowanie się, ale w przedpokoju przyszło mu do głowy, żeby z łazienki wziąć przynajmniej szczoteczkę do zębów. Otworzył drzwi i zdębiał. Na brzegu wanny siedział obcy mężczyzna w zielonym berecie i maskującym kombinezonie, który opinały wysoko sznurowane buty o grubej podeszwie; miał zakasane rękawy i przytrzymał pod powierzchnią wody, wylewającej się z wanny, bezwładne ciało; poznał je po spiczastych piersiach, sterczących nad powierzchnią jak peryskopy.

W innych okolicznościach rzuciłby się na niego. Obecnie jednak siódmym zmysłem pojął, że mężczyzna musiał przyjechać z Siódmym i wypełnia rozkazy Pierwszego. Dotarło to do niego raz-dwa. Wzdrygnął się na myśl, że jeszcze niedawno leżał na piersiach żmii. Mężczyzna niezgrabnie wstał, ażeby mu oddać honory. Ciało automatycznie wypłynęło na powierzchnię i wydawało się, że woda je zniesie Šimsie pod nogi. Cofnął się: na widok czarnego krocza, które miało się stać jego potrzaskiem, przeszedł go mróz.

- Kontynuujcie! - powiedział szorstko i wyszedł bez szczoteczki.

Na korytarzu potknął się o goryle ciało swojego osoroniarza. Z podłużnej rany na szyi bryzgała krew. Dopiero śmierć objawiła jego prawdziwe oblicze: wrogo szczyrzył zęby, a z mętniejących oczu wyzierał gniew. Boże! - struchlał Šimsa przeskakując go - tak nas nienawidzili! I tak nas osaczyli! Zrozumiał, że Pierwszy zaingerował za pięć dwunasta.

Samochód stał w miejscu, gdzie Šimsa przed dwoma laty wysiadł z wozu i stanął na tutejszym gruncie: olbrzymią limuzynę odziedziczył Pierwszy po dowódcy TAWORE, który

przyjął ją jako łapówkę od jednego z reakcjonistów, co sprawiło, że skręcił kark. Zza kierownicy wyskoczył główny osoroniarz i uprzejmie otworzył mu tylne drzwiczki. Siódmy z nieodłączną walizeczką usiadł z przodu. Šimsa rzucił okiem na pałacyk. Większość okien była oświetlona, w jednym z nich ujrzał mężczyznę pijącego z butelki, w innym całującą się parę. Tak właśnie, pomyślał, wyglądał „Titanic” przed zderzeniem z lodowcem. Ten statek wszakże wiozł ładunek zdrady, a lodowcem była karząca ręka ojczyzny: czuł się szczęśliwy, że jest jednym z jej trybów.

Samochód płynnie ruszył, ale zaraz ostro zahamował przed główną bramą. W światło skośnych reflektorów weszli kolejni komandosi: dwaj trzymali w pogotowiu pistolety automatyczne, trzeci rewolwer. Siódmy otworzył okienko i wyjął z walizeczki dokument. Šimsa zauważył, że obok bramy interesująco piętrzy się kilka par butów: ułożone w stożek - trzy pary podszew, na nich dwie i na szczycie jedna para - tworzyły jakiś dziwny domeczek ze skóry. Po chwili zrozumiał, że jest to szóstka byłych strażników. Rewolwerowiec złożył dokument i zasalutował Siódmemu z całym szacunkiem. Zanim Šimsa zdążył odsalutować, otwarła się brama i wóz ruszył pełnym gazem. Zdążył jednak dostrzec za zewnętrznym murem dziesiątki papierosowych ogników, oświetlających różowawe twarze pod beretami. Tak właśnie, pomyślał, wyglądała Noc Długich Noży. Tylko że ci wytną z ciała ojczyzny guz, który chciał zadusić państwo i rewolucję; był dumny, że jest jednym z ostrzy.

Samochód przejechał przez las i sunął przez pusty na pozór pejzaż terenów wojskowych, gdzie były ukryte jednostki, strzegące pokoju metropolii. Cichy dźwięk silnika, stała szybkość i świetne resorowanie uwolniły Šimsę od hektycznej gorączki i skłoniły do wewnętrznych refleksji. Swobodnie wsparł się o tapicerkę i patrzył przed siebie, gdzie między dwiema nieruchomymi głowami znikająca szosa, jak gdyby wciągana pod koła potężną nawijarką. Był od mężczyzn z przodu oddzielony pancernym szkłem i nagle przypomniało mu się, jak po raz pierwszy jechał podobnym gościńcem wciśnięty między kajdanki więziennej celi na kółkach. Wtedy przyjeżdżał tutaj jako neptek bez numeru, dziś odjeżdża stąd jako Drugi. Ciekawe, że nawet teraz nie wie dokąd. Choć czas obecnie był jeszcze burzliwszy, po wszystkich doświadczeniach Šimsa nie potrafił sobie wyobrazić, kto mógłby dybać na Drugiego, który nie tylko przyczynił się do ujawnienia agentury reakcyjnej w TAWORE, ale też sam ujawnił jeszcze reakcyjniejszą wtyczkę w REPOCIE. Ziewnął i przysnął.

Przebudziły go rytmiczne uderzenia. Z zamkniętymi oczyma zgadywał, co to za dźwięk. Kiedy ostatecznie skapitulował i uniósł powieki, wybałuszył oczy. W samochodzie był sam, wóz jak gdyby zsunął się po zboczach i stał skierowany chłodnicą w dół na skraju

mieszanego lasu. Na zawsze upamiętnił mu się obraz drzew iglastych, jakby wyciętych z kartonu na tle księżycowego nieba, podczas gdy liściaste wyglądały jak uplecione z drutu. Zbocze przypominało dużą łyżkę, leżącą do góry dnem; jego szpic coraz ostrzej spadał w stronę horyzontu, odsłaniając całą sytuację topograficzną: las tu ze wszystkich stron obrębiał krater, przez który w wulkanicznym dzieciństwie Ziemia wytryskiwała gorącą spermę. W dole u stóp przeciwległej skalnej ściany czarniawo jak nafta lśniła płaszczyna jeziora. Jedyną zawadą między nią a wozem była samotna brzoza, która właśnie została podcięta. Powyginany pień ze świstem wylądował na krawędzi skały, odbił się jak skoczek na trampolinie i potrójnym saltem zniósł się pod brzeg łyżki.

Šimsa zdawał sobie sprawę, że powinien czym prędzej wyskoczyć ze swojej trumny na kółkach, którą trzymały tylko hamulce i zaciągnięta na czwórce dźwignia biegów, ale nie był zdolny się poruszyć. Co się dzieje - zastanawiał się z przerażeniem - o co chodzi?? Ujrzał dwie postacie, niby kredens i wieszak, jak nedorzecznie przyszło mu do głowy, zbliżające się od strony urwiska; w ręku zaśnił metal. Zdrada! - smagneło mu umysł jedyne wyjaśnienie; wyobraził sobie, jak na podobieństwo miecza przelatuje między tapicerką i szkłem, podczas gdy wóz koziołkuje do wody, i poczuł rżnący ból w jądrach. Dlaczego - zdążył się zdziwić, w jądrach - czyż kiedykolwiek cierpiałem na zawrót gło... - myśl ucięła jak strzała jeszcze gorsza myśl: nie zbliżają się do niego przypadkiem z j ą d r o ł u p e m??

Tylko groza, która go zmroziła, uratowała jego prestiż. Na zewnątrz bowiem robił wrażenie człowieka niewzruszonego jeszcze w chwili, kiedy kredens, czyli główny osoroniarz, trzymając siekierkę przy szwie spodni z szacunkiem otworzył mu drzwiczki, przed którymi regulaminowo prężył się wieszak-Atrament. Šimsa usłyszał skrzeczenie żab i w nozdrza uderzył go zapach nieprzyjemnego butwienia roślin. Organizm zaskoczył jak silnik, który się przedtem zakrztusił, i ożywił żołnierskie odruchy. Zwinnie wyskoczył - przemagając ociężałość nóg - i skinął im głową! Rozdygotane ręce wsadził do kieszeni. Wciąż jeszcze miał się na bacności: po to, żeby świat wrócił na utarte szlaki, powinni mu się jeszcze zameldować. Znów go obleciał strach, kiedy Siódmy otworzył walizeczkę i wyjął potężny pistolet; ale administrator wręczył mu go lufą na zewnątrz.

- Oto wasza - powiedział uroczyście - broń.

Šimsa natychmiast ją rozpoznał: była to dziewiątka, jaką dokonał uboju cieląt. Zrozumiał, że zastępuje dekret nominacyjny i że dopiero teraz naprawdę stał się Drugim. Wciąż jeszcze z przejęciem ważył ją w dłoniach, kiedy ją nakrył arkusz papieru.

- To jego - powiedział Siódmy - zeznanie.

Na papier padł snop światła. To główny osoroniarz zapalił latarkę elektryczną i

usłużnie trzymał ją nad ramieniem. W miarę czytania Šimsa coraz mniej rozumiał:

„Niżej podpisany zeznaje, że z nienawiści do naszego ludu podstępnie zlikwidował rewolucyjne organizacje TAWORE i REPOTA, a wraz z nimi dziesiątki najlepszych synów naszego ludu. Zdaję sobie sprawę z tego, że jedyną karą za to nikczemne przestępstwo jest śmierć, toteż zobowiązuję się aż do ewent. wykonania wyroku naprawiać swoją winę bezprzykładną służbą naszemu ludowi. Skończył i własnoręcznie podpisał - Josef Marchevka”.

- A kto to - spytał Šimsa nic nie rozumiejąc - jest?

Światło latarki, z papieru przeskoczyło jak błędny ogień na dywan butwiejącego listowia, po czym wleciało na tylny zderzak i zatrzymało się na bagażniku. Siódmy się przemieścił równie bezszelestnie.

- Marchevka Josef doprowadzony - powiedział naciskając sprężynę zamka - na wykonanie wyroku, towarzyszu Drugi!

Pokrywa odskoczyła. Światło przesunęło się po rezerwowym kole i kanistrze, zatrzymując się na olbrzymim niemowlęciu. Był to mężczyzna, jak w powijkach zasnurowany w płachcie o barwach ochronnych; w ustach zamiast smoczka miał knebel. Šimsa skamieniał.

Pakunek, z którym tu przyjechał, to był niegdysiejszy pułkownik Artur, Pierwszy. Z jego niebieskich oczu ani nie zionął sławetny chłód, ani nie buchał przeczuwany gniew: odzwierciedlała się w nich jedynie błagalna prośba.

W pierwszej chwili struchlały Šimsa chciał krzyknąć - nigdy! To jakaś intryga! Toż wszystko, co mnie wyniosło aż do godności Drugiego, zawdzięczam właśnie jemu... toż on jest moim ojc...

I nagle w jego mózgu zaskoczył jakiś zawór.

Powtarzał sobie, co właśnie od Pierwszego usłyszał, iż celem naszej walki jest człowiek, ale i on przestaje się liczyć, jeśli wymagają tego interesy ludzkości; przypomniał sobie, ilu najukochańszych ojców wszczepiało synom najszlachetniejsze ideały, których sami potem się wyrzekali jak car, głaszczący na obrazie szkolnym następcę, przed chwilą zatłuczonego berłem; uprzytomnił sobie, jak ten szczywany papcio, który teraz zebrze o litość, chłodno obserwował, jak on na jego rozkaz staje z pistoletem oko w oko ze stadem rozszalałej zwierzyny; dopiero teraz odgadł, że cały tak zwany spisek był ohydnie uknuty przez jakiegoś nikczemnego Marchevkę, którego narzędziem stał się on, kiedy musiał zmuszać do zeznań niewinnych towarzyszy, pośród których był również jego jedyny i najlepszy przyjaciel Oldrzych. Poczul odrazę. A w dodatku zdawał sobie sprawę, że obserwują go wierne oczy

podwładnych, którzy mogliby jego wahanie uznać za słabość.

Uniósł pistolet - wszystko trwało tak krótko, że mogło uchodzić za chwilę niezbędnej koncentracji - i znowu był w formie. Odepchnął mięczakowato mętne spojrzenie zaszczutego drapieżcy stalowo zahartowanym spojrzeniem zwycięskiego łowcy. Myślałeś - syknęły nieubłaganie jego oczy - że masz od nas więcej oleju w głowie? No to chodź, ojczymie, sprawdzimy to!

Przytknął masywną lufę dziewiątki pod nasadę nosa, ażeby ułać tego parszywego oleju zdrady, i odpalił. Ujrzał jeszcze, jak między niebieskowodnistymi oczami otwiera się trzecie, niemal bycze oko, po czym zalał go oczyszczający gejzer białej kaszy: niczym para uchodziło z łobuza nagromadzone w nim zło. Mój Pierwszy! - pomyślał. Oblizął wargi, ażeby na zawsze zapamiętać również ten smak. Był mdły, a przede wszystkim obrzydliwszy od smaku mózgu cielecego, ale zaraz po połknięciu odniósł wrażenie, że jak w baśni rozumie mowę zwierząt i ptaków. Tak go to podekscytowało, że ponownie oblizął wargi. Zdumiał się, że na języku rozplywa mu się pikantnie aromatyczny smak, który przewyższał wszelkie rarytasy. W tym momencie usłyszał, jak pójdzki, świerszcze i żaby powtarzają zgodnie: - Jesteś Pierwszym! Jesteś Pierwszym!

Gdyby był wierzący, wiedziałby, że poznał własnymi zmysłami transsubstancjację. W efekcie uśmiech, który w nim się zrodził przed dwoma laty, kiedy dla ludzkości zabił pierwsze ciele, teraz, kiedy ludzkość uwolnił od pierwszej hieny, przebił skorupkę duszy i przedostał się na jego twarz. Šimsa się roześmiał.

Śmiał się jeszcze, kiedy Siódmy zatrzasnął pokrywę bagażnika, a główny osoroniarz puścił hamulce, i samochód jak koń kopnięty w słabiznę całą swoją olbrzymią wagą, ze zgrzytem wyrwawszy odziomek brzozy, sunął przed siebie aż na brzeg łyżki, po czym runął w głąbie. Šimsa śmiał się, a w kącikach oczu tworzyły mu się kurze łapki zmarszczek, które później miały być dla niego tak charakterystyczne.

- Przestań - powiedział główny osoroniarz - porykiwać, Šimsa!

Odebrał mu pistolet wraz z dokumentem i wolną ręką z wprawą obmacywał mu ciało.

- Na co sobie poz... - rozsierdził się Šimsa, ale zaraz zgasł mu głos i wzrok.

Więc jednak zdrada - westchnął, kiedy cios karate pogrążył go w ciemności jak latarnię.

Zbudziły go jakieś hałasy, ale przede wszystkim zimno. Leżał na brzuchu w mokrym listowiu, niechybnie długo; był zmarznięty, a nad sylwetką przeciwległego lasu unosił się świetlisty opar. Nie drgnął nawet, jedynie otworzył oczy. Małe zbocze roilo się od mężczyzn w beretach i w mundurach o barwach ochronnych. Jeden wyskoczył z pękatego pojazdu,

który zjeżdżał dalej, aż stoczył się w głębinę wraz z kawałkiem zbocza. Šimsa w tym pojeździe nieomylnie rozpoznał „kremówkę”. Likwidują, pojął i oblał go zimny pot. Instynkt samozachowawczy podsunął mu rozwiązanie: udawać martwego. Pewnie mnie zrzucą w dół - wmawiał sobie gorączkowo - jestem młody i trenowa...

- Šimsa! - rozkazał ostry głos. - Wstać!

Dryl wziął w nim górę nawet nad instynktem samozachowawczym i postawił go na baczność. Przed nim na składanym krzeselku siedział Siódmy, za nim stał główny osoroniarz, obaj byli teraz w mundurach komanda. Walizeczkę trzymał dla odmiany stojący, a tymczasem siedzący miał w ręku przyrząd do łupania orzechów. Šimsa zaczął dygotać. W jądrach poczuł taki ból, że o mało nie zwałił się.

- Jako dowódca - powiedział Siódmy głosem, który niczym nie przypominał głosu kontrolera finansowego - świeżo stworzonej Straży Tajnych Wojsk Rewolucyjnych, w skrócie STAWREW, udzielam wam pochwały za męstwo w likwidacji zbrodniczej organizacji REPOTA. A że należycie do tej nielicznej grupy personelu, która nadal może być przydatna, pytam was, czy jesteście gotowi służyć naszemu ludowi -

dodał już nie jako Siódmy, ale jako Pierwszy, unosząc trzymany przyrząd w sposób, który jasno określał funkcję Šimsy.

- pod moim dowództwem?

- Jestem - cicho powiedział Šimsa bez namysłu usiłując przerwać coraz ostrzejszy ból w podbrzuszu - gotów!

- Mówicie - huknął na niego niegdysiejszy główny osoroniarz - z generałem!

- Jestem gotów - wyszeptał ponownie Šimsa - towarzyszu generale!

- Głośno! - ryknął generał, aż pod Šimsą ugięły się nogi - stawrewak nie ma się czego wstydzić!

Šimsa o mało co zdarłby sobie głos.

- Dajcie mu - powiedział zadowolony generał - zeznanie, pułkownik.

Były główny osoroniarz sięgnął - wyglądało na to, że stał się Atramentem STAWREWU - do walizeczki i podał Šimsie kolejny arkusz papieru i baterijkę, ażeby sam sobie poświecił. W miarę czytania Šimsa rozumiał coraz więcej.

„Niżej podpisany zeznaje, że z nienawiści do państwa rewolucyjnego wybitnie przyczynił się do brutalnej likwidacji rewolucyjnej organizacji REPOTA i osobiście zlikwidował jej rewolucyjnego przywódcę. Zdaje sobie sprawę z tego, że jedyną karą za to nikczemne przestępstwo jest śmierć, toteż zobowiązuje się aż do ewent. wykonania wyroku naprawiać swoją winę niezmordowaną służbą rewolucji. Skończył i własnoręcznie podpisał -

Paweł Šimsa".

Przeczytał i ostatkiem sił - ucisk w kroczu zaczął być nieznośny - patrzył na swój rękopis z charakterystycznymi błędami w interpunkcji. Wszystko, z podpisem włącznie, było tak wiarygodne, że mało brakowało, żeby zaczął się zastanawiać, kiedy to napisał; zdawał sobie sprawę, że sąd jeszcze łatwiej uwierzy w prawdziwość tego zeznania. I oto niczym koraliki na nitkę tego zeznania nawlekły mu się fatalne rozkazy Szóstego, Piątego i Czwartego, a także „zeznanie” Pierwszego: już nie miał, niestety, wątpliwości, że ich rzekomi autorzy, których strawił ogień krematorium czy jeziorne ryby, nigdy ich nie napisali. Na tej anonimowej skale w ściśle zamaskowanym miejscu, którego najpewniej nie ma na żadnej mapie, ostatecznie dojrzał do przekonania, że polityka nie jest aż tak prostą rzeczą, a państwo - nawet rewolucyjne! - aż tak sprawiedliwe, jak sobie dotychczas wyobrażał. Nader chętnie wyciągnąłby z tego naukę na całe dalsze swoje życie, ale z kartki w jego ręce tchnęła zagłada. Za co?? - chciało mu się krzyżeć - dlaczego właśnie ja?? Ból go dosłownie zżerał, wiedział, że podsycza go strach.

Generał wstał, podszedł do niego, wziął kartkę i pstryknął w nią palcem.

- To tylko na wypadek - powiedział z naciskiem - gdyby wam przyszło do głowy dać - dodał ostrzegawczo

- drapaka.

Ucisk w genitaliach stał się absolutnie nie do zniesienia.

Šimsa głośno jęknął. W duchu przeklinał się za swoje zaślepienie miłosne, które mu kazało również tę noc spędzić bez kobiety, skoro to nie może być taka, jakiej pożąda. Królestwo - przypomniał mu się jakiś słynny cytat, który słyszał od plutonowego Oldrzycha - za kurwę! Ale był już tak zmęczony, że nie byłby zdolny nawet wykrzyknąć. Będąc w najwyższej potrzebie powtórzył hasło, którym posługiwał się Vlk, kiedy w prowincjonalnych wykańczalniach brakowało mu tego czy owego: *Do it yourself!* Ostrożnie i nie bez lekkiej odrazy ujął lewą, zręczniejszą ręką swój zbolący od pożądania członek, wyobraził sobie anielsko czyste, a zatem diabelsko kuszące ciało i załatwił

się sam.

Z łazienki wrócił nowy człowiek. Zabójczy ucisk bezboleśnie wybrzmiewał jak wyrwany ząb. Jak każdy mężczyzna, który w porywie namiętności uwalnia się od balastu

nasienia, poczuł - chociaż poczynął sobie w sposób tak niezwykle dla siebie - fantastyczną lekkość; wydawało mu się, że jest balonem, który szybuje bezszelestnie pośród obłoków. Wszystko powróciło do zwyczajnych proporcji, z ptasiej perspektywy jeszcze przejrzystszych: ona była niedoświadczonym, choć urzekającym dzieckiem, podczas gdy on już przecież co nieco - uśmiechnął się - zaliczył, a przede wszystkim - tu spoważniał - przeżył.

Także STAWREW. Doświadczenie polityczne, które w nim wykrystalizowała owa noc, kiedy płomień i woda pochłonęły REPOTE, miało go już zawsze później chronić przed bezkrytyczną naiwnością. Całą siłę witalną uruchomił w służbie planu, który paradoksalnie podsunął mu ten, kto go przed tym planem ostrzegał: jak bez zwłoki i ryzyka „dać drapaka”. Miał szczęście, jakie jest udziałem wybrańców: sam generał, ulegając namowom jakiegoś przyjaciela, wysłał go rozkazem „do czasowego wzmocnienia państwowej drużyny katowskiej”, która nie była w stanie sprostać fali wielkich procesów politycznych. Pierwszy aplauz - pamięta go do dziś - był błogosławiony w skutkach. Na życzenie mistrza został wydelegowany również do następnej rundy i to wystarczyło: z kolejną partią klientów trafili do centralnej wykańczalni również pułkownik i generał. Kiedy Šimsa zobaczył ich przez judasza w drzwiach „poczekalni”, udał atak bólu zębów. Zazdrość Vlka tymczasem przerodziła się w sympatię, toteż zupełnie wyjątkowo posłał go do własnej dentystki. Ta odkryła tak rozległe zapalenie, że ząb usunęła.

Podczas tej operacji przeżył nowy szok: okazał się niezwykle wrażliwy na ból. Choć powstrzymywał się całym wysiłkiem woli, jego ręce i nogi broniły się z taką gwałtownością, że niewiele brakowało, a wezwalaby do pomocy dwóch osiłków z psychiatrii. W tym momencie wróciła z zakupów jej czarnowłosa instrumentariuszka i jak tylko ujęła go za rękę, ze wstydu już ani drgnął - być może wtedy zakiełkował w nim pomysł kacicy! (Wzruszona lekarka zwróciła się do męża, żeby tego wrażliwego chłopca zaprosił do nich na kolację; uczynił zadość jej prośbie i Šimsa zdumiał się niepomierne, kiedy mu sos koperkowy serwowała jego dentystka, która okazała się żoną mistrza; a że była purytanką jak Vlk, Šimsa nie zwierzał się jej ze swoich zamięłowań seksualnych, toteż przez całe lata szukała dla niego narzeczonej; kierowała się przy tym własnym typem urody, a on od tych płochych blondynek rozpaczliwie się wymigiwał, co ją również wzruszało, wręcz radowało, i w ten sposób dzięki Šimsie pogodziła się z nową sytuacją duchowo, ale, niestety, nie udało się to jej ciału). Ze spuchniętą twarzą pospieszył z powrotem do pracy, co przyniosło mu pochwałę i premię; nie pochwalił się nigdy przed nikim, że po prostu chciał się przekonać, czy „stawrewacy” są naprawdę załatwieni. Po czym zwrócił się do Vlka z prośbą o krótki urlop i przez tydzień

uderzał w gaz jak maturzysta, któremu się zdaje, że najgorsze w swoim życiu ma już za sobą.

Rzeczywiście miał. Pojął, że państwo nie jest Bogiem i nie tylko go to nie wytrąciło z równowagi, ale, wręcz przeciwnie, dzięki temu doświadczeniu stał się dojrzałym obywatelem. Zrozumiał, że zrealizować ideały młodości może nie tyle w sferze wielkiej polityki, gdzie łatwo być ustrzelonym lub roztrzaskanym przez błędny meteoryt, ile trzymając się swego kopyta: uczciwej pracy, która pozwala człowiekowi rozwinąć wszelkie zdolności, i to pod osłoną prawa. Swojej przeszłości oczywiście się nie wypierał - odrazą napawali go dorośli ludzie, którzy publicznie sypali sobie na głowę całe urny popiołu - oceniał ją krytycznie, ale ze zrozumieniem, zapewne jak artysta oglądający swoje juvenilia. Stara się nawiązać do wszystkiego, co pozytywne, i strzec się błędów, zwłaszcza cieleącego entuzjazmu i ślepej ufności.

Dzięki temu znalazł właściwe miejsce w społeczeństwie, w którym rewolucja tymczasem stała się trwałą instytucją, a wkrótce znalazł również ukochanego, przez tyle lat daremnie wypatrywanego ojca - nie w awanturniku bynajmniej, jednym z tych, którzy zjawiają się i znikają nie zdążywszy dzieciom zapewnić podstawowych zabezpieczeń, ale w mężczyźnie tak wykształconym, zrównoważonym i pożytecznym, jakim był Vlk. W zasięgu światła tej latarni szczęśliwie przepłynął rafy dwudziestu lat. Dlaczego by zatem teraz, kiedy się wreszcie wyszumiał i zaczął tęsknić za prawdziwą miłością, w której niezgłębioną namiętność harmonijnie równoważy niebotyczna czułość, nie miał z powodzeniem przewyciężyć również szaleństwa ostatniego wysoku?

Leżał dotychczas nago na nierozścielonym tapczanie, ale wrażenie, że się unosi, wciąż mu przyjemnie towarzyszyło. Zaspokojony seks z powrotem oddał mózgowi ster nad jego rześkim znowu organizmem, a zatem niejako z góry mógł studiować scenę przygotowywanej operacji. Dostrzegł trzy przeszkody. Vlk ze swoją absolutną moralnością, która nie dopuszczała stosunków pozamałżeńskich i przeciwstawiała się choćby niewinnym flirtom w miejscu pracy, a już w żadnym razie między pedagogiem a uczennicą! (A co z jego żoną? - przyszło mu nagle do głowy; postanowił w poniedziałek wstąpić do niej do przychodni i uczynić z niej sprzymierzeńca, choćby miał to przypłacić całą szczęką). Po wtóre - pani Tacheci, która po swojemu tłumaczyła sobie ten nieszczęsny coitus - w dodatku tylko interruptus - i murem stanie przeciwko niemu nie tylko jako zraniona matka, ale również jako wzgardzona kochanka. No a przede wszystkim - doktor Tacheci, w przekonaniu Šimsy typ na sposób azjatycki niepoczytalny, który mógł rozpętać prawdziwe piekło nie tylko jako skrzywdzony ojciec, ale też - gdyby z zemsty zwierzyła mu się ze wszystkiego małżonka - jako oszukany mąż. Tak, jedyna droga, pozwalająca ominąć te trzy przeszkody, prowadziła

przez kolejną, czwartą, poprzez - tu Šimsa znów się zdenerwował i mózg musiał przekonywać ciało, że myśli o niej nie jako mężczyzna, lecz jako strateg - błonę dziewiczą swojej wybranki. Jak tylko się przez nią przebije - a skłaniały go do tego wigor i chęć - jak tylko „causa belli” - jak mawiał Doktor - to nie będzie „virgo intacta” - jak mawiał Vlk - ale normalnie - jak czytał w literaturze współczesnej - „zerżnięta” kobieta, i układ sił będzie zupełnie inny!

Przede wszystkim u jego boku stanie ona sama, bo będzie chciała jak najszybciej móc być bez przeszkód przewracana i obracana. Po czym zadziałają mechanizmy mieszczańskiej moralności, której nienawidził, ale teraz jej potrzebował, a zwłaszcza sakramentalnej formuły: „Jak ten wstyd zatuszować”. Na to on rzuci na szalę swój honor i uczucie, a jednocześnie ze względów taktycznych poprosi Vlka, żeby zechciał być jego świadkiem. Nie brał pod uwagę niepowodzenia. Widział już ceglasty chodnik, ciągnący się od gotyckiej bramy ratusza aż do secesyjnego powozu, brąz koni, czerń fraka swojego i Vlka, biel woalu Lizinki, bladezielony szpaler galowych mundurów więziennej straży i zaróżowione śmiechem twarze dzieci, wkładających na szyję eleganckiej parze nowożeńców wspólną pętlę, tym większe przynoszącą szczęście, że już wykorzystaną. Widział największy salonik najlepszego hotelu w mieście, stoły uginające się pod brzemieniem kawioru, łososia i mózdzku cielęcego, tak, ten ostatni musi tam być choćby dla uspokojenia przesądów, nieważne czy w postaci pasztetu czy zapiekany, strzelające pod sufit korki win musujących - nowożeńcy, rodzice i świadkowie będą oczywiście pić oryginalny szampan - a przede wszystkim widział jej oczy, na przemian spoglądające na niego i na wskazówki zegarka w nadziei, że popędzą czas i przyspieszą chwilę, w której zacznie się ich wspólne życie, i wówczas zdał sobie sprawę, że to nie będzie wcale bezkształtna przestrzeń ze snu, ale - zanim coś nowego kupi, zbuduje czy uzyska na drodze wymiany - to niewielkie mieszkanie, starokawalerska garsoniera, której spartańska surowość miała kolejne kochanki pozbawić jakiegokolwiek nadziei na to, że mogą się tu zagnieździć, a która teraz zdawała się nie móc doczekać chwili, kiedy Ona rozstawi tutaj buteleczki i rozwiesi wieszaczki; że na tym łóżku, ringu niezliczonych walk miłosnych, w których przez lata odnosił zwycięstwa, teraz po raz pierwszy da się wyliczyć do dziesięciu, i że właśnie w wyniku tych porażek będzie mógł rozpocząć... olśniła go myśl, że on, który od swojej kolebki-śmietniczki szukał ojca, może nim się stać sam.

- ...dwa, trzy, cztery - liczył na głos wyschłymi wargami, jak gdyby ta chwila już nadeszła - sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć...

Jęknął. Chociaż leżał bez ruchu, ręce i nogi sterczące, jak przy łamaniu kołem, nastęrczyły mu tak żywą i niepohamowaną wizję, że się zmaterializowała i wzbijała z jego

krocza białą lawą, która przez wiele sekund zalewała mu brzuch, uda i twarz.

Był do tego stopnia jeńcem swojej namiętności, że przy wyjściu nie powiedział dzień dobry dozorczyńi, która, poczuwszy się dotknięta, przestała zamiatać i zaczęła mu się przyglądać, ale ujrawszy wyraz jego twarzy, szybko zeszła mu z drogi; w jego minie nie odzwierciedlała się niepoczytalność, ale ogarniające go już ponownie pożądanie, które po godzinach dręczącego półsnu wyrzuciło go na brzeg

38

poranka i za kierownicą sportowego wozu gnało go wśród niewielkiego w sobotnie przedpołudnie ruchu ulicznego pod bramę rzeźni. Pod posągiem cielęcia, ufnie patrzącego na posąg rzeźnika z pałką, ujrzał skaczącą na jednej nodze osóbkę. Blask jej włosów przywrócił mu zdrowy rozsądek, przypomniał sobie pierwsze przykazanie uwodziciela: im więcej od niej chcesz, tym mniej się jej narzucaj. Docisnął hamulec i brawurowo zatrzymał się tuż przy niej.

- Tacheci - powiedział niedbale, ażeby zamaskować swoje podniecenie - zimno ci?

Lizinkę zaintrygowało szczególne zjawisko. Jak tylko podskoczyła w górę, zdawało jej się, iż rzeźnik wali pałką. Jak tylko przykucnęła, pałka zdawała się unosić w górę. Kiedy stała nie ruszając się, nie poruszał się również rzeźnik i cielę mogło znowu mieć nadzieję. Na pytanie potrząsnęła przecząco głową.

Docent rozejrzał się, jakby własnym oczom nie wierzył.

- Gdzie są wszyscy? - zapytał z dobrze odegranym zaskoczeniem.

W odpowiedzi wzruszyła ramionami.

- Psiakrew! - zaklął z wiarygodnym przestraczem w oczach. - Czy tej zbiórki nie wyznaczono o godzinę wcześniej?

I żeby nie miała czasu na zastanowienie, czym prędzej przechylił się przez siedzenie obok, otworzył drugie drzwiczki i przykazał głosem rozdrażnionego belfra:

- No, szybko, wsiadaj! Musimy ich dogonić!

Potem celowo już milczał, żeby swoim natręctwem nie wzbudzać w niej podejrzeń. Przed samym wjazdem na szosę przycisnął guzik obok zapalniczki; świetnie wyćwiczonego spojrzeniem spod oka - kat musi widzieć, co się święci, powtarzał uczniom, on i pogromca pracują z materiałem bez zasad moralnych, a więc zdolnym do wszystkiego - obserwował z zadowoleniem, jak urzeka ją mechanizm, który podniósł najpierw w górę, niby żagiel, złożony z tyłu dach, po czym szczelnie przykrył nim wóz. Wraz z ciepłym powietrzem do

wnętrza napływała jak gdyby wyraźnie intymna atmosfera. Uzmysłowił sobie, że po raz pierwszy jest z nią sam na sam, ciało przy ciele, i to w separe sypialenki na kółkach. No tak, na tablicy pokładowej był również guzik, który opuszczał przednie oparcie do poziomu tylnego siedzenia wytwarzając w ten sposób tapczanik polowy, na którym już niejedną dziewicę otworzył na rozkosze życia, w przypadku gdy nie miał ochoty zabrać jej do mieszkania lub do domku letniskowego. Zerkając na czysty i bezbronny profil Lizinki, zaczynał do tego stopnia drżeć o to, żeby jej nie utracić, że gotów był zjechać z szosy w pierwszą lepszą boczną drogę i dobrać się do tej ślicznotki w najbliższym lesie... W te pędy jednak sam siebie ofuknął. - Głupcze! Toż ona nie jest jedną z tych czarnowłosych lolitek, co to wsiadają do wozu już bez majtek! Teraz też wreszcie dotarło do niego, że zapach macierzanki i rumiankowego ziela, który tak mocno odczuwa, napływa nie z zewnątrz, z okolicznych pól, których pancierz dopiero zaczynają opukiwać promienie nasilającego się słońca - to wiosna, przypomniał sobie ze wzruszeniem, dzisiaj jest pierwszy dzień wiosny! - ale z jej ciała nietkniętego jeszcze przez perfumy, tak jak jej duszy nie nawiedziła jeszcze namiętność. Nie, nie chciał jej osiąść niczym tuzinkowi „przelatywacze” - jak ich nazywał - ani jak zwykłą puszczałką, jakimi po odbyciu stosunku się brzydził. Pragnął się z nią kochać jak z królową: na łożu z baldachimem, przy huku armat i wiwatach tłumów.

Z marzeń wyrwał go alarmujący sygnał: wskazówka obrotomierza głośno dawała mu znać o przekroczeniu krytycznej strefy. Otrzeźwiał w jednej chwili i z rutyną doświadczonego pilota milimetr za milimetrem zwalniał pedał gazu, aż doprowadził pracę silnika do normy. Truchlał na myśl, jak łatwo mógł zepsuć samochód i unicestwić wszystkie swoje zamierzenia w tym rozległym i uczęszczanym krajobrazie. Zarazem deprymował go i niepokoił fakt, że w sytuacji, gdy przeciążona maszyna wibrowała na każdym złączu, panienka nie poruszyła nawet brwią. Dziewica... - powtarzał sobie w duchu - i zaraz przypomniał mu się obraz szkolny, na którym równie szczupła osóbką w zbroi wspierała się o ciężki miecz. Szybko jednak przezwyciężył chwilowe i niezwykle u niego zdenerwowanie: jego urok i sex appeal zawsze dotychczas sprawiały, że nawet najbardziej żelazne dziewice same odkładały rynsztunek i otwierały przed nim bramy.

Omal nie przejechał skrętu, na który kierował go drogowskaz, i jedynie odważny poślizg zaoszczędził mu wielokilometrowego objazdu; nawet teraz, zauważył, nie zareagowała. Jeszcze przez pół godziny objeżdżali bocznymi drogami pola z kopczykami grudkowatoszarego śniegu, zanim z przerywanym poświstem wjechali w tunel bezlistnej i pustej alei. Przed nimi szybko wyrastała ciemnoróżowa fasada. Šimsa zaczął hamować, przerwy między poświstami się przedłużały, a tymczasem na gałęziach zaczął rozpoznawać

paki, gotowe do salw wiosennych. O koła zabębniło belkowanie mostku i wóz zatrzymał się przed zamkiem na wyspie, mieszczącym depozytarium Muzeum Orientalnego. Gładką toń jeziora mąciły jedynie dwa szczupłe łabędzie, które przedwcześnie powróciły z południa i nie bardzo wiedziały, co począć jako pierwsi kurortowi goście. Oprócz nich, jak okiem sięgnąć, nie było żywej duszy, nie mówiąc już o mikrobusie z całą klasą.

- Jak to? - zaniepokoił się Šimsa.

Wysiadł z wozu i rozglądał się za jakimś miejscem do zaparkowania. W pewnej chwili uzmysłowił sobie, że padł ofiarą własnego urojenia. Z tym większym przekonaniem tę fikcję rozwijał.

- Zapytam o nich - oznajmił Lizince i ruszył w stronę małej furtki w ciężkiej dwuskrzydłowej bramie.

W kuchni, dokąd zaprowadził go zapach gęsiej pieczeni - widząc, jak żona administratora ją podlewa, pomyślał, że jest to być może łabędź i poczuł lekkie mdłości - dowiedział się tego, co sam tu rano w imieniu Vlka przetelefonował. Kiedy ponownie znalazł się na dworze, musiał głęboko wciągać w siebie świeże powietrze. Naładowany tlenem, stanął jak wryty: Lizinka się przeciągała. Ręce odrzuciła do tyłu, podgięte nogi oparła o schowek pod przednią szybą i wyprężyła się tak, że jej ciało tkwiło na oparciu jak cięciwa łuku. Przy czym po osunięciu się rozpiętego sweterka pod trykotową obcisłą koszulką zarysowały się piersi, jakich Šimsa się spodziewał. Z miejsca niemal wykrzyknął czując, jak mu nieoczekiwanie i szybko niczym strzała zareagowało przyrodzenie. Dopasowane dzinsy zwielokrotniły ból. Jęknienie uratowało go od zakrztuszenia się powietrzem. Ale to nie było wszystko: na pozór wymarła okolica świdrowała go tysiącem oczu i jak miecz Damoklesa wisiała nad nim groźba, że z zamku w każdej chwili może ktoś wyjść; czuł się zbity z tropu, tym bardziej że dziewczyna otworzyła właśnie oczy i przysięgłby, że ujrzał w nich drwinę. Zacisnął zęby, prawą rękę wsadził do kieszeni spodni, żeby złagodzić napór z lewej strony, i ruszył do wozu.

Lizinka go obserwowała. Kiedy robił krok prawą nogą, prawa pięść napinała prawą kieszeń. Kiedy zaś postępował lewą, na lewej kieszeni zarysowywała się lewa pięść, mimo że lewą rękę trzymał na pasku ze skomplikowaną sprzączką w kształcie podkowy.

Napalony do granic wytrzymałości, jako że rżnący ból napęczniałego żądzą krocza dawał mu się niesamowicie we znaki, co przypominało mu pewną noc świętojańską sprzed lat, postanowił odrzucić wszelką taktykę. Albo - mówił sobie w duchu - wydawało mi się tylko, że ze mnie drwi, i niepotrzebnie uciekam się do wyrafinowanych chwytów podrywając to prostolinijne dziecię, albo dawno wie, o co chodzi, i nie ma sensu zadrećcać się i

przedłużać tej gry! Doszedł w niej już do punktu, w którym musiał rwać dziewczynę za wszelką cenę. Jedyne jako jego kochanka dałaby sobie oczy zamydląc kłamstwem, które by go zupełnie zniszczyło w oczach uczennicy. Toteż ją naraz jak z rękawa sypać zdaniem, wymyślonymi w nocy, licząc, że w ciągu dnia stopniowo i niepostrzeżenie urobią ją tak, iż będzie mógł dopiąć celu.

- Nie przyjechali - mówił, jakby telegrafował. - SzeF ma lumbago. Nie dodzwonili się do nas. Może wstąpimy gdzieś przynajmniej na obiad? Znam tu fajny lokal. A co z tak miło rozpoczętym wieczorem? A może by na kawkę po irlandzku? Przypadkiem mam w pobliżu domek letniskowy. Rano muszę załatwić jedną rzecz. Może przy sposobności zrobisz zaliczenie? Prześpisz się tutaj. Więc -

zapytał bez ogródek

- jak?

Był zdecydowany zawieźć ją do siebie choćby przemocą, ale modlił się w duchu, żeby powiedziała: tak. Jej zgoda miała wartość pierścionka zaręczynowego, gdyż w ten sposób przyjęłaby na siebie współodpowiedzialność. Zsunęła się na przednie siedzenie i zapięła pas bezpieczeństwa. Odpowiedź nie była jednoznaczna, ale uznał ją za pozytywną. Syknął wciskając się za kierownicę, zupełnie jakby miał lewą nogę z drewna, ale zaraz prawą nacisnął na pedał gazu i wóz z piskiem wyjechał na ostatni etap. Docent, rzecz jasna, nie pisał już o obiedzie ani słowa i z kolejnych odcinków jazdy zrobiła się stukilometrowa trasa. Odbywali ją w milczeniu, a mimo to miał wrażenie, że trwała krótką chwilę. Niewątpliwie również dzięki temu, że ostry ból krocza stał się raczej drażniący, i to w sposób przyjemny, oraz że podczas jazdy obmyślił aż do najdrobniejszych szczegółów ostatni akt gry z Lizinką: miał być kulminacją przechodzącą w pierwszy akt miłości.

Jego domek letniskowy niczym się z zewnątrz nie różnił od innych w tej osadzie, oddalonej od centrum metropolii nie więcej niż dwadzieścia pięć kilometrów. Kupił go za psi pieniądz, ponieważ właścicielce, która sama go wyszukała za pośrednictwem opłaconego klawisza, przyrzekł, że zgładzi zabójcę jej męża, widocznie jej kochanka, absolutnie bezboleśnie; bezskutecznie ją zapewniał, że tak pracuje zawsze; była to prosta kobieta, która wierzyła w dobroć innych dopiero wtedy, gdy ją posmarowała. Na koniec był podwójnie zadowolony: odkrył stosowany przez jego poprzedników, ale zapomniany już sposób, jak w latach chudych sobie dorobić, no i zyskał idealnie usytuowany domek letniskowy: dwadzieścia kilometrów stąd znajdowało się stare więzienie, gdzie odsyłano przypadki egzekucyjne, kiedy w centrali - w takich razach groziło to personelowi atakami neurozy - nagromadziło się ich zbyt wiele. Póki uprawiał aktywnie sport i biegał do pracy piechotą,

takie dystanse to było dla niego małe piwo. Później... cóż, posiadał go demon szybkiej jazdy...

Gdy na sygnał dźwiękowy brama garażowa podniosła się i pozwoliła im wjechać do środka, a następnie fotokomórka otworzyła przed nimi drzwi na korytarz, był dumny jak paw. Nie zdjął okiennic, jako że na dworze było słoneczne popołudnie, natomiast po włączeniu atrakcyjnej kasety, notabene pochodzącej z zarekwirowanych nagrań kapeli skazanej przez sąd za uprawianie reakcyjnej muzyki, w salonie zapaliły się kolorowe światła i otworzył się barek. Z butelką irlandzkiej whisky w ręku poprowadził Lizinkę obok automatu do zmywania naczyń w stronę nowoczesnej wnęki kuchennej, gdzie włączył elektryczny młynek do kawy. Przy sposobności pokazał jej własną kompozycję plastyczną, którą żartobliwie nazwał „Tablica zgładzeń”; wylepiał na niej od początku swojej kariery krótkie wycinki każdego stryczka; żeby nie traciła czasu na liczenie, z miejsca pochwalił się, że jest ich dziewięćset osiem.

- Asystowań - wyszczerzył zęby - w przeciwieństwie do hokeistów nie liczę!

Zaprowadził ją też do WC, poprosił, żeby usiadła na sedesie, po czym napawał się jej zachwytem, kiedy z rezerwuaru rozległy się kuranty dzwoneczkowe, podarunek bożonarodzeniowy od państwa Vlków, u których po raz pierwszy mógł się czymś takim rozkoszować. Następnie przyszła kolej na chlubę Šimsy - piwnicę. Miał w niej pracownię, która zadowoliłaby ślusarza, elektryka i stolarza. A na jej środku pod reflektorem, w którego ostrym świetle zyskuje na świetności nowoczesny projekt, stał owoc wieloletnich wysiłków, wynalazek, zasługujący na epitet „epokowy”. Od trzech lat stał tu jako prototyp i miał stać tak długo, aż Vlk odejdzie na zasłużony odpoczynek. Šimsa życzył mu wielu lat wspaniałej formy w zawodzie egzekutora, ale musiał być przygotowany, że w pewnej chwili on stanie się numerem jeden w zawodzie i w szkole; toteż na tę okazję przygotował własny prezent inauguracyjny niezwyklej wartości: stół do wieszania.

Na razie go nie pokazał nawet Vlkowi. Lizinka od czasów STAWREWU była pierwszą istotą, która mu przywracała poczucie pierwotnej ufności. To nie nowina - mówił jej właśnie, a jego głos wibrujący wzruszeniem jemu samemu wydawał się jakiś obcy - że podczas egzekucji na UBIENIU niepodobna wykluczyć niemiłych niespodzianek i niepożądanych efektów. Dopóki klient czuje grunt pod nogami, usiłuje walczyć o swoje życie nie zważając na to, że ono już należy do państwa. Szczególnie wytrzymały kark jest zdolny przez szereg minut opierać się nawet najlepiej zawiązanej pętli, a także najdoskonalszemu szarpnięciu; to naturalnie przy zaciąganiu stryczka - mimo woli posłużył się wyrażeniem żargonowym, co i Vlk, i on potępiali - wyraźnie widać, a objawy fizjologiczne potęgują animozję w stosunku do wykonatorów.

- Stół do wieszania - ciągnął Šimsa kładąc na nim związanego manekina naturalnej wielkości, którego sam uszył, żeby nie wywoływać niepotrzebnych komentarzy - wszystkie te problemy usuwa. Klienta już w poczekalni dostarcza się w pakunku, toteż nie ma najmniejszej szansy. A samo wykańczanie zbliża się pod względem nieskazitelności do elektrokcji. Przycisnął guzik.

Z obu stron blatu wysunęły się trzy pary stalowych półkręgów, które z trzaskiem połączyły się w obręcz: jedna mocno zacisnęła się na kostkach manekina, druga na biodrach, a trzecia na szyi. Niebawem stół rozpękł się na dwie części, mniejsza odskoczyła z głową, na większej pozostała reszta ciała klienta. Aczkolwiek szpara była ledwo ośmiocentymetrowa, szarpnięcie napiętego ciała było absolutnie wystarczające, by złamać kark.

- Ewentualny błąd - ciągnął Šimsa - w żadnym razie nie skrupi się na kliencie i łatwo da się naprawić przez powtórzenie zabiegu; obręcz na szyi spełnia również funkcję knebla, mocz i ekskrementy pozostają w ubraniu, skoro klient zachowuje pozycję poziomą, i nie narusza to podniosłej atmosfery. Ktoś może zarzucić - kończył z niejakim dygotem wewnętrznym, gdyż jak każdy autor zaczynał naprawdę oceniać swoje dzieło dopiero w towarzystwie widza - że stół jest sprzeczny z literą prawa, które nakazuje wieszać. O nie, bynajmniej! Przycisnął inny guzik i już nie musiał nic dodawać: obręcz na szyi była przytwierdzona do teleskopowego słupka, który szybko się wysuwał unosząc górną połowę ciała. Najwyższy punkt podniesienia nie przekroczył pół metra, ale było widoczne, że manekin w swojej pólsjedzącej pozycji wyraźnie wisiał na szyi. Warunki przepisane przez prawo zostały spełnione.

Šimsa doprowadzał stół do stanu wyjściowego i zarazem uważnie wpatrywał się w dziewczynę. Oderwała wreszcie wzrok od szyi manekina, która stała się długa i wąska jak u gęsi, i docent po raz pierwszy wyczytał w jej oczach zainteresowanie, przekraczające szkolne zależności. Nie tracił czasu. Wyprowadzając ją z piwnicy zaproponował, żeby się po podróży wykapała. Do wanny wlał kilkakrotnie większą dawkę preparatu, który pokrył wodę gęstą pianą o konsystencji bitej śmietany.

- Będziesz jak pod pierzynką! - zawołał z udawaną dobroduszością, widząc, że dziewczyna się rozbiera - a ja tymczasem zrobię ci kawkę!

Cenił sobie to, że mu się zawsze kobiety oddawały same, za nic mając mężczyzn zastępujących sex appeal alkoholem lub nawet narkotykami. Jedynie w krańcowych przypadkach fizycznego wyczerpania pił partnerki odpowiednio do ich stanu dozowaną whisky, sam w takich przypadkach pił tylko „cafe-puro”, i to bez kofeiny, pod tym względem pozostał sportowcem-amatorem, który z zasady nie stosuje dopingu. Żeby się nie pomylić,

używał dwóch starych szklanek do grogu, na jednej był namalowany młodzian z piórkiem przy kapeluszu, na drugiej dziewczyna w renesansowym czepku; teraz tę drugą szklankę napelnił w dwóch trzecich whisky. Sądził, że pod wpływem kawy po irlandzku Lizinka szybciej wyzbędzie się skrupułów.

- Kryć się! - zawołał obłudnie wchodząc do łazienki. - Będę ci towarzyszył przy kawie, aby ci nie było...

W jednej chwili oniemiał na podobieństwo strażnika wystawy, który na miejscu tuzinkowego portretu nagle widzi Renoira. Zielonkawe kafelki, z którymi kontrastowała tu zawsze ostro kruczka czerń, przemieniły się w aksamit, po którym spływał złoty jedwab. Oprócz włosów wystawała z muślinowej piany jedynie delikatna buzia, ale świadomość, że ma ją całą, w dodatku rozebraną, na wyciągnięcie ręki, niesamowicie go podniecała. Niestety, wciąż jeszcze był w swoim podróżnym uniformie, pozapinany na suwaki, zatraski, pozaciskany paskami, a obie ręce miał zajęte pełnymi po brzegi szklankami. Zanim jedną bez namysłu podał Lizince, a drugą odstawił na umywalkę, zanim zabrał dziewczynie napitek z ręki, ponieważ okazał się przeszkodą w realizacji jego samczych zapędów, i zanim wolnymi wreszcie rękoma rozpinął skomplikowane zapięcia na sobie, wyprzedziła go natura. Niemal poczerwieniał czując gorącą wilgoć na udach, ale uratował się wymyśloną na poczekaniu propozycją:

- Pozwól - powiedział podając jej z powrotem szklankę w miejsce, gdzie przeczuwał jej dłoń pośród piany - że i ja razem z tobą zażyję ochłody w tej wannie, a zanim się rozbiore posmakuj tej kawy po irlandzku, póki ciepła!

Zdjął z wieszaka, pod którym leżała kupka dziewczęcych ciuchów, długi szlafrok z granatowego welwetu i oddalając się rzucił jej swój typowy uśmiech, który robił wrażenie na kobietach. Nie przeczuwał jeszcze, że ta błaża - jak na jego potencję - polucja była zapowiedzią fatalnych następstw w jego życiu, jak tektoniczna rysa, która poprzedza sejsmiczne katastrofy.

Choć lepiące się dzinsy i bieliznę dosłownie zrywał z siebie, nie zdążył wrócić do łazienki na wspólne wypicie kawy. Lizinka swoją szklankę raz-dwa wypróżniła do dna, dzięki bitej śmietanie zupełnie nie czując w kawie sporej dawki alkoholu. Ale też Šimsa ujrzał teraz nie tyle zniewalającego Renoira, co raczej obsceniczne porno. Dziewczyny nie kryła już wonna powłoka, napelniająca łazienkę szmerem pękających bąbelków mydlanych. Alkohol z gorącą kawą i wysoka temperatura kąpieli sprawiły, że musiała dla ochłody wynurzyć nogi i ramiona; wyłoniły się przy tym z piany piersiątko, których wygląd przechodził najoptymistyczniejsze wyobrażenia Šimsy.

Były zdecydowanie małe, ale ich osadzenie, proporcje, masa, a przede wszystkim delikatna elegancja, z jaką się nieomal niepostrzeżenie odróżniały od klatki piersiowej, zupełnie jakby chciały nie rzucać się w oczy po to, żeby nagle dokonać nieoczekiwanego wypadu dwoma ostrymi żądlami brodawek, toteż śmiałą krzywizną cofały się i znowu łączyły z ciałem pod tak doskonałym kątem, jaki właściwy jest jedynie rzeźbie antycznej - sutki równie roztkliwiające co prowokacyjne - jednym słowem oszołomiły go.

A mimo to czuł się zawiedziony. Sądził, że dziewczyna będzie usilniej walczyć o swoje dziewictwo i miał ochotę tę walkę znacznie przeciągnąć po to, żeby tym żywsze pozostało im jej wspomnienie. Jedyńą i nader pochlebną rekompensatą była nieskalaność, z jaką mu się oddawała, nie odrywając od niego poważnego i zarazem jakby nieobecnego spojrzenia. Teraz już nie musiał, wręcz nie mógł na nic czekać! Niemal uroczystym gestem pociągnął za pasek szlafroka, który dopiero co zawiązał. Lizinka obserwowała go. Tuż obok pana docenta stał mężczyzna, najprawdopodobniej bliźniak, gdyż szalenie był do niego podobny, miał też na sobie taki sam granatowy szlafrok. Usiłowała domyślić się, który z nich jest panem docentem, ale właśnie obaj takim samym gestem rozwinęli pasek, zrzucili z siebie szlafroki i stali się jeszcze bardziej do siebie podobni. Zaraz też jednocześnie weszli do wanny i osunęli się do wody. Nie mogła powstrzymać śmiechu; była ich naraz pełna wanna i komicznie ślizgając się na mydlinach kurczowo się jej chwyтали. Wtem zamarła zorientowawszy się, że jest bez stanika; obleciał ją strach, że pan docent z bratem będą się za to na nią gniewać.

Kiedy Šimsa niecierpliwie dorwał się do dziewczyny, pierwszą przyjemność zepsuł mu pienisty bryzg: otwarte do pocałunku usta zalała mu szczypiąca fala. Usiłował ją wypluć, jednocześnie kolanami rozwierając dziewczęce uda; postanowił posiąść ją zaraz teraz w wannie, żeby zmniejszyć jej ból, nieraz się już bowiem przekonał, że ciepła woda łagodzi deflorację. Po chwili stwierdził, że jako przyzwoita panienska ubrała się w wannie w dolną część kostiumu kąpielowego z elastycznym paskiem z klamerką. (Czemu tylko dół? - przemknęło mu przez myśl; nie domyślił się, że przez roztargnienie). Toteż zamiast mnożyć czułości musiał mocować się z klamerką, w dodatku na oślep. Nie ogarnęła go jednak nerwowość, wręcz przeciwnie, w najwyższym stopniu się skupił, tak jak to czynił w decydujących momentach, gdy zakładał klientom stryczek, a zarazem podcinał im nogi. W końcu udało mu się rozpiąć pasek; zaraz też oburącz chwycił za majteczki, rozciągnął je i zręcznie zsunął z rozkosznie małych, acz jędrnych pośladków i długich gładkich nóg. Kiedy ją następnie - i siebie razem z nią - przewracał na bok finalizując swoją akcję, łyknął niechęcący tyle mydlin, że aż się zakrztusił. Nie tracąc przytomności umysłu zakrył usta ręką,

w której trzymał majteczki.

Fikuśne zapasy, kiedy raz była na górze, a raz znowu na dole, przypominające jej dziecięce zabawy z ojcem na brzegu stawiku, tak się jej spodobały, że nawet nie zauważyła, kiedy jeden z panów zniknął z wanny. Do pewnego momentu wynurzali się z mydlin na zmianę, aż nagle był tylko jeden, krztuszący się i zakrywający buzię chusteczką, do złudzenia podobną do jej majteczek. Toteż zrobiło się jej wesoło, a po chwili jeszcze bardziej, kiedy ten jeden, który pozostał - z pewnością pan docent - skoro zwracał się do niej per ty - zaczął się z nią bawić brzuszek w brzuszek. To była jej ulubiona zabawa w wodzie: trzymali się z tatusiem za szyje, a pod wodą bodli się brzuchami. Przegrywał, kto się uchylił. Lizinka mężnie się wypinała.

Woda, piana i kaszel cokolwiek stępiły panadocentowe zmysły i wyraźnie rozproszyły jego uwagę. Ale uległość Lizinki była tak absolutna, a jej gorliwość tak niezawodna, że w pewnym momencie poczuł, jak jego przyrodzenie zwycięsko wchodzi w jej przyrodzenie: stało się! Szczęśliwy wyraz jej twarzy zaświadczał, że obeszło się bez bólu, toteż nie szczędził wysiłku, by jak najprędzej doprowadzić ją do orgazmu; w ten sposób wprawdzie zaprzeczał wszystkim swoim dotychczasowym praktykom, ale czyż stosunek ten nie był z każdego punktu widzenia cudowny? Uderzała go szczególnie i coraz bardziej zaskakiwała wyraźna niematerialność ich kontaktu. Po raz pierwszy w życiu nie miał podczas aktu płciowego poczucia cielesności, ale poczucie jakiejś nieziemskiej przenikalności i bezbrzeżności, czegoś na podobieństwo - zaświtało mu w głowie - niepokalanego poczęcia...! Mimo woli wysłał lewą rękę na rekonesans.

Niebawem wypadła z wody, jak gdyby ją sobie uciął za składanie fałszywego świadectwa. Zweryfikował stan faktyczny prawicą, tym samym wypuszczając dziewczynę z objęć. Również ta ręka potwierdzała niewiarygodną prawdę: jego męskość znajdowała się w stanie, o jakim pewien sławny polityk powiedział w wieku zgrzybiałym, gdy mu zwrócono uwagę, że ma rozpięty rozporek:

- Martwy orzeł z gniazda nie wyfrunie.

Šimsa z przerażeniem stwierdził, że cały czas nader fikuśnie i zupełnie nieszkodliwie figlował z Lizinką jak brat z siostrą.

Lewą ręką wyjął legitymację w karminowych okładkach i podsunął ją do otworu w okienku.

- Kat! - przedstawił się używając popularnego słowa, ponieważ widział ją tu po raz pierwszy. - Szybciej, dziewczyno, nie mam czasu!

- Nie mogę was wpuścić - powiedziała

grubaska - żadnej dyspozycji tu nie mam.

- Nawet na jutro? - spytał Šimsa nerwowo.

Prawą dłonią bez przerwy głąskał palce Lizinki usiłując swoimi dotknięciami elektryzować ją i w ten sposób nie tracić z nią kontaktu.

Gruba strażniczka wczytywała się w jakieś pisemko.

- Tak, mam na was dyspozycję - powiedziała wreszcie.

- Więc proszę otworzyć!

- Dzisiaj nie - stwierdziła strażniczka - dopiero jutro.

Widząc, jak wąską bramę powiatowego więzienia niemal wypełnia swoim cielskiem, nie rozlewającym się tylko dzięki ciasno zapiętym rzemieniom od karabinu, z którego pewnie nie trafiłaby nawet słonia, byłby najchętniej na nią splunął, ale znał ten rodzaj charakteru: zatrzaśnie im drzwi przed nosem i mogą iść na skargę do Pana Boga. Tymczasem on za wszelką cenę musiał się dostać do środka. Dochodziła już jedenasta.

- Nie przesadzajcie, koleżanko - powiedział błagalnie. - Jutro zaczyna się za godzinę.

- No! - powiedziała. - To na razie skoczcie sobie na jedno piwo.

Gorączkowo przemyślał i mózg go nie zawiódł.

- Kto jest dziś oficerem dyżurnym? - spytał, nim zdążyła im zniknąć.

- Wybaczcie! - nadeła się oficjalnie. - Tego nie wolno mi wam powiedzieć...

- Porucznik Hons? - strzelił na chybił trafił i zaraz wyczytał w jej oczach, że strzał był w dziesiątkę. - No to go tu poproście!

Wyraziła swój sprzeciw przynajmniej w ten sposób, że trzasnęła okienkiem. Šimsa zaraz wziął Lizinkę w objęcia i przyssał się do jej warg. Było to, niestety, jedyne, do czego był zdolny: całował ją tym namiętniej, im mniej czuł w sobie namiętności, czyniąc co w jego mocy, żeby tego nie poznała, i nie domyśliła się, że traktuje to jako radykalną i da Bóg skuteczną kurację.

To, co przeżywał, było niekończącym się złym snem. Fiasko poczynań w wannie łatwo udało mu się zatuszować, kiedy zorientował się, że dziewczyna na szczęście traktuje ich wodne igraszki jako miłosną przygrywkę i nic poza tym. Sądził, że zna swój organizm jak własną kieszeń, toteż wierzył, że chodzi o chwilową niedyspozycję, najprawdopodobniej z winy tej idiotycznej piany. Rzeczywiście, kiedy Lizinkę wycierał, sypiąc jak z rękawa lubieżnymi zarcikami, jego oręż zaczął się prężyć, ale zaledwie zaniósł ją do łóżka i

zwycięsko nakrył swoim ciałem, musiał zaraz przyjąć taktykę, że najbardziej ze wszystkiego pragnie dziewczynę obcałować od stóp do głów. Następnie dla kurażu sam łyknął pół szklanki whisky, czego skutek był jedynie taki, że ostro stanął przed nim jego własny problem, a im bardziej starał się być aktywny, tym bezwzględniej jego własne ciało wydawało mu się zupełnie obcym instrumentem, na który nie ma wpływu. Na ostatnią desperacką próbę zdobył się dopiero późnym wieczorem, kiedy zaniósł ją do piwnicy w nadziei, że go podnieci alabaster jej nagości na tle ciemnoczerwonego linoleum stołu do wieszania. Zanim się to powiodło, Lizinka na stole usnęła.

To była krytyczna chwila, kiedy musiał przyznać, że tu nie chodzi o przejściowe zmęczenie fizyczne, a o poważne zaburzenie psychiczne, które go dopada - nie mógł nie przypomnieć sobie stycznia - w kontakcie w Tachecimi. Nie było mowy, żeby jej nie przeciął, i to dzisiaj! Wyobrażenie, że po wszystkich jego zabiegach dziewczyna jutro się zbudzi jako dziewica, było tak potworne, że żołądek mu podchodził do gardła. Cóż, wbrew swoim przyzwyczajeniom pił dzisiaj na czczo, wymiotował bezskutecznie i było mu coraz bardziej niedobrze.

Naturalnie, nawet początkujący seksuolog wyjaśniłby mu, że dotknęła go banalna przypadłość o nazwie fachowej „impotentia coeundi psychica relativa et praematura ejaculatione”, czyli „krótkotrwała niemoc z przedwczesnym wytryskiem”, spowodowana wyjątkowym podnieceniem. Jednakże Šimsie, który aż do dzisiejszego popołudnia tryskał zdrowiem i tężyzną fizyczną, szastając na lewo i prawo własnym nasieniem, nie przyszło nigdy do głowy, że mógłby być mu potrzebny seksuolog, toteż był na najlepszej drodze, żeby stać się hipochondrykiem pierwszej wody. Uległ panice, ba, wręcz histerii. Zamiast wykorzystać szczęśliwą okoliczność, że dzięki swojej naiwności dziewczyna nic nie zauważyła, i zasnąć przy niej w braterskim uścisku będąc słusznie przekonany, że ranek będzie płomienniejszy od wieczora, zachowywał się jak strącony pilot, który za wszelką cenę chce z powrotem wzbic się w powietrze żywiąc obawy, że w przeciwnym razie na zawsze sparaliżuje go strach.

I kiedy daremnie usiłował przypasować się do niej, śpiącej na stole do wieszania - poczuł się upokorzony i trysnęły mu łzy na widok zupełnej oklapłości ciała, jakże kontrastującej z totalną mobilizacją uczuć - wtedy właśnie przypomniła mu się dawna dyskusja profesora Vlka z Doktorem o zależności między egzekucją a seksem. Vlk z rozbawieniem opowiadał, jak przed laty twierdził, iż doszedł do przekonania, że klienci doznają podczas egzekucji wytrysku z ogromnego strachu, jak gdyby organizm choćby w ten sposób usiłował przeżyć, a wymyślił tę teorię jedynie po to, żeby uwolnić się od jakichś

pederastów, którzy wówczas mieli na niego chętkę. Na to Doktor nieśmiało nadmienił, że właśnie orgazm „inter vitam et mortem” nie pozostawia go obojętnym. To wyznanie utkwiło Šimsie w pamięci tak wyraźnie, dlatego że Doktor nigdy przedtem nie zdradził się bodaj najmniejszą oznaką zmysłowości seksualnej i oto - zapewne dzięki większej dawce tequilli z sangritą - wyszedł ze swojej skorupy: łagodnie się uśmiechając, co nadało jego twarzy wyraz wstydlivej chłopcęości, powiedział filozoficznie:

- Jak pan myśli, czemu na pańskie egzekucje chętnie się przychodzi? Śmierć zadana gwałtem to przeżycie seksualne ludzi z kompleksami.

Z innych strzępków rozmowy, które wynurzały mu się z pamięci - w sumie była to wówczas dla niego chińszczyzna - jasne było dla docenta jedynie, że zacisk pętli na szyi klienta wywołuje erekcję również u widzów, którym może to nawet zastąpić życie seksualne. Na sobie nigdy dotychczas tego nie obserwował, ale on do dzisiaj nie miał żadnych kompleksów. Teraz wszakże, tak, to mógł być decydujący stymulator, bodziec, który wprawi go z powrotem w ruch jak potrząśnięcie budzikiem. Toteż jął realizować swój plan.

Kiedy dzięki prysznicowi postawił dziewczynę na nogi i oblekł ją w dżinsy i sweterek - wciąż jeszcze na lekkim rauszu i w stanie półsnu nie zauważyła, że rozmyślnie nie wdział na nią bielizny - wypił dla kurażu jeszcze jedną whisky. Kiedy tylko wyjechali z garażu, opuścił szyby i podniósł dach. Chociaż była pierwsza wiosenna noc - więc jest już wiosna, uzmysłowił sobie z goryczą, więc tak zaczyna się wiosna...! - mroźnik oszronił pola, domy, potoki, zarośla, wokół jaśniało srebrne królestwo. Był nieczuły na piękno, potrzebował jedynie świeżego powietrza, żeby się wreszcie obudziła. Już na dziesiątym kilometrze dawała znaki życia, daremnie zwijała się w kłębek, ażeby skryć się przed wiejącą lodowato suszarką do włosów. Oprzytomniała dzwoniąc zębami, kiedy wjeżdżali do miasta powiatowego, i jak zwierzątko szukała ciepła tam, gdzie jedynie mogło być - u niego. Kiedy zamknął dach i wóz, zabrał z bagażnika narzędzia, po czym założył jej swoją brezentową kurtkę z kapturem, który nasadził jej aż na oczy, tak że wyglądała jak taterniczka. Chciał, żeby robiła wrażenie czystego i schludnego pomocnika katowskiego. Kiedy ją teraz rozgrzewał pocałunkami, nagle poczuł gorące pulsowanie krwi w podbrzuszu i z nadzieją powtórzył w duchu hasło Vlka: *Ça ira! Uda się!*

Zamiast okienka zaskrzypiało otwierające się skrzydło bramy. Stał w niej porucznik Hons, dobroduszny pięćdziesięciolatek, który kiedyś zaczynał jako poeta i do dzisiaj miał zwyczaj swoje wypowiedzi rymować; również jego otyłość świadczyła, że praca w więziennictwie nie wpływa dobrze na zdrowie. Za jego plecami robiła obrażoną minę posępna strażniczka.

- Pawełku! - powiedział Hons głosem, w którym mieszała się senność z sympatią i zaskoczeniem. - Ratusz, bo oszaleję: co się dzieje?

Šimsa w porę puścił rękę Lizinki. Jej legitymację trzymał już razem ze swoją i na wszelki wypadek pokazywał je porucznikowi:

- Przychodzimy - powiedział jakby od niechcienia - porobić ostatnie przygotowania.

- Ale przecież - porucznik był lekko wystraszony, jak gdyby o czymś ważnym zapomniał - zawiążecie mu kokardę dopiero w poniedziałek, czyżbym się mylił...?

- Mamy przeciwżyć nowy chwyt - powiedział Šimsa wysuwając się naprzód, jak przystało na mistrza. - Co jakiś czas klientela musi mieć jakąś niespodziankę.

Hons się wdzięcznie roześmiał. Lubił dowcipy Šimsy. Przejrzał pro forma obydwie legitymacje, gdzie i tak zamiast nazwisk były same numery i skinął głową Lizince, której Šimsa dał teraz do niesienia walizkę: była prawie pusta. Przez korytarze, krużganki i ogród doszli do byłego kościoła, gdzie znajdowały się magazyny, garaże, pralnia, ale też poczekalnia i wykańczalnia z trumniarnią, umieszczone w bocznej kaplicy; całe więzienie było kiedyś klasztorem i wciąż jeszcze przepędzali stąd zwariowanych turystów aż z antypodów, którzy za wszelką cenę chcieli ujrzyć świętą Annę Samotrzecią; gotycki mistrz umieścił ją niestety właśnie na ścianie kaplicy.

Porucznik Hons bez przerwy wyskakiwał naprzód, żeby odemknąć kolejne kraty, po czym pozostawał w tyle zamykając je. Za każdym razem, gdy szedł przed nimi, Šimsa przelotnie obejmował Lizinkę palcami muskając jej piersi, które od tarcia szorstkiego brezentu kurtki stawały się jeszcze atrakcyjniejsze. Powoli napelniała go zdrowa zmysłowość. Już wierzył, że eksperyment się powiedzie, i z rosnącym humorem, pragnąc rozerwać ukochaną, serwował porucznikowi absurdalne wymysły. Poniedziałkowym przyjazdem Vlka nie zawracał sobie głowy, był pewien, że jak tylko zdobędzie dziewczynę, wszystkie elementy planu same się jakoś zgrają, a szef i świadek w jednej osobie będzie go krył jak rodzony ojciec.

Wmówił Honsie, że wypróbować się według zagranicznych wzorów psychologiczne przygotowanie klientów, przeprowadzając swego rodzaju zamkniętą próbę generalną. Uczniowie obiecują, że dzięki temu klienci będą na premierze spokojniejsi i egzekucja przebiegnie dostojniej. Doświadczony Hons gorąco to pochwalił. Dodał, że akurat ten Müller to straszny nerwus jak większość zbrojców: codziennie oplakuje którąś z tych czterech dziewczuszek, zgwałconych przez niego, odmawia przyjmowania posiłków prosząc, żeby w zamian za to zarząd więzienia „kupił im coś na mogiłkę”. W postaci mordercy seksualnego los oddawał w ręce Šimsie właściwego mężczyznę; odzyskał pełnię wiary w siebie.

Müllera zastali w głębokim śnie, więc bez trudu związali mu ręce na plecach; Šimsa był rad, że na pierwsze ciche przytknięcie palcami Lizinka podała mu z walizki rzemienie, dokładnie tak, jak ich uczono w szkole. Nagle Müller zaczął szaleć. Nie szarpał się, ale jego szloch, wycie, wrzaskliwe żądania były niemal nie do zniesienia. Hons, który podczas rzeczywistych egzekucji funkcjonował jako chłopak do wszystkiego, z ulgą uzmysłowił sobie, że nic dzisiaj od niego nie chcą. Kiedy z Šimsą dotaszczyli Müllera - był to trzydziestolatek o wyglądzie greckiego boga, ale z wygasłym wzrokiem i szmacianymi mięśniami narkomana - z celi do kaplicy, spytał wprowadzając przez grzeczność, czy może zostać, ale ucieszył się, kiedy Šimsa uprzejmie zaprzeczył.

- No to ja was tu, Pawełku - powiedział pospiesznie w obawie, że Šimsa się jeszcze rozmyśli - zamknę, a ty mi potem z lekka zagwiżdż. Tymczasem zaparzę kawę.

Jedynie drzwi zostały zatrzaśnięte, dwa razy zgrzytnął specjalny klucz w zamku. Šimsa był bliski celu. Kaplica pozostała taka, jak ją przed jakimś kwartałem opuścili, nie pamiętał już nawet, kiedy dokładnie i kogo tutaj załatwiali. A że sprzątało się dopiero przed kolejną egzekucją, pod UBIENIEM leżał jeszcze przewrócony trójnóg; dla niego ważne było jedynie, że pozostała na miejscu ława gimnastyczna, służąca świadkom. Müller nie przestawał z łkaniem dopraszać się pociechy duchowej nie przeczuwając, że flaga państwowa na ścianie zasłania świętą Annę Samotrzecią. Hons go przed odejściem przywiązał zgodnie z przepisami do marmurowej kolumny, wokół której na kostce posadzki był zakreślony białą farbą krąg z napisem MIEJSCE DLA SKAZANEGO; tu musieli klienci jeszcze raz wysłuchać sentencji wyroku. Nie chcąc trudzić Lizinki Šimsa sam odwiązał Müllera, prawym łokciem zaciskając jego szyję, przypisaną już państwu. Ukierunkował skazańca i wykazał niezwykłą siłę, kiedy lewą ręką podźwignął go między nogami i właściwie doniósł pod UBIENIE. Tu odsunął kopnięciem trójnóg, dzisiaj zbyteczny, i po raz drugi przytknął palcami.

- Szlingle, kochanie! - dodał w sposób niezgodny z przepisami, gdyż ani na chwilę nie tracił z oczu prawdziwego znaczenia odgrywanej sceny.

Z miejsca potwierdziła swoją dobrą opinię w szkole: węzeł, przygotowany w domu, po chwili już znajdował się w jego ręce. Był wyjątkowo prosty, ponieważ dzisiaj miał tylko przydusić, zaledwie o jeden numer mniejszy od kołnierzyka skazańca. Docent puścił Müllera na ułamek sekundy, podskoczył zwinnie, jak gracz z piłką do kosza, i bezbłędnie zawiesił mocną pętlę na haku szubienicznym. Po czym prawą ręką uchwycił mordercę w pasie, uniósł, lewicą założył na szyję stryczek i opuścił go tak, że stał bosymi nogami - papucie zgubił gdzieś po drodze - na bucie Šimsy. Sznur był niemal napięty, ale nie sprawiał na razie kłopotów.

- Spójrz, Müller - powiedział teraz Šimsa poprawnie, bez cienia pogardy czy nawet wrogości - jeden postronek za cztery dziewczuszki to, przyznaj, za mało. Więc będziesz miał cokolwieczek wolniejsze tempo.

Chwycił za brzeg nocnej koszuli i zadarł ją gwałcicielowi do góry, jak gdyby obłupywał wielką cebulę. Rąbek przywiązał do postronka nad głową, tak że młodzieniec był od szyi w dół nagi i w dodatku nic nie widział. Potem znowu pochwycił go w pasie, wyciągnął swoją nogę spod jego stóp i polecił:

- Pajacuj!

Ostrożnie opuścił go na czubki palców. Idąc do Lizinki profesjonalnym rzutem oka upewnił się, że do zaduszenia nie dojdzie nawet, kiedy skazaniec stanie na całych stopach. Subiektywnych doznań wszakże miał młodzieniec użyć, ile dusza zapagnie, o to bowiem chodziło. Kiedy go po paru minutach odwiąże, ma zamiar postawić go przed wyborem: jeśli nie piśnie słowem, będzie miał w poniedziałek egzekucję raz-dwa z głowy, a jeśli nie utrzyma języka za zębami, niech dzisiejszą przymiarkę uważa za próbę generalną, podyktowaną miłosierdziem.

Müller pod koszulą zaczął sapać, przestępując z nogi na nogę, ażeby utrzymać równowagę na czubkach palców, a Šimsa nie tracił czasu. Długim pociągnięciem rozpiął na Lizince suwak i ściągnął z niej brezentową kurtkę, zaraz potem rozpiął guziki sweterka i zamek błyskawiczny spodni. Resztę zostawił dziewczynie i zajął się sobą. Po chwili musiał ją rozebrać do końca, ponieważ jak zahipnotyzowana - no cóż, jest to, zaświtało mu, jej pierwszy klient!

- obserwowała Müllera. Patrząc na krwawo czerwone serce, jasnoniebieskie płuca i pozostałe organy, pstrzając się wieloma kolorami, pomyślała, że w pomieszczeniu znajduje się kolorowy rentgen; nigdy przedtem nie zetknęła się z tatuażem. Również Šimsie narzuciło się podobne wrażenie, kiedy wytatuowane serce zaczęło tętnić; było to jednak wyłącznie całkowite rozdygotanie pod wpływem strachu. Ładne młodzieńcze ciało spocilo się naraz jak w saunie. Po czym Müller się zeszczał. W chwili, kiedy zmylony pozorami doszedł do przekonania, że to już koniec, zaczął mu się dźwigać fallus. Przywarłszy do Lizinki nagiej od stóp do głów, Šimsa nie odrywał od niego wzroku i czuł z radością, że w jego kroczu rośnie ciśnienie. Tak, nie było wątpliwości, awarię ma za sobą! Teraz, zaraz, natychmiast musi przemienić Lizinkę w kobietę, a potem jazda do domku letniskowego, ażeby za wszystkie niedogodności wynagrodzić ją i siebie rozkoszą zaznaną w miękkim łóżeczku. Obląpił Lizinkę mocnymi ramionami i złożył na niskiej ławie. Rozwarł jej posłuszne nogi, krótkim

spojrzeniem sprawdził, czy jego męski oręż jest w pełni napięty i już w nią zaczął wchodzić, kiedy usłyszał dźwięk, od którego ścięła się w nim krew.

Pierdnięcie.

Błyskawicznie się obejrzał. Müller nie stał ani na palcach, ani na całych stopach, ale kołysał się na piętach z lewa w prawo i z powrotem, ponieważ cały ciężar jego ciała utrzymywała

40

szyja.

V

Rok szkolny skończył się w piątek 20 czerwca. W sobotę zaczynało się lato, a z nim „wielki tydzień” przygotowań do matury. Vlk wprowadził ją nie tylko po to, żeby ŠRESZKUK w miarę możliwości nie różnił się od innych szkół średnich, lecz i z powodów znacznie bardziej zasadniczych. Najpierw potrzebował odpocząć, ponieważ po śmierci

41

docenta Šimsy - wóz wyłowiono z dna koło przegrody już w poniedziałek 24 marca, ale ciało widocznie zostało przyssane przez kraty turbin - przez trzy miesiące sam ciągnął zajęcia szkolne. Był rad, że w ogóle szkoła jakoś to przeżyła: zgodnie z prawem Müllera w niedzielę ułaskawiono i posłano na leczenie psychiatryczne, z trudem udało się udowodnić, że powiesił się sam; katastrofa Šimsy uniemożliwiła śledztwo, jego pomocnika, znanego tylko z mętnego opisu, nie odnaleziono, tak więc jedynie Hons został ukarany obniżeniem premii. Za radą Doktora Vlk nie występował o zatrudnienie kogoś na miejsce docenta, żeby sprawa nie nabrała rozgłosu; harował od świtu do nocy licząc na to, że po wakacjach wesprze go, już jako asystent, Albert.

Ale przede wszystkim chciał zrobić porządek w swoim życiu prywatnym, zanim przestanie nad nim panować. Teraz już nie wątpił, że to Lizinka - co prawda nieświadomie! - spowodowała obie zbrodnie, a także obydwie samobójstwa. U Mašina nagle przyspieszone dojrzewanie płciowe wywołało halucynacje, w których kreował się na mściciela honoru swojej kochanki, choć nigdy nią nie była, gdy tymczasem Šimsa stał się ofiarą własnej perwersji seksualnej, skoro chciał strangulacją wesprzeć deflorację, do której na szczęście nie doszło. Vlka ponownie przeszedł mróz na samą myśl, że ten kiernoz, który haniebnie zawiódł jego zaufanie i o mały figiel nie zniszczył dzieła jego życia, do tego wszystkiego w swojej tuzinkowej rui spustoszyłby, zarówno jej dziewicze ciało, jak i dziewiczą duszę. W tym momencie zdał sobie sprawę, że w stosunku do niej będzie ściśle racjonalny. Był już na to najwyższy czas!

Przed rokiem - odnosił wrażenie, że upłynęło całe ćwierćwiecze - przyjmował ją jako

nauczyciel, któremu winna była okazywać szacunek. Dłoń Ryszarda Mašina na jej szyi ożywiła w nim przytłumione uczucie ojcostwa, a co za tym idzie, pragnienie, by okazywała mu wdzięczność. W fatalnym tygodniu marcowym, kiedy w interesie szkoły musiał jej zadawać delikatne pytania, co do zachowania Šimsy, życzył sobie w duchu, ażeby widziała w nim starszego brata i darzyła go swoim zaufaniem. Vlk z upływem czasu przyzwyczaił się do życia bez dzieci, których nigdy nie miał, ale wciąż tęsknił za rodzeństwem, które utracił; tym bardziej że znał adres i telefon siostry.

Ten toczący się w jego duszy proces stopniowo znajdował również swój wyraz zewnętrzny. Niemal przestał ją odpytywać przy tablicy, ażeby nie gwałcić jej wspaniałej nieśmiałości, natomiast coraz częściej ją angażował w ćwiczenia praktyczne, ażeby ją odzwyczajając od zamykania się w swoim tajemnym świecie. Niepostrzeżenie starał się przy tym jak najrzadziej obsadzać ją w roli klientki, ponieważ bał się, że któryś z mniej obrotnych uczniów, taki Szymon na przykład, mógłby jej wyrządzić krzywdę. Naturalnie, nie uszło to ich uwagi, ale raz tylko dali temu wyraz.

- Chono - powiedział do niej Franciszek, kiedy w straszliwym upale wracali z pochodu pierwszomajowego i Vlk opiekuńczo podsunął jej ramię - daj cynk, jak już trzeba będzie ci mówić pani majstrowa...!

Wrzasnął i zaraz się stropił.

- Sorry - powiedział Albert przyglądając się butowi, jakby sprawdzał, czy nie naderwała mu się zelówka.

Nikt nigdy więcej już na ten temat głupio nie dowcipkował. Zresztą szybko zrozumieli, że Vlk jest przyjazny im wszystkim i choćby na takich sobotnich wycieczkach atmosfera belferskiej sztywności coraz częściej dzięki niemu przeradzała się w chwilę towarzyskiej komitywy. Jedyne w grach sportowych Vlk nie był w stanie zastąpić Šimsy, ale grał z takim samozaparciem, że nie tylko nie utracił autorytetu, ale w dodatku zyskał ich chłopięce uznanie - najwyższe wyróżnienie dla każdego nauczyciela.

Z początku trzymał się blisko Lizinki właściwie tylko po to, ażeby od niej - a tym samym i od szkoły! - odwrócić w razie czego kolejne niebezpieczeństwo. W owych tygodniach wszakże między nim a dziewczyną wytworzyła się sieć powiązań, która przypominała mu teraz obraz w porcie. Zamorski statek łączy z lądem najpierw śmieszny sznurek, który majtek rzuca na molo, żeby wciągnąć na pokład linę, za której pomocą ci z brzegu przytwierdzają łańcuchy do żelaznych słupków. W ślad za tym idą kotwice, kable i rury, aż w końcu statek zrasta się z ziemią jak dwa organy w ciele. W którymś momencie Vlk usiłował się od dziewczyny oderwać. Kiedy stwierdził, że jest to silniejsze od niego,

mobilizował swoją wolę przynajmniej do stworzenia sytuacji, która świadczyłaby o tym, że to on jest mocnym brzegiem, w żadnym zaś razie uzależnionym statkiem.

Poza krótkim okresem, kiedy dojrzewał płciowo, kiedy każdy zdrowy chłopak musi się choć trochę wyszumieć, Vlk traktował swoje życie uczuciowe równie poważnie jak swoją profesję. Wstrząs, który go tak podstępnie wytrącił z drogi życiowej belfra i od razu rzucił na orbitę egzekutorstwa, był jak trzęsienie ziemi: wyszedł z niego bez krewnych i przyjaciół. Toteż do pierwszego człowieka, którego spotkał w najgłębszym kryzysie, przyłgnął ciałem i duszą.

Małgorzatę poznał, kiedy załatwiał, jeszcze bez Šimsy, czterech klientów i po raz pierwszy w życiu rozbolały go zęby. Numer jeden i dwa jakoś tam trachnął, ale następni to byli proboszcze, którym parę tygodni więzienia nie wystarczyło, żeby zrzucić trochę sadła. Czekало go mozolne duszenie, a jemu ból ze szczęki dowiercał się aż do mózgu. Jedyne raz w swojej karierze poprosił, żeby numer trzy, który już był w wykańczalni, jakoś zabawiono, a jego czym prędzej zawieziono na pogotowie. Nocny dyżur miała wysoka, szczupła dentystka, przypominająca wyglądem i powagą Gretę Garbo. Stwierdziła, że ma uzębienie, jakiego u mężczyzny w wieku Chrystusowym jeszcze nie widziała, bez nieprawidłowości, bez wady, słowem wzorowe; ból powoduje podrastający ząb mądrości, a na to wystarczy proszek i silna wola. Pierwszą rzecz mu dała, drugiej mu życzyła z lekkim, nostalgicznym uśmiechem, który wrył się mu w siatkówkę i w serce.

Jak tylko skończył swoją mozolną szychtë - numer trzy tymczasem dostał bzika, a że nie znaleziono nikogo, kto mógłby przełożyć egzekucję na kiedy indziej, i nie zdołano go nawet związać, nie mówiąc już o założeniu mu pętli, więc w końcu on i Karlik wepchnęli go do wanny i obaj na niego usiedli - zjawił się w pogotowiu ponownie, zapytawszy jeszcze przed wyjściem lekarza urzędowego, który wypisywał akty zgonu czterech straconych, jak długo rośnie ząb mądrości.

- To tak pada? - przestraszyła się, ujrawszy jego przemoczone ubranie; ażeby szybciej być u niej, nie zmienił ubrania na strój roboczy przed dokończeniem przerwanej sesji egzekucyjnej.

Potrząsnął przecząco głową nie odrywając od niej oczu. Było parę minut po północy i w poczekalni bez przerwy stukały otwierane i przymykane drzwi: przyływ pacjentów zbliżał się do szczytu.

- Nadal boli? - spytała niecierpliwie, po czym dodała z pogardą: - Mężczyzna powinien to wytrzymać, ja już mogę tylko na ząb podmuchać.

- Dobry pomysł - powiedział Vlk.

Podszedł do niej, ścisnął mocno jej ramiona i mocno do jej warg przycisnął swoje. Spodobało mu się, że się naprężyła i przegięła. Zrozumiał, że mimo swojej atrakcyjności i młodego wieku - dawał jej dwadzieścia siedem i zgadł - ma w sobie zakorzenioną wstydlivość, która chroni ją przed przygodami (szkoda, że od razu nie dociekał powodów!). Spodobało mu się również i to, że kiedy ją puścił, nie zachowała się jak pruderyjna histeryczka.

- Jest pan normalny? - spytała tylko pogardliwie.

- Tak - odparł. - Nazywam się Fryderyk VI.

- To już wiem z pańskiej karty - powiedziała lodowato. - A jeśli ośmieli się pan jeszcze raz, również policja będzie to wiedziała.

- Nie ośmielę się - powiedział rzeczowo, jak gdyby rozmawiali o uzębieniu. - Przyszedłem tylko zapytać, czy jest pani osobą wolną.

Nie uszło jego uwagi, że rzuciła spojrzenie na wieszak. Wisiał na nim czarny płaszcz i kapelusz, ale to mu nic wtedy nie mówiło. Zresztą zaraz odezwała się.

- Tak - powiedziała twardo. - Coś jeszcze?

- Tak - powiedział miękko. - Chciałbym dotrzymać pani towarzystwa.

- Nie widzi pan, że pracuję?

- Widzę - odparł - i bardzo się tym gorszę. Kobieta, taka jak pani, powinna o tej porze pachnieć perfumami Chanel, a nie dezynfekcją. Chciałbym tę niesprawiedliwość pani wynagrodzić.

Już jej dłużej nie przeszkadzał, ale włożywszy na siebie biały kitel jej zmiennika, usiadł na sąsiednim fotelu i bawił ją do końca dyżuru trafnymi uwagami i błyskotliwymi powiedzonkami, zdradzającymi oczytanie, bystrość, a przede wszystkim dobre maniery, z jakimi dotychczas spotkała się tylko u jednego mężczyzny... Kiedy wyszła ostatnia pacjentka, dniało. Nagle zapragnęła, żeby nie dostrzegł śladów zmęczenia w jej twarzy i zgasiła światło. Sinawy blask świtu jak gdyby pochłonał naraz biel tkanin, mebli i ścian. W nieoczekiwaniu bezbrzeżnej przestrzeni pozostał jedynie wysoki i dobrze zbudowany mężczyzna w czerni. Przestraszyła się, nie jego, ale przecucia, że właśnie w tym momencie kończy życie, które, choć niczemu nie służyło, było bez reszty jej, i zaczyna podróż w nieznane, gdzie będzie mogło do niej należeć wszystko i równie dobrze nic.

- No to co? - zaśmiała się konwulsyjnie podzwaniając kluczami. - Życzy pan sobie coś na koniec?

- Tak - powiedział. - Chcę panią wziąć.

Jeszcze raz uchwyciła się ratunkowego koła ironii.

- Pan jest doprawdy miły. Rozumiem, że na resztę nocy?...

- Na czas - powiedział - dopóki będzie rósł mi ząb mądrości.

- Ostrożnie! Taki ząb rośnie niekiedy aż do śmierci!

- To jest właśnie ten czas - oświadczył z całą powagą - który miałem na myśli: resztę życia.

- Powiedziałeś to - mówiła Małgorzata Vlkowa, ilekroć tę chwilę, wspominali - tak prawdziwie, że powątpiewać znaczyłoby rezygnować z miłości, jaka spotyka jedną kobietę na milion.

Tym tłumaczyła fakt, że wówczas ani drgnęła, kiedy rozpinał jej kitel, pod którym w lecie nosiła tylko przezroczyste fatałaszkę, że bez sprzeciwu poddała się jego pieszczotom, w których ten pewny siebie mężczyzna dotarł na koniec do jej nóg, i że sama - na więcej nie pozwoliła jej wstyd - rozluźniła mu krawat. Przysięgała mu później, że nie wie, kiedy i jak ją posiadał; ocuciły ją dopiero jej własne chrapliwe jęki nieznaną dotychczas rozkoszy, która przyływała do niej falami, aż wreszcie na grzbiecie dziewiątej fali cisnęła ją w kosmos, a potem delikatnie złożyła... na fotelu dentystycznym.

Nigdy nie przestał żałować, że zaraz tamtego ranka nie wprowadził jej w tajniki swojej egzystencji, że od razu nie powiedział jej, kim jest, tak że uważała go za kogoś, kim był, za pedagoga, być może nawet wizytatora szkolnego, skoro tak często podróżował. Nie okłamywał jej, po prostu wolał, żeby na razie myślała o nim to, co myślała; jej krwawa profesja, znajdująca się - jak później żartował - na pół drogi do jego fachu, zdawała się zaręczać, że go w każdej chwili zrozumie. Doskonale wiedział, że kobiety lecą na kata jak muchy do krwi, i był szczęśliwy, że Małgorzata kocha go prawdziwie wyłącznie za jego intelekt i nieskrępowaną męskość. Jeżeli nie chciał jej wyjawiać swojej przeszłości, to oczywiście nie mógł oczekiwać zwierzeń z jej strony. Kiedy obydwie historie runęły na nich równocześnie, oboje byli na to w równym stopniu nieprzygotowani, toteż zostali ugodzeni nader mocno.

Pewnego ranka cała w pasach i wciąż jeszcze zdumiona szepnęła mu, że spodziewa się dziecka, na co on, oszołomiony szczęściem, zawołał, że wreszcie zaczyna dawać życie, które dotychczas jedynie odbierał. Nie zrozumiała. No to się przed nią pochwalił; tylko przyczynę, która tak radykalnie zmieniła jego los, pewnie wciąż jeszcze pod wrażeniem tej katastrofy, która pozbawiła go wszystkiego, na razie przemilczał. Biała jak papier, łamiącym się głosem oznajmiła przerażonemu Vlkowi, że jedyny jej kochanek, z którym rok żyła po trzyletnim rozstaniu w okresie wojny i po którym później aż do zamążpójścia nosiła żałobę - Vlk mylnie przypuszczał, że kompensuje czernią lekarską biel - zginął z ręki kata!

Małgorzata była kobietą rozumną, Vłka od dawna kochała mocniej, a przede wszystkim realniej niż straconego bohatera i natychmiast z nim się zgodziła, że nie można stawiać znaku równości między knechtem odbierającym życie na rozkaz okupantów, na których żołdzie pozostawał, a konstytucyjnie ustanowionym etatowym egzekutorem, który służy ojczyźnie i postępowi (w tej sytuacji Vłk musiał oczywiście na zawsze zataić przed nią swój uraz). Jednakowoż w jej ciele czy duszy coś, co było niezależne od rozumu lub woli, zdecydowało, że musi za swoją nową miłość drogo zapłacić: rano przebudziła się bez płodu i stała się na zawsze bezpłodna. Było to nieszczęście dla nich obojga, ale przetrzymali je. On poza wszystkim głównie dlatego, że znalazł w Małgorzacie doskonałą kochankę, która namiętnie wychodziła naprzeciw jego witalności, dojrzałą intelektualnie partnerkę jego medytacji i pojętą przyjaciółkę w złych chwilach osobistych depresji i kłopotów z pracą.

Spojrzał na jej zdjęcie w secesyjnej ramce po matce, pierwszą rzecz, jaką postawił na swoim szefowskim biurku w „paplarni”, jak dzieciaki nazywały poufale jego gabinet. Miała na nim fryzurę à la garçon i uśmiech z domieszką smutku i ironii jak w nocy, kiedy ją poznał. Nikt nie dalby jej pięćdziesiątki, jeszcze w zeszłym roku na wybrzeżu czarnomorskim obskakiwały ją roje miejscowych przystojniaków, którzy po chodzie, biodrach, piersiach i cerze taksowali ją na czterdziestkę pierwszej klasy, a w tym roku będą się lepić znowu... W tym roku?

Natychmiast poczuł pod nogami rzeczywistość, był z powrotem jeńcem wyrzutów, przeistaczających się w niezgodę na samego siebie, co zdarzyło mu się jedynie kiedyś w dniach popełniania błędów. Ogarnięty jakimś moralnym instynktem samozachowawczym, usiłował ową niezgodę zagłuszyć niejasną, ale tym bardziej nieprzejeđną wściekłością na Małgorzatę. Czemu - pomyślał - wciąż muszę ją mieć na głowie, czemu sama ze sobą nie skończyła, jak tylko przekonała się o swojej bezpłodności? Po czym nie wiedzieć czemu żołądek podszedł mu do gardła. No tak, nie miał przecież prawa stawiać w ten sposób kwestii, od kiedy zdecydował się poddać ich więź próbie, która się właśnie zaczynała!

Ażeby to potwierdzić, wykręcił numer własnego telefonu. Nikt nie podnosił słuchawki, telefon dzwonił i dzwonił, więc spojrzał na zegarek: 15.05, już najwyższy czas. Wolną ręką pozamykał szuflady w biurku, z którego wszystko było już uprzątnięte, i oczyma systematycznie przeczesał pomieszczenie sprawdzając, czy o czymś nie zapomniał. Toteż jej cichy alt go zaskoczył.

- Vlkowa - powiedziała - słucham.

O mało co nie odłożył słuchawki; w ostatniej chwili się zreflektował.

- Tu Fryc - zdecydował się użyć poufałego zdrobnienia, jakim się do niego zwracała

przez dwadzieścia pięć słonecznych lat.

Po chwili zaczął tego żałować, po jej reakcji zrozumiał bowiem, że niepotrzebnie wzbudził w niej nową nadzieję.

- No co? - powiedziała głosem pełnym oczekiwania. - No co, Fryc??

Wręcz widział, jak hipnotyzuje słuchawkę oczyma, które kiedyś przypominały mu ślepią czyhającego tygrysa, zanim odkrył w nich soczewki kontaktowe. Musiał się zdobyć na chłodny ton, a tym samym telefonowanie straciło sens.

- Chciałem tylko spytać, jak ci leci.

- Jak krew z nosa - odparła. - Mógłbyś coś na to zaradzić?

Całe życie opowiadał się za wzajemną szczerością w ich małżeństwie; ona się przed tym wzdragała i raczej nie zwierzała mu się ze swoich lęków, niedyspozycji i powszednich kłopotów, gdyż uważała, że on ma dosyć własnych. Szkoda, że od tego zwyczaju, który tylekroć miał jej za złe, odstąpiła właśnie dzisiaj, ale mówi się trudno: może i teraz pozostać na swój własny sposób surowy.

- Wiesz przecież - powiedział - że wyjeżdżam.

- To jedziesz? - spytała, jakby się o tym właśnie dowiedziała.

- Małgorzato! - już nie mógł stłumić irytacji. - Po co się pytasz??

- Wybacz - powiedziała. - Więc po co do mnie dzwonisz?

Przez moment rzeczywiście nie wiedział. Czuł, że jest przykry.

- Po prostu chciałem wiedzieć, jak się miewasz...

- Okropnie - powiedziała. - Potwornie. Nic, tylko kłaść się do trumny. Masz jeszcze jakieś pytania?

I tym razem ogarnął go gniew, ale ponownie wziął się w garść.

- Nie - odpowiedział surowo - ale za to służę ci radą. W nocnym stoliku masz tyle barbituranów, że starczyłoby dla wszystkich lokatorów. Chciałem, żebyś wiedziała, że się o ciebie troszczę, ponieważ dla mnie wraz z miłością nie kończy się dobre wychowanie. Ale, jak widzę, całą sprawę mi ułatwiasz.

- Frydery... - usłyszał jeszcze, ale w tym momencie trzasnęła słuchawką.

Stwierdził, że cały drży. Ostatnio zdarzyło mu się to przed trzydziestu laty. Dotarło do niego: to jest chwila prawdy. Jeśli podniesie słuchawkę, kiedy teraz ona zadzwoni, nigdzie nie pojedzie! Na swoim koncie miała już niemal dziesięć tysięcy zmierzchów i świtów, kiedy to pochylała się nad nim, żeby ulżyć jego bólowi, a także rozkładała się pod nim, ażeby zaspokoił na niej swoją namiętność, gdy ta druga była, i może na zawsze pozostanie, chimera.

Wyobraził sobie, że jej najprawdopodobniej nie zdobędzie, a tymczasem Małgorzatę

straci. Od ogromu tej pustki dostał zawrotu głowy. Ale przecież to wciąż jestem ja, Fryderyk - mówił sobie w duchu - naczelny kat, a nie jakiś mięczakowaty inteligent, którego rozłożą na obie łopatki dwie cipy! Celowo dosadny ton wyrwał go z depresji. Wszystko to niedorzeczność, uświadomił sobie. Nic takiego znów się nie dzieje poza tym, że jedzie z uczennicą na studyjną wycieczkę. Tak, kocha ją i powiedział o tym żonie, ażeby nie splamić kłamstwem trwającego całe życie partnerstwa. Ale powiedział jej także, że wiek tej dziewczyny, a przede wszystkim przepastna różnica czterdziestu czterech lat nie dają mu żadnej szansy; musiałby sobie plunąć w twarz jako mężczyzna, pedagog i kat, gdyby to dziecko przemocą przewrócił na plecy i przedziurawił jak bęben! Własny cień pozwoliłaby mu przekroczyć jedynie jej miłość, ale niechże Małgorzata powie jako kobieta, czy jest to w ogóle możliwe?

Mógł oczywiście nie jechać, ale błogosławieństwo, jakiego udzielił tej podróży Nestor, przydawało całej sprawie powagi, no a przede wszystkim: nie chciał się uchylać od kategorycznego rozstrzygnięcia i żyć do śmierci rozdarty wewnątrz. Tymczasem jeśli za trzy dni wróci z dziewczyną nie naruszywszy jej cielesnej i duchowej niewinności, to znaczyć będzie, że jego małżeństwo wyszło z tej walki obronną ręką, a nie, że uratowało jej współzucie. Wycieczka stanie się dla nich później tylko błahym epizodem, który parę razy wspomną, on z sentymentem, ona z goryczą, aż w końcu go zatrze łaskawe tchnienie wspólnej starości. Oczyma duszy ujrzał pastelowy obraz, przypominający reklamy z czasopism ilustrowanych: Małgorzata i on na luksusowym pokładzie odpoczywają na leżakach, trzymając się pod pledem za ręce. Wieczorny wiatr chłodzi skórę rozgrzaną tropikalnym słońcem, a z morza wylania się olbrzymi karaibski księżyc. Patrzą sobie w oczy i widzą w nich miłość i wdzięczność...

Księżyc wschodził, ale nie wynurzył się, nie była to już pełnia, zapowiadał się blaskiem, aż nad horyzontem pojawiła się jak fatamorgana, blada, ale jaśniejąca twarz Lizinki Tacheci. Vlk drgnął, spojrzął na zegarek i szybko wstał, chwycił skórzaną walizkę, pelerynę, kapelusz i wybiegł za drzwi. Wtedy jeszcze nie uzmysłowił sobie, że Małgorzata wbrew swoim zwyczajom do niego

nie zadzwoniła.

- Czy ma pani coś do oclenia? - spytał celnik.

Lizinka obserwowała żołnierza, przechadzającego się z karabinem wzdłuż pociągu na tle betonowego muru. Kiedy szedł w stronę lokomotywy, robił trzynaście kroków, wracając zaś - o krok więcej; ta nieprawidłowość z wolna, ale niewzruszenie przesuwiała go w stronę końca pociągu.

- Nie - odruchowo odparł za nią Vlk.

Celnik, wpatrzony w Lizinkę, dopiero teraz go dostrzegł. Vlk zrozumiał później, że ten wyrosnięty przystojniak uważa się za mężczyznę, któremu żadna się nie oprze, a poza tym w swoim mundurze funkcyjnym - uważa się za równego bogom.

- Pan jest ojcem? - spytał Vłka uprzejmie, gdyż Lizinka zrobiła na nim ogromne wrażenie.

- Nie... - odparł Vlk zbity z pantałyku, jako że niechcący dotknął go w najczulsze miejsce.

Młodzieniec nie wytrzymał:

- Więc troszcz się pan o siebie - powiedział z odrazą. - Niech pan otworzy swoją walizkę.

Kiedy usilnie prosił Doktora, ażeby mu tę podróż załatwił, Vlk czynił to niechętnie ze względu na przypadek Mašina i Šimsy, widział w niej wszakże jedyną szansę. Lizinka nigdy nie miała kłopotów z tym, że jest zamknięta w sobie, ba, stale nieobecna, no bo tutaj zawsze ktoś się o nią zatroszczył. Tymczasem w kraju, którego języka ani zwyczajów nie zna, będzie zdana wyłącznie na niego. Zwykły wyjazd za granicę to jeszcze by nie było to, jego pomysł jednak okazał się po vlkowsku i prosty, i genialny: ŠRESZKUK (0002) wysła pierwszą studyjną delegację; aby dotrzymać zasady tajności, a przy tym jednak zdobyć maksimum doświadczeń, delegacja oficjalnie złoży wieniec pod pomnikiem ofiar obozu koncentracyjnego w Holzheim-Niehausen. Jako powód wyboru niewielkiego i mało znanego zakładu podawał Vlk okoliczność, iż w ten sposób nie będą się rzucać w oczy, rzeczywisty powód podnosił plan do drugiej potęgi.

- Profesorze! - przywitał go Doktor z całą powagą, kiedy się spotkali podczas egzekucji.

Vlk był już w stroju roboczym i ociupinkę zdenerwowany. Poza prywatnymi kłopotami irytowała go okoliczność, że po raz pierwszy od lat miał załatwiać kobietę, a do tego jeszcze sławną. Jej nazwisko w nieskończoność powtarzała prasa europejska, kiedy jako motorniczka tramwaju wjechała z tyłu w pochód na cześć rewolucji i twierdziła, że zrobiła to celowo, ażeby pójść na stryczek. Ze względu na wydzwitek polityczny państwo wolałoby dożywotnią hospitalizację. Psychiatrzy wszakże uznali ją za absolutnie poczytalną i w ten

sposób naraili mu robotę, z której by chętnie zrezygnował. Poza wszystkim, przypomniał sobie, że załatwianie kobiety wywołuje za każdym razem resentymenty społeczne, obracające się przeciwko wykonatorom, podczas gdy wszyscy inni po staremu umywają ręce. Jednak na widok Doktora Vlk jak zawsze czujnie się skoncentrował.

- Gdyby nie wzgląd - ciągnął Doktor - na naszą wieloletnią znajomość, musiałbym wam odmówić swojej pomocy, ale zaufanie do was kazało mi poprzeć waszą tezę, że uwieńczony powodzeniem studyjny wyjazd za granicę najlepiej usprawiedliwi istnienie szkoły i umocni jej prestiż. Inwestor oczywiście domaga się, a nie mogę przemilczeć faktu, że razem z nim również ja, ponieważ tym razem chodzi i o moją -

Doktor uśmiechnął się przepaszająco

- skórę, zagwarantowania w sposób niebudzący wątpliwości stuprocentowej dyskrecji przedsięwzięcia.

On coś wie, przemknęło Vlkowi przez głowę, a może nieświadomie mnie wypuszcza? Oby tylko sprzyjały mi gwiazdy!

- Początkowo - powiedział po namyśle, ażeby Doktor był przekonany, że jest świadkiem rodzenia się pomysłu - chciałem wziąć z sobą Alberta Škacha jako prymusa, ale wasz warunek zmusza mnie do zmiany, wezmę Tacheci. W najgorszym przypadku zyskam opinię wyleńskiego Don - dodał Vlk również z uśmiechem - Juana, który się przecenił.

- Brawo! - zawołał Doktor.

Vlk zrozumiał, że facet naprawdę nic nie podejrzewał.

Tymczasem Karlik wprowadził już klientkę i Vlk miał zaraz pełne ręce roboty, gdyż ta bohaterka naraz bardzo nie chciała pójść na stryczek. Post factum żałował, że domorośla zarozumiałość nie pozwoliła mu nigdy porządnie zapoznać się z podwójnym węzłem, czyli szlingami Šimsy. Tym razem również potwierdziło się, że jego wstręt do załatwiania kobiet był w pełni usprawiedliwiony: mężczyźnie, który publicznie własnoręcznie skręca kark kobiecie, jest mimo woli łyso. Na szczęście, nawet ten cholerny dylemat wewnętrzny nie osłabił jego refleksu zawodowego. Kiedy przytknął palcami, Karlik zatkał jej usta kneblem, a pochwę - co prawda niezbyt zręcznie - tamponem; przed laty jakaś klientka zaczęła im w roztrzęsieniu miesiączkować i od tamtej pory Vlk nie chciał ryzykować, że i tym razem załatwiana zachowa się tak, jakby ją raczej zadźgał: Był to zarazem trick psychologiczny, który sprawdził się i teraz: zaszokowana tym, że Karlik pod lnianą koszulą gmera jej w kroczu, przestała na chwilę odsuwać głowę od ręki Vlka z pętlą. Kiedy Karlik gwizdnał, że wszystko gra, poszło mu już jak z płatka. Ściągnął węzeł na karku, podbił jej nogą z tyłu kolana, a kiedy straciła równowagę, prawą ręką wykręcił swój sławetny rup-chrup tak

doskonale, że robiła wrażenie, jakby się potknęła, a on ją po dżentelmeńsku podchwycił. Po czym pospieszył do Doktora, ażeby dokończyć rozmowę, gdyż oczywiście ten był po takiej egzekucji nastrojony bardzo życzliwie.

W rezultacie tej rozmowy znalazł się oto na granicy państwowej z tą niezwykłą dziewczyną, ale w zamian za to - dla zachowania pozorów - ze zwyczajnym paszportem, tak że mógł go bezkarnie szykanować każdy elegant z ufryzowaną czupryną. Właśnie rozgrzebywał jego walizkę jak dzik, a Vlk mógł się tylko pocieszać w duchu: - Poczekaj tylko, jak wrócę z powrotem! Do przedziału wszedł strażnik z paszportami i łokciem trącił celnika w bok na znak, że pociąg zaraz odjeżdża. Piękniś dojrzał właśnie okrągłą paczkę nad głową Lizinki.

- Czy to pani? - spytał z niedowierzaniem.

Lizinka wciąż jeszcze obserwowała żołnierza z karabinem. Ilekroć zmierzał w stronę ostatniego wagonu, robił teraz dwanaście kroków, a ilekroć wracał, o dwa kroki więcej; w ten sposób niezawodnie, chociaż powoli, zbliżał się do lokomotywy.

- Tak - odpowiedział za nią Vlk.

Aczkolwiek mogła to być opona napęczniona makiem, z którego tutaj robi się placki, a za granicą opium, celnik zasalutował.

- Szczęśliwej drogi - powiedział do Lizinki, zauroczony.

Była właśnie zaabsorbowana sprawdzaniem, czy spacer żołnierza skończy się tam, gdzie się zaczął.

- Dziękuję - nie darował sobie odzywki Vlk.

A młodzieniec, który uznał go za rozwiązłego artystę, jadącego z kochanką na zakupy, mógł sobie w duchu ulżyć:

- Poczekaj tylko, jak cię przydybię w drodze powrotnej!

Drzwi się zamknęły. Żołnierz z karabinem znieruchomiał, za to pociąg ruszył.

Po kilkudziesięciu metrach zaczął mijać zabezpieczenia graniczne, najpierw betonowe zapory przeciwko czołgom, po czym troskliwie zagrabiony pas pola ornego z tabliczkami ostrzegawczymi, szereg wieżyczek strażniczych, kolejny pas pola ornego, uzbrojony w miny, i wreszcie wysokie ogrodzenie z drutu kolczastego, ciągnące się w nieskończoność, na którym przyjemnie białaty lampki izolatorów. Złość szybko Vlkowi mijała. Młody głupiec w mundurze był mikroskopijną skazą na urodzie tego krajobrazu, który utożsamiał mu się z ojczyzną. Ilekroć ją - od czasu pozytywnych przemian w społeczeństwie i w branży byli zapraszani przez kolegów z krajów zaprzyjaźnionych do ich reakcyjnych instytucji - opuszczał, czuł to samo wzruszenie co dzisiaj. Ta majestatyczna granica w dodatku napęniała

go dumą, że i on swoją uczciwą pracą przyczynia się do jej szczelności. Wyobraził sobie, że drut dzielący darninę ojczyzny od jałowej reszty świata, dochodzi aż do lodowych gór, ciepłych mórz i podniebnych połonin, i ogarnęło go poczucie pewności.

Niebawem mignęła budka z obcym mundurem kolejarskim, rozbłysły krzykliwe reklamy i z głowy Vlka wyparowały wszystkie myśli oprócz jednej cudownej pewności, że jest z nią za granicą sam na sam, poza zasięgiem rodziców i urzędów; fascynowało go, że on, dojrzały, moralny i poważny mężczyzna doznaje oszołomienia młodzieńca, który po raz pierwszy wszedł do kasyna, ażeby postawić na los szczęścia wszystko, co posiada...

Na tej granicy formalności zostały załatwione wręcz formalnie, toteż po paru minutach Vlk z Lizinką siedzieli już w wagonie restauracyjnym. Skoro musiał podróżować jako zwykły obywatel, profesor zrekompensował to sobie inaczej - przemyślał dewizy, które przydzielono mu ze specjalnego funduszu i które dodatkowo kupił za pośrednictwem Alberta od studentów zagranicznych przy korzystnym przeliczniku. Poleciał Lizince ukryć je za biustonoszem.

- Zobaczmy - zaśmiał się, kiedy posyłał ją z banknotami do toalety - jaki masz, Lizinko, sex appeal.

Sam już znał jego siłę: przyłapał się na podniecająco głupiutkiej myśli, że chciałby być tym rulonem banknotów przemycających w odurzającym cieple mroku, w którym przez ściankę skóry słyszeć uspokajające bicie serca. Oczywiście Vlk nie był ani Ryszardem, który w duchu się dobijał, a na zewnątrz głupawo uśmiechał, ani Šimsą, który jej pod stołem oblał kolana. Podczas gdy na dworze nie chciał zgasnąć ostatni dzień wiosny, najdłuższy dzień roku, profesor był błyskotliwy i uważny, czarujący jak nigdy. Pod wpływem tych obu czynników sprawczych wytworzyła się atmosfera, w której jadące wagonem restauracyjnym panie poczuły słabość do tego „uwodziciela”, natomiast mężczyźni patrząc na jego eteryczną towarzyszkę mieli ochotę obcałowywać ją całą, począwszy od uroczych stópek. Również personel w śnieżnobiałych fartuchach spełniał ich najbłahsze nawet życzenia: gdy widzieli, że krzywi się przesuwając wzrokiem po rubrykach wykazu z napojami, załatwili jej na najbliższej stacji dzban świeżego mleka. Biała szklanka w szczupłych palcach, którymi ją ogrzewała, wyglądała jak grubachna gromnica, toteż Vlk miał wrażenie, że jest raczej księdzem niż pedagogiem, lub bodaj nawet przyszłym kochankiem, a może i jej... nie dokończył myśli, żeby nie zapeszyć.

Stan wyjątkowy jego umysłu potwierdził mu fakt, iż spontanicznie zaczął jej opowiadać o robaczkach. Ilekroć przy tym rzucił mu się w oczy tkwiący na serdecznym palcu żelazny - wyjął go rano z sejfu bankowego - sygnet ze złotym oczkiem, gdzie niemal niewidzialnie zostały wygrawerowane słowa GOLD GAB ICH FÜR EISEN - H.H., odnosił

wrażenie, że wystarczy go obrócić, a znajdzie się w minionych dniach nieojalnego właściciela tej pamiątki z pierwszej wojny światowej, który drogocенności ofiarował ojczyźnie, ale swojej własnej, duchowej, której świetlaną uwerturą była entomologia. I kiedy jej teraz rysował na serwetce rozróżniające znaki wszystkich czterech podrzędów według ilości łapek - *Pentamera*, *Heteromera*, *Cryptopentamera* i *Cryptotetramera* - dziwił się, że po tak koszmarne długim czasie wszystko to jeszcze pamięta, i w duchu się pocieszał, że w razie najgorszego obrotu spraw może się podjąć nauczania biologii! W tym momencie się spostrzegł, że schematy dotyczące robactwa budzą w niej obrzydzenie. Szybko przestawił zwrotnicę.

Przebrzmiałe echo wiary w przesady przypomniało mu wesołą historyjkę o norymberskim kacie Franntzu Schmidcie, któremu kiedyś polecono obwiesić bramy Erlangen zbójnikami. Kiedy stwierdził, że jest ich trzynastu, zażądał, ażeby schwytać jeszcze jednego albo jednego puścić wolno. Pachołkowie nie chcieli być posądzeni o zniewieścianość, toteż wyciągnęli z knajpy jakiegoś człeczyne, mówiąc, że już mają czternastu; ten nowy strasznie się rzucał i wydzierał, więc go związali i zakneblowali. Kiedy Schmidt wrócił do domu, żona pyta: No jak ci się spodobał? Kto? - pyta Schmidt. Jak to kto, zięć - odpowiada żona - przecież poszedł ci się przedstawić, czyżby nie doszedł? Lizinka roześmiała się. Zachęciło go to i zaczął na luzie opowiadać jej katowskie anegdoty, które kiedyś namiętnie zbierał dla Doktora. Wraca kat do domu z rynku, gdzie cęgami rwał ciało ladacznic, i już w progu dostaje mu się policzek. Jeśli jeszcze raz, krzyczy żona kata, uszczypniesz kobietę w tyłek, wezmę z tobą rozwód!...

Jej śmiech działał jak szampan, napięcie ostatnich godzin i depresja ostatnich tygodni gdzieś się rozplynęły. Przecież naprawdę nic takiego się nie dzieje - pomyślał z ulgą - przecież nie chodziło o nic więcej jak właśnie o ten stan beztroskiej zabawy, która mi rozchmurza duszę i roztopia zmęczenie stawów! Przecież byłoby grzechem przytłoczyć ją namiętnościami i niepowtarzalną harmonią dusz przeistoczyć w banalne starcie dwóch płci. Zapragnął powiedzieć to Małgorzacie. Zapalił więc przynajmniej cygaro, jak to czynił czasem po kochaniu się z nią, kiedy jej miłość kulminowała. I patrząc na zapalniczkę, zrobioną ze starej łuski po naboju, która już nieraz przyniosła mu szczęście, uwierzył, że teraz im trojgu przyniesie spokój i ukojenie.

Jeszcze przed kolacją dopłacił za przedział pierwszej klasy w wagonie sypialnym. W ten sposób zrealizował *idée fixe*, stojącą u kolebki tej wycieczki, kiedy całymi tygodniami łamał sobie głowę GDZIE. To słodkie sam na sam stało się jego marzeniem, a widmem Małgorzaty, od owej nocy, kiedy monotony stukot kół pociągu zaczął przyspieszać rytm

niczym tam-tamy roznamiętnionych dzikusów, aż w końcu i on mu uległ. Przemógł opory, przykrył dziewczynę swoim potężnym ciałem, oblał szorstkimi dłońmi delikatne piersi, językiem wniknął w jej usta i bezlitośnie wszedł w jej łono. Spodziewał się, że krzyknie z bólu, i był zaskoczony, że z miejsca za pierwszym razem jęczy jak doświadczona kochanka. Potem jej ciało poderwało się ku niemu, a on odwzajemnił... Kiedy się ocknął z błogiej nieprzytomności, usłyszał głos Małgorzaty.

- Więc jednak nie ze mną się kochałeś, prawda?

Cóż, od piętnastu lat, niestety, już jej nie pragnął, chociaż ją kochał, nie zdradzał jej, był też całkowicie normalny. Przyczyny nie trzeba było dociekać: długo się nie mogli pogodzić z bezdzietnością, a największą szansę na powodzenie dawało „sztuczne zapłodnienie nasieniem męża”, jak brzmiała formuła techniczna, więc kilkakrotnie czynili w tym zakresie próby. Każdą z nich poprzedzało badanie lekarskie, które go deprymowało: musiał dostarczyć do laboratorium świeże nasienie, toteż czekał w kolejce mężczyzn do jedynego WC na oddziale seksuologicznym, gdzie następnie nerwowo borykał się z krnąbrnym członkiem. Niemniej próbki były pierwszej klasy, dziesiątki milionów plemników o dużej ruchliwości i długiej żywotności; z miłości do Małgorzaty prosił jednak lekarza, ażeby wynik zredukował do minimum. To zaś tak kontrastowało z jego witalnością, że Małgorzata posyłała go na nowe badania. Zaczarowane koło, które go systematycznie wyrzucało z haniebną szklaneczką do ponurego WC, z czasem sprawiło, że również kochanie się z Małgorzatą stało się dla niego częścią produkcji potomka. Przestało go ono bawić i niepostrzeżenie je ograniczało - później oddał się pasji kucharskiej, a po kolacji zmywał naczynia, dopóki ona nie zasnęła - tak że w końcu uwierzyła w prawdziwość testów. Wlk wszakże tryskał siłą witalną, toteż jako mężczyzna zaspokajał się w sposób, jakiego go nauczono podczas badań, tyle że w wygodnej domowej wannie. Zatem zdziwienie Małgorzaty było teraz w pełni uprawnione, on zaś musiał wreszcie wybrać pomiędzy litościwym kłamstwem a okrutną prawdą. Tej ostatniej dzisiaj dał pierwszeństwo.

- Nie - przyznał - nie z tobą.

Niemalże się modlił, żeby nie pytała o nic więcej, ona jednak, wbrew ich zwyczajom, powiedziała:

- Znam ją?

Wielokrotnie później wyrzucał sobie, że nie odparł „nie”, mógł to zresztą powiedzieć z czystym sumieniem, ponieważ się z nią jeszcze nie zetknęła. Chciał jednak być absolutnie szczery, bez sztuczek i wykrętów. Dopiero po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że kierowała nim przede wszystkim przemożna potrzeba porozmawiania o niej z kimkolwiek: Małgorzata

była niby owa baśniowa wierzba z dziuplą, w którą wszeptywał nawet sekrety służbowe, ażeby się nimi nie zadławić; na jej nieszczęście była również jedyną osobą, której mógł się zwierzyć ze swojego uczucia do Lizinki.

- Tak - powiedział. - To ta dziewczyna z klasy.

Milczała tak długo, że się uniósł na łokciach, żeby się przekonać, czy nie usnęła. Miała oczy otwarte i patrzyła w sufit. Gdziekolwiek mieszkał, miał w sypialni niebieski sufit; uspokajał go. Ona jednak musiała na nim wyczytać złowieszczą wróżbę. Płakała.

- Na litość boską! - przestraszył się. - Nie wolno ci tak reagować! No cóż, przynajmniej, to dziewczę budzi we mnie czułość, a także namiętność, ale nie zajmuje ani krzty przestrzeni, która jest twoja, wydaje mi się najwyżej, jakbym się -

dodał w zamyśleniu wycierając jej kąciki oczu rogiem poduszki

- rozszerzył...!

- Jest młoda - wyszeptala Małgorzata - piękna i pełna życia. Jak długo jeszcze będziesz zdolny wracać z kwitnącej łąki na pustynię...?

- Co ty mówisz?! - chciał wykrzyknąć, ale twarz bez makijażu i piersi bez nawoskowania nawet w mroku przyznawały jej rację.

Zdał sobie sprawę, że jego połowicę zniszczył czas, który wspólnie przeżyli, i taka go ogarnęła litość, że kochał ją w owej chwili jak nigdy przedtem...

...i jak ponownie teraz, na korytarzu wagonu sypialnego patrząc przez otwarte okno na umykający horyzont, w którym wciąż jeszcze tkwił ostatni jasny pazurek wiosennego zachodu. Miły nastrój podczas kolacji sprawił, że wszystko wróciło do normy. Myślał o swojej żonie, którą kocha z całego serca, a tymczasem w przedziale dawno już spała jego uczennica, którą miłuje całą duszą i z przyjemnością odbywa z nią studyjną wycieczkę, ale która mu nigdy nie zastąpi Małgorzaty.

Wszedł do przedziału, przekonał się, że jest - zapomniał to z nią uzgodnić, a ona po prostu zajęła dolne łóżko, nie zauważywszy nawet drugiego u góry - skulona i opatulona jak jeź, na wszelki jednak wypadek zgasił światło, kiedy przebierał się w piżamę, i wdrapawszy się na górę, jeszcze przez chwilę czytał przy małej lampce książkę, którą sobie kupił na dworcu. Szybko stwierdził, że *Pluton egzekucyjny* José Tomàsa Cabota nie jest publikacją fachową, ale powieścią beletrystyczną. Pobieźnie przeleciał fabułę i zaczął dokładnie czytać dopiero zakończenie, gdzie wprawdzie sentymentalnie, ale ściśle pod względem faktograficznym została opisana egzekucja przez rozstrzelanie nie wyłączając dobijania. Postanowił wpisać książkę na listę lektur nadobowiązkowych. Po czym zgasił światło.

Kiedy popuścił cugli swojej żelaznej dyscypliny wewnętrznej, ujrzał za oknem pokład

znanego statku: pod wspólnym pledem wszakże pachniało ciepłym młode ciało Lizinki Tacheci; niepostrzeżenie się do niej przysuwał, aż w końcu dzieliła go od niej jedynie przejrzysta tkanina. Aż tu rozległ się wybuch i pokład pękł akurat pomiędzy leżakami. Mina, uświadomił sobie; jego połowa statku zjeżdżała pod wodę jak winda. Nagle dym wciąż jeszcze bijący z komina zmaterializował się w smutną twarz Małgorzaty Vlkowej. Wyciągnęła do niego ramiona i poczuł, jak razem z leżakiem jest unoszony coraz wyżej i wyżej, podczas gdy resztki statku utonęły w bezkresie oceanu.

Aby uniknąć przekładania nieporęcznej paczki, która dzięki Lizince uniknęła kontroli celnej, poprosili taksówkarza, żeby z nią poczekał na nich przed hotelem, gdzie tylko się odświeżą. Vlk nie tylko że wynajął dwa pokoje, ale zdecydowanie zażyczył sobie, żeby każdy z nich był na innym piętrze, co recepcjonistę utwierdziło w przekonaniu, że są parą kochanków. Kiedy ponownie ruszyli spod hotelu, podany adres nie mówił taksówkarzowi, musiał kilkakrotnie zasięgać języka. Dwaj młodzi ludzie nie orientowali się, dwaj starsi nie odpowiedzieli. Dopiero w pewnym szynku go oświecili, wybiegł wołając radośnie:

- „Il paradiso!”

Niegdyś obóz koncentracyjny służył teraz jako noclegownia dla włoskich robotników. W niedzielę przed południem pisali listy do żon lub czyścili czarne garnitury na ziomkowskie spotkanie na dworcu. Kiedy ujrzeli Lizinkę, piskom, mlaskom, wołaniom i obscenicznym gestom nie było końca. Paczka nie pozwalała Vlkowi na rozejrzenie się ani na jakąkolwiek akcję; odetchnął, kiedy doszli do budynku otoczonego murem z napisem MUZEUM. Długo dzwonił, nim w końcu otworzył gderliwy, niski, stary mężczyzna.

- Czego chcecie? - warknął.

Bystrymi oczyma podejrzliwie przyglądał się paczce.

- Dzień dobry - powiedział Vlk niemal bez obcego akcentu, chyba jedynie intonacja mogła zdradzać, że nie jest tubylcem.

Uprzejmie wytłumaczył, że chcą złożyć na ołtarzu męczenników ten oto wieniec w imieniu swoich ziomków-ogrodników wszystkich generacji. Mówiąc to zerwał papier z pakunku. Doktor wpadł na dowcipny pomysł, jak zatrzeć ślady ofiarodawców: wieniec był upleciony z zielonej pietruszki, wśród której tkwiące ogonkami naci czerwone rzodkiewki układały się w dwujęzyczny napis PAMIĘTAMY.

- W niedzielę nieczynne - odszczeknął dziadyga. Nawet wieniec nie rozproszył jego dziwnej podejrzliwości.

- Przyjdziemy zatem jutro - powiedział Vlk spokojnie, ale zdecydowanie. - Lub kiedy indziej.

Blefował, ażeby zmusić przeciwnika do odkrycia kart.

- Mamy prace adaptacyjne - powiedział tamten nerwowo. - Nie ma sensu czekać. Jeśli chcecie, zostawcie wieniec tutaj, będę go kropił z konewki, żeby nie zwiądł.

Zanim mężczyzna zdążył się zorientować, Vlk wszedł za bramę, a za nim Lizinka. Przez dziedzińczyk prowadził wąski ażurowy korytarz z drutu kolczastego, ciągnące się wzdłuż niego izolatory świadczyły, że podłączano drut pod prąd. Vlkowi wydało się, że słyszy szczekanie i skowyt sfory psów.

- Zostawcie go tutaj! - wykrzyknął stary mężczyzna.

- Słyszycie? Połóżcie go i odejdźcie!

- Nie możemy - Vlk nie spuszczał z niego oczu - porozmawiać sobie?

- Nie mam - krzyczał tamten, aż mu ochryplł głos - nic do powiedzenia!

- Nawet - chciał wiedzieć Vlk - gdyby to nie było gratis?

- Wynoście się stąd, bo zawołam policję, to jest naruszanie domowego spokoju! A tę atrapę zabierz pan z sobą, przeklęty pismaku!

- Za krótką wizytę - powiedział nieprzejednanie Vlk - dałbym panu ten mały antyk, może go pan rozpozna... jeżeli się pan nazywa Adolf Hofbauer.

Zdjął z palca żelazny sygnet ze złotym oczkiem i podał mu w taki sposób, ażeby z bliska widział inicjały. Stary człowiek patrzył na kosztowność zafascynowany.

- To mojego ojca - powiedział po chwili głucho. - Skąd pan przyjechał...?

Vlk powtórzył swój gest.

- Ależ tam był... tam mój brat...

Podszedł do Vlka, rzucił tylko na niego okiem i z każdej strony wyciął mu z całej siły policzek. Kiedy Vlk instynktownie wysunął obie dłonie, żeby bronić się przed kolejnymi uderzeniami, zdzielił go pięścią w żołądek, tak silnie, że aż się przewrócił. Po czym przez niego przestąpił, obszedł

43

biurko, zdjął wieko z maszyny do pisania, wkręcił w nią papier i wygodnie usiadł.

- Nazwisko! - powiedział ledwo dosłyszalnie. - Jeśli mi tu jeszcze przez sekundę będziesz się pokładał, przetrączę ci nogi.

I choćby przedtem Vlk przysięgał, że ból nie pozwoli mu nigdy wstać, teraz mięśnie wyrzuciły go w górę niemal na baczność. Kurczowo przyciskał naprężone palce do szwów

spodni, ale i tak czuł ich dygot, od którego trzęsło się całe ciało.

- Fryderyk Vlk - wykrzyknął najgłośniejszym głosem jak umiał.

Wiedział, że oni to lubią.

Niewysoki blondyn za biurkiem robił wrażenie, jakby właśnie wrócił z koncertu; z ciemnego dwurzędowego garnituru wystawał śnieżnobiały nakrochmalony kołnierzyk, ten sam kolor powtarzała chusteczka w butonierce; całość dopełniał wąski ciemny krawat w białe kropki.

- Aa - powiedział jakby zaskoczony - chwileczkę!

Grzebał się w pliku teczek na biurku, aż jedną wyciągnął.

- Profesor Vlk? - spytał.

- Tak! - wykrzyknął Vlk.

- Aa! - powtórzył mężczyzna.

Odłożył teczkę, obszedł biurko i wyciągnął rękę.

- Miło mi, ja jestem komisarz Fritz Hofbauer.

Spojrzenie na dłoń, która go przedtem uderzyła i zwała na ziemię, sprawiło, że krew mu odpłynęła z mózgu i nie był zdolny ani poruszyć się, ani wymówić słowa. Stał napięty jak struna, a pot z palców wsiąkał mu w spodnie.

- Ach - powiedział komisarz - ten wstęp proszę mi wybaczyć. Małe nieporozumienie, wczoraj mi podano inną kolejność, później z nimi pomówię. No więc?

Vlk oprzytomniał i pospiesznie uściśnął mu dłoń.

- Niech pan siada - powiedział komisarz prowadząc go do stolika konferencyjnego. - Proszę zrozumieć, mamy tu do czynienia ze zdrajcami stanu, a z nimi się nie patyczkujemy. Pan jest inteligentem, na pewno się dogadamy. Pali pan?

Zląkł się, kiedy ręka ponownie wysunęła się w jego kierunku; trzymała jednak tym razem pudełko z papierosami i cygarami. Potrząsnął przecząco głową.

- Ależ pan przecież nie jest niepalący, panie profesorze...?

Vlk poczerwieniał, jak gdyby go przyłapano na kłamstwie.

- No cóż... rzuciłem palenie... moja narzeczona...

- Do tego trzeba mieć bardzo silną wolę, nieprawdaż? Da pan wiarę, że ja takiej nie mam?

Nie wiedział, jak na takie pochlebstwo zareagować. Z zakłopotaniem wzruszył ramionami.

- Wie pan co? Zapal pan ze mną, bo będę się źle czuł!

Znowu ręka z pudełkiem. Vlk gorączkowo myślał. Właściwie co temu mężczyźnie

imponuje? Wytrwałość czy uległość? Po czym przypomniało mu się, na co niedawno przysięgał. Oczywiście musi przede wszystkim zachować twarz!

- Nie, ja naprawdę...

Trzask. W drugiej ręce błysnął płomień zapalniczki. Vlk szybko sięgnął do pudełka. Nie ma sensu handryczyć się o głupiego papierosa, ten człowiek chce w ten sposób naprawić swoje uchybienie, czemu tego nie wykorzystać dla dobra sprawy... A skąd oni właściwie wiedzą, że palił i przestał??

- Dziękuję...

- Drobiazg, panie profesorze. Chyba pan wie, po co pana zaprosiłem?

- Nie...

Deprymowało go, że mu się nie przestają pocić palce. A przecież liczył się z takim obrotem rzeczy, tak, sam się tego dopraszał, kiedy przypuścił atak na swojego przyjaciela, germanistę Vorela, chcąc się włączyć do ruchu oporu. Vorel długo zaprzeczał, że w ogóle o czymś takim wie, ale wtedy Vlk miał niezłomną wolę. I jakby chciał nadrobić to, co zaniedbał, stał się wkrótce motorem grupy, która składała się z kilku nauczycieli gimnazjalnych i lekarzy z powiatowego szpitala. I właśnie jeden z nich był praprzyczyną jego aktywności, gdyż go od dzieciństwa niesłusznie nazywał egoistą i słabeuszem; kiedy przed tygodniem zaproszono go na ściśle zakonspirowane zebranie kierownictwa, żeby przedstawił nakreślony z rozmachem projekt kampanii przeciwko okupantom, Vlk mógł triumfalnie spojrzeć w twarz... starszemu bratu.

- Nie ma sensu - powiedział komisarz - owijać rzeczy w bawełnę. Wiemy wszystko. Gdybym postępował zgodnie z przepisami, wasze miasto zostałyby praktycznie bez inteligencji. Jestem wszakże prawnikiem i zwolennikiem rokowań. Dokładnie przejrzałem charakterystyki różnych osób i myślę, że najbardziej odpowiadałby mi pan. No więc?

- To jakaś pomyłka... - wychrypiał Vlk i odchrząknął.

- Jeśli mówię - ciągnął Hofbauer niewzruszenie - rokowania, to mam na myśli honorową otwartość obydwu stron. Powtarzam, wiemy wszystko, jako cudzoziemcy nie możemy wszakże ocenić, kto waszemu narodowi pro futuro jest bardziej czy mniej potrzebny. Jest wojna i musimy karać każdą działalność skierowaną przeciwko nam, chcemy jednak ukarać przykładowo jedynie najskrajniejszych radykałów, którzy byliby i dla was niebezpieczni w czasie pokoju, w ten sposób oszczędzimy realistów, przydatnych narodowi w każdym czasie. No więc?

- Ja naprawdę nic nie wiem - powiedział odważnie Vlk, wierny przysiędze, którą złożył najpierw Vorlowi, potem inspektorowi szkolnemu Kroupie, szefowi organizacji, a

wreszcie również w domu, gdzie się jej domagał zirytowany, niedowierzający brat - zajmuję się wyłącznie naukami przyrodniczymi...

- Wiem, wiem - powiedział komisarz Hofbauer - jako biolog jest pan człowiekiem dalekowzrocznym. Gdyby pan wybrał jako swój przedmiot historię, byłby dziś z pana kłamca lub nieboszczyk. Jako biolog dobrze pan wie, że warunkiem przeżycia jakiegoś osobnika nie jest moralność, ale siła. A siłę posiadam ja. Mówiąc szczerze, nie jest pan moim jedynym kandydatem i nie zdziwię się, jeśli kolejny będzie miał mniej skrupułów od pana.

- Ależ u nas naprawdę nikt... - powiedział cicho Vlk.

Komisarz wstał. Obie ręce ponownie miał wolne, jak gdyby gotowe do zadania ciosu.

- Trzy nazwiska - powiedział - i do domu. A jak nie, to do naszej piwnicy. No więc?

Jeszcze przed chwilą Vlk był zdecydowany raczej oddać życie niż zdradzić bodaj jednego współbojownika. Tymczasem teraz powstała nowa sytuacja, której przysięga, wykalkulowana w jakimś zaciszu, nie przewidywała. Gdyby szło tylko o niego, dałby się zatłuc, ale czyż komisarz nie powiedział, że zawezwie kogoś innego? Czy nie grozi niebezpieczeństwo, że ten ktoś po pierwszym ciosie wyda wszystkich dziesięciu i unicestwi całą grupę? Tymczasem on ma możliwość siedmiu członków uratować! Wziął na siebie krzyż straszliwej odpowiedzialności i zdążył jeszcze wytypować tych, którzy najłatwiej mogli zostać oskarżeni czy też byli starzy albo nieżonaci."

- Meloun - powiedział. - Konvalina i Rys.

Wymienił gimnastyka, katechetę i woźnego. Komisarz zapisał sobie te nazwiska, wciąż przed nim stojąc.

- No proszę - zażartował z kamienną twarzą - jak to nam idzie. Tylko tak dalej!

Vlk się zachnął.

- Chciał pan trzech...!

- To było kiedyś - powiedział Hofbauer. - O tym niech pan zapomni. Teraz proszę o następną trójkę.

Mimo zdenerwowania zrozumiał: wiedzą o sześciu! Ogarnął go płomienny gniew na nieznanego zdrajcę, który teraz beztrosko sobie dogadzał za judaszowe srebrniki, podczas gdy on tu walczy o każde istnienie. Ale nawet kiedy słyszysz „szach” - przyszło mu do głowy - często wygrasz, jeśli tylko potrafisz dokonywać właściwych wyborów. Lekarze są potrzebni wszystkim, więc może im ujdzie na sucho.

- Doktor Morva - powiedział. - Doktor Komeda. Doktor Krob.

Był niesamowicie wyczerpany, ale szczęśliwy, że jądro grupy ocalało i mogą działać dalej. Komisarz wciąż jeszcze stał. Odezwał się nader surowo.

- Panie profesorze, o tym kto jest radykał, a kto realista, zdecyduję oczywiście ja. Pan niech mi wymieni nazwiska wszystkich bez różnicy po to, żebym przekonał się o pańskiej prawdomówności. My ich i tak już znamy.

Vlk usłyszał szum, jakby w pobliżu występowała z brzegów rzeka; krew uderzała mu do głowy. Naprawdę wszystko wiedzą! - kłębiło mu się w głowie. - Czemu więc odgrywać bohatera??

- No więc?? - warknął Hofbauer.

- Kolega Vorel... - powiedział na to Vlk; starał się, żeby to brzmiało poważnie, a przede wszystkim ostatecznie.

- Dalej!

Męczące milczenie. Ale bicz głosu nie pozwalał na najmniejsze wychnienie.

- Dalej!!!

- Inspektor Kroupa...

I to była dla niego nieprzekraczalna granica. Brata pragnął ocalić za wszelką cenę!

- Dalej!

- O nikim już nie wiem, panie kom...

- Traktowałem pana - powiedział Hofbauer lodowato - uprzejmie wierząc, że jest pan człowiekiem na poziomie. Tymczasem zmusza mnie pan do zastosowania środków, z którymi przez omyłkę zetknął się pan na początku.

- Panie komisarzu, daję panu słowo hono...

- Wstań i wyjmij z gęby - wrzasnął komisarz - ten smoczek, kiedy ze mną mówisz!

Stojąc znowu na baczność Vlk starał się zapanować nad rozdygotanymi nogami.

- Myślisz, że jestem idiotą?? Że nie wiem, kogo cały czas kryjesz?? Tylko że ja to chcę usłyszeć od ciebie, w przeciwnym razie ciebie wykończę zamiast niego!

Może gdyby brat miał do niego w życiu więcej zaufania i poświęcał mu więcej uwagi, Vlk byłby gotów stać się zamiast niego męczennikiem, ale skoro było wręcz odwrotnie? W bezkresnej sekundzie trwogi przypomniał sobie wszystkie ich spotkania, które zupełnie niedawno zaowocowały niesłychanym oskarżeniem go przez brata o to, że przyłączając się do ruchu oporu niejako za pięć dwunasta Vlk usiłuje z myślą o przyszłej karierze wyrobić sobie dobrą opinię. To braciszкови wszakże nie przeszkadzało zostawić go samemu sobie, i to zupełnie nieprzygotowanego, kiedy wplątywał się w tę sytuację bez wyjścia. I kiedy się w dodatku okazuje, że cała ich sławetna konspiracja nie była warta funta kłaków, a komisarz wie o niej wszystko, to co, on właśnie ma kłaść głowę pod topór? A kto się w razie czego zatroszczy o młodszą siostrę?? A co będzie z Magdalenką Jarošówną, jego platoniczną

miłością??

- No więc kto to jest?? - wrzasnął komisarz.

- Vlk! - krzyknął Vlk.

Hofbauer był wyraźnie zaskoczony.

- Vlk...?

- Doktor Vlk, Vlk, Jan, mój brat!

- Zawsze - powiedział Hofbauer - pragnął, żeby brat mnie tu zobaczył, on mnie cokolwiek nie doceniał. Nie przeczę, że ten skurwysyński artykuł o mojej przeszłości, który nawet u was przedrukowała jakaś świńska brukowa gazeta, w sposób wręcz niewiarygodny skomplikował mi życie. Z drugiej strony jednak pozwolił mi żywić nadzieję, że

44

Fritz się w końcu odezwie; pańskie informacje o jego ówczesnym wyjeździe utwierdzają mnie w przekonaniu, że kontynuuje swoją praktykę gdzieś w Ameryce Południowej.

Kiedy zstępowali po kręconych schodach, Adolf Hofbauer jako pierwszy, a w ślad za nim Vlk tuż obok Lizinki, żeby w razie czego móc ją podtrzymać, nasilał się znowu dźwięk przypominający szczekanie i skowyt.

- I ja też - ciągnął przewodnik bez owijania w bawełnę, jak gdyby chciał im wynagrodzić początkowy brak zaufania - ukrywałem się, zanim cokolwiek ostygły namiętności. Ale potem moja droga Truda, niech jej Bóg nie skąpi nieba, powiedziała mi, po co te wariactwa, Dolfi? Wykonywałeś rozkazy, a przy tym dałeś zarobić całemu miastu! Wtedy była moda na przekształcanie obozów w muzea, prowadzili je rekonwalescenci i aż roiło się pośród nich od osobników łaknących krwi. A my tutaj poszliśmy po rozum do głowy: nie wypuściliśmy całego przedsięwzięcia -

dodał Adolf Hofbauer otwierając stalowe drzwi

- z ręki.

Vlk, choć zawodowiec, był wyraźnie przejęty. Nowoczesna wykańczalnia dawno mu spowszedniała, a średniowieczne katownie, które zwiedzał z dziećmi, oddziaływały na niego jak baśniowe wizje. W tym niepozornym budynku jego przewodnik w ciągu paru lat załatwił więcej klientów niż on wraz ze swoimi nauczycielami i uczniami będzie mógł obsłużyć przez całe swoje życie. Mimo woli chwycił dziewczynę za rękę, jakby się chciał

podzielić z nią swoimi emocjami. Oboje przeszedł zimny dreszcz.

Wydawało im się, że są w infernie. W nozdrza uderzył ich gryzący smród, ogłuszyła ich niewyobrażalna wrzawa, i zewsząd atakowały szczęki psów, uwiązanych na szczęście na mocnych kablach. Wargi Hofbauera bez przerwy się poruszały aż do chwili, gdy zrozumiał, że goście nie mogą go słyszeć. Pociągnął w dół dźwignię na tablicy rozdzielczej obok drzwi. Rezultat był niesłychany: światło w pomieszczeniu przygasło, skowyt z miejsca zastąpiło żalosne skomlenie. Żarówki zajaśniały normalnie, dźwignia wróciła do poprzedniego położenia. Na betonowej podłodze przestronnego pomieszczenia leżały dziesiątki rozdygotanych psów najprzeróżniejszych ras; niektóre plątały się w koło, na ile im pozwalały kable.

- Ażeby to tałatajstwo nie leżało odłogiem, stworzyliśmy tu - powiedział Hofbauer - rakarnię. Psy, których nikt nie chce, sprzedajemy przede wszystkim do laboratoriów. Makaroniarze z łagru też nabywają pod koniec miesiąca po parę sztuk, żeby mieć coś na ząb przed wypłatą. Poza tym wszystko jest tak, jak było, ta elektryczność chroniła personel przed rekonwalescentami ze skłonnością do agresji.

- Rekonwalescenci - tłumaczył Vlk Lizince - to było coś jak klienci, których przestępstwem okazała się ich choroba.

- Bardzo - powiedział Hofbauer z uznaniem - dobrze pan to ujął. Dzisiaj ponownie zaczyna się już rozumieć, że eutanazja to żadna zbrodnia, ale akt najwyższego miłosierdzia społecznego. Debile i szaleńcy wszystkich maści stanowią niebezpieczeństwo nawet w czasie najtrwalszego pokoju. Zresztą szpitale i domy starców dostarczyły nam tylko połowy z nich, większość przyszła z kryminalów i obozów. Opatrywaliśmy wszystkich równie szybko i bezboleśnie. Leżeć!

Odnosiło się to do owczarka niemieckiego, który ochłonął po szoku i znowu zerwał się ze szczekaniem; Hofbauer poklepał go po pysku pewną ręką i prowadził gości do przeciwległych drzwi cały czas uprzejmie zwracając w ich stronę swój cokolwiek ptasi profil.

- Tak zwane muzeum jest oczywiście w nieprzerwanej adaptacji, no bo gapie nam tu nie są potrzebni. Jako kustosz występuję jedynie przy okazji wyjątkowych wizyt. Waszą zaliczam -

dodał z ukłonem

- do takich.

Dla Vlka i jego profesji żywił, rzecz jasna, respekt, ale wydawało się, że ta galanteria ma na względzie przede wszystkim piękną towarzyszkę profesora. Vlk się z tego ucieszył, a zarazem dość osobliwie się zaniepokoił.

W sąsiedniej betonowej krypcie Hofbauer pokazał im świetnie zakonserwowaną aparaturę i wytłumaczył dwa sposoby opatrywania pacjentów za jej pomocą. Pacjenci leżący na noszach - niespokojni w kaftanach bezpieczeństwa, obłąkani w prześcieradłach - byli przenoszeni na blaszany stół; naciskało się nogą pedał i wtedy wysuwały się trzy długie igły, z których przynajmniej jedna bezwzględnie niezawodnie przekłuwała komorę sercową. Pacjentom chodzącym, używając ówczesnej formuły, „brano miarę”. Dla niepoznaki, żeby ich uspokoić, najpierw ich normalnie ważono, a potem stawiano tyłem na metalowym wysokościomierzu, gdzie na poziomie potylicy załatwiał ich pistolet z tłumikiem.

Vlk chciał zapytać, jaką rolę spełniały haki, ponumerowane od I do VI, zamocowane w suficie tuż przy bocznej ścianie. Przypominały UBIENIE - także długim, teraz opuszczonym mostkiem - ale ich umiejscowienie było wyjątkowo nieporęczne. Tymczasem Hofbauer wyraził żal, że w chaosie kapitulacji wysadzono w powietrze sąsiednie krematorium. Było wprawdzie małe, przerób dzienny sto sztuk, oczywiście, jak na ówczesny plan państwowy, ale dzisiaj ta kameralna niepozorność szalenie by odpowiadała firmie i miastu. No bo trzeba do powiatu jeździć nie tylko z każdym dziadkiem, który sobie zażyczył kremacji, ale i z każdym psem: spalają ich tam między jednym a drugim pogrzebem chrześcijańskim za niechrześcijańskie pieniądze.

Podczas tej rozmowy wyszli na placyk, gdzie wciąż jeszcze widać było betonowe fundamenty. Hofbauer coraz częściej zwracał się do Lizinki. Jej skoncentrowana uwaga zdawała się inspirować go do przypominania szczegółów, które z wolna szły w zapomnienie zasypywane obojętnym piaskiem czasu. Ożywała w nich pionierska legenda o prostym sanitariuszu miejscowego szpitala, którego ojciec Heini bohatercko poległ jako żandarm polowy podczas pierwszej wojny, a brat policyjnie zabezpieczał tereny zdobyte podczas drugiej wojny światowej. I właśnie ten niezbyt przebojowy młodzieniec pierwszy zrozumie sens określenia „uśmiercić z litości”, tak jak je propaguje nowy, przebojowy reżim. Będzie umiał się znaleźć wtedy, gdy zawiodą reakcyjni i tchórzliwi lekarze: obejdzie rodziny odpowiednich pacjentów i wytłumaczy humanitarny charakter akcji tak żarliwie, że nikt się nie sprzeciwi. Po naradzeniu się z fachowcami decyduje się na ostateczne sposoby opatrywania i zabiera się do pracy. Codziennie produkuje jedynie tyle trupów, ile wcześniej zgadzają się przyjąć okoliczne krematoria. Już jednak za miesiąc dwie trzecie szpitala staje do dyspozycji jako lazaret i na Adolfa Hofbauera sżywa chwała. Powierza mu się opracowanie wielkiego planu obejmującego całe południe kraju i dzięki temu pomaga wówczas rodzinnemu miastu: miejscowi właściciele korzystnie sprzedają parcele ziemskie, miejscowi przedsiębiorcy budują, rzemieślnicy dostarczają wyposażenie, handlowcy i hotelarze mają

koniunkturę. Adolf Hofbauer jest szanowany i kochany. Obóz w Holzheim-Niehausen to plotka pośród gigantów eksterminujących całe narody i rasy, ale swoje zadanie spełnia, ba, więcej nawet: kiedy fala starców, kretynów, gruźlików i chorych na raka opada, zaczynają napływać do opatrywania kryminalni recydywiści. Być może doszło tutaj do pewnych nadużyć, gdyż pośród tego rodzaju pacjentów znalazło się również paru więźniów politycznych, ale on za to nie ponosi odpowiedzialności, przecież nie został umieszczony na liście zbrodniarzy wojennych i mógł spokojnie pozostać w domu. Niczym mu również nie grozi oskarżenie kilku pozostałych przy życiu cudzoziemców, które sformułował ten głupawy artykuł w jakimś brukowcu; w razie czego całe Holzheim-Niehausen zaświadczy, że Adolf Hofbauer jest niewinny. Toteż patrzy przed siebie i wstecz z czystym sumieniem i niezachwianą wiarą, że czytanki szkolne zostały już napisane.

Niski mężczyzna, tak wysoko oceniany przez całe miasto, ujął tymczasem Lizinkę pod ramię i mówił już właściwie tylko do niej. Idący o krok za nimi Vlk usiłował z zainteresowaniem słuchać, ale zaskoczyło go to, że jednocześnie istotną częścią swojego ja nieprzerwanie zajmuje się Lizinką. W podróżnym kostiumiku, który włożyła na siebie zamiast dżinsów na wieść, że wychodzą z hotelu, żeby złożyć wieniec, nagle jak gdyby dojrzała. Była wyższa od Hofbauera, toteż pochylając ku niemu głowę, ażeby go usłyszeć, robiła wrażenie, że go prowadzi. Mimo to nie wyglądali śmiesznie, wręcz przeciwnie, Vlk musiał podziwiać, jak blask wzajemnego zrozumienia między nimi zacierał różnicę wieku i wzrostu. Wyobraził sobie na miejscu Hofbauera siebie i mimo woli był oczarowany, jak dzięki temu obraz wszechstronnie zyskał. Boże, toż ja jej pragnę! - westchnął. - Właściwie czemu tak szybko się jej wyrzekłem? Czy rzeczywiście tylko z powodu Małgorzaty? A może się po prostu przestraszyłem, że temu już nie sprostam? Może to pierwszy dzwonek starości??

Poruszyło go to, dobrą chwilę nie mógł się skoncentrować. Nieprzytomnie skinął głową na propozycję Hofbauera, że odwiezie ich do hotelu, żeby odpoczęli przed wieczornym spotkaniem. Przy recepcji jak przez mgłę widział, że niski mężczyzna jej całuje a jemu ściska rękę, obiecując, że przyjdzie po nich o ósmej. Machinalnie wziął klucze od obu pokoiów, ujął dziewczynę pod rękę i poprowadził do windy. Ironiczne spojrzenie recepcjonisty przerwało hipnozę. Zbikowałem? - ofuknął sam siebie. - Czyżbym naprawdę chciał nadużyć swojej pozycji i przerznąć własną uczennicę jak ostatni fagas, pomiędzy wycieczką a wieczornym wyjściem, po to, żeby sobie udowodnić, że w razie czego wciąż mi stoi? Czy dla jednego stosunku z dziewicą, który zwykle przypomina szlachtuz, chcę zdradzić wszystkie te wspaniałe kopulacje z Małgorzatą, w fotelu dentystycznym, w stygnącej wannie, na mroźnym śniegu, na rozgrzanym piasku? Co z tego, że to już przeszłość? Żołnierz też nie zmienia

sztandaru dlatego tylko, że został przestrelony, i nie opuszcza starych kombatantów dla młodszych.

Podprowadził Lizinkę do windy, gdzie im się uklonił windziarz o śniadej cerze Lewantyńczyków, wyjął dłoń spod jej ramienia i podał jej klucz.

- Idź, odpocznij, ja trochę się przejdę - powiedział oschle. - Zadzwoń o wpół do ósmej, żebyś nie zasnęła.

W jej oczach dostrzegł wyraz, którego już nie zdążył rozszyfrować. Utkwił mu również w głowie zmysłowy uśmiech czarnowłosego windziarza spieszenie zamykającego drzwi. Bez słowa wymownie rzucił swój klucz na ladę recepcji i wyszedł na dwór.

Spacer go uspokoił. Pierwszy letni dzień na pustych, jak to w niedzielę, ulicach, obrębionych obficie kamieniczkami w stiukach, nie prowokował do agresywnych zachowań, awantur, intryg miłosnych czy ryzykownych gier o rozbitcie banku; skłaniał do intymnych powrotów, czułych wspomnień i cichych podsumowań nieprzemijających wartości. Kiedy się w końcu przyłapał na tym, że zamiast o Lizince czy Małgorzacie rozmyśla z dociekliwością fachowca o sześciu zagadkowych hakach z rzymskimi numerami, przytwierdzonych do sufitu tuż przy ścianie, uświadomił sobie, że wszystko jest z nim w porządku.

W hotelu długo się moczył w gorącej wodzie sącząc szprycer z whisky (na rauszu o mały włos urwałby kurek), po czym odświeżony, wsunął się w czystą koszulę pachnącą lawendą. Z wdzięcznością pomyślał o Małgorzacie. Powiniennem do niej zatelefonować! - pomyślał. - Tylko czy zdążę? Przestraszył się: było za pięć ósma. Pospieszenie zatelefonował do Lizinki. Nie podniosła słuchawki. Po kilku sekundach miał na sobie smoking i lakierki, trzasnął drzwiami i w biegu sprawdzał, czy wziął pieniądze i dokumenty. Winda przyjechała bez obsługi. Rany boskie, przemknęło mu przez głowę, żeby tylko ten bydlak... przed oczyma stanął mu lubieżny grymas na twarzy windziarza, a także porozumiewawcze spojrzenie dziewczyny, które, jak dopiero teraz zrozumiał, mówiło: nie zostawiaj mnie samej. Kiedy otwarły się drzwi na pierwszym piętrze, wypadł z windy jak szalony. Wymigąła się Šimsie po to, żeby na niej zaspokajał swoje żądze parszywy Turek? Z całej siły zastukał. Cisza. Zaczął szamotać klamkę. Zamknięte. Recepcjonistę! Winda się już zamykała. Dobiegł w porę, rozwarł drzwi lewarem swoich ramion. Z kabiny równie niecierpliwie wypadł do holu i natychmiast się zatrzymał.

Pani Łucja, przedzierając się jak zasypany górnik przez zwaliska swojej trzeciej - małżeństwo wliczyła - nieszczęśliwej miłości, postanowiła mścić się na tej obrzydliwej płci z zasadzki. Jej własny przykład, matczyne wychowanie, a przede wszystkim charakter Lizinki były dla niej gwarancją, że córka, choćby najbardziej podniecająca i podniecona, nie straci

swoich szans na pierwszej lepszej murawie, obsianej koniczyną czy jakąkolwiek inną mieszkanką trawiastą. Wycieczkę za granicę, w dodatku w towarzystwie Vlka, pani Łucja potraktowała jako szczęśliwy zbieg okoliczności; po synach rzeźników miały wreszcie wkroczyć na scenę życia Lizinki główne postaci - synowie przedsiębiorców, bankierów i - marzyła o tym z uśmiechem, ale nie wątpiła, że jest to realne, jeśli córce dopisze przysłowiowy łut szczęścia - królów.

Toteż na zawsze zdjęła z niej ochronne barwy dziecięcości i wystroiła ją jak kobietę. Podróżny kostium był tylko uwerturą. Teraz Lizinka stała w holu w czarnej satynie - od szczupłej szyi, którą oplatała jak bruzda strangulacyjna, spiętrzała się ku drobnemu, ale wyrazistemu pasmu piersi, następnie załamywała się ku wąskiej jak u osy talii i niczym czarny wodospad spływała w stronę kostek; od połowy wspaniale wymodelowanych ud była wszakże rozcięta, tak że odsłaniała śmietankę skóry. Włosy były splecione w warkocze, które otaczały głowę na kształt aureoli. Od głowy do pasa Lizinka wyglądała jak święta, od pasa w dół jak kurtyzana. Wywierało to potężne wrażenie.

Śniady windziarz wbrew przepisom siedział na jednym z foteli, w których starsi goście czekają na windę, za ladą z napojami zastygł w podziwie barman, trzymając oburącz na wysokości głowy srebrny shaker, podczas gdy jego gość na wysokim stołku miał w jednej ręce cygaro, a w drugiej zapalną, która już dawno parzyła go w palce. Dostojny portier usilnie wprawiał w ruch karuzelę drzwi, którymi nikt nie wchodził. Recepcjonista już się nie krzywił: miał rozdziawioną gębę. Lizinka wsłuchiwała się w mowę czasu. Najpierw wybił ósmą spieszący się zegar w holu. Po nim zegar dworcowy, który był dokładny. Na koniec zegar kościelny, który się spóźniał. Rzuciła okiem na malutki ręczny zegareczek po babci, który matka dała jej na drogę. Wskazywał kwadrans po ósmej. Pomyślała, że się spóźniła, i postanowiła wrócić do pokoju. W tym momencie podszedł do niej od strony windy Vlk, a od strony wejścia Hofbauer. Nie przychodziły im do głowy odpowiednie na tę okazję słowa, toteż w milczeniu podali jej ramię.

Hofbauer zawiózł ich do browaru zamkowego. Vlk, który Niemca podejrzewał o brak smaku, w duchu go przeprosił, gdy tylko weszli pod sklepienia, które nagłaśniały brzęk kufli i śpiew podpitych gości. Jeden z kelnerów w skórzanym fartuchu otworzył im wewnętrzne drzwi i nagle znaleźli się w innym świecie: do lokalu należały również komnaty zamkowe. Nakryte było w bibliotece. Wybrano dla nich spośród mebli empiry stół w kształcie trójkąta, tak że każdy siedział z każdym. Ażeby doprowadzić symetrię do najwyższego wyrafinowania, paliły się trzy trzyramienne świeczniki, obsługiwali trzej kelnerzy w liberiach, a za ścianą cicho koncertowało trio.

Lizinka z wielkiej radości zaklaskała, Hofbauer się zaraz uklonił; we fraku, który założył, jeszcze bardziej przypominał ruchliwego dyrygenta. W Vlku zderzyło się najwyższe zadowolenie estety z nieokreśloną czujnością. Czy gościłby mnie tak wystawnie również bez niej?

Kuchnia została dostosowana do pomieszczenia. Po zimnym kawiorze z cytryną, do którego wypili po naparstku prawdziwej wódki rosyjskiej, następowała *sole Coquelin*; w małych turbanach z flądry piętrzyła się pianka łososiowa, na oko lżejsza od powietrza. Pili teraz białe wino frankońskie marki *Thungersbeimer-johannisberger* z gatunku *Müller Tburgau*, o którym Hofbauer nadmienił, że lubi je „noblista Böll”, ale tylko w tym względzie podziela jego opinię. Następnie podano *canard rouennais aux oranges d'Espagne*, kruchą kaczkę w plasterkach pomarańczy z dodatkiem filigranowych *pommes soufflées*, a do niej nalano *Pommard 1955* z piwnic markiza de Monteclaina; do obowiązków fundatora, powiedział gospodarz, należy zwrócić uwagę konsumentów, że właśnie piją najdroższe wino na świecie. Koncert kulinarny został zakończony bawarskim kremem „*Rothschild*” z angielską śmietanką ubitą z żółtkami. Ostatni akord zagrało na tamburynie korka wytrawne *Pommery*.

Przez cały czas sygnet ojca Heiniego leżał na środku stołu, włożony do aksamitnej szkatułki, którą Hofbauer zdążył tymczasem nabyć. Vlk nie mógł się wyzbyć wrażenia, że ta drogocенność jakby zmaląła, aż w końcu przypisał to swoim oczom. Będziesz musiał załatwić sobie okulary, ty - skarcił się - zarozumiałcze! Hofbauer kontynuował swój przedpołudniowy monolog, obecnie z prywatnymi akcentami. Opowiadał Lizince - do Vlka zwracał się tylko przy toastach - historię miłości, którą przeżył z ukochaną Trudą od dzieciństwa aż do jej śmierci, tym tragiczniejszej, że banalnej: ugryziona przez psa, umarła na wściekliznę. Psa nie zidentyfikował, więc w antycznym gniewie, przyznał się, uśmiercił w elektrycznych obrotach całą sforę. A że równie otwarcie opisywał także pomoc Trudy w stosowaniu eutanazji, Vlk zapytał go półgłosem w jednej z rzadkich chwil, kiedy przy ich stole nie było kelnera, czy to nie jest co nieco ryzykowne.

- Dlaczego? - zdziwił się Hofbauer.

Kiedy wreszcie zrozumiał, o co chodzi, wytłumaczył swoim gościom z uśmiechem, że przecież cały tutejszy personel pracował u niego.

Teraz dopiero Vlk zauważył, że kelnerzy i muzycy są, wszyscy bez wyjątku, rówieśnikami Hofbauera. Ośmiu starców, skrzywił się, i jedno dziecko! Rozdrażnienie, które go ogarnęło, kiedy jej szukał, i doszło do zenitu, kiedy ją znalazł, obecnie opadało. Musiał przyznać, że w lwiej części przyczyniła się do tego Hofbauerowa love story z Trudą, tak

bardzo przypominająca mu jego pożycie z Małgorzatą. Ten bogaty przedsiębiorca, choć co prawda żaden przystojniak, ale za to osobistość historyczna, mógł z pewnością już niezliczoną ilość razy wprowadzić w swoje życie nową kobietę. Nie uczynił tego jednak, jak tym bardziej nie uczyni tego Vlk, którego stara miłość wciąż jeszcze na szczęście oddycha wraz z nim powietrzem życia. Poczł wdzięczność za tę lekcję, chciał się go tylko później prywatnie zapytać, jak daje sobie radę ze swoją witalnością. Zgadywał, jakie Hofbauer ma zastępcze namiętności, a przy swojej znajomości psychologii założyłby się, że są to karty, może ruletka, w każdym razie hazard.

Sposobność nastęczyła się niebawem, kiedy Lizinka przepraszając wstała; kelnerzy z miejsca ustawili się w szpaler, który doprowadził ją do właściwych drzwi. Zanim Vlk zdążył sformułować pytanie, uprzedził go Hofbauer.

- Kolego - niemal płacziwie spoufalił się naraz - czy mogę cię zapytać wprost, jaki masz do niej stosunek?

- Stosunek...? - powtórzył Vlk zbity z tropu.

- Jeżeli ją kochasz - pospiesznie kontynuował Hofbauer - to zapomnij o tej rozmowie. Ale jeśli jest dla ciebie tylko jedną z wielu, to mi ją tu zostaw!

- Proszę?... - wyjąkał Vlk.

- Ożenię się z nią - powiedział Hofbauer. - Ma w sobie ogień i lód, tak jak miała Truda. Jestem tego tak pewien, że jeszcze po południu załatwiłem zmniejszenie sygnetu ojca na jej miarę. Więc jak? Mogę go jej dać na znak zaręczyn? Jeśli tak, odjedziesz moim wozem i będziesz tu miał do śmierci otwarte konto. Więc jak?

Zza nieprzejrzanej doliny lat jak bicz trzasnęło w powietrzu pytanie, które sprawiło, że jedyny raz w życiu zawiódł. Teraz jednak nie stał naprzeciwko jednego z Hofbauerów naiwny belfer, ale doświadczony naczelny kat, który co prawda nie mógł z nim się równać pod względem liczby załatwionych klientów, poza tym jednak górował nad nim tak jak Van Gogh nad wytwórcami tuzinkowych landszaftów. Nie drgnęła mu nawet powieka, kiedy dźwięcznie odparł:

- Niestety. Zostanie moją żoną.

W tej chwili był przekonany, że posługując się tymi samymi słowami i tym samym tonem oznajmi to pojutrze rano Małgorzacie.

Trio przerwało kompozycję barokową i zagrało intradę. Wracła Lizinka. Jeden kelner zamykał drzwi, drugi szedł tuż za nią, żeby móc służyć pomocą, gdyby się poślizgnęła, a trzeci odsuwał jej krzesło. Obaj panowie wstali. Podziękowała opuszczając powieki, toteż nie zauważyła diametralnej różnicy w barwach ich twarzy. Vlk, nieprzyzwyczajony do kłamstwa,

był czerwony. Hofbauer, nieprzyzwyczajony do przegranej - woskowobiałą. Ale nie zamierzał zadowolić się zwykłą informacją.

- Nasz przyjaciel Vlk, proszę pani - zwrócił się do Lizinki starając się zdobyć na uprzejmą niewymuszoność - oświadczył mi, jaki macie plan, co tej prostej kolacji nadaje uroczysty charakter. Czy wolno mi wam pogratulować?

Vlk ujrzał się na drugim skrzyżowaniu życia, dziwnym zrzędzeniem losu wraz z przeciwnikiem, który i tym razem nazywał się Hofbauer. On to z uporem wpatrywał się w Lizinkę, aż wreszcie zrozumiała, że jest zdecydowany czekać na jej reakcję bodaj do rana. Przeprasząc się uśmiechnęła i kiwnęła głową potakująco. Vlk oczywiście wiedział, że tak jak i przed południem, nie rozumiała teraz ani jednego słowa, na co Hofbauer - jak wszystkie gaduły - nie zwrócił uwagi; mimo to był swojej ukochanej niezwykle wdzięczny.

- Co było - powiedział Hofbauer - a nie jest, nie pisze się w rejestr. Okpiłem pana, Vlk, taki już mój fach, ale za to ocaliłem panu życie. Jestem

45

żołnierz, ale nie samobójca. Wojnę już przegraliśmy. Pomóż mi pan zniknąć, a ja sprawię, że zniknie pańska przeszłość.

Zawsze doskonale prezentujący się ciemny garnitur komisarza był wymięty, zawsze śnieżnobiała koszula wyraźnie wskazywała, że włożono ją bez prania przynajmniej po raz drugi. Ale do poczucia satysfakcji to Vlkowi absolutnie nie wystarczyło. Mężczyzna, który go po raz pierwszy odwiedził w domu, przemknąwszy się jak złodziej po zaciemnionej klatce schodowej, był jeszcze teraz, kiedy front doszedł już do miasta, panem jego losu: wystarczyło, żeby zostawił w sejfie swojej kancelarii parę protokołów przesłuchań z podpisem Vlka.

Było to tym rozpaczliwsze, że Vlk absolutnie nie czuł się konfidentem. Uważał, że zawiódł intelektualnie, w żadnym razie moralnie. Komisarz Fritz Hofbauer ordynarnie go oszukał: zarzucił na niego, niedoświadczonego, wędkę prawdopodobieństwa i wywołał wrażenie, że wie wszystko. Jakaż zgroza ogarnęła Vlka, kiedy komisarz po dokonaniu aresztowań przyznał mu się, że od początku blefował: nigdy mu się nawet nie śniło, że w tym środowisku istnieje jakiś ruch oporu, Vlka do niego przyprowadzono przypadkowo, a on go zaatakował ze zwykłej rutyny; gdyby trzymał był, powiedział mu cynicznie, gębę na kłódkę, byłby go po kolejnym policzku odesłał do domu.

Gdyby nie absurdalny przypadek, Vlk mógłby dzisiaj słuchać kanonady armatniej z taką samą euforią jak całe miasto. Tymczasem czując całkowitą bezradność był u kresu sił. Udało mu się wprawdzie trzech aresztowanych wyreklamować, kiedy przekonał Hofbauera, że w przeciwnym wypadku jego wolność za bardzo rzucałaby się w oczy. Niestety, nie puszczono brata! Rzucaloby się w oczy, Hofbauer tym razem jego przekonał, że Vlkowie są dziwnie nietykalni. Tym bardziej nie mógł wybaczyć komisarzowi, że tak ohydnie nadużył jego posłuszeństwa. W końcu i tak nie uniknął podejrzeń. Ten i ów nie odkłaniał mu się, tamten i owamten przestał z nim rozmawiać. Siostra podczas jego odwiedzin wybuchła płaczem i pochlipywała, dopóki nie wyszedł. Najgorzej zachował się Vorel, którego przecież zdecydowanie ocalił: spotkawszy Vlka na korytarzu szkolnym, splunął. Z krwawiącym sercem musiał Vlk prosić komisarza, ażeby taktownie coś przedsięwziął, zanim ten człowiek dopuści się jakiegoś głupstwa. Czy mógł przypuszczać, że ten go każe rozstrzelać jak pozostałych??

W wyniku tego rodzaju tragicznych nieporozumień, kiedy już nadszedł dzień, na który od lat jako wierny patriota czekał, kiedy żyrandol dygotał od wstrząsów armatnich i wydzwaniał kres niewoli, Vlk nie mógł mieć złudzeń, że uda mu się dowieść hurrapatriotom swojej niewinności, kiedy wyjdą polować na rzekomych kolaborantów. Był tak zdruzgotany, że nie mógł się nawet zdecydować, czy uciekać, czy odkręcić gaz. I oto sprawca jego nieszczęścia stał przed nim.

Niespodziewana propozycja stała się zarzewiem nadziei. A sposób, jak je rozdmuchać, ażeby z popiołu nieszczęśliwego błędu zrodziła się mocna osobowość z piętnem nieomyślności, wyklął się i dojrzał w jego mózgu.

Sam się nie przestał nigdy dziwić, że cały ten plan, razem ze wszystkimi detalami technicznymi, obmyślił w ciągu tych paru minut, kiedy Hofbauer składał mu swoją propozycję. Temu ostatniemu Vlk zaraz polecił czekać na niego tej nocy w ogrodzie swojej willi; tymczasem sam wystylizował i wrzucił do skrzynki przed szkołę list, że podejrzliwość, jaką wzbudziła jego doskonała konspiracja, zmusza go do czynnego wykazania swojej niewinności. Jeśli przy tym polegnie, napisał z odrobiną goryczy, przelana przezeń krew niechybnie oczyści jego pamięć. W niebieskim świetle baterijki, kiedy już wsiadł do mercedesa Hofbauera, obejrzał dokumenty, które komisarz przyszedł mu oddać podczas pożegnania: oryginały nieszczęsnych protokołów oraz kopię rozkazu Hofbauera, ażeby nazajutrz rano aresztować i postawić przed sąd połowy nauczycieli-patriotów, Fryderyka Vlka i jego narzeczoną Jarošównę. Jakże pragnął ją przestrzec! Kochał ją tym bardziej mocno, że jako jedyna wierzyła w jego niewinność, ale w ten sposób naraziłby całe przedsięwzięcie, w

którym był instrumentem wyższej, historycznej sprawiedliwości. Modlił się, żeby los się nad nią zlitował i w porę przesunął się front.

Hofbauer wziął z powrotem dokumenty i schował je do wewnętrznej kieszeni marynarki. Vlk jeszcze się upewnił, że mają rezerwowy kanister z benzyną, po czym, wsunąwszy pod głowę teczkę z porządnym zwojem kabla, ułożył się na tylnym siedzeniu. Hofbauer przykrył go pledem i kurtką, i przejechał przez kordon żandarmerii polowej, który zamykał strefę frontową. Następnie Vlk, z teczką pod pachą, usiadł z przodu, ażeby stanowić alibi dla komisarza przy ewentualnym natknięciu się na patriotów. Hofbauer powierzył mu swoje dokumenty oraz sygnet po ojcu, który mógłby go zdradzić. I opowiadając o swojej rodzinie, mieszkającej w sielankowym Holzheim-Niehausen, z zimną krwią prowadził samochód przez już już zrywający się do wolności kraj, podczas gdy siedzący obok Vlk w milczeniu zbierał w sobie siły, ażeby zdobyć się na uśmiercenie go.

Problem nie polegał na tym, że komisarz miał broń. Vlk liczył na moment zaskoczenia; zawodowiec, który zatłukł czy oddał katu setki ludzi, nie ma się na baczności wobec nauczyciela biologii, zwłaszcza gdy uważa go za mięczaka. Wychowany w rodzinie wiejskiego pisarza ludowego, Vlk był wszak humanistą aż do szpiku kości; bardziej niż strach, który już w sobie przemógł, paraliżowała go myśl, że ma własnoręcznie - bez różnicy, czy na święty apel ojczyzny, czy też w odwecie za zamordowanie towarzyszy walki - pozbawić życia ludzką istotę. Bał się, czy w kluczowym momencie, którym miało być zatrzymanie się dla odsapnięcia, nie weźmie góry wrodzona dobrotliwość: czy znajdzie siłę, by zamrozić Hofbauera, dla pewności związać drutem, zastrzelić go jego własnym rewolwerem, po czym razem z wozem i dokumentami spalić.

Zanim dotarli do rejonów zalesionych, musieli przejechać przez miasto wojewódzkie. Niemal w jego geometrycznym centrum, na rynku głównym, zupełnie nieoczekiwanie przecięła im drogę historia. Jak w filmie czy we śnie sunął tłum ludzi, którzy z entuzjazmem wymachiwali starymi flagami państwowymi i ze łzami radości śpiewali hymn, tak odurzeni pierwszym haustem wolności, że nie zwracali uwagi na mercedesa. Vlk zdawał sobie jednak sprawę, że jest źle, że wystarczy jakiś okrzyk i tłum ich rozdepcze razem z wozem. Dostrzegł jeszcze, jak Hofbauer zwraca ku niemu zaniepokojoną twarz, kalkulował już wszakże nowy wariant, błyskawicznie sprawdził w duchu, czy na tę okoliczność ma potrzebne rekwizyty, po czym wykrzyknął pierwszy.

- Na pomoc!

Całym ciężarem swego potężnego ciała dosłownie przyszpilił komisarza do drzwiczek, a kiedy mu się udało wymacać - nie wypuszczając przy tym spod ramienia teczki - klamkę,

wypadli obaj pod nogi tłumu.

- Trzymać go! - wrzeszczał Vlk. - Mordował naszych ludziiii!

Później samego go zadziwiało, jak dokładnie wyczuł psychologię tłumu i jego strukturę, chyba dlatego, że bez przerwy o nim medytował, kiedy się go jeszcze sam bał. Zawsze najbardziej trwożyła go stadność i myśl, że wynaturzona jednostka, która rozbudzi w tłumie barbarzyńskie atawizmy, jest zdolna wymazać stulecia cywilizacji. Nie mylił się! Ludzie, wśród których było wiele kobiet i dzieci, zatrzymali się w pierwszej chwili niezdecydowani, ale już za moment grupka mężczyzn obstała Hofbauera tak ciasno, że i Vlk z trudem się uwolnił. Teraz zatroszczył się o to, żeby pojmany nie powiedział słowa.

- Uwaga! - nie przestawał krzyczeć. - On ma broń!

Kilka rąk grzebało po kieszeniach, a kiedy znaleźli złowróżbny rewolwer, nie mieli już wątpliwości. Tymczasem Vlk przyskoczył do głowy komisarza i nie zważając na wściekle kąsające zęby, które go raniły, z całej siły wpychał pomiędzy nie swoją chusteczkę.

- Zaknebluję ci gębę! - krzyczał histerycznie zwracając się do tłumu. - Ta gęba nas posyłała na śmierć! Spójrzcie... -

pomysł się udał, wróg nozdrzami wciągał powietrze, ażeby się nie udusić, on tymczasem wyskoczył, jednym szarpnięciem otworzył teczkę i już machał nad głową drutem

- ...tym nas związywał jak pakunki, o, zakosztuj tego i ty!

I mężczyźni, klęczący na Hofbauerze, unosili jego skręcające się ciało, ażeby Vlk mógł je zadrutować. Ryzyko zmuszało go do pośpiechu i przede wszystkim do nieprzerwanych oskarżeń komisarza. Kiedy skończył związywać nogi, nastąpiła najniebezpieczniejsza chwila: na parę sekund musiał odejść do samochodu. Na szczęście zorientował się, że przynajmniej jeden z pomagających mu wykazuje aktywność podobną do jego; był to barczysty młodzieniec z niskim czołem i przetrąconym nosem, zdradzającym boksera.

- W górę go! - huknął do niego Vlk wkładając mu do ręki resztę drutu. - Niech go wszyscy zobaczą, to jest bowiem -

jako atut wyjął z kieszeni kartę służbową

- komisarz Hofbauer, nasz naczelny kat!

Podał ją stojącej najbliższej kobiecie i jął się przepychać do samochodu po kanister. Zamiar się udał. Rozdrażniona kobieta uniosła nad głowę legitymację komisarza. Na widok znienawidzonego znaku tłum, dotychczas raczej zaszokowany atakiem siedmiu na jednego, zaczął wreszcie łaknąć krwi. Osilek poderwał w górę drut i włókł Hofbauera jak worek po bruku. Vlk pospieszył za nimi. Musiał śrubować nastrój, póki istniała groźba, że ktoś znajdzie

kompromitujące go dokumenty w wewnętrznej kieszeni marynarki komisarza. Drut nad głowami tłumu został przerzucony przez ramię latarni. W ślad za nim wdrapał się mały Cygan, owinał go wokół, a resztę rzucił na dół. Kiedy Vlk podszedł, kilku mężczyzn już usiłowało podciągnąć Hofbauera w górę.

- Chwileczkę! - rozkazał.

Otworzył kanister i oblewał komisarza benzyną od głowy do stóp, jakby szykował na ogień wielką pieczeń. Widział dokoła niepoczytalne ze strachu oczy i usłyszał czyjś okrzyk, który go zmobilizował do podjęcia walki.

- On oszalał! - wykrzykiwał ktoś. - Jeńcy idą pod sąd, to jest lincz...!

- Gdzie jesteś?? - wściekł się Vlk; zamachnął się prawie pustym kanistrem na tłum, który cofnął się i uciekł. - Ten drań zabił mi brata!! Nie pomagałeś mu czasem?? Wyjdz, niech ci się przyjrzę!!

Nieznajomy się nie odważył.

- Heej... - zaintonował bokser.

- ...rup! - dokończyli dalsi.

Nogi dotykały już latarni, podczas gdy głowa huśtała się na wyciągnięcie ręki nad tłumem. Włosy, zlepione benzyną, zdawały się jeżyć ze zgrozy. Vlk odrzucił pojemnik, wsadził ręce do kieszeni i struchlał. Później przeszedł go mróz, kiedy pomyślał, jakby to wyglądało w lesie: mógłby dokumenty najwyżej zjeść. Na szczęście był pośród ludzi.

- Zapalki! - zawołał. - Niech mi ktoś da zapalki!

Czyjaś drżąca ręka podała mu zapalniczkę zrobioną z łuski karabinowej, najpewniej z pierwszej wojny światowej; nikt się potem po tę cenną rzecz nie zgłosił i Vlk ją nosił jako talizman. Skrzesał iskrę i spojrzał na wiszącego. Jego wybałuszone oczy nie robiły już wrażenia ludzkich. Mimo to zawahał się. Ale zaraz ogarnął go chłodny gniew, o jakim wiele razy czytał, gniew mściciela rodziny, narodu, plemienia. Nie powstrzymał go nawet żalony jęk przypominający skomlenie psa. Przytknął płomyk do zjeżonych włosów.

Rozległ się dziwaczny dźwięk, jak gdyby ze szczeknięciem zapaliła się wielka kuchenka gazowa. Przez kilka sekund komisarz przypominał człowieka wtopionego w olśniewające szkło. Może trwoga, może szalony ból dały mu siłę, by wypluć knebel. Zawył. Pewnie chciał jeszcze coś powiedzieć, ale już nie dał rady. Nieartykułowany jęk wzbijał się na zawrotną wysokość, aż nagle się urwał. Jednocześnie buchnął straszliwy smród. Vlk stał wsłuchany w grobową ciszę ludnej po brzegi ulicy, ciszę, przerywaną jedynie szeleszczącym trzaskiem, jakby ktoś zginał papier pakunkowy. Płomień pobrunatniał, ale być może było to złudzenie optyczne, gdy brunatniała biała jeszcze przed chwilą twarz.

Drobne ciało od żaru zaczęło się jeszcze bardziej kurczyć, a przy tym i poruszać, skręcały się bowiem poszczególne mięśnie. Hofbauer przypominał ćwiczącego gimnastyka. Ludzie w tłumie mdleli i wymiotowali. Wreszcie między ciałem a ubraniem wytworzyła się szczelina, w którą weszło powietrze. Tkanina zajęła się kopcącym ogniem, a wraz z nią płonął błąd życiowy Vlka.

Kiedy płomień zgasł, a Vlk z ciekawością zaczął smakować, musiał przyznać, że czegoś takiego jeszcze nie miał na języku. Ten

46

koniak, starszy niż światło elektryczne, jak gdyby dopiero po podgrzaniu kielicha wyzwolił stuletni zapach i smak. Vlkowi nie pozostawało teraz nic innego, jak pochwalnie zaklaskać. Również twarzyczka Lizinki tchnęła błogością. Adolf Hofbauer wreszcie doszedł do siebie i lekko się uśmiechnął. Vlk, wyobraziwszy sobie, jakby sam zareagował na utratę Lizinki, docenił jego opanowanie. Poza tym był mu niewypowiedzianie wdzięczny, że swoim namiętnym wyznaniem zmusił go do ruszenia z martwego punktu i do podjęcia decyzji, na którą przy innym obrocie spraw wbrew swojej prostolinijności może by się nie zdobył. Zastanawiał się, jak mu się odwdziaczyć.

Za lepszych czasów, opowiadał Adolf Hofbauer, on i żona urządzali wieczorki dla bliskich przyjaciół bezpośrednio w opatruni. Truda wymyśliła bowiem uroczą zabawę, którą można było rozegrać jedynie tam. Wprawdzie po wojnie trzeba ją było poniekąd zmienić, co uczyniło zabawę mniej atrakcyjną, jednak nawet przy zmienionych zasadach gry, okazała się interesująca, a przede wszystkim nie straciła swojego hazardowego charakteru. Nie, kolega się nie musi bać, nie przegra majątku ani ukochanej. On proponuje im jedynie niepowszednią przygodę, podczas której wypiją jeszcze trochę dobrego szampana.

Zgodzili się. Zabrał ich znowu do swojego wozu.

Wszystko musiało być z góry przygotowane, ponieważ, kiedy wprowadził ich tylnym wejściem, przez byłe krematorium, do opatruni, wszyscy inni już na nich czekali: mieli na sobie, zarówno kelnerzy, jak i muzycy, długie białe płaszcze; wywierało to przygnębiające wrażenie. Usiedli, wzięwszy między siebie Lizinkę po tej samej stronie długiego stołu frontem do ściany z zagadkowymi hakami. Była teraz podświetlona dwoma reflektorami jodowymi, które ujawniały na niej każdą nierówność; pod samymi hakami gładkością przypominała lustro, podczas gdy niżej zaczynała się mapa, pełna zagłębień i bruzd. Vlk

ujrzał z lewej strony za sobą srebrny kubełek z lodem, gdzie złościście rozkwitało *Pommery*, z prawej zaś strony zestaw instrumentów perkusyjnych.

Wystrzelił korek i wkrótce, po pierwszym haucie Vlk poczuł się wspaniale rozluźniony; jak gdyby się w nim rozsunała jakaś ściana zamykając kąt pełen ciemnych przecuć i odsłaniając słoneczne loggie, oplecione nadziejami. Jasnym wzrokiem patrzył na Lizinkę i niemal zapomniał o zabawie, chociaż i przed nim kelner położył na stole tabliczkę z kredą.

- Sławny pisarz Erich Maria Remarque - zabrał głos Adolf Hofbauer otwierając książkę - w powieści *Cienie w raju*, rozdział dwudziesty trzeci, pisze co następuje: „Byłem znowu w przeszłości widząc ze ściśniętym gardłem piece krematoryjne i nawet nie oddychając, gdyż właśnie zdjęto mnie nieprzytomnego z haka na ścianie, na którym wieszano skazańców. I kiedy ofiary związanymi rękoma i nogami rozdrapywały ściany, oprawcy robili zakłady, która z nich pozostanie przy życiu najdłużej”. Te słowa -

ciągnął Adolf Hofbauer oddając książkę kelnerowi

- w żadnym razie nie tchną sympatią, niemniej jednak wprowadzają do literatury światowej naszą zabawę, którą wynalazczyni nazwała Totenlotto. Nie muszę dodawać, że Trudzie ani w głowie nie powstało, ażeby kogokolwiek, nie daj Bóg dręczyć! Do Totenlotta wybieraliśmy jedynie pacjentów chorych psychicznie. Zadanie graczy było proste: zgadnąć, kto najdłużej wytrzyma. Jak zaznaczył Remarque, również i ten ktoś wygrywa; Truda przeforsowała, że zwycięzca był zawsze pod jakimś pretekstem odsyłany z powrotem do zakładu. Cześć -

dodał szybko, gdyż zadrżał mu głos

- jej pamięci.

Wypili. Muzycy i kelnerzy stali w tym czasie na baczność.

- Nie tylko ja, ale i - ciągnął Hofbauer ruchem ręki wskazując na wszystkich obecnych - moi współpracownicy, tak ciężko przeżyliśmy utratę Trudy, że później już zaprzestaliśmy tej gry. Dzisiejszą partyjkę, która łamie pieczęć żałoby, umożliwiła obecność przybyłej do nas z wizytą, uroczej -

Hofbauer zwrócił się w stronę Lizinki

- cudzoziemki, która nam tak bardzo przypomina naszą dyrektorkę. Mam nadzieję, że czcigodny -

Hofbauer zwrócił się do Vlka

- gość właściwie zrozumie intencje, a przede wszystkim wierzę, że ty, nasza droga -

Hofbauer zwrócił się w stronę sufitu

- Trudo, nie odmówisz nam swojego błogosławieństwa. A więc!

Prztyknął. Sześciu mężczyzn odmaszerowało krokiem żołnierskim do sąsiedniej psiarni. Psy musiały być wcześniej zamroczone, gdyż rozlegały się tylko sporadyczne skomlenia, a te, które zostały teraz przyprowadzone do opatrunkowni, miały podwinięte ogony i niepewny krok. Było ich także sześć, po większej części sztuki półmetrowe: wilczur, seter, bernardyn, doberman i dog; jedynie wysoki szczupły chart stanowił wyjątek. Na szyjach miały łatwe do zaciśnięcia pętle, mężczyźni w bieli prowadzili je za drugi koniec linki, tworzący mocno zawiązaną rączkę.

- Niech nam teraz chłopcy przedstawią figury - powiedział Hofbauer - zaczynają się zakłady. Każdy z nas napisze numer haka swojego faworyta. I już potem tylko od tego, jak silny ma on organizm, zależeć będzie, czy zwycięży, czy nie. Reguła, że zwycięzca korzysta z amnestii, na cześć Trudy obowiązuje nadal. Stawiam -

ciągnął Hofbauer kładąc na stole gruby portfel

- swoją gotówkę przeciwko dowolnej sumie lub rzeczy, którą pan, kolego, postawi. Jeśli chodzi o naszą przyjaciółkę, najcenniejszym fantem z jej strony będzie -

dodał wesoło, ale było jasne, że traktuje to poważnie

- pocałunek. A więc?

Lizinka bez słowa przytaknęła głową.

Vlk bez słowa położył na stole swoją cenną zapalniczkę.

Hofbauer bez słowa prztyknął po raz drugi.

- *Allons!* - polecił. - *Allez!*

Ruszył pierwszy mężczyzna z wilczurem. Jak dżokeje oprowadzający po padoku konie, obchodzili wkoło stół, ażeby gracze mogli się przyjrzeć zwierzętom z bliska. Vlk był wzruszony. Czuł się wobec Hofbauera bardzo zobowiązany, zdecydowanie jednak nie miał zamiaru użyczać mu ust Lizinki. Oceniał szanse poszczególnych psów przekonany, że jego wieloletnie doświadczenia przydadzą się w jakimś stopniu i tutaj. Toteż natychmiast wykluczył bernardyna i charta: pierwszemu skręci z miejsca kark jego potężna waga, zaletę lekkości niweczyła u drugiego długa, cienka szyja, jakby stworzona do uduszenia. Podczas kolejnych obejść wykreślił dobermana i doga: gładkie szyje bezwzględnie przyspieszają strangulację. Ostrołosy seter i muskularny wilczur powinny mieć mniej więcej jednakowe szanse.

Obchodzenie stołu skończyło się, a Vlk wciąż jeszcze nie był zdecydowany. Psy siedziały w szeregu u stóp przewodników, dziwnie rozdygotane. Kelner powiódł po nich wzrokiem i zawołał jak krupier przed puszczeniem w ruch ruletki:

- *Faites votre jeu!*⁵

Vlk dostrzegł kątem oka, że Lizinka i Hofbauer wypisują już kredą numer swojego faworyta na tabliczce, zasłaniając ją wolną ręką; ten prosty szkolny gest zacierał na chwilę różnicę lat. Znowu utkwiał wzrok w psach. Tymczasem przez tak krótki moment scena zmieniła się zasadniczo. Dwaj mężczyźni unieśli deskę opadową przymocowaną zawiasami do ściany tworząc rodzaj ławki, na którą zręcznie powsadzali swoje psy. Zaraz potem zawiesili za rączki na hakach poszczególne linki. Kolejno zeskakiwali z ławki i odchodzili za stół, ażeby graczom zostawić pełny widok.

- *Faites votre jeu!* - powtórzył kelner, co znaczyło również, że w zabawie mogą wziąć udział i wszyscy pozostali.

Musieli widać umówić się co do stawek wcześniej, ponieważ teraz mieli tylko parę sekund na wypełnienie rozdawanych właśnie arkusików papieru i ołówków. Vlk wciąż jeszcze nie był zdecydowany. Obserwował dwóch kelnerów, którzy już schowali do kieszeni przybory do pisania, powrócili do czołowej ściany, splunęli w dłonie i wsunęli je pod oba końce ławki.

- *Les dernières secondes!*⁶ - zawołał kelner i zaczął liczyć jak przed startem rakiety - *dix, neuf, huit..?*⁷

Hofbauer odsunął tabliczkę lewą stroną do góry i niecierpliwie wychylił się do przodu.

- *Sept, six, cinq...*⁸

Lizinka odwróciła tylko tabliczkę i siedziała dalej bez ruchu.

- *Quatre, trois...*⁹

Vlk wpisał jedynekę rzymską. Miał ją wilczur.

- *Deux, un, rien ne va plus!*¹⁰

Tradycyjną formułę i lokatę stawek podkreślił trzask: obaj kelnerzy wyciągnęli zapadki, przeciążona ławka osunęła się o 45°, aż natrafiła na ścianę. Rozległ się typowy werbel cyrkowy, to jeden z muzyków usiadł przy zestawie perkusyjnym. Sześć naprężonych psich ciał kołysało się przy samej ścianie. Poza bernardynem, który zgodnie z przewidywaniem Vlka z miejsca skrzył sobie kark i już na początku wypadł z gry, pozostałe były tylko podduszone i natychmiast zaczęły ze wszystkich sił walczyć o życie. Na pozór nedorzeczne uplasowanie haków teraz wykazało swoje zalety: psom pozostawała jedyna, i to

⁵ *Faites...* (fr.) - Obstawiajcie numer!

⁶ *Les dernières...* (fr.) - Ostatnie sekundy.

⁷ *Dix...* (fr.) - dziesięć, dziewięć, osiem...

⁸ *Sept...* (fr.) - siedem, sześć, pięć.

⁹ *Quatre...* (fr.) - cztery, trzy.

niewielka, szansa ulżenia szyi. Wpadły na to nader szybko i z niewiarygodną energią i pośpiechem jęły oblizywać sobie pyski i wszystkimi czterema łapami próbowały wdrapywać się w betonową ścianę, co dawało pewien skutek. Vlk wyobraził sobie, o ile efektowniejsza musiała być walka o życie pacjentów, którzy wkładali w nią świadomy wysiłek. Sprowadził go na ziemię trzask czyneli: ogłaszał *exitus* charta. Dalsza walka stawała się tym sugestywniejsza, że duszone gardła nie wydały żadnego dźwięku i wszystko odbywało się przy akompaniamencie tkliwego solo perkusisty. Wystarczyło, że Vlk lekko przymknął powieki, i odnosił wrażenie, że to zwierzęta naciskają pedały perkusji. Niebawem wysiadł kolejny zawodnik i jeden z czyneli oznajmił wyeliminowanie dobermana. Pozostałe psy szamotały się coraz ostrzej. Przez dobrą chwilę wydawało się, że największe możliwości ma dog, ale wkrótce zbyt silnie odbił się jedną łapą, co go odwróciło grzbietem do ściany. Jego ślepia wyrażały coś, co nie było dalekie od ludzkiego zdziwienia. Wywalil nawet na widzów język, tylko że wtedy przestał już przebierać łapami i jego koniec przypieczętowało i tym razem solo czynela. Jeśli z początku całe to sławetne Totenlotto Vlk brał za coś nader wątpliwego, nagle przyłapał się na tym, że go to zainteresowało; w takiej grze oczywiście nie mogliby wziąć udziału jego klienci - zwyczajnie walk barbarzyńskich są nie do przyjęcia w świecie cywilizowanym - ale z udziałem psów taka gra mogłaby mieć surowy wdzięk i stwarzać prawdziwe napięcie. Zakotował sobie w mózgu, że musi przedyskutować z Doktorem jej ewentualne wprowadzenie do zajęć szkolnych. Teraz na medytacje nie było już jednak czasu, gdyż na ścianie rozgrywał się fascynujący finisz, w którym seter wyraźnie przegrywał. Kelner podszedł już do wilczura z długim jataganem, ażeby go odciąć jako zwycięzcę. Vlka poderwało na równe nogi. Zauważył, że i Hofbauer wstaje. Postawił na setera! - pomyślał z satysfakcją. Wilczur wbił pazury w ścianę z takim impetem, że zaczął się po niej wdrapywać jak elektromonter. Było to tak sugestywne, że nawet Vlk dopiero później zrozumiał błąd wilczura: im bardziej ciało wchodziło w pozycję poziomą, tym mocniej zaciskała się na szyi pętla. W jednej chwili psa opuściły siły. Ciężkie ciało osunęło się po ścianie jak worek, a trzaśnięcie karku oznaczało, że wilczur mimo tyłu wysiłków skończył jak bernardyn. Czynel brzęknął po raz ostatni. O ułamek sekundy później błysnęło ostrze i zwycięski seter ześliznął się w ramiona obu mężczyzn w bieli, którzy go troskliwie złożyli na ziemi i zaraz rozluźnili duszącą pętlę. Na cześć zwycięzcy perkusista uderzył we wszystkie kotły. Vlk pospiesznie usiadł. Siedział już i Hofbauer; oswajał się z kolejną porażką.

- No cóż - powiedział obracając swoją tabliczkę z wypisaną jedyneką rzymską - nie

¹⁰ *Deux...* (fr.) - dwa jeden, gra zamknięta.

mam dzisiaj szczęścia ani w miłości, ani w grze. A jak pan, kolego?

Vlk mu pokazał swoją jedynekę rzymską.

- Czyżby to była - spytał Hofbauer, wyraźnie zaintrygowany - martwa partia? Trzeba by wtedy stawki podzielić. A na kogo pani postawiła?

Podawała mu tabliczkę. Widniała na niej wyraźnie dwójka, którą miał seter.

- No tak - powiedział Hofbauer z przejęciem - no tak, pani jest prawdziwą reinkarnacją Trudy! Więc -

zwrócił się do Vlka

- obaj dziś zostaliśmy na lodzie. Szkoda. Zawsze mi było żal każdego pocałunku, który nie dochodził -

uśmiechnął się, chociaż był w gruncie rzeczy smutny

- do skutku.

Lizinka wstała. Vlk i Hofbauer powstali w ślad za nią sądząc, że dała znak do wyjścia z opatrunkowni. Podeszła wszakże do ściany i kiedy obaj mężczyźni w bieli zrobili jej miejsce, przyklękła nad seterem, pochyliła nad nim twarz i zanurzyła wargi w jego sierści. Przypominało to długi pocałunek. Nikt nawet nie drgnął: dziewczyna w czerni między dwoma białymi starcami na tle pięciu powieszonych psów wydała się wszystkim kapłanką odprawiającą tajemniczy obrzęd pogański. Wreszcie seter apatycznie uniósł łeb i zaczął ją lizać po ręce.

W drodze powrotnej minęła Vlka i Hofbauera zatrzymując się dopiero za ich plecami. Kiedy obrócili się ku niej, objęła każdego z nich za głowę i również ich pocałowała - małego Hofbauera w czoło, wysokiego Vlka w brodę. Było to tak doskonałe spuentowanie niezapomnianego wieczoru, że nikt z obecnych nie wymówił już ani słowa. Hofbauer podał Lizince ramię, a kiedy ujęła pod rękę również Vlka, wyszli wszyscy razem w pierwszą letnią noc. I ona uprzyjemniała, jak mogła, to spotkanie.

Kiedy z „Il paradiso” jechali do centrum przez rozległy park angielski, Hofbauer musiał co chwila zwalniać, ilekroć w stronę reflektorów wyskakiwał jakiś ufny zając. Przez jakiś czas ścigała się z nimi parka saren i musieli nawet zatrzymać się, kiedy ujrzeli na środku jezdni siedzącą nadętą sowę. Był to prawdziwy sen nocy letniej, iluminowany rojem świetlików, tworzących nad łąkami całe drogi mleczne. Wszyscy troje siedzieli z przodu i Vlk odnosił wrażenie, że łączy ich jeden obieg krwi i uczucia. I chociaż tę słynną pieśń słyszał na tyłu festiwalach, w których uczestniczył z Małgorzatą, zdawało mu się, że dopiero teraz pojął jej przesłanie, które Mistrzowi nad Mistrzami podsunęło równie mocne przeżycie:

*Alle Menschen werden Bruder!...*¹¹

Do hotelu Hofbauer już nie wchodził. Kiedy zamknął za Lizinką drzwiczki samochodu, pocałował ją w rękę i powiedział mocnym głosem:

- Życzę pani wiele szczęścia. Nigdy pani nie zapomnę. I proszę wzajemnie nigdy nie zapominać o mnie!

Po czym uściśnął dłoń Vlkowi.

- Niech ją pan kocha - powiedział. - Zasługuje na to.

- Z przyjemnością - powiedział pospiesznie Vlk - ofiarowałbym panu na pamiątkę rzecz, którą noszę przy sobie od trzydziestu lat. I pan na nią zasługuje.

Podał mu swoją pamiątkową zapalniczkę. Hofbauer nacisnął. Wyskoczył płomyk. Nostalgicznie go obserwował. Uświadomił sobie, że Vlk ją niemal przegrał, ale odzyskał ją znowu razem z Lizinką.

- Dziękuję - powiedział po chwili. - Jeśli wróci mój brat, wręczone mu ją z pozdrowieniami od pana. Żegnajcie.

Odwrócił się i wszedł do samochodu nie oglądając się już potem. Musiał docisnąć pedał gazu aż do podłogi, gdyż silnik dziko zawył, a światła hamulcowe zapaliły się niezwłocznie już po drugiej stronie placu.

Nareszcie sami! - zaświtało Vlkowi. Uczuł taki przyływ miłości, że rozpostarł ramiona, ażeby ją zaraz teraz i tutaj przytulić do piersi i zacałować. Stała obok niego, skłoniwszy ku ramieniu głowę w koronie złotych wężów i przymknąwszy oczy. Zasnęła na stojąco jak ptak. Nad rozczarowaniem wzięło górę wzruszenie, że tak ufnie poddała się jego władzy. Delikatnie otoczył ją ramieniem, niemal jej nie dotykając, i nacisnął dzwonek.

Uprzejmość nocnego portiera i recepcjonisty pozwalała domyślać się, że zostali przez swoich poprzedników poinformowani o związku ich z Hofbauerem i o wrażeniu, jakie wywiera Lizinka. Obaj towarzyszyli Vlkowi, który niósł śpiącą na rękach, aż do windy, a jeden do drzwi pokoju dziewczyny. Otworzył go, położył klucz na taborecie za drzwiami i z ukłonem dyskretnie się oddalił. Vlk zamknął drzwi nogą i przez przedpokoik podszedł do rozesłanego łóżka. Złożył czarną pannicę na białej pościeli i nagle sobie uświadomił, że przekroczył również próg swojego marzenia. Był z nią sam na sam, w obcym kraju, w pokoju hotelowym, gdzie nikt nie miał prawa się do nich wtrącać. Serce zaczęło mu mocno walić.

Szeptem zwrócił się do niej po imieniu. Nie odpowiedziała. Dotknął jej. Nie poruszyła się, drgnęła jej tylko powieka, jakby na nią ktoś lekko dmuchnął. A może nie śpi? - wzruszył

¹¹ *Alle Menschen...* (niem.) - Wszyscy ludzie są braćmi.

się. Może czeka na impuls z jego strony? Ukląkł i pochylił się aż ku jej wargom. Wyteżył słuch i węch. Oddychała szybko i cicho jak dziecko; jej oddech nie pachniał, stwierdził ze zdziwieniem, cudzoziemskimi trunkami, koniakiem czy szampanem, ale czeskim mlekiem. Pod wpływem potężniejszej w nim czułości zanurzył nozdrza w jedwabiu, który zdawał się przeistaczać w świeżo skoszoną łąkę. Omal się nie zatrwożył, kiedy poczuł róże, odurzył go wszakże olejek różany, w który Lizinkę wyposażyła matka. Nie ważąc się poruszyć głową, spoczywającą między dwoma miękkimi wzgórkami, każdym fibrem ciała czuł, jak zmartwychwstaje jego przez lata zmartwiała męskość; z głębi dojrzałego ciała jak z wnętrza wulkanu powoli, ale wyraźnie podchodziła ku powierzchni gorąca magma. Ze zdumieniem spostrzegął, jak jego palce, kierowane z jakiegoś niewiadomego centrum, walczą z pierwszym guzikiem spodni smokingowych. A skoro się im nie poddawał, urwały go.

- Wiem, panie Vlk - usłyszał - o co panu chodzi. Ale jeśli obaj mamy być usatysfakcjonowani, rozmawiajmy otwarcie, w przeciwnym razie będzie dobrze, jak się to dla pana skończy tylko mamrem. Ludzie są przewrażliwieni i mógłby pan również przyplącić to

47

gardłem.

Młody, ale już cokolwiek otyły adwokat obszedł olbrzymi mahoniowy stół, wyraźnie mienie skonfiskowane okupantom, o czym świadczyła zdjęta tabliczka inwentaryzacyjna, i przysiadł się poufale na poręczy masywnego fotela, w którym wcześniej usadowił Vlka. Vlk poczuł mocne perfumy.

- Pan na tych ludzi - powiedział wszechwiedząco adwokat - zrobił donos, a tak, i on ten donos miał przy sobie!

- Ja - powiedział cicho Vlk - zawsze byłem człowiekiem honoru i patriotą...

- O tym - przerwał mu zaskakująco mile adwokat - nie wątpię. Muszę jedynie wiedzieć, czy jest pan całkowicie pewien, że podczas tego bezprawnego rozplócenia się pańskiego patriotyzmu spaliły się również wszystkie dowody.

Vlk nabrał powietrza w płuca, wypuścił je, a potem jednak odezwał się.

- Tak!

- Chwała ci, Panie! - powiedział obrońca.

Z bliska jego uparte spojrzenie wyraźnie tchnęło sympatią, która przywracała Vlkowi nadzieję.

Wziął adwokata pierwszego z brzegu, gdyż nie miał doświadczenia. W parę tygodni po wojnie, kiedy znaleziono rozkaz zlikwidowania nauczycieli-patriotów, wyglądało wszystko dobrze. A że skupiło się to jedynie na biednej Jarośównie, cóż, był to tragiczny przypadek. Podobny przypadek wszakże sprawił, że spośród wszystkich tych, którzy ocalili, właśnie ojciec Jarośówny obarczył Vlka winą za jej śmierć: zbiegiem okoliczności stary mieszkał w odległym regionie, toteż Vlka nie oblatywał strach.

Wyczyn Vlka, będący niebawem na ustach całego kraju, miał bowiem skutek uboczny, którego się Vlk nie spodziewał: jeśli ktoś nie wierzył w jego niewinność, tym bardziej się go bał. Vlk założył organizację byłych uczestników ruchu oporu i poświęcał jej cały pozaszkolny czas. Głosów krytycznych ubywało w miarę, jak przybywało mu funkcji. W końcu odszedł na emeryturę również dyrektor szkoły i Vlk w zdziesiątkowanym gronie profesorskim stał się służbowo najstarszy. Nęciło go również opróżnione miejsce inspektora. I wtedy w jego życie wkroczył nieznany wieśniak, którego córce w najtrudniejszych latach zaofiarował dach nad głową i łożę...

- Niestety - przerwał mu niespodziewanie adwokat - ta dziewczyna tuż przed końcem wojny napisała mu, że chyba jest pan donosicielem i że budzi pan w niej strach.

- Magdalenka??... To nie jest... - wyjąkał Vlk.

Dotychczas wierzył niezachwianie, że oskarżenie opiera się na bezpodstawnym bajdurzeniu.

- List ma - powiedział adwokat przysiadając się do niego bliżej - prokurator wojewódzki. To kluczowy dowód.

W Vlku wszystko krzyczało. Magdalenka! Jego Magdalenka, za którą dałby sobie rękę obciąć... Poczuł, że - jak podczas fatalnego spotkania z komisarzem - spocily mu się palce, a krew huczącą falą odpłynęła mu z mózgu i mięśni. Teraz już, niestety, wiedział, co to takiego: zwierzęcy, paniczny strach przed nieznanym, który właśnie na niego czeka w wykafelkowanym - dziwna rzecz, najbardziej go przerażała sterylność czystości tych kafelków - pomieszczeniu, z toporem, jak wyobrażał sobie wtedy, ze stryczkiem, jak to widział teraz. Czytał i słyszał, że przez tę straszliwą próbę przeszli z honorem również ludzie, których podejrzewał o słaby charakter, jak choćby inspektor Kroupa, toteż wiedział, że powinien wykazać więcej godności, ale nie potrafił, było to silniejsze od niego, w owej chwili, kiedy jeszcze na nic się nie zanosilo, nie był zdolny opanować wewnętrznego dygotu. Boże, rozpaczał w duchu, dlaczego właśnie mnie, człowieka tak mądrego, mocnego i pragnącego prawdy, musiała dotknąć taka słabość??

Uniósł ku adwokatowi udręczony wzrok.

- Co mam robić?... - wyszeptał.

- Złożyć mu wizytę - powiedział adwokat uśmiechając się z bezpośredniej bliskości - wzywa pana bowiem, niestety. Ale na szczęście -

dodał konfidencjonalnie

- to mój przyjaciel.

Przekroczywszy próg gabinetu prokuratora, Vlk od razu się przekonał, że adwokat nie kłamał. Korpulentny młody człowiek przywitał ich oficjalnie zza urzędowego biurka, ale ledwo sekretarka zamknęła drzwi, rozpromienił się:

- Witaj - powiedział do adwokata - jak, Mirku, dojechałeś do domu?

Zupełnie jakby Vlk nie istniał, ujął obrońcę za szyję i podszedł z nim do okna, rozmawiali o jakimś wieczorku, który się przeciągnął. Po czym zniżyli głosy; Vlk był przekonany, że to on jest tematem ich poszeptywań, kiedy naraz dostrzegł na policzkach swojego obrońcy czerwone plamy. W pierwszej chwili naiwnie pomyślał, że facet nagle dostał gorączki, ale naraz rozpoznał w tym rumieńce podniecenia. Wręcz wstrząśnięty, spojrzał na nich innym wzrokiem: to przecież pedały! Zawsze, jak daleko sięga pamięcią, brzydził się homoseksualistów. Postanowił zaraz wziąć innego adwokata, bez szacunku patrzył teraz i na prokuratora, który w końcu usiadł za biurkiem: no tak, zajeżdżały od niego te same perfumy.

- Z panem, mój drogi - prokurator powiedział lodowatym głosem - nie wygląda to dobrze. Jest tego na trzy stryczki.

Zupełnie niespodziewany cios zamurował Vlka. W tej chwili miał absolutnie inne zmartwienie. Odezwało się znajome huczenie w głowie, nogi się pod nim zrobiły niemal jak z waty. Zmobilizował wszakże wszystkie siły i prawie że krzyknął:

- Nie macie dowodów! List jakiejś zwariowanej dziewczyny...

Niedorzecznie przeląkł się, że go usłyszy stary Jaroš i głos mu się załamał.

- Ale, ale! - powiedział prokurator szyderczo.

Rozwiązał teczkę i wyjął z niej wielką błyszczącą fotografię. Vlk niemal się nie poznał. Miał uświnioną marynarkę, rozczochrane włosy i minę naganiacza, który właśnie skończył pomyślne polowanie: nad nim płonął komisarz Hofbauer. Do poprzednich dolegliwości doszła nowa: zrobiło mu się niedobrze.

- Czy nie jest pan - z ironią zaatakował prokurator - zbyt pewny siebie? Nie zapomniał pan przypadkiem, że protokoły posiadają kopie??

- Żadnych kopii nie podpisywałem!!

Nim skończył mówić, chwyciły go mdłości, kiedy uzmysłowił sobie, do czego się

przyznał. Spostrzegł, że obaj mężczyźni uśmiechają się. Ze zdumienia mrugnął oczyma... i sądził, że śni, kiedy prokurator mrugnął także... Nie śnił.

- Tym lepiej, panie profesorze, przynajmniej - powiedział zdecydowanie przyjaźnie - zostanie to między nami. Na stryczek oczywiście wystarczą oryginały.

- Ależ one... - wyjąkał Vlk, po czym ugryzł się w język.

- Czy pan - powiedział prokurator ze zdziwieniem, ale nie agresywnie - nigdy nie słyszał o laboratorium kryminalistycznym? Dopóki spalony papier nie rozsypał się na popiół, przeczytanie tekstu nie stanowi problemu.

Vlkowi znowu pociemniało w oczach. Widział, jak osuwa się gładkim czarnym szybem do pomieszczenia bez okien, wykafelkowanego również na suficie.

- Pańska sytuacja jest beznadziejna, ale w żadnym razie - zażartował prokurator - poważna. Teraz bowiem tylko od pana zależy, czy te przysmażone materiały dowodowe, a bez nich list Jarošówny jest bezwartościowy, przekażę ekspertom czy wiatrowi.

Vlk, już na skraju omdlenia, nadstawił uszu.

- Mirek - ciągnął prokurator i zaraz się poprawił - pański obrońca przypadkiem usłyszał, jaki mamy problem, i nadmienił, że mógłby pan być pomocny. W tym przypadku całą tę aferę podjąłbym się zatuszować. Co pan na to?

Omdlenie urwało się jak film. Vlka ogarnął nagle dziwny stan nieważkości i bezradności. O co może chodzić tym dwóm zboczeńcom? Chyba nie o to, żeby się do nich przyłączył na trzeciego?? Wszystko się w nim zagotowało. Cóż, popełnił błąd, że się dał oszukać, ale płacić za to męską godnością? To już lepiej, zastrzegł się w duchu, lepiej ze sobą skończyć... ale, zastanowił się, czy w ten sposób nie zawiódłby ponownie? Czy nie najwyższy czas wyłączyć zdradzieckie emocje i puścić na pełne obroty niezawodny mózg? O co się właściwie obwinia? O strach przed śmiercią? No, bon! Ale czy za to człowiek jest bardziej odpowiedzialny niż, powiedzmy, za ślepotę lub garb?? A kiedy już mu się podda na moment, to czy wolno mu to kompensować strachem przed życiem?? Nie! Wręcz przeciwnie: powinien mężnie i pokornie nieść swoje życie jak krzyż, ażeby mieć możliwość zrównoważenia swojego niechcianego egoizmu niez mordowaną ofiarnością. Tak, jest i pozostanie normalny do szpiku kości, a ci dwaj i cały ich sposób kochania się budzą w nim wstręt, tylko czy go ubędzie, jeśli raz czy drugi im dogodzi? Jak świat światem twarz tracą torturujący, nie torturowany!

- A o co - powiedział przybierając minę, która miała udawać uśmiech - chodzi?

- Ma pan bezwzględnie - powiedział prokurator biorąc znowu do ręki fotochemiczne odzwierciedlenie chwili, w której Vlk przemienił Hofbauera w pochodnię - talent, jakiego nie

możemy znaleźć. Choćby tylko w naszym województwie zbytecznie żywimy tuzin oczekujących na stryczek, a ci głupcy z ministerstwa pozwalają zamknąć za kolaborację jedyne -

dodał z goryczą

- kata!

Vlk ziewnął. Był zmęczony, chociaż w gruncie rzeczy samopoczucie miał dobre. W oddali zadudniły ciężkie drzwi, kiedy

48

celnicy i kontrolerzy paszportów przechodzili do następnego wagonu. Ci po tej stronie granicy traktowali swoją pracę nazbyt lekko. Lizinki nawet nie zbudzili, zadowolili ich widok włosów spływających spod kołdry na podłogę przedziału. Potwierdzała się tutaj Vlkowi teoria, że najwyższy wymiar kary jest fundamentalnym filarem państwa; jeśli go usunąć, władza przypomina zmurszałą dekorację filmową, którą zwali pierwszy podmuch wiatru. Dźwięki małej stacji przygranicznej tłumili wilgotny klosz nocy. Zegar na peronie wskazywał pierwszą czterdzieści trzy.

Była jedenasta, kiedy wrócili z wagonu restauracyjnego. Lizinka niezwłocznie się położyła: dzinsy i koszulkę po prostu cisnęła na dywanik. Ujrzawszy jej walizkę na górnej siatce, Vlk zrozumiał, że śpi tylko w bieliźnie, ale nie chciał jej budzić z powodu pizamy wcześniej niż przed samą granicą. Jak zawsze świadomość czekającego go niezadługo obowiązku wypłoszyła sen. Leżał pod sufitem i podczas gdy ekspres przecinał odległość możliwie najkrótszą trasą, jego myśli zygzakami błądziły po całym życiu. Segregował, przeliczał i odkreślał swoje zwycięstwa i porażki, jak gdyby to były przedmioty w mieszkaniu, rzeczy które pragnie wymienić. Zapomniał przy tym o swoim zamiarze związanym z granicą, a z kontroli zdał sobie właściwie sprawę dopiero, kiedy już odchodziła. Po czym zszedł na dół z łóżka, otworzył okno i głęboko wdychał powietrze pachnące oliwą i sianem.

Noc była znowu wyjątkowo jasna, widnokrąg doskonałością zbliżał się do planetarium. Ujrzał, jak wolno spada gwiazda, zanim jednak zdążył pomyśleć jakieś życzenie, stwierdził, że to satelita. Szkoda, powiedział sobie w duchu, ale zaraz się zawstydził, że jego prywatne szczęście miałyby się spełnić kosztem kosmicznej katastrofy. Zaczął zastanawiać się, czego właściwie spodziewa się ludzkość w tym niezrozumiałym przestworzu, gdzie

najodleglejsza planeta Układu Słonecznego to nic więcej jak furtka do ogrodu wszechświata. Żał mu się zrobiło, że teraz nie ma dwudziestu lat, bo miałby większą szansę doczekać się pierwszego kontaktu z pochodzącymi stamtąd istotami myślącymi, nigdy go nie przestało ciekawić - jak parafrazował poetę - „czy są tam także kaci...”; teraz jednak po raz pierwszy przyłapał się na myśli, że nie życzyłby sobie tego. Ilekroć jako pedagog był zmuszony wytworzyć sobie o swojej profesji całościowy obraz, dochodził do wniosku, że dopiero teraz perfekcyjnie „nic nie wie”, i lękał się, że mogłaby do tego dojść jeszcze problematyka, którą przestał pojmować już przy zjawisku kwazarów. Darował sobie jednak ten wątek, gdyż tak naprawdę science-fiction nie bawiła go teraz, i wrócił myślami do listu, który znalazł rano w recepcji.

„Szanowny pobratymcze,

to tradycyjne określenie, od niepamiętnych czasów używane przez ludzi z branży, proszę przyjąć jako wyraz szacunku. Pragnę Pana przeprosić, jeśli swoim niespodziewanym (również dla mnie samego) wylewem uczucia spowodowałem jakąkolwiek komplikację, a przede wszystkim wyrazić Panu swój szacunek. W czasach, kiedy rozchwianie wartości otwiera u nas ponownie drogę Żydom, zdechłakom, czerwonowójcom i terrorystom. Pan nieefektywnie, ale skutecznie kontynuuje dzieło oczyszczania, które prowadzi nas ku lepszym czasom. Czuję się zatem zobowiązany poinformować Pana o tajnym zebraniu, odbytym w roku 1956 w Monte Carlo w celu rozpatrzenia problematyki egzekutorów w Europie Zachodniej oraz w Ameryce Południowej i Północnej. Pod uzasadnioną taktycznie nieobecność nas, fachowców z państw, gdzie na razie zniesiono karę śmierci, obradowali pełnomocni delegaci, na których zostali wybrani następujący pobratymcy:

1. André Obrecht - Paryż, Francja (54)
2. Kapitan John Erie Etter - Nowy Jork, USA (48)
3. Josef Francell, poprzednik Etterera (58)
4. Paul McCarter - Michigan, USA (46)
5. Camille Branchaud - Quebec, Kanada (55)
6. Fernando Gollatz - Madryt, Hiszpania (64)
7. Juan Medano Arosta - Valparaiso, Chile (48) i

8. (de facto 1.) Albert Pierrepoint (45) - Wielka Brytania, który to symposium zwołał i przewodniczył mu. Na wstępie uczczono chwilą ciszy pamięć pobratymców, którzy zmarli od okresu nawiązania pierwszych kontaktów w połowie lat trzydziestych, jak Polak, inż. Józef Maciejewski (samobójstwo przez powieszenie), Węgier Peter Kowacz (samobójstwo przez strzał w usta), Anglik John Ellis (samobójstwo przez podcięcie żył we własnym zakładzie

fryzjerskim, kiedy jakąś amatorkę jego uczesania, która trafiła do niego przypadkowo, uznał za niedawno załatwioną klientkę, panią Thompson), Bułgar Hussein Jassara (zarżnięty na ulicy nożem), dwaj „Messieurs de Paris” - Anatole Daibler (zawał serca w metrze) i Henri Desfourneaux (zawał serca w ataku delirium) itp... Nadzwyczajne współczucie wzbudził wypadek przy pracy pobratymca „Hazela” Woods (39), wsławionego wykonatorstwem straceń w Norymberdze: podczas instalowania krzesła elektrycznego w Eniwetok (Pacyfik) wilgotne powietrze spowodowało nagły przeskok ładunku z „tostera”, jak poufale w USA nazywamy krzesło, na obsługującego. Pobratymcy zajmujący się problematyką płacową stwierdzili, że po to, by się utrzymać, wszyscy muszą wykonywać fach uboczny; delegaci byli wstrząśnięci informacją, że pobratymiec z Kairu jest zmuszony sprzedawać ubrania straconych. Uchwalono rezolucję domagającą się przyznania pobratymcom przez rządy statusu pracowników państwowych, na poziomie co najmniej radcy państwowego; w razie czasowego zamrożenia kary śmierci państwo powinno też zagwarantować im dalsze otrzymywanie płacy. Sympozjum cechowała taktowność, którą naruszył pobratymiec McCarter, zarzucając pobratymcowi Etterowi, że wciąż jeszcze posługuje się elektrycznością zamiast humanitarniejszego gazu; pobratymiec Pierrepont natychmiast przywołał ich do porządku. Pobratymiec Obrecht wzbudził powszechne uznanie, kiedy zaproponował, żeby wszyscy ewidencjonowani pobratymcy w razie niespełnienia żądań przystąpili do strajku. Nadmienił, że on osobiście rozbierze gilotynę, gdyż *les bois de la justice* - dosłownie „drewna sprawiedliwości” - są tradycyjnie jego własnością, i do takiej samej postawy zachęcał również innych. Poruszano także problemy zawodowe, na przykład pobratymiec z Madrytu zwrócił się do zebranych o radę, jak zmechanizować garotę, której zaciskanie w miarę upływu lat coraz bardziej wyczerpuje go fizycznie. Na zakończenie pobratymcy ustalili, że podobne sympozja będą się odbywać co dziesięć lat. Następne jednak dotychczas się nie odbyło. Dała o sobie znać znana choroba ruchów społecznych: zamiast się oprzeć na międzynarodowej solidarności wielu wolało na własną rękę iść na kompromisy. Na szczęście nowa generacja, do której ośmielam się zaliczać i siebie, gdyż zachowuję młody umysł (i młode serce, niestety!), ma bardziej postępowe zapatrywania. A że również forma sympozjum wydaje się jej zbyt ciasna, pragnie latem przyszłego roku urządzić konferencję. Jestem jednym z organizatorów, mam nadzieję przy tej okazji wytropić brata. Niniejszym oficjalnie Pana zapraszam i będę wdzięczny, jeśli zapewni Pan udział dalszych pobratymców, którzy w waszym kraju wzbogacają profesję nowymi doświadczeniami z pracy, podczas gdy nam tymczasem nie pozostaje nic innego jak wspominać i teoretyzować. Do zobaczenia.

Pański

Adolf Hofbauer,
rakarz miejski

PS Dołączam kopertę z wygraną, którą Pańska urocza narzeczona przez roztargnienie zostawiła w moim samochodzie. A.H.

PPS Niezbyt to grzeczne przypominać, że ten list jest ŚCIŚLE POUFNY, ale cóż począć: z zebrania w roku 1956 na skutek niedyskrecji przeciekły szczegółowe informacje nawet do pisarza (!) Johna F. Mortimera, który je opublikował w książce *Dokumente menschlicher Grausamkeit*. Mam do Pana absolutne zaufanie, ale co pewność, to pewność: piszę atramentem, który po południu zniknie. Życzę szczęśliwej drogi Panu i Jej.

Pobratymiec"

Wzmianka o niej przestawiła zwrotnicę w umyśle Vlka: jego myśli, polatujące po świecie, powróciły z powrotem na przygraniczną stację. Głośno przeskoczyła wskazówka minutowa. Zdał sobie sprawę, że w ciągu piętnastu minut przejadą granicę i wycieczka praktycznie się skończy. Jego duszę zaczął napełniać błogi spokój człowieka, który odniósł zwycięstwo nad samym sobą. Kiedy wczoraj w nocy jego palce gwałtownie urwały guzik przy rozporoku, na pole walki wstąpiło lepsze „ja” Vlka, wrażliwa, liryczna ze swej istoty dusza, której nie mógł dopuścić do głosu w pracy, toteż tym bardziej usiłowała się uaktywnić w jego życiu osobistym. Nie! Po Mašinie i Šimsie Lizinka powinna mieć wreszcie prawo przeżyć choć raz taką miłość, jaka przystała jej wiekowi i osobowości: miłość, która najpierw długo się snuje alejami nieśmiały chęci, zanim dojrzeje do wejścia w dżunglę pożądania: postanowił nie dopuścić, żeby posunęła się z nim dalej z pominięciem choćby jednego ważnego słówka czy głośnięcia. Spór ciała i duszy pozwolił mu stworzyć plan, który wszystko uładzał. Najpierw rozmówi się z Małgorzatą! To inteligentna i wrażliwa kobieta, przez szereg lat mająca oparcie w pracy, a potem zabezpieczona przez zakład emerytalny, ona jedyna go zawsze rozumiała, więc zrozumie i dzisiaj. Kiedy się przekona, że on jest absolutnie zdecydowany, opuści ją zdenerwowanie, jakiemu ostatnio ulegała; zda sobie sprawę, że to raczej on nie będzie mógł przeboleć tego rozstania, i na pewno mu go nie będzie zatruwała kurzymi lamentami. Wręcz słyszał słowa, jakimi zwraca mu wolność, i przepelniła go współczująca wdzięczność, wyłączając w nim zarazem elektryczny prąd pożądania śpiącej dziewczynki. Poszedł do swojego pokoju, wziął prysznic i, już uspokojony, zasnął.

Zbudził ją przez telefon dość późno, zjedli śniadanie w restauracji hotelowej, gdzie już

nakrywano do obiadu. W czasie, który im jeszcze pozostał do odjazdu, usiłowali wydać posiadane waluty. Vlk to, co mu Lizinka przemyciła za dekoltem, ona zaś trzykrotnie większą sumę, jaką znalazła w kopercie od Hofbauera. Podczas zakupów wyszła na jaw interesująca różnica charakterów. Ze stu pięćdziesięciu minut, jakimi dysponowali, Vlk przez dwie godziny zastanawiał się, co wybrać, po czym nabył: dla Doktora tequillę i sangritę, dla Małgorzaty bardzo drogi złoty zegarek; którego secesyjna tarcza w sposób taktowny będzie przypominała jej, że ona też już ma swoje lata; na wewnętrznej stronie koperty kazał wygrawerować datę ich poznania się i jutrzejszego rozstania, w ten sposób na wszelki wypadek, ażeby nie ulec fałszywej litości, odcinał sobie odwrót.

Od chwili wejścia do domu towarowego Lizinka bez przerwy kupowała; toteż przykuwała uwagę nie tylko swoim wyglądem. Kamery przemysłowe przekazywały informacje detektywom, a ci z kolei dyrekcji. Niebawem zjawił się pracownik, a z czasem było ich coraz więcej, ażeby przejmować od niej torby z zakupami i nosić je w ślad za nią. Nie zastanawiała się, czy to ma być dla ojca, matki czy dla niej, kupowała, co jej przypadło do gustu, ponieważ wierzyła, że ucieszy tym wszystkich. A więc niesiono za nią i lampę z kaskadą szklanych pręcików, która tchnęła tęczowymi barwami, i bukiet sztucznego bzu, i wędkarskie gumki, wysokie aż do pasa, które ją urzekły kanarkową żółtością, i zdalnie sterowaną lalkę, otwierającą również parasol, i składaną szafę na ubrania, zdobną malunkami scen baśniowych, i wielką klatkę ptasią z dwiema wanienczkami, i trzy tace, których blat zdobiły powiększenia znaczków, i nierozbijalne lustro weneckie z prawdziwego pleksiglasu, i szereg drobiazgów. Na dworzec odwieziono ich gratis hotelowym wozem i Vlk ze złośliwą radością wyrażał w duchu życzenie, żeby natrafili na „swojego” celnika; przy wyjeździe z kraju nie mógł ryzykować zatrzymaniem na granicy, ale teraz chciał sobie to wynagrodzić tak, ażeby przystojniak nie zapomniał go do samej śmierci.

Kiedy po chwili jego oczy, które dzisiaj nie zaznały miłosierdzia - toż jak duch pracował na pełnych obrotach - snu, rozejrzały się po przedziale, zawałonym pakunkami i pakunczkami dziewczęcymi, co w odblasku światła ze stacji i przejeżdżających pociągów robiło wrażenie barwnego straganu odpustowego, dziękował losowi, że mu pozwolił współprzeżywać nieskalaną radość młodziutkiej ślicznotki, której właśnie on swoim dziełem i życzliwością umożliwił tak beztroski start w życie. Nie mógł przy tym nie wspomnieć swoich początków.

Był znowu w celi pierwszego więzienia w państwie, którą adaptowano na jego garderobę, trwała noc przed jego pierwszą egzekucją, do której przygotowywał się wciąż jeszcze bardziej jako nauczyciel niż kat: studiował w domowym vademecum lekarskim

anatomię szyi i w podręczniku dla skautów robienie węzłów. Przed północą, kiedy był coraz bardziej stremowany, przyszedł mu do głowy zbawienny pomysł, który prokurator, awansujący razem z nim jak autor z aktorem, z miejsca zrealizował: Vlkowi pozwolono odwiedzić swego poprzednika, czekającego pod tym samym dachem na proces. Kiedy zalali koniakiem płomień strachu, że wybiła jego ostatnia godzina, kat wykrztusił z siebie - mimo woli zapewniając w ten sposób przyjęcie na ŚRESZKUK swojego, wciąż jeszcze nienarodzonego syna - szczegółowy przepis techniczny, który, jak twierdził, osobiście zapisał jego słynny pradziad. Najważniejszy w tym wszystkim był staromodny, niezwykle skomplikowany węzeł; Vlk przyniósł z sobą kilka postronków i usilnie uczył się tego wiązania z Husem, dopóki nie dano mu znać, że już czas, żeby wskoczył w galowy anzug; według starej tradycji, którą zniesiono w okresie wielkich procesów politycznych, kiedy oczyszczalnie po prostu nie nadążały za potrzebami chwili, włożył czarny żakiet, w którym kiedyś odbierał dyplom ukończenia studiów. Był przekonany, że zrobienie tego węzła pójdzie mu jak po maśle, ale twarzą w twarz z człowiekiem, który jeszcze niedawno był największym kolaborantem w kraju, poczuł dopadającą go jak podstępny katar tremę. Zgodnie z instrukcjami Husa Vlk wieszał starym kontynentalnym sposobem, jaki już wtedy znany był tylko z rycin, ale nieświadomość nie popełnia grzechu, toteż stał - dzisiaj oceniał to jako zły dowcip - na drabinie, opartej o wysoki trzepak do dywanów, a klient na drugiej drabinie. Pomocnikiem, wytypowanym z fotografii, był już wtedy Karlik; jako bokser i szofer orientował się w arkanach sztuki wieszania jeszcze mniej. Tak się złożyło, że przypadkiem przewrócił drugą drabinę, kiedy Vlk przeciągał dopiero przez głowę klienta trochę za bardzo zaciśniętą pętlę: zatrzymała się pod brodą i na ciemieniu jak okład na ból zębów. Vlk był zaskoczony, ba, osłupiał, skoro nagle trzymał w obu dłoniach głowę, której spod przepaski spływały łzy, a z ust ciekła ślina, podczas gdy reszta ciała, niczym nie podtrzymywana, dziko podrygiwała. W sekundę potem odruchowo szarpnął głowę w prawo i wkrótce poczuł, że klient naraz oklapł, dosłownie zgasł. W ten sposób już podczas pierwszej egzekucji jako katowskie szczęście w nieszczęściu - o czym Vlk przezornie nikomu nie wspomniał - zrodził się jego słynny „rup-chrup”, któremu pozostał już wierny i którego, o czym wiedział od Doktora, dotychczas nikt poza nim nie potrafił zastosować, choć przymierzano się do tego niemal wszędzie. Tylko rup-chrup, powiedział kiedyś Doktor ku jego zaskoczeniu - choć tego nie dał po sobie poznać - stuprocentowo zapobiega wywaleniu się języka, który przy innej metodzie natychmiast rozkwita ohydny sinym storczykiem.

Wspominając to musiał się Vlk uśmiechnąć. Pomyślał, że jest jak stary mim, który dostaje gęziej skórki, kiedy przywołuje w pamięci swój pierwszy występ. I uśmiechnął się

jeszcze szerzej wyobrażając sobie minę Doktora, kiedy na egzaminach mistrzowskich zobaczy rup-chrup następnego pokolenia. W kierunku jazdy rozległ się krótki gwizd i równocześnie cały skład lekko drgnął. Zegar dworcowy niemal niepostrzeżenie odpłynął wstecz, i oddalał się coraz szybciej.

Uśmiech mu zastygł na wargach. Teraz pozostawało już tylko parę minut na granicy, a potem jeszcze parę minut, zanim pociąg zatrzyma się na pierwszej stacji. Uświadomił sobie aż do szpiku kości, że tam definitywnie skończy się najpiękniejsze marzenie jego życia - niespełnione.

Wszystko, co go oczekiwało, nawet jeśli była to koniec końców uwertura do trwałego szczęścia, miało cierpki posmak i brudną barwę powszedniości: rozmowa z Małgorzatą, pertraktacje związane z podziałem majątku, papierowe formalności wokół rozwodu i nie mniejsze wokół ślubu. Dziesiątki nieczułych biurokratów będą badać, ważyć, mierzyć i rozbierać oczyma nie tylko jego z Małgorzatą, ale i z Lizinką. Czy ona przetrzyma to wszystko? Nie pokryje to jej czystej duszy kurzem, co może później zbrukać pierwsze uściski, o których Vlk marzył jak o kąpieli oczyszczającej? Czy po tym wszystkim będzie tak oczyszczająca, ażeby warto było dla niej wysadzić w powietrze dotychczasowe życie?

Monotonny odór dworców i łąk wyparł złożony aromat lasu. Porosły mchem nasyp był na wyciągnięcie ręki. Kiedy odezwało się cichutkie westchnienie, wypatrywał najpierw za oknem jakiegoś zwierzątka, zanim zrozumiał i odwrócił się do środka. Zamarł. Dłuższy postój podniósł temperaturę w przedziale o kilka stopni i oto automatycznie zaczęły funkcjonować odpowiednie receptory w dziewczęcym ciele: ręce i nogi stopniowo wyzwoliły się od kołdry, aż ześliznęła się na podłogę. Lizinka miała na sobie dessous, jakie matka, będąc w szczególnym nastroju, nabyła dla siebie i dla niej; majteczki i staniczek z tak delikatnej dzianiny, że przejmowała barwę ciała; trójkąt krocza i krążki brodawek piersiowych były tak wyraziste, jakby je powlekała jedynie najłżejsza mgiełka. Praktycznie wyłącznym okryciem pozostawały włosy. Kiedy się we śnie przewracała - na brzuchu jak bestyjka - z boku na bok, długie kosmyki włosów spływały jej wokół i pomiędzy ramionami, sutkami, biodrami i udami, tak że przypominała nimfę, zniewoloną przez króla pajęczynowego. Jasnoniebieska półkula nocnego oświetlenia pod sufitem nadawała jej wymiar zmaterializowanego snu.

W tym momencie również Vlk, człowiek żelaznej woli, poczuł, jak silnie i niepowstrzymanie podnosi mu się fallus; naparł na jedwabne spodnie i jedynie szybki skłon do przodu, jaki Vlk uczynił niemal odruchowo, uratował jego ulubioną piżamę przed perforacją. Zaraz jednak jego głowa znalazła się w polu grawitacji jej przyciągającego ciała i niezawodny do tej pory mózg zaczął beładnie obracać się wokół własnej osi.

Boże - zwrócił się do samego siebie - czemu bez przerwy tak nieuczynnie się powstrzymuję? Ze względu na kogo mam stale takie starozakonne skrupuły? Czy znalazłby się drugi taki mężczyzna, który z własnej woli spalałby się trzy dni i trzy noce tylko po to, żeby wyrzec się rozkoszy, jakiej jeszcze nie zaznał i pewnie już nie zazna? Czy Małgorzata choćby przez minutę zastanawiała się, gdyby tu leżał równie wspaniały młodzieniec, jak gdyby stworzony do kochania się z nią? Chyba nie! Więc czemu właśnie on ma nieustannie brać na siebie odpowiedzialność za innych? Jak długo jeszcze radość żywego ciała ma składać na ołtarzu martwych zasad? Aż się rozmówi z Małgorzatą? Aż ona da zgodę na rozwód? Aż sobie znajdzie nowego chłopca? (Jeśli go jeszcze nie ma! Obca jej jest właściwa jemu dyscyplina wewnętrzna, czyż sam się nie przekonał, jak łatwo mu się oddała?) Aż uzyska zgodę Nestora na małżeństwo z uczennicą? Aż to wszystko zostanie załatwione?... Aż, aż, aż!... Aż jego wciąż jeszcze męska sylwetka przygarbi się pod brzemieniem lat? Aż jego wciąż jeszcze kruczoczarny zarost zbieleje na głowie i całym ciele? Aż jego białe i mocne zęby żółkną i zaczną się ruszać w dziąsłach? Aż jego wciąż jeszcze gładka i śniada cera spleśnieje jak na grzybie? A w końcu aż jego wciąż jeszcze twardy członek, tak rozżętniony życiem, osłabnie i zawiśnie jak zwędły tulipan?? „Quo usque tandem?” - krzyknął do niego ojcowskim głosem ze studni dziecięcych lat mądry Cyncero.

Pociąg zwolnił biegu i kiedy powoli opisywał ostry łuk biegnącego w górę nasypu, koła i szyny metalicznie zgrzytały. Vlk odwrócił spojrzenie od sinawej niebieskości przedziału i spojrzał w granatową noc. W odległości kilkudziesięciu ledwo metrów na całym widnokregu wyrastał z ziemi niczym gigantyczna pięciolinia Drut. Łukowate torowisko umożliwiało obserwację dieslowskiej lokomotywy zmierzającej ku bramie, przemyślnie połączonej z wieżą strażniczą. Pozostawała minuta.

Oddech, który właśnie usłyszał, był ochrypty, gorączkowo rozdygotany i tym bardziej przerażający, że to był jego własny oddech. Oczy jak zahipnotyzowane zwróciły się znowu ku dziewczynie. W tym momencie z prawego boku przewróciła się wyjątkowo na wznak i mimo woli rozłożyła przy tym nogi z dziecięcymi wciąż jeszcze stopami i już kobiecymi udami. Wyteżony słuch Vlka pochwycił cichutkie pstryknięcie: to guzik w spodniach piżamy nie wytrzymał strasznego naporu i odskoczył, tym razem bez niczyjej pomocy, z taką siłą, że wylądował aż na drzwiach. Wyzwolone przyrodzenie wypadło ze swojego więzienia i z miejsca podporządkowało sobie całego Vlka, który najpierw z zimną krwią opuścił przy drzwiach zapadkę, a potem, zapomniawszy o wszystkich i wszystkim, rozerwał majteczki z mgiełki cienkiej jak przebitka maszynowa i oburącz obrócił dziewczynę, stale jeszcze śpiącą, w poprzek łóżka. Odrzuciwszy przesady i hamulce, przykrył ją swoim potężnym ciałem,

obłapił twardymi dłońmi kruche piersi, rozwarł jej, wreszcie przebudzonej, usta językiem, po czym już bezlitośnie wszedł w jej łono, rozrywając jej błonę jak skórę na bębnie. Lizinka krzyknęła.

Jej krzyk zagłuszył gwizd lokomotywy, ogłaszającej przekroczenie granicy państwowej, ale Vlk już by jej nie wypuścił z objęć, nawet gdyby zaalarmowała cały pociąg. Jak zeszloroczne liście, opuszczały go zmartwienia o innych i odpowiedzialność za cokolwiek, a także zmęczenie życiem i strach przed śmiercią, nasilające się z każdym rokiem. Trzymał ją - olśniony, że się napięła, przeciwstawiła i próbowała wysliznąć jak nieposkromiony węgorz, tak jak kiedyś młoda Małgorzata - w zacisku pośladek oraz imadle łokci i wchodził znowu i znowu w jej dziewiczą pochwę i prawie dziewicze usta, doznając intensywnego uczucia, że jest pompą, która na wyschniętą powierzchnię wysysa z głębin cudowne źródło, każdym ruchem potęgował swoją rozkosz, nie zważając na to, że wzmacnia jej ból, o czym świadczyło jej rybie miotanie się i dzikie dźwięki, które chwycił tłumikiem ust. Samcza bezwzględność, wyzwalająca jego „ja” z okowów panowania nad sobą, była również najwyższym przejawem względów dla niej, do jakich zdolna jest prawdziwa miłość. Mógł się i w uczuciowej sferze zdobyć wreszcie na prawdziwy humanizm, który daleko odbiega od wyobrażeń sentymentalnych intelektualistów, przecież on sam najlepiej wiedział, że wieszać kogoś „z uczuciem” znaczy w rzeczywistości dręczyć go jak zwierzę i całą rzecz przedłużać aż do szaleństwa. Tym, że swoją ukochaną teraz dosłownie heblował i wiercił, ażeby z miejsca przy pierwszej sposobności zerwać do końca pieczęć, która ją zamykała przez niemal szesnaście lat, zamierzał oszczędzić jej wielu dalszych cierpień, jakich przez tygodnie, miesiące, a czasem i lata doznają później półdziewice. Jakaś komórka mózgowa w tej eksplozji napiętności osamotniona i zapomniana na wartowniczym posterunku rozumu, już od dłuższej chwili sygnalizowała, że na świecie oprócz tego królewsko wspaniałego stosunku dzieje się jeszcze coś ważnego, ale zmysłem dyktatorsko rozkazywał kutas, coraz bardziej przyspieszający swoje wiercenie, głębinowy źródło był coraz bliżej powierzchni, i Vlk już nie leżał na dziewczynie, unosił się tuż nad nią, na ile mogło pozwolić zwanie, kiedy jego łokcie i uda poczuły, że opór słabnie, nie żeby omdlewała, ale że z początku jedynie jakby przez napomknienie, a wkrótce coraz wyraźniej zaczęła opowiadać się po jego stronie, przejmować jego rytm, i wreszcie również współpracować, aż nagle z dwóch ciał, działających przeciwko sobie, utworzyło się jedno jedyne, które się poruszało i dyszało w tym samym tempie i ku temu samemu celowi.

Po czym Vlk wydał głuchy skowyt.

Po czym jej ciało wyskoczyło mu naprzeciw.

Po czym on zalał w niej płomień strugą swojego nasienia,

Po czym Lizinka krzyknęła po raz drugi.

Po czym rozległo się wściekłe walenie i głos, który zapewne od jakiegoś czasu już powtarzał:

- Kontrola celna! Natychmiast otworzyć!!

Vlk w jednej chwili oprzytomniał. Spojrzał na zabezpieczoną klamkę, którą potrząsano władczy szarpaniem. Zapewne za parę sekund przyniosą uniwersalny klucz. Uniósł się na łokciach. Lizinka miała przymknięte cierpiętniczo oczy, ale na twarzy oznaki zaangażowania. Spojrzał w dół i przeraził się. Jego przyrodzenie przypominało mordercze narzędzie tkwiące w krwawej ranie. Krew widniała również na jego i jej udach, z których niezliczonymi strużkami ściekała na prześcieradło, przerzucając czerwone mosty także nad czarnymi kępkami włosów. Znowu po latach spocily mu się ręce i zaczęło mu złowieszczo huczeć w głowie, zanim zdał sobie sprawę, że to tylko zwyczajna danina i miłości, którą każda kobieta płaci naturze jeden jedyny raz na całe życie. Rozległ się tupot.

Był pewien, że niosą uniwersalny klucz, ale już wiedział, że nie ma się czego bać. Błyskawicznie włoży spodnie od pizamy - nie pamiętał, kiedy je z siebie zrzucił, ale z pewnością nie były poplamione - a ona będzie po prostu udawać, że we śnie dostała miesiączki... Ruszył się, żeby z niej wyjść. O mało nie krzyknął. Członek był zaklinowany w dziewczynie jak w imadle. Ostrożnie spróbował jeszcze raz, ale

nie dawało rady.

VI

Poniedziałek 30 czerwca miał Vlk pamiętać do śmierci. Od studenckich lat, kiedy to przeczytał dosłownie całą bibliotekę miejską i wystąpił dziurę na jaskółce w teatrze, gardził fabułami, w których wszystko się szczęśliwie kończy w ostatnim rozdziale czy akcie. A teraz właśnie jemu było sądzone, ażeby w jednym dniu uwieńczył swoje dzieło i życie. Czekają go nadludzkie wykonatorstwo, na które odważył się tylko dlatego, że wierzył w siebie i polegał na swoich bliskich. Jakże był teraz wdzięczny za lata belferki, kiedy to nauczył się raz dwa nawiązywać z każdym człowiekiem kontakt i pozyskiwać jego zaufanie. I gratulował sobie decyzji pozostania na zawsze u

50

boku Małgorzaty, czy sobie trwale zapewnił w jej osobie niezastąpioną podporę podczas kryzysów życiowych. Kiedy jej teraz pocałunkiem dziękował za śniadanie - przygotowała mu wersję „roboczą”, czyli sycącą, corn flakes z mlekiem, dwa jajka na miękko, grzanki z dżemem i mocną angielską *smoked tea* - wiedział, że nie musi się o nią kłopotać.

- O osiemnastej zero zero - powiedział jej jedynie - bądź punktualnie, zjawią się tu z wiadomego powodu!

- Bądź spokojny, Frycku - kiwnęła po prostu głową i splunęła na szczęście.

Dzięki - powiedział do niej w duchu, schodząc schodami; była to ponownie jego dawna Małgorzata i żałował, że wrodzona mu powściągliwość nie pozwalała powiedzieć jej tego wprost. Tym bardziej chciał wszystko załatwić tak, ażeby była szczęśliwa.

Wiedząc, że dzisiaj liczą się sekundy, łysy Karlik z czapką na bakier czekał przy otwartych tylnych drzwiach samochodu. Człowiek bez przerwy się uczy, przemknęło przez myśl Vlkowi; było mu wstyd, że tyle razy nieprzychylnie osądzał Karlika, również w branży był on uważany za prymitywa, który w najlepszym razie jest zdolny linczować. A tymczasem ten poczciwiec nie opuścił go nawet wtedy, gdy się mógł usamodzielnic. Kiedy później nastąpiła recesja i walka o istnienie, właśnie Karlik miałby szansę: on tylko mógł na niego

donieść to i owo. Zamiast tego stanął u jego boku. Vlk poczuł do niego (czy nie jestem dzisiaj sentymentalny? No to co! Dzisiaj mi wolno!) wdzięczność. Ale głośno powiedział jedynie:

- Sąd okręgowy! Piorunem!

- Rozkaz, szefie! - powiedział Karlik.

Włączył syrenę, po której sąsiedzi sądzili, że są z drogówki. Małe osiedle, najdoskonalsze w mieście, gdyż stawiali je najbardziej wykwalifikowani skazańcy, było niemal bez wyjątku zamieszkane przez pracowników tajnych resortów, toteż nikt tego nie sprawdzał.

Sąd okręgowy Vlk odwiedzał jedynie wtedy, gdy potrzebował wziąć „straceniówkę”, jak nazwał kiedyś Šimsa pisemne zlecenie, na podstawie którego fasowano w więzieniach klientów. Dziś Vlk się tam udawał w banalnej sprawie: po duplikat aktu ślubu, zgubionego najprawdopodobniej podczas przeprowadzki.

- Moje uszanowanie, panie doktorze! - przywitał go z obowiązku portier.

Z biegiem lat nabrał przekonania, że Vlk jest prowincjonalnym obrońcą, który tu ma sprawę dwa lub trzy razy na kwartał. Zdziwił się, kiedy ten go teraz zapytał:

- Gdzie jest tu kancelaria rejestracyjna?

Vlk spodziewał się, że będzie to jakiś najodleglejszy kąt, ale nie przypuszczał, że będzie musiał przejść przez całe suteryny. Przed szukanymi drzwiami zastał kratę, a do niej drutem przytwierdzone wieko od pudełka po butach, na którym było napisane mazakiem JSTEM U DENTYSTY. Cicho zaklął i spojrzął na zegarek. Wpół do ósmej. Zdecydował się wpaść tu w przerwie obiadowej. Dzisiaj był wobec świata nastrojony pojednawczo i życzliwie: w powrotnej drodze żał mu było biednej myszy kancelaryjnej, którą z tej pełnej kurzu nory może wyzwolić na chwilę jedynie dentysta.

Do szkoły przyszedł zatem wcześniej niż przewidywał, a mógł się spokojnie i spóźnić: dzięki poświęceniu dzieciaków wszystko już wczoraj było *à jour*. Z zadowoleniem obszedł więc wszystkie pomieszczenia ciesząc się, że takie samo wrażenie odniosą przedpołudniowi i popołudniowi goście. Egzamin maturalny miał się odbywać w klasie. Sześć stołów zostało połączonych w jeden, na przodzie stały trzy krzesła dla egzaminatorów, a z drugiej strony jedno dla egzaminowanego. Bardzo mu się spodobała propozycja Kazika, lubił monumentalną architekturę, nie przyszło mu do głowy, że Franciszek miał przyziemniejsze intencje: z dystansu sześciu stołów komisja nie mogła raczej spozrzeć ściągawki. Siódmy stół stał w kącie jako „potnik”. Wrócił tu z magazynu, gdzie odpoczywał od 4 stycznia, kiedy klasa wymazała w pamięci Ryszarda Mašina. Katedra została przykryta świąteczną serwetą Małgorzaty; w przerwie Karlik miał wnieść kanapki, piwo i coś mocniejszego.

GAKLAS i GANOW były zamknięte; wczoraj je odpowiednio przygotowano do przeprowadzenia popołudniowych egzaminów mistrzowskich i Vlk nie chciał ryzykować, że w tym mętliku coś przestawi czy nawet zgubi. Korytarz został udekorowany według jego życzeń, ażeby goście i rodzice widzieli, że tu dzieciaki przez cały rok żyły tym samym, co ich rówieśnicy. Gazetki ścienne mieli załatwić bliźniacy i pożyczyci je, ażeby nie tracić czasu, ze SZKOKIJA, gdzie już zaczęto wakacje. Albert w ostatniej chwili zauważył, że mobilizują do zeszłorocznych zbiorów chmielu; musieli przyjąć założenie, że gazetki ścienne świadczą o obojętności kolektywu jedynie wówczas, kiedy ich nie ma, i udało się: również Vlk przejrzał je tylko po łebkach i był zadowolony.

Teraz zatem dzieciaki oczekiwały go w zaimprovizowanej szatni dla gości, powstałej przez wyjęcie drzwi z byłej „smentówki”. Zgodnie z ustaleniami chłopcy mieli ciemne spodnie, a Lizinka ciemną spódniczkę, wszyscy zaś włożyli takie same koszule.

Dziewczyna wciąż jeszcze miała zamknięte oczy, ale kiedy po raz drugi spróbował z niej wyjść, zajęczała. Wówczas zrozumiał, że w danej sytuacji nie może zrobić nic mądrzejszego niż mocno ją objąć i również zamknąć oczy. Stosując ten niedoceniany strusi trick osiągnął przynajmniej to, że w kłopotliwej sytuacji znaleźli się ci, którzy wtargnęli do

51

przedziału. Komando prowadził młody celnik. Sześćdziesiąt godzin mu nie wystarczyło, ażeby rozproszyc tęsknotę, która go ogarnęła, kiedy Lizinkę pochłonęła zagranica; przez cały ten czas dojrzewała w nim wściekłość na bezbarwnego pajaca, o którego świńskich zamiarach mógłby przysiąc przed sądem. Oszacował go na modnego fryzjera lub kierownika sali w luksusowym hotelu. Lizinka wyraźnie jednak nie kwalifikowała się na dewizową prostytutkę; było jasne, że towarzyszy mu niewinnie i z pełnym zaufaniem, jak gdyby podróżowała z ciotką. Celnik niemal nie spał trzymając za nią kciuki, ażeby oparła się temu staremu dziwkarzowi. Spostrzegł wówczas, że mają wizę na trzy dni, i wziął sobie dzisiaj dyżur dzienny i nocny w nadziei, że się z nią znowu spotka. Nie myślał robić im rewizji, przecież łotr na pewno wszystko da do jej bagaży. Pan jest pewnie jej dziadkiem?... zamierzał go spytać, po czym, jak się dogadał z zielonymi, jeden z nich miał faceta na chwilę zaprowadzić do kancelarii. Tymczasem on się z nią umówił na randkę, gotów przyjechać kiedykolwiek i dokądkolwiek.

Kiedy łomotał w drzwi, nie chodziło mu już zupełnie o dobro państwa, był

nieśmiertelnym Montekim, któremu obok bezczeszczono Julię. A kiedy otworzono drzwi, zjawił mu się za górą pakunków obraz, jakiego nie widział w najbardziej obscenicznym czasopiśmie dla mężczyzn, które rekwirował. Na zawsze miały mu utkwąć w pamięci bezbronne kolana, jak głazem rozczapierzone nagim tyłkiem. Rzucił się na sprawcę, zapomniawszy o deseczce ze stemplami, którą nosił na brzuchu. Sklejka od uderzenia pękła, Vlk jęknął. Naprężając mięśnie pośladków przeciwko ciosom pięści celnika, przewyciężył szok i zaczął aktywnie pertraktować.

- Wezwijcie - zahuczał swoim głębokim głosem - Doktora!

Wezwali, rzecz jasna swojego, jak tylko uporali się z celnikiem. Te godziny należały do najstraszniejszych w życiu Vlka, był przy tym pełen uznania dla Lizinki, że potrafiła zachować pozory obojętności, mimo że długo nie mogli ich wynieść na korytarz. Skoro był z nią skleszczony, musiano ich wziąć na jedne nosze, których dwaj mężczyźni - więcej ich się w przedziale nie zmieściło - nie mogli unieść. W końcu wykombinowali: wysunęli ich na peron przez okno. Chociaż byli otoczeni ludźmi, którzy przez nich przechodzili potykając się, potracając ich, dotykając i zgadując, o co tu chodzi, niezwykła pozycja umożliwiła im szczególną intymność. Kiedy ich w końcu zakryto - niczego nie znaleziono poza kolekcją flag państwowych, więc przynajmniej wybrano te neutralne - Vlkowi powróciła pewność siebie i szeptał Lizince, że wszystko będzie dobrze.

Miał rację. Lekarz w mundurze porucznika wojsk pogranicznych był wprawdzie tylko weterynarzem-rezerwistą, ale właśnie dlatego zabrał się do rzeczy od właściwej strony. Nie wzywał karetki ani chirurga, ale zadał im kilka pytań i powiedział przekonywająco:

- Leżcie spokojnie. Za dobrą chwilę się rozkleszczycie.

Wy tłumaczył im, że takie zjawisko podczas kopulacji, u ludzi rzeczywiście rzadkie, jest u większości ssaków dosyć częste. Przekrwienie organów płciowych - zwłaszcza jeśli jeden nie był długo używany, a drugiemu to zdarza się po raz pierwszy - powoduje jednoczesne skurczenie się wągoty i rozszerzenie się żołądki. Skutek, przybliżał im rzecz obrazowo, jest podobny, jak gdybyśmy chcieli rozkręcić gorącą fajkę. Vlk mu wierzył, ale nie chciał ryzykować, bo ktoś tymczasem mógł zrobić z komara wielbłąda.

Z pomocą doktora przemieścili się na noszach - Lizinka wreszcie leżała na górze, już się nie musiał wspierać na łokciach, żeby jej nie przygniatać - i Vlk poprosił o połączenie międzymiastowe. Po raz drugi w życiu pozwalał sobie zawracać głowę Doktorowi, w dodatku o trzeciej na ranem i jeszcze w takim położeniu, że Lizinka musiała słyszeć każde słowo. Postanowił jej zaufać: już od godziny nie była dzieckiem i spisywała się świetnie. Treść przekazu nie sprawiała mu kłopotu: po prostu zagrał trochę ognistą umówioną rolę fauna.

- Skleszczenie? - powtórzył Doktor, a jego śmiech brzmiał chwacko pośród nocy. - No to będzie musiał pan, panie przewodniczący -

znowu przerzucił się na ustalony kod

- mnie przedstawić!

A młody celnik, który tymczasem z całą mściwością spisywał rzeczy, zakupione najwyraźniej za nie rejestrowane oficjalnie dewizy, zupełnie się załamał, kiedy sam naczelnik przyszedł mu oznajmić, że zostaje natychmiast zwolniony za rozbicie skarbowej podstawki na oficjalnej osobistości.

Rzucił na dziewczynę pytające spojrzenie, w którym malowało się zaniepokojenie. Lekko pokręciła głową, więc czując ulgę mógł już zająć się całą

52

klasą. Jednakowy strój wymyślił Albert: skoro z powodu tajności nie mogą być członkami organizacji młodzieżowej, niech przynajmniej swoim wyglądem dadzą do zrozumienia, że mają te same ideały. Prawdziwą intencję początkujący asystent zataił: zakładając źle skrojone, fabryczne koszule wszyscy robili wrażenie, że mają jakąś fizyczną wadę.

Z ich wyglądu zewnętrznego Vlk był zadowolony, ale jeśli szło o ich szanse zrobienia matury, miał mieszane odczucia. Wyniki egzaminu pisemnego, który miał miejsce w sobotę, kiedy już wszystkie szkoły zawodowe były puste, bo miały to dawno za sobą, skrajnie się między sobą różniły. Jedynie Albert miał ze wszystkich czterech przedmiotów stopień celujący. Średnio jednak rozrzut był duży:

Uczeń:	Anatomia:	Psychologia:	Literatura:	Języki obce:
Kazik Fran.	5	4	3	2
Król Paweł	2	3	4	5
Król Piotr	2	3	4	5
Tacheci Liz.	3	3	3	3

Szymon Hus miał trzy stopnie niedostateczne, a NIETYCZ z TEZDROWU nie zgodził się mu postawić jakiegokolwiek stopnia. Zna wprawdzie, napisał w ocenie, każdy organ ciała,

ale na określenie go używa wyrazów, które przystoją hyclowi lub katu; NIETYCZ to ocenił jako niesmaczny żart. Vlk oczywiście mógł dzisiaj Szymona podciągnąć, decydujący był przecież stopień z głównego przedmiotu. Zwyciężyło jednak jego poczucie fair play i realistyczne przekonanie, że szkole mniej zaszkodzi uczeń, który obleje egzamin dojrzałości, niż uczeń, który się zblamuje po otrzymaniu matury. Decyzję zostawił losowi i komisji.

Kazik, nie wątpił, da sobie radę, ma obrotny język. Stopnie bliźniaków świadczyły, że zastosowali ten sam chwyt, jaki pozwolił im ukończyć dziewięciolatkę: domyślał się, że trzy lepsze stopnie dostał Paweł (a może Piotr? w każdym razie jeden z nich, o tym się sam przekonał, jest bystrzejszy), podczas gdy stopień z anatomii, w której obydwaj nie byli zbyt silni, zarobił drugi. Ponieważ i tak mieli pracować we dwójkę, chętnie by dzisiaj na to przystał, żeby egzamin za nich obu mógł zdawać ten lepszy, ale na widok ich niejednakowych przedziałków na głowie nie miał zielonego pojęcia, jak by to ewentualnie mogli przeprowadzić. To jednakowoż były bagatelki: naprawdę troszczył się o Lizinkę.

Kiedy już zdołał odrzucić optykę kochanka, która mu kazała odkrywać w niej coraz to nowe zalety, i wymazać z pamięci obraz ich „skleszczonych” ciał, w miarę upływu czasu coraz bardziej oniryczny i upragniony, przyznawał w duchu, że jako uczennica nie jest idealna. Z powodu nieśmiałości nie było zdolna wykorzystać swojej inteligencji, która emanowała nie tylko z jej pociągającej urody i pełnych gracji ruchów, ale i z najbanalniejszych przejawów życiowych, takich jak kichnięcie czy ziewanie. Mając wygadanie Kazika, westchnął, pewnie zrobiłaby już doktorat! Cóż, w tej serii trójek wyczuwał jeszcze nawet przychylność NIETYCZÓW - to go złościło najbardziej - którzy z pewnością ostrzyli sobie na nią zęby, choć od dawna mieli zamiast nich protezy, a w domu córki w wieku Lizinki.

Całą niedzielę walczył z pokusą uczynienia wyjątku i przekazania jej po prostu pytań egzaminacyjnych. Nie bądź obłudny, kochanek atakował w nim pedagoga, swojej żądy przed nią nie zatajałeś, co? Pedagogowi nie było w smak, że musiałby zrezygnować z losowania pytań, czym chciał zademonstrować przygotowanie szkoły. Koniec końców - dzięki Doktorowi - znalazł rozwiązanie. Toteż z nowym optymizmem mógł teraz mrugnąć do swojej ukochanej i wszystkim szczerze życzyć:

- Skręćcie kark!

Zazgrzytały klucze i zaskrzypiała krata. Vlk udał się - wszystko było dokładnie zaplanowane - na korytarz, żeby przywitać naczelnika więzienia, który przyprowadził obydwu członków komisji. Doktor lekko się przygiął od uścisku ręki i grzecznie wskazał Vlkowi swojego towarzysza. Mężczyzna w średnim wieku, z mocno kędzierzawymi się

czarnymi włosami, wyglądał, jakby właśnie wyszedł od pierwszorzędnego krawca, a także fryzjera. Wrażenie psuła jedynie gorączkowo czerwona twarz i czarna przepaska w klapie nad elegancką chusteczką.

- Vlk - powiedział Vlk z zakłopotaniem.
- Przecież my, Frycku, się znamy - powiedział przybysz.
- Owszem... - powiedział Vlk jak zawsze w podobnej sytuacji.

W głowie mu się nie mieściło, że nie może sobie przypomnieć właściciela tak charakterystycznej grzywy.

- Tobie to mogę powiedzieć - zaśmiał się gość - peruka!

W tym momencie Vlk poczuł perfumy.

- Oldrzych - powiedział ze zdumieniem - ja myślałem...
- Reżimy - powiedział były prokurator - przychodzą i odchodzą, a tymczasem kat pozostaje. Powinieneś mi całować rękę, jako nauczyciel przez ten czas co najmniej ze trzy razy poszedłbyś do łopaty!

Vlk własnym oczom nie wierzył, że były prokurator (Kim on teraz jest? Przecież musi być na emeryturze!) w porównaniu z sędzią spotkanym nie tak dawno w tramwaju wygląda jak panisko.

- Nie tak dawno spotkałem - powiedział, wciąż jeszcze pod wrażeniem tej niespodzianki, i zaraz się poprawił - no, spotkałem go chyba przed trzema laty...

- Wilika! - powiedział były prokurator. - Pękał ze śmiechu, kiedy nam opowiadał, że niewiele brakowało, a dałbyś mu na papierosy!

Vlk z wyrzutem spojrzał na Doktora, który się tylko uśmiechnął przepaszająco:

- Tak - przyznał - wiedziałem o tym. Ale też nie zmuszałem was do ryzykowania. Chciałem tylko zwiększyć waszą ufność w jutro i nie naruszyć tajemnicy państwowej.

- Tak! - powiedział prokurator - ci maturzyści to nasze jutro, a my jesteśmy z nimi. A propos: Wilik cię przeprasza. Jak na złość rozpracowuje teraz tych obrońców praw człowieka, toteż musi się stale konsultować, ile może im wlepić; żeby chociaż raz pętlę, ale gdzie tam, stałe tylko słyszy: „Następnym razem!”

- A co u Mirka? - spytał Vlk.

Reakcja była niespodziewana: byłemu prokuratorowi łzy napłynęły do oczu i zaczęły spływać wąskimi stróżkami po obu policzkach; ich czerwień okazała się dziełem pudru, a nie gorączki; po jego spłynięciu odsłoniła się mapa operacji plastycznych.

- Kolega mecenas zmarł - wyjaśnił Doktor cicho.

Vlk skojarzył to sobie z czarną przepaską. Pod rozmazaną fasadą ujawniła się twarz

starca. Vłka zatrwożyła myśl, że są rówieśnikami, zaraz sobie jednak uświadomił, że tego spustoszenia dokonała utrata ukochanej osoby. Wyobraził sobie, że utraciłby Małgorzatę lub Lizinkę, i wzdrygnął się.

- Głupia prostata - powiedział były prokurator - i wszystkie plany, marzenia wzięły w łeb!...

Wyjął chusteczkę, otarł policzki i w zamyśleniu wpatrywał się w widoczne na niej czerwone smugi. Również Vłka ogarnął żal, jak gdyby właśnie zagasł płomień ogniska, przy którym kiedyś spędzili noc na interesującej rozmowie.

- A co ty teraz właściwie... - spytał, żeby zmienić temat - jak cię mam właściwie...

- Tytułuj mnie - powiedział były prokurator twardo, wsiąkawszy w chusteczkę swoją żalobę - powiedzmy Nestorze! Gdzie tu macie sracz, żebym się trochę podpacykował?

Kiedy zamknęły się za nim drzwi WC, Doktor wyjaśnił oniemiałemu Vłkowi tak, żeby nie słyszał tego naczelnik, który tymczasem ciekawie się rozglądał:

- Przesadza. Zastępuje tylko. Ale uwaga, jest jeszcze bardziej wymagający niż kiedyś, no i bez uczuciowego zaplecza!

- Jestem gotów! - wykrzyknął wywołany.

Patrzył przed siebie jasnymi oczyma stojąc na baczność - choć tę postawę psuł co nieco jego

53

garb - przed stołem komisji i czekał, aż do niego podejdzie Doktor z kapeluszem. Było piętnaście po jedenastej, on z Lizinką pozostali już jako ostatni. Vłk ustalił kolejność niemal w sposób naukowy, biorąc pod uwagę wszystkie aspekty. Najpierw mieli zdawać przeciętni, ażeby nie rozhuśtywać kryteriów zbyt ekstremalnie, czyli Kazik i obaj Królowie. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie przydzielić po jednym z Królów, do każdej trójki, ażeby ewentualnie zdążyli się przeczesać, ale dał pierwszeństwo przekonaniu, że po przerwie musi zdawać trio Szymon-Albert-Lizinka. Kierował się tu ważnym powodem.

Franciszek wyciągnął z podsunętego mu przez Doktora kapelusza skontrolowanego przez przewodniczącego komisji, na którego wybrano byłego prokuratora, dwie kulki różnych barw: na białe kartki Doktor z Vłkiem wpisali po piątkowej naradzie pytania z EGZEKLASU, na różowe zaś z EGZENO. Biały los przydzielił Kazikowi niełatwy „Katalog kar średniowiecznych”. Jak Vłk się spodziewał, egzaminowany rzucił się na łeb na szyję w fale

tematu i starał się utrzymać na powierzchni nie zważając na styl pływania; jak na ironię losu do tego sobie ściągawki nie pisał. Słusznie nadmienił, że kara śmierci obejmowała wówczas wszystkie występki, mogła zatem pełnić rolę wychowawczą jedynie dzięki niuansom: za przestępstwa kryminalne był stryczek albo koło, podczas gdy dysydentów ścinano, ewentualnie ćwiartowano; damskie, jak powiedział, bezceństwa przykrywała ziemia albo woda, a wreszcie czarownice i homoseksualiści jęczeli w ogniu. Nie mógł przypuszczać, że tą ostatnią wypowiedzią naraża się przewodniczącemu.

Na szczęście były prokurator nie chciał się zdradzać przed Vlkiem; lodowatym głosem wezwał chłopaka, żeby mówił dalej. Wtedy już Franciszkowi nic nie pomogło wygadanie, z trudem przypomniał sobie, że zakopywanym urozmaicano karę podłączeniem rurki do oddychania i picia, ażeby pogrzebany mógł się jeszcze parę dni cieszyć życiem. W tej sytuacji Doktor, który niejako automatycznie przejął funkcje głównego egzaminatora, musiał mu wiele rzeczy przypomnieć, choćby to, że przyłapana in flagranti para była przebijana palem w pozycji kopulacyjnej, albo że za fałszowanie pieniędzy smażyło się powoli w oleju.

Na różowej kartce miał Franciszek pytanie o gaz i całkiem przyzwoicie opisał czynności z tym związane - od kontroli uszczelnienia kabiny oraz napełnienia obu zasobników kwasem siarkowym i kryształkami cyjankali, aż do pociągnięcia za dźwignię, powodującego wylanie kwasu pod fotel i zmieszanie go z trucizną, w wyniku czego powstają pary, które unoszą się jak mgła i kiedy wnikną w nozdrza, następuje kolejny skurcz, którego klient z pewnością już nie zauważa.

- No a stetoskop? - spytał Doktor, kiedy Kazik skończył.

Franciszek, pacnąwszy się w nagłym zatrwożeniu po twarzy, zaczął sypać jak z rękawa wiadomości o przytwierdzeniu stetoskopu do klatki piersiowej, a z drugiej strony połączeniu z kablem prowadzącym do lekarza, który w przeciwnym razie nie mógłby urzędowo stwierdzić zgonu. Potknięcie się tak go speszyło, że opis końcowej fazy zaczął od otworzenia komory.

- I już po tobie i wszystkich świadkach - powiedział Doktor - skoro zapomniałeś najpierw włączyć wysysacz gazu.

To dało przewodniczącemu pretekst do postawienia mu dwójki. Vlk nie protestował, ponieważ pragnął zachować sobie prawo weta na bardziej krytyczne przypadki.

Z wyraźnym przedziałkiem z lewej strony wszedł Paweł Król, który wyciągnął z kapelusza historię gilotyny i krzesła elektrycznego. Mówił powoli, z pauzami, mimo to wywierał na komisji dobre wrażenie. Sam wziął kredę i narysował na tablicy prototyp gilotyny, tak zwanego *Diele*, którym posługiwano się w Niemczech od wczesnego

średniowiecza. Urządzenie było prymitywne, ale - tak jak jego prawnuczka - miało ostrze spadające z góry - widać to na obrazach kościelnych w Padwie i Barcelonie - tyle że drewniane i wykonator często musiał długo w nie walić drągiem, zanim głowa odpadła. To doprowadziło do powstania, Paweł kreślił drugi schemat, włoskiej manai, jak ją upamiętnił Lucas Cranach, gdzie po drewnianych szynach spada topór na sznurze, ażeby cios mógł być łatwo powtórzony. Te mechanizmy, uważał Paweł, musiały być znane doktorowi Guillotin, kiedy chciał podarować rewolucji równość kar. Ostatecznie problem rozwiązał technicznie niemiecki mechanik Schmidt, odwiedzający rodzinę mistrza Charlesa Sansona, by z nim grać w duecie Glucka. Urządzenie zadebiutowało 21 kwietnia 1792, a honorowym klientem nie był, co może dziwić, rewolucjonista, ale, dodał Paweł odkładając kredę, bandyta Pelletier.

Umilkł. Tylko znający go Vlk wiedział, jak bardzo jest zdenerwowany: bez przerwy gniół sobie palce lewej ręki, mimo że prawą miał białą od kredy.

- A co wiesz - zapytał Doktor niewinnie - o urządzeniu do ścinania, zwanym Louisette, wprowadzonym do użytku w tym samym dniu?

Paweł wytrzeszczył na niego oczy. Ach, Boże! - wzdrygnął się Vlk. Takimi szczegółami w szkole, trwającej jeden rok, naprawdę nie miał kiedy obciążać głowy dzieciaków! O tym wszakże tu i teraz nie mógł dyskutować.

- Kiedy ktoś wie tyle, co ty, nie powinien - powiedział Doktor karcącym tonem - z dumy stanowej przytaczać osoby dla tego tematu tak nieistotnej jak Sanson, a pomijać człowieka, który dla gilotyny zrobił tyle, co równie zapomniany czeski leśnik Resseel dla śruby okrętowej. Tak, panie -

zwrócił się do niego w starej akademickiej manierze

- kolego, rewolucja uskrzydliła mnóstwo talentów, a wśród nich właśnie doktora Antoine'a Louisa z Metz, który podsunął Schmidtowi nie tylko pomysł lunety podtrzymującej szyję, ale przede wszystkim skośne ostrze, dzięki któremu klienci mogą być pewni, że jeśli tylko spadnie nóż, spadnie i głowa, co nie pozwala mi nie napomknąć o kilku przykładach -

nadmienił Doktor pedantycznie

- zacinania się spustu, którego dłuższa naprawa pozwoliła nie wykończonym klientom nopuszczać różnych świadków przeciwko wykonatorom, toteż teraz zawsze jeden z pomocników trzyma za plecami toporek, ażeby w razie potrzeby majster mógł głowę uciąć po staremu, jak na przykład hamburski Friedrich Heer Józefowi Benderowi, który w ledwo zbombardowanym sklepie przywłaszczył sobie spodnie. Ale przede wszystkim -

wrócił do początkowego tematu

- Louis przeprowadził próbę w szpitalu domu starców w Bicêtre na żywych owcach, a potem na trupach, najpierw dziecięcych, ażeby, cytuję, Barringa, „maszynę ostrożnie wdrożyć w nawyki”; obecni, którym, cytuję Kernshawa, „podawał odłączone głowy do przyjacielskiej oceny, wyrażali dyskretny zachwyt”. Pech Louisa polegał na tym, że po kilku miesiącach umarł, a z nim umarła i nazwa Louissette, ponieważ Guillotin jeszcze przez całe dwadzieścia lat utrwał się w pamięci ogółu dzięki swojej działalności publicznej. Z twojej wypowiedzi wywnioskowałem, że mówiłeś nie tyle o wynalazku, co o jego sile przebicia, a w tej dziedzinie najbardziej zasłużył się -

dodał Doktor z szacunkiem

- Joseph-Ignace Guillotin.

Również krzesło elektryczne miał Paweł w małym palcu. Opisał, jak umocowuje się elektrody, z rozcinaniem prawej nogawki włącznie, o której tak chętnie, jak powiedział, się zapomina, nie pominął nawet „maski współczucia”, oszczędzającej oficjalnie klientowi widoku przygotowań, a tak naprawdę wykonatora, którego klient mógłby zahipnotyzować, jak to się stało z Robertem Elliotem, który przestał zapinać pasy i trwał spocony w bezruchu aż do chwili, kiedy mu kierownik więzienia wymierzył siarczasty policzek. Słusznie również wspomniał Paweł o obu konkurujących ze sobą szkołach, nisko- i wysokowoltażowej. Podczas gdy pierwsza, zapisywał słupek na tablicy, aplikuje ciało przez

50 sekund500 woltów

8 sekund1000 woltów

50 sekund500 woltów

a przed wyłączeniem przez 5 sekund 2000 woltów jako uderzenie powodowane współczuciem, druga szkoła zaczyna od dziesięciu tysięcy woltów i wysforowuje się aż do trzydziestu tysięcy; jest znana z kina i telewizji, gdyż podczas stosowania tego systemu gasną światła w całym więzieniu. Niedogodnością pierwszej szkoły jest przydługi niekiedy czas wykańczania, wywołujący dyskusje już w roku 1929, opowiadał Paweł, kiedy to Roy Paterson w Auburn ładował prądem Mary Farmer niczym akumulator niemal godzinę, zanim przestała wrzeszczeć. Zaleta tkwi w tym, że nawet tak długa operacja nie pozostawia poważniejszych śladów, a jedynie pewne zdeformowanie głowy, wykrzywienie twarzy i lekkie oparzeliny kończyn. Tymczasem Henry White w Ohio, który przeżył wstępnych dziesięć tysięcy woltów, po ich potrojeniu od razu wyzionął ducha, w płomieniach buchającego z niego ognia, a świadkowie mdleli od smrodu; histeryczny lekarz poza tym oświadczył, że White (w niezgodzie w werdyktem) został upieczony.

- Skończyłeś? - spytał Doktor, kiedy egzaminowany umilkł.

Paweł kiwnął głową.

- Poruszyłeś - powiedział Doktor z życzliwym uśmiechem, ale Vlk był przekonany, że zastawia następną pułapkę - problem elektrokcji. Nie jest więc w stu procentach skuteczna?

- Ależ nie - Paweł się przestraszył - jest skuteczna!

- No a - wypalił Doktor - Fred Phillips?

Paweł znowu stał się uosobieniem znaku zapytania. Biedaku, współczuł mu Vlk, po raz drugi cię zagiął, pożegnaj się z piątką!...

- To jest - powiedział Doktor z naciskiem - precedens, o którym powinien pamiętać każdy „electrocuteur"! Po orzeczeniu przez lekarza zgonu zwłoki Phillipsa zostały wydane doktorowi Cornishowi w celach naukowych, ale ten cel naukowy, który doktor zataił, to było przywrócenie życia straconemu, udało mu się to, wywołał skandal i sprawę sądową, w której stan Nowy Jork domagający się ponownej egzekucji, przegrał. Phillips mógł się udać pod zmienionym nazwiskiem do Meksyku, gdzie na szczęście w krótkim czasie z radości -

dodał Doktor pytając wzrokiem Vlka, czy nie ma racji

- zapił się na śmierć.

Vlk musiał przytaknąć. Paweł dostał czwórkę i mógł być zadowolony. Tym nerwowiej oczekiwał profesor mniej zdolnego bliźniaka. Zamiast niego zjawił się Karlik niosąc półmisek z kanapkami. Postawił je na katedrze z taką pewnością siebie, że Vlk dał się wprowadzić w błąd.

- Panowie - powiedział z zapraszającym gestem - czas na przekąskę!

- Chwileczkę - zaproponował przewodniczący - przerwę robimy w połowie, mieliśmy dopiero dwóch!

- Karliku - zdumiał się Vlk - co się wygłupiasz?...

- Powiedzieli mi, że już! - bronił się Karlik.

- Kto ci to powiedział?? - rozgniewał się Vlk.

- Ja nie wiem - powiedział Karlik z nieszczęśliwą miną, ponieważ szwankowała mu pamięć.

- Zostaw to tutaj i wyjdź - polecił mu Vlk. - I przyślij do nas Piotra Króla!

W przekonaniu, że w ten sposób mniej się rzuca w oczy, Karlik wycofał się z klasy tyłem. Zaraz wszedł do niej drugi Król z wyraźnym przedziałkiem z prawej strony. Ku przerażeniu Vlka wyciągnął pytanie, które powinien był raczej dostać jego brat: „Czy kat jest humanistą?" Ku jego zdziwieniu słabszy z Króli nie zbladł i nie zaczął się jękać, ale bez istotnych błędów przytaczał przykłady, którymi Vlk utwierdzał w nich dumę profesjonalną.

Wymienił rzymskiego oprawcę, Alessandra Bracco, który płakał, kiedy musiał z

rozkazu papieża posłużyć się straszliwą „veglią” wobec renesansowej piękności, Piotr nazywał ją „Miss Italy”, Beatrice Cenci, która kazała zabić ojca, gdyż ją kazirodczo bezcześcił: Alessandro zawiesił ją naga za wszystkie cztery kończyny tuż nad palem z diamentowym grotem; kiedy słabła siła jej mięśni, diament pogłębiał ranę w jej wrażliwym brzuchu. Po raz drugi płacze Bracco, kiedy ją, niewinną, ścina, a jej bezgłowe ciało skręca się w takich skurczach, że się odsłaniają, opisywał Piotr, również cudowne piersi. Ogarnięty bez reszty współczuciem, Bracco wznosi w górę odciętą część Beatrice wołając: „Oto głowa rzymskiej dziewczyny, która padła ofiarą swojej piękności!”

- Wiesz, jak to brzmi w oryginale? - przerwał mu Doktor, ale wołał zarecytować sam wzmacniając słowa dramatycznymi gestami: - „Ecco la testa di una donzella romana martire delia sua bellezza”, ale to tylko -

uspokoił go przyjaźnie

- dla uściślenia. Kontynuuj.

Kontynuował w tym samym stylu. Opowiedział o mistrzu Klausie z Berna, który nie mógł patrzeć, jak z powodu niesprzyjającego wiatru palonemu Hansowi Jetzerowi zbyt wolno zwęglają się nogi, i rozbił mu głowę pałką, za co był zaraz potem zwolniony z piętrem, powiedział Piotr, liberała. Przypomnił czołowego filantropa osiemnastowiecznego, który składając odważnie petycje w arcybiskupstwie niejedną raz uzyskiwał zgodę na zamianę drobnym złodziejom kary stryckiego na karę ścięcia; stawał się ojcem chrzestnym ich dzieci, toteż walnie przyczynił się do życiowego sukcesu jednego z nich, proboszcza Mohra, autora pieśni Jacka Jonsona z Chicago, który w roku 1965 odważnie wystąpił w telewizji - Vlka zakłuło w sercu, kiedy przypomniał sobie, jak mu z Šimsą zazdrościli - ażeby przeciwstawić się zabójcy policjanta Witherspoonowi. Temu ostatniemu udało się wzbudzić współczucie widzów twierdzeniem, że on zabił policjanta w afekcie, podczas gdy Johnson go zabije z zimną krwią. „Jest to mój, powiedział spokojnie Johnson, job!” i setki tysięcy Amerykanów mu przyklasnęło. Piotr zakończył przypadkiem aktorki Diany Dors, którą kat Jego Królewskiej Mości Albert Pierrepont zapraszał do swojego lokalu na Oldham Road, gdzie nie żałował kielicha również biedakom, jeśli tylko respektowali napis NO HANGING AROUND THE BAR!¹² Ilekroć po pracy wybierał się na spotkanie z nią, śpiewał jej przez telefon „Be kind to me”; według Diany Dors był również przykładnym małżonkiem i ojcem jej pięciorga dzieci.

- Przytoczyłeś - powiedział Doktor - Bracca i Johnsona. A może znasz czyjeś

¹² No hanging... (ang.) - Nie wiesz się na barze.

istotniejsze zdanie. Na przykład Des...? No, no?

Piotr przynajmniej nie zacukał się jak Franciszek. Milczał.

- Nie słyszałeś - Doktor się nachmurzył - o Desfourneaux?

- Henri - podjął szybko Piotr - Desfourneaux, egzekutor, czyli Monsieur de Paris, a tym samym i całej Francji, w ciągu jedenastu lat od objęcia swojej funkcji w 1939 roku załatwił 255 klientów i dwie klientki.

- A wiesz - spytał Doktor - dlaczego?

- Nie - przyznał się Piotr.

- Takie rzeczy trzeba wiedzieć - powiedział Doktor bezkompromisowo - ponieważ słynne zdanie Desfourneauxa może się niejednokrotnie przydać. Po wojnie mu zarzucano, że go do nieoficjalnego współzawodnictwa popchnęły niemieckie trybunały specjalne i że w żadnym razie nie powinien dokonywać egzekucji francuskich patriotów. „Spuszczam topór - odparł krytykom - to wszystko; rozumieć nie jest rzeczą -

dodał Doktor dając znak przewodniczącemu, że na tym kończy zadawanie pytań

- kata!"

- Przejdź do EGZENO - polecił przewodniczący.

Piotr wyciągnął egzekucję przez rozstrzelanie i szybko się z tym tematem uporał. Opisał jego wojenną mutację, zarówno solową, kiedy to pluton egzekucyjny strzela na sposób oko-serce, po czym dowódca dobija strzałem w tył głowy, jak też masową, kiedy to oznaczony teren pokrywa się najpierw ogniem karabinów maszynowych, a, potem ziemią. Przeszedł do wersji cywilnej, praktykowanej w niektórych stanach Ameryki Północnej, i opisał system izolowanych boksów, w których na rozkaz w słuchawkach strzelają ochotnicy, najczęściej krewni ofiary i myśliwi. Chodzi o wykonatorstwo nader rozpowszechnione, ale z profesjonalnego punktu widzenia niezbyt, dodał, interesujące: dlatego stało się domeną amatorów.

Rozstrzeliwanie nie interesowało Doktora, tak że o nic nie pytał. Piotr Król się uklonił i ruszył do wyjścia; dopiero wtedy Vlk zauważył, że chłopak z ulgą gniecie sobie palce lewej ręki, a na prawej ma wyraźne (przecież nie był przy tablicy!) ślady po kredzie. Zrozumiał, że Karlik swoim wejściem nieświadomie umożliwił braciom przeczesanie się, a tym samym i wymianę. W tym momencie usłyszał, że przewodniczący proponuje również Piotrowi dać czwórkę, i Vlk z miejsca na to przystał; po przerwie czekała szkołę gorzka pigułka.

Obawy Vlka wzrosły, kiedy przewodniczący komisji odmówił alkoholu - tym bardziej, powiedział tragicznym tonem, że sednem wszystkiego jest prostata! - a Doktor nie dał się namówić nawet na ulubioną tequillę, którą mu Vlk celowo dopiero teraz wręczył jako

pamiętkę z podróży. W tej sytuacji Szymon Hus mógł liczyć tylko na cud.

Vlk poczuł jeszcze nikłą nadzieję, kiedy chłopiec wyciągnął z EGZEKLASU pal, a z EGZENO wieszanie, które przerabiali najdokładniej. W przypadku pala w grę wchodziła faworytka Doktora, Romilda, toteż Vlk nauczył się niemal na pamięć longobardzkiej love story Paula Diakonusa z ósmego wieku; opowiadał ją też dzieciakom nader szczegółowo. Ale z Szymona zdawał się teraz wyparowywać nawet ów ułamek inteligencji, jaką wykazywał w styczności ze szczególnie silnymi podnietami. Pragnąc przeświadczyć komisję, że nie szkoła ponosi w tym przypadku winę, ale sam delikwent, Vlk starał się go naprowadzać na właściwą odpowiedź. Przerodziło się to wszakże w monolog, a kiedy w końcu Szymon odezwał się po raz pierwszy i zarazem ostatni, postawił definitywnie kropkę nad każdym „i”.

- A że - mozolnie naprowadzał go Vlk - do zdrady skłoniła ją namiętność, przebili jej palem co? No?

- Dupę - powiedział Szymon.

Na temat wieszania nie powiedział ani słowa.

Takiej eksplozji Vlk się nie spodziewał. Kiedy za Husem zamknęły się drzwi, byłby najchętniej czmychnął w ślad za nim. ŚRESZKUK wszakże był jego statkiem, wyśnił go sobie, wydeptał po urzędach i wymógł na losie, toteż nie mógł opuścić mostku tylko dlatego, że za burtę spadł majątek. Prosił komisję, żeby go potraktowała ulgowo przez wzgląd na jego sławnego przodka i, ciężko poszkodowanego ojca.

- Bezwzględnie - powiedział na koniec - niedobory intelektualne równoważy innymi zaletami. Jestem przekonany, że na przykład egzekucję -

ciągnął dzielnie, gdyż palił go wstyd

- masową wykonywałby lepiej niż inni i dzięki temu ma zapewnioną przyszłość w krajach trzeciego świata. Dopuścimy go do egzaminu mistrzowskiego!...

- Frycku - powiedział przewodniczący nieformalnie - to bardzo szlachetnie z twojej strony, że nikogo nie odrzucasz, ale gdybyśmy go przepuścili, oddalibyśmy ci niedźwiedzią przysługę: pierwszy lepszy twój przeciwnik z łatwością dowiedzie, że takich katów możesz mieć zawsze, ile dusza zapragnie, spośród strażników więziennych, i nie musisz wyrzucać pieniędzy na ich kształcenie. Nie, Fryderyku! Właśnie dlatego, że to Hus, nie wolno mu przynosić wstydu ani tobie, ani sobie. No to -

dodał kategorycznie, ażeby uciąć dalsze komentarze ze strony Vlka

- kontynuujemy!

Do klasy wszedł Albert. Po żołniersku trzasnął obcasami i czekał. Doktor wstał, żeby mu podsunąć kapelusz.

- Chwileczkę! - powiedział nagle przewodniczący komisji - niech odpowie na pytanie Husa, przynajmniej będziemy mieli porównanie!

- Bon! - powiedział Doktor.

Vlk wyobraził sobie, jak będzie maglował swoją Romildę i pociemniało mu w oczach. Życzył sobie, żeby Albert nie tylko zdał, ale wręcz olśnił komisję, toteż przez cały czas, gdy tamten koncentrował się na potniku, staromodnie trzymał za niego kciuki.

- Gotowy? - spytał przewodniczący niecierpliwie.

- Gotowy! - zawołał chłopiec.

Z lekka potrząsnął głową, aż mu kasztanowe włosy zafalowały jak łan zboża, zmrużył wielkie oczy i zaczął mówić tak płynnie, jakby mu ktoś z zewnątrz podpowiadał. Odmalował oblężenie Cividale del Friuli. Miasto było już bliskie zwycięstwa, ale kiedy król awarski Kakan, który wymordował cały region, objeżdżał mury obronne, ujrzała go księżniczka Romilda i rozgorzała, jak powiedział Albert, nieokiełznaną żądzą. Dała mu znać, że wyda miasto, jeśli ją pojmie za żonę. Barbarzyńca przyrzekł, a kiedy kazała otworzyć bramy, polecił wymordować dojrzałych Longobardów, a kobiety z dziećmi uprowadzić w jasyr. Jak tylko spełnił swoje przyrzeczenie czyniąc Romildę, opowiadał Albert, a tymczasem Vlk intensywnie wspominał nocny przedział, kobietą, rozkazał, aby na niej zaspokoilo się dwunastu Awarów, po czym, uznawszy ją za winowajczynię masakry, kończył Albert, kazał ją publicznie wbić na pal.

- Czy wiesz - zapytał Doktor, a Vlk z miejsca otrzeźwiał - co przy tej sposobności Kakan powiedział o palu?

- Powiedział - odparł Albert - „Oto mężczyzna godny ciebie!”

- Czy wiesz przypadkiem, jak to brzmi w oryginale? - spytał podstępnie Doktor.

- „Talem te dignum est maritum habere” - odpowiedział Albert - tak napisał Diakonus; oryginał awarski, niestety, się nie zachował.

Taką odpowiedzią uziemił Doktora i Vlk przeraził się wiedząc, że Doktor mu nie przepuści, póki go nie obleje; jego nadzieje zgasły.

- Czy było to - spytał Doktor przykrywając irytację uśmiechem jeszcze przyjaźniejszym - pierwsze wbicie na pal, które zostało udokumentowane?

- W Europie tak - odparł ze spokojem Albert. - Do wielkich praktyków pala należał już Assurbanipal w siódmym wieku przed Chrystusem, wiadomo, że wkraczał do zdobytych miast poprzez bezkresny szpaler jeńców wbitych na pale.

- Gdzie pal wprowadzano? - spytał Doktor.

- Zazwyczaj w odbytnicę - odparł Albert.

- To tylko ją nim kłuto? - spytał przewodniczący zdradzając w ten sposób, że w temacie niezbyt się orientuje.

- Jak kiedy. Z jeńcami się nikt za przeproszeniem - Albert użył dość dosadnego słowa, ale z góry przeprasząc wykazał się dobrym wychowaniem - nie certolił, nabijali takiego z wysokości na sterzący pal i pociągali za nogi w dół, ażeby się z niego nie wysunął.

- A poza tym? - spytał z zaciekawionym przewodniczący.

- Poza tym - odpowiedział Albert - przeprowadzano to tak, że skazaniec klękał, pal, nasmarowany tłuszczem, wprowadzano mu na około pół metra w głąb odbytnicy i dopiero wtedy unoszono pal w górę i resztę pozostawiano sile ciężenia.

- Więc tak - powiedział Doktor - została załatwiona również Romilda!

Uwaga! Chciał wykrzyknąć Vlk, lecz nie było to potrzebne.

- Nie - powiedział Albert, sarnimi oczyma spoglądając prosto w twarz Doktorowi - Kakan kazał Romildę z palem sparzyć.

- A to niby jak? - spytał Doktor z nieukrywanym już rozdrażnieniem.

- *Per vaginam* - odparł krótko Albert.

Lęki Vlka się ulotniły; patrząc na rozdrażnionego Doktora zaczął odczuwać szczególną rozkosz.

- Kiedy nastał - nie poddawał się Doktor - złoty wiek pała na naszym obszarze historycznym?

- W wieku szesnastym - odparł grzecznie Albert. - Turcy go stosowali na tak wielką skalę, że wszedł również do jurysdykcji europejskiej, ażeby ludność się z nim oswoiła. Przyjął się przede wszystkim w Wiedniu.

- A kiedy - pytał Doktor niezmordowanie - Europejczycy zetknęli się z nim po raz ostatni?

- W roku 1800 - powiedział Albert bez wahania - kiedy przed francuskim wojskiem w Egipcie został wbity na pal młody Soleyman-el-Halebi, zabójca Klebera, najlepszego generała Napoleona. Cztery godziny odmawiał sury, mimo że pal dawno już przewiercił go na wylot wychodząc za karkiem. Dopiero po odejściu kata egipskiego wartownik francuski dał się klientowi napić, co spowodowało, jak każde pojenie podczas tego rodzaju egzekucji, szybko zgon.

- A więc - powiedział Doktor jakby do samego siebie - on był tego świadom.

- Nie wiem - stwierdził Albert tak głośno, aż Vlk się wzdrygnął.

- A więc nie wiesz?? - tonem triumfalnym powtórzył Doktor.

- Nie - odparł Albert uprzejmie - na razie nie wyjaśnił tej sprawy nawet największy

znawca pala, Siegmund Stiassny.

Vlkowi spadł kolejny kamień z serca, choć był zaszokowany tym, że chłopiec wciąż jeszcze igra z ogniem.

- A da się - pytał Doktor zawzięcie - regulować przebieg egzekucji?

- Da się - odparł Albert. - Jeśli koniec pala jest dobrze stępiony, nie pokaleczy organów, minie zwłaszcza żołądek, wątrobę i śledzionę, co zwiększa poważnie szansę klienta, że doczeka się amnestii. Zresztą -

uprzedził pytanie Doktora

- niekiedy wciskano w tyłek nie zaostrzony pal jako swego rodzaju ostrzeżenie, w szczególnych przypadkach stosowano w tym celu gruby burak.

- A wiesz - spytał Doktor - jak się to nazy...

- *Raphanidosis* - odparł Albert błyskawicznie, zdradziwszy się w ten sposób, co Vlk przypuszczał, że studiuje również poza szkołą.

- Ależ to - powiedział przewodniczący z wyraźnym napięciem w głosie - nie musiało być nieprzyjemne...

Vlk pomyślał, że szuka sposobu, jak zastąpić utraconego przyjaciela, i było mu go szczerze żal. Zarazem jednak cierpł, ażeby go niczego nieprzeczuwający Albert jakimś niezręcznym sformułowaniem nie przeobraził w swojego nieprzejednanego wroga.

- Nie - odparł Albert - przecież autorem najtrafniejszej wypowiedzi o tego rodzaju egzekucji jest brat Ludwika XIV, zawołany znawca wszystkich rodzajów miłości: „Wbicie na pal to kara, która się najgorzej kończy, ale najpiękniej zaczyna!”

Elegancja odpowiedzi rozbroiła również Doktora. Milcząco się zgodził, żeby przejść do drugiego pytania. Wcześniej się już domówili, że na egzaminie dojrzałości pominie się zarówno rup-chrup - to sobie zastrzegł skromny Vlk - jak też podwójny węzeł, czego zażądał przezornie Doktor, ażeby Nestorowi niepotrzebnie nie przypominać Šimsy; oba sposoby, kluczowe z punktu widzenia szkoły, miały być oczywiście demonstrowane podczas egzaminów mistrzowskich. Pytanie z EGZENO dotyczyło technik klasycznych, wciąż jeszcze stosowanych z winy niedostatecznej komunikacji - Vlk już przeczuwał, jaką bombą na przygotowywanej konferencji światowej będzie jego referat! - wszędzie za granicą, czyli, jak żartobliwie mawiał Šimsa, w „światowych resztkach”. Albert zaczął na sposób szkocki, według recepty nestora katów brytyjskich, Johna Ellisa:

- Podstawą - mówił z przekonaniem - jest solidny konopny sznur o grubości dwu i pół cala oraz stryczek spleciony pięciokrotnie, mocno ściągnięty, ażeby linia strangulacyjna biegła wokół szyi ku karkowi. Podczas upadku z wysokości od trzydziestu do stu

centymetrów miękkie części za dolną szczęką z językiem włącznie przywierają do podniebienia i kneblują przełyk. Na skutek tego uniemożliwiają oddychanie ustami i nosem, co powoduje *eo ipso* zgon. Sam Ellis jest -

ciągnął w taki sposób, że wypowiedź egzaminacyjna przeistaczała się w wykład

- autorem wstępnej weryfikacji za pomocą piasku, praktycznie wykluczającej ryzyko, że sznur nie wytrzyma upadku ciała; niedogodnością jest tu ważenie, które klientów denerwuje. Zwolennikiem stylu angielskiego jest Albert Pierrepoint, syn wyżej wspomnianego Szkota: węzeł umieszczał tak, żeby podczas upadku zaciskał głowę tuż przy prawej szczęce; ostre szarpnięcie powoduje totalną deformację dysków szyjnych, toteż metodę tę wypada nazwać bardziej humanitarną od szkockiej -

tutaj syn krytykując ojca

- w której sznur często ślizga się po szyi wywołując długie i męczące -

dodał z brawurą, która przeistoczyła wykład w pokaz

- duszenie.

Trzem członkom komisji zgodnie zaświtało, że ten Albert nie pozostanie w cieniu imiennika.

- Świetnie - powiedział przewodniczący, po raz pierwszy wyjawiając swoją ocenę - wezwij następnego!

Doktor na pożegnanie nawet mu zaklaskał.

Gdy Vlk usłyszał oklaski, po latach sygnalizujące mu nowego konkurenta, przeszło go mrowie. Był zadowolony, że Albert tyle zawdzięcza właśnie jemu, ale niezależnie od tego postanowił nie spuszczać go z oka. Całe szczęście, przemknęło mu mimo woli przez myśl, że ma na plecach ten ohydny... i naraz, zanim zdążył się zawstydzić, myśl się ulotniła. Na progu stała Lizinka.

- Skandalem nic się nie załatwi - powiedział zdecydowanie patrząc na jej rozczochrane włosy i zaczerwienione oczy. Bronił się przed współczuciem, żeby mieć siłę doprowadzić to do końca, toteż powtarzał sobie, że ma diabelnie dobry argument. Kiedy próbował się do niej dodzwonić jeszcze spod

Lizinki i wciąż się nie zgłaszała, ogarnęły go wyrzuty sumienia: zamiast jej spieszyć na pomoc - umysł mu zatruwało wyobrażenie barbituranów w jej szafce nocnej - leżał tutaj, w

zasadzie dosyć przyjemnie, z dziewczyną, która dała mu wiele, ale w porównaniu z Małgorzatą niemalże nic. Nie mógł jednakowoż ani rozkazywać naturze, ani - kiedy imadło miłości wreszcie się rozwarło - uskrzydlić taksówkarza, który wiozł ich z granicy, ponieważ pociąg oczywiście na nich nie poczekał. Mógł go jedynie sowitym napiwkem zobowiązać, ażeby zatroszczył się o śpiącą i kazać się odwieźć najpierw do swojego domu. Otworzył drzwi, właśnie minęła szósta, i przeraził się.

Ich mieszkanie, zawsze sterylne czyste jak przychodnia lekarska, nosiło wszelkie znamiona dzikiego włamania albo rewizji policyjnej. Już w przedpokoju musiał brnąć przez hałdy rzeczy, które przesypywały się przez progi kuchni, salonu i gabinetu. Kiedy zapalił światło - w mieszkaniu dotychczas panował półmrok - stwierdził, że depcze po własnych butach wyciągniętych z szafki, po własnych ubraniach zerwanych z wieszaków, po koszulach i kalesonkach wyrzuconych z bielizniarki i niesamowicie zmiętych, oraz po literaturze pięknej, a także fachowej, powyrzucanej z półek bibliotecznych. Jak we śnie doszedł do drzwi sypialni, a kiedy je otworzył, zrozumiał, dlaczego nawet najinteligentniejsi ludzie stają się zabójcami, choć umieją sobie zdać sprawę, że skończą z ręki egzekutora.

Na szerokim francuskim tapczanie, gdzie przez lata ogniście kochał się z Małgorzatą, a w ostatnim okresie czule ją obejmował, na tapczanie, którego nigdy nie splamiła kochanka, leżała jego własna żona, zupełnie naga i spleciona z chudym długowłosym młodzieńcem, który mógłby być jej synem, a przy dobrej woli nawet wnukiem. Kiedy ujrzała męża, nie przejawiała najmniejszych oznak lęku.

- Dzień dobry - zwróciła się do niego szyderczo. - Zrobisz nam kawy?

Dalszy przebieg wypadków wspominał jak przez mgłę. Niewątpliwie jednak po raz pierwszy w życiu uderzył swoją żonę, a jej gacha ciągnął za włosy aż do drzwi salonu; gdy jego wycie stało się już nieznośne, zakneblował mu usta parą swych skarpetek, które poniewierały się na wyciągnięcie ręki, po czym dziko się rozejrzał.

- W podręcznej szafce - powiedziała Małgorzata, która przyjęła uderzenie ze spokojem i obserwowała go z pościeli jak z trybuny stadionu - jest tyle sznura do bielizny, że możesz powiesić cały dom. I siebie także, żebyś się potem nie dostał w ręce fuszera. Wieszacz - zaśmiała się nienawistnie - powieszony!

- Mnie wystarczy on! - wytchnął z siebie. - I głowę dam sobie uciąć, że wyłubudam się z tego z wyrokiem w zawieszeniu!

- Wątpię - nie przestawała się śmiać, aż na jej zębach ujrzał krew - wybrałam właściwego chłopczyka.

- Za chwilę będzie z niego dziewczuszka! - wykrzyknął Vlk, wolną ręką rozbijając

butelkę z winem, które pewnie pili podczas parzenia się; do kastracji wystarczy postrzępiona szyjka.

- Jest to jedyny - nadmieniła słodko Małgorzata - syn ministra spraw wewnętrznych, przyszedł się zgłosić do twojej szkoły.

Jeśli był gotów złożyć na ołtarzu honoru swoją karierę i wolność, to jednak szkoła, jak sobie to znowu uzmysłowił, wyrastała ponad niego, była jego i zarazem nie należała do niego, jak żadne wielkie dzieło nie należy do autora. Zdrada Małgorzaty była tym boleśniejsza, że go podstępnie kopnęła w czułe miejsce. Odrzucił niepotrzebną już szyjkę, splunął przynajmniej w oczy gogusiowi i poszedł wziąć prysznic. Kiedy wrócił, młodziutkiego cudzołózczy już nie zastał, ale Małgorzata nie zmieniła swojej bezwstydney pozycji.

- Sądziłam, że się - powiedziała - wyprowadzisz. Co nieco rzeczy ci przygotowałam.

- Mogłabyś się przedtem - powiedział - zapytać, oszczędziłabyś sobie niepotrzebnej fatygi.

- Ale, ale! - powiedziała z udawanym współczuciem. - Więc ta kurewka ci nie dała?

- Tę kurewkę - odrzekł, zdecydowany odpłacić jej okrutną szczerością - pojmem za żonę. Wyprowadzisz się ty.

I chociaż była przygotowana na pierwszą z tych nowin i z góry się za nią zemściła, wciąż jednak jeszcze rozbłyskiwała w niej nadzieja, że go źle ocenia, że cały ten małżeński kryzys jest wytworem jej wyolbrzymiającej wszystko wyobraźni. Teraz przygasła, zdruzgotana drugą nowiną, jej duszę zaczęła pustoszyć rozpacz. Złapała pustą butelkę, która poniewierała się na tapczanie, i z całej siły cisnęła w niego. Butelka przeleciała mimo i rozbiła wspaniałą porcelanową rzeźbę szczęki, którą dostała od Vlka na pięćdziesiąte urodziny; bezwartościowa butelka ocalała.

- Skandalem nic się nie załatwi! - powiedział Vlk zdecydowanie pragnąc wykorzystać ostatnią sposobność, żeby swojemu i jej życiu znowu nadać sens. - Kocham tę dziewczynę i nie mogę żyć bez niej. Z drugiej strony i wobec ciebie czuję się odpowiedzialny, toteż mam propozycję. Nie komplikuj rozwodu, a ja załatwię ci małe mieszkanie, gdzie będziesz mogła do samej śmierci -

nie darował sobie tej gorzkiej uszczypliwości

- kochać się ze swoimi chłopczykami.

Już od pewnej chwili odnosił wrażenie, że przenika wzrokiem jego ciało, a także ściany pokoju; z jej oczu zmęczonych niewyspaniem i szklami kontaktowymi, których nie zdążyła wyjąć, trysnęły teraz łzy, a wargi wyszeptwały:

- Karolu...!

W pierwszej chwili sądził, że wzywa nieopierzonego amanta, i zagotowała się w nim żółć, ale zaraz zrozumiał, że to imię jej pierwszego narzeczonego, które już po raz drugi od dnia, gdy się jej naiwnie pochwalił swoją profesją, przywołuje w jego obecności. Bardziej niż wówczas, kiedy im młodość i miłość obiecywały stokrotnie wynagrodzić wszystkie straty, wręcz fizycznie poczuł swoją śmiertelność.

Wystarczy już tylko głupie nic, a ten oto człowiek, jedyny i najdroższy, jakiego do dzisiejszej nocy miał, odejdzie z jego życia i już się nie spotkają, nigdy, *niemals, jamais, nikogda, never more*, i będzie mu brak - choćby nie wiem jak był szczęśliwy z Lizinką - kojącej delikatności tej skóry i wzruszającej szorstkości tego głosu, zawsze, *immer, toujours, always, wsiegda...*

Pochylił się ku niej i zaczął powoli, poważnie, niemal naukowo, suchymi wargami osuszać jedną łzę po drugiej, znajdując w słonym smaku męczącą rozkosz, w jakiej by się spalał od swoich grzechów, po czym z policzka wargi osunęły się na długą szyję, którą u niej jako znawca zawsze najbardziej cenił, i przez piersi niezbyt wprawdzie wydatne, ale za to po całym ćwierćwieczu takie same i właśnie z powrotem nowoczesne, doszły aż do podnóża wzgóрка łonowego. Wzdrygnął się na myśl o synu ministra, ale powodem była nie wściekłość czy urażona duma, raczej poczucie winy, no bo kto jest większym winowajcą kradzieży dojrzałych owoców, pytał sam siebie, niż ogrodnik?

Przez cały czas pieścizot ani drgnęła i może właśnie brak wzajemności z jej strony w połączeniu z bolesnym wyobrażeniem, jak namiętnie się oddawała i chrapliwie wtórowała protegowanemu byczkowi, który nawet nie potrafił tego docenić, sprawiły, że zanim przyszedł mu na myśl psychiczne zahamowania, z powodu których przestał z nią przed laty spać, po prostu w nią wszedł, a kiedy ostro krzyknęła jak wówczas w fotelu dentystycznym, opadły zeń wszystkie balasty świata i kochał się z nią tym razem nie zastępczo, śniąc na jawie ciało Lizinki, ale zupełnie świadomie z nią samą, toteż go wcale nie zaskoczyło, choć na pewno inspirowało, że u samego szczytu zmartwychwstania ich miłości, kiedy już na niego wskoczyła i zaczęła go dosiadać, a on tymczasem chcąc wyzwolić się ze śmiertelnych okowów wylewał się w nią ku górze z krzykiem z czasów, w których ją jeszcze nazywał swoim rzymskim chłopcem -

Marku!... Marku!...

- i już wilgotni od potu obłapiali się wzajem, póki się ich oddechy nie uspokoiły, że wypowiedziała zdanie, na które czekał od niepamiętnych czasów:

- Frycku, zdaje mi się, że po tamtym razie będziesz miał

syna.

Tak jak był gotów w każdej chwili podjąć się interwencji czy pośrednictwa, bez których ŚRESZKUK nie mógłby powstać ani przetrwać, tak stale wymawiał się Doktor od zaproszeń do osobistego zapoznania się ze szkołą. Sprawowana funkcja, której doniosłość potwierdzały koneksje, widać absorbowiała go na tyle, że z trudem znajdował czas nawet na egzekucje, a pewnego razu dyskretnie poprosił, ażeby wstępną fazę egzekucji co nieco przeciągnąć, bo on może się spóźnić; o mały włos przyszedłby na gaszenie świec, Šimsa bowiem, świeżo wówczas mianowany wicemistrzem, przez wzgląd na swoją renomę nie mógł dłużej udawać, że mu się zaplątał węzeł. Toteż Lizinka długo była dla Doktora pojęciem, które pozostawało w kręgu abstrakcji: zapytywał przede wszystkim o przeciętną jej stopni, ażeby z nimi zaznajomić Nestora. Bliżej go zainteresowała dopiero po przygodzie na granicy.

- Gratuluję - powiedział Vlkowi na trzeci dzień po wycieczce - zawsze byłem waszym fanem, teraz wam w dodatku zazdroścuję.

Umówił się z Vlkim jak zwykle na krótkie spotkanie około południa w małej winiarence z przytulnymi boksami, zasłoniętymi kotarą. Intymne oświetlenie sprawiało, że doskonale nadawały się do tajnych schadzek kochanków, ale przychodzili tu głównie mężczyźni, którzy ubraniem, sposobem bycia, a nawet i rysami byli podobni do siebie jak małżonkowie po wieloletnim pożyciu. Kilka bowiem kroków stąd zaczynała się ulica, gdzie były skoncentrowane centralne urzędy publicznej i tajnej policji. Chociaż goście aż do przesady wzajemnie się tutaj nie zauważali, nie uszło uwagi Vlka, że na widok Doktora mimo woli się prostowali.

- Czego mi gratulujecie - zdziwił się Vlk - tej haniebnej sceny?

- Tej - uściślił Doktor - straszliwej witalności, która wam pozwoliła w niej wystąpić, jako wasz rówieśnik potrafię to docenić. Ale nie grozi jakaś zdrada ze strony tej -

spytał Doktor, szczerze zaniepokojony

- żabki?

- Jaka?... - nie zrozumiał Vlk.

- Jeśli na przykład zaszła? Albo zaszła - powiedział Doktor, przestraszony własnym pomysłem - z kim innym już wcześniej, a teraz to zwali na was? Świadców ma co niemiara!

- A po co - spytał Vlk zaszokowany - miałyby to robić??

- A dlaczego - spytał Doktor - nie?? Czyż nie jesteście idealną partią? Wygrałaby jak

aktorka, która wyjdzie za dyrektora teatru. A wiecie, gdzie poszło na marne najwięcej talentów? Nie na wojnach, nawet nie na szafotach, ale w łóżku! Ilu potencjalnych poetów, ilu uczonych, ilu, a tak, egzekutorów zmarnowało swój dar między pięknymi udami, ażeby pewnego dnia z przerażeniem stwierdzić, że to potrzask nad potrzaskami, tym straszniejszy, im przyjemniej wyłożony aksamitem. Jej paszcza naprawdę was chapsnęła, i jeśli po godzinie puściła z powrotem, to uznajcie to za zrządzenie losu i czym prędzej się od niej odsuńcie na zawsze. Albowiem wkrótce przekonacie się, że aksamit sparciał, ale pozostała klatka i wy nadal za krótkie szczęście płacicie wszystkimi skarbami doczesnymi i wieczystymi, dopóki i tej paszczy nie przeżre rdza, ale to się staje już wtedy, kiedy za późno na odwrót, zyskujecie wolność jako ktoś ubogi już duchem i kabzą. Czy was na to, Fryderyku -

pierwszy raz od tylu lat Doktor zwrócił się do niego po imieniu

- nie szkoda?

- Ależ ja - odparł Vlk - już od ćwierćwiecza jestem szczęśliwie żonaty!

- Szczęśliwie? - zdumiał się Doktor. - No to czemu, na litość boską, kusicie los z jakąś niedowarzoną szesnastolatką??

- Widzieliście ją - zaatakował z kolei Vlk - Doktorze??

Teraz ją zatem ujrzał. I jeśli na przewodniczącym ze zrozumiałych względów nie wywarła wrażenia, to Doktor musiał z miejsca się pohamować, żeby jej nie pocałować w rękę, toteż tylko podał jej kapelusz. Po czym, udając zmieszanie, wyciągnął spod zakładki białą i różową karteczkę, które umieścił tam dla niej jeszcze w domu. Był to rezultat zbliżenia z Vlkem. Kiedy wysłuchał w winiarni jego męskiej spowiedzi, musiał podziwiać wspaniały manewr z trójkątem, który wymyślił Vlk. A że dokładnie wyczuł jego najistotniejszą obawę, postanowił wyjść mu naprzeciw: zważywszy wszystkie za i przeciw, oświadczył Vlkowi, że sam da Lizince pytania. Z pewnością znajdzie, mówił z przekonaniem, dwa takie pytania, które wymagają wiedzy, ale nie elokwencji. W ten sposób dotrzymywali fair play wobec innych i z czystym sumieniem pozostawał Vlk-pedagog i Vlk-kochanek. Co go nie uwolniło od napięcia: jeśli przedtem szło głównie o szkołę, teraz szło również o życie; toteż chwycił obydwu kciuki.

Z EGZAKLASU dostała Lizinka łamanie kołem i Vlkowi na kilka sekund odpłynęła krew z mózgu! Oszalał? - myślał gorączkowo - albo nas zdradził??... O kole pisano dysertacje, pał był wobec niego zjawiskiem peryferyjnym! Cokolwiek mu ulżyło, kiedy Doktor, choć poprzednio milczał, póki egzaminowani nie wypowiedzieli tego, co umieją, wskazał na szkielec w rogu klasy i polecił:

- Narysuj nam go na tablicy.

Lizinka nie była żadną artystką, ale na szczęście nie zdawała egzaminu z rysunków. W kilka minut nakreśliła kukłę, przypominającą kościotrupa.

- Brawo - powiedział Doktor.

Wdzięczny Vlk zarejestrował, że w ten sposób umacnia w dziewczynie ledwo wykluwającą się pewność siebie i oddziałuje psychologicznie na przewodniczącego.

- No a teraz - ciągnął Doktor - proszę nam, koleżanko, oznaczyć numerami od jeden do dziewięciu, w jakiej kolejności byś łamała.

Vlk modlił się, żeby przypomniawszy sobie błąd Ryszarda Mašina, który chłopak potem naprawił w iście dziecinny sposób. Kiedy, zawahawszy się raz i drugi, ręka z kredą - przed chwilą jeszcze błędząca nad rysunkiem jak nad szachownicą - wypisała po dziecięcemu jedynkę i dwójkę w postaci bata i łabędzia na obu gołeniach, zaczął znowu oddychać, ale kiedy skończyła na szyi, ponownie ogarnęły go wątpliwości: a co będzie dalej?

- Brawo - powtórzył Doktor, kiedy odłożyła kredę i utkwiała w nim ufne oczy - bon!

Po czym ją omawiać tę rysunkową odpowiedź tak obszernie, że po części robiło to wrażenie, jakby wpadła na rozwiązanie jakiegoś bardzo podstępного pytania, a poza tym poruszył tyle szczegółów - od liczby szprych w okutym kole, którą najstarsze fryzyskie księgi sądowe ustanawiały na dziewięć, ale z biegiem czasu twardniejące kości rodzaju ludzkiego kazały ją stopniowo zwiększać aż do dwunastu, poprzez odmienną *menière française*, przy której dodatkowo łamano żelaznym prętem, aż po wersję obostrzoną, kiedy to przed ostatnim ciosem wpychano do ust wykańczanemu wycięte wcześniej serce i genitalia, jak na przykład w roku 1692 rycerzowi Grandvalowi za nieudany (jego wina, Doktor kiwnął głową, jakby zgadzał się na uzupełnienie ze strony Lizinki, za udany dostałby odznaczenie!) zamach na Wilhelma III - że tym praktycznie wyczerpał zawartość skryptu.

Były nauczyciel Vlk zdał sobie sprawę, że jest świadkiem podobnego tricku, za którego pomocą pedagog podczas egzaminu pomaga faworytowi i nawet komisja egzaminacyjna nie połapie się w tym bardziej niż widz na pokazie iluzjonistycznym. Doktor nagle skończył i zakrywając ręką notes wpisał stopień. Kiedy napotkał pytające spojrzenie przewodniczącego, z zimną krwią mu je odwzajemnił.

- Żadnych - zdziwił się były prokurator - pytań?...

- Chyba było - podobnie zdziwił się Doktor - powiedziane wszystko, czy nie?...

Na to nieznający bliżej tematu przewodniczący nie mógł zareagować inaczej jak zdecydowanym skinieniem w stronę kandydatki:

- No to EGZENO!

Lizinka wyciągnęła temat „Egzekucyjna mapa świata”. Vlk miał nadzieję, że pani

Tacheci właściwie odczytała w środę jego delikatną aluzję.

- Skoro już - powiedział niezwykle ostro Doktor - przywykłaś do posługiwania się kredą, wypisz nam, żeby uniknąć chaosu, wyjątki, i to w następującej kolejności: a) państwa, gdzie kara śmierci, i niech cię Pan Bóg broni używać przed nami zamiast tego określenia -

pogroził jej palcem

- „ciach-mach“!, za to złe przyzwyczajenie będziemy obniżać noty!, a więc: a) państwa, gdzie kara śmierci została czasowo zniesiona przez prawo i b) państwa, gdzie w prawodawstwie wciąż istnieje, ale nie jest wykonywana. Jeśli chodzi o państwa egzekutorskie, podaj nam tylko ścisłą ich liczbę, nie mam zamiaru siedzieć tutaj aż do wieczora. No to już!

W odróżnieniu od przewodniczącego komisji, który był zbudowany kategorycznym tonem Doktora, Vlk zdawał sobie sprawę, że Doktor maksymalnie uprościł Lizince zadanie. Mimo to patrzył z trwogą na osamotnioną osóbkę, która już wypisała na tablicy wskazane rubryki, a teraz intensywnie myślała w typowo uczniowskiej postawie: z lewą dłonią na czole. Lizinka obserwowała wewnętrzną stronę ręki. Na poszczególnych palcach miała ołówkiem chemicznym wypisane państwa kategorii a) i b), których na szczęście było mało. Na środku dłoni miała gęsto wypisane pozostałe państwa. Niebawem zaczęła zręcznie odpisywać i Vlk poczuł, że mu spada kamień z serca... kiedy nagle zatrzymał się w tym spadaniu i zaczął unosić się z powrotem w górę. Głupcze! - wołał Vlk w duchu do Doktora, naruszając pierwszy raz w życiu subordynację. Kiedy bowiem dostrzegł jej kardynalny błąd, zrozumiał, że to nie ona jest winna: odpisywała ze statystyki ONZ, podanej w skryptach, podczas gdy Doktor (rozmyślnie??) odwrócił kolejność! Toteż w rubryce a) wpisała błędnie Belgię, Luksemburg i Nikaragwę, należące do rubryki b), i odwrotnie, państwa należące do grupy a) - Austria, Ekwador, Finlandia, Islandia, Kolumbia, Republika Federalna Niemiec, Szwajcaria, Szwecja, Urugwaj i Wenezuela - mylnie wpisała pod b). Po czym odwróciła się i spojrzała mu w oczy, jak to czyniła podczas jego lekcji.

Siedząc obok dwóch członków komisji nie mógł jej dać najmniejszego znaku; tym bardziej gorączkowo zastanawiał się, co pocnie, kiedy ją tych dwóch obleje. Jedyne, co mu w tej chwili przychodziło do głowy, zdumiało go swoją niezwykłością: postawić sprawę na ostrzu noża jako kwestię zaufania do swojej osoby i do szkoły w ogóle!...

- Brawo! - powiedział Doktor ku jego przerażeniu i z miejsca kontynuował: - Jest to zatem bilans na pierwszy rzut oka niezbyt wesoły, przy bliższym jednakowoż przyjrzeniu się sprawie stwierdzamy, co do tego się z koleżanką zgadzam, że w każdym z podanych tu państw nawet dziś egzekutorzy mają się dobrze, a przede wszystkim, że w głównej grupie,

kategorii c) są poza wszystkim najludniejsze państwa świata. No to na zakończenie proszę podać nam liczbę państw, gdzie porządny człowiek czuje się jeszcze bezpieczny, wpisać w kółko, żebyśmy mogli -

dodał Doktor spoglądając na przewodniczącego, jak gdyby mówił również w jego imieniu

- udać się na obiad!

Boże, mówił sobie w duchu Vlk, czyżby to przeoczyli? Przewodniczący miał statystykę pod samym nosem, ale co tam: dla niego widać to była abrakadabra. Ale Doktor?? Ten, gdyby go zbudzić w nocy, wyrecytowałby wszystko z pamięci! Pozostawało wytłumaczenie, które światało Vlkowi już przy EGZEKLASIE: Doktor pomaga Lizince świadomie! Naruszał więc swoje żelazne zasady, a to świadczyłoby o dwóch rzeczach: że może sobie na to pozwolić nawet wobec Nestora i że pozwolić sobie chce... ze względu na co? - zastanawiał się Vlk podejrzliwie. Musiał sobie otwarcie powiedzieć, że ze względu na nią, i zaskoczyło go, że nie jest zdolny w związku z tym określić swojego uczucia. Jeżeli dziecięce szaleństwo jej kolegi wywołało w nim wrogość, a męskie roznamiętnienie najbliższego współpracownika aż lodowatą nienawiść, to ta jawna życzliwość, z której łatwo mogła się wykluczyć miłość starca, dziwnie mu pochlebiała. Dlaczego? Nie wiedział, aż nagle jakby ktoś zapalił światło w jaskini. Prawdziwa miłość pragnie być widziana i budzić zazdrość, przypomniał sobie spostrzeżenie sprzed lat, do którego go bezwiednie skłonili były prokurator i jego nieżyjący przyjaciel; oto dlaczego na stacji granicznej czuł się raczej wyróżniony niż poniżony, tak, i dlatego nie czuje teraz zazdrości, kiedy ktoś inny okazuje Lizince swoją niemal bezwstydną sympatię. Było to koniec końców uznanie dla jego wyboru, a zatem właściwie i dla niego samego! O ile bardziej - przemknęło mu przez myśl - będzie mi przyjazny świat, a jak widać i przełożeni, jeśli u mojego boku, również w trakcie pracy, będzie stało to fenomenalne stworzenie zamiast żony, która nigdy nie przewyciężyła w sobie wstrętu do jego profesji...

- Nooo nie! - wyrwał go z zamyślenia surowy głos przewodniczącego komisji. - Co to to nie!

Ocknął się na progu katastrofy. Pani Łucja odgadła niemal wszystko ze środkowej aluzji Vlka, ale nie przyszło jej na myśl, niestety, żeby państwa z karą śmierci policzyć. Obecnie Lizinka - znowu stojąc z dłonią nad czołem - usiłowała dokonać rzeczy niemożliwej; skróty tańczyły jej przed oczyma i w końcu nie była pewna, czy nie dodała dziesiątki. Na wszelki wypadek ją odjęła i liczbę zaokrągliła do 98.

- Ciach-mach - powiedział przewodniczący jadowicie, chociaż pewnie przedtem nie

znał właściwej liczby, którą miał przed sobą - jest na porządku dziennym w stu osiemnastu państwach. Możesz odejść.

Lizinka się ukloniła i z kredą w ręku opuściła klasę. Kiedy pochyliła głowę, spadła kurtyna włosów i Vlka zmroziła myśl, że stanęły jej w oczach - takiej dotychczas nigdy jej nie widział! - łyzy. Nietrudno było znaleźć pretekst, ażeby za nią pobiec, ale w tej chwili był dla niej użyteczniejszy tutaj. Niestety przewodniczący, przejawiający przed chwilą aktywność prawie zerową, jak gdyby starał się to nadrobić kosztem Lizinki. Mimo upływu lat Vlkowi nigdy nie przeszła ochota odegrania się na tym obrzydliwcu, który notabene nie przyswoił sobie od pederastycznych braci nawet ich sławetnej kindersztuby, a w dodatku w obecności uczennicy mówi „ciach-mach”, oczywiście odegrania się poprzez oficjalne wykonatorstwo; musiał jednak raz na zawsze zakonotować sobie, że człowiek, który wrócił do branży mimo kilkudziesięciu sądowych - jak się powszechnie twierdziło - morderstw, jest niezniszczalny jak kamienny odcisk trylobitu. A kiedy ten mizogin zaproponował dwójkę, zamiast wystąpić z protestem podszedł do tablicy, żeby ją zetrzeć, ponieważ umiał sobie wyobrazić werdykt, gdyby przewodniczący odkrył również pierwszą omyłkę.

- Na razie - odezwał się w tym momencie Doktor przeglądając swój notes jak gdyby nie usłyszał propozycji przewodniczącego - daliśmy jedną piątkę, dwie czwórki, jedną dwójkę i pałę. Jeśli dodamy trójkę, będziemy mieć po prostu wzorowy rezultat. Ja wiem, wy -

Doktor zwrócił się do Vlka

- z zasady opowiadacie się za surowszymi ocenami, i właśnie dzięki temu na naszych oczach wykonatorstwo wysforowało się w przyszłe stulecie, ale może kolega Vlk byłby skłonny przy naszym -

Doktor zwrócił się do przewodniczącego

- wstawiennictwie raz jeden przymknąć oczy i dać tej trójce placet!

- No dobrze... - wymamrotał Vlk.

Najchętniej byłby to zaśpiewał. Teraz, kiedy nerwowa cudownie się rozplynęła, był Doktorowi za Lizinkę wdzięczny. Przez sam fakt, że był gotów dla niej zaryzykować swoją pozycję i dzieło, Vlk wystawił swoje uczucie na pierwszą, rzeczywiście ogniową próbę. Ta szlachetność zaskoczyła również jego i tym bardziej się cieszył na wieczorną puentę swojego niezwykłego planu.

I prokurator byłby z całą powagą wpisał Lizince trójkę, nie spostrzegłszy nawet, on, wyrokujący manipulator Vlka, jak sam jest genialnie manipulowany.

- Tego już nadto - zezłościł się Vlk - pójdę na samą górę i narobię szumu, o jakim wam się nie śniło!

- Jezus Maria, panie Doktorze - przymawiał się solidarnie

56

portier - on jeszcze przyjdzie. Vonásek jest jak zegarek, tylko że furt mu te zęby!...

- To - powiedział Vlk gniewnie - jego problem! Ja mam dzisiaj termin i potrzebuję...

Odpowiedź zakłócił dzwonek telefonu; aparat niewiele młodszy od gmachu wydawał dźwięk budzika.

- Halo - powiedział portier - kto mówi?

Zaraz też w stronę Vlka prosząco zaokrąglił w ciup usteczka, ażeby ten łaskawie poczekał. Jego twarz nagle się rozjaśniła.

- Vonásek - powiedział z ulgą - gdzie jesteś, właśnie tutaj pan doktor...

- Panie Vonásek - powiedział Vlk władczym tonem, po prostu zabierając słuchawkę portierowi - jestem tu dzisiaj już po raz drugi w sprawie duplikatu aktu ślubu. Mam iść do przewodniczącego sądu? Jesteśmy dobrymi znajomymi!

- Ja - powiedział tamten z drugiej strony przewodu - mam właśnie zęby...

- Ja - przerwał mu Vlk - w dentystyce się orientuję i jeśli nie będzie tu pana punktualnie o wpół do szóstej, zarządzę panu kontrolę państwową wszystkich wizyt u dentysty do dziesięciu lat wstecz, jasne?

- Ale to już jest po godzinach pracy... - oponował tamten nieśmiało.

- Głowę daję - powiedział Vlk kategorycznie - że jeśli pana tu nie zastanę, skończą się dla pana godziny pracy aż do samej śmierci. Umowa stoi?

- Tak - powiedział tamten złamanym głosem - proszę pana...

Vlk był już w drodze do samochodu. Gdzie ja ten głos słyszałem? - jął grzebać w pamięci, ale zaraz przestał. Najgorsze wciąż miał przed sobą. Oczywiście cieszyło go, że po maturalnej sesji egzaminacyjnej nie zastał Lizinki we łzach, ale grającą w ulubionego salonowca, a jako że był to salonowiec w tym składzie ostatni, z tym większym zapałem oddali się mu smentowni i z tego też powodu wzięła w nim udział również ona. „Bitym” był już tradycyjnie Szymon, ale kiedy poproszono ich do klasy i przeczytano wyniki, okazało się, że ma nie tylko grubą skórę, ale także wrażliwą duszę: straconą szansę oplakiwał tak głośno i zapamiętale, że musiano przerwać ceremoniał i kolektywnie go pocieszać. Dopiero kiedy Lizinka odchodziła w grupce kolegów na ostatni obiad do KASTRY, Vlk znalazł sposobność, by ponownie przetelegrafować jej niezmiennie pytanie, które mu przede wszystkim leżało na

sercu; pokręciła głową, on zaś kolejnym spojrzeniem dał jej radośnie do zrozumienia, że gratuluje jej i w dalszym ciągu trzyma za nią kciuki.

- Jadę do centrum i z powrotem - powiedział minutę później do pozostałych członków komisji - czy któryś z panów zabierze się ze mną?

- Serdeczne dzięki - powiedział Doktor - odpocznijcie trochę od nas. Pójdziemy gdzieś tu w pobliżu na krwawy befsztyk i kwaterkę czerwonego wina, ażeby się duchowo przygotować na egzaminy mistrzowskie.

- To ja wam dziękuję! - cicho powiedział Vlk, kiedy podawali sobie ręce, gdy tymczasem były prokurator szedł je sobie umyć.

- Nie ma za co - szepnął Doktor, mrugnawszy do Vlka konfidencjonalnie, po czym zapytał z zatroskaniem: - Ten numer z kufrem wypali??

- Z naszej - powiedział Vlk z przekonaniem - strony oczywiście, Karlik jest bez pudła, przejmie go w porę!

Kładł to teraz ponownie swojemu pomocnikowi na sercu, kiedy podjeżdżali już do okien przekreślonych kratami i okazawszy specjalne legitymacje sunęli przez opancerzoną bramę, która się rozwarła i zamknęła jak harmonijka.

- Rozkaz, szefie...! - powiedział Karlik, ale w psich oczach malowała się prośba.

- Ze sznurem to pewnie nie za bardzo będzie wychodzić - powiedział Vlk - sam wiesz:, majstersztyk! Ale dla ratowania sytuacji masz ten kufer.

- Dziękuję, szefie! - rozpromienił się Karlik.

Pospieszył otworzyć mu drzwi.

Na górze szło wszystko jak z płotka, tematy egzaminów mistrzowskich były przecież zadane z góry; tu już nie chodziło o wykute na pamięć formułki, ale o zręczność, której nie można przepisać ze ściągawki, odbębnić czy też opanować w ciągu paru dni. Toteż przez cały czerwiec, z wyjątkiem ostatniego tygodnia, pracowali solidnie; skontrolowano scenę, zweryfikowano rekwizyty, a oto wdziali już kostiumy i brakowało tylko publiczności.

Koncepcję egzaminów mistrzowskich wypracował Vlk jeszcze z Šimsą, ale jakby na ironię losu dopiero katastrofa Šimsy przydała im prawdziwego blasku. W poniedziałek 24 marca Vlk zidentyfikował niedaleko tamy sportowy wóz Šimsy i do winiarenki, gdzie go pospiesznie wezwał Doktor, przybył głęboko zniechęcony. Sensacyjne oświadczenie Doktora najpierw go zbiło z tropu, potem desperacko rozwścieczyło, a na koniec rozbudziło w nim zadziwiająco twórcze podniecenie. Od razu wiedział, aż do najdrobniejszych detali, jak będzie przebiegać akcja pokazu mistrzowskiego. Nowa era wykonatorstwa nie mogła mieć wspanialszej premiery. Jednakowoż wtedy jeszcze nawet w najśmielszych marzeniach nie

mógł przypuszczać, że z bohaterką będzie go łączyć już nie tylko nić wspólnych zainteresowań czy lina wzajemnych sympatii, ale więź najsilniejsza.

Przypadek, ten reżyser dziejów i losów, był również autorem głównego węzła dramatycznego. Nazajutrz po ich nieoczekiwanym pojednaniu Małgorzata ze łzami w oczach powiadomiła go, że wylała, używając jego określenia menstruacji, czerwona rzeka; Vlk był zdruzgotany tak jak ona. A że brak mu było codziennych obowiązków szkolnych, przez kilka godzin, wytrącony z równowagi, błąkał się po mieście, aż w nagłym impulsie skinął na najbliższą taksówkę, ażeby w parę minut później zadzwonić do drzwi mieszkania Tachecich. Liczył się z tym, że córka już wszystko rodzicom powiedziała, był więc przygotowany na najgorsze. Jego przekonanie, w tym przypadku dziwnie zbiegało się z tym, do czego swego czasu zmierzał Šimsa: co się stało, to się już nie odstanie, a on nie jest łobuzem, który zadzwonił i uciekł, ale poważnym mężczyzną, który dzwoni, ażeby wziąć na siebie odpowiedzialność.

Matka Lizinki przyjęła go niemal owacyjnie. Przez chwilę odnosił wrażenie, że wita w nim przyszłego zięcia, ale wkrótce zorientował się, że o niczym nie wie. Nie wiedział nawet, że ją oczarował przy pierwszym i do dnia dzisiejszego jedynym spotkaniu na wiosnę zeszłego roku. Często o nim myślała, a tak, i ta głupia eksplozja uczuć do powierzchownego Šimsy była, jak sobie teraz uzmysłowiła, podświadomie wywołana pragnieniem zbliżenia się do tego czarującego mężczyzny. Również w tej chwili zaczęło jej mocniej bić serce, tak więc ponownie za sprawą Vlka los, ten niewidzialny dyżurny ruchu, już teraz wznosił do góry niewidzialną chorągiewkę, choć renowowane łoże miłosne, tapczan Oskara, miał wyznaczony odjazd dopiero na jutro po południu.

- Panie profesorze - szepnęła, nader żałując, że nie ma na sobie modnej sukienki z Francji ani eleganckiego szlafrocza - przyszedł pan do mnie?...

- No, na to - powiedział cokolwiek zbity z tropu i na coś takiego nie przygotowany; niemniej z galanterią zdjął kapelusz i szarmancko pocałował ją w rękę - nie odważyłbym się bez wcześniejszej zapowiedzi, łaskawa pani. Po prostu kontroluję przed egzaminami swoich uczniów i przyszedłem się przekonać, czy nasz studyjny wyjazd nie przeszkodził córce łaskawej pani w powtórce całorocznego materiału.

Aczkolwiek był fanatycznym zwolennikiem prawdy, przyznawał, że i „święte”, jak je nazywał, kłamstwo może być pożyteczne, jeśli prawda mogłaby przynieść więcej szkód niż korzyści; toteż nawet nieodzowne oględziny klientów, które Šimsa określał jako „karkołomny rzut oka”, przeprowadzał w pachnącym dezynfekcją białym kitlu Małgorzaty. Jeżeli córka oszczędzała rodziców, nie mógł i on oznajmić jak wariatuńcio: Przerznąłem pani dziecko! Nie

znosił chamstwa w miejscu pracy, a co dopiero w życiu.

- Lizinka - powiedziała mu pani Tacheci tonem niemal tragicznym - leży.

- Leży?? - przeraził się Vlk.

Ostatnią dziewczyną, z którą miał do czynienia, była jego nieszczęsna koleżanka ze szkoły, Jarošówna, ale wspomnienie jej fatalnego końca wzięło w nim górę nad wszystkim innym, także nad tym, jak przecierpiała utratę niewinności; wiedział, że w żadnym razie nie zwalnia go to od poczucia odpowiedzialności, i wyrzucał sobie, że się dziewczyną zainteresował dopiero po dwóch dniach, które spędziła w bólu z winy jego wybujałej namiętności.

- Proszę się - pospieszyła pani Łucja z uspokajającymi słowami widząc, że stał się ofiarą jej dramatyzującego patosu, którym zazwyczaj wyrывała z letargu małżonka - nie obawiać, panie profesorze, to tylko -

ciągnęła pałowiejąc z lekka na myśl, że o takich rzeczach rozmawia właśnie z nim

- zwyczajnie dziewczęce sprawy, nasza Lizinka do nich jeszcze nie zdążyła się przyzwyczać, ale niech pan wejdzie i zobaczy ją, leży biedulka jak Łazarz.

Lizinka czytała *Jacka i Placka*, a przy tym pogryzała mieszankę rodzynek i orzeszków, które sobie wzięła ze spiżarni, kiedy matka wyszła na zakupy. Po każdej piątej stroniczce brała do buzi orzeszek. Po każdej dziesiątej zaczynała ssać kolejną rodzynekę, ażeby ją rozgryźć dopiero z następnym orzeszkiem.

- Lizinko, spójrz, kto do ciebie przyszedł, no, nareszcie

pospiesznie ucieszyła się pani Łucja, kiedy zorientowała się w sytuacji

- zmogła cię choroba. Do tej pory nie mogłam jej oderwać od podręczników!

Vlk też miał oczy. Skrypty spoczywały na rozkładanym stoliku w pobliżu okna pod wielką ptasią klatką z domu towarowego. To, że po nie od przyjazdu nie sięgnęła, powiedziało mu o jej stanie więcej niżby mógł się dowiedzieć od tuzina lekarzy.

- Jeśli pani pozwoli - zwrócił się do matki możliwie najbezbardziej tonem - to z chęcią ją spróbuję co nieco wybać.

- Ależ jak najbardziej! - powiedziała pani Łucja z udawaną serdecznością, nie mogła się jednak powstrzymać od trwoźnego zapytania: - A czy nasza Lizinka ma jakieś problemy?...

Jej niepokój był całkiem zrozumiały, dopiero dzisiaj nadarzyła jej się pierwsza sposobność dowiedzenia się czegoś o postępach córki w szkole; ŚRESZKUK zastrzegł sobie, że rodzicom będzie udzielał informacji jedynie w przypadkach krytycznych. (De facto tylko raz zwrócono uwagę staremu Husowi, że syn się nie przykłada do nauki, a państwu Kazikom

posłano słony rachunek za kulę armatnią, którą Franciszek podczas wycieczki rzucił w przypiływie głupiej niefrasobliwości do lochu głodowego; stary szkielet, w który kula trafiła, na szczęście mu darowano, Kazik senior następnej niedzieli zaaplikował synowi lekarstwo: prysnął mu w oczy łzawiącym sprayem, a potem zlał mu goły tyłek służbową pałą).

- Nasza - powiedział Vlk nie przypuszczając, że podobnie przywłaszczał ją sobie i Šimsa - Lizinka należy do prymusów, chodzi o najzwyczajszą konsultację, jakiej udzielam wszystkim uczniom.

- No to - powiedziała pani Łucja z ulgą - nie będę wam przeszkadzać.

Ledwo zamknęła drzwi dzieciennego pokoju, najchętniej byłby dziewczynę wziął pod siebie jak w przedziale, wycalał policzki, wargi i sutki, które go przedwczoraj tak podnieciły swoją dojrzałością, że przyssał się do nich jak dziecko. Ale na przeszkodzie stanęli *Jacek i Placek*, rodziny i orzeszki oraz możliwość powrotu pani Tacheci; od pierwszego spotkania zaliczał ją do matek, niejedną raz przez niego załatwianych, które dla dziecka właśnie nie wzdrygały się przed niczym.

- No więc jak, Tacheci - powiedział przesadnie głośno - jak się czujesz przed egzaminem? I -

dodał czułym szeptem

- po nocy miłosnej?...

Odpowiedziała mu bolesnym grymasem.

- No to się cieszę - zahuczał - to tylko tak -

zniżył głos do kojącego szeptu

- za pierwszym razem!...

Ku jego zdziwieniu potrząsnęła przecząco cudowną głową.

- Potrzebujesz coś skonsultować - spytał głośno pewnym siebie głosem. - Co -

wyszeptał nerwowo

- się dzieje? Gdzie cię boli?

Grzbietem *Jacka i Placka* wskazała mu epicentrum. Nie znajdowało się jednak w miejscu, które nostalgicznie Doktor nazywał potrzaskiem, ale tuż pod talerzykiem z łakociami, w geometrycznym środku brzucha.

- Więc naprawdę tylko - upewniał się cicho - czerwona rzeka?

Pytające spojrzenie uświadomiło mu, że dziewczyna nie może znać jego przenośnego określenia z czasów, kiedy jeszcze był szalenie wstydlivy jak dzisiaj ona.

- Więc naprawdę tylko - uściślił to szeptem - miesiączka? No to się temu -
zawołał wesoło

- przyjrzyjmy.

Jej oczy oznajmiły mu, że zarówno zgadł, jak i pomylił się. Przez chwilę był w kropce, aż w końcu zrozumiał.

- Czyli wręcz przeciwnie...? - wyszeptał z irytacją. - Nie wylała? Czerwona rzeka nie wylała??

A kiedy poważnie kiwnęła głową, zapomniał o czujności i galanterii.

- Nie wylała! - wykrzyknął.

Znowu zdawało mu się, że zemdleje, tym razem ze szczęścia. Brak powietrza, pomyślał, i szybko otworzył drzwi pokoiku.

- Panie prof... - pisnęła przerażona pani Łucja.

Nie zdążyła nawet udać, że przypadkiem przechodziła pod tymi drzwiami.

Z miejsca otrzeźwiał. Przedwczesna radość, której zaznał z Małgorzatą, dała mu nauczkę. Przecież jeżeli nie był to tylko sen, jego nasienie musiało poprzedzić wylew czerwonej rzeki najwyżej o pół godziny i nowe życie nie liczyło sobie jeszcze nawet dwóch dni! Na poczekaniu wymyślił sobie kolejne święte kłamstwo.

- Przypomniało mi się - wyjaśniał - że żona nie wylała na chwasty w ogródku zabijającego je roztworu, będę musiał zaraz wracać do domu!

I jak tylekroć bywało już w dziejach przypadkowa wypowiedź rozcięła gordyjski węzeł problemów, ta paplanina pomogła mu znaleźć cudowne lekarstwo na uczuciowe rozdarcie. Nie tracił czasu.

- Tacheci - zawołał do Lizinki głosem starego belfra, parząc ją przy tym spojrzeniem młodego kochanka - pamiętaj, tak trzymać! A ja będę trzymać za ciebie kciuki! I niechaj -

zwrócił się jeszcze raz do matki z delikatnym, choć niedwuznacznym napomknieniem

- dobrze się przyjrzy także „Egzekutorskiej mapie świata”!

Spieszył się do Doktora i w dalszej kolejności do Małgorzaty, ażeby obydwoje poddać, każde innej, a tak przyznawał w duchu, manipulacji. Nie był tym zachwycony, ale czy on sam nie musiał także niby to dobrowolnie wyrzec się swoich ulubionych owadów i ukochanej belferki, ażeby robić to, co było potrzebne innym? Niech zatem i jego intelekt raz przymusi innych do zrobienia z własnej woli czegoś, co jest potrzebne jemu!

Pani Łucja w lot zarejestrowała delikatne napomknienie profesora rozumiejąc je, jak należało, a kiedy w skryptach zorientowała się, o co chodzi, zwróciła się do małżonka. Jak zwykle zawiódł; orzekł, że Lizinka po prostu całej listy powinna się nauczyć na pamięć.

- Oszalałeś? - krzyknęła matka. - Córka ci miesiączkuje, a ty chcesz, żeby pamiętała sto trzydzieści trzy państwa?

Szybko połapała się, że małżonek tym razem nie sabotuje, ale dla odmiany nie wie. Ostatnią deską ratunku okazał się znowu Oskar, który wyjątkowo był w domu i to w dodatku sam. Kiedy mu rzecz przedstawiła, poradził bez wahania, żeby dziewczyna wypisała sobie państwa na dłoni jak państwowe znaki samochodowe. Na tym jego pomoc się nie skończyła. Znalazł w biblioteczkę nad tapczaniem atlas samochodowy, a potem na tapczanie pod biblioteczką doholował ją na tamten brzeg, na którym nie było jej od szesnastu lat, przed którym pół roku wcześniej wysadził ją ohydny Šimsa, za co go niebo ukarało. Oskar zdawał się szczerze zachwycony: zakreślił jej w złotym kalendarzyku, jak w karnecie balowym, wszystkie wolne terminy pragnąc powtarzać - To wprost fantazja, dziecinko - podkreślał, zazdroścąc temu bykowi, Lucy, powiedział potem z zadyszką, który ci dał taką szkołę! - żeglugę. Nie przyznała się ani jemu, ani sobie, że to mógł być jedynie doktor Tacheci; zareagowała pełnym skruchy westchnieniem, czym go tak mistrzowsko rozplomieniła, że wypłynął ponownie.

Kiedy się znowu zbliżała do brzegu, stała się rzecz osobliwa: przyłapała się na tym, że przymyka oczy, by mogła sobie wyobrażać, że sprawcą tej rozkoszy jest nie tuzinkowy, chociaż miły dziwkarz Osek, ale zagadkowy i niezwykły Vlk, którego pierwsza i druga wizyta wyrwały ją z głębokiego snu. Toteż w dwa dni później, w sobotę - zapalała jednego papierosa od drugiego, czekając z napięciem na powrót Lizinki z egzaminów u NIETYCZY i w duchu mściwie obiecując mężowi, który obojętnie babrał się w znaczkach pocztowych, że go jeszcze dzisiaj trzy razy zdradzi z Oskarem - jego przyjście zaparło jej dech.

- Pan chciałby się widzieć... ale Lizinka... - jąkała czując jak oblewa się rumieńcem.

- Nie, proszę pani - powiedział zdejmując kapelusz i całując ją w rękę - przyszedłem umyślnie teraz, kiedy jej nie ma.

- Ale mąż jest, niestety... - westchnęła.

Nabrzmiwały jej piersi i nie mogła złapać tchu. Po raz pierwszy nie myślała o jakimkolwiek stroju, pragnęła być tylko w swojej własnej, gorącej skórze; przyszło jej na myśl, że spokojnie może zaryzykować i zaciągnąć go do sypialni, była absolutnie pewna, że jej mąż teraz nie wstanie od znaczków.

- Właśnie chciałbym porozmawiać - szybko uściślił Vlk - z obojgiem państwa!

I chociaż natychmiast otrzeźwiała i swój poprzedni pomysł uznała teraz za wytwór chorej wyobraźni, zrozumiała właśnie dzięki temu, że od pierwszego spojrzenia numerem jeden w jej życiu jest Vlk. Jak przez mgłę słyszała jego głos, opowiadający w narożnym pokoju zwięźle i rzeczowo, co przed nimi obojgiem, przepraszająco skłonił się przed nią i przed nim, musiał dotychczas ukrywać ze względu na dobro śledztwa.

W sobotę 22 marca tego roku, wbrew formalnemu poleceniu odwołania przewidywanej wycieczki z powodu choroby kierownika szkoły, były docent Šimsa podstępnie zabrał ich córkę do swojego domku letniskowego, dopuszczając się tym samym karalnego czynu porwania. Tam ją odurzył i usiłował skłonić, aby mu była uległa, co dzięki jej dzielnej postawie nie doszło do skutku, stanowi to jednak podstawę do oskarżenia o czyn karalny, jakim jest gwałt. Po to, żeby ją złamać, dokonał na jej oczach morderstwa sądowego, a rozwiązły zamiar nie powiódł się jedynie dzięki dostatecznie wczesnemu wkroczeniu organów ścigania.

Ich wspaniała córka, ciągnął Vlk, prosiła, żeby śledztwo oszczędziło rodziców. Po upływie trzech miesięcy, stwierdziwszy, że straszne przeżycie nie zostawiło żadnych śladów w psychice dziewczyny, on, który oprócz rodziców jest jej kimś najbliższym, wziął na siebie obowiązek poinformowania ich o wszystkim, a zarazem wysłuchania ich dezyderatów. Zwyródnialec bowiem, aby uniknąć sprawiedliwości, upozorował utonięcie w wyniku katastrofy samochodowej, i był oficjalnie uznany za zmarłego. Teraz, kiedy go złapano, państwo nie może go postawić w stan oskarżenia z braku tytułu prawnego, toteż postanowiono przekazać winowajcę w ręce rodziców i szkoły. Kiedy skończył, zapanowała cisza.

Doktor Tacheci w angielskim ubraniu po ojcu, które włożył do popołudniowej herbaty, jeszcze przez chwilę patrzył w napięciu na Vlka niczym miłośnik walców, który przez pomyłkę nabył bilet na koncert symfoniczny i wciąż jeszcze ma nadzieję, że rozlegnie się to piękne m-ta-ta, m-ta-ta i na świecie z powrotem zapanuje ład. A że poważny wyraz twarzy Vlka się nie zmienił, przeniósł wzrok na małżonkę; jakże by mu ulżyło, gdyby zaczęła krzyżeć, trzaskać drzwiami i wykonywać inne numery, które z zasady odrzucał, ale dzięki którym nawet najgorszą sytuację zawsze umiała obrócić na korzyść Lizinki. Ona jednak siedziała w milczeniu, patrząc poprzez profesora gdzieś w dal.

Kiedy tylko bowiem stwierdziła, że Lizinka wyszła z całej historii bez najmniejszego uszczerbku, wciąż jeszcze wprawdzie udawała zainteresowanie, ale umysł jej był skoncentrowany na czym innym; pragnęła, ażeby Vlk dostrzegł sygnały, które nadaremnie przekazuje mu oczyma: profesor z niezrozumiałych powodów w napięciu oczekiwał reakcji jej małżonka.

Doktor Tacheci wstał i bez słowa wyszedł do przedpokoju. Oparł się jedną ręką o ścianę i przez jakiś czas obserwował zimowy krajobraz na obrazie. Chyba go przekrzywił, gdyż nagle uświadomił sobie, że dzieci jadą na sankach pod górkę. Troskliwie obraz wyprostował, po czym wszedł do łazienki. Tutaj zdjął marynarkę, znalazł dla niej wolny

wieszak, wygładził ją na nim i zapiął wszystkie guziki. Zdjął koszulę przez głowę i wrzucił ją do kosza z brudną bielizną, zdjął zegarek i położył na półce pod lustrem jak zwykle przed spaniem. Namoczył pod kranem szczoteczkę do zębów, wycisnął na nią ostatnią porcję pasty. Mogliby dawać na noc coś weselszego, pomyślał. Kiedy poczuł w ustach przyjemną pianę, tknęło go sumienie: czym sobie wyczyszczą zęby Łucja i Lizinka? Nagle do niego dotarło, że jest trzecia po południu, a horror, który usiłował od siebie odpędzić, to nie był film telewizyjny, ale coś, co na własnej skórze przeszło jego własne dziecko. Kiedy znowu stanął na progu pokoju, był rozebrany do pasa, z ust jak wariatowi kapiała mu piana, ale po raz pierwszy przemówił jak normalny człowiek.

- A od czego - zapytał ochryple - jesteście -

57

- katami??

Za kwadrans trzecia, zanim jeszcze naczelnik więzienia przyprowadził gości, dzwonił z dołu Karlik prosząc, żeby przyjść mu pomóc. Zbiegł Kazik i bracia Králowie, i we czwórkę zataszczyli na górę po schodach dwie dwukółki bagażowe: do jednej był przywiązany kosz, z którego dochodził dziki kwik, a na drugiej spokojnie spoczywał kufer okrętowy. Jak tylko zamknęli je w schowku, w zewnętrznej kracie ŚRESZKUKU zazgrzytały klucze.

Egzaminy mistrzowskie zostały zaplanowane tak, żeby zaspokoić wysokie wymagania profesjonalistów, którzy przyjdą - niewątpliwie sceptycznie - rzucić okiem, czy w tym narybku, karmionym syntetykami, jest choćby jeden talent godny e n g a g e m e n t, ale żeby także zainteresować laików: przecież po raz pierwszy z przyszłą działalnością dzieciaków mieli się zetknąć tutaj rodzice. Šimsa jako młodszy wiedział lepiej, co obecnie jest chwytliwe, i wyszedł z pomysłem pokazu, podczas którego uczniowie zaprezentowałyby znawcom swoje umiejętności, pozostałych zaś widzów zapoznałyby w atrakcyjnej i rozrywkowej formie z chwalebą historią, pracowitym dniem dzisiejszym i absolutnie pewną przyszłością swojego zawodu. Kiedy Vlk, już samodzielnie, zaczął ten projekt realizować, odrzucił šimsowską estradowość i zaprojektował poważną inscenizację operującą chwytami nowoczesnego teatru i elementami współczesnego wystawiennictwa.

GAKLAS został w czerwcu przemieniony przez kolektyw szkoły w „galerię tradycji”; wraz z notatkami informacyjnymi zaprezentowano przekrój historyczny katowskich narzędzi i urządzeń, zarówno w postaci makiet, jak też cennych oryginałów, które Vlk zebrał podczas

turystycznych wycieczek - budziło to w nim wstręt, ale wiedział, że w ten sposób ratuje niezastąpione wartości - przekupując poszczególnych kustoszów. Na czarnych ścianach wisiały reprodukcje rycin i obrazów, przedstawiających całą gamę klasycznych egzekucji, z dwunastoczęściowym ołtarzowym cyklem „Umęczenie męczenników” na czele.

GANOW świeżo wybielono, ażeby tą jasnością także udokumentować niezwyklej postęp, jaki nastąpił w wykonatorstwie dzięki nowoczesnym technologiom i ideologiom. Nazwano go „salą otwartych drzwi”, ponieważ można było zwiedzać również komorę elektryczną, a w komorze gazowej nawet usiąść na fotelu.

Podczas adaptacji pomieszczeń na szkołę oba gabinety nie tylko uplasowano obok siebie, ale połączono je rozsuwaną ścianą; obecnie obie przestronne sale tworzyły jedną wielką komnatę, w dodatku amfiteatralną. Niezależnie od tego, gdzie się siedziało, można było obserwować dowolną część pomieszczenia, gdyż krzesła dla widzów były obrotowe. W samym środku okrągłego amfiteatru, na granicy obu gabinetów, stała stara latarnia miejska, a pod nią wysłużony pojemnik na śmieci, które to rzeczy Karlik po długich poszukiwaniach wynalazł na wysypisku, a Franciszek, który się okazał artystą-omnibusem, polakierował na zgniłozielono.

Na koniec na toalecie dla pań powieszono tabliczkę GOŚCIE, a na męskiej - MIEJSCOWI; w tej ostatniej, jako że każdy metr kwadratowy szkoły został już jakoś zagospodarowany, klasa musiała poczekać, aż goście usadowią się w sali i wtedy korytarz będzie służył jako przestrzeń za kulisami. Poczucie doskonałego ładu i czystości gatunku pomagało Vlkowi zrównoważyć handicap, że od czasów belferki nie reżyserował imprez. Nie miał złudzeń, że mógłby konkurować z profesjonalistami, ale pragnął przynajmniej oszczędzić widzom kłopotliwych sytuacji, jakie stwarzają amatorzy, którzy uszminekowani i ubrani w kostiumy występują w foyer, ażeby zrobić wrażenie na krewnych i znajomych.

Występujący byli zatem ukryci, korytarz jeszcze rozbrzmiewał skrzypieniem butów i gwarem głosów, a Vlk, rozmyślnie stojąc na tyle z boku, ażeby się nie narzucać ani nie stronić, odpowiadał lekkimi ukłonami na premierowo zakłopotane słowa powitań. Z zadowoleniem konstatawał, że nie brakuje żadnej z twarzy, które widywał przez dziesiątki lat w egzekutorniach całego kraju, i z radością odnotował szczególnie ważną dla dzieciaków kakaową cerę przedstawiciela Trzeciego Świata, który widocznie odbywał tutaj staż więzienniczy. Osobiście dla Vlka najważniejsza była obecność państwa Tachecich, którym towarzyszył inżynier Aleksander. Po chwili z tłumu wyłonili się były prokurator i Doktor, ażeby mu życzyć powodzenia; zajęli zarezerwowane dla nich miejsca, tuż koło latarni, i wyjęli, tym razem tylko oni dwaj, notesy klasyfikacyjne. Goście tłumnie pospieszili do sali,

tak że pierwszy dzwonek, ustalony na 15.15, wyrwał z zamyślenia na korytarzu jedynie Vlka.

Oparł się o ścianę, zamknął oczy i uczynił parę głębokich wdechów i wydechów. Szkoda, pomyślał, że nie ma tu Małgorzaty, wbrew swoim zastrzeżeniom właśnie ona kiedyś mu dodawała odwagi przed ryzykownymi arcyegzekucjami. Ale jej wejście z istotnych powodów zaplanował dopiero na szóstą, toteż teraz musiał sobie radzić sam. Otworzył oczy i zrobił parę ostrych przysiadów jak zawsze, kiedy miał iść po klienta lub w przerwach między poszczególnymi numerami. Wyciągnął przed siebie rękę. Nie drżała. Namacał tętno. Było w normie. Zastukał w drzwi męskiego WC i kiedy wyszli, niezwykle cisi, klepnął na szczęście jednego po drugim w bark. Pochylając się ku Lizince, szepnął jej do ucha:

- Nie wylała?...

Wstydliwie potrząsnęła przecząco głową i poszła w ślad za pozostałymi do drzwi GAKLASU, w swoim uroczystym kostiumie jeszcze bardziej nieziemską i pociągającą niż kiedykolwiek przedtem. I Vlk przy całej swojej inteligencji i wyobraźni nie potrafił uzmysłwić sobie, że być może idzie z nią również jego syn. Oderwał od nich wzrok, cicho otworzył drzwi GANOWA i na palcach przeszedł w półmroku za ostatnim rzędem widzów. Ciężkie kotary były spuszczone, a dwa z czterech przenośnych reflektorów oświetlały ćwiczebne rusztowanie w GAKLASIE. Świeżo zabójcowane, robiło wrażenie zupełnie prawdziwego; walnie się do tego przyczyniała leżąca obok kupa gliny, szeroka kadź i gruby pal. W tym momencie Albert, odtwarzający rolę inspicjenta, uderzył w gong i w punkcie przecięcia światła dwóch reflektorów zjawiała się

Lizinka. Miała na sobie niegdysiejszy świąteczny płaszczyk swojej matki, przefarbowany na czerwono, na głowie mistrzowsko (Franciszek!) imitowaną koronę z napisem HISTORIA. W jednej ręce trzymała wysoką laskę, z jaką do niej przychodził aż do zeszłego roku św. Mikołaj (dziadek Aleksander), w drugiej niosła pleciony kuferek, oklejony niczym nalepkami hotelowymi datami z wielu tysiącleci; dowcipnie sygnalizowały, że pani Historia podróżuje w czasie. Plecionka była niestylowa, ale nieodzowna: w przeciwnym razie nie byłoby słyhać znajdującego się wewnątrz magnetofonu kasetowego. Lizinka uderzyła laską i kuferek zaczął wygłaszać miękkim głosem Alberta chropawy tekst Vlka:

- Jestem Historia. Niemal we wszystkich językach jestem rodzaju żeńskiego, ale charakter mam męski, toteż mówię -

ten prosty a skuteczny chwyt pozwolił zdjąć z Lizinki brzemień monologu

- męskim głosem. Jestem On i Ona, zapładniam i rodzę, uwieńczam silnych, zapominam o słabych, karzę występnych. I o tym dzisiaj będzie więcej!

Albert na rusztowaniu znowu uderzył w gong i Albert na taśmie magnetofonowej

zmienił ton. Vlk jako autor chciał na wstępie wywołać atmosferę misteriów średniowiecznych, toteż posłużył się odpustową poetyką. Wziąwszy pod uwagę, że nie był z niego żaden poeta (ale o poezji dyskutował w klubie teatralnym całą noc, aż do rana, z ówczesnym poetą młodego pokolenia, po premierze jego sztuki wierszowanej, w której sławił rewolucję i oplakiwał swój rozwód) jego strofy miały zaskakująco wysoki poziom.

*Załatwiała, znane jako pierwsze -
ogień, woda, ziemia i powietrze.
Prażałatwiacz je stosuje, Bóg,
wobec ludzi, swoich krnąbrnych sług.
A że ludzkość coraz więcej bryka,
bierze Pan Bóg pomocnika.
Dziś za niego trzyma w ryzach świat
egzekutor, wykonator, kat.*

Lizinka stuknęła laską i usunęła się w półmrok za podium, żeby nie rozpraszać uwagi widzów. Czemu nie biją brawa?? - zatrwożył się Vlk, ale już pani Tacheci spontanicznie dała sygnał pozostałym, którzy sami się nie odważyli. Aplauz na początku spektaklu ma skutek elektryzujący i tutaj nie było inaczej. W powolnym, ale ostrym rytmie muzyki następującej po wierszu - mimo braku rozeznania w kompozycjach, wybrał je Vlk zadziwiająco trafnie: nastrój średniowiecznej scenki uwydatniał marsz weselny z *Lohengrina* - z tyłu, w czerwonych trykotach wychodził na rusztowanie Franciszek jako Meister Franntz, a za nim w czarnych trykotach pomocnicy Piotr i Paweł Králowie, ciągnący klienta w zgrzebnym gieźle. Był to Szymon.

Montaż był tak przemyślnie skomponowany, żeby każdy uczeń mógł w trakcie złożyć egzamin mistrzowski, a poza tym w razie potrzeby funkcjonował jako pomocnik kolegi. Niestety, trzeba było wykreślić samodzielny numer Szymona, co nie było łatwe ze względu na skomplikowane przeklekanie taśmy akompaniamentu dźwiękowego; zastępowanie Szymona w ostatnich kawałkach stałoby się wręcz katastrofą: nieprzewidywane zmiany kostiumów i nieodzowne przerwy pozbawiłyby rytmu i napięcia dramatyczny ciąg. Na szczęście przewodniczący komisji dał sobie to jeszcze przed południem wytłumaczyć, co poprawiło samopoczucie Szymona. Chciał załapać się choćby jedną ręką i pokazać swój pazur, tym bardziej że w pierwszym rzędzie siedział bardzo już stary ojciec, który o jego

porażce jeszcze nie wiedział. Na podobieństwo szmirowatych aktorów Szymon przewracał oczy w słup, zgrzytał zębami boleściwie, aż się Vlk kilkakrotnie bał, że zacznie mówić. Za to Kazik, który się teraz chciał popisać na medal, poczynął sobie jak rutyniarz.

Ilekczo Szymon już otwierał usta, pstrykał palcami i Albert z tyłu szybko puszczał w ruch pałeczki: na dźwięk bębna Szymon zamierał w lęku, a wtedy Franciszek natychmiast go załatwiał. Najpierw mu podciął nogi; grubasek tak prawdziwie padł na stertę piasku w zapadni, że część publiczności westchnęła. Podczas gdy wyczołgiwał się na zewnątrz, już niewidoczny, Franciszek włożył w miejsce, gdzie w przekonaniu widzów były usta straconego, słomkę; Piotr i Paweł splunęli w dłonie i raz-dwa jamę grobową zasypali. Po czym cała trójka łknęła sobie z bukłaka, który wyjął Meister Franntz. Ten ostatni prześmiewczo nalał też kropelkę gorzały w słomkę, kiedy naraz ponownie rozległ się marsz z *Lohengrina* i na rusztowanie wkraczał w zgrzebnym gieżle - Szymon. Pojedyncze oklaski stłumił syk, kiedy inteligentniejsi widzowie zrozumieli, że jest to jedynie koniec pierwszego obrazu.

Przy kolejnych werblach Franciszek tak zręcznie rzucił worek na Szymona, że go pomocnicy bez trudu "utopili" w kadzi. Ona też miała otwór w dnie pozwalający wejść pod podium, a obok rezerwuar z wodą, tak że efekt był doskonały. Kiedy zadowoleni wykonatorzy znowu jęli sobie podawać z rąk do rąk bukłak, a Meister Franntz kapnął gorzałki i do kadzi, po raz trzeci rozległ się *Lohengrin*, a nad schodami znowu się pojawiła jak księżyc w pełni śmieszna gęba Szymona. Teraz już żaden syk nie powstrzymał oklasków. Trwały do kolejnych werbli, podczas których bliźniacy wspólnymi siłami Szymona unieśli, a Kazik go nakierował na pal. Kiedy go Królowie puścili i w dodatku pociągnęli za nogi, część publiczności jęknęła, a kiedy szpic pala wyłonił się Szymonowi nad karkiem, wszystkie kobiety zakryły oczy. Ale salą wstrząsał już śmiech; niedowierzająco popatrywały przez palce, widząc jak Szymon schodzi z pala sprężynowego trzymając w ręce również szpic. Vlk, choć nie scenograf, wymyślił świetny grandguignol nawet nie wiedząc, że taki rodzaj teatru istnieje.

Podczas gdy szczęśliwy Kazik, który najgorsze już miał za sobą, po raz któryś z rzędu kłaniał się widzom, Vlkowi było żal, że z powodu Szymona wypadają „Chińskie tortury”; pasowały jak ulał do Szymona i na pewno wyszedłby z nich obronną ręką. W kimonie i z „łysą” peruką, na której widniał tylko jeden kosmyk włosów - oznaka wykonatorów azjatyckich - miał wyjść na rusztowanie, gdzie byłby mu tymczasem Albert przygotował pierwszego Dujkę (jak po sylwestrze w górach zwykli nazywać manekiny ćwiczebne); miał wisieć za warkocz na słupie z obnażonym, azjatycko żółtym brzuchem, ledwo dotykając

palcami stóp podłogi. Po czym Albert byłby zapalił palnik gazowy. Tymczasem Szymon przyniósłby sobie obcęgi, metrową rurę zalutowaną z jednego końca i klatkę ze szczurem.

Tematem scenki była typowa kara chińska, opisana przez świadka europejskiego 22 lipca 1920 roku w Kantonie. Po wpuszczeniu szczura z klatki do rury Szymon przycisnąłby ją otwartym końcem do brzucha klienta, wziąłby ją w obcęgi i palnikiem gazowym przypalałby zalutowany koniec. Sądowy obserwator musiał oczywiście wiedzieć, że szczur może uciec przed żarem tylko w jeden sposób. Na tle muzyki orientalnej - Vlk wybrał przypadkiem „Na perskim rynku” - Albert miał pod podłogą wydawać nieludzkie okrzyki, ale główny szok miał wywołać u publiczności realistyczny widok po odjęciu rury; podczas wszystkich prób wystarczyło parę minut, ażeby szczur wgryzł się w brzuch Dujki: tworzył go wielki kawał sera.

O tym wszystkim Vlk musiał teraz zapomnieć i cieszyła go jedynie okoliczność, że ma pierwszy numer na przyszły rok szkolny. Teraz już znowu wpatrywał się w czarującą Historię, która podczas braw przebiegła korytarzem do GANOWA, toteż przemówiła zza ostatniego rzędu widzów. A że jednocześnie zgasły pierwsze i zapaliły się dwa drugie reflektory, skierowane w odwrotną stronę, widzowie szybko się zorientowali i z przyjemnością obracali krzesła w oczekiwaniu dalszych niespodzianek. Kiedy przebrzmiało skrzypienie, które najwierniejsi przyspieszali sykiem, przemówił magnetofon. Niestety nie dało się wyciąć pierwszej linijki, która się odnosiła do scenki wykreślonej, ale Vlk był przekonany, że nikt tego nie zauważy.

*Do takich tortur jak te w Chinach
zdolna jest dłoń Europejczyka,
lecz on usprawniać je zaczyna
ponieważ wie: grunt to technika!
Zanim rozkręci się maszyna
parowa - działa gilotyna!
A postęp?... W tym, że głowa zleci?...
Ale zobaczcie obraz trzeci!*

Franciszek, któremu przypadł teraz gong, chytrze uderzył już przy ostatnim słowie, tak że odniesienie do scenki Szymona zostało całkowicie zatarte. Albert na taśmie

magnetofonowej znowu zmienił ton: zgodnie ze wskazówkami reżyserskimi mówił teraz głosem obojętnym niczym spiker telewizyjny:

- W roku 1938 została w Wiedniu skazana na najwyższy wymiar kary zabójczyni Marte Marek. Wyrok był raczej symboliczny, gdyż w Austrii już od trzydziestu lat nie załatwiano kobiet. Pani Historia -

Albert na taśmie zrobił przerwę, podczas której Lizinka stuknęła łaską

- rozstrzygnęła inaczej. Po „anszlusie” Austrii gauleiter Wiednia polecił wyrok wykonać. Mimo to w rodzinie katów niemieckich nie cieszą się z niego: atrakcyjna kobieta z rudymi włosami i niebieskimi oczyma była bowiem kaleką przykutą do fotela na kółkach!

Z korytarza do GANOWA wjechał wózek ze szpitala więziennego pchany przez bliźnięta, które włożyły na trykoty barwne fartuchy, a na głowy czapki z daszkami, co Vlk skopiował z jakiejś sztuki Nestroya. Widzowie zaszemrali: na wózku nie siedziała piękna kobieta, ale garbaty Albert, Vlk czuł, że atmosfera staje się coraz bardziej napięta.

- Człowiek, którego w wigilię egzekucji wieziono pod gilotynę na wózku jak najbardziej podobnym do oryginału, to był sławny Johann Baptist Reichhart z Monachium, który w ciągu swojego owocnego życia załatwił 3165 klientów. Najbardziej sławny numer miał jednak zademonstrować u schyłku tej -

mówił głos Alberta, podczas gdy ciało Alberta wypadło z wózka, jako że Piotr i Paweł zmienili go przewrócili do przodu, i Albert klapnął na deski o krok przed szkolną gilotyną, ale zaraz skoczył na równe nogi i w jednej chwili siedział z powrotem na wózku

- nocy. Znow i znow z poświęceniem objął sobie kolana, ażeby dokładnie określić miejsce zatrzymania fotela i wyćwiczyć technikę ścięcia, póki...

Rozległ się walc „Nad pięknym modrym Dunajem”, w którego rytmie Alberta wywracano coraz bliżej, coraz bliżej, aż w końcu zatrzymał się na składanym łóżku.

- ...póki Johann Baptist Reichhart -

referował niewidzialny Albert, co Albert widzialny demonstrował

- nie zrobił kredą kreski i nie wypowiedział zdania, które przeszło do historii ze względu na swój rzeczywisty humanizm.

Walc ucichł i żywy Albert-Reichhart powiedział głębokim głosem:

- Jak będzie padać, uchwycie ją w porę pod ramiona, bo sobie jeszcze rozbije nos i wszystko mi tu zaplami krwią!

Vlk uzmysłowił sobie, że to właśnie Albert jest zaraz po Lizince głównym twórcą sukcesu, i dziękował swojej dalekowzroczności, jako że od samego dzieciństwa zwracał na niego uwagę. Nie pojmował, jak Šimsa mógł go zawsze spychać na drugi plan, przecież - raz

musiał się do tego przyznać! - gdyby nie było nagłej potrzeby, ten chłopak nigdy nie mógłby się stać docentem; a tamten choćby nie wiem jak zgrywał się na intelektualistę - podczas rewizji stwierdzono, że robił nawet „wynałazki” - zawsze pozostawał zupakiem! Franciszek odegrał werble i Vlk czuł niemal, jak publiczność wstrzymała oddech.

W półmroku, gdzie na chwilę się wycofali, Piotr i Paweł błyskawicznie posadzili na fotelu kobietą Dujkę, troskliwie ubraną i zamaskowaną zgodnie z dochowanymi zdjęciami policyjnymi. Albert stanął przy korpusie gilotyны i Vlk spostrzegł, że także on jest teraz przejęty. Werble nasiliły się. Bliźniacy wjechali z fotelem w światło. Potem, tak jak przed chwilą to przećwiczyli, wywrócili fotel do przodu, na kresce kredowej odwrócili go i uchwycili pod ramiona padającą Dujkę tuż nad gilotyновym łóżkiem, podsuwając ją zarazem pod nóż. Reichhart-Albert jednym gestem zamknął lunetę i zaraz wyciągnął zawleczkę spustu. Ciężki ukośny nóż zadudnił o podkładkę, głowa z rudą peruką stoczyła się do kosza i zawiroowało w sugestywnej stylizacji poetyckiej czerwone confetti, którym została wypełniona szyja.

Wrażliwa publiczność zdała sobie sprawę ze zmiany gatunku. Z wszystkich twarzy zniknął uśmiech i było oczywiste, że burzliwe oklaski nie odnoszą się tylko do wykonatorstwa Alberta - klaskał także Doktor, toteż adept popisu mistrzowskiego miał nadzieję na stopień celujący - ale są też wyrazem czci dla nieprześcignionego Reichharta i jego hasła: Nie ma klienta, którego egzekutor nie mógłby załatwić. Podczas black-outu, zaplanowanego w celu umożliwienia zmiany dekoracji, Vlk niepostrzeżenie wyszedł na korytarz, pragnął mieć swobodę poruszania się, gdyby powstały jakieś komplikacje. Trudności wykonawcze spektaklu rosły z numeru na numer: jeśli Franciszkowi i Albertowi mimo wszystko ułatwiał zadanie kolega czy choćby uległy manekin, teraz miał się pojawić pierwiastek irracjonalny jak w prawdziwym życiu. Przyszła kolej na kosz i kufer.

Piotr i Paweł zrzucili fartuchy i czapki, w czarnych trykotach wślizgnęli się w przygotowane dzinsy i pospieszyli, wymusztrowani w ciągu wyczerpujących prób, do jego gabinetu. Vlk zdziwił się, jak te szczeniaki, które w zeszłym roku byle cygankiem potrafiły żywcem oskórować psa, dzisiaj egzekutorzą w napiętym czasowo harmonogramie - i już im nawet nie jest on do niczego potrzebny... zaczęła go ogarniać nostalgia, jaką niedawno jeszcze napępniało go poczucie starzenia się; nagle w sali rozległo się uderzenie laski i miał wrażenie, że to woła go sama młodość.

Ażeby nie przeszkadzać, kolejne intermezzo pani Historii obserwował przez szparę w drzwiach. Z męskiego WC dochodziło prychnanie Alberta (muszę dla nich załatwić porządne prysznic!), a tymczasem z GANOWA rozbrzmiewał jego głos, teraz ponownie deklamujący:

*Czeka nas przyszłość spolegliwa:
klientów przecież nie ubywa.
I warto rzec im, niech to wiedzą -
wspieramy się współczesną wiedzą!
Nie gilotyny słychać trzask,
dziś syczy śmiercionośny gaz!
Dziś krzesło elektryczne bzyka!
A w snach przyszłości brzmi muzyka.*

Tymi odkrywczymi wierszami zaczął autor powoli przemieniać Panią Historię w wykonatorkę po to, ażeby przygotować widzów do egzaminu mistrzowskiego Lizinki. Na razie wszakże wrzaskliwy dixieland błyskawicznie przeniósł widzów za ocean; a poza tym żywy rytm zgodnie z zamiarem reżyserskim rozluźnił ich wewnętrznie. Tym bardziej zaskoczył i na nowo zelektryzował całą salę straszliwy jęk, który niebawem nappełnił wszystkie przestrzenie szkoły: to bliźniacy przyciągnęli ze schowka - Vlk miał nosa, że stał na korytarzu, sami by raczej nie dali rady otworzyć drzwi - kosz, podnieśli wieko i rzucili się na „klienta”.

Vlk przez lata dojrzał do cierpkiego spostrzeżenia, że jeśli w sztuce i publicystyce jakiś temat został potraktowany per nogam, niezależnie od tego, czy przez pruderię czy niedoinformowanie, to jest nim właśnie wykonatorstwo. Ale i tych kilkaset wzmianek - bagatelka w porównaniu z liczbą opisanych kopulacji na przykład, przy których przecież niezmiennie chodzi o te same ruchy - unika podstawowego problemu: jak dostarczyć klienta na miejsce egzekucji. Jakby się zakładało, że po wyroku każdy - skarżył się Doktorowi - czym prędzej pcha się w pętlę! W rzeczywistości nawet potężny Karlik mógł zademonstrować kolekcję szram, które mu zostały na pamiątkę po zębach i paznokciach, a ile siniaków i guzów zagoił czas, nie mówiąc już o wyschniętych splunięciach. Dlatego też w ramach zajęć z WIESZANIA cały styczeń był poświęcony „Przygotowaniu wieszanego” i rezultaty tych zajęć chciał Vlk zaprezentować w sposób wyraźnie przekonywający. Statysta spośród uczniów, nawet gdyby walczył jak lew, nie zatarłby wrażenia, że jest to z góry obmyślona gra; mężczyznę z kufra trzymał Vlk z zanadru jako gwóźdź programu. Pomysł, który mu rozwiązał całą sprawę, był po vlkowsku genialnie prosty.

Osiemdziesięciokilowego klienta, który gwarantował, że walką o życie przekona i zbulwersuje każdego, zyskał Vlk (w cenie mięsa plus dwa bilety na egzaminy mistrzowskie) od mężczyzny, w którego obejściu spotkał Ryszarda Mašina. Szwagier naczelnika

podgórskiego więzienia był pomysłem osobiście zainteresowany, gdyż sukces na zawsze pozbawiłby go corocznych przedodpustowych kłopotów z rzeźnikami. Dostarczył zatem do szkoły w samo południe dnia przez duże D swojego zapasowego tucznika i bliźniaki miały przed sobą pierwszą rzeczywiście ostrą egzekucję w życiu.

I chociaż cały czerwiec pilnie trenowali na Karliku, z miejsca stwierdzili, że zupełnie co innego jest związywać cierpliwego poczciwca, a co innego zdenerwowane zwierzę. Z początku leniwe prosię rozrabiało jak pełnokrwisty arab i chłopcy musieli stosować uniki, ażeby nie narazić twarzy na draśnięcie racicą. Zdumiewająco im pomagał nowoczesny podkład muzyczny, który Vlk, inklinujący ku klasyce, pozwolił wybrać im samym; w zamian za to zaufanie odpłacali mu teraz mężnym samozaparciem. Decydująca okazała się okoliczność, że Paweł spętał wieprza z tyłu podwójnym nelsonem i nieulekle razem z nim przewrócił się na plecy: wtedy Piotr związał zwierzęciu tylne i zaraz potem przednie nogi tak doskonale, że musiał sznur ponownie rozluźnić, ażeby brat mógł wyciągnąć ręce. Przez cały czas zwierzę jęczało głosem zupełnie nieprzypominającym świni, wystarczyło przymknąć powieki i człowiek słyszał broniącą się kobietę; Vlk nie mógł nie wspomnieć widma swojej profesji - Susanne Ohlschlag, skazanej w Hamburgu za pomoc udzieloną kochankowi, francuskiemu jeńcowi wojennemu: przez cały kwadrans biła się ze strażniczkami i pomocnikami, zanim jej Friedrich Heer, jako swojej ofierze numer czterysta jeden, „zgoilił szyję”.

Kiedy udało się chłopcom nasadzić wieprzkowi na łeb „pardon-mask” z czarnego igelitu, tak że przytłumiło to niemilknący jęk, pomimo swojej kondycji byli złani potem, widzieli to również widzowie z ostatnich rzędów. Wraz z wydychanym powietrzem, rozgrzewanym przez reflektory, gęstniały i sympatie. Po raz drugi nagrodzono braci oklaskami, kiedy dowlekli rzucający się wór sadła na fotel, a po raz trzeci, kiedy udało im się - kabinę jak studio telewizyjne oświetlała pięciusetwatowa żarówka - przypiąć prosię pasem i przytwierdzić do jego krótkich kończyn elektrody. Po zamknięciu drzwi jęk ustał całkowicie. Każdy z kandydatów do zawodu egzekutorskiego stanął z jednej strony tablicy sterowniczej.

Kiedy ich teraz miał przed oczyma, z przedziałkami z lewej i prawej strony, opanowujących zdyszany oddech, musiał im Vlk wybaczyć wszystkie niewinne podstępstwa uczniowskie z przeszłości; teraz, kiedy im nie mógł pomóc żaden grzebień na świecie, wykazywali się obaj uczciwie nabytymi wiadomościami i przynosili szkole zaszczyt. Musieli posłużyć się niskim woltażem, gdyż w inny nie był ŚRESZKUK dotychczas wyposażony (*allons, enfants!* walczycie i za swoich następców). Ze względu na warstwę tłuszczu, która tego klienta chroniła skuteczniej niż innych, i na tempo spektaklu, postanowili wyładowania

skrócić i zintensyfikować; obliczenie załatwił im Doktor, korzystając z jakiegoś tajnego komputera, i teraz mogli już tylko mieć nadzieję, że programator nic nie sknocił. Znowu odezwały się (jak Szekspir z Plutarcha tak Vlk bez przesądów czerpał z Hofbauera) werble.

- Go! - zawołał Paweł.

Bracia wspólnie nacisnęli na dźwignię; dojechała do jednej czwartej skali aż po liczbę 1000. Przez wielkie okrągłe okna wyśmienicie było widać, jak przy pierwszym szarpnięciu, zwanym „blow”, prosię podskoczyło; przypomniało to znane zdjęcia kosmonautów podczas przeciążenia, kiedy pasy grożą zerwaniem się. Rozluźniła się jednak tylko „pardon-mask” i Vlk po pierwszej chwili lęku stwierdził, że w sumie jest to korzystne.

- Go! - zawołał teraz Piotr.

Obaj bracia doprowadzili dźwignię do liczby 2000. „Hard blow” trwało tylko pięć sekund, ale to wystarczyło, żeby wieprzowi wypadła w jednej chwili cała szczecina, zupełnie jak gdyby rzeźnik polał ją wrzątkiem. Zarazem dosłownie rozplynęły się oczy, co bez maski zrobiło potężne wrażenie.

- Go! - wykrzyknął znowu Paweł.

Dźwignia przesunęła się z powrotem do liczby 1000. Po tym „blow-up” z miejsca osłabło wewnętrzne napięcie i prosię oklapło na fotel; można było obserwować, jak przez cały korpus przechodzą skurcze podobne falom morskim. Zwierzę najwyraźniej straciło przytomność i goniło resztkami sił.

- Go! - po raz ostatni odezwał się Piotr.

Dźwignia przejechała całą skalę aż do maksymalnej wartości 4000 watów. Był to tak zwany cios miłosierny - „blow-out” - a kolejny szalony wstrząs pobrunatniałego już ciała był tylko zwykłą motoryczną reakcją martwego organizmu, z której powodu tylko idioci, zezłościł się w duchu Vlk, tak jak lekarze Pidièvre i Fournier w sprawozdaniu Akademii Francuskiej, potępiają za bolesność i barbarzyńską antyhumanitarność ten najnowocześniejszy (czego by w końcu chcieli?? Żeby klientów usypiać i potem załatwiać ich pałą??) ze sposobów egzekucji. Werble skończyło ostre uderzenie pałeczek i w tym momencie w kabinie symbolicznie zgasło światło.

Rozległy się burzliwe oklaski. Po raz pierwszy bił brawo również przewodniczący komisji. Po chwili się opanował, ale Vlk już wiedział, że może odetchnąć, wydawało się, że wreszcie nastąpił wielki przełom. Na chwilę - w celu zmiany dekoracji - zgasło światło na sali i Vlk aż do szpiku kości zdał sobie teraz sprawę, że stawką w tej grze jest wszystko: zerowy rok szkolny się zamykał, kolej przyszła na

Lizinkę. Po kilku sekundach, kiedy również napięcie na sali doszło do zenitu, rozległ

się głos Alberta, tym razem w ciemności:

- Gdyby nie broń palna, topór, pał, broń biała

i pętla - Historia z pyszna by się miała.

I tak dzięki temu

- bo czas swoje czyni - dzisiaj jest z Historii...

Nagle zapaliły się reflektory. Wszystkie oświetlały latarnię. Pod nią na pojemniku do śmieci stała Lizinka. Płynnym łukiem odrzuciła koronę daleko za siebie, w ciemności, i zrzuciła z ramion płaszcz. Była w bluzce i spódniczce tego samego koloru, jako ucieleśnienie młodej współczesnej dziewczyny i głos Alberta ciągnął jak fanfara:

- ...pierwsza oprawczyń!

Niech nas wiedzie w kosmos przez piaski księżycy

wysmukła i czysta niczym szubienica!

Niechaj wszyscy przyjmą z jej rąk chrzest:

Strangulare humanum est!

Po ostatnim słowie zadudnił z magnetofonu popularny marsz, który cały kraj budził rok za rokiem w świętek i piątek, i w jego rytmie weszła z korytarza czwórka: łukiem triumfalnym z konopnego powrozu, który z obu stron trzymali maszerujący bliźniacy, Albert z Franciszkiem pchali dwukółkę, na której spoczywał pojemny kufer. Również ta czwórka, zdążyła się błyskawicznie przebrać, toteż ich wejście przypominało mały pochód obywatelski z alegorycznym wozem. Przy skandowanych oklaskach maszerowali przez chwilę w miejscu, by na skinienie Alberta wykonać dokładnie wyćwiczone ruchy: Albert sam wyłączył magnetofon, toteż w sali zapanowała dramatyczna cisza, bliźniacy oburącz zestawili kufer na podłogę, tamci przewrócili go. Doktor Tacheci w pierwszym rzędzie, dotychczas jakiś nieswój, z ciekawością pochylił się do przodu i zaraz swoje delikatne ręce zacisnął w pięść: z kufra wypadł związany w kij

58

Šimsa.

- Ale skąd - zapytał Vlk ze zdumieniem; kiedy mu Doktor szczegółowo opowiedział przygody dwójki Šimsa-Tacheci od rendez-vous pod pomnikiem rzeźnika z cielęciami do powrotu porucznika Honsa z zaparzoną kawą do byłej kaplicy - to wiecie??

Aż do tej rozmowy w przytulnej winiarence nie przypuszczał, że to ciemne zajście

dotyczy także uczniicy.

- Od niego samego - odparł Doktor.

- Ale przecież on nie... - wyjąkał Vlk.

Przed godziną widział, jak autożuraw wyciąga z toni sportowy samochód, z którego otwartych drzwi wysuwały się wraz z ciurkającą wodą białe brzuchy ryb.

Doktor wyciągnął portfel i wraz z nim fotografię. Położył ją na stole w odizolowanym zasłoną boksie i podniósł do ust kielich z winem, nie spuszczać oczu z Vlka. Barwne zdjęcie, zrobione aparatem Polaroid, ukazywało bez najmniejszych wątpliwości docenta Šimse, który z lekkim zakłopotaniem, ale zdecydowanie chwacko uśmiechał się do obiektywu. Pod brodą jakoś niezgrabnie, pewnie na życzenie fotografa, trzymał centralny dziennik z wyraźnie widoczną dzisiejszą datą; Vlk zdał sobie natychmiast sprawę, że wczoraj rano, kiedy Šimse miały pochłonać wody pod tamą, ten numer nie był w drukarni jeszcze złożony.

- Ale jak... - usiłował spytać Vlk.

Doktor, żeby już Vlka nie męczyć, w krótkich słowach wytłumaczył mu, że przedwczorajszej nocy docent zupełnie słusznie zwrócił się do niego o pomoc, on zaś na szczęście dotarł w porę do właściwych ludzi. Toteż sprawa nie wyszła poza bramę więzienia, co nie znaczy, że nie wywołała oburzenia. Jeszcze w związku ze starym przypadkiem Mašina wzięto ŠRESZKUK pod lupę w obawie, że do szkoły przeniknął jakiś szkodnik polityczny. I niestety wyszły na światło dzienne materiały mocno kompromitujące właśnie Šimse.

- Ale co... - znowu próbował Vlk, ale Doktor i tym razem go uprzedził.

- Ma odroczone karę - powiedział.

- Ale jaką?? - zdążył wreszcie Vlk dokończyć swoje pytanie.

- Najwyższą - odparł Doktor i kontynuował nie przypuszczając, że podobne zdanie, zupełnie bezpodstawnie, usłyszał kiedyś Vlk o sobie: - Zebrało mu się tego na pięć stryczków. Trzymają go na razie w jakiejś eleganckiej poczekalni dla odfajkowanych, którzy urzędowo mają już za sobą ciach-mach, ale mogą się jeszcze przydać, a Šimsa, Bóg mi świadkiem, że go -

westchnął Doktor

- lubiłem, ale tym bardziej rozsierdził mnie jego brak szczerości, jest umoczony po uszy. Skoro zawiódł szkołę jako jej pierwszy docent, niech ją wesprze jako pierwszy -

zapropował Doktor i do Vlka dopiero teraz dotarło, co groziło Lizince

- klient!

Rankiem ostatniego dnia czerwca powiódł się „odstrzał”, jak chętnie mawiało się w

Pałacyku, Šimsy, ledwo wyszedł z WC, jeszcze w wojskowych „sortach”, w długich białych kalesonach i podkoszulku z krótkimi rękawami; w ten sposób mieli go już bez kołnierzyka. Akcja praktycznie zaczęła się tamtej pierwszej niedzieli wiosennej, kiedy, już po przyjacielskim dogadaniu się, zabrali mu kluczyki od samochodu mówiąc, że go przez jakiś czas zatrzymają, w celu przygotowania do zadania specjalnego. Już mu, dzięki Doktorowi, ulżyło, pragnął jak najprędzej - był teraz pewien, że dziwną niedyspozycję ma już raz na zawsze za sobą - objąć Lizinkę, toteż stanął okoniem. Ale mężczyzna, który się dotychczas koleżeńsko uśmiechał, naraz zoficjalniał i położył przed nim arkusz papieru. Stary atrament wyblakł, wciąż jeszcze jednak prezentował „zeznanie” Šimsy, że zlikwidował rewolucyjną organizację wraz z jej dowódcą.

„...toteż zobowiązuję się - czytał z uczuciem, że gra w kiepskim kryminale - aż do ewent. wykonania wyroku naprawiać swoją winę niezmordowaną służbą rewolucji”.

Był wkurzony, że ten głupi weksel, podpisany przez nic nieznaczącego gołowąsa, przedkładają teraz dojrzałemu specjalście, który dawno przestał robić błędy, również interpunkcyjne, ale kiedy zatrzymał się - tym razem w helikopterze - u progu Pałacyku, nawet po latach poczuł ból w kroku.

Wkrótce jednak się przekonał, że Pałacyk jest teraz dla odmiany jakąś elegancką przechowalnią prominentów przed doniosłymi akcjami. Toż jego współstołownikiem był sławetny szpieg, który przed rokiem wyeliminował z małych ekranów papierowych bohaterów, kiedy co wieczór opisywał, z jakim wstrętem publicznie szkodził za granicą swojej ojczyźnie, ażeby móc jej tajnie pomagać; poufnie wyjawiał Šimsie, że czeka tutaj na zainscenizowanie swojej ucieczki za granicę, gdzie oświadczy, że to tutaj właśnie występował ze wstrętem, co mu tam zaskarbi nowe zaufanie, dzięki któremu będzie mógł jeszcze bardziej szkodzić, czyli w gruncie rzeczy jeszcze bardziej pomagać ojczyźnie. O własnym zadaniu Šimsa na razie dowiedział się tylko tyle, że wymaga kwalifikacji i inteligencji właśnie takich, jakie on posiada: rozumiał to jako przejaw szczególnego zaufania.

Kiedy jednak po drodze z WC kazali mu wejść, tak jak był ubrany, do kufru transportowego, w którym zostanie przemycony do zakładu psychiatrycznego dla wysokich działaczy państwowych, zaoponował, mówiąc że nie ma zielonego pojęcia, co tam ma robić. Dalsze instrukcje, oznajmiono mu surowo, otrzyma na miejscu od znanej mu osoby. Odruchy z okresu służb w tajnych wojskach funkcjonowały do dzisiaj: złączył bosc stopy i skulił się tak, żeby dało się zamknąć kufer.

Kufer był dosyć ciasny i miał złą wentylację. Po wstrząsach i huku Šimsa domyślił się, że jedzie na przyczepie ciężarówki, i próbował widzieć swoją sytuację z tej lepszej strony:

przypomniało mu się, jak to kiedyś z celi na kółkach wszedł na drabinę wielkiej kariery. Zaraz jednak wspomniął podobny do tego kufra bagażnik limuzyny, w którym niewesoło skończył jego użytkownik, i ogarnął go niepokój. Jego samopoczucie pogarszało i to, że niebawem lał się z niego pot i miał obitą każdą kość. Ulżyło mu, kiedy go wreszcie gdzieś złożyli, a potem dokąś nieśli i wieźli na czymś, co miało gumowe koła. Niestety, kiedy kufer znieruchomiał, nie otworzyła go ani znajoma, ani żadna inna osoba: dla Šimsy nastąpiło bezkresne czekanie. Najbardziej go zdeprymowało, że podczas całego transferu nie usłyszał ludzkiego głosu, a i teraz ciszę naruszał jedynie dźwięk, przypominający parchanie.

Jak dawniej próbował beztrząsco zasnąć, ale jakoś mu to nie wychodziło, nie był już z niego młodzik, ani „tajnoarmiejec”, miał już co nieco do stracenia i miał się kogo bać. Bać?... Zaczął w nozdrza wciągać powietrze wokół siebie i przeraził się: jego dotychczas bezwonny pot, przez lata traktowany zagranicznymi dezodorantami, nagle zajeżdżał kwaśno i ostro. Był to znajomy odór, w pierwszej chwili ze wstrętem pomyślał o męskich wychodkach, po czym ze zgrozą zdał sobie sprawę, że dokładnie tak zaczyna nagle śmierdzieć dziewięciu z dziesięciu klientów, ledwie ujrzą stryczek: jak gdyby już na zapas rozkładali się za życia.

W pobliżu rzeczywiście zakwiczało prosię. Zląkł się panicznie, że zostanie z kufra wytrząśnięty prosto w paszczę tunelu wypędowego, którego drewniane ościenie zadudnią od tupotu stada, a on siniacząc sobie łokcie o wystające bierwiona będzie biegł walcząc o życie, póki go tunel nie wyrzuci na kamienny krąg, gdzie do czoła przywrze mu zimna stal. Ujrzał, jak na czole otwiera mu się wielkie oko cyklopowe, tryskające ciepłą galaretą - i zrobiło mu się niedobrze. Jeszcze raz zmobilizował swoją kondycję i swoje morale, zaczął intensywnie oddychać i faktycznie zatrzymał mdłości w przełyku. Fakt, że nie rozpocznie swojej misji od usuwania własnego pawia, uważał za tak znaczące zwycięstwo, że wręcz ogarnęła go euforia. W tym momencie kufer znowu się poruszył.

- *Ça ira!* - wykrzyknął dla dodania sobie odwagi hasło, które przejął od swojego nauczyciela, i ono zdawało się otwierać mu zamki: wieko odskoczyło i wypadł na podłogę.

Przeżyty strach, powstrzymane mdłości, osłabienie zmysłów i mięśni wespół z fałszywym zaprogramowaniem przez Pałacyk spowodowały zaburzenie, wskutek którego psychicznie czuł się jak we śnie, fizycznie zaś jak w stanie nieważkości. Po całych godzinach ciemności oślepiły go reflektory, toteż nie poznał ani miejsca, ani twarzy. Natomiast od razu znalazł się w środku akcji.

- Hep! - wykrzyknął w grobowej ciszy Albert; usłyszał to słowo w cyrku jako polecenie kolejnej czynności i spodobało mu się ze względu na jego lapidarność.

Bliźniacy podnieśli Šimsę do poziomu swoich ramion; jego nogi pozostawały jeszcze

w kufrze podkurczone, niczym podwozie starego aeroplanu.

- Hep! - krzyknął Franciszek.

Jednocześnie bezbłędnie przerzucił przez ramię latarni odpowiednio zapleciony sznur; wybrali ten sposób, zainspirowani fototelegramami DPA z ulic Teheranu, gdzie do publicznych egzekucji używa się oczywiście stałych masztów z krążkami. Nie chcieli tego małpować, toteż przejęli jedynie zasadę, a stara latarnia miała nadać scenie przyjemny koloryt obrazków rodzajowych.

- Hep! - zawołali bliźniacy.

I pochylili głowę Šimsy do przodu jak kafar. Palce Alberta uchwyciły spadający koniec liny i rozmigotały się jak maszyna dziewiarska. W jednej chwili Šimsa miał na szyi taki węzeł podwójny, że normalnie jako pedagog nie posiadałby się z dumy, a jako kolega - z zawiści. Jednocześnie Franciszek miał wiązać klientowi ręce, ale cała czwórka była już przekonana, że doskonale wszystko załatwiła w team-worku: bez porozumiewania się doszli do wniosku, że sukces nie może ich ominąć, i że powinni go przeobrazić w triumf.

Przecucia dobrego pedagoga bywają podobne do przecuć kochającej matki: Vlk przewidział ich zamiar, zanim go zaczęli realizować, i ścierpł. Wieszać klienta, notabene profesjonalistę, i nie związać mu rąk, to była taka zuchwałość, a tak, bezczelność, że można ją było porównać jedynie do wyzwania rzuconego bogom. Jest żelazną prawidłowością, że instynkt samozachowawczy funkcjonuje szybciej niż najlepszy węzeł czy chwyt. Myśl, że Šimsa błyskawicznie zaskoczy, jedną wygimnastykowaną ręką podciągnie się na wysokość ramienia latarni, a drugą z właściwą sobie rutyną rozluźni węzeł i skoczy pomiędzy widzów, doprowadzała go do utraty zmysłów. Co dalej? No, dobrze, pokonają go! A potem?? Komora gazowa była na razie tylko makiętą, w komorze elektrycznej tkwił tucznik, w gilotynie kukła, strzelnica dopiero w przyszłości miała powstać w piwnicy, a garota miała urwaną śrubę; z reperacją się nie spieszyli, nie było powodu. Šimsa nie miał wyroku sądowego, można go było choćby ściąć toporem, ale co na to powiedzą ludzie z branży? Że po roku studiów dostudiowaliśmy się nie dalej jak do średniowiecza? Czemu ci chłopcy szaleją, czemu zbytecznie (i czemu ja tu stoję jak słup soli, kiedy najwięksi mistrzowie nie wahali się zrobić przerwy w samym środku symfonii?) ryzykują?? Stójcie! - chciał im rozkazać autorytatywnie, ale uprzedzili go.

- Hep! - zawołali chórem Albert, Franciszek, Piotr i Paweł; pierwsi dwaj uwiesili się na sznurze, swobodnie spływającym ku ziemi, i płynnie go ciągnęli, dwaj następni z całej siły pchali klienta w górę. Šimsa z nogami stale podwiniętymi i skrzyżowanymi jak Budda, ciągnięty za szyję, z wolna, ale nieprzerwanie wyjeżdżał nad głowy dzieciaków. Ściśle

według ustaleń zakneblowali mu oddech i głos, ale na razie to było wszystko. Jego ręce wystrzeliły w górę, kiedy wytrzeszczone oczy ujrzały tuż przed sobą - znajoma osoba! ucieszył się w duchu, da znak! - ukochaną twarz

Lizinki. W dogasającym tymczasem i zmęczonym, czyli w wypaczonym umyśle szczyt osiągało przekonanie, że ostatecznie budzi się z okropnego snu do wspaniałej rzeczywistości. Usłyszał szum wody i już było dla niego jasne, że przysnął w wannie swojego domku letniskowego, oszołomiony pokrewieństwem letniej wody i dziewczęcego ciała, które się go dopiero spodziewa. Od tej niespodzianki mimo woli opadły mu ręce i natrafiły na twarde mięsień sterczącego członka. Musiał się uśmiechnąć do snu o swojej impotencji! Ścisnął jej delikatne piersi, ale to już był kolejny i ostatni sen, ponieważ

Lizinka na pojemniku do śmieci delikatną lewą ręką ścisnęła jego brodę, a delikatną prawą ręką jego potylicę, ażeby zaraz potem przeprowadzić rup-chrup jak z

59

podręcznika.

- No, tego aż nadto! - powiedział Vlk z oburzeniem, aczkolwiek wiedział, że portier jest niewinny.

Brzmiały mu jeszcze w uszach frenetyczne oklaski, okrzyki Brawo! i Bis!, prawicę mu rozgrzewały niekończące się gratulacje, a serce przepelniały nieznane uczucia. Kiedy razem z widzami wstali Doktor i przewodniczący komisji, ażeby brawami wywołać na scenę belfra- autora, ogarnął Vlka taki przyływ dumy z samego siebie, jaki nie ma nic wspólnego z płytką zarozumiałością, jest wszakże zasłużoną - niekiedy również jedyną - nagrodą gigantów; podobnie, teraz to wiedział, radował się w sobie samym Michał Anioł, kiedy odciął ostatni kawałek kamienia z Dawida, czy Nobel patrząc na ruiny swojego laboratorium, kiedy miał pewność, że wynalazł dynamit i może ufundować wiekopomną nagrodę. Nie było w tym przesady, przecież każdy gratulujący powtarzał, że oto dzisiaj, 30 czerwca, wybiła „godzina zero” nowej epoki cywilizacyjnej.

A szczególne uczucie żywił do swoich uczniów! Kiedy go naraz - Vlka wyjątkowo wzruszyło, że między nimi jest i Szymon - oto - czyli ni stąd, ni zowąd - Doktor właśnie przeproszał, że obowiązki nie pozwalają mu razem z nim smakować jego radości, a były prokurator twierdził, że go do tej chwały pchnął z własnej fantazji, gdyż z popiołów Hofbauera, jak teraz wesoło przyznał, mógł przeczytać mniej niż z fusów - zaczęli z

entuzjazmem podrzucać go aż pod sufit, tak że z bliska patrząc w górę na oblicze Šimsy mógł delektować się tym, że czysty rup-chrup rzeczywiście potrafi utrzymać za zębami napuchły język, i zapomniał o konfliktach i klasyfikacjach, drobnych chuligaństewkach i bolesnych zawodach. Wyrzucały go i chwytaly ręce uczciwych i dobrze wychowanych młodych ludzi, którzy przez cały rok z ufnością oddawali się w jego ręce, jak posłuszne i wrażliwe instrumenty, bez których nie zagrałby swojej arcykompozycji. Zrobiło mu się żal, że się z nimi - poza Lizinką i Albertem - rozstaje, i postanowił wymyślić coś - może staże, może atestacje - żeby ich całkowicie nie stracić z oczu. A może zjazdy abiturientów? - zaświtało mu w głowie. Przymknął powieki i już widział roześmiany korowód wszystkich roczników, a na jego czele wraz z nim kroczą, uwieńczeni i udekorowani, ci właśnie pionierzy.

- *C'est très intéressant et très joli*¹³! - powiedział mu z zachwytem ciemnoskóry gość.

Kiedy nawiązał z nim rozmowę, obcokrajowiec potwierdził jego przewidywania, że w jego „patrie” do dziś skazańcy odchodzą „primitivement” do dżungli, a żeby ich zeżarł „quelqu' animal”, w dodatku „sans contrôle”. Po dzisiejszym pokazie zaproponuje, przeszedł nagle na angielski, „to my uncle, the President”, obowiązkowo wprowadzić „hanging”. Jego „homeland”, ciągnął, nie jest dotychczas „comfortable enough”, a żeby mógł sobie pozwolić na zapraszanie „masters of know-how”, jak nazwał doradców, nie mówiąc już o takiej - wywalił język w kierunku Lizinki i złożył na nim obydwie palce wskazujące, co pewnie stanowiło wyraz najwyższego podziwu - ale może pomogłaby jego „splendid idea”. Po czym, najpewniej z podniecenia, przeskakiwał z języka na język nie wyłączając jego narzecza plemiennego, kiedy zaproponował, że jego „patrie” mogłaby dostarczać „bananas and coconuts” w zamian za „urdli manghi penghe”; określenia nie potrafił przełożyć, wciąż wskazywał na załatwionego Šimsę, na koniec włożył na pojemnik na śmieci i palcem dotknął pętli. Pomysł eksportu stryczków zainteresował Vlka, a przedstawiciel Nestora obiecał się tym zająć: toż państwo by zyskało rzadkie owoce egzotyczne za odpowiednio zawiązany kawałek sznura.

Vlk chętnie byłby się podzielił swoimi wrażeniami z którymś z państwa Tachecich. Doktora Tacheciego jednak nigdzie nie zauważył, a córeczka była hołubiona przez matkę, dziadka i niemal wszystkich honorowych gości: pośród powszechnego zachwytu przewodniczący komisji nie odważył się odmówić jej stopnia celującego i w ten sposób uznał ją za królową egzaminów. Kiedy nawet obcokrajowiec spytał z poządlwością w oczach, czy jest „that hang-girl single”, Vlka ogarnęła taka zazdrość i żądza, że najchętniej wyrwałby ją z tego kółka adoracyjnego i zamknął się z nią w gabinecie. Odpędził od siebie tę myśl jako

¹³ *C'est très...* (fr.) - To bardzo interesujące i bardzo ładne.

nieszlachetną, przecież byli dokładnie umówieni, a on przedtem jeszcze musiał rozwiązać drugi superproblem. Przynajmniej miał nadzieję, że już wkrótce będzie mógł swoje zwycięstwo szczegółowo opisać Małgorzacie. A na drogę do tego już po raz trzeci uniemożliwił mu napis JESTEM U DENTYSTY.

Przez chwilę przyglądał mu się z niedowierzaniem. Po czym pobiegł labiryntem suteryn z powrotem do foyer sądu i zaczął wbrew swoim zwyczajom krzyczeć na portiera, który nic mu nie mógł pomóc.

- Już go szuka nawet - tłumaczył się tamten niezręcznie - żona.

Ale to Vlka zupełnie nie interesowało. Uzmysłowił sobie, że jest beznadziejnie dawno po godzinach urzędowania, tak że nie pomoże mu nikt. Brak tego głupiego kawałka papieru mógł zniszczyć pracowicie zbudowaną konstrukcję czasowych następstw i zakłócić kilka ludzkich losów. I kiedy w oczach stanęły mu łzy bezsilności, tym bardziej dotkliwiej, że runął z nią z wyżyn wszechmocny, przed wejściem zjawił się Doktor. Zacerwienione policzki i szybki oddech zdradzały jego pośpiech. Vlkowi kamień spadł z serca. Uprzedził go wszakże portier.

- Vonásek! - wykrzyknął z całym gniewem, który zainkasował od Vlka. - Gdzie się przez cały dzień, człowiecze, szlajasz?? Właśnie pan doktor -

ciągnął wskazując na Vlka z przesadnym szacunkiem

- od samego rana was tu szuka!

Boże - pomyślał Vlk - ten facet oszalał! I zaraz zwrócił uwagę portierowi:

- Słuchajcie! To jest przecież...

- A tak! - pocziwie potakiwał głową portier. - To jest Vonásek. Właśnie pan doktor - oburzył się znowu na Doktora

- chciał już iść do pana prezesa i gdyby nie ja...

Już go Vlk chciał zwymyślać, ale uprzedził go Doktor:

- Bardzo wam dziękuję - powiedział tonem przepaszającym, tak że to zabrzmiało niemal służalczo - panie Tuma, pękł mi mostek i musieli robić nowy odlew, ja wam -

zwrócił się do Vlka tak natarczywie, że aż to zabrzmiało desperacko

- panie doktorze, zaraz postaram się załatwić, co trzeba, proszę iść za mną!

Ujął Vlka pod rękę i uprzejmie poprowadził ku schodom do suteryn. Labiryntem przeszli bez słowa. Dopiero kiedy odsunął kratę, zdjął z niej napis i wprowadził gościa do pewnego rodzaju rotundy, z której promieniście biegły w głąb suteryny cztery sklepione tunele z regałami, zmęczonym wzrokiem spojrzął Vlkowi w oczy i przemówił.

- Czym mogę służyć?

- Zgubiliśmy z żoną - powiedział Vlk bezbarwnie - akt ślubu...

- Ach! - powiedział Doktor. - Że też mi nie powiedzieliście wcześniej, byłbym go wam wziął... ale i tak zdążycie, macie sprawę za dwanaście minut, nieprawdaż? Proszę usiąść!

Zdejmując ciemną marynarkę wskazał mu jedyne krzesło w pomieszczeniu, świadczące o tym, że tutejszy pan interesantów załatwia od ręki; Vlk ze zdumieniem ujrzał koszulę z łatami na łokciach. Następnie z haka na ścianie zdjął cajgowy kitel i z przepaszającym uśmiechem zniknął w jednym z tuneli.

Vlk wyprostował się szybko i zaczął się usilnie rozglądać, szukając jakiegoś wytłumaczenia. Nic nie odróżniało tej kancelarii od wielu tuzinów innych: półki, rejestry, segregatory, drabinki, ściany i podłogi polakierowane mieszanką przeciwkurzową. Jedyna tylko rzecz miała tu piętno indywidualne: pomiędzy dwiema stertami teczek stała na pół zasłonięta ramka z fotografią kobiety. Ramka była secesyjna, z ażurowej blachy miedzianej; kobieta miała minę kłótlivej sprzedawczyni czy konduktorki, nieustannie zły, że musi obsługiwać strojnisię, które były na tyle bezwstydne, że potrafiły lepiej się urządzić. Vlkowi się zdawało, że ma zamiast głowy szklanę z rozmieszana mieloną kawą: w ciemności wirowało mu mnóstwo części mowy nie mogąc się ułożyć w jakąś całościową myśl.

- Wasza żona ma na imię Małgorzata?

Vlk drgnął słysząc tuż za sobą głos Doktora.

- Tak... - powiedział.

Czuł, że jego surowe milczenie zwiększa napięcie, ale o czym ma, na litość boską, mówić?

- Oto jest - powiedział Doktor podając mu poźółkłą kartkę - oryginał, którego nie wolno wynosić poza kancelarię, ale nie zdążylibyśmy zrobić teraz kopii, więc go weźcie i potem łaskawie zwróćcie.

- Dobrze - powiedział Vlk i przymusił się, żeby przynajmniej dodać: - Dziękuję...

- To ja - powiedział Doktor, a Vlkowi przysła do głowy zbawcza myśl, że to może być jedynie do złudzenia podobny sobowtór - ponownie wam dziękuję, osiągnęliście wielki sukces, i może usprawiedliwię swoje spóźnienie wiadomością, że wywołał on jeszcze ważniejsze reperkusje, słowem ŚRESZKUK -

ciągnął Doktor potwierdzając tym swoją tożsamość

- wygrał na całej linii i następstwa długo na siebie nie każą czekać, teraz jednak pragnę skorzystać z pozostających -

ciągnął Doktor, spojrzawszy znowu na zegarek

- siedmiu minut luzu i powiedzieć parę słów o sobie, tak, nazywam się Vonásek i

nigdy nie miałem tytułu uniwersyteckiego, a że pozwalałem zwracać się do siebie per Doktor, służyło to, jak sami widzicie, nie mojej karierze, ale dobrej sprawie. Jest czymś paradoksalnym, że tak jak was wychowanie rodzinne przeznaczyło do zawodu nauczycielskiego, że mnie los uczynił słabego, chorowitego, a zatem niemogącego się opędzić od okrutnych rówieśników chłopca, wyśmiewanego w dodatku przez nieczułych rodziców, i wobec tego gorąco zawsze pragnąłem stać się wykonatorem, a tak -

kiwnął głową, kiedy zarejestrował zdumienie Vlka

- pragnąłem wszystkich własnoręcznie, a przy tym bezkarnie zabić, a w moim dziecięcym stoliku kryły się zabawki, które rodziców przyprawiłyby o zawał, gdyby chciało im się zwracać na mnie uwagę: od prymitywnej jednoplanowej rękawicy aż do względnie udanego modelu gilotyny, zdolnej przeciąć cieńszy ołówek; frustracja dziecięca opuściła mnie oczywiście wraz z wiekiem dojrzewania, ale czas wojennych bestialstw, choć nie doświadczył mnie aż tak, jak -

nadmienił Doktor, wrywając Vlka z nagłego zastanowienia, jak ma go teraz tytułować

- was, spowodował, że poza szkołą i amorami poświęciłem się wyłącznie studiowaniu najwyższej kary i stałem się jej zwolennikiem, powiedziałem już „poza amorami”, otóż szybko się zakochałem i niestety niezbyt szczęśliwie, szukając w objęciach kobiety znacznie ode mnie starszej opieki i czułości, której mi poskapili rodzice, ponieważ jej -

Doktor zniżył głos, jak gdyby ten intymny epizod napelniał go zawstydzaniem

- dojrzała namiętność wtrąciła mnie w uczuciową i cielesną zależność, którą może potępić jedynie gołowąsy głupiec, a nie męczyzna waszego formatu, cóż, miało to być pomyslnie dla moich planów - tak mi się przynajmniej z początku zdawało - że moja małżonka, a tak, wzięła mnie za męża w dzień ukończenia przeze mnie pełnoletności, abym nie był zdany, jak mówiła, na pastwę żywiołów, ona była urzędniczką administracji sądowej, od niej słyszałem, że szuka się kogoś na miejsce starego Husa, i zgłosiłem się od razu, ale wtedy małżonka oświadczyła, że nie mogę narażać naszego dobrego nazwiska, póki w sposób znaczący nie podniosę stawki, na próżno oponowałem, że to nazwisko nie jest aż tak znamienite, był to z jej strony blef, przeczytała w jakimś brukowcu, że katu przysługuje prawo ostatniej nocy!, stało się, co się stać miało, państwo, które nigdy nie płaci zbyt skwapliwie, postanowiło rozwiązać problem -

Doktor spojrzał na Vlka, któremu trzydzieści lat post festum przypadł dzisiaj już drugi owoc z drzewa wiadomości

- inaczej, nie dokończyłem nawet studiów, małżonka bała się, że mógłbym się dać

poderwać wyrachowanym koleżankom, a kiedy nie wpuszczono jej wraz ze mną do auli, gdyż nie miała indeksu a wyglądała dorośle, zwymyślała obecne tam studentki od kurew i zabrała mnie na zawsze ze sobą, ja się -

pospieszył wyjaśnić Doktor wyciągając przed siebie obie dłonie

- nie uskarżam, wykorzystuję tylko sposobność, żeby za swoje incognito zyskać wreszcie przyjaciela, bez kwalifikacji wylądowałem w końcu tutaj, co małżonce do dzisiaj zadziwiająco odpowiada, ponieważ ze wszystkich kobiet tylko ona wie, że tu jestem, tak minęły pierwsze lata, kiedy mnie poufnie poprosił prokurator wojewódzki, który zgubił tajny dokument, żebym mu go odtworzył, a w zamian wydębilem wejściówkę na egzekucję, załatwialiście wtedy tego ślepcę, przypominacie -

spytał Doktor żywo, a Vlk, choć już nie miał pojęcia, o kogo chodzi, skwapliwie przytaknął, ażeby zaraz potem zdać sobie sprawę, że Doktor oddziaływałby na niego magicznie, nawet gdyby pracował przy wybieraniu nieczystości z wychodków

- sobie? Uczyniliście gest godny granda hiszpańskiego, kiedy mu jeszcze pod UBIENIEM wmawialiście, dając nam palcem na ustach rozkaz milczenia, że został amnestionowany i że mu tylko bierzecie miarę na -

Doktor oburącz naśladował jego dawne ruchy, a Vlk sobie przypomniał swoje wczesne próby stosowania wobec klientów psychologicznych metod

- marynarce, przypadek mi podsunął myśl, prokurator, który beze mnie byłby zgubiony, musiał mi w przyszłości dawać po trzy, pięć, a później i więcej wejściówek, które ja z kolei w zaufaniu proponowałem innym panom, którzy potrzebowali czegoś ode mnie, dzięki czemu zyskałem opinię człowieka z wpływami, a także niewykluczone, że z dwoma stanowiskami, burzliwe czasy puściły niebawem w ruch karuzelę, tak że byłem również przy tym, kiedyście załatwiali prokuratora wojewódzkiego, tylko bilety dał mi już jego następca, któremu przedtem ja się o nie postarałem, a kiedy przez wasze ręce przeszła trzecia runda, byłem już tylko Doktor i nikt nie wiedział o tej dziurze, podczas gdy małżonka nie wie do dzisiaj o -

zaśmiał się, a Vlk musiał przyznać w duchu, że on go nigdy nie przestanie zaskakiwać

- Doktorze, myślcie o mnie, co chcecie, ale nałożyłem na nią tę karę za wszystkie inne, na które zasłużyła, nie wie i nigdy się nie dowie, że jej szary kocur jest w rzeczywistości szarą eminencją, wpływającą na najwyższe decyzje o życiu i -

Doktor uderzył okrągłą piąstką w stół, aż podskoczyła fotografia

- śmierci, nie taję, że to także zasługa epoki, w której najsubtelniejsze rozkazy wydaje się na gębę, ponieważ nikt nie życzy sobie, ponosić kiedyś za nie prawnej odpowiedzialności

czy choćby być oplutym w czytankach, ale przede wszystkim wynik mojej własnej taktyki i zręczności, Bóg i -

zwrócił się do niego Doktor, wbrew swoim zwyczajom, patetycznie i Vłka ta poufałość nie wiedzieć czemu ucieszyła, choć nie przyszłoby mu do głowy, że mógłby ją odwzajemnić

- wy, Fryderyku, jesteście moimi świadkami, że tego nigdy nie wykorzystałem dla siebie, ale zawsze miałem na względzie interes wszystkich ludzi dobrej woli, których jedynie ciach-mach ratuje przed zagładą, toteż pozostawiam wam do zastanowienia się, czy ma nadal istnieć budzący trwogę, choć dla was już od tej chwili nie tajemniczy Doktor, czy też nieszkodliwy, ale też po prostu bezużyteczny pan -

skończył niespodziewanym znakiem zapytania

- Vonásek?

Przytłoczony tą opowieścią jak lawiną, a poza tym wyrwany do odpowiedzi w środku zdania, zadał Vłk, ażeby cokolwiek zyskać na czasie, przeciwpytanie, które nie dotyczyło sedna sprawy, ale mimo to go interesowało.

- A po co tu macie jej fotkę?...

- No bo - odparł Vonásek (w tym przypadku, pomyślał Vłk, takie nazwisko mu pasuje!...) - przychodzi sprawdzać, czy ją mam, a że z pomocą fantazji poddaję ją egzekucjom, które właśnie (tak! i w tym przypadku jest to Doktor!) widziałem, toteż teraz po egzaminach mistrzowskich zaznam błogiej ulgi, wyobrażając ją sobie pogrzebaną za życia, utopioną w worku, nabitą na pał, ściętą, upieczoną jak prosię i zawisłą (Boże! zdumiewał się Vłk, czemu to on nie nazywa się Vłk??) jak sflaczały balon na latarni, co za -

zawołał i klasnął z zachwytem w dłonie

- rozkosz!

Jednocześnie na korytarzu nasilał się dźwięk, który Vłkowi utożsamiał się raczej z szumem informacyjnym.

- Ten portier - powiedział pospiesznie - mówił coś, że was poszukiwała...

- Kiedy?... - wystraszył się Doktor. - Czemuście mi tego...

Kłamka została energicznie naciśnięta i drzwi raczej wyważone niż otwarte. Oryginał przewyższał fotografię pod każdym względem. Każdy ze stu kilogramów zdawał się emanować energią.

- Należy się dziesięć - powiedział Doktor gderliwym głosem kancelisty - korun.

Drżącymi palcami Vłk wyjął portmonetkę i jak na złość nie miał właściwego banknotu.

- Janku! - powiedziała olbrzymka. - Co tu jeszcze robisz?!

- Aa, cześć, Marychno - powiedział Doktor radośnie, jak gdyby rzeczywiście się ucieszył - właśnie pan doktor musi pilnie...

- W odróżnieniu od Afryki - rzekła stupudowa Marychna, nie spojrzawszy nawet na Vlka - obowiązują u nas godziny urzędowe.

- Ja - powiedział Vlk - bardzo się...

Nie dokończył, ponieważ akurat znalazł dziesięciokoronówkę, a poza tym stwierdził, że baba go i tak nie słucha: rzuciła spojrzenie na swój portret, a potem po kolei sprawdziła wszystkie cztery tunele; z nieufnej miny można było wyczytać podejrzenie, że tam między teczkami ukryta jest naga kurwa. Vlk podał Doktorowi banknot, a Doktor mu go oddał z powrotem.

- Do widzenia - powiedzieli obaj bezosobowo.

- Wnioskodawczyni - monotonnie odklepywała kobieta - zdawała sobie sprawę, że jej zazdrość jest bezpodstawna, albowiem strona przeciwna przez cały czas trwania małżeństwa wzorowo wypełniała swoje obowiązki w miejscu pracy i w domu. Jednak wciąż była zazdrosna, a gdy strona przeciwna jej to wytykała, z powodu urażonej dumy odmawiała stronie przeciwnej stosunku płciowego i wskutek tego doszło do dalszego rozpadu pożycia małżeńskiego. I chociaż każde z małżonków przejawiało dobrą wolę, nie dało to żadnego pozytywnego rezultatu i dzisiaj sytuacja jest taka, że wnioskodawczyni i strona przeciwna nie mają do siebie uczuciowego odniesienia. A jako że to małżeństwo tym samym przestało spełniać funkcję społeczną i uniemożliwia współmałżonkom nie konsumującym go reprodukcję się poprzez dzieci, sąd małżeństwo

60

Małgorzaty i Fryderyka Vlków rozwiązał - dodała sędzina odkładając kartkę - orzekając rozwód. Wyrok będzie wysłany w dwóch jednobrzmiących kopiach, dokąd?...

Po raz drugi dzisiaj nie był Vlk zdolny natychmiast zareagować.

- Proszę? - zapytał speszony.

- Na jaki adres mamy posłać - spytała sędzina już nieformalnie, wstając - wyrok?

- Jak to? Na nasz adres!... - powiedział Vlk.

- Ja tylko - powiedziała z całą uprzejmością sędzina i zaczęła rozpinąć togę - pytam dlatego, że właśnie się rozwiedliście.

- Ach! - zrozumiał Vlk. - Zapomniałem o tym, proszę to -

po czym zupełnie ochłonął i powtórzył z zakłopotaniem

- posłać na nasz adres, oboje tam będziemy nadal mieszkać...

- No proszę - powiedziała sędzina wzruszając ramionami i przedkładając im protokół.

Następnie zdjęła togę, pod którą miała płócienną letnią sukienkę.

Zanim jego była żona złożyła podpis, Vlk miał możliwość porównania: dziewczyna nie była nawet dwudziestopięciolatką, miała dobrą sylwetkę, ale przy Małgorzacie robiła wrażenie gąsienicy przy motyłu. Już kiedy z suteryny biegł na pierwsze piętro kamienicy, o tej porze podwójnie posepnej, zatrzymał się na przedostatnim schodku i z podziwem patrzył w stronę drzwi sali rozpraw. Małgorzata Vlkowa zgodnie z umową ubrała się już na wieczorny program: miała długą muślinową suknię z oryginalnymi plisowanymi rękawami, które przy wyciągnięciu ręki rozwierały się jak wachlarz; z suknią niesamowicie kontrastowały krótkie włosy, na życzenie Vlka ufarbowane na biało. Choć nigdy nie widziała Lizinki, dzięki jakiemuś szóstemu zmysłowi podkreślała na sobie każdy detal, którym się od niej różniła, i nawet swój wiek tym sposobem przemieniła w activum.

Vlka ponownie zabolalo, że taką podniosłą piękność niespełna tydzień temu pozwolił sobie, wściekle zacisnął zęby, zbecześcić szczeniak, który przedtem najwyżej się onanizował. Znowu jej zapragnął tak, że kusiło go, żeby wziąć ją w objęcia i osiąść chociażby na schodach wiodących na strych, a potem zaciągnąć ją jak najdalej od tych drzwi, za którymi papier przebitkowy miał przeciąć ich nieuchronne powinowactwo z wyboru. Musiał sobie szybko przypomnieć, że przed tą rozpaczliwą stratą doskonale się ubezpieczył i że kryzys był właściwie wodą życia, która ocuciła półumarłą - w ostatnim tygodniu znowu się kochali codziennie - miłość. Dlatego teraz Małgorzacie tak czule ucałował rękę i wyszeptał, ażeby nie zdradzić swojego przejęcia:

- Co się stało?

- Nic - odparła niby to od niechcenia i potrząsnęła białą głową jak zwycięski siwosz - to masz po swojej matce.

Po czym zwięźle opowiedziała historię, którą przed nim, teraz już wiesz dlaczego, uśmiechnęła się, zataiła, wypatrzyła ją w domu, byleś gdzieś na wyjeździe, taktownie określiła jego wycieczkę siostra Vlka, a tak! Ta, dla której przez trzydzieści lat nie byleś warty nawet pocałowania w nos! Jej syn podpisał jakąś petycję i ma do dzisiaj kłopoty z repetycją, ale to chodzi o wnuczkę, z powodu ojca nie wzięli jej na pielęgniarkę dziecięcą, a twoja siostra sądzi, że jej byś nie musiał mieć za złe tego, czy, wobec ciebie, nastaw uszu!, zawiniła twoja rodzina, i mógłbyś jej pomóc się przepchać, stale przy tym, kończyła

Małgorzata, pochlipywała, po czym mi dała sukienkę, która ponoć najbardziej ci się na mnie podobała!

Sukienka, którą teraz postrzegał, na szczęście, sercem, a nie pamięcią, była w rzeczywistości tak demodée, że ją w swojej złości na Vlka rzuciła do śmietnika, ale w nocy, kiedy na niej pierwszy raz w życiu pojękiwał ten kochaś, którego sama spiła i uwiodła, doszła do wniosku, że zbyt łatwo by się to Vlkowi upiekło. Rano po wypraniu odniosła sukienkę z powrotem do salonu mody, który uważał za tak bezwstydnie drogi, że nawet wymyślił kiedyś slogan

ICH KLIENCI - MOI KLIENCI!

Kiedy stosunki między nimi cudownie się poprawiły, nie chciała się do niego zwracać o tak wielką sumę, a kiedy potem przyjechała ta nieszczęsna... w ogóle już nie mogła. W dodatku opuściła ją energia, która jej wcześniej pozwoliła nie tylko przeżyć wstrząs, ale także hołubić tego ministerialnego byczka, aby ją przejściowo emablował, zanim ona sobie znajdzie - z przejściem czekała na nocne zmiany w przyszłym tygodniu, kiedy będzie mogła ich wypróbować na fotelu dentystycznym - porządnych macherów. Przed samą sobą ze smutkiem się przyznała, że bez tego wspaniałego, chociaż trochę kłopotliwego mężczyzny nie wyobraża sobie życia, nawet gdyby ją codziennie uszczęśliwiali wybrani kochasie i macherzy. Teraz, kiedy z tą przeklętą... znowu i na zawsze odpląnął ich syn, nie czuła nawet moralnego prawa potępiać życiowej eksplozji Vlka; dawno już wiedziała od zaprzyjaźnionych lekarzy, jakim zabiegom poddawał się dla posiadania dziecka i jak szlachetnie przed nią kłamał. Jej pozycja nie była godna pozazdroszczenia i każdy inny mężczyzna raz-dwa by z nią zerwał. Swoisty plan Vlka, na pierwszy rzut oka upokarzający, jawił jej się w tym świetle nie tylko jako koło ratunkowe, ale też jako wyraz bezprzykładnego ludzkiego zaufania. No bo i on ryzykował: gdyby go zawiodła, mogły go spotkać potworne konsekwencje.

W zasadzie odetchnęła, ale nie zapłacona sukienka i niebezpieczeństwo recydyw kazały jej postawić, choć to sprzeciwiało się jej naturze, warunek: już nie zamierzała co do grosza wyliczać jak skrzętna gospodyni, ile on, a ile ona dają na dom, ale brać, z kasetki, którą dotychczas zamykał na klucz, ile będzie jej potrzeba, tak jak to robi on i będzie robić, być może, ktoś jeszcze, zgodziła się z wielkodusznością, która nic jej nie kosztowała. A kiedy on niespodziewanie łatwo powiedział: tak, zdała sobie sprawę, że mogła zażądać znacznie więcej, i zaczęła trochę żałować, że nic jej nie przyszło do głowy. A potem, mając już na sobie model, który tak łatwo zdobyła, a obok siebie mężczyznę, którego nigdy nie straci, z lekkim sercem poszła się rozwieść.

- Bardzo pani dziękuję - powiedział Vlk, kiedy podpisał się po Małgorzacie.

Naprawdę miał za co: sprawa, którą oczywiście załatwił Doktor i w końcu przez nią jak na ironię losu został zdemaskowany, odbyła się w jedynym terminie, jaki Vlk miał wolny, praktycznie na poczekaniu.

- Nie ma za co - powiedziała sędzina wkładając toę do igelitowej torby, z której wcześniej wyjęła kostium kąpielowy.

- A to - powiedział Vlk podając jej kopertę - na lody!

Żartem maskował irytację, przecież sensem jego działalności było niszczenie wszelkiego rodzaju zła społecznego, sam też nigdy nie dostawał żadnych łapówek; nie mógł jednak nie respektować podpowiedzi Doktora, że „strojnisia”, prezeska, którą pozyskał do tej sprawy, będzie musiała wyskoczyć z „chaty”, gdzie spędza urlop.

Prezeska jednak koperty nie wzięła.

- Proszę dać z tym spokój - powiedziała ku jego zdziwieniu - nie ma o czym mówić.

- Musiała pani - upierał się uprzejmie - specjalnie przyjechać.

- Jeśli już - wytchnęła nagle, jakby to długo ćwiczyła - tak pan nalega to mój narzeczony ma braciszka bardzo zdolnego - mógłby go pan przeegzaminować??

- Jakże to... - wyjąkał i zaraz się poprawił: - O co to?...

- Przepraszam, zapomniałam - powiedziała dziewczyna z miną winowajczyni, wyglądała teraz jak uczennica i Vlk poza wszystkim zdążył się też zdziwić, że takie młode już sądzą - się przedstawić: jestem Zelenkówna.

- Bardzo mi miło - powiedział z wyczuwalnym rozdrażnieniem w głosie - ale to mi jeszcze nie...

- Wilhelm - szybko wtrąciła się - Zelenka to mój ojciec, początkowo chciał pana dopaść sam, ale musi dziś załatwiać, jak on ich nazywa, dysydyntystów!

Vlkowi stanął przed oczyma udający nędzarza starzec, który mu w hałaśliwym tramwaju szepetliwie się chlubił, że jego córka dofała się na uniwersytet. Jak tylko jej się każe, usłyszał głos Doktora, będzie rozdawać cięgi i stryczki. Spojrzał na nią nowymi oczyma: ten rozwód w każdym razie przeprowadziła jak stary kozak.

- Sławka! - powiedział. - Już wiem. Przynosi mu pani zaszczyt, kochana. Proszę mi zapisać jego adres.

- Szanowny i kochany panie profesorze - przemówiła stremowana tym, że przypadł jej ten zaszczyt, oraz bliskością Vlka - proszę pozwolić, żebym panu jeszcze raz na spokojnie i w gronie najbliższych przyjaciół z całego serca pogratulowała życiowego sukcesu i podziękowała za opiekę, jaką pan otoczył nasze

dzieci...!

Pani Łucji Tacheci powierzyli pozostali rodzice wygłoszenie przemówienia gratulacyjnego, ponieważ sama je zaproponowała. Myśl, żeby nawiązać z Vlkem kontakt za pomocą tak niezwyklej formy, pozwalającej przy tym długo wpatrywać mu się w oczy i do niewinnego tekstu dołączać poufny podtekst, naszła ją w sobotę, jak tylko Vlk ich opuścił. Była niemile zaskoczona, kiedy doktor Tacheci, którego pro forma o to poprosiła, zabrał się zaraz do pisania tego przemówienia, tak że z trudem udało jej się potem wywołać inny konflikt, który wypłoszyłby go do łazienki, ażeby w nocy mogła wypuścić się do Oskara. Tego z kolei o mały włos nie doprowadziła do szału, żądając tym razem, żeby zgasił wszystkie wyrafinowane światła sexy i pozbawił w ten sposób pokarmu swoje żądne rozkoszy oczy; a co byłoby, gdyby w dodatku wyczuł, że będąc w jego niepokonanych objęciach, w duchu oddaje się Vlkowi! Tekst przemówienia gratulacyjnego znalazła rano wraz z kawą na progu sypialni.

Wieczorek abituriencki był od początku planowany w pomieszczeniach szkolnych, a zastrzeżenia, jakie miał w pierwszej chwili Nestor, Vlk jeszcze z Šimsą obalił argumentem, że jest jak najbardziej wskazane, żeby rodzice poodychali atmosferą szkoły i nawet na jej zamkniętym terenie wszyscy się dobrze spili. Później dokładnie rozpisano, co która rodzina kupi do picia i przygotuje na ząb. Nikt nie przeczuwał, że banalne zaniedbanie, jakie bywa raczej przyczyną katastrof, tym razem dostarczy im pierwszorzędnego przysmaku. Kiedy wruszeni goście wreszcie się rozeszli - po odejściu Vlka Albert w roli gospodarza potwierdził swój rosnący autorytet - a dzieciaki myły się i przebierały w WC, gdy tymczasem rodzice pod nadzorem Karlika przygotowywali stoły i bufet, wzajemnie się przy tym poznając, poczuli wszyscy wyraźny zapach. Szukając jego źródła Karlik otworzył kabinę z krzesłem elektrycznym i... pognął po gaśnicę!

Piotr i Paweł trenowali elektrokcję tak zawzięcie, że byliby ją pewnie opanowali i bez prądu. Ale w oszołomieniu, w które owacja wprawia również matadorów, nie dociągnęli na koniec reostatu do zera. Dźwignia została mniej więcej na liczbie 180 i prosię... piekło się. Trwogę wyparł wesoły entuzjazm. Albert szybko obliczył, że nie ma niebezpieczeństwa pod warunkiem, że nikt nie dotknie bezpośrednio skóry, toteż postanowiono kontynuować pieczenie. A że kabinę już i tak należało do czysta wymyć, zaczęto wieprzka polewać wodą, ażeby pieczeń była soczysta, pod krzesło zaś wstawiono wszystkie metalowe naczynia spod

gilotyny szkolnej, które żartem nazywano „płciowymi”; spływała do nich większa część tłuszczu i soku.

Uroczysty stół z dziewiętnastoma - liczba ta poza uczniami i personelem szkoły obejmowała państwa Husów, Kazików i Tachecich, inżyniera Aleksandra, matkę bliźniaków i obu ich ojców - krzesłami powstał nie bez uczniowskiego poczucia humoru, a to w taki sposób, że na długą ławę do tortur z GAKLASU położono obie zdemontowane połowy tablicy szkolnej i przykryto czarną tkaniną dekoracyjną, którą w styczniu uczniowie uczyli się obciążać klasyczne rusztowanie. Na razie siedzieli przy nim jedynie - wszyscy pozostali tworzyli wciąż zmieniające się grupki - starszy mężczyzna i młoda kobieta. Hus senior, który się musiał kiedyś pogodzić z utratą umiłowanego fachu, był teraz zraniony porażką jedyne go syna tym mocniej, im trudniej mu było po wyjściu z ciężkiego więzienia spłodzić go już w zaawansowanym wieku, ażeby sławny ród mistrzów ostrego miecza nie wymarł po mieczu; najchętniej by sobie poszedł, ale wmówił sobie, że chyba swoją obecnością wymodli chłopcu egzamin poprawkowy. Lizinka

obleczona w szatańską satynę z wycieczki, tym razem ozdobioną barokowym krzyżem na piersiach, świętującym swój wernisaż, obserwowała docenta Šimse, którego woleli, ponieważ Vlk wyszedł, zanim mogli się do niego zwrócić o wydanie dyspozycji, zostawić na latarni, tylko linę dobrze przywiązali do pojemnika na śmieci, aby się nie obsunął i nie potłukł. Prawe oko miał wybałuszone, jak gdyby się do niej komicznie wykrzywił, lewe przymknięte, jak gdyby do niej kokieteryjnie mrugał. Palec wskazujący lewej dłoni sterczał, jak gdyby jej chciał nim pogrozić, ale prawą miał zaciśniętą w pięść, jak gdyby za nią trzymał kciuk. Członki i twarz nabrały już barwy dzianiny, jedynie u zbiegu nogawek tworzył plamę ciemny krąg jak od pieczątki. Po chwili Lizinka знаła już Šimse na pamięć, ale studiowała go w dalszym ciągu; wciąż jeszcze przeżywała swój egzamin, a poza tym starała się nie zauważać syczenia pieczeni i wabiących zmysły smakołyków: była głodna jak wilk.

Z korytarza wbiegł Franciszek, który trzymał wartę przy kracie.

- Już - krzyknął - idzie!

Dzieciaki w okamgnieniu utworzyły szpaler, który miał zaprowadzić Vlka do rodziców, przed którymi stanęła wzruszona pani Łucja. Vlk, z zaciekawieniem obserwujący - była tu po raz pierwszy - reakcję swojej współtowarzyszki, na chwilę pokrzyżował ich plany, najpierw wstępując do pracowni. Małgorzata chciała się doprowadzić do porządku, a on urzeczywistnić zamiar, który mu dyktowały zarówno przezorność, jak i poczucie przyzwoitości: po raz trzeci telefonował pod numer, przy którego wykręcaniu zawsze drżał mu palec. Jak zwykle usłyszał długi sygnał.

Kiedy tylko, szczęśliwie rozwiedzeni, usiedli - nigdy nie nadużywał służbowego wozu do celów prywatnych, ażeby oszczędzić Małgorzacie Karlika, który mimo wszystko co nieco (twierdził Šimsa) „śmierdział cmentarzem” - w taksówce trzymając się za ręce, jak to było w zwyczaju Vlka, gdyż wówczas przenikał go spokój i łagodziło to jego wybuchowość, Vlk myślami powrócił do posępnej krypty, gdzie z wolna rozkładały się dokumenty sądu wojewódzkiego. Wciąż miał w sobie ładunek goryczy, która w trakcie rozmowy osadzała się w nim jak kurz, aż go zasypała, kiedy weszła grubaska, Janek i Marychna!... Twarz mu wykrzywił grymas. Aczkolwiek w swojej branży bał się jedynie człowieka z nakładanymi rękawami, nie czuł teraz ulgi, wręcz przeciwnie, miał wrażenie, że jest jak przewrażliwione dziecko, które przez dziurkę od klucza widzi, że choinki gwiazdkowej nie ubiera aniołek z gołą pupą, ale ojciec, który jest w dresie i ordynarnie klnie. Dzięki istnieniu zagadkowej osobistości mógł aż do dzisiaj myśleć, że rozwój historyczny, którego motorem, hamulcem czy przekładnią stawał się niekiedy z racji swojej funkcji i on, przypomina tragedie antyczne, które poza małymi wyjątkami wydają się teatrem kukiełek, manipulowanych przez strojących sobie żarty bogów. Vlk wierzył, że nad nim jest polityczny Olimp kraju, a wyżej jakiś Superolimp, skąd poprzez góry nieczystości, które codziennie wydała rodzaj ludzki, i poprzez mgłę zbrodniczych mądrości, którymi go wciąż na nowo omamiają zbrodnicze elity, wszystko widać na sto lat naprzód, aż tam, gdzie człowiek człowiekowi przestanie być - tutaj Vlk zawsze lekko się wzdygał - wilkiem. Teraz powinien pogodzić się z myślą, że dajmy na to arcyprocesy i następnie rehabilitacje skazanych, a później rehabilitacje sędziów, nie były częścią genialnej, chociaż nieprzeniknionej koncepcji, ale po prostu dzikimi poślizgami i korkociągami epoki, którą rządzą wszyscy i nikt, tak że nie można wykluczyć, że na koniec, i dlatego najmądrzej, będą się mimo wszystko śmiać ci załatwieni, a do zapadni dziejów i szafotów runą nawet i egzekutorzy. Nie, Vlk nie drżał o siebie, ale o swoje dzieło, a przede wszystkim już i o swojego syna! A tak, właśnie on, któremu Lizinka miała dać ciało, a ojciec ducha, był najbardziej zagrożony szczeźnięciem Dok...

Posępne refleksje przerwał niczym „blow up” bodziec tak zaskakujący, że Vlk wpił paznokcie w dłoń Małgorzaty. Drgnęła, ale zaraz zmiękła i pozwoliła się - zdążyła się przecież już przyzwyczać, że jej rękę pogryzł niejeden pacjent - klucz, zawsze jej sprawiało przyjemność, że może być piorunochronem dla jego irytacji; tylko dzięki temu był zdolny chaotycznemu pomysłowi nadać kształt:

A d l a c z e g o b y D o k t o r m i a ł s c z e z n ą ć??

Toż on jedyny absurdalnym zbiegiem okoliczności go zdemaskował! A jeśli tych zbiegów okoliczności było więcej i tylko wszyscy doszli do tego samego wniosku: silny

Doktor nie może przepaść przez trusiowego Vonáska! A czy on go naprawdę zdemaskował? A może Doktor wciela się w postać Vonáska po to, żeby tym bardziej być Doktorem?! Usiłował w tę nedorzecznosc uwierzyć i stwierdził, że przy pewnym wysiłku dałoby się to zrobić, zwłaszcza gdyby się osobiście do tego przyczynił...

- Słucham - powiedział znajomy głos jak zwykle, dzisiaj jednak wyraźnie czuło się w nim zmęczenie.

- Prezes - przedstawił się jak zawsze, tylko że teraz się bał, ażeby ten z drugiego końca przewodu tego nie zepsuł, toteż dodał dużo poważniej niż zwykle: - Czy możemy chwilę pomówić?...

- Ależ oczywiście... - głos z tamtej strony stał się jakiś niepewny.

W wyobraźni widział go kiedyś Vlk w nowoczesnym apartamencie z surowym gabinetem, przypominającym węzeł telekomunikacyjny; nagle ujrzał mieszczańskie mieszkanie, przeładowane świecidełkami i cuchnące stęchlizną, z telefonem na etażerze w przedpokoju, ażeby rozmówca mógł ze słuchawką w dłoni wcisnąć się w płaszcz. Przewyciężył niesmak i nie zmienił tonu.

- Doktorze - powiedział uniesienie i kategorycznie zarazem - jesteście nam absolutnie potrzebni w szkole, czy mogę posłać po was wóz?

Dotychczas myślał, że Doktora przewozi specjalna formacja, dysponująca mnóstwem samochodów najróżniejszych typów, z wymienianymi numerami i innymi detalami, pozwalającymi im bez trudu uchodzić na przykład za - parę razy w nich Doktora widział - taksówki. Teraz już wiedział, że Doktor jeździł prawdziwymi taksówkami, a niekiedy także tramwajami.

- Wóz? - powtórzył Doktor wyraźnie dotknięty, jak gdyby dokładnie wiedział, o czym Vlk myśli.

- Mój - ciągnął pospiesznie Vlk, ażeby go przekonać, że o tym w ogóle nie myślał - byłby szybciej od waszego, właśnie tamtędy pojedzie.

- Chwileczkę! - powiedział głos z tamtej strony, po czym dodał jak zwykle: - Zajrzę do diariusza.

Vlk odetchnął, chociaż już przypuszczał, że tym diariuszem jest i zawsze była Maksimarycha - ach! zaświtało mu nagle, toż ona, być może, podsłuchuje przez drugą słuchawkę, dlatego musiał przedstawiać się jako prezes! - która musi dać minikocurkowi - czym jej właściwie, przemknęło mu przez głowę, mydli oczy? a może ją usypia proszkami? albo ją musi w zamian za przepustkę zaspokoić? - dispensę. Usłyszał pukanie.

- Tak - powiedział w słuchawkę, zanim zorientował się, że puka ktoś tutaj.

Wszedł Karlik i stuknął obcasami. Vlk dał mu gwałtownym gestem do zrozumienia, żeby był cicho, ale nie było to konieczne, ponieważ WITAS rozdziawił gębę na widok białowłosego motyla; Vlk znów mógł podziwiać własną dalekowzroczność, dzięki której nigdy nikogo nie wpuścił do matecznika swojej - oprócz Šimsy, przypomniał sobie, który już tego chyba nie wypaple - prywatności.

- Jesteście przy aparacie? - odezwał się Doktor ostro.

- Tak... - wyjąkał Vlk.

- Będę za pół godziny na starym miejscu!

Nie zawiódł, ulżyło Vlkowi; gdzie mieszka, to mieszka, ale spotkanie jak zawsze wyznaczył przed winiarnią u wylotu ulicy policyjnej.

- Kończę! - powiedział Doktor szorstko i odłożył słuchawkę.

Vlk powoli i dokładnie sformułował swoje polecenie i kazał je Karlikowi jak zwykle trzykrotnie powtórzyć.

- No to wal! - wyprawił go uprzejmie.

- Rozkaz, szefie... - odmeldował się Karlik.

Jego mózg, zdruzgotany niezliczonymi nokautami, dokonał jednak niebywałego wyczynu, skoro na przekór tylu innym impulsom przekazał, co powinien, choć w uproszczonej postaci.

- Już na was czekają, także prosię i Smęt.

Znikł migiem. Vlk go nie zrozumiał i nawet nie próbował. Zdał sobie w pełni sprawę z tego, co właśnie się stało, i jego duch uroczyście zawołał - *Vonásek est mort, vive le Docteur!*

Minutę później pani Łucja zapomniała dalszego ciągu przemówienia gratulacyjnego, które tak pieczołowicie wkuwała na blachę; choć natężyła pamięć jak tylko mogła, nic z tego nie wyszło i w końcu była zadowolona, że jakoś udało jej się dobrać bez kompromitacji do ostatniego zdania:

- Niech nam pan będzie długo i szybko zdrow!...

Całym swoim jestestwem pragnęła się dowiedzieć, kim jest ta ekskluzywna kobieta, stojąca z Vlkem: romantyczny strój i biały odcień włosów kazały ją zaliczać do grupy kobiet, które od dzieciństwa się postarzają, ażeby w ten sposób uwypuklić swoją zwierzęcą witalność. Jej ciekawość długo nie miała być zaspokojona, ponieważ Vlk, potrząsnawszy najpierw rękę samotnie stojącemu Albertowi, przechodził od rodziny do rodziny, z każdą po kilka minut rozmawiając. Jego współtowarzyszka, którą przedstawiał tak wstrzemięźliwie, że pani Łucja nie mogła nawet tego usłyszeć, fundowała każdemu z rodziców i uczniów czarujący uśmiech, po czym kryła się w cień Vlka, jak gdyby była niema. W rzeczywistości

cały czas niepostrzeżenie obserwowwała

Lizinkę. Przede wszystkim dziękowała Bogu, że w porę się zgodziła na propozycję Vlka, co do uczesania i ubioru: teraz dopiero doceniła szlachetność tej propozycji. Na widok tej delikatnej piękności, na razie naznaczonej tylko, o czym wiedziała, jedyną szarpaną ranką, dziwiła się mimo woli, że Vlk dotychczas (a tak, nawet ponownie!) sypiał również z nią. Dziewczyna tak się jej podobała, że z trudem powstrzymała pokusę, żeby zaraz iść prosto do niej i dotknąć tego - wręcz słyszała gorący syk - zmaterializowanego blasku słonecznego. Ależ będę ją przecież mogła, przypominała sobie ze zdumieniem, czesać! Przecież będę ją mogła nawet, dała upust swojej wyobraźni, także kąpać i, przywoływała obraz szerokiej, pełnej wody wanny, w której się kiedyś z Fryckiem częściej kochali niż w łóżku, siebie razem z nią!

A może ja, po raz pierwszy od wylewu czerwonej rzeki uśmiechnęła się wewnątrz, jestem naprawdę rzymskim chłopcem?...

Vlk najpierw krótko porozmawiał z rodziną Husów. Na skrzydłach sukcesu posunął się do obietnicy, że wstawi się za chłopcem do komisji, ażeby zechciała go ponownie przeegzaminować we wrześniu. Hus senior w rewanżu zobowiązał się, że przez całe wakacje będzie się z synem uczyć, a kiedy i to nie pomoże, da chłopca do terminu w zawodzie - propozycja Vlka w tym względzie przypadła mu do gustu dzięki dobrze brzmiącej nazwie - asenizatora. Żegnając się Vlk uprzejmie nazwał go pobratymcem i staremu ze wzruszenia rozbłyły oczy.

Rozmowa z matką i ojcem bliźniaków była pełna komplementów. Vlk chwalił chłopców, a rodzina szkołę. Usłyszał przy tym to, czego się spodziewał: obaj mężczyźni, którzy właśnie awansowali, przewidywali, że w ich nowym miejscu pracy wyraźnie wzrośnie liczba wyroków śmierci. A czemuż by, powiedział sędzia, a prokurator przytaknął, miało tak wielkie województwo czekać, aż ktoś w centrali będzie łaskawie miał czas! Czemuż by, spytał prokurator rozwijając myśl sędziego, nie mogło mieć własnego wykonatora, albo i dwóch, którzy znają miejscowe tradycje i szanują lokalne zwyczaje? Było jasne, że ma na myśli bliźniaków. Zadowolenie, które Vlk poczuł zamiast lęku, że ktoś mu odbierze chleb, dowodziło, że ciałem i duszą jest już nauczycielem.

Spotkanie z Kazikami było najserdeczniejsze. Franciszek ani nie zawiódł, ani nie popisał się na tyle, żeby warto było nad tym się rozwodzić, a ojciec już mu wcześniej zapewnił w swoim więzieniu miejsce bibliotekarza - raz w tygodniu zbierano po celach książki, przetasowywano je i z powrotem roznoszono po celach, tak że ewidencja była prosta: jedna sztuka na głowę - z tym, że ilekroć Vlk przyjedzie do nich na egzekucję, będzie miał

pomocnika na miejscu. To nasunęło Vlkowi pomysł zatrudnienia na początek w podobny sposób także absolwentów kolejnych roczników, zanim się rozwinię eksport. Jak to mieli w zwyczaju w wykańczalni wymienili kilka ostrych (Kazik-ojciec) i kilka łagodnych (Vlk) dowcipów, pani Kazikowa zaprosiła Vlków na bal więzienny i rozstali się w przyjaźni.

- Skręć kark! - wyszeptała Małgorzata przed ostatnim przystankiem.

Podczas spotkania z rodziną Tachecich Vlk był jej wdzięczny za solidne wsparcie w sytuacjach, z których bez niej być może by nie wybrnął.

Nerwowość pani Łucji przerodziła się w szok: zbierając członków rodziny - jej ojciec stał przy niej, a na Lizinkę wystarczyło skinąć ręką - odkryła nieobecność małżonka. Nie było go w żadnej z połączonych, ale też samodzielnych salek, wkrótce jednak się znalazł: doktor Tacheci siedział samotnie na fotelu w kabinie gazowej, skąd mógł obserwować przebieg wieczorku w sali, i rozmyślał. Usłyszawszy wszakże przywołujący głos teścia, natychmiast się zjawił.

- Chciałbym podziękować łaskawej pani za wiele rzeczy - powiedział Vlk do pani Łucji, oderwawszy usta od jej dłoni - ale zacznę od podziękowania za przemówienie, które mnie wprowadziło w zakło... I -

przerwał w pół słowa ze skruszoną miną

- nie przedstawiłem pani, a muszę właściwie, żeby nie uchybić dobrym obyczajom, powiedzieć: p a n i nie przedstawiłem -

zwrócił się od pani Łucji do Małgorzaty i jak w zagranicznym hotelu przed tygodniem serce mu zatętniło aż w szyi, albowiem wybiła minuta prawdy tym ryzykowniejszej, że opartej na kłamstwie, aczkolwiek świętym; kiedy we wtorek w nocy na Lizince i rano na Małgorzacie definitywnie się przekonał, że nie może żyć ani bez pierwszej, ani bez drugiej, zmobilizował wszystkie moce swojego intelektu i oto teraz miał sprawdzić, czy słusznie odpowiedział na kluczowe pytanie, jakiej kobiecie będzie gotowa odstąpić część swoich praw do niego nowa małżonka i nowa teściowa

- mojej matce.

- Vlkowa - powiedziała Małgorzata Vlkowa odsłaniając piękne zęby, którym nigdy nie był potrzebny dentysta - przyjaciele nazywają mnie Małgorzatą, a ja wierzę, że -

mówiła stale do pani Łucji, jednocześnie ze szlachetną nieostentacyjnością podając rękę do pocałowania obu mężczyznom

- staniemy się przyjaciółkami, skoro nas łączą osoby, tak nam obu drogie!

Ta chwila wystarczyła pani Łucji do upewnienia się, że infantylny ubiór, odcień płukanki, najlepiej zakrywający siwiznę, i zęby, bezsprzecznie zagranicznej proweniencji,

każą zaliczyć tę kobietę do tych, teraz już się nie myli, które od dawna udają młodsze, ażeby się wymknąć spod władzy atakującego je upływu czasu. Poruszona tymi myślami podeszła i serdecznie Małgorzatę uściśnęła. Płaskie piersi, na które się natknęła, potwierdziły tylko jej diagnozę: ta Niby to Garbo jest właściwie, drwina ustąpiła miejsca współczuciu, staruszką. Natychmiast postanowiła być jej dworką, ponieważ w ten sposób otwierała się przed nią najprostszą drogą do niego.

Vlk odetchnął. Przeniknął do ostatniego bastionu Tachecich i teraz się wszystko rozstrzygnie w walce mężczyzny przeciwko mężczyźnie. Całkowicie pewny, że Małgorzata osłania mu plecy eliminując matkę, usiłował pokonać ojca.

- Panie profesorze - wmieszał się nieoczekiwanie inżynier Aleksander, szykujący się praktycznie już od wczoraj, kiedy mu córka ku jego zdumieniu i radości przekazała od Vlka uprzejme słowa szacunku wraz z zaproszeniem - pozwoliłem sobie -

ciągnął z zapalem wyjmując ze starej walizeczki na przybory inżynierskie, której całe popołudnie strzegł jak świętości, gruby pakunek

- przynieść panu mały, ale cenny prezent jako podziękowanie, że zrobił pan dla mojej wnuczki więcej niż jakikolwiek -

dodał pogardliwie nie usiłując taić, kogo ma na myśli

- krewny. Dziękuję panu, dziękuję.

Podczas gdy Vlk nie mogąc się połapać rozwijał ozdobny papier i zarazem gorączkowo myślał, jak wyjść z tego ślepego zaułka, doktor Tacheci wiedział niczym prorok, co ujrzy. Mimo to замуrowało go, kiedy po z górą szesnastu latach znowu zobaczył skarb, dla którego nie żałował w życiu największych ofiar, a on wymykał mu się jednak jak fatamorgana: lipskie wydanie rękopisu wolfenbuttelskiego Sturzy, popularnie zwanego *Etymologicum Gudianum*. Na policzkach pojawiły mu się plamy, oczy zaczęły wypatrywać drzwi. Już już miał chwycić foliał, który dla teścia, a z pewnością i Vlka przedstawiał najwyższą określoną wartość pieniężną, podczas gdy dla niego był czymś jak powietrze czy krew, żeby z tą zdobyczą uciec choćby na pustynię, ponieważ z tym dziełem do śmierci by się nie nudził, ale zdał sobie sprawę, że dzieli go tutaj od szerokiego świata wiele wąskich krat. Zwiesił głowę.

Inżynier Aleksander chciał w sposób wykwinny zyskać względy człowieka, którego ceniał również za klasyczne wykształcenie, co zdradzało hasło na zaproszenie, to samo, jakie przed półwieczem przytwierdził nad uczniowskim biurkiem Frycka ojciec łacinnik: NON SCHOLAE nie dla szkoły SED VITAE lecz dla życia się uczymy DISCIMUS! Chciał poza tym naprawić swoje jedyne złamanie zasad fair play, kiedy przed laty nie dotrzymał słowa

danego doktorowi Tacheciemu, ponieważ ten człowiek - dowód, że klasyczne wykształcenie to jeszcze nie wszystko! - nie potrafił szanować jego córki; dając w prezencie Sturzę we własnych oczach oczyszczał się z podejrzenia, że go sobie wtedy zostawił z zachłanności; jednocześnie był pewien, że tym nieudolnego zięcia najdoskonalej ugodzi.

Vlk jeszcze w piątek odwiedził z glejtem Doktora ośrodek techniki obliczeniowej; ten niewinny sztyld maskował policyjny bank informacji. To, czego dowiedział się o Tachecich, było teraz bezcenne; nagle dostrzegł możliwość, o jakiej mu się nie śniło. Cóż, życie płała figle, i pewnie prezentodawca będzie urażony, ale nie mógł się wahać: hierarchia była jasna.

- Jestem - powiedział zatem jak najuprzejmiej - nader panu zobowiązany i będę zawsze poczytywał sobie za zaszczyt, że pan mnie tak obdarzył, ale muszę pana dzisiaj pozbawić innej -

Vlk podszedł do przodu i znalazłszy się jakby mimo woli obok Lizinki, złożył jej na ramieniu wolną rękę gestem zadowolonego pedagoga

- drogocенności, tak że postąpię, jak przypuszczam zgodnie z pańskimi intencjami, panie -

ciągnął spoglądając jak najszczerzej w jego ciężkie, złote okulary, które w tak doniosłym dniu zastąpiły lekkie druciaki

- inżynierze, jeśli dam to pod opiekę osoby bardziej powołanej, czyli pańskiego -
dodał podając książkę doktorowi Tacheciemu
- zięcia.

Milczenie na tle szumu nabierało nowego wymiaru, zapewne tak jak czysta ściana w pustej ramie barokowej. Wokół rozlegał się gwar rozmów i śmiech pozostałych rodziców i uczniów. Tutaj pośrodku miało się wrażenie, że ktoś przepompowuje krew z zięcia w teścia. Pierwszy był jak kreda, drugi jak rajskie jabłuszko. Istniała groźba, że inżynier Aleksander za chwilę wybuchnie, a do tego Vlk nie mógł dopuścić. Dostrzegłszy zachęcające spojrzenie Małgorzaty, przyciągnął do siebie Lizinkę jak bliski przyjaciel. Po czym się odbił i wykonał swoje salto mortale.

- Zresztą - powiedział - szanowna pani, panie inżynierze i panie doktorze, wasza radość z sukcesu Lizinki nie będzie dzisiaj ostatnią. Może właściwiej byłoby to państwu powiedzieć w domu albo w dobrej restauracji, ale sądzę, że nie ma lepszego miejsca do zawierania umów niż zwycięskie pobojuwisko, a zatem tutaj pozwalam sobie oświadczyć co następuje: kocham -

powiedział Vlk tonem żarliwym, ale przytłumionym, ażeby nie przyciągać uwagi innych rodziców, sądzących prawdopodobnie, że Vlk z państwem Tacheci prowadzi

przyjazną rozmowę o parę kroków od Šimsy, który pod wpływem ciepłego powietrza obrócił się lekko, tak że robił wrażenie, jakby ich szpiegował

- Lizinkę, a Lizinka mnie, toteż was, drodzy rodzice i -

zwrócił się teraz do inżyniera Aleksandra, którego musiał za wszelką cenę udobruchać

- ciebie, dziadku, i ciebie, droga -

zwrócił się do Małgorzaty, którą pragnął przekonać, że sedno jego uczucia się nie zmienia, choć zmieniają się formy zewnętrzne

- mamusiu, prosimy, ażebyście nam powiedzieli TAK!

Trwała hałaśliwa cisza. Tylko teść szybko bladł, a z wolna różowiał zięć, jakby ktoś przesyłał teraz krew w odwrotnym kierunku. W końcu odezwała się pani Łucja:

- Ależ to przecież - powiedziała, zapomniawszy, że przed sekundą marzyła o objęciach Vlka (naruszając optykę spragnionej kobiety zastąpiła optyka zakłopotanej matki i w tej optyce widziała mężczyznę dobrze wprawdzie zakonserwowanego, ale mimo wszystko, mówiąc nader uprzejmie, leciwego, który był wyraźnie starszy, powzięła nagłe podejrzenie, od jej ojca) - to przecież nie jest...

- Ależ tak - powiedziała do niej Małgorzata Vlkowa radośnie, wczuwając się w rolę do tego stopnia, że gotowa była poświęcić wszystko dla szczęścia syna, które było również jej szczęściem - to jest prawda, droga Łucjo, mogę -

spytała z przejęciem odpowiadając na uścisk, który już się ostudził, uściskiem własnym

- do pani się tak zwracać? Fryderyk mi się zwierzył już jakiś czas temu, ale nie chciał, żeby Lizinka rozpraszała się przed egzaminami, a przede wszystkim zależało mu na naszej zgodzie, ach -

westchnęła tak szczerze, że zamgliły się jej soczewki kontaktowe

- dzieci, dzieci! Ledwo je człowiek wyniańczy, już wyfruują z gniazda, ale *c'est* -

przeszła zgodnie ze wskazówkami Vlka na francuski, ażeby mimochodem podkreślić rodzinne tradycje kulturowe

- *la vie*, a my obydwie możemy im tylko życzyć szczęśliwego lotu, *n'est-ce pas, ma chère?*¹⁴

- Ale chyba - przemówił inżynier Aleksander, zastąpiwszy złote okulary druciakami, które wprawdzie miały identyczną liczbę dioptrii, jemu wszakże zawsze najlepiej odślaniały rzeczywisty statyczny stan rzeczy i ludzi, i oto ujrzał przez nie mężczyznę inteligentnego

¹⁴ ...*c'est la vie, n'est-ce pas, ma chère?* (fr.) - ...to [[jest] życie, czyż nie tak, moja droga?

wprawdzie, ale wyraźnie, mówiąc nader wstrzemięźliwie, bez charakteru i dobrych manier, co potwierdził niedorzecznym sprezentowaniem (niewykluczone, że zgarnie prowizję!) prezentu - chyba nie możemy...

- Toż nie możemy - Małgorzata Vlkowa wtrąciła się niemal histerycznie, no bo ze względu na sakramentalne postanowienie Vłka „Albo wy obydwie, albo żadna!” chodziło jej, tak samo jak i Lizince, o przyszłość - drogi... jak mam się do ciebie -

przyjęła wobec inżyniera Aleksandra ton poufały w nadziei, że go to zaszokuje bardziej niż istota rzeczy

- zwracać właściwie?

- Aleksander... - odparł rzeczywiście zszokowany inżynier.

- Toż drogi - ciągnęła Małgorzata nie przypuszczając, że to nie jest imię - Aleksandrze, nie możemy właśnie my być temu przeciwni, nieprawdaż, im bliżej człowiek jest zmierzchu życia, tym bardziej go cieszy każdy przeblysłk -

dodała odważnie wskazując na Lizinkę, którą właśnie mocno do siebie przyciskał Vlk jako jej kochanek

- miłości!

Jeszcze się jej nie udało spacyfikować inżyniera, kiedy Łucja Tacheci zaczęła potrząsać przecząco głową, najpierw niemal niezauważalnie i jakby mimo woli, ale z każdą sekundą coraz wyraźniej, a zatem świadomie. Małgorzata szóstym zmysłem kobiety, a Vlk szóstym zmysłem wykonatora zdali sobie sprawę, że jest źle. I rzeczywiście było.

Im bardziej sobie przypominała różne młodziutki ślicznotki, które wzięły za mężów podstarzałych filmowców czy administratorów, i powiły im zdrowe dzieci, tym trudniej przychodziło Łucji Tacheci wyobrazić sobie, by jej Lizinka mogła wejść w związek z kimś tak leciwym, choć posiadającym tyle zalet, co Vlk. Znała je i szanowała również teraz, mogła je wyliczyć, gotowa o nich także fantazjować i właśnie w tym tkwiło sedno - była nawet zdolna się do tego przyznać! - sprawy. Oslawiona nie przewodnia, którą była omotana jak pajęczyną, wlokła się z przedpokoju ich mieszkania; w sercu jej utkwiał podmuch zawiści, kiedy jej wówczas podał bukiet róż, a ona zaraz zapragnęła być własną córką. I silniejsze od zimnej refleksji, dlaczego nie chce go mieć za zięcia, było natarczywe pragnienie, żeby go uczynić swoim kochankiem. To oczywiście nie pozwalało jej strzelać do niego z najskuteczniejszych dział, ba, strzelać w ogóle! Musiała posłużyć się wojennym fortem, w jakich właśnie ona celowała.

Jeśli była czegoś pewna na mur-beton, to stanowiska, jakie w tej sprawie zajmie doktor Tacheci. Aczkolwiek w ciągu tych siedemnastu lat bez mała nie wyręczył jej w podjęciu

bodaj jednej jedynej ważnej - zresztą to jej odpowiadało! - decyzji, postanowiła w tej subtelnej walce z wyrafinowaniem kobiety, która nie chce uchodzić za niewdzięczną gęś czy nawet za zazdrosną nałożnicę, jego właśnie wysłać na pierwszą linię.

- Emilu - zwróciła się doń antycznym tonem, który całą nieuchronną odpowiedzialność przenosił na jego barki - rozstrzygnij to!

Już ponad pięćdziesiąt godzin, dokładnie od sobotniego stwierdzenia, że Lizinka o mały włos stałaby się ofiarą seksualnego maniaka, doktor Tacheci pozostawał w stanie wewnętrznego odrętwienia. Nie musiał narzucać sobie striptizu duchowego jak zwykle to czynił, nie musiał wywoływać ulubionego niszczycielskiego demona samokrytyki; w nocy z soboty na niedzielę, kiedy znowu przebywał - nie przypuszczając, że jego żona jako doświadczona amatorka przygód dwa razy przemknęła obok, najpierw żądna pieszczot, a potem rozkosznie zaspokojona - w łazience, potrafił zanalizować na chłodno, jaką wartość ma dla ludzkości, a także dla swoich najbliższych. Jeśli w pierwszym przypadku mógł uważać, że bodaj jeden promyk światła rzucił w ciemność niewiedzy, otaczającej zagadkową proveniencję ruskiego jeru, to w drugiej pozycji widniało zero. W ciągu tych siedemnastu lat bez mała nie dokonał niczego, co by poprawiło warunki życia ukochanej żony, a przede wszystkim wyposażyło na drogę życia uwielbianą córkę. A teraz, odczuł to w samotności łazienki - a klauzurze komory gazowej w pełni sobie uświadomił, już nie za pięć dwunasta, ale w samo południe, kiedy po jego córkę sięga bezlitosny pazur życia, zjawia się mężczyzna, który to załatwił za niego. Ten mężczyzna ją uzbroił, mówił sobie w duchu doktor Tacheci patrząc przez oszklony otwór ku latarni, w ciągu jednego roku tak, że wykończyła brutalnego zwyrodnialca własną delikatną ręką, ten mężczyzna kilkoma słowami sprawił, że fantom druku Sturzy zmaterializował się w jego własność i teść nie odważył się nawet pisać. Doktor Tacheci nie był naiwny i nie robił sobie złudzeń, że Vlk kierował się sympatią do niego. Przypomniało mu się, ile to sam zdołał zniszczyć własnych tabu i przekroczyć stromych przeszkód - choćby wynająć pałac ślubów czy zamówić menu - z miłości do swojej Łucji; wiedział zatem, że Vlk mu wyświadcza przysługę z miłości do jego Lizinki. Ale tym łatwiej w pełni sobie uświadomił, że jeśli w krytycznej chwili przyczyni się do powodzenia tego związku, zacznie wreszcie i on zbierać owoce, ażeby mieć co składać u stóp swojej żony. Ilekroć rzucał okiem na przycichłego Šimse, zdawało mu się, że słyszy dzwon, i widzi, komu bije: konduktorom, którzy mu jeszcze raz odmówią reszty ze stówki, sprzedawcom, którzy by mu znowu chcieli wcisnąć landrynki zamiast pralinek, kelnerom, którzy by jeszcze kiedyś odważyli się wmuszać mu gęsią czerninę zamiast gęsich wątróbek, a przede wszystkim wszelkim tym Oskarom, usiłującym już siedemnaście lat bez mała zniweczyć nieskalaną

wierność jego Łucji. Defilowali przed nim wszyscy naraz i każdy z osobna, załatwieni różnymi technikami, ale w końcowym rezultacie równie doskonale jak Šimsa i nie musiał już więcej wskazywać ich palcem s w o i m l u d z i o m, s w o j e j r o d z i n i e, która dzięki temu wreszcie się wyzwalała z ubóstwa, w które ją wtrąciły trzy pokolenia filologów, i mijając krąg młynarzy, a potem krąg inżynierów wznosiła się do poziomu ludzi takich, jak Vlk, w których się koncentrowały, mógł tego nie rozumieć, ale nie mógł w to wątpić, najwartościowsze zdobycze ludzkiego myślenia i działania, „jest to istota” - ponownie słyszał sugestywny cytat z de Maistre'a - „wyjątkowa, która musi mieć w rodzinie ludzkiej szczególną pozycję, usuńcie” - słyszał dalej - „ze świata tego niepojętego sprawcę: w jednej chwili porządek zmienia się w chaos, padają trony, społeczeństwo znika...” i kiedy niby refren, którym jak gdyby zamykał się fatalny krąg, zabrzmiał mu w uszach błagalny głos żony, po raz pierwszy wzywającej go do podjęcia ostatecznej decyzji, doktor Tacheci nie cofnął się przed tą odpowiedzialnością. Podeszedł do córki i pretendenta do jej ręki, każdemu z nich złożył na ramieniu jedną - a przy tym dla pewności nie wypuścił z rąk Sturzy - dłoń, jak gdyby chciał wytworzyć zamknięty krąg uczuciowy, i ze wzruszeniem lekko ich ku sobie przyciągnął, tak że czuł pod brodą włosy Lizinki, a na głowie brodę Vlka.

- Bądźcie - powiedział po prostu - szczęśliwi.

Zerwały się oklaski, którymi witano wchodzącego właśnie przed drzwi GAKLASU Doktora w towarzystwie Karlika, który za jego plecami ruchami rąk usiłował ściągnąć na niego uwagę obecnych. Vlk pewien, że dzięki nieoczekiwanemu manewrowi ojca Lizinki, jej i jego statek zdołał umknąć, ale tylko o włos, dwóm torpedom, i chciał rozstrzygnąć bitwę, zanim matka i teść znowu zaatakują.

- Dzięki, dziękuję! Moi - zwrócił się też przede wszystkim do nich dwojga - drodzy! Chwileczkę!

I ruszył na spotkanie Doktorowi nie puszczać ręki Lizinki, toteż podeszli do niego oboje. Również w tej sytuacji chciał wykorzystać podstawową wskazówkę, którą dawał dzieciakom na lekcjach „Przygotowania skazańca”: za nic na świecie nie przerwać akcji, póki klient nie jest załatwiony!

- Doktorze! - powiedział ze wzruszeniem. - Dziękuję, dzięki! Próbuję uroczyście zakończyć rok szkolny, ale dzieciaki, rodzice, a także ja, nie możemy rozstać się bez, tylko dlatego pozwalamy sobie na chwilę oderwać was od doniosłej działalności, bez podziękowania człowiekowi, który wystrzelił na orbitę dziejów naszą -

dodał Vlk, kiedy wraz z Lizinką, która sprytnie ujęła z gracją Doktora pod rękę z drugiej strony, przyprowadzili Doktora do czoła stołu

- szkołę!

Wraz z chłopackim Hurraa! - które chytrze zorganizował Albert, strzelił pod sufit korek szampana, otwartego przez Karlika na skinienie Vlka. Vlkowi rzuciło się w oczy, że pani Łucja wznosi rękę, w rozdrażnieniu pragnęła zabrać głos jak ostatnio w wyższej szkole żeńskiej; Małgorzata natychmiast do tej ręki wcisnęła pierwszy musujący kielich, lecz białą flagę wetknąć do tej dłoni mógł jedynie on.

- Kończy się - przemówił jak z trybuny bez wstępnych apostrof, ażeby uprzedzić inne wystąpienia - wyjątkowy i jedyny kurs szkolny, którego nie poprzedzało nigdy nic, z czego można byłoby brać przykład, kurs, który był eksperymentem, a zarazem poważnym przygotowaniem do życia was, pierwszych uczniów, a także surową weryfikacją was, pierwszych rodziców, albowiem i wy składaliście egzamin dojrzałości -

ciągnął patrząc uparcie w oczy pani Łucji

- obywatelskiej. Dzięki wam oszczędzą sobie wszyscy, którzy przyjdą po was, a mogę z dumą oznajmić, że zainteresowani pchają się do nas każdą -

ciągnął patrząc z wyrzutem na Małgorzatę

- szczeliną, wahań i błędów, jakie towarzyszą każdemu novum. Nie znaczy to, że chcemy rok za rokiem iść tą samą wydeptaną ścieżką, nie! Ja i moi -

ciągnął patrząc z ufnością na Alberta z Karlikiem

- współpracownicy wyteżymy swoje umysły, ażeby ŚRESZKUK na swojej drodze rozwojowej ku coraz wyższym -

ciągnął patrząc z wyzwaniem na Doktora

- typom szkoły otwierał naszej sławnej profesji coraz to lepsze możliwości poprzez odwoływanie się do najstarszej tradycji i najnowocześniejszej -

ciągnął próbując zdobyć ponownie przychylność inżyniera Aleksandra

- techniki, i mogę przy tej okazji z przyjemnością oznajmić, że na terenie szkoły zrodziła się koncepcja urządzenia, które mechanizuje po raz pierwszy czynności związane z najczęściej stosowaną egzekucją i niebawem oszczędzi harówki wykonatorom na całym -

Vlk klasnął i zaraz Karlik wytoczył zza komory gazowej podłużny kanciasty przedmiot na kółkach, przykryty płótnem

- świecie; w piątek został wreszcie opatentowany, toteż mogę go teraz po raz pierwszy

-

Vlk klasnął po raz drugi i Karlik odsłonił biały blat z ciemnoczerwonym linoleum, czyli stół do wieszania, który do dzisiejszego dnia był zamknięty w schowku

- zaprezentować publicznie i zdradzić, że wychodząc z pierwszych liter nazwisk

autorów wynalazku nazwaliśmy go -

Vlk z zaciekawieniem spojrział na Lizinkę, dla której przygotował tę niespodziankę jako nagrodę za pomyślne zdanie egzaminów i zadatek licznych prezentów, którymi ją obsypie w nagrodę za syna

- VLTAWA, czyli -

Vlk z całą powściągliwością ją cytował projekt Doktora, który uznał za rzecz niemoralną, ażeby nazwisko Šimsy miało koniec końców jeszcze trafić do podręczników, i, wręcz przeciwnie, uważał za rzecz nader moralną, ażeby spadkobierczynią Šimsy stała się jego ofiara, a tym samym i jej przyszły mąż, co Vlk tak ujęło, że zamierzał zaproponować mu jedną trzecią zysku

- Vlk-Tacheci-Wieszako-Aparat, pierwszy, który z uwagi na rozmiar i przeznaczenie nadaje się również na pokład -

zażartował Vlk z całą powagą

- statków kosmicznych; a teraz prosto z kosmosu powrócę do spraw najbardziej intymnych, a chciałbym wspólnie z naszą drogą Lizinką Tacheci, która się dzisiaj wysforowała na pierwszą kacicę świata dosłownie o -

Vlk jeszcze bardziej spoważniał wciąż nie przestając posługiwać się również żartem

- pierś, skoro prasa światowa donosi z Singapuru, że tam podobną funkcję ma objąć dwudziestolletnia Anita Chuan, podzielić się publicznie naszą obopólną radością, którą nam właśnie zgotowała jej i moja rodzina, kiedy zaaprobowała nasze -

Vlk musiał nasilić głos, ponieważ Małgorzata zgodnie z planem zaczęła już klaskać, żeby podbechtać innych

- zaręczyny.

Gwar, który od momentu wytłumaczenia nazwy aparatu coraz bardziej się nasilał, przerodził się teraz w chóralne jęknięcie; oklaski Małgorzaty dały upust całkowitej sympatii: eksplodowała owacja. Poza dwojgiem wszyscy obecni odstawili kielichy, ażeby móc obniżyć ciśnienie szybkimi uderzeniami dłoni, a kiedy i na policzkach poczerwieniała im skóra, kontynuowali entuzjastyczną brzękozabawę, polegającą na stukaniu się kielichami, najpierw pełnymi, a po chwili pustymi, i zaraz ponownie pełnymi, aż się Karlik spocił. Ale uparty Vlk nawet teraz nie zwolnił tempa, niezmordowanie zmierzał do strategicznej przewagi, ażeby wykluczyć podstępne przeciwnatarcie. Rozwarł krąg, który wiwatował na jego cześć, i podszedł do tych dwojga, którzy jako jedyni milczeli. Najpierw uściśnął prawicę inżynierowi Aleksandrowi i potrząsnął nią tak wprawnie, iż odnosiło się wrażenie, że jest on współwynalazcą. Następnie przyłgął do pani Łucji i pocałował ją tak umiejętnie, że nie tylko

na pozór, ale i naprawdę zaczęła pocałunek odwzajemniać. Ażeby zdusić w zarodku niebezpieczne konsekwencje, w porę się od niej oderwał i z żarliwością czołowych polityków pocałował w usta również doktora Tacheciego, po czym pospiesznie stuknął się szampanem z Doktorem dając mu oczyma do zrozumienia, że dzisiaj wyjątkowo musiał dać pierwszeństwo subordynacji rodzinnej. Doktor zrozumiał.

- Tego wam - wyszeptał z wdzięcznością, zanim uniósł do ust kieliszek - nie zapomnę!

Rozległ się śpiew. To Albert zaintonował, a dzieciaki podchwyciły pieśń, której ich przyszły asystent - a niebawem zapewne i docent - potajemnie uczył od początku czerwca, kiedy już sparafrazował stare słowa, zainspirowany twórczością poetycką swojego profesora.

- Gaudeamus igitur, iuvenes dum sumus!

Vlk objął swoją ukochaną tak mocno, że jego wielka dłoń całkiem zakryła jej mały sutek. Zadowolony do maksimum, poczuł, jak zjeżyło mu się pod dłonią miniaturowe żądło, i jednocześnie dostrzegł przychylnie czułe spojrzenie Małgorzaty. Kochanie! Zadepeszowały w jej stronę jego oczy, dziękuję ci. Zemocjonowała go myśl, że od czasu do czasu, kiedy z Lizinką będzie w podróży służbowej lub we władzy czerwonej rzeki, albo będzie mu rodzić syna, popieści się znowu z chudym i chłodnym ciałem swojego rzymskiego Marka.

- Gaudeamus igitur, iuvenes dum sumus...

powtarzały dzieciaki. A może, zaświtało nagle Vlkowi, jakiegoś upalnego wieczoru, kiedy wszyscy troje będą w domu ubrani ot tak, aby-aby, w przyływie uczucia i namiętności obejmie je obie naraz? Jak już będzie miał Lizinkę nie tylko z woli Boga i ludzi, ale i urzędów, jak już się u niego zadomowi, święte kłamstwo stanie się przeżytkiem! Dlaczego by go wówczas obydwie kobiety, które go kochają, nie mogły kochać jednocześnie??

- Nestor, Doktor, Witas oraz Vox - hic sunt executores!

śpiewały dzieciaki, Vlk zaś nagle spostrzegł, że usta pani Łucji są wciąż jeszcze otwarte tak, jak je opuścił jego język, i że w przymrużonych oczach nie ma obrazy, ale, wręcz przeciwnie - pożądanie. Wielkie nieba! - powiedział sobie w duchu. - Przecież ona też mnie kocha! Jak podczas rozjaśniania się obrazu filmowego po raz pierwszy zarejestrował jej parametry światowej klasy (podkreślała je modelowa sukienka z Francji, która wreszcie ujrzała światło dzienne); lustrując ją doświadczonego okiem od stóp do głowy oszacował ją z dokładnością do jednego centymetra na 90-60-105. Jednocześnie zdał sobie sprawę, jak niezaspokojona musi być ta zmysłowa kobieta u boku ascetycznego doktora Tacheciego, a z podbrzusza wypłomienił się impuls, który jak neon reklamowy u bram rajów rozświetlił mu w mózgu magiczny trójkąt, złożony z 1) kobiecych ponęt pani Łucji, 2) chłopięcego powabu Małgorzaty i 3) dziewczęcej urody Lizinki, stanowiącej główny element tej figury

geometrycznej, w której środku stał on zadając ze zdumieniem, jako że wcześniej już otrzymał pozytywną odpowiedź, retoryczne w gruncie rzeczy pytanie: A d l a c z e g ó ż b y m n i e m ó g ł m i e ć i c h w s z y s t k i c h t r z e c h??

- Vos habe-ebi-it huuu-uu-mus!

Chłopak już po raz trzeci wymiotował w ustępie, toteż w końcu oddano mu go do wyłącznego użytku zmieniając napis MIEJSCOWI na SZYMON, a jego ojciec spał dysząc chrapliwie na łożu gilotyiny, skąd usunięto resztki kobiecej Dujki, ponieważ o tej porze

62

w nocy więzienie było zamknięte, ale o tym wszyscy byli uprzedzeni, a do piątej pozostawały niecałe trzy godzinki. Kiedy Vlk, rozpalony tańcem z panią - zapomniała o wszelkich troskach, kiedy przekonała się w kolejnych dwóch tańcach, że z przyszłym zięciem zdolna jest dotrzeć do pocieszającego brzegu również na parkiecie!

- Łucją odsłonił zaciemnienie i otworzył okno, ujrzał nie tylko bladą smugę światła nad przeciwległym skrzydłem, w którym także świeciły się zakratowane okna, nigdy niegasnące, jeśli cele za nimi nie były puste, gdyż stanowiły - za tydzień miał tam debiutować Albert

- poczekalnie, ale usłyszał także pierwsze piski przed porannym koncertem ptactwa. Zabawa osiągała punkt, w którym nawet kulka wystrzelona w górę z wolna się zatrzymuje, żeby po chwili ulec prawu grawitacji. Choć wypił niezmierną ilość (Doktor zrewanżował mu się przed odejściem telefonem do Nestora, który jeszcze przed zamknięciem budynku przysłał dwa kartony półwytrawnego wina) szampana, a może właśnie dlatego, miał głowę lekką jak balonik odpustowy i równie przejrzyste myśli. Obejrzał się.

Musiał się uśmiechnąć widząc, jak Karlik, który przez całą noc nie ruszył się praktycznie od - poza tym, że otwierał butelki - krzesła elektrycznego, z samozaparciem odcina majchrem kolejny wieprzowy polec przymykając oczy, które pobudzały w nim apetyt, kiedy żołądek był już napęczniony po brzegi. Powiódł zadowolonym wzrokiem po dzieciakach, które znowu grały - wprawdzie bez Szymona, ale za to z rodzicami - w salonowca. Jeśli on jeszcze był taki, jakim uformowała go burzliwa - ale też zdeformowała! musiał przyznać - epoka, to było już zupełnie nowe pokolenie, bez przesądów, bez respektu i bez sentymentów, a zatem i bez wątpliwości, i bez skrupułów, które jemu tak skomplikowały życie. Spór pokoleń, walka ideologii i zmagania dwóch światowych obozów to było dla nich coś jak

gniewny syk bąbelków w szampanie; dla nich nie tylko *schola ludus*, ale i całe życie było jedną wielką grą w salonowca, podczas której obowiązywała tylko jedna reguła: utrzymać się w gronie bijących.

Było mu przyjemnie widzieć, jak inżynier Aleksander składa do kupy garotę, którą przed północą rozłożył na czynniki pierwsze, ażeby się dostać do zepsutego - w przyływie sympatii Małgorzata przez cały wieczór niezmiernie go wyróżniała - gwintu, a jeszcze przyjemniej było mu widzieć, jak doktor Tacheci przytrzymuje teściowi tacę z nakrętkami i śrubkami; zdawało się, że łączy ich zakłopotanie, po którym łatwo już zawrzeć pokój. Z lekkim zakłopotaniem obserwował Vlk, jak się do siebie pochylają w ustronnym miejscu koło rusztowania biała i czarna głowa obu kobiet tworzących podstawę jego trójkąta. Ta harmonia wskazywała, że geometria rozwija się obiecująco; od paru godzin jednak nie mógł się wyzbyć wrażenia, że Małgorzata czuje do czarnej - dwa razy ją przyłapał na tym, jak głąskała Lizinkę z podobnym zapachem, z jakim głąskała jego ciało podczas wspólnych kąpieli i złotej coś więcej niż zwykłą przyjaźń, jak gdyby również ona przełamała w sobie jakąś barierę i wyzwoliła się nie tylko z urzędowego związku, ale i z niewoli jego, a nawet swojej własnej osobowości, tylko żeby mu, zamigotało czerwone światełko, ich obydwu na koniec nie poderwa... zaśmiał się, gdzie też go zaprowadziła przyjemnie zmęczona wyobraźnia. Ale gdzie jest?... Przetarł oczy i naraz ujrzał przez kłęb dymu papierosowego swoją

Lizinkę. Opierała się o VLTAWĘ i patrzyła na Šimse. Pragnął ją jeszcze raz upewnić o swojej i przy okazji zaznać jej bliskości. Podeszedł do niej, usiadł na drugiej połowie urządzenia i ręką objął ją za (biedaku, Ryszardzie Mašin, nie miałeś szansy) szyję. Nie czekając nawet na pytanie, bez przerwy przez niego powtarzane, potrząsnęła przecząco głową.

W nagłym impulsive spojrzął na zegarek i zdumiał się, było dwanaście po drugiej. Dokładnie przed tygodniem ciche wystrzały guzików od pizamy ogłosiły początek nowej epoki w jego życiu. Już nie wątpił, że tą pierwszą salwą zdołał osadzić w miejscu tę diabelską czerwoną rzekę, której wylewy zniszczyły mu już jedno małżeństwo, i obronić kropelkę nadziei, która teraz rozrastała się w płódzik, no a z niego w pierwszy (mógł to przepowiedzieć co do minuty!) dzień wiosenny przyjdzie na świat wielki mały mężczyzna, najpierw kaczątko-kociątko, potem czarcik-kacik i wreszcie ładny, przystojny, pełen oglady i wykształcenia młody kat, któremu przekaze swoje wspominki i marzenia, swoje dzieło i plany. Musiał się hamować, ażeby nie zacząć jej całować, więc już wolał położyć się na płytę VLTAWY, a kiedy ze zdziwieniem obróciła się ku niemu, poprosił ją pół żartem, pół serio: - Zatrzaśnij mnie!

Kilkakrotnie zostawał z nią po lekcjach w pracowni, ażeby ją nauczyć obchodzenia się z VLTAWĄ, póki nie nabrał przekonania, że podczas pokazu, jaki planował na uroczystą inaugurację drugiego (Chryste Panie, jutro muszę rozpocząć z Albertem egzaminy wstępne!) roku szkolnego, nie będzie co do jej współautorstwa wątpliwości. Tym bardziej się zatrwodził, kiedy się pod nim

63

rozwarł stół: w roztargnieniu, spowodowanym przez zmęczenie, dotknęła innego przycisku. Sprawilo mu satysfakcję, że natychmiast z miną winowajczyni (Boże, jakież to wciąż jeszcze dziecko!) doprowadziła wszystko do porządku: połówki stołu zsunęły się, przycięły mu tylko kołnierzyk (chwyciłaś mnie jak motyla admirała!...) marynarki. Po raz drugi się już nie pomyliła; trzy stalowe mankiety (ta trójca powinna być w kolorze białym, czarnym i złotym!) opięły mu kostki, biodra i szyję.

Zaskoczyły ich kolejne oklaski, przypominały raczej trzepot gołębic - zmęczenie było już powszechne - skrzydeł, ale były tym serdeczniejsze. Ani się spostrzegli, jak skupili się wokół nich wszyscy pozostali, z humorem oceniając wyczyn Lizinki. Dziewczyna wszakże, zupełnie jakby nie znajdowała się w centrum powszechnego zainteresowania, stała obok - z ręką na tablicy sterowniczej VLTAWY, ale już na powrót wpatrywała się w Šimšę. Cicho promieniała.

- Lizinko - zwrócił się do niej Vlk, poniekąd zazdrosny o to przesadne zainteresowanie, na które pseudodocent właśnie z jej strony sobie nie zasłużył - powiedz wreszcie coś!

- Nawet mi - powiedziała Lizinka z największym zadowoleniem -

64

nie pierdnął.

*PRAHA-SAZAVA,
1972-1978*